

**DOROTHEA
BENTON FRANK**

Ocalenie

Prószyński i S-ka



DOROTHEA
BENTON FRANK

Ocalenie

Przełożyła
Ewa Horodyska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału: SULLIVAN'S ISLAND

Original English language edition Copyright © 1999 by Dorothea Benton Frank. All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form. This edition published by arrangement with The Berkley Publishing Group, a member of Penguin Putnam, Inc.

Projekt okładki:

Zombie Sputnik Corporation

Ilustracja na okładce: Masterfile

Redakcja:

Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja techniczna: Jolanta Trzcińska

Łamanie: Monika Lefler

Korekta:

Bronisława Dziedzic-Wesołowska

ISBN 83-7337-084-6

Warszawa 2002

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole,

ul. Niedziałkowskiego 8-12

*Mojej drogiej przyjaciółce i mentorce Mary Kuczki.
I Elli Wright, która była moją Livvie.*

Podziękowania

Pragnę wyrazić wdzięczność wspaniałym ludziom, którzy pomogli mi na każdym etapie rozwoju tej zwiariowanej opowieści.

Dziękuję zwłaszcza moim kuzynostwu, Michaelowi i Mary Jo McInernym, oraz ojcu Larry'emu, którzy pomogli mi przywołać wiele wspomnień i zbudowali nastrój przezabawnymi opowieściami o łowieniu krabów oraz dyscyplinie wpajanej przez zakonnice ze Stella Maris Grammar School. A także moim kuzynkom Judy Linder i Laurze Blanchard. Kocham każdą ich mądrą i śmieszoną kosteczkę!

A gdy mowa o zakonnicach, chciałabym podziękować siostrze Miriam, mojej dawnej dyrektorce ze Stella Maris; ojcu Kelly'emu, dyrektorowi Bishop England High School; oraz - o Panie! - siostrze Rosaire, nauczycielce biologii. Wszyscy oni powtarzali mi, że niewyparzony język i brak osobistej dyscypliny doprowadzą mnie kiedyś do upadku. Gdyby nie wpoili mi poczucia winy, może mieliby słuszność. Ale to Stephen Spade, mój nauczyciel angielskiego w dziesiątej klasie, sprawił, że pokochałam kadencje słów. Niech ich Bóg błogosławi.

Robert i Susan Rosenowie zasługują na najwyższe uznanie z uwagi na wszystkie wskazówki prawnicze i historyczne. Robert jest po prostu najzabawniejszym historykiem na tej planecie i napisał sporo błyskotliwych książek o Charlestonie. Jestem także wdzięczna mojej e-mailowej kumpelce po piórze, Julie Dash. Julie, jak bardzo mi pomogłaś z historią gullah, że nawet sobie nie wyobrażasz. Jeśli spodoba wam się domieszka gullah w tej książce, a nie czytaliście „Daughters of the Dust”, pędźcie do księgarni! (No dobra, Julie i Robercie, teraz macie u mnie dług!). Chciałabym również podziękować autorce i historyczce Suzannah Smith Miles za pełne wdzięku

odpowiedzi na moje niezliczone pytania. I Morrisowi Deesowi z Southern Poverty Law Center - wielkie dzięki za pomoc.

Każdy powinien mieć takich przyjaciół jak Dan i Corky Gaby. Podjęłam tę próbę dzięki ich poparciu i wierze. Dziękuję Wam. Pragnę również przekazać ucałowania członkom mojej grupy książkowej, a zwłaszcza Adrianowi Shelby, Ruth Perretti, Cherry Provost i Jean Kidd, za to, że wczuli się w akcję i zachęcali mnie do pisania.

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się doktorowi Johnowi F. Noonanowi, a także poecie Paulowi Genedze z Bloomfield College, który rzucił na mnie oficjalną pisarską klątwę i zepsuł mi partię tenisa.

Bardzo dziękuję Johnowi McDermottowi z Mount Pleasant Knights of Columbus i Billy'emu z Billy's Back Home Restaurant. Oraz bliskiemu przyjacielowi, doktorowi George'owi Durstowi, którego wspomnienia za-inspirowały scenę w forcie.

Jestem szczerze wdzięczna za poparcie Glorii Steinem, Leanowi Byrne'owi, Francescowi Scavullo, Ericowi Dominguezowi, Jimowi Vayiasowi, Pamelii Wallace, Lynn O'Hare, Meredith Metz, Beth Grossbard, Clive'owi i Ann Cummisom oraz moim guru z L. A., Marvinowi Meyerowi i Joelowi Gottlerowi. A Alex Sanders jest najuprzejmiejszym dżentelmenem na całym Południu.

Niniejsza książka byłaby guzik warta bez regularnych ciągów, przewodnictwa i wiary najwspanialszej redaktorki na świecie, Gail Fortune, która pomogła mi ożywić tę opowieść i stworzyła nadzwyczajną możliwość jej opublikowania. Składam także wdzięczny ukłon Leslie Gelbmanowi i Liz Perl. Praca posuwała się naprzód dzięki mej mentorce i bliskiej przyjaciółce - Mary Kuczkir dla mnie, Fern Michaels dla reszty świata. Bardzo dziękuję Pam Strickler i Russelowi Galenowi. I nie zapominajmy o moim niedawno poznanym przyjacielu, bajecznym Matthew Richu, który pomógł mi wziąć się w garść. Mojej przyjaciółce Lindzie Lauren, która zawsze powtarzała, że było mi to pisane - dzięki, laleczko, za nieustanne poparcie. I mojej wspa- niałej, wszystko wybaczącej siostrze, Lynn Bagnal. Przysięgam ci, Lynn, to tylko fikcja literacka. Przepraszam moich braci, ich urocze małżonki oraz wszystkich krewnych i znajomych za wszelkie kłopoty, związane z tą po- wieścią.

Na koniec dziękuję mojej rodzinie - pięknej córce Victorii i olśniewającemu synowi Williamowi - za zrozumienie, dlaczego wywróciłam dom do góry nogami. Wasza mama po prostu usiłowała wcielić w życie swoje marzenie. I mojemu cudownemu mężowi Peterowi, który właściwie czyni cuda i który przez dwa lata brał obiady na wynos, zachęcając mnie do pracy. Chciałabym, żeby cały świat się dowiedział, jak bardzo cenię waszą wiarę we mnie. Kocham każdy pieg na waszych twarzach.

Prolog

Wyczekiwałam snu, zwinięta w kłębek pod kołdrą, którą po moich rodzinach uszyła dla mnie własnoręcznie babka ze strony ojca. Kobiety z Południa zawsze szczyliły się swoją biegłością w robótkach. Kołdra wystrzępiła się z biegiem lat, lecz jej brzegi starannie obrębiono, a przetarte miejsca zacerowano. Niepowtarzalny wzór wymyśliła moja babka: piękny, pastelowy ogród, przez który płynął jedwabny, szaroniebieski strumień. W dzieciństwie ta sceneria wydawała mi się tak prawdziwa, że widziałam siebie wspinającą się na kamienny mur, opleciony bladozielonym bluszczem, a potem brodzącą w wodzie.

Wierzch kołdry zszyty był z drobnych łątek, tworzących kwiaty, ptaki, drzewa i krzewy. Babka gromadziła zapewne te łątki przez całe lata. Spód podszyty był teraz kremowym jedwabiem, pokrywającym pierwotną podszewkę z bawełny. Setki maleńkich supełków zagęszczały i pogrubiały tkaninę. Była bardzo delikatna; aby ją ochronić, należałoby powiesić ją na ścianie jak gobelin. Jedno, co charlestończycy naprawdę potrafili, to przechowywać różne rzeczy. Ale ja nie mogłam traktować tej kołdry jak dzieła sztuki. Wołałam owijać się jej chłodnymi fałdami i zastanawiać się, czy babka - której prawie nie znałam - chciała mi coś przez to powiedzieć.

Przewróciłam się na naszym wiekowym, skrzypiącym łożu - łożu rodziców - mahoniowym, z czterema czerwonymi kolumnkami, na których wyrzeźbiono źdźbła ryżu, symbol dawno minionych zbiorów z plantacji. Uprawialiśmy niegdyś na polach wokół Charlestonu najbardziej poszukiwany gatunek ryżu - Carolina Gold. Łoże było pamiątką z przeszłości.

Przypomniałam sobie dzień, w którym razem z Tomem wnieśliśmy je w kawałkach po stromych schodach, które prowadziły z frontowego hallu do sypialni, a potem wspólnie złożyliśmy mebel, dopasowując kołki opatrzone schludnymi nalepkami. Nie było tam ani jednego gwoździa, tylko ręcznie ciosane kołki. Kiedy kupiliśmy dom - w wiktoriańskim stylu, położony w historycznym centrum miasta - moja siostra nalegała, abyśmy przyjęły to łóżko w prezencie.

Moje myśli biegły naprzód. Usiłowałam przekonać samą siebie, że łagodne, rytmiczne pochrapywanie mojego męża jest tak naprawdę szumem fal u brzegu Wyspy Sullivana. Odgłosy wyspy zawsze pomagały mi zapaść w głęboki sen. Ale tamtej nocy ani fantazje, ani wspomnienia nie przynosiły odpoczynku, którego tak rozpaczliwie pragnęłam.

Kiedy w końcu położyłam się do łóżka, było już po pierwszej; a potem wierciłam się i przewracałam do drugiej albo nawet dłużej. W pewnej chwili zrzuciłam przykrycie i otworzyłam okno. O tej porze miejskie odgłosy Charlestonu cichły nareszcie, jeśli nie liczyć portowej syreny oraz pojedynczych aut, śmigających z rykiem silnika na czerwonym świetle. Kierowca - prawdopodobnie jakiś student - wiedział, że o tej godzinie nikt go nie zatrzyma.

Gdy uniosłam skrzydło okna, nocne powietrze wtargnęło do pokoju, wydymając firanki i zionąc wilgocią. Wilgocią i chłodem. Powinam była wyczuć nadciągającą katastrofę, lecz nie wyczułam jej. Wróciłam szybko do łóżka i nie usłyszałam budzika nastawionego na szóstą trzydzieści. Zerwałam się z przerażeniem o siódmej.

Dzień zaczął się od drobnych niesnasek. Beth nie smakowały płatki śniadaniowe, które przed nią postawiłam, i jęczała nad nimi, zupełnie jakbym usiłowała podać jej truciznę, a nie zdrowy błonnik. Tom nie mógł znaleźć swoich ulubionych spinek do mankietów i zarzucił mi, że jestem wścibska i niepotrzebnie porządkuję mu biżuterię na tacce. Nic takiego nie zrobiłam. Kto miałby czas na takie zajęcia domowe? Porządkowanie biżuterii na tacce? Co za pomysł. Ostatnio byłam tak zajęta, że chwilami zapominałam, jak się nazywam. Powiedziałam mu, że prawdopodobnie zostawił je w siłowni.

Czuając lekkie wyrzuty sumienia z powodu swego paskudnego humoru, Tom odwiózł naszą córkę do szkoły, żeby mogła dotrzeć na czas do biura w bibliotece okręgowej w Charlestonie. Nawet on rozumiał, że czeka mnie po południu ważne wystąpienie. „Powodzenia!” - zawołał, opuszczając dom tylnym wyjściem.

Pracowałam do późna w noc nad ofertą dla Kompanii Elektryczno-Gazowej Karoliny Południowej. Sprawa była już właściwie załatwiona, ale mimo to odczuwałam niepokój. Za to mi płacono. Gnałam do pracy jak wariatka. Nie mogłam się spóźnić. Przykrą stroną zatrudnienia w instytucji rządowej było obsesyjne odbijanie karty i zaliczanie godzin pracy. Jeśli spóźniłaś się o kwadrans, obcinali ci pensję. Absurd. Miałam dwa magisteria, lecz gdy spóźniłam się do pracy o piętnaście minut, przewracano oczyma i unoszono brwi, a księgową przeżywała chwilę satysfakcji. Gdzie oni wszyscy byli o pierwszej nad ranem? Nieważne. Nie warto w ten sposób zarabiać na skoki ciśnienia. Tyle już wiedziałam. Uważaj, z kim zadzierasza.

Mimo to czułam się tak, jak ten facet od wirujących kółek, który wystąpił w telewizji, chyba w „The Ed Sullivan Show”. Jakiś Rosjanin, który pokazywał pręty z dwudziestoma kółkami kręcącymi się nad jego głową. Tak wyglądało moje życie. Jednym kółkiem była moja córka Beth - jej przyszłe studia, życie towarzyskie, jej wygląd i przymus wydawania pieniędzy. O, to kółko kręciło się, ile wlezie. Następnym był mój mąż Tom - kręcił się gdzieś poza bezpośrednim zasięgiem mojego wzroku. Następne kółko - dom - groziło natychmiastowym upadkiem. Bez przerwy coś się działo - pękała rura, przeciekała rynna - i nikt inny, tylko ja musiałam się tym zajmować. Tom był zbyt zapracowany. Albo coś tam. Następne kółko wyobrażało moje życie seksualne. Kręciło się w tył, razem z moim portfelem - lekko pęknięte. Nie pytajcie. Myślałam tylko, że wkrótce będzie lepiej - gdy tylko przekopię się przez wszystkie papiery na biurku, wypełnię wszystkie formularze ubezpieczenia zdrowotnego, zrobię to czy tamto.

Nie powinnam była zatem poczuć najlżejszego zdziwienia, gdy w bibliotece okazało się, że zostawiłam w domu materiały uzupełniające do wykresów. No cóż, pomyślałam, to też mogę zakleić przylepcem. Zamiast zjeść lunch, po prostu jak najszybciej wrócę do domu, zgramę papiery i zjawię się na spotkaniu o drugiej. To nic wielkiego - coś jak uządlenie komara.

Oddałam dyskietki sekretarce, która przyrzekła, że bez problemu wydrukuje wykresy na papierze formatu szesnaście na dwadzieścia cali. Posłałam jej całusa i wyruszyłam do domu około jedenastej. Gdyby udało mi się wrócić przed dwunastą, miałabym pełne dwie godziny na uporządkowanie i ponowne przejrzanie wszystkich materiałów.

Było cudowne przedpołudnie, jak to w Karolinie Południowej. Nie wiadomo, dlaczego uderzyła mnie czystość nieba - cały ten błękit. Coś pięknego. Pomknęłam Meeting Street, mijając turystów na ulicach i myśląc sobie, jak to miło mieszkać w miejscu, które każdy chce zobaczyć. A Charleston to nie żaden zdeptany kurort. Jest szlachetnym, imponującym miastem. Ludzie przyjeżdżają tu, żeby się czegoś dowiedzieć, wzbogacić duchowo. Oczywiście mój entuzjazm ograniczała naturalna powściągliwość, z którą charlestończycy mają szczęście przychodzić na świat. Nie, nie. Podczas festiwalu Spoletto nie jeździmy po Murray Boulevard, naciskając klaksony i żłopiać piwo, jak w niektórych miastach po meczu futbolowym. Broń Boże. Otwieramy bramy ogrodów i częstujemy zupełnie obcych ludzi mrożoną herbatą z łyżkami mięty, odnosząc się do każdego jak do ukochanego przyjaciela.

Rozmyślałam o tej uprzejmości i gościnności i podśpiewywałam wraz z radiem „Sixty-Minute Man”, skracając w wąski podjazd przed moim domem przy Queen Street. Nie zatrzasnęłam nawet drzwiczek samochodu, ponieważ zamierzałam tylko wejść i zabrać to, co było mi potrzebne. Wbiegając po schodach prowadzących do pokoju Beth (jakimś sposobem zawędrował tam rodzinny edytor tekstów), usłyszałam czyjeś głosy. Stałam jak wryta. Ktoś był w moim domu. Ktoś był w mojej sypialni! „O Boże! - dobiegł mnie wyraźnie żeński głos. - O mój Boże!”. Czy to krzyczała Beth? Czy ktoś robił krzywdę mojej Beth? Brzmiało to tak, jakby w pokoju odbywano stosunek płciowy! Słyszac donośne uderzenia własnego serca, zesłam na dół najciszej i najszybciej jak mogłam, i chwyciłam pogrzebacz sprzed kominka. Cała się trzęsłam. Nie wiedziałam, czy najpierw dzwonić na policję, czy samej stanąć do walki. Zatrzymałam się przed drzwiami sypialni i nasłuchiwałam przez chwilę. Sprężyny mojego łóżka skrzypiały i jęczały.

- Weź mnie! Tak! Mój tygrysie!

I wtedy odezwał się głos znany mi aż nazbyt dobrze:

- Dam ci to, czego pragniesz! Powiedz, że tego pragniesz!

- O, tak! Proszę!

W ułamku sekundy zrozumiałam, że zaraz zobaczę coś ohydneho. Serce we mnie zamarło. Mogłam stamtąd odejść i zachować godność - ale nie. Nie ja. Coś kazało mi otworzyć drzwi. Tygrysem, którego nagie plecy ujrzałam przed sobą, był nie kto inny tylko Tom, mój mąż. Panienką, którą posuwał i którą trzymał za kostki wysoko uniesionych nóg, podczas gdy ona czepiała się mojego zagłówek, okazała się chemicznie upiększona i poprawiona za pomocą zabiegów chirurgicznych młoda kobieta, właścicielka księgarni New Age przy St. Phillip's Street. Stałam w progu, ściskając pogrzebacz, a gniew wzbierał we mnie jak gejzer. Czekałam, aż zorientują się, że ktoś przyszedł, a przez głowę przemknęła mi myśl, że pogrzebacz jest w tym momencie bronią o freudowskiej wymowie i dość zabawnej nazwie. Kiedy stało się oczywiste, że ani mój mąż, ani jego lalunia niczego nie zauważyli, odchrząknęłam głośno. Dziewczyna zareagowała pierwsza.

- Tom! - krzyknęła. - Przestań! O Boże! - i naciągnęła na siebie moją pościel.

Odwrócił się i na mój widok wrzasnął:

- Co ty tu robisz?

- Mieszkam tutaj - odparłam słabym głosem. - Zapomniałam zabrać materiały. - Nie mogłam się poruszyć.

- No to idź po nie - rzucił - i zamknij drzwi! - Jego głos brzmiał zimno i obco. Zupełnie inaczej niż głos człowieka, z którym przeżyłam szesnaście lat.

Ta odprawa rozwścieczyła mnie w najwyższym stopniu.

- Wynocha z mojego domu - oświadczyłam. - Obydwoje.

Przemierzyłam sypialnię i uniosłam pogrzebacz nad głowę

Toma. Oboje natychmiast się przerazili i zaczęli prosić, żebym odłożyła mordercze narzędzie. Odpelzli na drugą stronę łóżka, zaplątali się w prześcieradła i zrzucili nocną lampkę z szafki na podłogę.

- Proszę, Susan! Mogę wszystko wyjaśnić! Nie rób tego! - błagał Tom.

Usłyszałam go, dzięki Bogu. Byłam gotowa ich grzmotnąć, zmiażdżyć

im czaszki. Upuściłam żelazny pręt na podłogę i zaczęłam dygotać. Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam, a teraz obudziła się we mnie rozjuszona morderczyni.

- Wynocha - rzuciłam półgłosem w stronę dziewczyny. Serce tłukło mi się tak mocno, że zaczęłam się obawiać zawału. Wyśliznęła się z łóżka, naga i mokra od potu, z jasną czupryną zlepioną od tygrysyj jazdy. Ciemne włosy łonowe miała wygolone w kształt serca. - Co ty sobie wyobrażasz? - syknęłam. - Nawet nie jesteś naturalną blondynką!

- Idź na dół, Susan - powiedział Tom - i spróbuj wziąć się w garść.

- Doprawdy? - spytałam. - Wziąć się w garść? Zastaję cię z tą dziwką w moim własnym łóżku i jeszcze mam się przejmować swoim zachowaniem? Ta suka wykrzykuje: „Weź mnie, tygrysie!”, i to ja powinnam się opanować? Coś ci powiem, Tomie Hayes. Niech ten tani kurwizson wyniesie się z mojego domu, a ty wciągaj portki i za pięć minut bądź na dole. Jeżeli mi nie przedstawiś mocnych argumentów na swoją korzyść, masz opuścić ten dom jeszcze dzisiaj. Czy to jasne?

Nie słyszałam nawet, czy mi odpowiedział. Zatrzasnęłam za sobą drzwi tak mocno, że cały dom zadrżał w posadach. Nie pamiętam, jak zeszałam do kuchni i zapaliłam papierosa, z czego zdałam sobie sprawę kilka minut później. Usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi. Zapadła cisza. Czekałam na Toma. Cisza trwała nadal. Podeszłam do schodów.

- Tom?

Nie było go w domu.

Zadzwoiłam do biura z przeprosinami, wyjaśniłam, że źle się czuję i poprosiłam szefa o zastępstwo podczas prezentacji. Nie kłamałam w kwestii mego samopoczucia. Kręciło mi się w głowie, gdy przesyłałam materiały pomocnicze faksem z pokoju Toma. Ściągnęłam poszwy i prześcieradło z naszego łóżka i wytrzepałam materac. Przetarłam gąbką każdy cal kwadratowy łazienki i odkurzyłam swój pokój. Dopiero gdy zapakowałam pościel do pralki, zaczęłam płakać. Zegar kuchenny wskazywał drugą trzydzieści - a zatem było już po południu. Beth miała ćwiczenia cheerleaderek i mogłam się spodziewać jej powrotu dopiero o piątej. Co jej powiem?

Zacęłam rozważać, czy nie zadzwonić do Toma do biura, ale zanim zdołałam wymyślić, co mam powiedzieć, usłyszałam, że ktoś otwiera frontowe drzwi. Odwróciłam się i ujrzałam Toma. Wpatrywał się we mnie. Wiedziałam, że wyglądam okropnie. Oczy miałam czerwone i zapuchnięte. Ulubiona sukienka, w której zamierzałam pójść do pracy, wydawała się teraz jakaś wypłowiała i niechlujna. Stałam przed nim boso, w samych pończochach. Od lewej stopy poleciało mi oczko - na samym przodzie. Czy naprawdę musiałam włożyć czarne pończochy? Uświadomiłam sobie w jednej chwili, że mam obgryzione paznokcie i że od pół roku nie byłam u fryzjera. A ponadto miałam dziesięć kilo nadwagi.

Obrzuciłam Toma uważnym spojrzeniem. Był opalony i w znakomitej formie. Stał milcząc w progu kuchni. Miał idealne zęby, płaski i twardy brzuch, a jego półbuty lśniły od pracowitego pastowania. Ściągnął krawat i owinął go wokół nadgarstka.

- Musimy porozmawiać - powiedział.
- Chyba tak.
- Przykro mi, Susan, że nas przyłapałaś - dodał.
- Chwileczkę. Przykro ci, że was przyłapałam? A czy nie powinieneś najpierw przeprosić mnie za zdradę? - Znowu poczułam narastającą panikę.
- Oczywiście, przepraszam, że cię zdradziłem - rzekł cicho, patrząc w podłogę. - Przez długi czas dobrze nam się układało.
- Co chcesz przez to powiedzieć, Tom? - Oddychałam nierówno.
- Wydaje mi się, że powinniśmy zamieszkać osobno - odparł.

A więc stało się. Ohydna prawda wyglądała tak, że chciał się wyprowadzić.

- Dlaczego, Tom? Dlaczego? Wiem, że ostatnio nie szło nam najlepiej. To znaczy, nie byliśmy sobie tak bliscy jak kiedyś, ale mogę się zmienić. Będę się bardziej starała. - W moim głosie zabrzmiała błagalna nuta, a na twarzy Toma pojawił się wyraz zakłopotania.

- Proszę cię, Susan, nie utrudniaj sytuacji. I tak jest mi ciężko - powiedział.
- Jak to: „nie utrudniaj”? O co ci chodzi?
- Potrzebuję przestrzeni, czasu do namysłu - odparł. - To konieczne.

- Dlaczego? - Zaczęłam płakać. - A Beth? A nasza rodzina? A ja?
- Posłuchaj, wróciłem tylko po parę drobiazgów. Przecież wiesz, że zaopiekuję się tobą i Beth. Porozmawiam z nią. Musisz tylko dać mi trochę czasu, Susan.

- Popatrz na mnie, Tom. Spójrz mi w oczy i powiedz, dlaczego to robisz, bo ja nic nie rozumiem.

Kiedy na mnie spojrział, natychmiast zrozumiałam. Już mnie nie kochał. Nie czuł się nawet winny. Czuł ulgę. Chrząknął.

- Gdzie jest mój czarny pokrowiec na ubrania? - spytał.

- Sam go sobie poszukaj - odparłam. Zaczęło do mnie docierać, że on naprawdę odchodzi. Żadne moje słowa czy uczynki nie mogły tego zmienić.
- A jak już będziesz szukał swojego czarnego pokrowca, który ci kupiłam w zeszłym roku na Dzień Ojca dzięki godzinom nadliczbowym... o Boże. Jest na trzeciej półce w szafie na górze.

Zamierzałam mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale te słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Zresztą, jakie to miało znaczenie? Dzień Ojca. Odprowadziłam go spojrzeniem do drzwi, a potem usłyszałam jego ciche kroki na schodach. Wszedł na drugie piętro. Nie byłam w stanie się poruszyć. Czułam się tak, jakby ktoś umarł i jakbym nie mogła się oswoić z tym wstrząsem. Nieoczekiwanie przypomniałam sobie Toma w łóżku z tą kobietą i ponownie ogarnął mnie gniew.

Weszłam na górę i zastałam go przy wyjmowaniu z szuflady koszul, które układał na łóżku. W otwartym pokrowcu spoczywało kilka garniturów. Usiadłam na drugim końcu łóżka i podwinęłam nogi.

- Jak jej na imię? - Milczenie. - No, Tom, daj spokój. Przecież musi mieć jakieś imię.

Otworzył szufladę ze skarpetkami i opuścił ręce.

- Karen - odparł.

- Ile ma lat? Bo nie da się ukryć, że jest młodsza ode mnie. Pytam z czystej ciekawości...

- Nie wiem - powiedział.

- Dziewiętnaście? Dwadzieścia? - Zachowywałam się jak jędra, ale pomyślałam sobie: czemu nie? - I uważasz, że kocha cię bezinteresownie?

- Susan, ona ma dwadzieścia trzy lata. I owszem, kocha mnie bezinteresownie.

- Ty też ją kochasz. Mam rację?

- Chyba tak - szepnął.

- Co mówiłeś? Nie dosłyszałam cię. Czyżbyś powiedział, że ta dziewczyna jest wiekowo bliższa Beth niż tobie i że ją kochasz?

- Tak - odrzekł.

- Rozumiem. No cóż, zachowajmy się jak ludzie cywilizowani, przynajmniej o tyle, o ile to dla mnie możliwe. - Wstałam i ruszyłam w stronę łazienki. Tom zamknął szufladę, żebym mogła przejść obok, nie dotykając go. Ten unik jeszcze bardziej mnie rozwścieczył. - Nie ma sensu przedłużać tej udreki. Zapakuję twoje przybory do golenia.

- Dzięki - rzucił.

Zamknęłam drzwi łazienki na klucz i spojrzałam w lustro. Nigdy w życiu nie byłam tak wściekła. Odkręciłam zimną wodę, zdjęłam okulary i obmyłam twarz. Kiedy przestałam używać szkieł kontaktowych? Dziesięć lat temu? A kiedy moje zęby zaczęły żółknąć? Pięć lat temu? Z szafki pod umywalką wyciągnęłam jego skórzaną torbę i otworzyłam ją. Prezerwatowy? Od kiedy tam leżały? Wyjęłam z apteczki maszynkę do golenia i wrzuciłam do torby, razem z tubką kremu i pastą Colgate. Sięgając po szczoteczkę do zębów, popatrzyłam na nią i uświadomiłam sobie, że już od dawna myślę zęby dla innej kobiety. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale zanurzyłam szczoteczkę w muszli klozetowej. Tak mi się to spodobało, że przeciągnęłam ją po wewnętrznej stronie muszli. To sprawiło mi jeszcze większą przyjemność, więc wyszorowałam porządnie całą krawędź, pod którą nie można było sięgnąć żadną szczotką klozetową.

- Tom, czy chcesz zabrać suszarkę do włosów? - Serce waliło mi mocno, gdy wkładałam szczoteczkę do pojemnika i wrzucałam do torby.

- Nie, dziękuję - odpowiedział.

- Zaraz wychodzę! - zawołałam.

Zsunęłam rajstopy i cisnęłam je do kosza. Wyjęłam z szafki płyn po goleniu i wodę kolońską Aramis. Przyszło mi do głowy, że używał ich dla Karen. Nasikałam do szklanki, opróżniłam obie buteleczki i napełniłam je moczem.

- Pieprz się - rzuciłam cicho.

Włożyłam buteleczki do torby i zaciągnęłam zamek. Ponownie spojrzałam w lustro. Zastanawiałam się, co się stało z tą miłą dziewczyną, którą niegdyś byłam.

Kiedy wróciłam do sypialni, walizka zniknęła. Zniosłam przybory do golenia na dół i spotkałam Toma przy drzwiach.

- Gdzie mogę cię znaleźć? - spytałam, wręczając mu torbę.
- Zadzwońię do ciebie - powiedział. Staliśmy przez chwilę, patrząc na siebie.
- Przykro mi, Susan. To nie twoja wina, tylko moja. - Odwrócił się i odszedł.
- Pewnie - rzuciłam. Wsiadł do samochodu, a ja patrzyłam za nim, tak jak to robiłam przedtem milion razy.

1.

Ganek

1999

Zaczęłam budować życie od nowa na łonie mojej starszej siostry i jej rodziny. Mieszkała w domu mamy - rodzinnym sanktuarium - na wybrzeżu Wyspy Sullivana. Ilekroć jechałam na wyspę - co robiłam dość często w pierwszych miesiącach po odejściu Toma - usiłowałam się, oderwać od twardej rzeczywistości nowego życia.

Stary kombi toczył się powoli wzdłuż nabrzeża, przenosząc mnie i moją córkę z konserwatywnego półwyspu do małego królestwa marzeń na Wyspie Sullivana. Czarna magia i proszek cunja unosiły się niewidzialne w powietrzu. Delikatna mgielka stawała się mleczną mgłą, kryjącą moją przeszłość.

Spomiędzy biało-różowych gałęzi przerośniętych oleandrów, ciągnących się po obu stronach drogi, wlatywały duchy minionych dziesięcioleci. „Upiry” nadal czyhały wśród wysokich traw i krzewów. Krótko mówiąc, wszystko na Południu tętniło życiem, i to niekoniecznie doczesnym.

Duchy nakłoniły mnie, żebym otworzyła okna i wdychała piżmową woń znad moczarów. Zapach ornej ziemi i gnijących mokradeł działał na moje zmysły jak wyrafinowane perfumy. Wtem zawyły syreny i podniesiono most, by przepuścić żaglówkę o wysokich masztach. Oznaczało to piętnastominutowe oczekiwanie. Wsiadłam i odetchnęłam wonnym powietrzem. Beth została w samochodzie, słuchając radia.

Podeszłam do skraju rozlewiska. Gwałtowna fala słonego powietrza obmyła moją twarz i w jednej chwili stałam się znowu młodą dziewczyną.

Biegłam do domu, do mamy i Livvie, sercem będąc już z nimi. Z tylnego ganku przyzywała mnie wonna smuga parującej zupy z okry, przyrządzanej

przez Livvie. W myślach słyszałam głosy braci i siostry przy stole nakrytym do kolacji, sprzeczkających się o największą kromkę kukurydzianego chleba. Livvie zainterweniowała, uciszając nas i ostrzegając, że nadchodzi tata.

To dziwne, w jaki sposób zapamiętałam okres dorastania. Moje pierwsze skojarzenia wiązały się z zapachami mokradeł i woniami kuchennymi. Może powinnam była zająć się kompozycjami zapachowymi zamiast opracowywać programy oświatowe dla okręgowej biblioteki, zawsze jednak bardziej mnie pociągało zbawianie świata. W każdym razie poszukiwałam pracy, która umożliwiłaby mi wypowiedanie własnych opinii, ponieważ - zdaniem wszystkich moich znajomych - w tej dziedzinie byłam niedościgniona.

Livvie. Boże, nie było dnia, żebym jej nie wspominała. Wychowała mnie - a właściwie nas wszystkich. Ta stara ciemnoskóra kobieta przepchnęła pięcioro swoich dzieci przez college, pracując jako gosposia. A kiedy powinna była pomyśleć o emeryturze, zajęła się słynną rodziną Hamiltonów, bandą upartych nieuków. Sterowała naszym losem, zmieniając kurs, ilekroć było to potrzebne. Każde pstryknięcie jej palców otwierało nam oczy na życiowe prawdy i własne możliwości. To dzięki niej wszyscy uwielbialiśmy czytać. Kręciła głową i prawiała nam kazania. „Niech wasze wygłodniałe mózgi pożywią się dobrą książką - mówiła. - Przestańcie marnować czas! Życie jest krótkie. Ha!”. Rzeczywiście, ha. Kogo chciałam nabrać? To dzięki niej nie wylądowaliśmy w jakimś specjalnym ośrodku. Nauczyła nas myśleć - nie byle jaki wyczyn.

Miałaby zapewne dużo do powiedzenia, gdyby zobaczyła teraz Beth i mnie, jak się bawimy zamiast pracować. Zawiadomiłam szefa, że mam wizytę u lekarza. Drobnie kłamstewko. Tego popołudnia znalazłam jednak doskonale usprawiedliwienie dla moich wagarów: upał. Od ubiegłego tygodnia codziennie było powyżej trzydziestu siedmiu stopni. Nadeszła fala upałów, jak to na Południowym Wybrzeżu. Zupełnie jakby staroświeckie kucharki smażyły nas we wrzącym oleju niczym panierowane filety z kurczaka. Jeden ruch nadgarstka - i cały Charleston wraz z pobliskimi wysepkami skwierczał na żeliwnej patelni. Gorąc nie na żarty, koleś. Uwierz na słowo dziewczynie z Południa, prawdziwej Geechee.

Geechee? To ktoś urodzony na Południowym Wybrzeżu, na obszarze rozciągającym się od rzeki Ogeechee w Georgii aż po Georgetown w Karolinie Południowej. Wychowałam się na miękkim łonie kultury gullah, która stanowiła całkowite przeciwieństwo obowiązujących w Charlestonie reguł Kościoła episkopalnego. Duża różnica. Kultura gullah? A, gullah. Magia Południowego Wybrzeża. I tyle.

Przyjeżdżając na wyspę, stałam się młodsza, nieco bardziej lekkomyślna i gdy w końcu wróciłam do samochodu i zatrzasnęłam drzwiczki - przyciszywszy najpierw rozsadzający bębenki łoskot z radia - uświadomiłam sobie, że robi mi się lżej na sercu. Świadomie wracałam do nałogu. Już na wyspie pokazałam Beth, mojemu czternastoletniemu czynnemu wulkanowi, oznaki wczesnego nadejścia lata.

- O nieba, popatrz! To pani Schroeder! - zawołałam. - Aż trudno uwierzyć, że ona jeszcze żyje. - Staruszka rozsiadła się w podomce na podwieszanej ławce na werandzie.

- Kto? No i co z tego, mamó? To stary babus!

- Cóż, kochanie, kiedy sama będziesz starym babusem, może to zrozumiesz. Spójrz na nią, biedactwo chłodzi sobie kark wilgotną ścierką. Boże, co za życie.

- Fiu! Pies ma lepiej, jakby mnie kto pytał!

Uśmiechnęłam się do niej. Beth radziła sobie z gullah raczej średnio, ale pracowałyśmy nad tym.

- Ten nasz żywot nakreśliła Boża ręka, dziecinko - powiedziałam.

Było drobnym, lecz istotnym błogosławieństwem, że dialekt gullah z czasów mojej młodości stworzył nić porozumienia między mną a córką. Dojrzewająca nastolatka to ciężki dopust dla samotnej matki, zwłaszcza gdy w grę wchodzi zagadkowe możliwości naszej rodzinnej puli genetycznej. Ale gullah szybko stał się pomostem do jej duszy.

Był to kreolski dialekt, który powstał w środowisku zachodnich Afrykanów, przywiezionych na Południe w charakterze niewolników, Wykorzystywał przeważnie angielskie słowa, lecz odznaczał się niepowtarzalną składnią i intonacją, a także wieloma niezapomnianymi wyrażeniami idiomatycznymi.

Nauczyliśmy się tej mowy od Livvie, a następnie przekazaliśmy tradycję naszym dzieciom. Dialekt ów służył nam do wymiany pieśczętliwych

zwrotów, ucinania drobnych sprzeczek i snucia wspomnień o latach dzieciństwa spędzonych z Livvie. Gdy byłam w wieku Beth, każdy dzieciak na wyspie używał gullah w mniejszym lub większym stopniu - przynajmniej ci szczęściarze, którzy mieli kogoś w rodzaju Livvie.

Zatrzymałam się za rogiem, żeby zatankować samochód na stacji Buddy'ego, które to przedsiębiorstwo słynęło na wyspie z zawyżania cen na wszystko, od benzyny po papierosy. Wsiadłyśmy z auta - ja przystąpiłam do wykwinnego zajęcia, jakim było pompowanie paliwa, a Beth poszła kupić sobie zimną colę. Kilku starych wilków morskich łypało lubieżnie w stronę termometru przed sklepem Buddy'ego. Jeden zawołał:

- Jezu! Skoro w czerwcu jest tak gorąco, to co będzie w sierpniu?
- Wyprzedam cały zapas lodu! - odkrzyknął Buddy.
- Będzie żar lepszy niż w przedsionku piekła, ot co! - podsumował stary. - Ha!

Uśmiechnęłam się, słuchając tej wymiany zdań. Brzmiała tak, jak zwykła brzmieć od pokoleń: ten sam akcent, ten sam wyspiarski zaśpiew. Wyrażenia zaczerpnięte z gullah. Była to muzyka dla moich uszu.

Postanowiłam ruszyć dalej Atlantic Avenue, aby przyjrzeć się linii horyzontu oraz łodziom do połowu krewetek i kontenerowcom. Niespieszna przejażdżka nie rozczarowała nas. Statki były wszędzie. Pokazywałam je Beth. To był cały świat, te kontenerowce wchodzące do naszego ruchliwego portu i wychodzące w morze, jak to czyniły od wieków. Kiwała głową, zgadzając się ze mną. Po pierwsze, że to piękny widok; po drugie, że mamy szczęście, mogąc się tu znaleźć.

Jadąc wzdłuż wybrzeża, minęłyśmy chyba z dziesięć młodych matek, które wracały z rozprażonych plaż, popychając wózki ze swym potomstwem i przebierając bosymi stopami na rozpalonym asfalcie.

- Czy to nie głupota? - odezwała się Beth.
- Co?
- O rany, mamó, nawet ja nie poszłabym na plażę bez kłapek albo sandałów! Boże, one się usmażą!
- Proszę, nie wzywaj imienia Bożego, chyba że w modlitwie. Grozi za to sto lat czyścica.
- Ty wzywasz.

- Ja jestem dorosła i sama ponoszę odpowiedzialność za swoją nieśmiertelną duszę.

- Wszystko jedno. - Wydała odgłos obrzydzenia, przywodzący na myśl atak niestrawności i stosowany w ramach obrony przed rodzicielską dominacją.

Beth. To dziecko zebrało samą śmietankę z naszego genetycznego przekładańca. Odziedziczyła niebieskie oczy Asalitów, kasztanowate włosy o czerwiejszym odcieniu i mocniej falujące niż moje, mój rozum i melony (czyli biust), wąską talię Maggie; a gdy wreszcie przestanie rosnąć, osiągnie prawdopodobnie metr siedemdziesiąt siedem. Przypominała długonogiego żrebaka o lśniącej sierści, szukającego łąki, na której mógłby brykać. Naprawdę miło było na nią popatrzeć i wykorzystywała to, wodząc za nos biedną mamuszkę.

- Dwa wieki katolicyzmu krążące w twoich żyłach zrobią z ciebie damę, choćby nie wiem co - oznajmiłam.

- Przynajmniej mnie nie namawiasz, żebym została zakonnica - odparła z pewną ulgą.

- Kochanie, nie skierowałabym nawet najgorszego wroga do bram klasztoru.

- No, mamuska, dodaj gazu. Umrę, jeśli zaraz nie pójdę na plażę! Z tego upału chce mi się krzyżeć!

Jechałam powoli, rozkoszując się widokami i wypatrując w okolicy znajomych twarzy. Wyspa bardzo się zmieniła od czasów mojego dzieciństwa, ale na szczęście nie powiodły się próby przekształcenia jej w szablonowy kurort, jak Hilton Head czy Kiawah. Jakaś częśćka mnie liczyła na to. Dopóki wyspa była taka jak dawniej, wciąż należała do mnie, mimo iż to moja siostra Maggie zamieszkała w Island Gamble.

Maggie zgłosiła roszczenia do domu rodzinnego, kiedy nasza matka na zawsze zamknęła oczy. Mnie przypadło w udziale nawiedzone lustro i uznałam, że to uczciwy podział. Zawsze wiedzieliśmy, że Maggie tu zamieszka, gdy dorośnie. Wychowa swoje dzieci w tych ścianach. Tradycja była w niej zakorzeniona równie mocno jak w nas bunt.

Oderwanie się od wyspy stanowiło dla mnie podstawowy warunek zdrowia psychicznego. Chętnie obwiązałam dom wstążką i wręczyła Maggie, byleby w nim nie mieszkać. Zbyt wiele duchów czaiło się w

boazerii, zbyt wiele łez popłynęło rurami. A mnie zanadto rozpierała energia, by tam zostać, i wcale nie pragnęłam wracać do dawnego stanu rzeczy - Nie, nie zamierzałam się spierać o dom. Jeśli Maggie chciała go mieć - nie potrafiłam zrozumieć dlaczego, dopóki nie przekroczyłam trzydziestki - to świetnie. Uciekłam z domu do Charlestonu - całe siedem mil. Ale siedem mil od wyspy zaczynał się inny świat.

Wreszcie zatrzymałam samochód na podwórze, obok łódki Maggie i Granta, i zatrąbiłam, obwieszczając nasze przybycie. Tylne drzwi otworzyły się z rozmachem i Maggie zawołała do nas z ganku:

- Susan! Beth! Gdzieżeście się podziewały? - Pomachała nam z uśmiechem.

Wyglądała zupełnie jak unowocześniona wersja June Cleaver, mamy Beavera, tyle że o jasnych włosach. Ciężko mi to przyznać, ale zawsze była piękna. Miała błękitne oczy jak wszyscy Asalitowie. Naturalna blondynka, nosząca idealny rozmiar - szóstkę - i bezgranicznie zadowolona z życia. Zatonęła po uszy w świecie kwiecistych spódnic i ręcznie dzierganych sweterków. Była przewodniczącą Klubu Ogrodniczego i działała w Lidze Kobiet. Choć miałyśmy odmienne poglądy na wszystko, od polityki po zalety kolekcjonowania wabików na kaczki, spojrzenie jej niebieskich oczu mówiło mi, że jesteśmy rodziną.

- Tankowaaliśmy u Buddy'ego i wdychaliśmy zapach moczarów - odpowiedziałam, zgarniając ręczniki i torby. - I znowu czekałyśmy przy moście.

- Ten stary most jest okropny! Wchodźciez do domu. Beth, chłopcy czekają na ciebie. Chcesz iść na kraby? Fala w sam raz!

- Jacha! Wzięłam kostium kąpielowy - Beth złapała słomianą torbę plażową i popędziła do kuzynów.

- W języku dzisiejszej młodzieży oznacza to: „jasne” - powiedziałam. - Boże, ale upał! Dzięki, że zgodziłaś się na nasz przyjazd. Myślałam, że umrę w tym Charlestonie. W mieście jest tak gorąco, że nogi grzezną w asfalcie.

- Wprowadzacie się czy co? Daj, pomogę ci.

- Dzięki.

Weszłam za nią po stromych schodkach do kuchni; moje oczy usiłowały się oswoić z panującym w niej półmrokiem.

- Ja też nienawidzę upału. A chyba zanosi się na skwarne lato. Chcesz

coś zimnego do picia? - Maggie otworzyła lodówkę i wyjęła dzbanek mrożonej herbaty.

- Proszę. - Wzięłam z szafki dwie szklanki i podałam jej. - Nie masz dietetycznej pepsi?

- Aleś ty przebierna. Nie, muszę pojechać do sklepu.

- Herbata będzie doskonała. Wskoczę w jakieś szorty i zmykam na ganek.

- Okay. Masz ochotę popływać?

- Może później. Najpierw muszę się uspokoić i ochłonąć.

- Tom? - Maggie chrząknęła znacząco. Nie znosiłam tego jej cichego „ahem”.

- A któż by inny? - Oparłam się o blat, czując zażenowanie na myśl, że całe życie wymknęło mi się spod kontroli. Maggie nalala herbaty.

- Co się znowu stało?

- Maggie, powinnaś była zostać psychoterapeutką. Nie mogę bez przerwy cię tym zamęczać, bo zwariujesz. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że nadal jest sukinsynem. - Pociągnęłam solidny łyk herbaty. - Dzięki. Spotkamy się na ganku. Będiesz mogła usiąść na chwilę?

- Pewnie. Tylko włączę zmywarkę i namoczę steki. Grant dostał nowy grill na Dzień Ojca i chce go dzisiaj wypróbować.

- Szkoda, że nie może przypiec na ruszcie tyłka Toma Hayesa - mruknęłam, myśląc, że ostatnio bardzo często mamrocze pod nosem. - Do zobaczenia na ganku.

Wyciągnęłam się w jej hamaku, odpychając się piętą od poręczy. Hamak, dowód praktycznego zastosowania makramy, przypominał wszystkie te, które wisiały po zachodniej stronie ganku, od czasów mego dzieciństwa. Przeważnie nie doceniano hamaków, z wyjątkiem Południa i może dorzecza Amazonki. Nie ma to jak wpełznąć do hamaka, wyciągnąć się i kołysaniem odpędzić troski.

Zamknęłam oczy i pograżyłam się w rozmyślaniach o ganku. Gdyby doczepić go do mojego domu w mieście, nazywano by go werandą. Ale tutaj, na wyspie, był po prostu gankiem. Ta bezpretensjonalność również dodawała wyspie uroku.

Nawet na ślepo mogłabym tu wszystko znaleźć. Po zejściu z hamaka wystarczyłyby trzy kroki, by opaść na jeden z dwóch starych leżaków, ten,

który trochę podrzucał. Między leżakami a kanapką-huśtawką stał wiekowy stolik. Gdybym zechciała usadowić się na podwieszanej ławce z drugiego końca ganku albo w fotelu na biegunach, musiałabym tylko wyciągnąć prawą rękę i podążyć śladem paprotek, które Maggie zawiesiła w równych odstępach nad balustradą.

Dzisiejszy ganek różnił się od ganku sprzed lat czterdziestu jedynie tym, że w górze kręciły się wiatraczki, pozwalając znosić duszną spiekotę, oraz tym, że podłoga i meble były świeżo pomalowane. Za moich czasów nic tu nie błyszczało. Grant pomalował to, czego Maggie nie ozdobiła. Kiedyś ganek był cały osłonięty i miał drzwi prowadzące na zewnątrz, ale Grant i Maggie to zlikwidowali. Dom bez tego wyglądał wspaniale i nikomu nie przeszkadzało, jeśli od czasu do czasu zabłąkała się tam jakaś osa. Nawet najbardziej pedantyczni starzy wyspiarze przyznawali, że Maggie i Grant zrobili znakomitą robotę. Należy zaznaczyć, że staruszkowie odnosili się do wszelkich zmian z dużą podejrzliwością. Byli wścibscy. Bądź co bądź, Grant pochodził z Columbii i cóż on mógł wiedzieć o historycznych domach wybrzeża? Zagląдали pojedynczo, przynosząc w prezencie ciasto albo świeżą rybę, żeby sprawdzić, co Maggie i Grant szykują. W końcu orzekli, że wszystko jest w porządku.

Jak wiele starszych domów na wyspie, nasz także miał swoją nazwę: Island Gamble. Zbudowany nad samym Oceanem Atlantyckim, przeżywał przyływy i odpływy własnych fal, które pieniły się, tworzyły wiry i od czasu do czasu szalały. I wewnątrz, i na zewnątrz wszystko przesiąknięte było zapachem słonej wody i morskich stworzeń. Zdawało się, że Island Gamble żyje i oddycha.

Rodzice naszej matki, Sophie i Tipa Asalitowie, byli jego drugimi właścicielami. Pierwszą właścicielką była pewna dama o niejasnej przeszłości. Według legendy przyjmowała tu przez dłuższy czas przystojnego kapitana okrętu, podczas gdy jej mążonek przebywał w Filadelfii w interesach. Musiało to być zgodne z prawdą, ponieważ w trakcie remontowania domu Tipa z naszym ojcem znaleźli pod podłogą płomienne listy miłosne oraz tysiące konfederackich dolarów.

Island Gamble. Babcia od początku nie cierpiała tej nazwy. Mówiła, że to się kojarzy z bandą chuliganów*. Spór o nazwę był, o ile mi wiadomo, jednym z nielicznych, w których dziadek się postawił. Twierdził uparcie, że

zmiana nazwy byłaby równoznaczna z fałszowaniem historii. Bóg jeden wie, dlaczego dziadek podjął właśnie tę rękawicę spośród wielu rzuczanych przez babcię, ale nazwa pozostała i Island Gamble należało do nas od prawie stu lat. Na początku był to dom letniskowy, ale gdy babcia Sophie zapadła na zdrowiu, Tipa zabrał ją na stałe nad morze w przekonaniu, że słone powietrze dobrze jej zrobi.

* *Gamble* (ang.) - uprawiać hazard; ryzykować; spekulować (przyp. red.).

Dom stał jak na warcie, wyniosły, z imponującym widokiem na zatokę i Fort Sumtera. Białe szalunkowe deski osłaniały dwa piętra, wzniesione w starym wyspiarskim stylu, tak solidne, że tylko Bóg mógł je rozłączyć. Szerokie biodra budowli zdobiły ganki, a oszklone drzwi przepuszczały powietrze. Najciekawszymi szczegółami architektonicznymi były kopuła oraz pomost obserwacyjny na szczycie. Przypominały kapelusz na głowie pięknej kobiety. Gdy byłam mała, chowałam się tam przed wszystkimi i pisałam pamiętnik - w odosobnieniu, które wówczas stanowiło luksus. Przyjście na świat dziecka zawsze wiązało się w naszej rodzinie z gorączkową krzątaniną. Dziadek, przy pomocy ojca, dobudowywał pokoje po bokach i z tyłu, niczym przedziały w wagonie kolejowym. Dom wyglądał dziwnie - kapa zszyta ze skrawków rodzinnej historii. Sprawiał wrażenie, jakby wszystko potrafił znieść; i rzeczywiście przetrwał dziesiątki nawałnic, dał schronienie wielu złamanym sercom i ugościł setki różnych ludzi. Skrywał w sobie zbyt wiele tajemnic, ale chyba tylko mnie to niepokoiło.

- O, gdyby te ściany potrafiły mówić... - powtarzali ludzie.

Mogłam dodać, że gdyby te ściany potrafiły mówić, cała wyspa zostałaby objęta kwarantanną w oczekiwaniu na rządowy oddział psychiatrów.

Ale to miejsce miało również wspaniałe zalety. Hamak, na przykład, był niezmiernie wygodny, a Maggie okazała się prawdziwą przyjaciółką, pozwalając mi tu przyjeżdżać i leczyć zranione serce. Czarne myśli nie najlepiej wpływały na mój sen. Przewracałam się na łóżku i dopiero wizja ganku i hamaka pomagała mi osiągnąć jaki taki spokój.

Ledwie zaczęłam zapadać w upragnioną drzemkę, trzasnęły siatkowe drzwi.

- Chcesz, żebym ci pomalowała paznokcie u nóg? - Maggie przybyła mi na ratunek z kosmetyczką i tacą pełną jedzenia.

Popatrzyłam na swoje stopy i wzruszyłam ramionami.

- Brzydko wyglądają, eah? Co tam masz? Daj mi jeść, umieram z głodu.

Eah. Pyszne słowo z dialektu gullah, uniwersalne jak mało które. Może oznaczać „tak”, „tutaj”, „zaraz”, „słyszysz?”, „czyż nie?”, „zgadasz się ze mną?” i w ogóle niemal wszystko, co się chce wyrazić.

- Nie wyglądasz na zagłodzoną, choć rzeczywiście zeszczuplałaś - powiedziała.

- Dobra, możesz mi pomalować paznokcie, jeśli to ci poprawi samopoczucie.

W tym okresie każdy, kto powiedział, że zeszczuplałam, mógł liczyć na moją zgodę w dowolnej sprawie. Zeszłam z hamaka i przyjrzałam się przekąskom.

- Siadaj, a ja ci doleję herbaty.

Wzięłam łyżkę selera i zanurzyłam w beztłuszczowym sosie. Maggie wskazała mi kanapę, a gdy usiadłam, zaczęła odprawiać rytuał z czasów naszego dzieciństwa. Powtykała mi między palce tampony z kawałków chusteczek higienicznych, a potem stękała z niesmakiem, ścierając moje odciski i zgrubienia. Następnie, operując nożyczkami, wygłosiła wykład na temat skórek i wreszcie, dzięki Bogu, nałożyła podkład i dwie warstwy lakieru, który dostała jako premię od firmy Lancôme. Zawsze czuła się lepiej, kiedy mogła popracować nad moim wyglądem.

- Straciłam sześć kilo - poinformowałam ją, gdy nakładała drugą warstwę.

- To widać po twoich kostkach.

Oczywiście, gdyby ona schudła o sześć kilo, wyglądałaby jak kościotrup.

- Wielkie dzięki - powiedziałam.

- Po twarzy też widać - dodała z anielskim uśmiechem godnym dietetyczki od Jenny Craig. - Słuchaj, sześć kilo to sporo, no nie? Indyk tyle waży! Jak to robisz?

- Zwyczajnie. Zostało mi jeszcze parę indyków do zrzucenia. Liczę gramy tłuszczu. Mogę wziąć pomidora?

- No cóż, wyglądasz znacznie lepiej! - Maggie zakręciła buteleczkę z

lakierem i podsunęła mi koszyk pełen surowych warzyw. - Masz, skosztuj. Są przepyszne!

Wstałam ostrożnie, starając się nie zniszczyć mojego pedicure'u, wybrałam ciemnoczerwony pomidor i pokuśtykałam w stronę hamaka. Odebrałam łożyskę i wgryzłam się w rumianą skórę jak w jabłko. Sok razem z pestkami natychmiast pociekł mi po brodzie. Uniosłam brzeg podkoszulka, obnażając swój różowy brzuch, który od lat nie oglądał słońca i otarłam twarz. Maggie patrzyła, kręcąc głową. Co ona tam wie! Ja wiedziałam, że nadal tli się we mnie iskierka *femme fatale*. No dobrze. To prawda, że moja zdolność łamania serc przyćmiła chwilowo niefortunna objętość w pasie. Zignorowałam Maggie i zatraciłam się w rozkosznie prostej czynności przeżuwania dojrzałego pomidora.

- Kurczę! Jakie to dobre! Wręcz boskie! Skąd je masz? Czy to Better Boys?

- Aha. Są z ogrodu pana Andregga. Przyniósł je w podzięcie za pięć kilo błękitnych makreli, które chłopcy i Grant złowili w zeszłym tygodniu.

- Nie wypuszczaj tych chłopaków z wody! Gdzie jest solniczka?

- Niepotrzebna ci sól. Źle wpływa na ciśnienie i zatrzymuje wodę w organizmie.

- Słusznie. Masz rację. Muszę jeszcze zrzucić pół tony i odzyskam dawną formę. Co proponujesz? No bo ja tylko się głodzę, zjadając dwadzieścia gramów tłuszczu dziennie i mój tyłek kurczy się z szybkością topniejącego lodowca...

- Zostaw w spokoju gramy tłuszczu. Po prostu jedz, co zechcesz, byle z umiarem.

- Nie mogę ich zostawić w spokoju, jeśli mam się jeszcze w życiu z kimś przespać - mruknęłam pod nosem.

Podciągnęłam się nieco wyżej i spojrzałam znad balustrady na ocean. Ten widok zawsze zapierał mi dech. Ciemnozielony aksamit frontowego podwórza kontrastował z jaskrawą bielą piaszczystych wydm, oddzielających rodziną posiadłość od plaży. Białe pagórki rysowały się falistą linią na tle ciemnoniebieskiego morza, jak malunek dziecka, które umoczyło palec w farbce i po raz pierwszy spróbowało stworzyć coś pięknego. Wierzchołki wydm zdołały pierzaste kępy nadmorskich traw. Woda fosforyzowała

połyskliwie w roztańczonych promieniach słońca. Zwodnicza kopalnia diamentów.

- Wiesz, to chyba jest najpiękniejsze miejsce na ziemi - odezwałam się i nagle zdałam sobie sprawę, że mówię szeptem.

- Mam nadzieję, że nie wyrażasz się w ten sposób przy mojej siostrzenicy.

- W jaki sposób? Że tu jest bajecznie?

- Nie, Susan, mam na myśli twoje życie seksualne. Beth nie powinna słyszeć takich uwag.

- Maggie, moje życie seksualne nie istnieje. A zresztą ona ma dopiero czternaście lat! Te sprawy są jej zupełnie obce.

- Nie są, możesz mi wierzyć. Pamiętasz, jak sama miałaś czternaście lat i byłaś do szaleństwa zakochana w Simonie?

- Chciałabym zapalić. Gdzie wetknęłaś moją torebkę?

- Jest pod hamakiem. Wolalabym, żebyś nie paliła. To paskudny nałóg.

Omam nie wypadłam z hamaka, sięgając po torebkę, a gdy ją wreszcie namacałam, wyciągnęłam marlboro lights i starą zapalniczkę zippo. Zapaliłam papierosa i wydmuchnęłam dym z dala od Maggie.

- Daj sobie spokój - rzuciłam. - Nie wyleczysz mnie w jeden dzień.

- Wcale nie zamierzam cię leczyć - odparła ze słusznym oburzeniem starszej siostry - ale powinnaś wypróbować tę nową gumę do żucia. Może tego nie zauważyłaś, Susan, ale nikt już nie pali.

- Racja. Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Simona?

- Od Bożego Narodzenia nic. Zadzwońmy do niego. Mieszka teraz w Atlancie. Kto wie? Może jego małżeństwo się rozpada?

Na samą myśl o telefonie do Simona porwał mnie pusty śmiech.

- Zabrałam komórkę! Masz jego numer? - spytałam dziarsko.

- Nie, ale za to mam twój. Jesteś mocna w gębie.

- Niech ci będzie.

Uniosła brwi. Odkąd Tom mnie porzucił, czyli od trzech miesięcy, Maggie była aniołem, ale tym jednym ruchem brwi dała mi do zrozumienia, że uważa mnie za tchórza.

- Masz rację, jeszcze za wcześnie na kontakty z mężczyznami, nawet

z Simonem. Mężczyźni to świnie. - Opróżniłam szklanę i wyrzuciłam niedopałek za poręcz ganku. Natychmiast tego pożałowałam, uświadomiwszy sobie, że wylądował w rózach Maggie. - Przepraszam. Zaraz go podniosę.

- Nie przejmuj się.

- No tak, Simon. Boże, on był kapitalny, no nie? Chciałabym go znowu zobaczyć. Może żoneczka od niego uciekła albo coś w tym stylu.

- W jego kartce nie było nic na ten temat. Tylko tyle, że prowadzi w Atlancie wykłady o wirusach i rzadkich chorobach czy czymś takim.

- Aha. Czy wiesz, że ten facet nie pisze do mnie od ponad dziesięciu lat?

- Zadzwoń do niego.

- No jasne.

Simon, Simon, pomyślałam. Zastanawiałam się, czy ma jeszcze tę bujną czuprynę. Jako chłopak miał gęste, jedwabiste, brązowe włosy. Boże, kochałam go przez długie lata. Teraz zapewne przekroczył już pięćdziesiątkę. Poczułam znowu uderzenie gorąca. Pomimo przypływu nie było czym oddychać.

- Zgadnij, kto dzwonił - powiedziałam.

- Zaczekaj...

- Henry - oznajmiłam, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Nasz uroczy braciszek? A co mu się stało?

- Nic, Boże błogosław jego chciwą duszyczkę. Pytał, czy mi czegoś nie potrzeba. Miło z jego strony, nie uważasz?

- To do niego nie pasuje, ot co - orzekła Maggie.

- No cóż, w normalnych okolicznościach byłabym podejrzliwa, ale wydaje mi się, że mówił szczerze. Może Paula odfajkowała już wszystkie operacje plastyczne i nie ma na co wydawać pieniędzy.

- Jesteśmy okropne - orzekła Maggie.

- Jesteśmy. - Upał aż porażał. - Maggie, czy w czasach naszego dzieciństwa też bywało tak gorąco? Nie przypominam sobie aż takich upałów.

- Z przykrością muszę ci uświadomić, że się starzejesz. Badałaś sobie poziom estroгену?

Popatrzyłam na nią. Mieszała herbatę gestem królowej Anglii. Połknęłam haczyk.

- Estrogeneru? Maggie, ja ledwo przekroczyłam czterdziestkę.
- Pierwszym zwiastunem menopauzy jest zepsuty termostat. Albo to już to, albo za dużo ważysz. Tak czy owak, jeśli czegoś z sobą nie zrobisz, możesz nie dożyć sierpnia.

- Boże, wiek średni to nieskończone pasmo upokorzeń.

Zamknęłam oczy i udałam, że drzemię. Po mniej więcej dwóch sekundach wyczułam, że stoi nade mną z miną sugerującą: „jestem poradnikiem psychologicznym przygotowanym do druku”. Uchyliłam znużone powieki.

- Czego chcesz? - spytałam z rozdrażnieniem. - O co ci chodzi?

Tkwiała w miejscu z wyrazem lekkiego oburzenia na twarzy, czekając, aż zacznę ją błagać o radę, jak zrobić porządek z moim własnym życiem. Kółeczka w jej głowie kręciły się ze zgrzytem, zagłuszając łagodny szum karłowatych palm i pluskanie fal. Czasami doprowadzała mnie do szału.

- O nic - odparła jej wysokość z głębokim westchnieniem. Wzdychała zupełnie tak samo jak nasza matka. To jej dawało niesprawiedliwe fory.

- No, Maggie, wyrzuć to z siebie. Bo inaczej się udławisz. - Nieśpiesznie podeszła do stolika i naląła mi herbaty. Wrzuciła plasterki cytryny i podała mi szklankę. Popchnęłam cytrynę palcem, zdając sobie sprawę, że raczej nie ułatwiam rozmowy. - Dobra, przepraszam - powiedziałam. - Przyznaję, że nikomu nie zawdzięczam tyle, ile Livvie Singleton i tobie. Więc powiedz, co myślisz, pomijając to, że byłoby miło, gdyby temperatura spadła z miliarda do dwudziestu sześciu stopni.

- Susan, masz przed sobą wielką szansę.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Masz - powtórzyła. - Chodź, usiądź na huśtawce.

- Jaka to „szansa”? Mam córkę, która przeżywa burzę hormonów, rachunki sięgające stąd aż do Charlotte, które muszę zapłacić bez pomocy Toma, a prócz tego tyłek, który mimo wszelkich głodówek wygląda jak galareta porażona piorunem. Mam się czym martwić. Wybacz, ale trudno mi dostrzec w tym wszystkim jakąkolwiek szansę. - Zamierzałam teraz uderzyć w wysoki ton i Maggie wiedziała o tym. Usiadłam obok niej na huśtawce.

- Z tyłkiem sprawa jest prosta, odstaw samochód i zasuwasz do pracy

na piechotę. - Zachowywała doskonały spokój, jakby miała do czynienia z bałaganem na granicy.

- Chyba masz rację...

- Gimnastyka świetnie ci zrobi, będziesz się mogła zastanowić, jak dać sobie radę z tym wszystkim. Wysiłek fizyczny dobrze wpływa na umysł.

- Wiem. Masz rację, masz rację, masz rację. Ale, Maggie, tobie łatwiej mówić, co powinnam zrobić, niż mnie podjąć działania!

- Słuchaj no, Susan. Wiesz, ile kobiet wymieniłoby się mężami, gdyby miały odwagę?

- Tak, ale ja nie chciałam pozbywać się Toma. To on pozbył się mnie, nie pamiętasz?

- Mniejsza z tym. Zastanów się, co zamierzasz teraz robić. Przypominam ci, że minęły już trzy miesiące. Wystąpiłaś o separację?

- Nie. Jeszcze nie jestem na to gotowa.

- A gdyby chciał wrócić, przyjąłabyś go?

Popatrzyłam na morze, wspominając dobre strony małżeństwa z Tomem. Jego pocałunki, schronienie w jego ramionach. Ale przypomniało mi się także, jak przyłapałam go w łóżku z tą dziewczyną i mój puls przyspieszył na samą myśl o jego zdradzie. Wychyliłam szklanekę. Z gulą w gardle trudno mi było rozmawiać o separacji.

- Pamiętasz, jak Livvie mawiała, że kto kołysze pusty fotel na biegach, ten odejmuje kolejne dni od swego życia? - spytałam. - To mnie zawsze przerażało.

Unikałam ostatecznej decyzji, a Maggie nie zamierzała tego tolerować.

- Bo marnowałaś czas, o to jej chodziło. Powiem więcej: Livvie Singleton spralaby cię teraz na kwaśne jabłko, gdyby widziała, ile czasu zmarnowałaś. Wychowywała nas tak, żebyśmy umieli splunąć w twarz temu, kto nas skrzywdził, a nie żebyśmy obrastali sadłem, popadali w przygnębienie i jęczeli po kątach. Tom Hayes to nicpoń i im prędzej to sobie uświadomisz i zaczniesz działać, tym prędzej odbudujesz własne życie. Gdyby Livvie tu była, kazałaby ci wziąć się w garść!

- Nie bij piany. Powiedz, co naprawdę myślisz.

- Przykro mi, Susan, ale mówię to, co trzeba. Jesteś moją ulubioną

siostrą i kocham cię. A teraz zdecyduj ostatecznie, czy gdyby Tom wrócił i cię przeprosił, przyjąłabyś go pod swój dach? Proszę, przemyśl to, bo jeśli mu przebaczysz, ja zrobię to samo.

Poświęciłam setki godzin na rozmyślania, jak by to było, gdyby Tom wrócił do domu. Mogłam mu wybaczyć, ale doszłam do wniosku, że już nigdy nie będę miała do niego zaufania. A wiedziałam, że brak zaufania wyklucza dobre małżeństwo.

- Nie. Teraz już bym go nie przyjęła z powrotem, Maggie. Sprawy zaszły za daleko, a on zachował się wobec nas podle. To on pieprzył się z inną kobietą w naszym łóżku, a potem odszedł ode mnie.

- Jesteś zupełnie pewna?

- Tak, jestem pewna. Gdybym przyjęła go z powrotem, poleciałby znowu na pierwsze z brzegu bezmózdze, które by pomachało na niego stannikiem. Komu to potrzebne?

- Więc jesteś gotowa. Dam ci listę adwokatów i możesz od przyszłego tygodnia zacząć ich przepytwać.

- Dobrze. - Wciągnęłam w płuca uzdrawiające słone powietrze i w długim wydechu pozbyłam się resztek mojego nieudanego małżeństwa. - Po prostu mnie to mierzi, wiesz?

- Wiem i wcale nie mam ci tego za złe. - Maggie poklepała mnie po ramieniu i podjęła: - Słuchaj, rozpad rodziny to niewątpliwie tragedia, ale nie masz raka, masz dobrą pracę i masz Beth. A on co ma? Jakąś idiotkę. Ale zysk! Wydaje mi się, że to on przegrał, a nie ty.

- Mam nadzieję, że będzie się smażył w piekle.

- Zuch z ciebie! - Maggie zaczęła sprzątać ze stolika. Postawiła nasze szklanki na tacy i balansując nią, przetała blat serwetką. - Powinnaś pójść do fryzjera.

Obcowanie z kimś, kto zawsze mi mówił, co powinnam zrobić, było trochę denerwujące, wiedziałam jednak, że nie ma sensu jej tego wytykać.

- Masz rację, powinnam jakoś zadbać o swój wygląd. Ale ten dusi-grosz, dla którego opracowuję dokumenty, ma chyba jeszcze te pięć dolców, które dostał od cioci Helen na dziesiąte urodziny! Chyba powinnam zmienić pracę albo co.

- Albo znaleźć adwokata-buldogą z zerowym poczuciem humoru.

- Tak, i z wielkimi kłami, które wyszarpią tej łajzie spory kawał nędnego ciała. Chwileczkę! Nie zabieraj selera! Pomóc ci? Gdzie są dzieci? Robi się późno.

- Odpręż się, dam sobie radę. Dzieci lada chwila wrócą. Słuchaj, gdyby coś złowiły, może zostanieie na kolacji? Sałatka z krabów i steki z grilla? Całkiem niezły posiłek.

- Brzmi zachęcająco - przyznałam. - Maggie? - Umilkłam, szukając właściwych słów. - Znajdę sobie adwokata. Muszę po prostu wyszukać odpowiednią osobę i odzyskać pewność siebie, rozumiesz?

- Od kiedy to masz problemy z pewnością siebie?

- Bardzo śmieszne. Chciałam tylko powiedzieć, że twoje rady są dla mnie naprawdę cenne.

Uśmiechnęła się do mnie.

- No cóż, sama wiesz, czego chcesz. Zawsze wiedziałaś. Nie chciała-bym tylko, żeby znowu ktoś się nad tobą znęcał.

- Nikt się nade mną nie znęcał. Po prostu wyszłam za największego osła w Karolinie Południowej, ale byłam zbyt uparta, żeby to dostrzec.

- Dobrze to ujęłaś, rodzinna poetko! - Maggie znowu się uśmiechnęła. - Pragnę, żebyś znowu była sobą, wiesz? Jak niesforny psiak, goniący samochody. Brakuje mi tego. Co byś zrobiła, gdybyś mogła coś zmienić w swoim życiu? Na przykład zawód?

Oparła tacę o biodro i przytrzymała siatkowe drzwi, patrząc na mnie wyczekująco.

- Nie wiem. Może... o rety, Maggie, naprawdę nie wiem.

- No to się zastanów, siostrzyczko. Nowy świat rozpościera się przed tobą. Chwytaj dzień i tak dalej. Livvie nie wychowała nas na obiboków.

- Masz rację. Hej, wiesz co, mam kolejny ważny punkt na liście rzeczy, które zamierzam zrobić z moim życiem.

- Tak? A jaki?

- Zamierzam wykryć, co się właściwie przydarzyło tacie.

Przeczesała palcami włosy i spojrzała na mnie tak, jakbym powiedziała coś paskudnego.

- Daj temu spokój, Susan - odezwała się. - Tata nie żyje już od wielu lat.

- Nie rozumiesz mnie, Maggie. Po prostu muszę wiedzieć, że to nie ja byłam przyczyną.

- Susan, jestem twoją siostrą. Kocham cię...
- Wiem.
- Musisz się skupić na innych sprawach. Tata zmarł na atak serca.

Kropka.

Nie znosiłam tego jej spojrzenia, tej postawy świadczącej, że zawsze musi mieć ostatnie słowo. Dlatego powiedziałam:

- Nie kropka. Znak zapytania. Od odpowiedzi zależy spokój mojej duszy.

- Jak uważasz. Ale wydaje mi się, że masz ważniejsze sprawy do załatwienia.

- Mniejsza o to. Mówię ci, czuję w głębi serca, że tata został zamordowany.

- Susan, nikt na tej planecie nie kocha cię bardziej niż ja, ale nie mogę tego słuchać.

- Maggie - przerwałam - ja ciągle o tym myślę. Muszę wiedzieć, że to nie nasza kłótnia spowodowała jego śmierć. Jestem pewna, że stał za tym Klan.

- Co to za kłótnia, o której zawsze wspominasz? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Zaczynała się denerwować. Nagle stało się jasne, że z jakichś przyczyn nie przypomina sobie tamtej walki. Może wyrzuciła ją z pamięci. Nie wiedziałam. Chciałam tylko, żeby znowu zapanował spokój.

- Nieważne - odparłam. - Kiedyś się dowiem.

- Jedno ci mogę doradzić: martw się o żywych. Zmarli już wykorzystali swoją okazję.

- Ej, to brzmi dość twardo.

- Nie. Zależy mi na tobie i Beth. To wszystko.

Weszła do domu. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaśnięciem i odgłos drewna uderzającego o drewno podziałał na mnie jak cios w szczękę. Maggie po prostu sprowadziła moje życie do starej łacińskiej maksymy i kilku brutalnych faktów. Miała też rację co do Livvie. Livvie byłaby wściekła, gdyby zobaczyła, jak przez trzy miesiące pograżam się w rozpacz, pochłaniając czekoladowe ciastka i gotowe dania na wynos.

Maggie zawsze miała rację. Kiedy rozpętało się piekło, stanęła przy mnie. Wzięła także Beth pod swoje skrzydła. Cierpliwie słuchała moich

lamentów i jęków. Ale dość tego. Sprawiałam wrażenie pokonanej, a ten wyraz nigdy nie pojawiał się w moim słowniku.

Po prostu miałam pustkę w głowie na samą myśl o nowym życiu. Trochę się bałam, wiecie? A gdybym zawiodła? Gdybym nie potrafiła zadbać o Beth? Co by było, gdyby Beth dostała nagle fiola, uciekła ze szkoły i zaszła w ciążę? Gdyby się na tym skończyło? O Boże, modliłam się, pomóż mi to rozwiązać!

Wydobyłam się z bujanego fotela czując, że listewki odcisnęły mi się na udach. Przerzuciłam nogę przez balustradę i usiadłam jak na koniu, trzymając się belki, tak samo, jak to robiłam w dzieciństwie. Nadchodził przypływ i czułam jego niemal hipnotyczną siłę. Żałowałam, że sama takowej nie posiadam.

Fale, które podczas odpływu zanosiły się niemowlęcą czkawką, uderzały teraz mocno o brzeg, pokrywając wszystko na swej drodze srebrzystą pianą. Nadciągały od wschodniego krańca wyspy, z Breach Inlet. Niebezpieczeństwo. Ludzie tonęli w wirach i cofających się falach co roku, pomimo wywieszanych na słupach ostrzeżeń. Czy nikt ich nie czytał?

Wiedziałam, że próba wyjaśnienia okoliczności śmierci taty również jest niebezpieczna, ale z każdym dniem odczuwałam coraz silniejszy przymus, by się tym zająć. Jego śmierć była najcięższym z kamieni leżących mi na sercu. Powiedziałam Maggie, że wchodzi tu w grę moje poczucie winy, lecz wynikało ono z faktu, iż tylko mnie jedną w ogóle obeszło to, że umarł, nieważne, w jaki sposób. Zdrada Toma podsycała tylko moje pragnienie poznania prawdy.

Fale nadciągały trójkami, gnane morskim prądem. Dotarłszy do naszego krańca wyspy jakby się wygładzały, rozświetlone odległą smugą blasku z latarni morskiej. Przyplawy i odpływy miały hipnotyczną moc. Woda uderzała gniewnie o brzeg, a potem cofała się i ponownie nabierała sił.

Światło latarni stawało się coraz jaśniejsze, biorąc pod opiekę łodzie i statki. W takich chwilach zyskiwałam pewność, że Bóg istnieje. Stukał mnie w nieugięte ramię, dając do zrozumienia, że widok roztaczający się przede mną jest metaforą mojego życia. Wycofanie i regeneracja; życie toczy się dalej. Może zostaniemy z Beth na kolacji, zjemy kilka krabów i stek z grilla, odetchniemy morskim powietrzem. Maggie miała rację. Musiałam odnaleźć

siebie na nowo. Pytanie brzmiało: czy stary pies może się nauczyć nowych sztuczek?

Na tle ciemniejącego nieba dostrzegłam sylwetki Beth i chłopców Maggie, wracających z plaży. Nieśli kosz pełen krabów i wiaderko z przynętą. Tak mogłoby wyglądać zdjęcie z mojego dzieciństwa, obraz szczęśliwych dni. Tak wiele dni spędziłam z Maggie, Timmym i Henrym, łowiąc ryby i kraby, rzucając kulami z błota... były to chyba moje najradośniejsze wspomnienia. Wracaliśmy do domu opaleni i zgrzani i pokazywaliśmy mamie i Livvie plon naszego połowu. One zaś odnosiły się do nas tak, jakbyśmy byli jedynymi żywicielami rodziny. Rozpierała nas duma.

Ale prędzej czy później pojawiał się nasz tata, Wielki Hank.

2.

Wygódka

Lato 1963

- Nie, tato! Proszę! Przepraszam! Przestań, proszę!

Głos bez wątpienia należał do mojego braciszka Henry'ego, błagającego o litość, gdy dostawał jedno z nielicznych lań od ojca. Henry rzadko obrywał. Pomyślałam, że chyba wysadził w powietrze kościół albo coś takiego, gdyż Henry był niewątpliwym ulubieńcem taty.

Kiedy tata zdejmował pasek, płaciliśmy za to bolesnym zanikiem zewnętrznej warstwy dziecięcej niewinności. Nasz stary miał napady niepohamowanego temperamentu. Kierowanie wyzwania pod jego adresem po prostu się nie opłacało. W trakcie sprzeczki jego złość osiągała tak wielkie natężenie, że odchodziłeś przekonany o własnej słuszności, lecz z sinymi pręgami na plecach. Nigdy nie zdołałby pojąć, że jego lania zmieniają nasz stosunek do niego. Razy rzemienia zdzierały z nas warstwę zaufania i miłości.

Siedzieliśmy z Timmym na ganku, wstrzymując oddech i trwając w bezruchu. Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Co teraz?

- Wsiadać mi zaraz do auta! Biegiem!

Tubalny rozkaz taty dobiegł z góry do frontowego ganku. Byłam pewna, że wrzaski Henry'ego słyhać w całej okolicy. Bardzo żałowałam braciszka, ale nie wiedziałam, czy zaraz nie przyjdzie kolej na nas. Timmy i ja tak naprawdę nie wiedzieliśmy, czy tata każe wsiąść do samochodu nam czy może komuś innemu. Usłyszeliśmy kroki na schodach. Potem siatkowe drzwi otworzyły się z rozmachem i odbiły od ściany, a on wycelował palec wskazujący najpierw we mnie, następnie zaś w Timmy'ego.

- Ogłuchliście?

- Nie - odparliśmy chórem.

- No to, do cholery, wsiadajcie do samochodu, tak jak wam kazałem!

Drzwi się za nim zatrzasnęły; zerwaliśmy się obydwój, ruszyliśmy jego śladem przez korytarz i kuchnię do tylnych drzwi i zesliśmy po schodach. Znowu miał napad wściekłości i z sobie tylko znanych przyczyn chciał, żebyśmy z nim dokądś pojechali. Nie odzywaliśmy się ani do siebie, ani do niego.

Wsiedliśmy do auta, nie czekając, aż wpadnie na pomysł wytargania nas za uszy, co często robił, gdy poniosła go złość. Milczeniem prędzej można było wydobyć od niego szczegóły.

Byliśmy dziećmi utalentowanego i inteligentnego człowieka, weterana drugiej wojny światowej, inżyniera budownictwa, który ukończył z wyróżnieniem Politechnikę Georgijską, jedyne i uwielbianego syna. Tata był wysoki i przystojny, miał przenikliwe piwne oczy i proste brązowe włosy. Nosił okulary w cienkich druczianych oprawkach, przylegających ciasno za uszami. Na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za dyplomata. Śmiał się i mówił głośno; nie, nawet gromko. Zastanawialiśmy się, czy w trakcie wojny nie doznał uszkodzenia słuchu.

Jego rodzice, których przed prawie dziesięcioma laty zabiły choroby serca, byli spokojnymi baptystami, szczycącymi się dystynkcją i rozkochanymi w swym jedynaku. Tata przywykł do tego, że zawsze stawia na swoim, lecz życie z wyspiarską, francusko-irlandzką rodziną naszej matki pozbawiło go tego przywileju. Żeby wytrzymać w naszym domu, trzeba by mieć cierpliwość tysiąca świętych, a papież raczej nie wybierał się na Wyspę Sullivana, żeby kanonizować naszego ojca. Codzienne dawki rodzinnego dramatu i najrozmaitsze niedomagania dziadków podsycaly gniew taty niczym łopaty węgla dorzucane do kotła parowca.

Na dodatek miał kłopoty w pracy. Tacie i jego wspólnikowi przyznano kontrakt z Wydziału Oświaty Karoliny Południowej na budowę nowej szkoły w kolorowej wiejskiej okolicy. Miała to być szkoła integracyjna, do której dowożono by uczniów autobusami. Tata wymyślił, jak ogrzać budynek, jak małym nakładem środków dobudować nową salę gimnastyczną, kafenię i bibliotekę. Nie było to nic wielkiego; z pewnością kolorowi nie wyrażali protestu. Ale Wydział Edukacji i miejscowe zarządy szkolne narobiły szumu. Prawda wyglądała tak, że żadna biała rodzina nie zamierzała

przywozić dzieci do takiej szkoły, w związku z czym uczyliby się w niej wyłącznie kolorowi. To zdenerwowało władze, które twierdziły, że plan taty zakłada konieczność podniesienia statusu wiejskich szkół dla kolorowych w całej Karolinie Południowej. Zdarzały się różne incydenty - na przykład pocięto ojcu opony i zniszczono sprzęt budowlany. Wiedział, że to sprawka Ku-Klux-Klanu.

Kiedy o tym myślałam, rozumiałam sytuację. Ale gdy jego demony brały górę, uciekałam i kryłam się przed nim jak wszyscy.

Otworzyliśmy okna, nie wspominając ani słowem, jak bardzo samochód się nagrzał. Tata wycofał auto z podjazdu i ruszył Middle Street w stronę dzielnicy handlowej. Była sobota, gorący środek czerwca, a my od mniej więcej trzech tygodni mieliśmy za sobą szkołę i chodzenie w butach, bo nadeszło kolejne lato. Przez Stany Zjednoczone przetaczał się Ruch Praw Człowieka, który - według naszych informacji - ujawniał się przy barowych ladach w Rock Hill, Karolina Południowa, i w Montgomery, Alabama. Gdy zamordowano Medgara Eversa, przyszło nam na myśl, że to samo może spotkać naszego tatę, ale przecież tata był biały, a w Charlestonie nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Czuliśmy strach, ale byliśmy tylko dziećmi i nie poświęciliśmy takim sprawom szczególnej uwagi. Tak czy owak, tamtego lata przemoc zdawała się wszechobecna - i w gazetach, i w naszym domu.

Z uwagi na ciągłą rotację naszych gospodyń domowych nie zdążyliśmy z bliska ocenić ogromu krzywd wyrządzanych murzyńskiej populacji. Ale świat ewoluował na naszych oczach i w wielu sprawach zmienialiśmy zdanie.

Przejawy rewolucji stały się częścią naszego życia. Na przykład ojciec, ten sam człowiek, który tracił panowanie nad sobą i wywoływał coś w rodzaju trzęsienia ziemi, woził wodę z lodem i papierosy jakimś drobnym opryszkom pracującym na wyspie, kiedy słońce zbyt mocno przygrzewało. Ten nieracjonalny człowiek, który dopiero co zbił swojego ośmioletniego syna, rozumiał, czym jest sprawiedliwość i współczucie.

- Muszę zatankować - mruknął, hamując przed stacją benzynową Buddy'ego.

Wysiadł z auta, zatrzasnął drzwiczki i wszedł do sklepu. Spojrzeliśmy z Timmym na siebie.

- Teraz możemy pogadać - rzuciłam.
- Jezu, co się właściwie stało? - wybuchnął Timmy.
- A kto to wie? Mam nadzieję, że Henry nie zakrwawił całej podłogi, bo tata znowu by dostał szału!

- Susan, on jest naprawdę stuknięty. Chyba wiesz.
- Wiem - przyznałam. - Ale w większym stopniu nieprzewidywalny.

Ojciec wyszedł z puszką piwa ukrytą w brązowej papierowej torebce. Pociągnął długi łyk i poprosił faceta przy dystrybutorze o sprawdzenie oleju. Potem wsiadł do auta, wystawił nogi przez otwarte drzwiczki i opróżnił puszkę. Zmiażdżył ją lewą ręką i cisnął do kosza na śmieci.

- Dwa punkty - zauważył.

Wydaliśmy dyskretne westchnienia ulgi. Tata odzyskiwał spokój.

- Niezły strzał, tatusiu - odezwał się Timmy.
- Wasz brat, paniczu Timmy i panienko Susan, po prostu doprowadza mnie do obłędu.

- Co zrobił? - spytałam niedbałym tonem, jak gdyby to było coś normalnego. Dla niego zapewne było.

- Sadie wymówiła - odparł. - Złoiłem mu skórę.

Sadie była naszą gospożą. Trzecią, która odeszła w ciągu ostatniego miesiąca.

- Wymówiła z powodu Henry'ego? Co się stało? - zapytałam, choć byłam pewna, że usłyszelibyśmy o tym tak czy inaczej. Wiedziałam z doświadczenia, że im prędzej tata wyrzuci to z siebie, tym łatwiej odzyska równowagę.

- Wasz brat, przedsiębiorczy panicz Henry, sprzedawał swym kolegom, młodocianym przestępcom, bilety wstępu, by mogli oglądać niešťczęsną pannę Sadie z zaobluzowanej deski w wygódce.

- O Boże - westchnęłam - to nieładnie. A w dodatku budzi obrzydzenie, jakby mnie kto pytał. - Nikt mnie nie pytał, lecz tata cmoknęłał potakująco.

- Rany! Nie mogę w to uwierzyć! Lubilem Sadie. Przyrzęduwała świetny ryż na ostro - oznajmił Timmy.

- No więc teraz musimy pojechać aż do Snowden i poszukać kogoś na jej miejsce, bo wasza mama twierdzi, że bez pomocy nie da sobie rady z dziećmi. - Wciągnęła powietrze przez zęby i mlasnęła językiem, wydając

świszczący dźwięk. - Muszę zapłacić temu człowiekowi. Nie napilibyście się zimnej coli? - Uniósł brwi, uśmiechając się kącikiem ust i podał mi wyłuskany z portfela dolarowy banknot. - Pospiesz się, bo czas leci.

- Tak jest! - odparłam.

Pieniądze na colę były z jego strony formą przeprosin za lanie sprawione Henry'emu. Uznałam ten gest za żalony, lecz mimo to wzięłam banknot. Tata już się odprężył, więc czmychnęłam z samochodu i wbiegłam do sklepu. Nic tak nie poprawia jego samopoczucia jak łyk alkoholu, pomyślałam.

Zaskoczyły mnie przyciemnione światła w sklepie i zderzyłam się w drzwiach z wychodzącym mężczyzną.

- Uważaj, panienczko!

- Przepraszam! - rzuciłam i pospieszyłam w stronę baru przez zady-mioną salę, pozostawiając za sobą chmurę piwnych wyziewów. - Poproszę dwie cole - zwróciłam się nerwowo do Buddy'ego, właściciela jedyne-go baru na wyspie.

Wszystkie dzieciaki z wyspy wiedziały, że znajduje się tu „Miasto Grzechu”, nawet jeśli kupowały tylko colę. Tutaj ludzie grywali w karty i bilard. Mężczyźni chronili się tu przed światem i żadna ze znanych mi kobiet, prócz jednej, nie przekroczyłaby progu tego lokalu. Tak się złożyło, że ta jedna, Alice Simpson, była naszą sąsiadką. Mama twierdziła, że Alice przynosi wstyd wszystkim kobietom. Wydawało mi się to głupie, no bo może lubiła grać w bilard? A poza tym, czy każdy grzesznik musi od razu iść do piekła?

Buddy z grzechotem pogrzebał w chłodziarce i postawił na ladzie dwie butelki. Szukając otwieracza, omiółł mnie taksującym spojrzeniem.

- Rośniemy, co? Niedługo poprosi o butelkę Pabst Blue Ribbon, no nie, chłopcy?

Dwa stare pryki na końcu lady parsknęły śmiechem, a ja poczułam, że się czerwienię.

- Taa, pewnie. Świetny dowcip - rzuciłam, nie dbając o to, co sobie pomyślą.

Oczywiście stare pierdoły ryknęły śmiechem i zaczęły gwizdać znacząco. Boże, co za banda palantów. Chwyciłam butelki, wybąkałam słowa podziękowania i wybiegłam szybko. Samochód taty czekał z silnikiem na chodzie przy krawężniku.

- Chodźże, dziewczyno! Gorąco tu jak w Hadesie!

Wskoczyłam na tylne siedzenie obok Timmy'ego, zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyliśmy wzdłuż grobli w stronę Mount Pleasant. Na moście tata przyspieszył do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Lubił szybką jazdę. Powietrze znad mokradeł wpadało przez otwarte okna, rozwiewając moje długie włosy i zmieniając je w płataninę wilgotnych kosmyków. W radiu jakiś dziadyga zawodził głosem chorego kota. Była to ulubiona stacja taty i nie śmiałam prosić go o ściszenie radia. Mimo groźby gwałtownej śmierci obydwójce z Timmym nie potrafiliśmy oprzeć się pokusie i zaczęliśmy robić miny, bezgłośnie przedrzeźniając piosenkarza. Tata zerknął we wsteczne lustro i pokręcił głową, a ja, patrząc na jego plecy, odgadłam, że się uśmiecha. Wysunął łokieć przez okno i wiedziałam, że na razie wszystko jest w porządku.

- Ech, wy, dzieciaki!

Nie powiedział nic więcej aż do zjazdu na Rifle Range Road. Atmosfera zmieniła się w jednej chwili: kolczasta żywotność mokradeł, pikujące ptaki i ciemny, połyskliwy błękit śródlądowego kanału ustąpiły miejsca tajemniczemu, nierzeczywistemu i nawiedzonemu światu przeszłości. Długie, postrzępione pędy oplątwy zwisały z gałęzi dębów ocieniających drogę baldachimem koron. Płaty porostów wyglądały jak duchy zastępujące człowiekowi drogę, gdy się jechało tamtędy po zmierzchu. Wyobrażałam sobie obdartych żołnierzy, powracających dwójkami z wojny z Anglią albo wojny secesyjnej, znużonych i być może rannych, szukających domu w zniszczonej okolicy.

Wyczuwałam obecność wyzwolonych niewolników, którzy kroczyli niespiesznie poboczem, dźwigając na głowach wielkie kosze z trawą i liśćmi palmy karłowatej, aby z nich wypleść następne kosze i napełnić je ryżem lub warzywami. Widziałam skromne ładunki świeżo zebranej bawełny na furmankach ciągnących na targ, czemu towarzyszył stukot kopyt wynędzniałego konia lub muła.

Ileokroć przyjeżdżałam do Snowden, moje ramiona pokrywały się gęsią skórką. Mimo iż nasza rodzina nigdy nie miała ani jednego niewolnika, moi przodkowie zapewne akceptowali ten system. Wizyty na terenie dawnych plantacji sprawiały, że czułam się nieswojo w białej skórce. Beztróskie życie

na wyspie nie skłaniało mnie do rozważań na temat niewolnictwa, lecz tutaj, na kontynencie, wszystko mi o nim przypominało.

Gdy wreszcie przyjrzałam się rzeczywistej okolicy, nie zobaczyłam romantyzmu wielkiej plantacji. Dostrzegłam szeregowe, szalowane domki, ocienione dębami i sosnami, gdzieniegdzie pobielone. Większość wymagała odmalowania. Na podwórzach stały wiekowe auta. Zardzewiałe rowery opierały się o schodki, a wokół grzebały kury. Psy gończe, przeważnie zbyt stare, by szczekać, stały na gankach zastawionych niedopasowanymi meblami. Ale zapach płonących śmieci, zmieszany z silną wonią sosen i czarnej nawierzchni, działał niczym zaklęcie wudu. To był inny świat.

Jeździłam tam z tatą tak często, że orientowałam się po zapachu i dźwięku, jaka odległość dzieli nas od domu Harriet Avinger. Odkąd sięgałam pamięcią, Harriet pracowała u ciotki Carol i wujka Louisa, brata i bratowej mamy. Chyba znałam ją od urodzenia. Wyszukiwała pracownice dla taty.

Zahamował przed jej domem i zgasił silnik. Pojawiła się niespodziewanie na ganku, jakby oczekiwała naszego przybycia.

- Zaczekajcie w samochodzie - nakazał tata i wysiadł.

Timmy został, ale ja zapragnęłam wybrać się na małą wyprawę.

- Będiesz miała kłopoty - ostrzegł mój brat, gdy tata wchodził do domu Harriet.

- Pies z tobą tańczył - rzuciłam i cicho zamknęłam drzwiczki.

Ogród przed domem Harriet wyglądał jak zdjęcie z katalogu ogrodniczego. Tuż obok „butelkowego drzewa”, na obszarze wielkości mniej więcej trzydziści na sześćdziesiąt stóp, wspinały się ku letniemu słońcu idealnie równe rzędy bujnych warzyw. Olbrzymie arbuzy leżały w miękkiej ziemi niczym zielone bomby.

Butelkowate owoce, zwisające z drzewa, obijały się o siebie w podmuchach wiatru. Zawsze myślałam, że są odpowiednikiem dzwonek rurowych; dopiero Harriet uświadomiła mi, że przynoszą szczęście. Chodziło o to, żeby wygnać złe duchy, a zatrzymać dobre. Harriet zawsze miała mi coś do opowiedzenia, a jej historie przeważnie brzmiały dziwnie, lecz fascynująco. Przepadałam za nimi. Należała do „kultury gullah, a wszystkie kobiety z tego kręgu znały mnóstwo opowieści.

Psy wyrzały spod frontowych schodów, a potem wróciły na miejsce i usnęły. Nie interesowały się mną, bo dobrze mnie znały.

W ciągu ostatnich lat zatrudniliśmy i straciliśmy wiele pomocy domowych, przede wszystkim dlatego, że nasz dom przypominał przytułek dla obłąkanych. Jeśli nie uciekły z powodu wybryków Henry'ego, wypędzał je smród babci Sophie, wrogość dziadka Tipy albo cierpienie mamy. Była znowu w ciąży - łagodnie mówiąc. Wyglądała, jakby połknęła jeden z arbuźów Harriet, a była dopiero w czwartym miesiącu! Tacie się wydawało, że mama nie potrzebuje pomocy? Rany, ona się ledwo trzymała na nogach!

Otworzyłam furtkę do maleńkiego Edenu i powędrowałam ścieżką między grządkami. Pod bosymi stopami czułam miękką i chłodną czarną ziemię. Nie dziwota, że przy takiej glebie pomidory Harriet były wielkości piłek softballowych, a arbuzy zielone i soczyste. Pełne, ciasno przylegające do łodygi kolby kukurydzy nie pozostawiały wątpliwości, że są pyszne i dojrzałe do tego, by je wyłuskać i ugotować. Odwinęłam pochwę liścia i paznokciem kciuka wydłubałam parę ziaren. Słodkie! Miałam nadzieję, że tym razem zbiorę się na odwagę i poproszę o coś, co mogłabym wziąć do domu.

Wiedziałam, że Timmy trzęsie się z nerwów z powodu mojego wtargnięcia do ogrodu, więc żeby go trochę podręczyć, specjalnie zwlekałam i wróciłam w ostatniej chwili. Zaledwie wsiadłam do auta, na frontowym ganku małego domku pojawili się Harriet i tata, którzy ubili już interes.

Jak w większości domów w Snowden, framuga frontowych drzwi pomalowana była na jaskrawoniebieski kolor, żeby odstraszyć „upiry”. Ilekroć przyjeżdżałam tutaj i widziałam, jak Harriet mieszka, zawsze dawało mi to do myślenia. No bo każdy głupi mógł zauważyć, że ta kobieta ma niewiele pieniędzy, a jednak w całym jej gospodarstwie panowała czystość i porządek. Podwórze było zagrabione, ganek zamieciony, psy nakarmione, kury odgrodzone w kojcu, a po obu stronach frontowych schodków kwitły floksy i rudbekie. Ponownie wyskoczyłam z auta.

- Tatusiu! Mogę się przywitać?
- Pewnie, chodź! Ale musimy się pospieszyć. Nie chcę, żeby Harriet traciła przez ciebie czas.

Harriet uśmiechnęła się do mnie i wyciągnęła ramiona. Była wysoką, szczupłą kobietą o idealnie białych zębach. Włosy, zaplecione w dwa schludne, grube warkoczki, okalały jej głowę. Pod fartuchem nosiła żółtą perkalową szmizjerkę. Kiedy mnie objęła, poczułam zapach kwiatów.

- Ejże, panno Susan! Niech no ci się przyjrzę!

Odsunęła mnie na długość ramienia i popatrzyła mi przeciągle w oczy, z kpiącym uśmiechem.

- A więc, jeśli znajdę inną kobietę do pomocy waszej mamie, co stoi pod dużym znakiem zapytania, to daciez wy jej spokój i trochę prywatności?

- Harriet, ja nie miałam z tym nic wspólnego, niech mnie nagła śmierć spotka, jeżeli kłamię! Henry z nikim tego nie uzgadniał! Daję słowo!

- Pogadaj z nimi, dobrze, Harriet? Jestem już wykończony ciągłym powtarzaniem, jak się mają zachowywać - powiedział tata.

Leżące psy zaczęły się przeciągać. Tata zszedł z ganku, żeby podrapać jednego za uszami.

- Wiem, żeś się nie mieszała do tego wygłupu, twój tata mi powiedział, że to sprawka panicza Henry'ego, no ale z ciebie też nie aniołek, zgadza się?

- Zgadza. Ale niech to licho, Harriet, mam trzynaście lat i uwierz mi, kiedy kobiety przysłane przez ciebie odchodzą, to jak myślisz, kto musi robić pranie, słać łóżka i ciągać odkurzacz po domu?

- Ty?

- Ano ja! I Maggie. Jeśli znajdziesz nam jakąś przyzwoitą osobę, to ja już sama dopilnuję, żeby nikt jej nie dokuczał. Dobrze?

- Co ja słyszę! Panna Susan faktycznie nam dorośleje. Niedługo będziesz młodą damą! Robisz się coraz wyższa i ładniejsza. A te niebieskie oczy! O Panie! Ani chybi, będziesz łamała serca!

- Ojej, dzięki. - Przez chwilę uśmiechałyśmy się do siebie. - Harriet? Mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie.

- Jak to robisz, że twoje warzywa tak pięknie rosną?

- Zdradzę ci małą tajemnicę. - Pochyliła się i szepnęła mi do ucha: - Śpiewam ziemi! - Widząc moje niedowierzenie, potwierdziła to raz

jeszcze. - Tak, śpiewam! Wszystkie tutejsze kobiety śpiewają ziemi. Ziemia jest matką, a matka żywi swoje dzieci. Czy nie tak?

- Tak, ale...

- Tu nie ma żadnych ale! Jak tylko śpiewasz na cześć swojej mamy, ona cię żywi. To ma sens, no nie?

- Cokolwiek to jest, z pewnością skutkuje. Nigdy w życiu nie widziałam takich arbuzów jak twoje!

- Idź, weź sobie jednego, żebyście mieli na kolację. Powiedz mamie, że piorunem jej kogoś wyszukam, dobrze? Może moja kuzynka Livvie okaże się na tyle stuknięta, żeby wziąć tę robotę. Nie wiem. Muszę sprawdzić.

- Dobrze! Dzięki! A mogę trochę kukurydzy?

- No pewnie. Zerwij sobie kukurydzy i parę pomidorów do sałatki.

Usłyszałam, jak chichocze; rozbawiło ją moje zuchwalstwo. Zeszła po schodkach i stanęła obok taty. „Ten dzieciak jest bystry” - dobiegły mnie jej słowa, gdy kładłam warzywa i owoc na podłodze pod tylnym siedzeniem.

- I uparty jak muł - odparł tata.

Pojechaliśmy do domu, wstępując po drodze do Piggly Wiggly po bochenek chleba i główkę sałaty. Następnie tata zatrzymał się przy Simmon's Seafood na grobli i kupił pięć funtów fladry oraz miks z mąki kukurydzianej.

- Myślisz, że potraficie z Maggie przygotować *hushpuppies** i pieczone ziemniaki, jeśli my z chłopcami przyrządzimy rybę? Bo mama pewnie już się położyła.

* *Hushpuppies* (ang.) - kulki zagniecione z ciasta z mąki kukurydzianej i smażone w głębokim tłuszczu (przyp. tłum.).

- Jasne, tato. Żaden problem. Mamy jeszcze kukurydzę, pomidory i arbuza!

Pokręcił tylko głową.

Jechaliśmy drogą, pogrążeni w myślach. Sygnalizacja przy moście zaczęła dzwonić, co oznaczało, że most zaraz się podniesie. Byliśmy bardzo blisko i mogliśmy zdążyć, ale tata postanowił nie ścigać się ze szlabanem, co zazwyczaj robił. Wysiedliśmy z samochodu, oparliśmy się o barierkę i obserwowaliśmy duży kuter, nadpływający od strony Wyspy Palm i zmierzający w stronę Zatoki Charlestońskiej. Z pokładu pomachali do nas

mężczyzna i kobieta. Odmachaliśmy im, a ja pomyślałam, jakby to było przyjemnie unosić się na wodzie i uśmiechać do mijanych ludzi. Szyję miałabym owiniętą białym szyfonowym szalem, a na nosie wielkie ciemne okulary.

Tacie wcale się nie spieszyło do domu - i kto miałby go za to winić? Nic nie mógł poradzić na to, że był wybuchowy; wolałabym tylko, żeby nie wybuchał tak często. Zachowywał się bardzo miło w stosunku do Harriet i wszystkich kobiet, które nam przysyłała. Zaczęłam się zastanawiać nad sposobem, w jaki biali traktują kolorowych.

- Tatusiu? Mogę o coś zapytać?
- Jasne, księżniczko. Co ci chodzi po głowie?
- Czemu Sadie nie korzystała z łazienki w domu?
- Ponieważ dziadek sobie tego nie życzył.
- Dlatego, że jest kolorowa? - spytałam.
- Tak - odparł.
- Śmierząca sprawa - orzekł Timmy.
- Pewnie, że śmierząca - potwierdził tata. - I głupia. Mógłbym wyremontować wygodkę, żeby była jak nowa, ale tego nie zrobię.
- Dlaczego? - zapytałam.
- Chodzi o zasadę - wyjaśnił.
- To znaczy, że nie naprawiasz wygodki, ponieważ i tak nie powinno jej tam być?

- Właśnie. Jest to jedna z wielu rzeczy, co do których nie mogę się porozumieć z waszym dziadkiem. Coś jest bardzo nie w porządku z tym światem.

Odgadłam, że myśli o pracy. Bryza była rozkoszna i zapragnęłam zostać tam przy balustradzie na zawsze, ale łódź już przepłynęła i za kilka minut most miał być przejezdny. Chciałam zadać jeszcze kilka pytań, zanim tacie minie nastrój do rozmowy.

- Tatusiu, dlaczego z nimi mieszkamy?

Westchnął głęboko, rozmyślając przez chwilę nad odpowiedzią. Potem, z niezwykłą u niego czułością, otoczył mnie ramieniem i przedstawił skróconą wersję wydarzeń.

- Kiedy byłem na wojnie, twoja mama pojechała do swoich rodziców. Dopiero co się pobraliśmy i mieliśmy mało pieniędzy. Wtedy cieszyłem się,

że mama ma gdzie mieszkać, i to za darmo. A potem, gdy wróciłem, spostrzegłem, jacy zrobili się słabi. Potrzebowali naszej opieki. Zrozum, niektóre zmiany wymagają czasu. Twój dziadek jest dobrym człowiekiem, wiesz? Jego poglądy na segregację są śmieszne, ale poza tym jest porządnym gościem.

- Chyba tak, ale ostatnio ciągle zrzedzi.

- No cóż, wasza babcia nie czuje się najlepiej i to go zapewne bardzo martwi. A wy bez przerwy robicie strasznie dużo szumu.

- Może następna gosposia będzie mogła korzystać z domowej łazienki - podsunęłam - jeśli z nim porozmawiasz.

- Będzie musiała, jeśli wygódka się zawali - wtrącił Timmy.

Popatrzyliśmy z tatą na siebie, myśląc to samo, i wszyscy troje parsknęliśmy śmiechem.

- Nie martw się, tatusiu - powiedziałam. - Niepoprawne dzieciaki Hamiltonów potrafią to załatwić jak należy!

Przez całą drogę do domu naśladowaliśmy z Timmym odgłosy walącego się budynku, a tata śpiewał razem z radiem. Budził we mnie na przemian, w równej mierze, śmiertelny lęk lub uwielbienie, a przynajmniej uwielbiałam go tamtego wieczoru. Nic tak nie wzmacnia lojalności jak spisek.

Do poniedziałku ułożyłam plan mający szanse powodzenia. Każdy odgrywał w nim jakąś rolę - z wyjątkiem Maggie, która oświadczyła, że nie zbliży się do wygódki, nawet gdyby miała tam znaleźć wór pieniędzy. W końcu, kiedy nazwałam ją zdrażczynią i tchórzem, niechętnie zgodziła się stanąć na czatach przy tylnych drzwiach. Ja miałam młot kowalski, Timmy łom, a Henry łopatę. Musieliśmy zaczekać, aż Tipa pójdzie do sklepu spożywczego, a stara Sophie zacznie chrapać. Mama odpoczywała. Nie wydawało mi się, żeby ją obchodziło, czy runie cały dom, a co dopiero wygódka. W tym okresie nie obchodziło jej nic, z nami włącznie. Upał i cięży tak mocno dawały jej się we znaki, że była bliska utraty zmysłów.

Nasza wygódka nie odznaczała się szczególnymi walorami, gdy mowa o konstrukcjach tego rodzaju. Miała dwie kabiny i dwoje drzwi, i choć wystawiona na wszystkie wiatry, przetrwała jakoś burze i niepogody zsyłane od dziesięcioleci przez Matkę Naturę. W dawnych czasach zapewne wygódka stała na tylnym podwórzu każdego domu, większość jednak wyburzono

przed 1963 rokiem. Teraz przyszła kolej na naszą.

Wygłosiłam przemowę, by zagrać moich braciszków do boju.

- Dobra, chłopaki, jak policzę do trzech, zaczniacie walić w to miejsce tutaj. Tylko nie rąbnijcie w siebie albo we mnie i pamiętajcie, że musimy działać szybko, bo inaczej przyjdzie mama i złoí nam tyłki! Jeśli walniemy porządnie i ta ściana runie, to może zapadnie się dach i sprawa załatwiona. Nie chodzi o to, żeby zrównać wychodek z ziemią; ma być tak, jakby się zawałił sam z siebie. Kapujecie? I żadnych wrzasków!

- Okay - odparli.

Na „trzy” wzięliśmy zamach. Jak było do przewidzenia, wystarczyło parę mocnych uderzeń, żeby cała wygóдка się zapadła. Powinnam zostać inżynierem budowlanym jak tata, pomyślałam. Spojrzeliśmy na siebie, zakryliśmy usta, tłumiąc okrzyki radości i pognaliśmy co sił w nogach do domu, by odłożyć narzędzia na miejsce. Byliśmy złani potem i bardzo dumni z naszego sprytnego i pomyślnie przeprowadzonego planu. Henry zmazał swą winę, biorąc udział w przedsięwzięciu i nawet Maggie chichotała podekscytowana. Kiedy wyszliśmy z garażu na podwórze, pomiędzy oleandrów wyłoniła się Alice Simpson. Stańliśmy jak wryci.

- Widziałam, coście zrobili - oznajmiła kpiącym, śpiewnym głosem.

- Co z tego? - rzucił Henry.

- Zamknij się - uciszył go Timmy i zwrócił się do naszej oskarżycielki.

- No więc co? Mamu swoje powody - dodał odważnie.

Popatrzyłam na nią. Była spłowiała blondynką o wyblakłych niebieskich oczach. Mama często powtarzała, że Alice Simpson wygląda jak kot, który połknął kanarka, i dopiero teraz zrozumiałam, co to naprawdę oznacza.

- Ja też mam swoje powody - powiedziała pani Simpson z przebiegłym uśmiezkiem. - Trzeba wypielić moje rabatki. Jeśli zgodzicie się wyrwać parę chwastów, Hank Hamilton nigdy się nie dowie o waszej niszczyciel-skiej działalności. To niezgodne z prawem, wiecie? Mogłabym zawiadomić władze.

- Bez obrazy, pani Simpson - przemówiłam ze śmiałością godną admirała - nikogo pani nie zawiadomi. Nie będziemy pielć pani grządek i może pani od razu iść i powiedzieć tacie. Nam to odpowiada, co nie, chłopaki?

- Pewnie!

Teraz dołączyła do nas również Maggie. Denerwowała się, co na to powie Tipa, ale nie zamierzała pozwolić, aby to okropne babsko szantażowało jej rodzeństwo. Alice osłupiała, widząc, że nie boimy się jej gróźb. Aż się zachłysnęła.

- A to dopiero! Nie wiem, co wstąpiło w te dzieciaki! Żeby rozwalić młotem wygodkę, a później jeszcze tak pyskować!

Odwróciła się na pięcie i kołysząc biodrami, zniknęła wśród oleandrów. Nie mogłam pojąć, dlaczego kobieta w tym wieku nie nosi stanika. Miała co najmniej trzydzieści pięć lat! I twierdziła, że jest pośredniczką w handlu nieruchomościami. Nie wynajęłabym od niej domu, nawet gdybym została bez dachu nad głową.

Przez kilka minut staliśmy, jakbyśmy wrosli w ziemię - a potem usłyszeliśmy trzaśnięcie siatkowych drzwi.

- Trzeba to uczcić - oświadczyła Maggie. - Chodźmy do Buddy'ego. Timmy, jeśli tam wejdiesz, funduję wszystkim colę.

- Umowa stoi! - zgodził się mój brat i poszliśmy.

Obejrzałam się jeszcze na stertę desek, papy i gruzu. Zadanie zostało wykonane. Można było odnieść wrażenie, że stara wygodka po prostu się zmęczyła i usiadła. Nie wyglądało to na złośliwy akt wandalizmu. Bynajmniej. Wyglądało na coś, co mogło się zdarzyć w naturalny sposób. Byłam zadowolona.

Aż do kolacji siedzieliśmy w swoich pokojach albo u przyjaciół, żeby Tipa dokonał odkrycia bez nas, co pozwalało uniknąć jego krzyków i wypytywań. Przy stole nikt nie poruszył tego tematu. Chrupaliśmy pieczonego kurczaka i zmiataliśmy z talerzy duszone pomidory z ryżem i fasolą jak gdyby nigdy nic. Zasłużyliśmy na Oscara za role Największych Łgarzy na Wyspie Sullivana. Pomyliśmy naczynia, mama poszła się położyć, Tipa poszedł zajrzeć do starej Sophie, Królowej Wyziewów, a tata poszedł na ganek poczytać gazetę. Wytarłszy tysiące widelców i talerzy, wyszliśmy we czwórkę na ganek, żeby trochę odetchnąć. Tipa siedział na jednym z metalowych krzesel, a tata leżał na kanapie.

- Czy to prawda? - dobiegło mnie pytanie taty.

- O czym rozmawiacie? - spytał Henry, ścigając się z Timmym do hamaka. - Zamawiam!

- Ech, posuń się, kurduplu - rzucił Timmy, włącząc z drugiej strony.
- Nie jestem kurduplem! - oburzył się Henry.
- Na litość boską, uspokójcie się, chłopcy - powiedział tata bez złości. -

Sophie i wasza mama już się położyły!

Maggie i ja klapnęłyśmy na huśtawkę w drugim końcu ganku.

- Chciałbym wam zadać pewne pytanie. Czy któreś z was, urwisy, wie coś o wygodce? - W głosie taty drżała z trudem powstrzymana wesołość. Był to znak, że należy łączyć jak z nut i robić uniki jak zawodowy bokser.

- Tatusiu, za pół roku skończę piętnaście lat. Trudno mnie zaliczyć do urwisów! - To powiedziała oczywiście Maggie, zacierając grzech kłamstwa urażoną postawą, która wszystkich irytowała. Maggie przy każdej okazji dawała nam do zrozumienia, że jesteśmy smarkaczami, ona zaś wielką damą.

- Darujcie sobie przemowy, tylko mi odpowiedzcie, dobrze?

- Co się stało? - spytałam. Pokerowa twarz.

- No cóż, wygląda na to, że dzisiaj, kiedy poszedłem na pocztę odebrać listy - zaczął Tipa tonem detektywa - ponieważ wszyscy w tej rodzinie są zbyt zajęci i zbyt ważni, żeby to zrobić, zawałiła się wygodka. Zauważyłem to, wracając. - Przyjrzał się naszym twarzom, szukając oznak winy.

- O, nie! Tym razem to nie ja! Byłem u Bubby i mogę to udowodnić! - Timmy kłamał bardzo przekonująco.

- Przypuszczam, że panicz Henry także ma alibi? - zagadnął tata.

- Aha, łowiłem kraby ze Steviem Durstem. Zapytaj jego mamę. Podwiozła nas do Breach Inlet.

- Dziewczęta? - rzucił tata.

- Och, zlituj się, tatusiu, nie zbliżyłabym się do tego paskudztwa, nawet gdybyś mi zapłacił!

Maggie nie skłamała. Miała czyste sumienie.

- Susan?

- W tym punkcie zgadzam się z Maggie. Jestem pewna, że można się tam nabawić gruźlicy. Wolałabym umrzeć na zatwardzenie!

- Nie musisz być taka ordynarna, Susan - zauważyła Maggie.

- Po czyjej jesteś stronie? - syknęłam.

- Być czy nie być gruźlikiem? Oto jest obstrukcja! - zawołał Timmy i obaj z Henrym wybuchnęli śmiechem, poszturchując się nawzajem. - Cóż jest w istocie suchotniczą rzeczą? Khe! Khe!

W tym momencie chichotaliśmy już wszyscy, nawet tata. Ale dziadek Tipa był wściekły. Wstał gwałtownie i ruszył ku drzwiom. Odwrócił się do nas, nabrał tchu i zaczął się jąkać. Poczułam lekkie wyrzuty sumienia z powodu psikusa, jakiego mu splełaliśmy. Jego letnie spodnie w paseczki były wymięte, a na przodzie koszuli widniała spora plama - bardzo nietypowe dla człowieka tak pedantycznie schludnego. Ale moja skrucha wyparowała, gdy rzucił jedną ze swoich kołtuńskich bomb.

- Wydaje się wam, że jesteście zabawni, co? No to coś wam powiem: jeśli myślicie, że wasz tata sprowadzi tu następną Murzynkę i że będzie używała mojej łazienki, to się grubo mylicie, ot co! Po moim trupie! To nadal jest mój dom!

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Zapadła cisza. Nawet my, choć mieliśmy na wszystko gotową odpowiedź, nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Popatrzyliśmy na naszego staruszka, który składał gazetę, najwyraźniej zamierzając udać się na spoczynek.

- Co teraz zrobimy, tatusiu? - zapytałam.

- Dobudujemy łazienkę na tyłach kuchni, oto, co zrobimy. Dziś po powrocie do domu sprawdziłem rozmieszczenie rur i to wcale nie będzie takie trudne. Wy, chłopcy, możecie pomóc mnie i wujkowi Louisowi. Będzie parę tygodni spokoju.

- Świetnie! - powiedział Henry.

- Żaden problem, tato - dodał Timmy.

- A wy, dziewczęta, możecie sprzątać i dawać nam jeść. Odpowiada wam taki plan?

- Tak, pewnie - odparłam - tylko co na to powie Tipa?

- Dla ciebie dziadzio Tipa, moja panno!

- Susan ma rację, tatusiu - wtrąciła Maggie. - Dziadek będzie się pieklił, że wydajemy pieniądze na kolorową kobietę.

- To już moje zmartwienie. Zamknijcie drzwi na klucz, dobrze? Pójdę zajrzeć do waszej mamy. Niezbyt dobrze się dzisiaj czuje. - Spojrzał na nas, przynajmniej raz zadowolony z tego, co widzi. - Do zobaczenia rano! - zawołał przez ramię.

Drzwi zamknęły się cicho. Maggie podeszła do kanapy, położyła się i udała, że zasypia. Chłopcy szeptali i docinali sobie w zapadającym zmierzchu. Nad podwórzem migotały świetliki, ocean szumiał. Kolejny dzień dobiegał końca.

Przesunęłam się na huśtawce i oparłam głowę o poduszkę, odwracając się od rodzeństwa, żeby trochę pomarzyć. Rozmyślałam o wizycie w domu Harriet i zastanawiałam się, kto będzie naszą następną ofiarą.

Ojciec wymyślił dobre rozwiązanie. Miał rację, przynajmniej w tej sprawie. Potrafił być niezłym sukinsynem, kiedy ogarniał go taki nastrój, ale poglądy Tipy były po prostu niesłuszne. Co za różnica, gdzie kto siedzi w autobusie albo z której fontanny pije wodę? Przede wszystkim zamierzałam gruntownie i na zawsze przekląć dziadka, gdyby zrobił awanturę o przyszłą łazienkę dla naszej przyszłej gospodyni. Starym ludziom zapewne trudno było wyczuć, kiedy stają się nieznośni i zacofani. Wątpiłam, czy ojcu uda się wpłynąć na charakter dziadka.

Wszyscy poszli spać, z wyjątkiem Timmy'ego i mnie. Wciąż był podniecony zawaleniem wygodki i chciał o tym mówić. Rozmawialiśmy szepciem o wydarzeniach dnia. Byłam za młoda, by rozwiązywać poważne problemy, ale potrafiłam machać młotem jak fachowiec.

- Bum! I ściana się zapadła! - powiedział Timmy.
- Szszsz! Usłyszają cię!
- Myślisz, że tata umie zbudować łazienkę? - zapytał.
- Tata wszystko umie zbudować, śmierdząca gębo, jest inżynierem.

Zresztą tak naprawdę zajmie się tym wujek Louis. Przestań chuchać.

- Odczep się. Myślisz, że Tipa się wścieknie?
- Jeszcze jak. Ale skoro tata się tym nie przejmuje, my też nie musimy.

W tej właśnie chwili dostrzeżliśmy wóz policyjny, hamujący na tylnym podwórzcu domu Alice Simpson. Przypadliśmy do podłogi, żeby obserwować. Z samochodu wysiadł szef policji, Albert Johnson, znany w okolicy jako Gruby Albert, i zaczął wchodzić po stopniach. Zza oleandrów połykiwały jedynie jego ciężkie, czarne buty - przepisowe policyjne obuwie. Może przyszedł nas aresztować? Pomyślałam: „Och nie, pójdziemy do poprawczaka!”. Ale okna Alice były otwarte na oścież i wszędzie paliło się światło. Przez grafitową ciemność płynęła muzyka zespołu „Peter, Paul and

Mary”. Z nosami przy podłodze patrzyliśmy w okno salonu. Stali tam razem, śmiejąc się. Wręczył jej jakąś torebkę. Dała mu coś do picia i zgasiła kilka lamp. Parę minut później zobaczyliśmy ich znowu w salonie. Usiedli na sofie, a do nas dotarła smuga przedziwnego zapachu, jakby płonącego sznurka i wonnych przypraw. Palili coś w fajce.

- Ona nie każe nas aresztować - odezwał się Timmy najciszej jak potrafił. - Jak myślisz, co oni tam, do diabła, robią? - Widzieliśmy ich teraz tańczących, bardzo blisko. Chyba się całowali.

- Jeszcze tego nie robią, ale niedługo zaczną. Mama miała rację. Ta kobieta nie ma wstydu. Wszyscy wiedzą, że Gruby Albert jest żonaty. Cholera, on ma czworo dzieci!

- To wyjaśnia, o co chodziło tacie.

- A co powiedział? - Była to dla mnie nowość.

- Że zawiasy w jej drzwiach muszą być wymieniane mniej więcej co miesiąc.

- Mój Boże, Timmy, czy wiesz, co to oznacza?

- Co? Że mamy miejsca w pierwszym rzędzie na przedstawienie nie z tej ziemi?

- Nie! Że mieszkamy w sąsiedztwie autentycznego burdelu! Rany Julek.

3.

Prawniczka

1999

Specjalnością mojego młodego wieku były drobne akty sprzeciwu. Należał do nich między innymi epizod z wygódką. Ale lata nauki w katolickiej szkole i daremne próby przeciwstawienia się systemowi utemperowały mój charakter, dlatego myśl o rozwiązaniu małżeństwa napelniała mnie lękiem. Nie mogłam się zdobyć na wniesienie sprawy przeciw Tomowi.

Od tamtego popołudnia u Maggie upłynęło kilka tygodni, a ja jeszcze nie zwróciłam się do żadnego adwokata. Nocami rozmyślałam o tym, co mogłaby mi zalecić Livvie. Niemal słyszałam, jak namawia mnie do działania: decyzja zapadła, pogódź się z faktami, rusz z miejsca. Ale ja nie potrafiłam ruszyć z miejsca. Wiedziałam, że gdy do akcji wkroczą prawnicy, nie będzie już odwrotu.

Wydawało mi się, że zaoszczędzę sobie bólu, korzystając z usług któregoś z naszych wspólnych znajomych, że życzliwa twarz ułatwi sprawę. Odbyłam kilka rozmów telefonicznych i spotkałam się z paroma kolegami Toma, których znaliśmy od czasów studiów. Z wyżyn swego naukowego doświadczenia uświadomili mi, że wielu mężczyzn przechodzi fazę „uganiania się za kociakami” i Tom zapewne szybko się tym znudzi, a wtedy wróci do domu. Powinnam przeczekać, mówili.

Pewnie, niech sobie fruwa po całym Charlestonie i cieszy się podrywkami, a ja w tym czasie zrobię mu na drutach kilka par ciepłych skarpet.

- Nie ma mowy - odpowiadałam.

Jeden szczególnie ograniczony adwokat, który grał razem z Tomem w drużynie softballowej, z góry odmówił wysłuchania moich racji, podając „drużynę” jako powód konfliktu interesów. Ta idiotyczna, kompletnie

pozbawiona polotu liga piłkarska nadawała sobie nazwy w rodzaju: „Stróż Prawa”, „Medycy”, „Domatorzy” i „Numeranci”. Proszę bardzo. Prawnicy, lekarze, agenci od nieruchomości i księgowi. Uroczę.

- No więc, Haroldzie, po co właściwie się ze mną umówiłeś? - Pochyliłam się naprzód w skórzanym fotelu, ustawionym naprzeciw orzechowego biurka, i zauważyłam utkwione w sobie spojrzenie, które zapewne miało być uwodzicielskie. Szczęściara ze mnie.

- Miałem nadzieję, że potrzebujesz tylko pomocnego ramienia. Słyszałem, że ostatnio fantastycznie wyglądasz i chciałem się przekonać, czy to prawda.

- Haroldzie Small, przecież jesteś żonaty. Nie sądzę, aby Marłę zachwyciła wiadomość o użyczeniu mi ramienia, które należy do niej. - Mój głos ociekał sarkazmem.

- W każdym razie nie mogę cię reprezentować. Konflikt interesów.

- Jakich? - spytałam. - O co wam wszystkim chodzi? Że jesteście kolegami z boiska?

- Przykro mi. Czułbym się po prostu skrępowany, występując przeciw Tomowi. Gramy w tej samej drużynie.

- Wybacz. Odmawiali mi już lepsi prawnicy niż ty, Haroldzie. - Wstałam i ruszyłam ku drzwiom. - Powodzenia. A tak nawiasem mówiąc, widziałam, jak grasz. Nie trafiłbyś piłką nawet w ścianę stodoły.

Moja lista starych znajomych prawie się nie różniła od listy Maggie i Granta, a poza tym do niczego nie prowadziła. Rozmowy brzmiały coraz bardziej absurdalnie. Dolały jednak oliwy do ognia mojej odwagi. Musiałam rozpocząć poszukiwania na własną rękę. Pod wpływem impulsu, wywołanego przez plakat z biblioteki, zadzwoniłam do schroniska dla maltretowanych kobiet i poprosiłam kierowniczkę. Co mi to szkodziło? Ktoś taki jak ona z pewnością lepiej się orientował, co ma zrobić kobieta, która chce zacząć nowe życie. Powinnam była zatelefonować tam od razu. Podala mi nazwisko znakomitej pani adwokat, która przed dwoma laty przeprowadziła się ze stanu Vermont do Charlestonu. Michelle Stoney cieszyła się opinią najbardziej fachowej i najgroźniejszej feministycznej prawniczki w mieście; prowadziła nieprzyjemne sprawy, takie jak uprowadzenia dzieci przez rodziców, stosowanie przemocy wobec członków rodziny i uchylanie się od

placenia alimentów.

Jankeska feministka, pomyślałam. Doskonale. To mu powinno napędzić porządnego stracha.

Tamtej nocy, kiedy leżałam w łóżku, mierząc centymetrem uda i odnotowując ich zmniejszony obwód, pomyślałam o mojej pani adwokat i wybuchnąłam śmiechem. Wcześniej zadzwoniłam do niej i odbyłyśmy kilkunutową rozmowę. Michelle Stoney sprawiała wrażenie kompetentnej i pełnej zrozumienia. Nie mogłam się doczekać spotkania z nią. Umówiłyśmy się na wpół do piątej następnego dnia. Wreszcie zaświtała mi jakaś nadzieja.

Wjeżdżając na parking przed jej biurem po zachodniej stronie Ashley River, byłam jednym rozedrganym kłębkim czystej, pulsującej, nerwowej energii. Jakimś cudem zdołałam dotrzeć z samochodu do biura, nie dostając konwulsji.

Poczekalnia ogromnie mi się spodobała. Wyglądała solidnie i wyczuwało się w niej atmosferę sukcesu, a zarazem kobiecości. Pod ścianami wyłożonymi mahoniową boazerią stały miękkie wyściełane sofy. Między olbrzymimi oknami, przysłoniętymi łososiowym aksamitem, dostrzegłam regały pełne książek, które mogły mieć ze sto lat.

Wielki bukiet świeżych kwiatów zdobił środek okrągłego stołu, na którym leżały broszury z informacjami o prawie rozwodowym. Spodziewałam się chyba, że zobaczę na ścianach portrety Glorii Steinem i Susan Faludi. Tymczasem wisiały tam zdjęcia przedstawiające rodziny z psami na skalistym wybrzeżu, prawdopodobnie w Maine albo jakimś innym odległym miejscu.

Elegancka młoda sekretarka zapisała moje nazwisko, zapewniła, że pani Stoney przyjmie mnie za minutę i zaproponowała cappuccino lub espresso, za które podziękowałam.

- Mam też kawę bezkofeinową. Na pewno się pani nie napije?
- Nie, dziękuję.

Mogłaby tu śmiało założyć kawiarenkę, pomyślałam i sięgnęłam po numer „People”. Rozległ się brzęczyk interkomu i sekretarka podniosła słuchawkę.

- Tak, pani Stoney, w tej chwili.

Poczułam, że zaczynają mi puszczać nerwy. Moje ręce zwilgotniały, a język przyrósł do podniebienia.

- Pani Hayes? Pani Stoney teraz panią przyjmie. Proszę za mną.

Ruszyłam za nią krótkim korytarzem, wyłożonym puszystym dywanem, który tłumiał nasze kroki. Minęłyśmy bibliotekę, gdzie dwaj asystenci pracowali pilnie przy komputerach, toaletę i niedużą kuchnię. Otworzyły się podwójne drzwi - i wreszcie ją zobaczyłam.

- Dziękuję, Donna. - Sekretarka odwróciła się i odeszła. - Jestem Michelle Stoney, pani Hayes. - Mocno uściśniła moją dłoń i gestem zaprosiła mnie do pokoju. - Napije się pani czegoś? Może kawy?

Miała idealne zęby, na pewno wybielone metodą laserową. Jej wiek oceniłam w przybliżeniu na czterdzieści osiem lat. Ciemne włosy, zaczesane do tyłu, spięte były jedną z najpiękniejszych szylkretowych spinek, jakie w życiu widziałam.

- Proszę mi mówić Susan - powiedziałam lekko drżącym głosem. - Dziękuję, jest za gorąco na kawę.

Usiadłam na wprost biurka, a ona zajęła identyczne krzesło obok mnie. Spod mankietu granatowej garsonki w wąskie paseczki wyzierał zwykły rolex. Była całkiem ładna na swój dyskretny sposób.

- A może dietetyczną pepsi? Mam ich w lodówce całą tonę.

- Tak, poproszę - odpowiedziałam, pokrzepiona wyborem napoju. - Bardzo chętnie.

Upuściłam torebkę i paczka papierosów wypadła z niej na perski dywan, między nasze krzesła. Oczy Michelle Stoney rozbłyły.

- O! Palisz?

Pobladłam z zażenowania, a ona ciągnęła:

- Od wieków nie miałam papierosa w ustach. Rzuciłam palenie, ale od czasu do czasu...

- Proszę się poczęstować! - Podsunęłam jej paczkę i zaczęłam szukać zapalniczki. - Bez przerwy próbuję rzucić, potem znowu zaczynam, no i tak jakoś wychodzi... wiadomo, jak to jest.

Wyjęła z dolnej szuflady wielką kryształową popielniczkę i przystąpiłyśmy do rzeczy. Zapaliłyśmy po niskosmołowym niszczycielu płuc

i otworzyłyśmy puszki ze schłodzoną substancją chemiczną. Moja prawniczka niewątpliwie miała nadzwyczajny gust. Rozpoczęłam swą żalostną epopeję. Michelle notowała, marszcząc brwi.

- Pamiętasz dokładną datę? - spytała.

- Tak. Środa, dwudziestego ósmego kwietnia. O drugiej miałam przedstawić program edukacyjny związany z pomocą dla samotnych matek. Rano jak głupia zostawiłam skoroszyt z materiałami na kuchennym blacie. W pracy, gdy otworzyłam teczkę, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Spędziłam nad tym cholerstwem pół nocy.

- Każdemu zdarza się o czymś zapomnieć.

- To prawda. Tak czy owak, dochodziła już jedenasta, prawie pora lunchu. Powiedziałam sekretarce, że skoczę do domu i postaram się wrócić jak najszybciej. Wsiadłam do samochodu i pojechałam na Queen Street, gdzie mieszkamy. Zamierzałam tylko zgarnąć papiery i natychmiast wracać. Weszłam tylnymi drzwiami, postawiłam torebkę na podłodze przy schodach i wtedy usłyszałam jakiś dźwięk na górze. Pomyślałam: O Boże, w domu jest złodziej! Wzięłam pogrzebacz sprzed kominka. Cała się trzęsłam.

- Z pewnością byłaś przerażona!

- Jeszcze jak! Ale nadstawiłam uszu i usłyszałam głosy. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Beth z jakimś chłopakiem, i zaczęłam się skradać po schodach, gotowa zabić każdego, kto by się ośmielił coś zrobić mojej małej!

- Ile lat ma twoja córka?

- Trzydzieści, prawie czterdzieści.

- Więc już nie taka mała, w dzisiejszych czasach.

- Akurat! No, w każdym razie, kiedy dotarłam do szczytu schodów, zorientowałam się, że głosy dochodzą z mojej sypialni. Nie mogłam uwierzyć, że robi coś takiego w mojej sypialni!

- Coś w rodzaju skrajnego buntu, prawda?

- Właśnie. I wtedy nagle do mnie dotarło, że to nie Beth, tylko Tom! Usłyszałam tę kobietę, powtarzała: „Och, Tom! Weź mnie! Tak! Mój tygrysie!”. Wyobraża pani sobie?

- Dobry Boże. I co zrobiłaś?

- Najgłupszą rzecz pod słońcem. Otworzyłam drzwi i przyłapałam ich! Dlaczego tak postąpiłam?

- Ja prawdopodobnie zrobiłabym to samo. Nie da się opanować przemożnej chęci zanegowania tego, o czym się już wie.

- Być może. Tak czy owak, przestał z nią robić to, co powinien robić ze mną, bo kiedy się odwrócił, zobaczył mnie w drzwiach. Ona usiadła, a na mój widok skuliła się na łóżku i schowała głowę pod poduszkę. Chyba się bała, że jej przyłożę pogrzebaczem, czego zresztą byłam bliska. Krzyknęła: „Och, nie!”, a on: „Co ty tu robisz, do diabła?”. Odpowiedziałam: „Mieszkam tutaj”. I zaczęłam wyjaśniać, po co przyszłam, ale nagle pomyślałam: „Co ja wyprawiam? Zastałam go w łóżku, w naszym łóżku, z tą dziwką, więc to on powinien się tłumaczyć, nie ja!”.

- Co było dalej?

- Zeszłam na dół i czekałam na niego, ale wyszedł razem z nią.

- To cię z pewnością przygnębiło.

- Nie da się zaprzeczyć. Byłam tak odrętwiała i chora, że nie miałam siły wrócić do pracy. Więc zrobiłam to, co kobiety zwykle robią w chwili ciężkiej próby. - Spojrzała na mnie i dokończyłam: - Zaczęłam sprzątać, gdzie popadło.

- Klasyka - zauważyła.

- Fakt. Pojawił się znowu około wpół do trzeciej. Pewnie myślał, że jestem w pracy i nie będzie musiał ze mną rozmawiać. Tymczasem ja sprzątałam w kuchni. Kiedy go zapytałam, jak mógł zrobić coś takiego mnie, sobie, naszej rodzinie, to wie pani, co odpowiedział? Że mu przykro, iż ich przyłapałam. Nie było mu przykro, że zniszczył nasze życie! Spakował trochę rzeczy i odszedł. Tak po prostu.

Nie dziwiło mnie, że nie zapytała o buteleczkę po Aramisie napełnioną *eau de siusiu* - nikomu o tym nie powiedziałam. Nawet ja zdawałam sobie sprawę, że przeszarżowałam. Byłam jednak zaskoczona, że nie wspomniała o szczoteczce do zębów, ponieważ wiedział już o tym cały Charleston. Chyba trochę za bardzo się przechwalałam i wieść obiegła miasto. Szczerze mówiąc, ludzie zatrzymywali mnie na ulicy albo w sklepie i pytali, czy to prawda. Ten pojedynczy, mizerny akt zemsty podniósł mnie do rangi kogoś w rodzaju kultowej postaci wśród zdradzonych kobiet. Kontynuowałam wywlekanie spraw rodzinnych, nie zastanawiając się nawet, czy Michelle Stoney podejmie się prowadzenia mojej sprawy.

- Tak się wtedy zdenerwowałam, że zaczęłam mu pomagać w pakowaniu. On upychał koszule i garnitury do pokrowca na ubrania, a ja poszłam do łazienki i wygarnęłam całą stertę jego rzeczy z szafki. Chwyciłam jego szczoteczkę do zębów, przyglądałam jej się przez chwilę, a potem wyszorałam nią klozet. I to porządnie, wokół krawędzi, wszędzie. Później wrzuciłam ją do torby z przyborami do golenia.

Doświadczenie kazało mi przerwać, choć Michelle uśmiechała się od ucha do ucha.

- Pani Stoney...

- Mów mi Michelle.

- Michelle, mój mąż uważa się za charlestońskiego Perry'ego Masona i myśli, że nikt nie zechce wystąpić w sądzie przeciw niemu. Jeżeli to stanowi dla ciebie problem, powinnaś mi o tym teraz powiedzieć.

- Susan, wybacz mi to, co teraz powiem, ale twój mąż jest przede wszystkim wyjątkowym okazem skunksa, a dopiero potem prawnikiem. Z przyjemnością zajmę się twoją sprawą. - Odchyliła się z uśmiechem na oparcie krzesła i wypuściła ku sufitowi kłąb sinego dymu. - Musisz zrobić dwie rzeczy. Postaraj się od tej chwili rejestrować wszelkie kontakty z tym człowiekiem. Czy pojawia się, kiedy powinien? Czy okazuje wrogość? Tego typu sprawy. Po drugie, spisuj jak najdokładniej wszelkie wydatki. Prowadź porządny dziennik.

- Tyle potrafię. Już wcześniej to robiłam. Lubię cię, Michelle. Ufam ci.

- Możesz mi ufać bardziej niż własnej matce.

- Wiesz, podobno zamieszkali razem. Ona ma dwadzieścia trzy lata i implanty piersi. Na dobrą sprawę to on jest pedofilem.

- O rety.

- Wiem, że nie powinnam wałkować tego tematu, ale wciąż trudno mi uwierzyć, że ich przyłapałam. Wykrzykiwała jego imię tym swoim bezbarwnym, piskliwym głosikiem, a on porykiwał: „Tak! Tak!”. Wściekłość człowieka ogarnia! Wyobrażasz sobie, co czułam? Jak mam się pozbyć z głowy tego obrazu? Chciałabym przegonić tego faceta kopami w tyłek aż do Kalifornii.

- Możemy to zrobić nawet bez zmiany obuwia. Pytanie brzmi, do czego zmierzamy? Czy którekolwiek z was pragnęłoby pojednania?

- Wykluczone.
- Jesteś tego zupełnie pewna?
- Tak. Roztrząsałam tę sprawę na wszystkie strony i wiesz, czego nie powiedziałam nawet własnej siostrze?
 - No, powiedz.
 - Tom już dawno przestał mnie kochać. Nie wiem, jakim sposobem nasze małżeństwo trwało tak długo. Ale teraz jestem pewna, że nie chcę związku, w którym mój mąż uważa mnie za kulę u nogi, przejawiając przy tym upodobanie do młodych nimfomanek. W pewnej mierze to niewątpliwie moja wina. Chodzi mi o to, że spoglądając wstecz, przypominam sobie wiele sytuacji, kiedy mogłam się bardziej postarać. Ale po prostu tego nie robiłam, nawet nie wiem dlaczego. Może byłam zbyt zmęczona prowadzeniem domu, pracą na cały etat i wychowywaniem córki, żeby cytować słowo w słowo „Radość seksu”, rozumiesz, co mam na myśli?
 - Bardzo dobrze rozumiem.
 - O dziwo, nigdy nie narzekał. Za to znalazł sobie Karen. Wiem, że wielu mężczyzn pod pięćdziesiątkę tak postępuje, ale nie musiał tego robić w naszym domu, w naszym łóżku. Gdybym nie wróciła po papiery, nie dowiedziałabym się o niczym, choć wydaje mi się, że mężczyźni, którzy rzną swoje laleczki we własnych domach, w głębi serca pragną zostać przyłapani.
 - Możliwe. Nie wiem, ale już to kiedyś słyszałam.
 - W każdym razie nasze małżeństwo od lat znajdowało się w stanie *rigor mortis*. A ja chyba się łudziłam, że przyjdzie czas, kiedy znowu wszystko będzie dobrze. Przeżywalismy wzloty i upadki, jak każdy. Ale stało się inaczej. Miałam mu za złe, że wymaga ode mnie zajmowania się wszystkim. A on miał mi za złe, że mam mu to za złe. Nie rozmawialiśmy z sobą; pławiliśmy się w Rzece Sarkazmu. Co gorsza, zapadało między nami pełne urazy milczenie. Przestałam mu się podobać, nawet gdy próbowałam zmienić wygląd. Po prostu już mnie nie chciał. Nie pasowałam do jego fantazji.
 - Do jego fantazji?
 - Mam taką teorię, że ludzie poślubiają swoje fantazje.
 - Jak to?
 - No cóż, zasada jest taka: facet szaleje za kobietami z obfitym biustem, ty masz duży biust, zaczyna szaleć za tobą. Albo ubóstwiał wielkie

niebieskie oczy i mięso z ostrym sosem, ty przyrządzasz niesamowite *bolognese*, a wtedy lubudu, on spogląda w twoje niebieskie oczy i odtąd należy do ciebie na zawsze, to znaczy, dopóki nie przypalisz mu kielbaski, gra słów niezamierzona.

- Oczywiście.

- Tak czy owak, ja już nie pasuję do jego fantazji i prawdopodobnie nigdy nie będę pasowała.

- To, że ktoś nie pasuje do czyjejś fantazji, jest słabym usprawiedliwieniem dla niewierności.

Miała rację. To nie było zabawne. Było otrzeźwiającyce.

- Moja rodzina mieszka w tym mieście od ponad dwustu lat, a on upokorzył mnie przed wszystkimi znajomymi - powiedziałam. - Gdziekolwiek się obróciłam, ludzie, których znam całe życie, zaczynali szeptać na mój widok albo nie mogli się doczekać, by mnie zawiadomić, że widzieli Toma z Karen. Nie wiem, co mu zrobiłam, że tak mnie rani. Może nie byłam idealną żoną, ale nie zasłużyłam na coś takiego. A jakby tego było mało, uchyla się od zobowiązań finansowych. Właściwie to dlatego postanowiłam uzyskać pomoc prawną.

Pieniłam się jak nurt rzeki Kolorado.

- Tak, opowiedz mi o tym. Czy przysyła ci pieniądze co miesiąc? A może musisz do niego chodzić?

- Na początku chyba czuł się winny, że odszedł, więc zostawiał pieniądze na koncie i z tego płaciłam rachunki. Ale to się już skończyło. Od dwóch miesięcy nie dokonał wpłaty. Teraz wymyślił, że będzie łożył na nasze utrzymanie, ale muszę żyć na tym samym poziomie co on. Czy to zgodne z prawem? To znaczy, czy będę musiała sprzedać dom, jeśli on zamieszka w kawalerce?

- Nie. Prawo Karoliny Południowej pozwala ci na więcej. Jak długo byliście małżeństwem?

- Szesnaście lat.

- Czy wniosłaś jakiś wkład do jego kariery zawodowej?

- Tak sądzę. Zarabiałam na nasze utrzymanie, kiedy studiował prawo. A już z pewnością usmażyłam górę steków dla klientów i wspólników.

- Hmm, nieźle. Czy mogę się poczęstować jeszcze jednym papierosem?

- Ależ oczywiście!

Polubiłam tę kobietę. Bardzo. Dzięki niej mogłam sobie ułożyć następne dwadzieścia lat życia i zapewnić przyszłość Beth.

- Dzięki. Czy zawsze mieszkałaś w domu przy Queen Street?
- Kupiliśmy go pół roku po tym, jak Tom wszedł w spółkę z czterema kolegami. Niedługo przedtem wróciliśmy do Charlestonu. Michelle?
- Tak?
- Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało rozpaczliwie, ale potrzebuję umowy o separacji z zapewnieniem środków do życia dla mnie i córki już teraz albo w najszybszym możliwym terminie. Kończą mi się pieniądze, a wolałabym nie brać pożyczek. Nie wytrzymam tego, jeśli będę musiała ciągle żebrać u niego o zapłacenie rat za dom albo czesnego w szkole Beth. Dlaczego on nam to robi?

Po policzkach popłynęły mi łzy i Michelle podała mi chusteczkę.

- Takie sytuacje zdarzają się częściej, niż ci się wydaje. Wszystko da się załatwić. Pamiętaj, czas leczy rany. Naprawdę. Potrafię przemówić twojemu mężowi do rozsądku.
- Dziękuję. Mówię poważnie.
- Wiem. - Poklepała mnie po ramieniu. - No dobrze, a teraz opowiedz mi dokładnie słynną historię ze szczoteczką. Uwielbiam ją.

Naszkiecowanie budżetu zajęło mi trzy dni. Czy powinnam obciążyć Toma rachunkami za łagodne środki nasenne, które musiałam zażywać, ponieważ przez niego nie mogłam w nocy zasnąć? Czy powinnam dopisać codzienne porcje rozweselającego chardonnay, które sączyłam, oglądając wiadomości o jedenastej? Zaczęłam prowadzić pamiętnik, co okazało się oczyszczającym zajęciem. W dzieciństwie robiłam to przez lata. Wówczas pamiętnik pomógł mi zachować zdrowe zmysły, więc i teraz nie mógł zaszkodzić.

Przesłałam szkic budżetu nieustraszonej mecenas Stoney, która poszerzyła go o piętnaście procent, stwierdzając, że nie uwzględniłam takich wydatków, jak wakacje, niespodziewane choroby, bezpłatne urlopy i tym podobne. Tom nie był zachwycony, gdy go zawiadomiła, że mnie reprezentuje.

- Jeżeli myślisz, że zapłacę rachunek Michelle Stoney, tej nienawidzącej mężczyzn, jadowitej lesbijskiej suki z piekła rodem, obie możecie mnie pocałować prosto w dupę! - rozdarł się na mnie przez telefon. Dzwonił z samochodu.

- Co mówisz? Tom, mój drogi, są takie zakłócenia, że prawie cię nie słyszę - skłamałam. - Czy powiedziałeś, że Michelle może cię pocałować w dupę? Przekażę jej to. A najlepiej sam jej to powtórz.

- Teraz nie dostaniesz ode mnie ani centa, Susan! Naprawdę mnie wkurzyłaś!

- Cała się trzęsę ze strachu. Posłuchaj, co ci powiem. Gównu mnie obchodzi, czy jesteś wkurzony. Zapłacisz rachunek Stoney i podpiszesz uczciwą umowę ze mną. W najbliższym czasie. Inaczej moi dwaj krzepcy bracia chętnie to z tobą przedyskutują. Wybór należy do ciebie. I jeszcze jedno, nigdy więcej nie mów do mnie w ten sposób. Jesteś napastliwy, cukiereczku, a jadowitej suce mogłoby się to nie spodobać.

- Grozisz mi?

- Nie. Informuję cię.

Trzasnęłam słuchawką. Wspaniałe uczucie.

Nie widziałam Maggie od kilku tygodni. W następną niedzielę wstałam wcześniej, pojechałam na wyspę i spotkałyśmy się w kościele. Zabrałam parę artykułów ze starych gazet, żeby jej pokazać. Po mszy ukloniłyśmy się żyjącym jeszcze koleżankom naszej matki, starszym paniom z Towarzystwa Ołtarzowego, i postanowiłyśmy pojechać na drugie śniadanie do restauracji Billy'ego „Back Home” za mostem. Lokal Billy'ego stoi po prostu przy drodze. Zawsze jest tam kolejka, ale na jedzenie warto poczekać. Wnętrzu dodają uroku mrugające lampki choinkowe, fotografie o tematyce rybackiej i wielkie sanie wiszące pod sufitem, dlatego zostawia się te ozdoby na cały rok. Wprowadzają odświeżny nastrój.

Drugie śniadanie jest tutaj określeniem umownym, ponieważ u Billy'ego nie podaje się drinków Mimoza ani croissantów. O, nie. Na Południowym Wybrzeżu obowiązuje zawieszisty sos do każdej potrawy - biskwity, szynka, łuskana kukurydza pływająca w kałuży „mieszanki przedzawałowej”. Kiedy człowiek spożyje takie danie, spływa ono do żołądka jak ciekły cement

i zalega tam tygodniami, wpytując o drogę do arterii i bioder. Zamierzałam stawić opór. Po jakichś dziesięciu minutach zwolniła się jedna nisza i dostałyśmy karty potraw.

- Boże, czy nie marzysz o choćby jednym takim biskwicie? - Maggie oblizwała się, zerkając na mijające nas tace, obładowane biskwitami wielkości ludzkiej głowy, tłustymi kielbaskami i chrupiącymi waflami z bitą śmietaną.

- Nie ja, złotko - odparłam. - Poproszę sałatkę bez zaprawy i dietetyczną pepsi z cytryną - zwróciłam się do kelnerki.

Kobieta, nosząca siatkę na włosach i ubrana w rozciągniętą do granic możliwości koszulkę z krótkimi rękawami, do której przypięto plakietkę z imieniem DOLORES, cmoknęła z dezaprobatą.

- A ty, kochaneczko? - spojrzała na Maggie.

- Jedno jajko w koszulce, pasek dobrze wysmażonego bekonu i razową grzankę bez masła. Do tego czarna kawa.

- Podać kukurydzę?

- Nie, dziękuję.

- Przysmażane ziemniaki?

- Nie, dziękuję.

- Musicie umierać z głodu, dziewczyny. Zaraz przyniosę.

- Przychodzimy tu dla atmosfery - wyjaśniłam. - Proszę nam wybaczyć. Jesteśmy anorektyczkami, w naszej rodzinie to dziedziczne.

Maggie zachichotała. Tęga Dolores zmierzyła nas spojrzeniem i odwróciła się na pięcie. Patrzyłyśmy za nią, gdy kołyszac obfitym zadkiem, zbliżyła się do kuchennego okienka i przypięła przy nim nasze zamówienie.

- O co jej chodzi? - spytała Maggie. - Nie wie, że połowa kalorii pochłanianych przez kobiety pochodzi z zapraw do sałatek? Przeczytałam o tym w czasopiśmie.

- Dolores jest onieśmielona naszym atrakcyjnym wyglądem. Dajmy jej duży napiwek, niech się naprawdę zirytuje.

- Widzę, że odzyskujesz swój dawny tupet. Mój Boże, od lat nie byłaś taka szczupła! Jak twoje sprawy?

Zapaliłam papierosa i wydmuchnęłam dym w bok, gdy zaczęła machać ręką.

- Czy mówiłam ci ostatnio, jaka jesteś mądra?

- Nie, powiedz. - Maggie uśmiechnęła się i wyprostowała, czekając na komplement.

Dolores z głuchym stuknięciem postawiła przede mną pepsi i nalala Maggie kawy. Potem szurnęła po stole moją sałatką i talerzem Maggie.

- Zapomniałam o cytrynie. Zaraz podam.

- Zaczęłam chodzić do pracy i z powrotem i w trzy tygodnie straciłam kolejne trzy kilo. W dodatku bez stosowania diety. Nawet moje buty zrobiły się luźniejsze. Jesteś genialna! I miałaś rację, że spacerzy odświeżają umysł. Czuję się jak nowo narodzona! Poza tym, kto ma ochotę na jedzenie w takim upale?

- No widzisz! Wiedziałam! - Była zadowolona z siebie, lecz bez poczucia wyższości.

- A wszystko dzięki tobie. Boże, to chyba najgorętsze lato naszej ery. - Pociągnęłam duży łyk pepsi i sięgnęłam do torebki po brązową kopertę z wycinkami prasowymi z 1963 roku. - Masz, rzuć okiem.

- Co to? Stare artykuły z gazet? Mają coś wspólnego z tatą? - Czułam, że moje poszukiwania nie budzą w niej entuzjazmu, ale uprzejmie przejrzała wycinki. - Co to za historia, że niby Klan miał z tym coś wspólnego?

Chodziło jej o artykuł na temat kościoła afroamerykańskiego w pobliżu Georgetown, około czterdziestu mil od Wyspy Sullivana. Pewnej nocy zapłonęły na dziedzińcu wielkie krzyże, a nazajutrz kościół spalił się do fundamentów. Przypisano przestępstwo Ku-Klux-Klanowi, lecz zabrakło konkretnych podejrzanych. Trudno się dziwić.

- No cóż, nie jestem pewna, ale postanowiłam sprawdzić, do czego uda mi się dokopać. Byłyśmy wtedy takie młode, Maggie. Po prostu chcę wiedzieć jak najwięcej o tym, co się naprawdę wydarzyło.

- I czego w ten sposób dowiedziesz?

- Zapewne niczego, ale z pewnością kryje się w tym więcej przemocy, niż zapamiętałam.

- Tak, zgadzam się z tobą. - Zaczęła myśleć o czymś innym, gdyż jej następne zdanie brzmiało: - Powinnaś przyjechać do mnie razem z Beth i zostać na noc. Całe wieki was nie widziałam.

- Masz rację. Może na przyszły weekend. - Poskładałam i schowałam wycinki. Nie żeby Maggie w ogóle to nie obchodziło; po prostu nie była tak

żadna wiedzy jak ja. - W środę Beth zaczyna naukę w pierwszej klasie. Boże, nie mogę uwierzyć, że idzie do szkoły średniej!

- Matko jedyna, jak ten czas leci. Szkoła średnia! No, a co słyhać u pana Toma? - Maggie znowu zmieniła temat.

- No cóż, niech się zastanowię. W zeszłym tygodniu widziałam go na King Street w nowym mustangu razem z panną Karen, uczesaną w koński ogon i ubraną w kusą bluzeczkę. Nosili identyczne ciemne okulary. Czy to nie urocze? Tak się cieszę, że są szczęśliwi.

- Gdyby Grant kiedykolwiek zrobił coś takiego mnie i chłopcom, zabiłabym go. Znalazłaś już prawnika?

- Nie. Znalazłam prawniczkę. Michelle Stoney.

- Michelle Stoney? - wyszeptala Maggie. - Michelle Stoney? Jezus Maria, Józefie święty! Nawet ja wiem, kto to jest. O, mój Boże! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Chciałam zobaczyć twoją minę. - Skubnęłam rzodkiewkę. - Zamknij buzię, dziewczyno, bo ci much nawpada.

- To tak, jakby miażdżyć mrówkę kowadłem! Zaczekaj tylko, aż Tom się dowie.

- Już wie.

- Jak to przyjął?

- Niezbyt dobrze. - Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. - Bałanga się skończyła. Michelle ustawi go jak trzeba.

- Mężczyźni cuchną.

- Słuchaj, powtarzam to od lat, tylko że my uwielbiamy ten smród. Cała sytuacja jest po prostu nieprawdopodobna. On mnie doprowadza do szału. Oto typowe zachowanie Toma: mówi, że przyjedzie po Beth w piątek o czwartej, po czym telefonuje o trzeciej z informacją, że coś go zatrzymało i zadzwoni później. Dzwoni o szóstej, słyszę, że z baru, kłamie, że ma spotkanie z klientem i czy może przyjechać rano. Odpowiadam: „Jasne, jasne”, i zabieram Beth do kina albo coś w tym rodzaju. Nazajutrz rano nie daje znaku życia, więc sama do niego dzwonię. Nie odbiera telefonu, bo nocuje u tej zdziry. Zostawiam wiadomość w poczcie głosowej, odbiera ją koło południa. Potem dzwoni i mówi, że zabiera Karen na zakupy i czy może później przyjechać po Beth. Odpowiadam: „Jasne”, i zjawiają się oboje z tą dziwką o piątej, samochodem pełnym paczek z wszystkich sklepów z ciuchami,

jakie można znaleźć w centrum handlowym. Nie mam wątpliwości, że to prezenty od niego. Ale niech tylko spróbuję poprosić go o pieniądze na spłatę domu albo na przykład na operację serca, zaraz zaczyna tę samą gadkę, że przecież nie jest bogaczem i co ja sobie wyobrażam, i bla, bla, bla. Dzięki Bogu, Michelle się tym zajmie. Nie muszę dodawać, że te drobne psychodramy niezbyt dobrze wpływają na równowagę Beth i jej więz z ojcem. Rozumiesz?

- Pożyczyć ci trochę pieniędzy? Mam co nieco odłożone, wiesz.
- Nie, dzięki, dam sobie radę.
- Jak mogę ci pomóc?
- Nie musisz mi w niczym pomagać. Wszystko jest na najlepszej drodze. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale dziękuję, jesteś najwspanialszą siostrą na świecie.

Nazajutrz w popołudniowym słońcu maszerowałam King Street z pracy do domu. Maggie nazwała to „ścieżką mocy” czy jakoś tak i sama nie miała pojęcia, że trafiła w sedno. Czerpałam z tej czynności rozliczne i nieoczone korzyści. Przede wszystkim zaczynałam całkiem nieźle wyglądać. Mogłam nosić wszystkie swoje ciuchy rozmiaru dziesięć, choć już tak dawno wyszły z mody, że przypominały przebranie. Ale pasowały na mnie. Przywróciłam do łask te, które nadawały się do użytku, a resztę wyrzuciłam. Czulałam się tak dobrze, że odzyskałam nawet dawne poczucie humoru, zwłaszcza gdy myślałam o spotkaniu Michelle z Wielkim Tomem na ringu. Ha!

Po drugie, mijając po drodze witryny sklepowe, widziałam własne odbicie, co przypominało mi, żeby wyprostować plecy. Wystawy kusily nowymi rzeczami, na które warto zaoszczędzić pieniądze. Kurczę, powinnam powiedzieć Michelle, żeby zażądała dla mnie specjalnego dodatku na ubrania, pomyślałam. Gdybym drugi raz wyszła za mąż, Tom nie musiałby płacić alimentów! Wydawało mi się to zupełnie logiczne.

Po trzecie, miałam czas zapomnieć o pracy i przygotować się na spotkanie z Beth. Rozmowy z nią stanowiły groźne wyzwanie, ale po raz pierwszy od miesiący byłam gotowa stawić mu czoło. Beth, Beth, Beth. Miała zaledwie czternaście lat i już wszelkie sprawy nastolatków uważała za kwestię honoru. Beth Oponentka. Beth Kontestatorka.

Hormony. Wydawało się, że każdemu prócz mnie zdarza się w życiu burza hormonów. Kiedy Beth nie próbowała palić albo pić czegoś, chciała sobie coś przekłuwać. Rano tamtego dnia znowu skróciła mi życie o pół roku.

- Mamo! Dlaczego ciągle traktujesz mnie jak małe dziecko? Boże, mamo, każdy w mojej klasie ma trzy dziurki w uchu! Tylko niemowlaki nie mają trzeciej dziurki!

- Kiedyś mi podziękujesz za to, że twoje uszy nie wyglądają jak ser szwajcarski - odpowiedziałam z wystudiowanym spokojem.

- Nienawidzę tego domu! - krzyknęła i wychodząc do szkoły, trzasnęła drzwiami tak mocno, że omal nie wyleciały z zawiasów.

Gdy tylko mogłam, starałam się ignorować jej wybuchy, ponieważ nie miałam siły kłócić się o wszystko. Poza tym nadszedł dla mnie czas rewidowania własnych przekonań metodą prób i błędów. Nie mogłam bez przerwy zajmować antagonistycznego stanowiska, jeśli chciałam, aby zwierzała mi się ze swoich zmartwień. Dziękowałam Bogu, że mam taką siostrę jak Maggie. Kiedy w Beth wstępował demon, dzwoniłam do Maggie i odbywałyśmy solidną kobiecą pogawędkę.

- Nie ma podręczników wychowywania nastolatków, choć to cholernie ciężka robota - powiedziała mi tamtego ranka. - Myślisz, że moi chłopcy nie dają mi popalić? Pamiętasz, jak Bucky z kolegami oglądali w zeszłym roku ten pornograficzny film pod moim własnym dachem? „Mruczająca Marilyn”! Nadal nie wiem, skąd go wytrzasnęli!

- O Boże, tak. Bardzo ją kocham, ale czasami mam ochotę wydzierać się na całe gardło, rozumiesz, o co mi chodzi?

- Susan, chyba powinnaś krzyknąć od czasu do czasu i chyba za bardzo ją kochasz.

Oto odwieczna mądrość, która przemawia przez proroków. Zignorowałam ją, tak jak to robiłam, kiedy tylko mogłam, przez ostatnie czterdzieści pięć lat.

- Ty przynajmniej możesz liczyć na pomoc Granta.

- Faktycznie, pomaga mi jak nie wiem co. Przez dwadzieścia lat wtrącił się tylko raz, kiedy Bucky i Mickey urządzili imprezę w czasie naszej nieobecności. Gdyby nie to, że ktoś wezwał policję i że wypili mu cały zapas Wild Turkey i rozbili jeepa, słowa by nie powiedział. Nigdy nie wychodzi za

mąż za kardiologa. Nie potrafią skupić się na niczym prócz analiz krwi, pacjentów i niektórych meczów piłkarskich.

- Mężczyźni. Tom zabawia się ze swoim kryzysem wieku średniego, a ja swój urodziłam.

- Masz rację. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Chciałabyś przyjechać w piątek na kolację? Spodziewam się paru osób.

- Jasne. Pogadaj z Beth, dobrze? Palnij jej małe kazanie.

- Z przyjemnością. Powiedz jej, że ciocia z wyspy chciałaby z nią pogawędzić od serca. Mama często powtarzała, że Bóg nam odplaci i ześle takie dzieci, jakimi same byliśmy.

- Zemsta z za grobu. Mama zapewne siedzi w jakimś niebiańskim klubie, popija dietetyczne 7-Up i zaśmiewa się do rozpuku.

- Niewątpliwie. Nie martw się, okay?

- Och, ja się nie martwię, naprawdę. To tylko okres przejściowy u nastolatków. Uwielbiam Beth. Wyszłabym za Toma jeszcze raz, żeby ją mieć.

- Jeśli spróbujesz jeszcze raz wyjść za Toma Hayesa, wywolekę cię na jakąś górę w Tybecie i zostawię twoje żałosne szczątki na pastwę ptaków.

Nie wybierałam się jednak do Tybetu, tylko do domu, gdzie po miłym spacerze czekało mnie spotkanie z córką. Maggie zapewne ma słuszość, że za bardzo kocham Beth. To dość klasyczna sytuacja, że skrzywdzona kobieta popada w przesadę, usiłując zapewnić bezbronnemu dziecku idealne warunki rozwoju. Podchodziłam do jej rozłąki z ojcem i przemiany w młodą kobietę z całą cierpliwością, zrozumieniem i humorem, na jakie było mnie stać.

Istniała także jasna strona - różne rzeczy, które robiłyśmy razem i które nas zbliżały. Oczywiście chodziłyśmy po zakupy, jadłyśmy lunch, wypełniałyśmy obowiązki domowe i porządkowałyśmy szafy. Ale oprócz tych przyziemnych rozrywek dokonywałyśmy - co charlestończykom sprawia szczególną przyjemność - ekshumacji naszych przodków. Nie dosłownie, rzecz jasna, ale przepadałyśmy za krótkimi spacerami po cmentarzu St. Mary's, gdzie składałyśmy dzięki protoplastom, którzy okazali dość zdrowego rozsądku, by wybrać na swą - a co za tym idzie, także naszą - siedzibę właśnie Charleston. Opowiadałam Beth historie, które usłyszałam od ojca, a które przekazał mu jego ojciec. Bycie częścią tego kontinuum stanowiło

dziedzictwo równie bogate jak kufer pełen klejnotów.

Charleston obdarzył nas wiedzą, kim jesteśmy, co sobą reprezentujemy i gdzie jest nasze miejsce w tym skomplikowanym świecie. Ta duma i pewność były naszym przywilejem z racji urodzenia. Nawet prawne kruczki Toma Hayesa nie mogły zmienić ich we wspólną własność. Charleston należał do nas. Tom Hayes pochodził z Greenville, co uważałam za niemal równie żałosne jak bycie Jankesem.

Promienie popołudniowego słońca dodawały mi skrzydeł. Nacisnęłam klamkę przy furtce z kutego żelaza i ruszyłam brukowaną ścieżką w stronę domu, gdzie czekała na mnie moja mała dziewczynka. Moja Beth.

4.

Beth

1999

Łoskot zatraskujących się za mną frontowych drzwi rozległ się w całym korytarzu. W odpowiedzi dobiegł dźwięczny głos Beth, wznoszący się co chwila w pełnych zachwytu i podniecenia okrzykach. Przerzuciłam stertę katalogów i rachunków, które leżały na stoliku.

- Omójboże! Omójboże! Widziałaś, jak na mnie patrzył? On jest odlotowy! - Chwila ciszy. - Nie wiem! Naprawdę tak myślisz? - Pisk. A potem, gardłowo: - O! Mój! Boże! Chyba wtedy umrę!

Odetchnęłam z ulgą: Beth rozmawiała o przedstawicielu odmiennej płci. Zważywszy absurd, z jakimi ostatnio miałam do czynienia, to mogło być wszystko. Zaraz, zaraz! Co takiego? Odmienna płeć? Przecież Beth była jeszcze za młoda nawet na midol! Uspokój się, nakazałam sobie. Oddychaj. Wyobraź sobie plażę. Oddychaj głęboko. Wróciłam do równowagi i oзнакомиłam moje przybycie.

- Hej! Już jestem!
- Muszę kończyć, wróciła władza rodzicielska.
- O, rozmawiasz przez telefon?

Władza rodzicielska? Czy to o mnie mowa? W każdym razie po moim retorycznym pytaniu Beth odłożyła słuchawkę. Przystąpiwszy próg kuchni, natrafiłam na pobjowisko nasuwające skojarzenia z działalnością potężnej grupy terrorystycznej. Zawartość plecaczka Beth leżała rozrzucona na kuchennej ladzie, obok otwartego kartonu mleka, paczki doritos i pojemnika z sosem salsa. Naczynia, które przyrzekła umyć po śniadaniu, obrastały mchem w zlewie. Zmywarki nikt nie opróżnił od wczoraj. To było symptomatyczne.

- Mamo! Poznałam chłopaka!
- To miło, kochanie, ale dlaczego tu jest taki bałagan?
- Mamo, nie słuchasz mnie! Poznałam absolutnie wspaniałego, bajecznego chłopaka!

To był test. Gdybym się za bardzo czepiała pobożowiska w kuchni, wyszłabym na jedzę. Natomiast okazując politycznie poprawne zainteresowanie czymś, co mogło się okazać miłością jej życia, byłabym w porządku. Jeśli nie powstrzymam hiperwentylacji nad cuchnącym rynsztokiem, który był niegdyś moją kuchnią, Beth może mi się już nigdy nie zwierzyć. Chwilowo nie potrafiłam sobie wyobrazić niczego gorszego.

Znalazłam czyste miejsce na ladzie i położyłam tam pocztę.

- Opowiedz mi o wszystkim. - Pocałowałam Beth w czoło i zaczęłam zamykać pojemniki. - Jak możesz popijać mlekiem sos salsa? Uch! - uśmiechnęłam się fałszywie. - No to powiedz, kto jest tym szczęściarzem?

Cmoknęła znacząco i zgarnęła książki do plecaka.

- Jonathan. Jonathan jakimś tam. - Zastygła na chwilę i przyłożyła dłoń do piersi. - O Boże, mamo, on jest bezkonkurencyjny!

- Czy chodzi do pierwszej klasy? I proszę, nie mów „o Boże”. - Ściągnęłam brwi i włożyłam zapas jedzenia do lodówki, wyjmując jednocześnie kurczaka na kolację.

- Przepraszam. - Zabrzmiało to nieszczerze. - Nie, chyba nie. Przenieśli go z Porter Gaud. Jak żeśmy szły z Lucy...

- Szłyśmy - poprawiłam. Drobnostka, pomyślałam, wkładając do żaroodpornego naczynia obrane z kości i skóry filety.

- ...koło kortów tenisowych, on właśnie serwował. Jezu, ta piłka leciała chyba z prędkością stu mil na godzinę!

- Proszę, nie mów „Jezu”. Rozmawiał z tobą?

- Kurczę, przepraszam, mamo, ale trudno się z tobą porozumieć, skoro bez przerwy na mnie krzyczysz.

Oparła ręce na biodrach, a ja, sprzątając, zachęciłam ją, by mówiła dalej.

- Przepraszam cię, Beth, masz rację, choć formalnie rzecz biorąc, nie krzyczę na ciebie. Czy ten Jonathan zemdlął z wrażenia na twój widok? Bądź tak dobra, podaj mi myjkę.

Złapałam rzucony przedmiot i zaczęłam zmiatać stertę okruchów z lepszego blatu. Moja córka oparła się o zlew; oczy jej błyszczały, a serce biło

mocno, napędzane pierwszą młodzieńczą miłością.

Spójrz na nią, pomyślałam. Pięćdziesiąt kilo, metr siedemdziesiąt wzrostu, czysta, młodzieńcza, romantyczna wyobraźnia. Czułam to samo do Simona, kiedy byłam w jej wieku.

- Dobrze by było, ale on tylko na mnie popatrzył i się uśmiechnął, a ja od razu poczułam, że poca mi się ręce. I ten ucisk w gardle. Gdyby się do mnie odezwał, to chyba bym umarła. Więc to jest prawdziwe, co nie, mamó?

- Tak samo, jak „o mój Boże, o mój Boże, o mój Boże!” - U licha, przecież nie jestem bigotką.

- Mamó!

Nie zdołałam opanować śmiechu. W nieodpowiedniej chwili. Beth niesłusznie doszła do wniosku, że sobie z niej kpię.

- Przepraszam, kochanie. Może to faktycznie poważna sprawa. Kto wie? Poustawiajmy naczynia, dobrze?

Otworzyłam zmywarę, a Beth rozdarła się na całe miasto:

- My? Masz na myśli mnie? Świetnie! Mniejsza o to, zanim zaczniemy omawiać moją wyprawę ślubną, muszę zmyć gary.

- Posłuchaj, Beth, bardzo się cieszę, że poznałaś chłopaka, który zamienia twoje wnętrze w galaretkę. Gdy byłam w twoim wieku, widywałam osobników płci przeciwnej jedynie po drugiej stronie boiska.

- Bo siedziałaś uwięziona w żeńskiej szkole, pod kuratelą zakonnicy-faszystek!

- Istotnie. Ale nawet gdybym chodziła do twojej szkoły, byłam jako czternastolatka tak brzydka, że musiałabym chyba paść na kolana i wyłożyć górę pieniędzy, żeby ktoś zechciał zbrukać moją cnotę. A na to miałam zbyt wiele dumy. - Po chwili podjęłam niepewnie: - W dodatku ciągle brakowało mi gotówki, mniej więcej tak jak teraz, więc nawet nie myślałam o chłopcach.

- Bez przerwy powtarzasz, że byłaś brzydka. To nieprawda. Widziałam zdjęcia.

- A właśnie. Między innymi to w kraciastej kurtce i podkolanówkach?

- No tak, ten mundurek był głupkowaty i wyglądałaś w nim jak lodowa...

- Jak co?

- Przepraszam, ale naprawdę wyglądałaś jakoś tak kwadratowo... za to twarz miałaś super! Naprawdę!

- Szkoda, że mówisz to w czasie przeszłym. - Otworzyłam puszkę dietetycznej pepsi i zapaliłam papierosa. - Ale dziękuję ci. No więc powiedz, jak wygląda ten wzór męskich przymiotów?

- Przymiotów? Z jakiego lamusa wyciągnęłaś takie durne słowo? Nie dmuchaj na mnie dymem. To obrzydliwe. Bierne palenie, mamó!

- Przypomnij mi, żebym zwróciła na to uwagę, kiedy znajdę popielniczkę w twojej łazience.

- Myślałam, że rozmawiamy o Jonathanie, wzorze męskiego czegoś tam.

- Ach, tak. Przymiotów. Według słownika oznacza to tyle, co zalety ewentualnie cnoty.

- Rany, jesteś lepsza niż anglistka w szkole!

- Dziękuję.

Skłoniłam się lekko. Wymieniłyśmy uśmiechy, podejmując prace porządkowe. Beth z brzękiem opróżniała zmywarke, ja zaś zatonełam w myślach. Miałam lekkiego hysia na punkcie kuchni. Wiedziałam o tym. Przemknęło mi przez głowę, że należałoby ją odmalować i dać nową tapetę. Kuchnia wyglądała strasznie, gdy było tam brudno i niewiele lepiej, gdy było czysto. Może zresztą chodziło o to, że tapeta pozostała ta sama od naszego ślubu. Kładliśmy ją razem z Tomem. Teraz miałam ochotę położyć jego. Trupem. Niewykluczone, że w skrytości ducha pragnęłam wymazać ślady Toma z każdego pomieszczenia, by móc rozpocząć życie od nowa. Ale jak świadczył o moim życiu fakt, że mając skończone dwa fakultety, musiałam szukać dodatkowej pracy, żeby sobie pozwolić na wymianę tapet? Żalodne, ot co.

- Mamó! Słuchasz mnie?

- Przepraszam, skarbie, moje myśli skrzyły w stronę sklepu z tapetami. Czy nie byłoby ładnie, gdyby dać tu coś żółto-niebieskiego, a do tego dużo bieli? No wiesz, oszklone szafki i nowe zasłony? - Spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie odzyskała przytomność po potężnej dawce elektrowstrząsów. - Masz rację. Więc co z tym męskim cudem? Przeniósł się z Porter Gaud, gra w tenisa, ma piękny uśmiech i wygląda jak młody bóg?

- Owszem, ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, wielkie niebieskie oczy, gęste blond włosy i więcej zębów niż Antonio Banderas. Nie jest chudy, tylko wysportowany, rozumiesz.

Zakrztusiłam się pepsi. Beth, nie zdając sobie z tego sprawy, opisała własnego ojca. Chrystus na kozetce życia, Freud stosuje sztuczne oddychanie, a Edyp masaż serca. Wiedziałam, że serduszek Beth zostanie złamane. Staralam się zachować równowagę i wytrwać u steru, gdy wpływałyśmy na zdradliwe i niezbadane wody romantycznych przeżyć.

- Musi być czarujący - zauważyłam spokojnie, pokaszując lekko. - Jeżeli nalejesz wody do zlewu i napuścisz plynu, umyję naczynia.

- Bo jest. Budzi we mnie takie niesamowite uczucie. - Woda ze zlewu spłynęła do rur, a wraz z nią resztki wieku dziecięcego mojej córki. - Chyba powinnam ściąć włosy. Wiesz, w stylu kalifornijskim. Co o tym sądzisz?

- Zobaczymy. - Chrząknęłam niepewnie. Kalifornijskim? - Mnie też przydałby się fryzjer. Może w przyszłym tygodniu wybierzemy się do centrum?

- Aha, byłoby fajnie, gdybyś mnie podwiozła, bo i tak wybieramy się tam z Lucy w sobotę, żeby zrobić małą rundkę. Może Jonathan przyjedzie z tym swoim kumplem, Sonnym, za którym Lucy totalnie wariuje.

- Rundkę? - Zapaliłam kolejnego papierosa, zastanawiając się, czy w łazience na górze został jeszcze jakiś xanax.

- Tak, no wiesz, ty sobie posiedzisz u fryzjera, a my z Lucy pochodzimy po sklepach, jak dziewczyna z dziewczyną.

- Jak dziewczyna z dziewczyną? - Miałam problemy z oddychaniem i/lub przełykaniem.

- Mamo? Dobrze się czujesz?

- Tak, świetnie.

- Ręce ci drżą. No tak, super, denerwuje cię pomysł spotkania z chłopakiem w centrum handlowym. Mam rację?

- Nie, to znaczy, ja nawet nie znam tego chłopaka. A ty nie wiesz, jak się nazywa! Przecież może być seryjnym gwałcicielem lub socjopatą! A gdybyś zaszła w ciążę?

- To się w głowie nie mieści! W głowie się nie mieści, że mogłaś coś takiego powiedzieć! Cięża? Mamo, czy tobie już zupełnie odbiło? Weź się pohamuj.

- Ja? - Oczy mi się zaszkliły. - Posłuchaj, Beth, nic nie wprawia człowieka w większe uniesienie niż taki pociąg do innej osoby. Ale czy to oznacza małżeństwo? Na razie nie. Nawet nie znasz nazwiska tego chłopaka! - Odetchnęłam głęboko. - Opanujmy się trochę i zobaczymy, czy do ciebie zadzwoni. - Tak już lepiej, pomyślałam. - A potem, zgodnie z odwieczną (i wypróbowaną) tradycją rodzinną, sprawdzę jego przeszłość kryminalną i historię wykroczeń drogowych, a także czy nie figuruje w rejestrze wydziału zdrowia jako chory na AIDS. Jeśli nie, zaproszę jego rodziców na rozmowę. Z pewnością mogą podać referencje. Jeżeli tylko nie są krewnymi Charlesa Mansona, chłopak może zacząć cię odwiedzać. Będziecie przesiadywać w salonie, a ja z jego rodzicami w kuchni, przykładając szklankę do ściany. Jak ci się to podoba? - Humor jest najlepszą metodą wychowawczą, pomyślałam, klepiąc się w wyobraźni po plecach.

- To mnie wcale nie śmieszy.

Wzbierał w niej młodzieńczy gniew, a ja bezskutecznie usiłowałam rozładować sytuację.

- Wiesz, na czym polega problem z chłopcami? Rujną ci cerę. Zakochujesz się, a na drugi dzień dostajesz pryszczę jak ropucha. I wiesz, co się dalej dzieje? Grzęzniesz w łazience i nie możesz się dostać do porządnego college'u!

To ją odrobinę zainteresowało, więc brnęłam dalej:

- A tak! Spytaj ciotkę Maggie. Stoisz przed diabelnym lustrem i myślisz obsesyjnie o swojej fryzurze, makijażu i o tym, czy z włosami na nogach wyglądasz jak goryl. Czy twój biust jest wystarczająco duży, czy może za duży? Zaczynasz się pocić; czy to widać? Musisz lecieć zmienić bluzkę. Nie możesz znaleźć czystej, musisz prasować. Ciągłe spóźniasz się na lekcje, zawałasz testy i wreszcie lądujesz w Ośrodku Zwalczenia Trądziku, kompletnie przegrana. Chyba nie to jest twoim celem, prawda?

- Na pewno dobrze się czujesz, mamó? Bo mam wrażenie, że puszczają ci nerwy. - Nie była w najmniejszym stopniu rozbawiona. Przeciwnie, nigdy nie widziałam jej tak wścieklej.

- Nic mi nie puszcza. Czuję się świetnie, po prostu świetnie. - Wcale nie czułam się świetnie. Swoją drogą, gdzie się podziała moja zimna krew?

- Mamó, wiesz, na czym polega twój problem? Ugrzęzłaś w latach siedemdziesiątych! „Brady Bunch” to nie była rzeczywistość, na miłość

boską. Dzisiaj nikt już nie chodzi na randki; ludzie po prostu spotykają się w centrum albo w wypożyczalni wideo i łąą sobie razem. Myślisz, że facet zjawi się tu z bukietem! Boże! Traktujesz mnie jak zupełne dziecko! Nie wytrzymam tego!

Teraz z kolei ja wpadłam w złość.

- Po pierwsze, nie podoba mi się twój ton. Po drugie, nie ty mi będziesz wyjaśniać, na czym polega mój problem. Po trzecie, wcale nie traktuję cię jak dziecko.

- Właśnie, że tak! - Beth serwowała mi najgorszą wersję nastoletniej furii. - Jeżeli Jonathan, jakkolwiek-się-do-cholery-nazywa, zadzwoni i umówi się ze mną w centrum, to pojadę tam choćby autobusem i w żaden sposób mnie nie powstrzymasz!

Wrzeszczała na mnie, a ja mogłam tylko wykorzystać swoją pozycję.

- W żaden sposób? Ty mi mówisz, co mogę zrobić, a czego nie? Chyba nie masz racji, Beth, o nie. Coś ci powiem, moja zbuntowana córeczko: nigdzie nie pójdziesz bez mojego zezwolenia. A jeśli chcesz być traktowana jak osoba dorosła, spróbuj się dorośle zachowywać i wypełniać swoje obowiązki! Wracam do domu po kolejnym niekończącym się dniu kiepsko płatnej pracy w najbardziej męczącej i ponurej literackiej otchłani na świecie i natrafiam na minę w postaci brudnych garów i śmietnika na stole. Mam tego dość, Beth. To nie fair.

- A więc nie dorosłam do spotkania ze znajomym w centrum, bo nie przybiegłam pędem ze szkoły, żeby umyć naczynia? Pamiętasz, że mam czternaście lat? Słyszysz? Czternaście!

- Nieważne, ile masz lat. Kiedy zaczniesz zachowywać się odpowiedzialnie, uzyskasz wszelkie możliwe przywileje. I uważaj, co mówisz, Beth, bo mało brakuje, żebym ci dała po buzi.

Stała w drzwiach między kuchnią a jadalnią. W jej niebieskich oczach pojawił się błysk nienawiści, godny jakiejś herod-baby, a nie mojej małej córeczki.

- Nie krępuj się, wal. To i tak nie ma znaczenia. Wiesz, czego żałuję? Żałuję, że nie mieszkam z tatusiem. On mnie rozumie. I Karen też.

- Karen cię rozumie, bo jesteście w podobnym wieku - zająknęłam się.
- Wiesz, że sąd przyznał mi opiekę nad tobą. Może teraz nam obu wydaje się to piekłem, ale tak sprawa wygląda, więc lepiej do tego przywyknąć.

- Jesteś po prostu zazdrosna o Karen, bo ona jest młoda i ładna - prychnęła Beth. - Może gdybyś straciła parę kilo i kupiła jakieś ciuchy z tej dekady, tata by wrócił do domu.

- Nie dlatego odszedł!

- A właśnie dlatego! Czemu nie spojrzysz prawdzie w oczy? Boże, mamo, wyglądasz żenująco. Przypominasz te kobiety z Court TV!

Nie wierzyłam własnym uszom. Byłam oszołomiona, Beth wypadła na korytarz, a ja ruszyłam za nią. Wbiegła na górę i trzasnęła drzwiami swego pokoju.

- To nie ma nic wspólnego z twoim lataniem za tym Jonathanem po centrum handlowym, słyszysz? Nic wspólnego!

Nie mogłam się powstrzymać. Weszłam do salonu i stanęłam przed wielkim lustrem w złożonych ramach, otrzymanym w spadku. Załamałam się na widok własnego odbicia: czterdziestosześcioletnia kobieta o zmęczonych i wylęknionych niebieskich oczach, w sukience, która wisiała na niej jak łachman z pokazu mody na dnie piekła. Gorące łzy zaćmiły mi oczy i wykopiały jak przypalona owsianka, co mnie dodatkowo rozwścieczyło. Spływały po policzkach, grube i ciepłe. Nienawidziłam płakać. Aż do tej chwili wydawało mi się, że nieźle sobie radzę. Ta kobieta w lustrze nie była mną.

W takiej chwili obydwójce z Tomem powinniśmy odnajdywać na nowo poezję życia, dzieląc ją z Beth. Pierwszy chłopak, a ja nie potrafiłam stawić temu czoła. Należało okazać życzliwość i zrozumienie i powiedzieć: „To wspaniale! Pamiętam, jak się pierwszy raz zakochałam!”. Mogłam jej opowiedzieć o Simonie, dużej rybie, która zerwała się z haczyka; i o tym, jak go kochałam. Nigdy jej o nim nie wspomniałam. Ale nie byłam do tego zdolna, ponieważ bardzo się bałam. Bałam się, że nie dam sobie rady. Bałam się samotności; co będzie, jeśli stracę także Beth?

Bezwiednie osunęłam się na podłogę, skulona w pozycji płodu i zaczęłam zanosić się płaczem, nie dbając o to, czy cały świat mnie słyszy. Najpierw płakałam cicho, roztkliwiając się nad sobą z powodu utraty Toma. Zgoda, może i był najszybszym dobiegaczem w Charlestonie, ale, cholera jasna, należał do mnie. Zamierzaliśmy osiąść na Wyspie Sullivana. Zawsze marzyłam, że kupimy dom w sąsiedztwie Island Gamble i nasze dzieci zawrą wieczystą przyjaźń z dziećmi Maggie! Myślałam, że zestarzejemy się razem,

siedząc na ganku i zajadając prażone fistaszki; że zajmiemy należną nam z racji wieku pozycję i będziemy tak uparci i ekscentryczni, jak tylko się nam spodoba. Niech tam młodzież uważa nas za dziwaków, my się tym nie przejmujemy. Ze śmiechem przejdziemy na drugą stronę. Co się stało z moim marzeniem? Co się stało?

Wydymuchałam nos i zaczęłam się zastanawiać, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Oczywiście duszy widziałam Livvie, grożącą mi palcem. Zawsze byłam stosunkowo niebrzydka, ale teraz wyglądałam jak przepuszczona przez wyżymaczkę - jedno z określeń taty. Nieoczekiwanie ogarnęła mnie wściekłość, że dwoje ludzi doprowadziło mnie do stanu, w którym siedzę na podłodze i płaczę. Wyczuwałam uśmiech Livvie. Zaczęłam przemawiać do lustra, jak gdyby ona tam była i słuchała.

- Tom Hayes - mruknęłam pod nosem - nie zasługuje na mnie ani na moją córkę, której, swoją drogą, należy się porządne lanie. O nie, tu nie chodzi o moją nadwagę. Chodzi o to, że przywiędły fiucik Toma Hayesa czuje nadchodzącą pięćdziesiątkę! Więc panna Karen uważa go za ogiera wszech czasów, tak? Ciekawe, czy podobnie jak ja spogląda na zegarek. Trzy minuty, Wielki Tomie! Kończy ci się czas! Ha! Bawcie się dobrze, ofermi. Myślisz, że on jest hojny? Zaczekaj, aż wyjdiesz z tego sukinsyna. Będziesz mogła się pożegnać z centrum handlowym. Może i przegram, do ciężkiej cholery, ale nie poddam się bez walki. Co oni sobie, u diabła, wyobrażają? I czego ode mnie oczekują? Wyglądam jak kobieta z Court TV? A jak mam wyglądać, skoro panna Beth nieustannie domaga się nowych ciuchów? Zawsze coś musi wyskoczyć! Może powinnam wybrać się do Atlanty na zakupy i wyczyścić konto, gwizdząc na naprawę pieca olejowego. A może machnąć ręką na jedzenie i rachunek telefoniczny, a za to zafundować sobie prywatnego trenera, masaż i pedicure!

W tym momencie moja bluzka zrobiła się mokra. Nie płakałam tak od pogrzebu matki. Gdzie ona jest teraz, kiedy jej potrzebuję? Nieobecna i nieprzydatna jak zawsze. Nawet po jej śmierci tak za nią nie rozpaczalam. Nie mogłam przestać. Może samej sobie jestem winna te łzy, pomyślałam i doszłam do wniosku, że mam dość. Mogłam albo się poddać, albo pozbierać do kupy. Beth.

O nie, panno Beth Hayes, jestem twoją matką i nie pozwolę się traktować w ten sposób! Wystarczy, że Tom zostawił mnie dla Karen; a ty, czternaścieletnia smarkulo, jak śmiesz mnie krytykować? Nie masz zielonego pojęcia, ile dla ciebie poświęciłam. Więcej, niż ktokolwiek poświęcił dla mnie...

Nie usłyszałam kroków Beth na schodach. Nieoczekiwanie znalazła się obok mnie z paczką chusteczek. Ona także płakała.

- Przepraszam cię, mamuś, strasznie cię przepraszam.
- Nie gniewam się.
- Naprawdę nie chciałam cię doprowadzić do takiego stanu.
- Skarbie, wiesz, że cię kocham, ale jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w ten sposób, oberwę ci uszy.

- Należy mi się to. Nie powinnam była mówić tych głupot o Karen. Karen to kretynka. I nie chcę mieszkać z tatą. On też jest kretynem. Chcę zostać tutaj, z tobą.

Oparła głowę o moje ramię, a ja ją objęłam i przytuliłam. Pogładziłam jej wspaniałe kasztanowate włosy i spokój powrócił. Znowu była moją małą dziewczynką. Wzięłam od niej chusteczkę i wydmuchałam nos tak głośno, że obydwie parsknęłyśmy śmiechem.

- Twój tata nie jest kretynem - oznajmiłam wielkodusznie. - Jest po prostu dupkiem. Karen też nie jest kretynką, tylko zwykłą dziwką. - Nadal głąskałam Beth po głowie. - Nie powtarzaj tego nikomu, dobrze? Niech to zostanie między nami.

- Nie powtórzę, mamo. Zgadzam się z tobą.
- Gdybym poznała Karen w innych okolicznościach, prawdopodobnie wydałaby mi się interesująca i zabawna.

- Nie sędzę. Mogę wziąć chusteczkę? - Wydmuchała nos i oparła się o moją pierś, tak jak to robiła w dzieciństwie. - Ona jest taka tępa. Bez przerwy potrząsa włosami i opowiada o karmie i ruchach wstecznych. Nosi wielki kryształ na tej swojej głupiej szyi i głądzi o bliskich spotkaniach. Może myśli, że czyhają na nią kosmici.

- A więc w ten sposób można by się jej pozbyć! - Uniosłam brwi i uśmiechnęłam się do Beth. - To mi się podoba! Wyobrażasz sobie pierwszą stronę „Post & Courier”? „Kobieta z Charlestonu, właścicielka niewielkiej księgarni okultystycznej, uprowadzona przez kosmitów?”. Czynie byłoby fantastycznie?

- Nie ma tak dobrze, mamó. Chodź, pomogę ci przypalić kolację. - Beth pociągnęła mnie do góry.
- Przypalić? Nigdy nie przypalam kurczaków. Wystarczy je podgrzać do odpowiedniej temperatury. Salmonella, rozumiesz.
- Wszystko jedno. - Beth uśmiechnęła się do mnie. - Powinnaś umyć twarz.
- Ejże! Kto tu jest matką, moja panno? - Wymierzyłam jej klapsa.
- Hej! Przestań mnie maltretować! Słuchaj, zapomnij o Jonathanie. Jeśli zadzwoni, to się zastanowimy.

Na górze w swoim pokoju uświadomiłam sobie, że wygrałam tę potyczkę nieczystymi metodami. Pozwalając, by Beth usłyszała mój płacz, przechyliłam szalę na swoją korzyść. Moja matka robiła to bardzo często. Kiedy zabrakło jej argumentów, powlekała wszystko warstwą poczucia winy, grubą jak masło fistaszkowe na białym chlebie. Potem uderzała w płacz - a Marie Catherine Hamilton była w tym mistrzynią. Wielka M. C, o niezrównanych kanalikach łzowych. Uroniła w życiu więcej łez, niż jest krewetek w Shem Creek. Jej rozpacz nadała tło mojemu dzieciństwu i prawdopodobnie wyostrzyła mi język. Słabość i smutek napawały mnie grozą, dlatego ze wszystkiego stroiłam sobie żarty. Maggie natomiast wszystkiemu zaprzeczała. Nawet na pogrzebie mamy popatrzyłam na moją siostrę i zauważyłam: „Jak zwykle stara M. C, się wyleguje, a my zasuwamy”. Spojrzała na mnie i odpowiedziała: „O co ci chodzi? Nie robi nic złego”.

No cóż, nie wykorzystałam swego dowcipu we właściwy sposób i nie mogłam zaprzeczyć, że obydwie z Beth musiałyśmy się przystosować do Życia bez Toma. Myjąc twarz, zdałam sobie sprawę, że dzierzę amunicję, która może rozsadzić więź Beth i Toma. To bułka z masłem dla tak błyskotliwej dziewczyny jak ja. W końcu przecież nie podmuch wiatru zerwał z niego portki. To on był tu czarnym charakterem, nie ja. Mogłam jej przedstawić sytuację finansową, opowiedzieć o szczoteczce do zębów i o tym, jak ich przyłapałam, ale nie - nie pozwoliłam sobie upaść tak nisko. Zupełnie jakby szatan postukał mnie po ramieniu, ale dzięki Bogu rozpoznałam diabelski dotyk.

A co na moim miejscu zrobiłaby matka? Łatwo zgadnąć. Zgromadziłaby przy stole wszystkie dzieci i podpierając się Biblią, poinformowała, że nasz

ojciec jest grzesznym cudzołożnikiem, który dla obcej kobiety wyparł się własnej rodziny. Potem ustawiłaby nas rzędem na frontowym ganku, wyrzuciła jego ubrania przez balustradę i zabroniła nam się z nim pożegnać. Na koniec położyłaby się do łóżka na rok i zostawiła nas, żebyśmy sami się o siebie zatroszczyli, podczas gdy ona by piła i wyplakiwała swoje smutki.

Jak natomiast w mojej sytuacji postąpiłaby Livvie? Wzięłaby Toma na bok na małą „pogawędkę od serca” i objechała go z góry na dół. Powiedziała mu, jak wygląda sytuacja, w prostej angielszczyźnie i gullah, żeby nie było żadnych niedomówień. A potem pocieszyłaby dzieci, żeby się nie martwiły, wszystko będzie dobrze, tata je kocha tak samo jak wczoraj i życie toczy się dalej. Następnie zajęłaby się wychowywaniem dzieciaków i przygotowywaniem posiłków.

- No cóż, pewna dziewczyna odrodzi się jak feniks - przemówiłam do lustra w łazience. - Umaluj usta, zejdź do swojej córki i tym razem bądź uczciwa.

Podałam „podwójnie ukatrupionego” kurczaka, napromieniowane ziemniaki i gotową sałatkę, zastanawiając się, jak można było przytyć na mojej kuchni. Odnalazłyśmy z Beth nasz rytm i wszystko było dobrze.

- Pomóc ci ze zmywaniem, mamó?

- Nie trzeba, złotko, idź odrabiać lekcje. Dam sobie radę. Ale byłabym wdzięczna, gdybyś nasypała trochę proszku do pralki. Włożyłam tam ręczniki.

- Jasne. Nie ma sprawy.

Wstała od stołu, opłukała naczynia nad zlewem i umieściła je w zmywarce. Siedziałam, wpatrując się w przestrzeń i słuchając odgłosów włączonego urządzenia, a potem kroków Beth. Pocałowała mnie w głowę, tak samo, jak ja całowałam ją - i w tym momencie obydwie stałyśmy się nieco bardziej dorosłe.

Sprzątając kuchnię, przyłapałam się na częstych westchnieniach ulgi. Postanowiłam wyszorować dna garnków, słuchając brzęczenia telewizyjnych sitcomów w tle. Moje myśli błądziły. Nalałam sobie następny kieliszek białego wina i włączyłam wiadomości. Trafiłam akurat na prognozę pogody.

- Jutro w dzień temperatura osiągnie trzydzieści sześć stopni, w nocy spadnie do dwudziestu pięciu. Nie bądźcie zaskoczeni, jeśli poczujecie się

jak w tropikach, ponieważ niezmiernie wysoka wilgotność powietrza będzie dokuczać wszystkim mieszkańcom Południowego Wybrzeża. Przez cały dzień można się spodziewać przelotnych opadów...

Młoda blondynka, zapowiadająca pogodę, z uśmiechem przechyliła ładną główkę i przyłapałam się na tym, że ją naśladuję, nalewając cascade do zmywarki i włączając niskie obroty, rozbawiona banałami serwowanymi społeczeństwu, które miało obsesję na tle informacji. Potem przełożyłam ręczniki do suszarki, pogasiłam światła i weszłam na górę, żeby powiedzieć Beth dobranoc.

Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam ją siedzącą na łóżku w swetrze, zagłębioną w podręczniku do historii. Lampka nocna roztaczała ciepły blask, a stulistne róże na tapecie zdawały się wydzielać słodką woń. Pokój Beth doskonale odzwierciedlał naturę dziewczyny balansującej między dzieciństwem a kobiecością. Na drzwiach jej wypchanej szafy wisiały plakaty zespołu Grateful Dead, a między podręcznikami na półkach nad komputerem tkwiły wepchnięte pluszowe misie, doszczętnie wytarte po latach przytulania. Pompony cheerleaderki zwisały z gałki u drzwi szafy. Pod sufitem siedziało rżędem ze sto lalek Barbie, z zastygłymi idiotycznymi uśmiechami i wyciągniętymi niczym u zombi kończynami, przypominającymi girlandę plastikowych gałązek. Zawsze mnie rozśmieszały. Czasami zdejmowałam którąś i poruszałam nią, przemawiając śpiewnym głosem, aby nakłonić Beth do rozmowy, gdy ją coś rozzłościło. Ale tej nocy wsunęłam tylko głowę przez drzwi i omiotłam pokój spojrzeniem, czekając, aż Beth mnie zauważy. Wreszcie uniosła głowę.

- Co robisz, nocny marku?
- Mam test w piątek i pomyślałam, że trochę poczytam.
- Słusznie. Zapomniałam spytać, jak ci poszło z francuskiego.
- Dziewięćdziesiąt trzy punkty.
- Brawo. - Tkwiłam w drzwiach, czekając na zaproszenie.

Beth uśmiechnęła się do mnie i światło lampki wydobyło jej profil, upodobniając ją do Madonny Botticellego. W niebieskich oczach córki nie dostrzegłam żadnego uszczerbku emocjonalnego. Poczułam nieodpartą potrzebę chronienia jej. Jak odbudujemy nasze życie? Wspólnie.

- Kocham cię, mamus.
- Ja ciebie też, Beth. Jestem z ciebie taka dumna.
- Chcesz chwilę pogadać?

Przesunęła się na drugi koniec łóżka - ten sam, na którym przysiadalam, gdy była mała - robiąc mi miejsce. Poklepała zachęcająco narzutę obok siebie.

- Pewnie, czemu nie?

Te nocne rozmowy były dla mnie bardzo cenne.

- Nienawidzę dorastania. - Westchnęła i popatrzyła na mnie.

- Ja też.

- Mamo, przecież ty jesteś dorosła! - przypomniała mi czule.

- Naprawdę? No wiesz, to nie takie proste i nie da się tego zbudować w jeden dzień.

- Jak Rzymu?

- Aha, jak Rzymu. To bardzo nierytmiczny proces. Jednego dnia wstajesz rano z poczuciem, że poradzisz sobie ze wszystkim. A nazajutrz życie płata ci figła i od nowa walczysz o przetrwanie.

- Jak wtedy, kiedy tata od nas zwiął?

- Skarbie, tata nie zwiął od ciebie. Zwiął od naszego małżeństwa.

- Być może.

- W każdym razie życie wymaga dużej cierpliwości i jeśli ktoś cię kocha, to bardzo pomaga. Miłość pomaga, ale najlepszą bronią jest cierpliwość. Livvie często mi powtarzała, że powinnam zwolnić i przemyśleć to i owo. Biedna kobieta, musiała się sporo nagadać, żeby mnie wychować. Byłam uparta jak osioł.

- Czy to znaczy, że usłyszę opowieść o Livvie?

- Och, nie chcę cię zanudzać.

- Proszę! Opowiedz mi, jak to wyglądało w dawnych wiekach, kiedy byłaś mała i Livvie zaczęła u was pracować... kiedy zamierzała zostać pisarką i przenieść się do Paryża - powiedziała Beth z całym dramatyzmem, jaki potrafiła z siebie wykrzesać. - Przepadam za historiami o Livvie, słowo honoru! - Swoją wypowiedź podkreśliła harcercskim salutem.

- No to się posuń, potrzebna mi poduszka. Wiesz, Livvie uratowała nam życie.

- Ciebie kochała najbardziej, prawda?

- Och, co do tego nie mam pewności. Posiadała niesamowitą umiejętność okazywania każdemu z nas, że właśnie jego kocha najbardziej. Była niezwykle osobą.

- Traktowałaś ją jak mamę, no nie?

- Cóż, skarbie, mamę ma się tylko jedną, ale gdybym mogła mieć dwie, na drugą wybrałabym Livvie. Boże, ona wszystko rozumiała...

- Ziemia do mamy, odbiór!

- Przepraszam, znowu się zamyśliłam. Przypomniałam sobie, co się działo, kiedy do nas przyszła.

- Opowiedz mi... Czekam! Opowiedz, jak to było, kiedy ją poznaliście, ty, ciocia Maggie i wujek Timmy.

Umościłam się między wyrzuszeniami w starej, wypchanej gęsim puchem poduszce, gotowa do snucia opowieści.

- Podrap mnie po plecach - poprosiła Beth.

Wsunęłam dłoń pod jej bluzkę i przeciągnęłam krótko obciętymi paznokciami po skórze, tak jak lubiła, unikając łaskotliwych miejsc.

- To święta prawda, wiesz? Każde słowo.

5.

Livvie

1963

Podczas gdy obydwie z Maggie wytrzępywałyśmy piasek z plażowych ręczników, Timmy związał żyłki do łowienia krabów. Obok stał buszowy kosz, pełen wielkich skorupiaków.

- W kostiumie też mam tonę piachu - oznajmiła Maggie. - Opluczemy się?

- Ja to samo. Uch! Paskudztwo! - Ściągnęłam górę kostiumu i wyrzuciłam bryłę wilgotnego piasku.

- Pójdiesz do więzienia za obnażanie się w miejscu publicznym!

- Pocałuj mnie gdzieś! Ostatni jest zgniłym jajem!

Z wydm puściłyśmy się sprintem w stronę wody i zatrzymały nas dopiero fale przyboju, w których zanurzyłyśmy się całe.

- Jesteś zgniłym jajem! - Maggie dała nurka, a gdy wypłynęła, byłam już obok niej.

Nabrałam pełne usta wody i plunęłam z mocą węża ogrodowego, trafiając Maggie prosto w twarz.

- Jesteś obrzydliwa! Zabiję cię!

Prychnęła, opłukała twarz i chlapnęła wodą w moim kierunku. Uchyliłam się ze śmiechem i posłałam jej fontannę z powierzchni morza, ponownie obryzgując głowę. Nasze wrzaski zwabiły Timmy'ego, który stał na brzegu i kręcił głową.

- Nie bój się, Maggie! Wyrwę cię z rąk nieprzyjaciela!

Upuścił sprzęt do łowienia krabów i rzucił się bohatersko w fale oceanu. Objął mnie za kark i przewrócił na wznak w płytkiej wodzie. Uwolniłam się po krótkiej, bulgotliwej walce, wciągnęłam Timmy'ego pod wodę i puściłam. Kaszląc opętańczo, runęłam w stronę bezpiecznego brzegu, lecz mój brat dał nurka i złapał mnie za nogi. Tymczasem panna Maggie unosiła się na falach niczym królowa, z przyjemnością słuchając odgłosów walki

młodsze rodzeństwa.

- Ratunku! A masz, ty kreaturo! - Rzuciłam w Timmy'ego garścią błota, trafiając go w nogi.

- Czekaj! - Machnął ręką w stronę Maggie. - Dorwijmy ją.

Prując nosami wodę z ostrożnością podmorskich szpiegów, zbliżyliśmy się do niczego niepokreślonej Maggie, która zdawała się słyszeć tylko krzyki mew. Podpłynęłam do niej od dołu, a Timmy od tyłu. Złapałam ją za kostium i ściągnęłam na dno, udając, że chcę ją przydepnąć. Prąd wyniósł nas na powierzchnię i Maggie wynurzyła się z fal niczym wieloryb, przysięgając, że nas zamorduje.

- Powiem tacie! Wiecie, że nie wolno tak robić! Można utopić człowieka! - Odgarnęła włosy z twarzy, żeby lepiej widzieć napastników. - Będziecie mieli duże kłopoty!

- E tam, złap mnie! No, chodź! - zachęciłam dobrodusznie.

- Tak, wystarczy jedno słowo, a znowu cię dogonimy - dorzucił Timmy.

- Dajcie spokój. Musimy wracać do domu.

Maggie złożyła broń i wiedzieliśmy, że nic nie powie ojcu. Dopłynęliśmy do brzegu, ślizgając się na grzbietach fal.

- Dorwaliśmy ją, Timmy, naprawdę! - zapiszczałam, posławszy w stronę mojej siostry pożegnalną fontannę.

- Susan Hamilton - zaczęła - jesteś paskudną świnią i żaden mężczyzna cię nie zechce. Damy nigdy nie pluja!

- Czyżby? - zachichotałam i zagrałam jej na nosie.

- Naprawdę, Susan. Zapewniam cię.

- Na miłość boską, Maggie, wypłucz se krochmal z majtek.

- Przestańcie głądzić! Musimy zanieść te kraby do domu, zanim wyzdychają i zaczną śmierdzieć jak jasna cholera.

- Moje dzieci, wolałabym, żebyście nie używały takich wyrażen. Są wulgarne!

- Dzieci? I kto to mówi?

Mamrocząc pod nosem na temat Maggie, uważającej się za arbitra dobrego smaku i manier, pozbieraliśmy ręczniki, kosz z wijącymi się i skręcającymi krabami oraz wiadro z przynętą - kurzymi szyjkami. Wpuszczaaliśmy do wody kurzą szyjkę na sznurku i głupie kraby rzucały się na nią jak na zamówiony obiad. Wyłapywaliśmy je koszami.

Popisywaliśmy się przed sobą nawzajem. Na miękkim, wilgotnym piasku padały nasze długie cienie, poszerzone w ramionach przez narzucone ręczniki. Odciski stóp znaczyły nieregularny ślad. Wielbicielki słońca spoglądały znad książek w miękkich okładkach i komentowały naszą obecność.

- Znowu te dzieciaki Hamiltonów! Czy one w ogóle jedzą coś innego niż kraby?

- Pewnie nie. Lada chwila zaczną chodzić bokiem i wyrosną im szczypce.

Na wyspie ludzie zawsze mieli o innych coś do powiedzenia. Nawet o dzieciach. Timmy szedł przodem wzdłuż plaży, mijając wydmy i unosząc siatkę na kraby niczym zwycięski sztandar. Maggie i ja, zawarliśmy chwilowy pokój, kołysaliśmy koszykiem. Droga do Island Gamble zajęła nam kilka minut. Schowaliśmy koszyk i przerzuciliśmy ręczniki przez frontową balustradę. W tej samej chwili usłyszeliśmy głęboki, rozkazujący kobiecy głos:

- Nie ważcie mi się tu nanosić piasku, dzieciaki! Obmyjcie se nogi pod pompą!

- O rany! - szepnęłam. - Co to było?

Zastygliśmy w bezruchu. Po chwili dostrzegliśmy kobiecą postać. Stała na ganku, górując nad nami. Wyglądała jak statua z brązu, odlana podczas wojny secesyjnej. Była potężną, majestatyczną kobietą, mierzącą niemal metr osiemdziesiąt. Tuż ponad kwadratową szczęką dostrzegłam błyszczące oczy. Zebraliśmy się w sobie.

- Mówię poważnie, idźcie na tyły!

- Kto ty jesteś? - spytał grzecznie mój brat, któremu zdumienie niemal odebrało mowę. - Bo ja jestem Timmy.

- To widzę. Nazywam się Livvie Singleton i chcę pomóc waszej mamie. Jestem kuzynką Harriet Avinger. Co macie w tym koszyku? - Otworzyła siatkowe drzwi i zeszła na podwórze. - A wy to pewnie Maggie i Susan - zauważyła, mijając nasze wrośnięte w cement postacie. - Lepiej zamknijcie buzie, bo wam much nawpada - dodała pod nosem.

Obydwie z Maggie wyrwałyśmy się z transu i pospiesznie przywołałyśmy nasze dobre maniery.

- Ja jestem Maggie, pani Singleton, najstarsza!

- Znakomicie. - Livvie objęła ją długim spojrzeniem.

- A ja jestem Susan. Miło mi panią poznać. - Wyciągnęłam rękę, a Livvie przyjrzała mi się i dopiero po chwili uściśliła moją dłoń, uśmiechając się szeroko. Miała bardzo białe zęby i dołki w policzkach. - Kocham Harriet. Jest bardzo miła.

- Ano tak, to dobra kobieta - potwierdziła Livvie.

- Czy pani też ma taki ogród? - spytałam.

- Jeszcze większy - odparła z uśmiechem.

- A ma pani takie słodkie arbuzy? - zagadnęłam szybko. Wystarczył ułamek sekundy, żeby zorientowała się, do czego zmierzam. Zmrużyła oczy, a ja udawałam niewiniątko.

- Panno Susan? Chciałabyś zjeść arbuza z mojego ogrodu, dziecinko?

- Och, uwielbiam arbuzy - odparłam.

- Jasne, potrafi plunąć pestką na drugą stronę ulicy - zauważył Timmy i wybuchnął śmiechem.

- Zamknij się, Timmy - rzuciłam.

- No dobrze, zobaczmy, co tu mamy. - Livvie zajrzała do koszyka, w którym kilkadziesiąt nieszczęsnych skorupiaków włożyło na siebie nawzajem w poszukiwaniu słonej wody. Gdy któryś próbował się wydostać, szczypce brata ściągały go z powrotem w otchłań. - Wierzę, że jesteście wobec siebie bardziej lojalni niż te czorty.

- Tak, czy to nie okropne? Gdyby miały choć trochę rozumu, to by uciekły! - oznajmił Timmy.

- Ale nie mają, więc możemy je ugotować. Zanieście kosz pod kuchenne drzwi, to urządzimy im pogrzeb. - Livvie odwróciła się i weszła na schody. - Tak jest, rodzina Hamiltonów nieźle se dzisiaj podje! Będzie uczta!

Siatkowe drzwi zamknęły się za nią bez znajomego trzaśnięcia. Ruszyliśmy w stronę tylnych schodków, taszcząc ciężki kosz i wlokąc ręczniki po ziemi.

Maggie powiesiła swój ręcznik na sznurze do bielizny i powiedziała:

- Ej, wy, dajcie mi swoje, to je też powieszę.

- O żeż kurczę blade, panienko Maggie, mam dziś urodziny czy co? - Rzuciłam jej ręczniki i odkręciłam wodę, ściągnąwszy węża ogrodowego ze stojaka, żeby opłukać nogi.

- Nie wymądrzaj się, Susan - powiedział Timmy.

Maggie puściła sobie na nogi strumień chłodnej wody, podczas gdy my z Timmym suszyliśmy się na schodkach. Z ganku dobiegł głos Livvie:

- Przyniesiecie mi te kraby czy mam po nie przyjść?
- Już idziemy! - odrzyknęliśmy chórem, wymieniając spojrzenia pełne przesadnego niepokoju.
- Też się nie da tak łatwo urobić - zauważyłam.
- Urobić, akurat. Widziałaś jej twarz? - spytał Timmy.
- Aha, góra Rushmore* - odparłam. - Chodźmy do domu.

* Góra Rushmore, w Dakocie Południowej, 1943 m.n.p.m., słynna z wyrzeźbionych podobizn czterech prezydentów: Washingtona, Jeffersona, Lincolna i Roosevelta (przyp. tłum.).

Przekroczywszy kuchenny próg, dostrześliśmy wszzechobecne ślady nowego reżimu. Pusty zlew lśnił czystością, świeżo wywoskowana podłoga błyszcząca, wypatrzyliśmy też półmisek z domowymi ciągutkami, podobnymi do nastawionych uszu psa myśliwskiego. Czysty, wykrochmalony obrus okrywał stół, na którym stały kanapki z sałatką jajeczną, sałata z plasterkami pomidorów i ogórków, pokrojony arbuz i dzbanek z osłodzoną herbatą. Na kuchence grzała się w największym garnku woda na kraby. Livvie wrzuciła do garnka rozkrojoną cytrynę i odwróciła się do nas.

- Tak se powiadam: Livvie (mama mnie tak wołała, od „Elizabeth”, bo mówiła, że jestem żywe srebro)**. Więc powiadam: Livvie, te dzieciaki pewnie będą zagłodzone, jak wrócą do domu! To żem zrobiła coś do jedzenia. Daj tu koszyk, chłopcze. Kiedy woda się zagotuje, urządzimy święto! - Klasnęła w dłonie i zgięła się wpół z uciechy na widok naszych wstrząśniętych twarzy. - Lubicie ciągutki?

** *Live* (ang.) - pełen życia, żywy (przyp. red.).

Jak zahipnotyzowani zajęliśmy miejsca przy stole i pochłonęliśmy jedzenie, oblizując palce i dochodząc do szczęśliwego wniosku, że mogłoby być gorzej.

- O rety, pani Singleton, to jest przepyszne! Nie przypuszczałam, że sałatka jajeczna może być taka świetna - powiedziałam. Bardzo mi smakowało.

- Mówcie do mnie Livvie, dobrze? Sól selerowa, trochę posiekanej cebuli i musztarda. Na tym polega mój sekret. Nauczę was, jak to się robi, jeśli będziecie grzeczni! Chcecie jeszcze herbaty?

Wentylator pod sufitem działał kojąco, a nasza trójka napychała żołądki do chwili, gdy nie mogliśmy już przełknąć ani kęsa. Westchnęłam z satysfakcją i ulgą. Po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, ktoś zatroszczył się o nas w ten sposób.

- Teraz zmyjemy talerze, a potem utopimy tych młodziaków, co?

Livvie odkręciła kurek i nalała płynu do zlewu, dając nam znak, żebyśmy wstawiły naczynia do wody. Bez ponaglenia zaczęłyśmy z Maggie myć je i wycierać. Livvie znalazła kuchenne szczypce i zaczęła wrzucać kraby do wody, przepraszając każdego z osobna.

- No dobrze, panie krabie, przykro mi, że muszę to zrobić, ale twoje życie nie idzie na marne. Nie, proszę ja ciebie, usłużysz Panu naszemu, karmiąc Hamiltonów.

Rozchichotaliśmy się za jej plecami i słysząc to, odwróciła się na pięcie.

- Z czego się śmiejecie? Chodź no tu, paniczu Timmy, powiedz temu krabowi, że go żałujesz. I podziękuj mu.

- Dajże spokój, Livvie.

- Nie dam! Chodź tu w tej chwili! Wiem, że wydaje ci się to głupie, ale musisz pamiętać o podziękowaniu. To ważne. Nie strój sobie żartów z Natury. Nigdy! Jeśli rozniewasz Yemallę, już więcej nie zobaczysz kraba.

Wręczyła mu szczypce, które wziął z wielką niechęcią. Sięgnął po kraba i uniósł go wysoko nad garnkiem.

- Yemalla? Co to takiego? - zapytałam.

- Hmm. O nieba! - Na jej twarzy pojawił się nagle wyraz bliski rozpacz. - Chodźcie co niedziela do kościoła?

- Żartujesz? - powiedział Timmy. - Żeby nie iść na mszę, musielibyśmy leżeć w szpitalu albo w grobie!

- To dobrze - stwierdziła Livvie - bo każdy powinien dziękować Panu za wszystko, co dla nas robi. Mam rację?

Przytaknęliśmy, kiwając głowami jak dobrze wychowani idioci, a Livvie zaczęła pierwszą z wielu opowieści o kulturze gullah i zwyczajach swoich pobratymców.

- Moja rodzina przybyła z Afryki w czasach plantacji, przed wojną z Jankesami. Mieliśmy swoje obyczaje, wiarę i tak dalej. Kiedyśmy przyjechali, biali namawiali nas, żebyśmy wierzyli w to samo, co oni. Więc

nauczyliśmy się o Jezusie i nauczyliśmy się kochać Pana Boga. Ale pamiętamy, jak żyli nasi ojcowie i starsi, i oddajemy im cześć, opowiadając historie, które przywieźli z wody. Nie zaszkodzi modlić się do wszystkiego. Jeśli Bóg jest wszędzie, trzeba się modlić do wszystkiego. Mam rację?

- Nie zaszkodzi - potwierdziłam.

- Powiedz nam coś więcej, Livvie - wtrąciła Maggie. - Kim lub czym jest ta Yemalla?

- Jest bardzo potężna, ot co. Widzicie, wierzymy, że skoro Pan Bóg dał wolną wolę człowiekowi, musiał ją też dać wszystkiemu, co stworzył. Dlatego nadajemy imiona Matce Naturze! Yemalla to imię bogini. Ona jest mocą oceanu i księżycą, rządzi przyływami, kołuje duszę pieśnią, oświetla nam drogę. Karmi nas rybami i tymi wariackimi krabami, co lądują w garnku. To są jej dzieciaczki, dlatego dziękujemy im, że nas żywią.

- To największe dziwactwo, jakie w życiu słyszałem, Livvie - zachichotał Timmy.

- Tak ci się zdaje? - fuknęła Livvie.

Zaczynała się lekko irytować. Timmy powinien był mieć dość rozumu, żeby nie żartować sobie z jej religii, ale to głupek.

- Ja tak nie uważam, Timmy! Nie słuchaj go, Livvie, bardzo ciekawie mówisz! - zapewniłam pospiesznie, usiłując zdusić pożar w zarodku.

- Coś wam, dzieciaki, powiem. Bóg, Pan czy Yemalla to dla mnie bez różnicy. Zupełnie to samo. Możecie wierzyć, w co tylko chcecie. Po prostu tak se myślę, że to dar, jeśli można zanurzyć haczyk w rzece i wyciągnąć obiad! I trzeba za to komuś podziękować!

Umilkła i popatrzyła na nas jak na bandę ciemnych pogan. Byliśmy nimi. Mimo iż różne siły próbowały wbić chrześcijaństwo do naszych tępych czaszek, stawialiśmy energiczny opór, spychając religię do paru godzin przemęczanych w kościele i wkuwania do testów w szkole. Nagadaliśmy się sporo o niebie, piekle, czyśćcu i otchłani, ale prywatnie Timmy i ja uważaliśmy, że większość tego wszystkiego to bzdury. Maggie oczywiście kupiła cały ten kram, ale ona była świętoszką światowej klasy. Ja natomiast doszłam do wniosku, że będę się sprawowała najlepiej jak potrafię, a po śmierci zobaczę, co dalej. Na mój rozum Bóg miał mnóstwo tyłków do skopania przede mną, na przykład Hitlera i innych facetów tego pokroju. Może się zmęczy.

Ale nawet taka poganka jak ja musiała przyznać, że w tym, co mówi Livvie, jest pewien sens. Należało komuś podziękować. Przede wszystkim zaś spodobała mi się idea boga-kobiety.

- Yemalla, hę? - mruknęłam.

- Właśnie, Yemalla - odparła z godnością Livvie.

Timmy wstał i zbliżył się do niej.

- No dobra, panie krabie, Livvie każe mi to zrobić. Przepraszam. Ale cieszę się, że to tobie spuchnie tyłek, a nie mnie.

Nie mogłyśmy powstrzymać chichotów, nawet Livvie nam zawtórowała. Zauważyłam jednak, że skojarzyła to, co mówił, ze skutkami lania. Harriet najprawdopodobniej wspomniała jej o wybuchowym charakterze naszego taty.

Timmy, zadowolony ze swego dowcipu, zasalutował Livvie, skłonił się w naszą stronę i wrzucił do garnka następnego kraba.

- Przepraszam, kolego - rzekł dramatycznym tonem, machając mu na pożegnanie.

Livvie pokręciła głową.

- Teraz sobie idźcie, zajmijcie się czymś, tylko bez hałasu! Ja tu wszystkiego dopatrzę.

Odwróciłam się i przez długą chwilę patrzyłam jej w oczy.

- Cieszę się, że jesteś z nami, Livvie - odezwałam się wreszcie. - Dzięki za kanapki i wszystko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnęła się do mnie, wycierając ostatni talerz. - I dziękuję wam za pomoc.

- Zaklepuję hamak! - wrzasnął Timmy i wystartował w stronę ganku. - Dzięki, Livvie!

- Wracaj no tu! - rozkazała Livvie.

Timmy zawrócił do kuchni, gdzie stałyśmy we trzy.

- Co znowu? - jęknął.

- Posłuchajcie mnie, dzieciaki. Wiem, żeście przywykli do tego i owego, zanim Livvie tu nastąpiła. Ale teraz, jak już tu jestem, musicie zrozumieć parę rzeczy.

Spojrzała na nas, oczekujących w najeżonych pozach ciągu dalszego. Uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach.

- Najsampierw, nie będzie więcej trzaskania drzwiami. W tym domu mieszkają starzy ludzie i przez ten hałas mało co nie wyskakują ze skóry. Póki tu jestem, nie dopuszczę, żeby mi ktoś padł trupem. Po drugie, nie będzie więcej wrzasków i wydzierania się całe gardło. Jak zachce się wam wrzeszczeć, lećcie na pole. Niedługo urodzi się tu dziecko i nie pora wyczyniać brewerie. Teraz mam do was jedno pytanie.

- Słuchamy, Livvie - powiedziała Maggie.

- Jakie? - chciałam wiedzieć.

Timmy milczał.

- Czy z jakiegoś powodu, którego nie rozumiem, wasza mama musi słać wam łóżka? Tacy jesteście słabowici, że nie możecie sami tego robić, żeby jej pomóc?

Timmy popatrzył na mnie, a ja na Maggie.

- Po prostu mama zawsze to robiła, Livvie. To nie tak, że próbujemy ją wykorzystać - wytłumaczyła oszołomiona Maggie. Poczuliśmy pierwsze wyrzuty sumienia.

- Pojmuję. Ano, coś wam powiem. Wsiadam ja rano z autobusu i wita mnie kobieta. Wygląda, jakby miała lada chwila stracić dziecko, ma podkrążone oczy i tak spuchnięte kostki, że chce mi się płakać. Jest kompletnie wykończona, tak se myślę. Ta kobieta to wasza mama. Chcę, żebyście teraz sami słali łóżka. I sprząтали po sobie. Możecie to dla niej zrobić?

- Jasne. Żaden problem - odparł Timmy z lekkim zakłopotaniem.

- O Boże, Livvie, gdzie jest mama? Nawet jej nie widzieliśmy, odkąd wróciliśmy do domu - zaniepokoiłam się.

- Zdaje mi się, że odpoczywa; i nie wzywaj imienia Bożego nadaremno. Kto mi pomoże poskładać ręczniki i pościel? Muszę przypilnować krabów i upiec kurczaki. Wasz dziadzio poprosił o pieczonego kurczaka i powiedziałam, że z chęcią mu go przyrządzę.

- Chętnie pomożemy - odpowiedziała cicho Maggie, zerkając na mnie, a potem na Timmy'ego.

Z westchnieniem popatrzyliśmy po sobie. Zanim słońce przemierzyło trasę z jednego krańca wyspy na drugi, do naszego rozśpiewanego świata wprowadzono porządek i nowe wymagania.

Livvie bezceremonialnie przekazała nam ściereczkę i wosk w aerozolu wraz z duchowym przesłaniem, że kładzenie czystego prania na brudnym

stole nie ma absolutnie żadnego sensu. Nie wypowiedziała ani słowa. Wystarczyło, że na nas spojrzała.

W krótkim czasie na czystej, lśniącej powierzchni jadalnianego stołu zaczęły rosnąć sterty ręczników niczym wieżowce w handlowej dzielnicy wielkiego miasta. Obydwie z Maggie składałyśmy i składałyśmy bez końca.

- Boże, ta Livvie nas zamęczy! - szepnęłam do siostry. - Będziemy harować jak woły.

- Fakt, ale nie miałam pojęcia, jaki ten dom jest brudny, dopóki Livvie nie posprzątała. A ty? Przytrzymaj rogi. - Maggie wzięła prześcieradło, złożyła je trzykrotnie i dodała do sterty. - Kto używał tych wszystkich ręczników?

- No, na pewno nie Henry. To flejtuć. Mama musi go co tydzień wciągać za włosy pod prysznic, czy tego chce czy nie.

- Święta prawda. I dobrze wiemy, że babcia też niezbyt często korzysta z ręczników - mruknęła Maggie, krzywiąc się z obrzydzenia.

- Proszę - zaprezentowałam swój słynny odruch wymiotny. - Śmierdzi u niej jak w męskiej szatni.

- Susan! Pssst! - Maggie wydała teatralne westchnienie i posłała mi jedno ze swych zniecierpliwionych spojrzeń.

- Przepraszam, wasza wysokość - syknęłam - ale mam prawo do własnego zdania, a ona naprawdę wydziela woń *eau de-śmietnik*. Hej, czy myślisz, że to możliwe, aby Livvie doprowadziła starą Sophie do porządku?

- Jeśli jej się uda, to będzie cud stulecia.

- Jeśli Sophie pod jej wpływem nabierze rozumu, ta nora zamieni się w sanktuarium i przybędą tu rzesze pielgrzymów, aby zaczerpnąć cudownej wody. Chcę dostać koncesję na świece. - Szybko obliczyłam, ile świec po pięćdziesiąt centów za sztukę musiałabym sprzedać. - Pięćdziesiąt świeczek dziennie przez czterysta dni dałoby mi dziesięć tysięcy. Gdybym je zainwestowała na trzy lata z pięcioprocentowym zyskiem, mogłabym kupić corvette, opłacić czesne w college'u i zabrać całą rodzinę na wakacje na Florydę!

Maggie znieruchomiała i popatrzyła na mnie jak na przybysza z Marsa.

- Na czym opierasz swój sposób myślenia? To znaczy, skąd ci się biorą te dzikie fantazje i pomysły?

- Nie wiem. Czasami myślę, że mam w mózgu jakiegoś wirusa. Genetyczna ofiara przodków. - Wlepiłam w Maggie szeroko otwarte oczy i zachichotałam.

- Co? - Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- Och, na miłość boską, Maggie, po prostu próbuję się trochę rozerwać. Inaczej życie byłoby nie do zniesienia. - Poczulałam, że robi mi się gorąco w szyję. Nikt w tym domu nie rozumiał mojego poczucia humoru.

- Aha - Maggie wróciła do roboty. - W każdym razie ktoś tu zużywa stanowczo za dużo ręczników!

- Owszem. Złożyłyśmy już dwadzieścia dwa ręczniki kąpielowe, czternaście ręczników do rąk, osiemnaście ręczniczków do twarzy i tonę ścierek! To prawdopodobnie sprawka taty.

- No tak, ale kto mu zwróci uwagę?

Myśl o ujęciu w karby naszego ojca sprawiła, że popatrzyłyśmy na siebie znacząco. Dźwigając stos ręczników, podążyłam za Maggie do bielizniarki.

- Lubię Livvie - oznajmiła, upychając pranie na półce.

- Ja też, bardzo, ale Timmy mówi, że ona nam tu urządzi koszary. Ejże, a gdzie się ten smarkacz podziewa? Powinien nam pomagać!

- Livvie kazała mu wynieść śmieci i oddać butelki do skupu. Kiedy go ostatnio widziałam, ładował wózek.

- Timmy? Jezu! Co nas jeszcze czeka?

- Kto wie? Idę pomalować paznokcie u nóg w zaciszu mojego pokoju, zanim znowu wyznaczy nam jakąś robotę.

W tej samej chwili minęła nas Livvie, niosąc miednicę, kostkę mydła i ręczniki.

- Zamierzam trochę obmyć waszą babcie - oznajmiła. - Macie w domu talk? Dzisiaj przez dwie godziny szorowałam jej pokój, ale za to jak tam teraz pachnie!

- Pod umywalką w łazience mamy - powiedziałam.

Spojrzałyśmy po sobie z Maggie w kompletnym osłupieniu co najmniej trzeci raz w ciągu ostatnich paru godzin. Potem Maggie poszła na górę. Wbiegłam za nią, przemierzając czternaście stopni. Przemyślałam sprawę i nie zwlekając, dotarłam do pokoju Maggie na końcu korytarza. Kopnięciem otworzyłam drzwi i zobaczyłam moją siostrę na łóżku, kartkującą najnowszy numer „Hollywood Truth”. Z rozdrażnieniem uniosła głowę.

- Nigdy nie słyszałaś, że należy pukać?
- Daruj sobie, Maggie, my się tu zachwycamy Livvie, a tak naprawdę czeka nas katastrofa! Staniemy się niewolnikami tej kobiety! Poza tym, złotko, jeśli Wielki Hank przyłapie cię z tym brukowcem, zło ci tyłek.
- Tatuś nigdy mnie nie tknął.
- Szczęściara. - Zrobiłam poważną minę.
- No więc czego chcesz, niewyparzona gębo?
- Chodzi o nią. Rany, można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie składałyśmy ręczników. Słyszałaś, jak mi kazała składać je potrójnie, a potem znowu na trzy? Dość mam algebry w szkole. Mówię ci, zastanowiłam się nad tym. Timmy miał rację. To jak kolonia karna.
- Daj spokój, może to ona ma rację. Za każdym razem, kiedy się otwiera bielizniarkę, wszystko wypada na podłogę. A tak poskładane ręczniki dobrze leżą na półce. Swoją drogą, jesteśmy bandą niechlujów. Mogę trochę posprzątać, byle nie kazała mi czyścić klozetów.
- Mama potrzebuje służącej i trafia nam się Albert Einstein od składania ręczników. Ukryję się w swoim pokoju. Pogrzeb krabów bardziej mi się podobał. Zupełnie jakby się odprawiało jakieś modły.
- Jesteś szurnięta, wiesz? A ona przynajmniej dobrze gotuje.
- No, może, ale nadal twierdzę, że wpadliśmy w ciężkie tarapaty.
- Poszła umyć starą Sophie. To wspaniale.
- Zobaczymy. Na razie nie słyszę wrzasków.

Zamknęłam drzwi i wśliznęłam się do własnego pokoju po drugiej stronie korytarza, poddając się z westchnieniem władzy Livvie. Musiałam przyznać, że w ciągu ostatnich kilku godzin dokonała cudów. Śmieszyło mnie, że nawet dziadek Tipa był dla niej uprzejmy. Przez trzy tygodnie tylko gderał, kiedy stawialiśmy nową łazienkę. Przeważnie to on przepędzał stąd kobiety, obrzucając je głupawymi określeniami, które rezerwował dla kolorowych. Ale Livvie zawojowała go obietnicą, że upiecze mu kurczaka.

Oparłam się o drzwi i obrzuciłam pokój uważnym spojrzeniem. Nie było w nim nic wyjątkowego oprócz prywatności, którą uzyskiwałam, zamknąwszy drzwi. Przy łóżku stał wiekowy stolik, pomalowany łuszczącą się białą farbą. Ustawiałam na nim giętką lampę, kiedy odrabiałam lekcje, czytałam albo pisałam pamiętnik. Moje wąskie mahoniowe łóżko domino wało nad całym pomieszczeniem. Miało cztery słupki z wyrzeźbionymi

snopkami pszenicy i swego czasu służyło któremuś z dawno zmarłych krewnych. Postrzępione, wypchane zwierzaki - starzy, bliscy przyjaciele - siedziały na moim najcenniejszym skarbie: ręcznie robionej kołdrze, która należała do matki ojca.

Pisałam pamiętnik - nie tylko jeden, lecz całą stertę zapisanych czarno na białym zeszytów. Pisanie dawało mi swobodę. Pisząc, mówiłam to, co myślałam. Gdybym powiedziała to na głos, tata chybaby mnie zabił.

Leżąc na brzuchu, sięgnęłam pod łóżko po wiklinowy koszyk z pokrywką. Sprawdziłam supelki, aby się upewnić, że wścibskie oczy rodzeństwa nie wysłedziły moich sekretów. Stwierdziłam, że nie, i z westchnieniem pomyślałam, że w takim wypadku, gdyby przeżyli, musieliby sobie sprawić sztuczne szczęki.

Wstążki, którymi związywałam zeszyty, dostałam w prezencie i przechowywałam je przez lata. Przypominały mi czasy, kiedy byłam naprawdę małą. Córeczka M.C. Tylko wtedy czułam się dzieckiem. Czułam matczyną troskę i miłość.

Mama otworzyła drzwi, kiedy bawiłam się na ganku papierowymi lalkami. Chyba doszła do wniosku, że jestem osamotniona. Sama też nie sprawiała wrażenia zbyt szczęśliwej.

- Susan? Chcesz się ze mną spacerować?
- Jasne! A dokąd?
- Do Fanny. Możemy sobie zafundować colę. Włóż buty.

Fanny, stara panna z wyspy, prowadziła sklepik dla znajomych. Sprzedawała mleko, chleb, zimne napoje, cukierki, komiksy, nici, wstążki oraz kupony tanich materiałów.

Fanny McGuire miała zawsze najświeższe wiadomości. A także największe uszy i najdłuższy język na wyspie. Trzeba jednak przyznać, że porządna z niej była kobieta. Ilekroć ktoś zachorował, przynosiła mu bulion i suchary. Przepadała za dziećmi i uważnie śledziła ich rozwój. Bardzo lubiłam tam chodzić, podobnie jak większość dzieci z wyspy, gdy tylko kieszeń pozwalała nam na słodką orgię.

Trzymałyśmy się z mamą za ręce, krocząc Middle Street ku naszemu celowi. Chciałam wydać się jej dorosłą, więc postanowiłam zadać kilka pytań.

- Jak ci się wiedzie, mamó?
- O, chyba nie najgorzej. Czemu pytasz?
- Słyszałam wczoraj, jak się kłócicie z tatą. Uderzył cię?
- O czym ty mówisz, Susan? Nie kłócimy się. A on nigdy mnie nie uderzył!

- Och, może mi się to przyśniło.

- Pewnie tak.

Wiedziałam, że kłamie, i ona też to wiedziała. Przez chwilę szłyśmy w milczeniu, a potem przystanęłyśmy.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić, mamó, rozumiem cię.

Mama przyklękła i ujęła w dłonie moją twarz.

- Daję słowo, skarbie, nie miałam pojęcia, że coś o tym wiesz. Nie martw się. Wszystko jest w porządku. Dorośli czasami się sprzeczą, ale to nie oznacza, że się nie kochają. Jak to się stało, że jesteś już taka dorosła?

Ucałowała mnie w oba policzki i ogarnęła macierzyńskim uściskiem, którego nigdy nie zapomniałam.

Bez przerwy o czymś rozmyślałam. Związek moich rodziców chwiał się w posadach. Wiedziałam o tym pomimo zapewnień mamy. Nazajutrz po kłótni płakała przez cały ranek. Trzymałam się wtedy braci i Maggie. Nie bałam się matki, bałam się jej smutku.

Weszłyśmy wąskimi drzwiami, a panna Fanny uniosła głowę znad księgi rachunkowej.

- Marie Catherine Hamilton! Jak się miewasz? I panna Susan! Aleś ty wyrosła i wyładniała!

Panna Fanny rozsunęła drzwi chłodziarki, wyjęła dwie coca-cole i zdjęła z nich kapsle, korzystając z otwieracza przymocowanego na stałe do boku urządzenia. Spadły z brzękiem na dno specjalnego pojemnika, a Fanny z uśmiechem podała nam po butelce. Widziałam wszystkie plomby w jej zębach.

Fakt, że uznała mnie za ładną, napełnił moje serce radosnym podnieceniem. W końcu byłam siostrą Maggie, prawdziwej piękności. Maggie i Henry mieli gęste, lśniące jasne włosy, natomiast włosy Timmy'ego i moje były brązowe i kręciły się paskudnie w niewłaściwych miejscach.

- No więc, pani Hamilton, opowiedz mi o wszystkim! - zachęciła Fanny. - Co u ciebie słyhać?

Obydwie rzuciły się w wir kobiecych plotek, a ja zaczęłam krążyć między półkami i stojakami. Moje palce wymacały szpulki ze wstążkami, wiszące na gwoździach za ladą. Wiedziałam, że nie zasługuję na złotą wstęgę z wyhaftowanymi kwiatami.

- No i Marilyn Ames pakuje się do kościoła Stella Maris z włosami ufarbowanymi na jakiś okropny różowy odcień, a w tylnej ławce siedzi stara pani Dorsey ze swoją wiekową siostrą Idą i żadna nie ma aparatu słuchowego.

- Och, nie mów!

- Tak było! Stara pani Dorsey nachyliła się do Idy i huknęła pełnym głosem: „Dobry Jezu! Nie wiedziałam, że włosy mogą mieć taki kolor!”. Wszyscy w kościele zaczęli chichotać i panna Strojnisia Ames dostała nauczkę!

- Och, żałuję, że mnie przy tym nie było!

- Tak się zaśmiewałam, że o mały włos nie odwieźli mnie do Świętego Franciszka.

Dopiłam colę i wpełzłam głębiej za wysoką ladę, kryjącą rzędy pudełek z cukierkami w rodzaju Mary Jane, Squirrel Nut i Sugar Daddy. Z rozkoszą wdychałam słodki zapach. Sam w sobie sprawiał mi ogromną przyjemność, gdyż naszą rodzinę rzadko było stać na coś innego niż artykuły pierwszej potrzeby. Ślina napłynęła mi do ust.

Nie wiedziałam, że panna Fanny przez cały czas obserwuje mnie kątem swego bystrego sklepikarskiego oka.

- Podobają ci się wstążki, prawda, złotko?

- Tak, psze pani - odparłam zawstydzona.

- No to utniemy dla ciebie kawałek.

Sięgnęła po długie nożyce z czarnym uchwytem, zdjęła cztery szpulki i położyła na ladzie obok przytwierdzonej do blatu miarki. Wstrzymałam oddech, gdy odmierzała wstążkę w czerwono-granatową kratkę ze złotymi prążkami.

- Możesz ją nosić do szkoły - powiedziała i znowu zwróciła się do mamy. - Ej, czy przyjdziecie z Hankiem na ostrygową ucztę?

- Rety, to już w następny weekend, prawda? Muszę zapytać Hanka.

- Musisz go pytać, czy możesz zjeść kilka ostryg z przyjaciółmi dziecięć przecznic dalej?

- Przecież wiesz, Fanny, jaki on jest.
- Przyjdźcie razem z dziećmi. To wam dobrze zrobi! Patrzyłam, jak odcina kawałek wstążki w żółto-zielone kwiatki, a potem niebieskiej z mieniącego się atlasu i białej aksamitnej. Owijała je wokół szorstkich dłoni, kręcąc głową i cmokając z niesmakiem nad moim tatą i jego paskudnymi zwyczajami. Włożyła wstążki do brązowej papierowej torebki, dorzucając w ostatniej chwili batonik Hersheya i Sugar Daddy. Pochyliła się nad ladą i wręczyła mi torebkę z mrugnięciem i ostrzeżeniem.

- Masz tu prezent od cioci Fanny. Tylko nie opowiadaj całej dzieciarni, co ci dałam. Nie potrzebuję, żeby mi się tu zlatywały wszystkie smyki z wyspy, które chcą dostać coś za nic, słyszysz mnie, dziewczyno?

- Tak, psze pani. - Z niedowierzaniem wzięłam torbę.

Mama, dotychczas pogrążona w myślach o towarzyskich atrakcjach związanych z ostrygową ucztą, uświadomiła sobie, co się wydarzyło, i wkroczyła do akcji.

- Słowo daję, Fanny, jak to miło z twojej strony! Co powiesz, Susan?

- Dziękuję, ciociu Fanny, naprawdę!

Rozwinęłam postrzępioną niebieską wstążkę, położyłam na moim dzienniku i wygładziłam dłońmi. To był miły dzień - ramię matki obejmujące moje plecy, hojność panny Fanny.

Nie wiedziałam, co jest ze mną nie tak, dlaczego nie mogę być taka jak Maggie, Timmy i inni ludzie z wyspy. Tyle tylko, że oni wszyscy pragnęli monotonii, a ja łaknęłam przygody. Na tym polegała zasadnicza różnica. Maggie chciała skończyć Palmer College i zostać sekretarką. Wyjdzie za jakiegoś absolwenta i będzie popijać piwo w sobotnie wieczory przez resztę życia. Moi bracia pójdą zapewne do Citadel w Charlestonie i zostaną nauczycielami albo pracownikami bazy morskiej, poślubiwszy miłe dziewczęta z pasemkami na włosach.

„Żałuję, że nie mogę pragnąć tego samego, co oni, ale to byłoby jak noszenie cudzej skóry - napisałam. - Boże, życie byłoby takie proste, gdybym czuła to co oni”.

Nie zrozumcie mnie źle. Moje życie nie było jednym pasmem udręki. Naprawdę lubiłam szkołę. Pisanie sprawiało mi przyjemność, a matematyka

przypominała rozwiązywanie zagadek, grę. Ale mieszkańcy wyspy i dzieciaki w szkole uważali mnie za dziwoląga. Powtarzali za moimi plecami, że mam za duży mózg, który u dziewczyny tylko się marnuje. Mówili również, że pyskowanie kiedyś mnie zgubi. Czort z nimi.

W tajemnicy opisywałam życie i to pomagało mi zachować zdrowe zmysły. Każde ważniejsze wydarzenie z dziejów rodziny Hamiltonów znalazło się na tych kartkach, uzupełnione krótkim opisem scenerii. Pocieszałam się, że kiedyś będę żyła własnym życiem i wszystko się ułoży.

Z ołówkiem numer dwa w ręku zwinęłam się na narzucie i zaczęłam pisać.

„Pewnego dnia wyniosę się z tej ciasnej wysepki i pojadę do Paryża, by zdobyć wiedzę o mężczyznach. Zmienię sobie imię na Simone. Będę mówiła kiejką francuszczyzną z akcentem gullah. Zamieszkać w maleńkiej, interesująco urządzonej garsonierze, będę się ubierać na czarno, palić papierosy, pić whisky i pisać znakomite książki. Może zabiorę Livvie. Założę się, że ona potrafi sobie poradzić ze wszystkim”.

Narysowałam nas obie w beretach i ciemnych okularach i zachichotałam.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek samochodu, a minutę później krzyk. Tata uderzył Timmy'ego. Trzasnęły kuchenne drzwi. Wyjrzałam i zobaczyłam Henry'ego biegnącego przez podwórze - znając go, łatwo było zgadnąć, że ucieka przed pasem. Słuszna decyzja, Henry, pomyślałam. A potem dobiegł mnie głos Livvie. Brzmiał równie donośnie jak głos starego.

- Niech pan zaraz przestanie! Nikt nie będzie podnosił ręki na dzieciaka pod moją opieką, nieważne, kim by był!

- Chcesz mnie pouczać, jak mam wychowywać własne dzieci? Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? - ryknął tata.

- Zmykaj stąd, Timmy! - rozkazała Livvie. - Już! Zmykaj, skoro ci mówię, żebyś zmykał!

Usłyszałam kroki Timmy'ego, biegnącego w stronę ganku i na palcach zeszałam do hallu.

- Nie chcę nikogo pouczać! Mówię, jak jest. Coś panu powiem, panie Hamilton. Jestem Livvie Singleton, która dzisiaj posprzątała pański dom, nakarmiła pańskie dzieci, uprała pańską odzież i urządziła pańskiej teściowej kąpiel, pierwszą od Bóg wie kiedy! A jeśli się panu zdaje, że może pan znaleźć kogo innego, co przyknie oczy na pana wyskoki, to niech pan po

niego leci, bo ja jestem bogobojną i uczciwą kobietą i nie zniosę takiego grubiaństwa!

- Doprawdy? - spytał. - Chyba powinienem...

- Jak mi włos spadnie z głowy, jest pan martwym białasem. Słyszysz pan?

Czy tata zamierzał ją uderzyć? Czy już kompletnie stracił rozum? Zapadła cisza, a po kilku sekundach usłyszałam śmiech mojego ojca. Zaśmiewał się jak wariat i skorzystałam z tej okazji, żeby przemknąć się na ganek. Timmy leżał w hamaku.

- Nic ci nie jest?

- Nie, nic. Palnął mnie tylko w głowę.

- Pokaż.

Jedną stronę twarzy miał całą czerwoną.

- Susan? Ta Livvie jest niesamowita.

- Tak - zgodziłam się. - Chcesz zimny kompres?

- Nie, przeżyję.

Samochód taty zawarczał i z piskiem opon ruszył z podwórza. Po chwili otworzyły się siatkowe drzwi i wyszła Livvie.

- Pokaż no buzię, synku.

Timmy usiadł i pokazał twarz. Przyłożyła dłoń do śladu na jego policzku i zaczęła nucić starą piosenkę.

- Zaśpiewaj słowa, Livvie, dobrze? - poprosiłam.

Uśmiechnęła się i zaśpiewała cichym, dźwięcznym głosem:

Nadszedł dla nich kres jarzma i znoju,

Niech z łupami odejdą w pokój,

Niechaj wyjdzie z Egiptu mój lud!

Śpiewała i nuciła przez kilka minut, trzymając twarz Timmy'ego w swych pięknych, ciemnobrązowych dłoniach o długich palcach. Gdy znowu spojrzała na policzek mojego brata, czerwony placek zniknął.

- No i jak, synku, lepiej ci? - spytała.

- Tak - odparł. - Gdzie tata? Nadal jest wściekły?

- Nie kłopotz się o swojego tatę. Nie jest wściekły. Prawdę mówiąc, dał mi podwyżkę. Pojechał do waszego wujka Louisa, żeby ich zaprosić na dziś wieczór. I nie martw się, że znowu ci takie coś zrobi. To się już nie powtórzy, rozumiesz?

- Dał ci podwyżkę? - zapytałam, głęboko wstrząśnięta.
- Uhum. Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze spróbuje ze mną jakichś głupot, rzucę na niego uroczone oko, a on zaczął się śmiać. Mówię mu: „Odchodzę”, a on na to: „Zostań”. Ja do niego: „Jak mi pan dołoży pięć dolarów tygodniowo, to zobaczymy”.

- Co to jest „uroczne oko”? - spytałam.

- Hmm. Lek Matki Natury przeciw złu, ot co - odparła.

Rozchichotałam się i nie mogłam przestać, Timmy mi zawtórował i wreszcie Livvie wybuchnęła śmiechem tak serdecznym, że niemal widziałam jej migdałki. Klepała się po kolanach, zginała wpool, prostowała i znowu zginała. Było na co popatrzeć, kiedy tak czciliśmy jej zwyczajstwo.

- Nigdy nas nie opuszczaj, Livvie - poprosiłam.

- Nigdzie się nie wybieram, chyba tylko do kuchni przygotować coś dla gości. Chcecie pomóc Livvie? I jeszcze jedno, paniczu Timmy.

Spojrzał na nią, wiedząc, że udzieli mu jakiejś rady.

- Następnym razem, jak usłyszysz auto twojego taty na podwórzu, leć do niego i zobacz, czy mu w czymś nie pomóc, dobrze? Jest zły, kiedy musi prosić. Rozumiesz?

- Aha, rozumiem.

- Zuch z ciebie - powiedziała.

Ruszyliśmy we dwie w stronę kuchni, ale w salonie Livvie przystanąła, wpatrując się w duże lustro po drugiej stronie pokoju. Miało tę samą wysokość co okna i wypełniało przestrzeń między nimi. Połączana rama połyskiwała w półmroku. Często myślałam, że nasz salon przypomina zakład pogrzebowy. Zawsze panował tam mrok, a lustro było tak wielkie, że budziło lęk. We wczesnym dzieciństwie nie chciałam wchodzić sama do tego pokoju.

- Co jest? - spytałam.

- Nic. Skąd macie to lustro?

- Ehm, kupił je dziadek Tipa. Przywiózł je ze starego hotelu Planters, który był kiedyś na wyspie. Wisiało tam nad barem, ustawione poziomo. Czemu pytasz?

- Nic niewarte. Duże lustra są nic niewarte. Nic a nic. Siedzą w nich duchy. Jak duch wyjdzie, musisz się fest namęczyć, żeby go wygnąć z domu. Nie. To nic niewarte.

- Livvie, o czym ty, u licha, mówisz?

- He? Och, dziecko, nie zwracaj na Livvie uwagi. Chodź, czeka nas robota.

Gdy ciocia Carol z wujkiem Louistem zajechali wieczorem przed nasz dom, byłam razem z Livvie na ganku, gdzie ustawiałam miseczki z orzeszkami i precelkami, kładąc obok nich papierowe serwetki, Livvie zaś umieszciała szklanki i wiaderko z lodem na karcianym stoliku, przykrytym białym obrusem. Barek na ganku był czymś zupełnie nowym i zapytałam ją, dlaczego go instaluje. Odpowiedziała:

- Bo mam coś lepszego do roboty niż bieganie tam i z powrotem przez całą noc jak pies za patykiem i noszenie im drinków, oto dlaczego.

Brzmiało to dla mnie nader sensownie.

Kiedy wujek Louis otworzył drzwiczki samochodu, ciocia Carol powoli wysunęła najpierw jedną, a potem drugą nogę. Była zakochana w swoich nogach, podobnie jak wszyscy mężczyźni na wyspie, którzy potrafili nakierować lusterko. Ukazały się więc, jedna po drugiej. Długie, opalone i doskonale. Paznokcie u stóp i dłoni miała pomalowane blad różowym lakierem i nosiła pastelowy różowy sweterek z dobraną kolorystycznie kamizelką oraz drogie płócienne bermudy. Na złotej klamrze paska ze skóry aligatora były jej inicjały. Potrząsnęła wspaniałymi blond włosami, zdjęła ciemne okulary i uśmiechnęła się do mnie.

- Hej, panno Susan! Jak się masz?

Co za pogerka, pomyślałam. Zdawało jej się, że jest Marilyn Monroe czy kimś takim. Zerknęłam na Livvie, która zacisnęła usta.

- Świetnie! Powiem mamie, żeście przyjechali! - odkrzyknęłam. Mijając Livvie, mruknęłam: - To ciocia Carol.

- Hmm - rzekła.

Dorośli bawili się po swojemu, a my po swojemu. Maggie spędzała noc u swojej najlepszej przyjaciółki. Timmy i Henry oglądali na górze telewizję. Ja zaś siedziałam z Livvie w kuchni. Kilka razy usiłowała przegnać mnie do łóżka, ale nie ruszyłam się z miejsca. Jej przybycie tamtego dnia mogło się okazać najważniejszym wydarzeniem w moim życiu i nie chciałam niczego przeoczyć. Zmywałam talerze, gdy weszła z tacą, na której leżały skorupki krabów.

- Hmm - mruknęła.
- Co się stało? - zapytałam.
- Nic - odparła.
- Pozwól, niech zgadnę.
- Hmm.
- Ciocia Carol znowu trąca tatę nogą pod stołem?
- Skąd ty to wiesz, dziecko? W twoim wieku nie powinno się nic wiedzieć o takich sprawach! - Była szczerze zgorziona.
- Wiem o wiele więcej, niż powinnam - przyznałam.
- Boże mój, Boże. Trzeba się będzie dużo modlić za tę rodzinę. Teraz to widzę.

6.

Pierwsze randki

1999

W sobotę wyruszyliśmy z Beth autostradą numer 61, zabierając wypakowaną chłodziarkę i aparat fotograficzny. Planowałyśmy piknik w Magnolia Gardens i zwiedzanie posiadłości. W dzieciństwie Beth wyobrażała sobie, że jest najpiękniejszą dziewczyną na plantacji, nosi krynoliny i ćwiczy wdzięczny dyg. Kochałam to wspomnienie, a w dodatku tydzień pracy wychodził mi uszami. Mój kretyński szef, Mitchell Freemont, poczuł do mnie miętę, przez co byłam już bliska obłądu. Jako szef był jeszcze do zniesienia, lecz ilekroć wyobraziłam go sobie nagiego, przesywał mnie dreszcz odrazy. Wyprawa na plantację stanowiła doskonałą odtrutkę na lubieżne spojrzenia Mitchella, które musiałam znosić przez tydzień.

Zajechałam przed bramę Magnolia Gardens, wykupiłam bilety wstępu i skierowałam się długim podjazdem w stronę parkingu.

- Zamknij dokładnie drzwi, dobrze, kochanie?

Był przepiękny wrześniey dzień. Na czystym, błękitnym niebie nie pojawiła się ani jedna chmurka. W powietrzu nie czuło się wilgoci, a temperatura nie przekraczała dwudziestu trzech stopni. Gdy podchodziliśmy do stołów, żwir zgrzytał nam pod stopami.

Szybko rozpakowałyśmy kanapki, niskotłuszczowe chipsy i dietetyczne napoje gazowane. Poczułam nagle wilczy głód.

- Chcesz ogórka? - spytałam, odgryzając kawałek umaczany w koperkowej zalewie.

- No pewnie, dzięki! - odparła. - Właściwie dlaczego poza domem wszystko lepiej smakuje?

- Dobre pytanie. Nie mam pojęcia. Ale wiem, że na plaży nawet hamburgery smakują niebiańsko. Zjesz kurczaka, tuńczyka czy pól na pól?

- Odrobinę sałatki z tuńczyka. Jak myślisz, kiedy ostatnio malowali te stoły?

- Zapewne tuż przed wojną z Jankesami - odparłam z uśmiechem. - Uważaj na drzazgi.

Słońce tańczyło w jej gęstych kasztanowatych włosach, a ja po raz kolejny odmówiłam krótką dziękczynną modlitwę za moją córkę.

- Beth, wyrośniesz na piękną kobietę. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jestem podobna do mamy - odparła z uśmiechem. - Kocham cię, wiesz? Bardzo.

- A ja cię uwielbiam, skarbie, i dobrze o tym wiesz.

- No tak, wiem. Mamusku?

- Co, najmilsza?

- Jeździłaś ze swoją mamą na pikniki?

- Owszem, w pewnym sensie. Raz do roku kościół Stella Maris urządził wielki piknik rodzinny w Alhambra Hall. Nasza M.C., jak z upodobaniem nazywaliśmy mamę, przygotowywała sadzone jajka. Livvie smażyła kurczaki i piekła ciasteczka. I co roku mama klóciła się z wujkiem Louistem, kto przyrządził najlepszą sałatkę ziemniaczaną.

- Błę. Nie cierpię ziemniaczanej sałatki.

- Ja też, ale nie o to chodzi. No bo wiesz, mama dodawała do swojej oliwki, a wujek Louis cebulę. Podejrzewam, że obydwójce mieszała majonez z tłuszczem z bekonu. Wyobrażasz sobie?. Przy takim jedzeniu to cud, że jeszcze żyję. Może powinnam odwiedzić chirurga naczyniowego. Jak myślisz? Gdybyś nas widziała w tamtych czasach: biegi trzynożne, biegi w workach i tym podobne głupoty!

- Myślę, że jesteś lekko stuknięta.

- Niewątpliwie. Nasza rodzina obfituje w szaleńców. Jestem dumna z tego dziedzictwa, nawet jeśli przejęłam je tylko częściowo. Staram się jak mogę, zważywszy moje życiowe ograniczenia. Gdybym nie pracowała w bibliotece, otworzyłabym całodobowy salon piercingu i tatuażu ze sprzedażą kanapek na wynos.

- Tryskasz dzisiaj energią, mamus, wiesz o tym?

- Aha. Nie da się ukryć. Kto by nie tryskał w taki cudowny dzień? - Mówiłam szczerze. Postanowiłam oderwać się na chwilę od poważnych spraw i skorzystać z zasłużonego urlopu.

- Wiesz co? Żałuję, że nie byłam dzieckiem w twoich czasach. Teraz jest tak nudno. Wydaje się, że wszystko, co ważne, wydarzyło się w latach sześćdziesiątych.

- Prawdopodobnie idealizuję przeszłość, Beth, i to mocno. Wiesz, że starszankowie często to robią.

- Nie jesteś starszanką! Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Oczywiście.

- Czy zamierzasz kiedykolwiek wybrać się na randkę? To znaczy, zejdziesz się z tatą czy jak to będzie?

Bum. Przywoździła mnie. Nie wspomniałam jej dotychczas o Michelle Stoney i teraz musiałam rozstrzygnąć, ile może usłyszeć i zrozumieć. Skoczyłam na głęboką wodę z nadzieją, że dobry nastrój złagodzi cios.

- Skarbie, już od pewnego czasu żyjemy z tatą w separacji.

- Tak, prawie siedem miesięcy. Nie potrafię sobie wyobrazić, że żeni się z Karen, wiesz?

- Wiem, ja też nie potrafię. Ale obawiam się, że naszego małżeństwa już nie da się skleić.

Oczy Beth napełniły się łzami.

- No tak - powiedziała. - To okropne.

- Zgadzam się, kochanie, ale wysłuchaj mnie i przemyśl to sobie. Wiem, że powtarzałam ci to ze sto razy, odkąd Tom odszedł, lecz słuchaj cierpliwie, bo mówię prawdę. Czasami związki dobiegają kresu i wygasają. Czasami ludzie w średnim wieku zaczynają odczuwać lęk przed śmiercią i postępują niemądrze, nie tylko mężczyźni, kobiety także. Małżeństwo nie może przetrwać, jeśli nie będzie się wypełniało swoich zobowiązań dzień po dniu.

- Miałaś zobowiązania - szepnęła.

Ponownie wyczułam, że trzymam w ręku wszystkie asy. Nadarzyła mi się kolejna okazja rozszarpania na strzępy więzi łączącej moją córkę z Tomem. Postanowiłam jednak wziąć na siebie część winy.

- Miałam, Beth, ale chyba nie wypełniałam ich jak należy. To znaczy, nie zwracałam uwagi na pewne sygnały.

- Jakie?

- Och, na przykład, że tata coraz później wraca z pracy. W domu wpatruje się w telewizor albo porządkuje podwórze i całymi dniami nie

zamieniamy z sobą ani słowa. Stracił dziesięć kilo, codziennie pracował poza domem i nabrał kondycji. A potem kupił włoskie okulary za trzy stowy i to był początek końca.

- Nie wydaje ci się, że mogłaś coś z tym zrobić?

Aha, teraz zaczniesz mnie obwiniać. Zastanawiając się nad odpowiedzią, na długą chwilę utkwiałam oczy w Beth, a potem przeniosłam spojrzenie na przechodzącą grupę turystów.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba za późno zrozumiałam, co się święci. I wiesz co? Poszczęściło mi się. Ja mam ciebie, a on ją, rozumiesz?

- Jasne, i będziecie do końca świata handryczyć się o pieniądze.

- Nie, skarbie. Zatrudniłam kogoś, kto to za nas załatwi.

- Prawnika? Wynajęłaś prawnika? Nie mogę w to uwierzyć! Nic mi nie powiedziałaś! Kiedy to zrobiłaś? Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Była bardzo wzburzona.

- Teraz ci mówię.

- Dlaczego, mamu? Przecież nie musisz pozywać taty do sądu. Przyrzekł mi, że się o nas zatroszczy!

Łzy spływały jej po policzkach. Dziecko prawnika wie, co robią adwokaci od rozwodów. Stawiają małżeństwom nagrobki.

- Kochanie, musiałam tak postąpić. Twój tata nie do końca pogodził się z faktem, że ma nam zapewnić stałą pomoc finansową. Wiesz o tym. Naprawdę czekałam najdłużej jak mogłam. To była dla mnie niezmiernie trudna decyzja, ale zbyt mało zarabiam, żebyśmy się mogły same utrzymać. Chyba nie myślisz, że perspektywa rozwodu jest dla mnie przyjemna?

- Nie. Znam cię. Wolałabyś raczej przejść przez ogień.

- Właśnie. Nie znoszę prawników i nie znoszę zmian. Ale to konieczność, zwłaszcza w dzisiejszym świecie. Moja prawniczka nazywa się Michelle Stoney. Zajmie się wszystkim. Nie chcę walczyć z twoim ojcem.

Beth pokręciła głową i chliphnęła. Podałam jej chusteczkę. Obserwując chmury płynące po niebie, myślałam o moich rozmowach z Michelle. Pytałam ją, jak to się zwykle odbywa. Chciałam się dowiedzieć, czy mężczyźni troszczą się o rodzinę głównie z obowiązku, czy może żywią obawy, że nie łożąc na utrzymanie żon i dzieci, złamią prawo. Michelle odparła prosto z mostu, że najwięcej dostają te kobiety, które zatrudniają najwredniejszych prawników. Czas płynie i mężczyźni, którzy z tych czy innych przyczyn

opuścili swoje rodziny, zaczynają nowe życie. Mają następne dzieci, kupują nowy dom, zapisują się do nowego klubu i łowią ryby w innej rzece. Znajdują sobie nowych przyjaciół, nowe restauracje i miejsca, w których spędzają urlop. Lata szybko mijają i wkrótce mężczyzna już nie pamięta, jak to było z poprzednią rodziną.

- Skarbie, dopóki go jeszcze obchodzę... ja, a nie ty, ty nie masz z tym nic wspólnego... ważne jest, żebyśmy z naszą prawniczką zadbały o sprawiedliwy podział obowiązków. Rozumiesz mnie? Muszę tego dopilnować ze względu na nas obie.

- Skoro myślisz, że tacie wciąż na tobie zależy, to czemu o niego nie walczysz?

- Tacie zależy, ale nie na tyle, aby nasze małżeństwo było takie, jakie być powinno. Rozumiesz, mała?

- On się zmienił, mamó. Teraz by ci się chyba nie spodobał. No bo nie pojmuję, dlaczego woli być z Karen? Co mu się stało?

- Nic, kochanie, to po prostu klasyczny kryzys wieku dojrzałego, w który wkroczyła chętna, uległa, podstępna, biuściasta, wulgarna blondyna. Nie potrafił się jej oprzeć, a ona zastawiła sidła.

- Nie znoszę blondynek.

- Jonathan jest blondynem - przypomniam jej.

- Mamó, Jonathan dzwonił wczoraj wieczorem - wyznała z zakłopotaniem.

- Co? Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? Wielkie nieba, teraz wyjdą na jaw wszystkie tajemnice! Chodź, wyrzucimy to do śmieci, wstawimy chłodziarkę do auta i przejdziemy się trochę. Możemy porozmawiać o twojej wyprawie ślubnej.

- Mamó!

To jej pełne irytacji „mamo!” było potrzebne, żeby na pewien czas odsunąć temat Toma.

- No, chodź! Pójdziemy do Ogrodu Tropikalnego Barbados!

Weszłyśmy do niewielkiego budynku i natychmiast znalazłyśmy się w innej strefie klimatycznej. Bujna roślinność i tryskające wodą fontanny tworzyły miniaturowy raj.

- Teraz powiedz mi, co mówił - zwróciłam się do Beth.
 - Nic. Właściwie dość głupio wyszło. Mówił o tenisie i matmie, a potem spytał, czy już odrobiłam zadanie z francuskiego.
 - To nie brzmi aż tak głupio.
 - Mamo! On jest wspaniały, ale w rozmowie strasznie przynudza.
 - No cóż, chłopcy często się denerwują, kiedy dzwonią do dziewczyn. Pewnie dostał przyszczy od samego wybierania numeru. - Nie ma obawy, pomyślałam, jest nudny. Dzięki Bogu.
 - Żebyś wiedziała, że dostał! Miał dzisiaj na brodzie niezłego ropniaka.
 - Masz dużą władzę, jeśli potrafisz popsuć facetowi cerę - zauważyłam.
 - Wszystko jedno. Ale wiem, dlaczego zadzwonił.
 - Mówiłaś, że chodziło mu o zadanie domowe.
 - Nie. O klasową imprezę.
 - Tak? Jaką? - Oho, jednak mam się czego obawiać.
 - Tańce. Wiem, że chce mnie zaprosić, bo Lucy mi powiedziała. Idzie z jego kolegą, Sonnym.
 - Cóż, zobaczymy. - Westchnęłam, uświadamiając sobie, że dotarłyśmy do kolejnej przeszkody. Nie miałam wyboru, musiałam ją przeskoczyć.
 - Popatrz, Beth, czy kiedykolwiek widziałaś taką orchideę?
- Dziwnym trafem byliśmy w ogrodzie same. Kroczyłyśmy powoli, przyglądając się kwiatom i wdychając ich zapach. Usłyszałam jakiś dźwięk i uniosłam głowę. Ktoś niechcący wpuścił do budynku pawia, który pojawił się nagle na ścieżce. Rozpostarł ogon i śmiertelnie nas wystraszył. Rzuciliśmy się do ucieczki i ochłonęłyśmy dopiero na zewnątrz. Wybuchnęłyśmy śmiechem.
- Szkoda, że nie widziałaś swojej miny - powiedziała Beth. - Zupełnie jakby wyskoczył na ciebie goryl albo coś w tym rodzaju!
 - A ty co, myślałaś, że cię ugryzie? - odpaliłam. - O rety! Ależ to było śmieszne. Chodź, przejdziemy się po rezydencji.
 - Dobrze. Uwielbiam ten dom. Wyobrażasz sobie, jak tu się żyło w czasach wojny secesyjnej?
 - Niezbyt szczęśliwie. Pierwotny dwór spalili Jankesi. Ten jest repliką.
 - No więc, co mam zrobić?
 - Z czym?

- Z Jonathanem. Mogę pójść, jeśli mnie zaprosi?

- Jeśli cię zaprosi? Oczywiście, że możesz! - Proszę bardzo.

Przeskoczyłam tę przeszkodę niczym mistrzyni olimpijska. Fraszka. Beth rzuciła mi się na szyję i zaczęła mnie ścisnąć.

- Och, mamó, jak ja cię kocham! Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

- Chwileczkę, wysłuchaj mnie. Wszystko zależy od kilku czynników, na przykład tego, z kim pojedziecie, kto usiądzie za kierownicą i o której wrócisz do domu... Musimy ustalić podstawowe warunki, zgoda?

- Zgoda! Nie ma sprawy! O Boże!

- Proszę, nie mów „Boże”.

- Nie martw się! Och, jaka ja jestem szczęśliwa! Zaczekaj, aż Lucy się dowie! W co się ubiorę?

- Nie martw się, wydusimy z twojego ojca nową sukienkę.

Ruszyliśmy ścieżką w stronę rezydencji; Beth obejmowała mnie w talii, a ja ją za ramiona. Takie drobne ramiona, pomyślałam, tak wiele jeszcze przed nią.

Kiedy mijaliśmy kwatery niewolników, wydało mi się, że duchy przerywają pracę i machają do mnie. Zerknęłam do przewodnika. „Przedwojenne zabudowania”. Rzeczywiście, zauważyłam w duchu. Raczej „niewolnicza zagroda”. Przyszła mi na myśl rodzina Livvie i zastanawiałam się przez chwilę, czy oni także mieszkali w podobnej norze. Kiedyś na pewno tak.

- Hej, Beth, widzisz ten niski budynek? Tam mieszkali niewolnicy.

- Tak, wiem. Daj spokój, oglądałyśmy go milion razy. Chcę zajrzeć do sklepu z pamiątkami.

- Rodzina Livvie najprawdopodobniej też mieszkała w czymś takim.

- Naprawdę? Rany, nigdy mi to nie przyszło do głowy. Zdumiewająca rzecz. Znaczący, to niewiarygodne, że osoba o tak silnym charakterze mogła się urodzić w takiej nędznej budzie!

- Dziecko, kto powiedział, że charakter i kręgosłup moralny mają cokolwiek wspólnego z pieniędzmi?

Po chwili dołączyliśmy do grupy turystów na werandzie i pomaszerowałyśmy przez pokoje, wydając ochy i achy na widok antyków, dzieł sztuki i rozmiarów pomieszczeń.

- Uwielbiam tę małą sypialnię - powiedziała Beth. - Kiedy wyjdę za

mąż, urządzę taki pokój dla mojej córki. A u siebie będę miała kominek. Uśmiechnęłam się do niej. Nie ma to jak sobie pomarzyć, pomyślałam.

- Bardzo mi się podobają kołdry - zauważyłam.
- Tak, mnie też.

Gdy wycieczka dobiegła końca, uznaliśmy, że mamy dość historii jak na jeden dzień i postanowiłyśmy wrócić do domu, żeby trochę odetchnąć. Później się zastanowimy, co zjeść na kolację i jak spędzić wieczór. Może obejrzymy jakiś film, a może pojedziemy do Maggie. Była dopiero trzecia. Za późno, by zwiedzać kolejną plantację; za wcześnie, by snuć plany na wieczór. W samochodzie obydwie milczałyśmy. To była miła wyprawa. Powiadomiłam Beth o wynajęciu prawniczki; to trudne zadanie miałam już za sobą. Obie dobrze sobie poradziłyśmy z poważną sprawą. Ponadto Beth uzyskała pozwolenie na pierwszą randkę, jeśli chłopak ją zaprosi. A tak się zapewne stanie.

Z Lockwood Boulevard skręciłyśmy w lewo, w Beaufain Street, a potem w prawo, w Rutledge Avenue.

- A więc podłapałaś prawniczkę? - odezwała się wreszcie Beth.
- Aha. A ty podłapałaś chłopaka.
- Aha.
- Nic się nie martw, skarbie, mamuśka da sobie radę. Kiedyś ci opowiem o moim pierwszym romansie. Był naprawdę gorący.
- Opowiedz teraz.
- Nie, innym razem. Jestem skonana.

Telefon zadzwonił, kiedy siedziałyśmy z podwiniętymi nogami na sofie, oglądając stary film z Fredem Astairem. Beth runęła w stronę kuchni, jakby ktoś podpalił jej włosy. Nie mogłam oprzeć się myśli, że powinna zacząć uprawiać lekkoatletykę. Gdzie jak gdzie, ale w sporcie łatwo było uzyskać stypendium.

- Mamo! - zawołała Beth z kuchni. - Czy Lucy i Charlene mogą u nas przenocować?

No tak, kolejny sobotni wieczór z głowy, pomyślałam.

- Mogą! Tylko im powiedz, że rano muszą wracać do domu! Obiecałam ciotce Maggie, że pójdziemy z nią do kościoła.

Cisza, a potem chichot, szepty i znów chichot, dwa radosne okrzyki i

cisza. Beth wróciła do salonu i padła mi w ramiona.

- Wielkie nieba, dziewczyno, kiedyś mnie zabijesz! Kto to jest Charlene?

- Nowa. Przeprowadziła się z Atlanty. Kocham cię, mamusku.

- Ja ciebie też, malutka.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Odbiorę!

Zawsze wykrzykiwała takim głosem, jakby co najmniej trzydzieści osób zagradzało jej drogę. Podniosła słuchawkę przy drugim dzwonku. Chyba pobiła światowy rekord. Należało sprawić sobie stoper.

- To do ciebie! Dzwoni ciocia Maggie.

- Dobrze, powiedz jej, że już podchodzę. - Podniosłam torebkę z podłogi w hallu i wygrzebałam papierosy i zapalniczkę. Zawsze musiałam zapalić papierosa podczas rozmowy z Maggie. - Co słyszać? - zagadnęłam moją siostrę.

- Susan, co porabiasz dziś wieczorem?

- U Beth nocują dwie koleżanki. A czemu pytasz?

- No bo Grant zaprosił na kolację nowego lekarza ze szpitala. Czarujący! Widziałam go! Możesz przyjechać?

- Nie ma mowy! Żadnych randek w ciemno.

- Daj spokój, przecież nie chodzi o randkę. Na miłość boską, jestem twoją siostrą, a ten facet to bardzo sympatyczny, zaradny, atrakcyjny kawaler do wzięcia.

Zaciągnęłam się głęboko, dając sobie pół sekundy na zastanowienie.

- Chyba odpada - stwierdziłam - ale dzięki, że o mnie pomyślałaś.

- Słuchaj, ja go widziałam. To naprawdę równy facet.

- Co w dzisiejszych czasach oznacza „równy”?

- Porusza się tak, bo ja wiem... dumnie. Mówię ci, Susan, jeśli przepuścisz tę okazję, popełnisz wielki błąd. Musisz wyrwać się z domu!

- Ile ma lat? - Skapitulowałam.

- Słyszę, że palisz. Czterdzieści cztery. Rozwiedziony. Dwaj synowie na studiach. Była żona ma drugiego męża i dodam, że mieszka w Europie. Zabierz swoje rzeczy i zostań na noc!

- Chwileczkę, a co z Beth? I jej koleżankami?

- Przywieź je! Do licha, znajdzie się miejsce!

- O której?
- Wpół do ósmej.
- W co się ubierzesz?
- W czarne spodnie z cienkiego płótna i bluzkę bez rękawów. I w sandały. No, Susan, przyda ci się jakaś rozrywka. Gdzie się podziewałaś przez cały dzień? Dzwonię od południa.

- Pojechałyśmy z Beth do Magnolia Gardens.
- Teraz rozumiesz, co mam na myśli? Ile razy jeszcze odwiedzisz to miejsce? Wielkie nieba! W tym czasie mogłaś sobie zafundować nową fryzurę!

- Owszem. - Zirykowało mnie, że jak zwykle ma rację. - Porozmawiam z Beth i oddzwonię, dobrze?

- Tylko się pospiesz, bo Grant gotów mu znaleźć inne towarzystwo.

Moja pierwsza randka Po Odejściu Toma. Odłożyłam słuchawkę i zwołałam Beth do kuchni.

- Zgadnij, co się stało? - rzuciłam.

- Co?

- Umówiłam się na randkę.

- O mój Boże! O mój Boże!

- „O mój Boże” to odpowiedni komentarz. Co będzie z tobą i twoimi koleżankami?

- Nie przejmuj się! Pójdziemy do Charlene albo do Lucy! Przepuść mnie, muszę zadzwonić.

Zatelefonowała do koleżanek, lecz sytuacja okazała się niewesoła. Nie mogły nocować u Lucy, bo jej matka miała gości, ani u Charlene, bo jej młodszy bracia zachorowali na wietrzną ospę.

- No więc wszystkie pojedziecie ze mną! Ciotka Maggie mówiła, że możecie przenocować. Zamówicie sobie pizzę albo coś.

- Nie ma mowy. Ja nie jadę.

- Dlaczego?

- Chodzi o zaufanie. Nie ufasz mi i to jest najlepszy dowód.

Życie z wulkanem ma tę wadę, że nigdy nie wiadomo, kiedy nastąpi wybuch. Beth najwyraźniej odziedziczyła temperament po moim ojcu i okazała go w najmniej odpowiedniej chwili.

- Oczywiście, że ci ufam! Do licha, Beth, tu nie chodzi o ciebie! Chodzi o to, że trzy niepełnoletnie dziewczyny miałyby zostać na noc same

w moim domu! Wykluczone. Pakuj się i pogoń te swoje przyjaciółki. Jedziemy do Maggie!

- Mamo, proszę cię, nie każ mi jechać do cioci Maggie! Nie mam na to najmniejszej ochoty. Chciałabym wypożyczyć kilka filmów, chrupać popcorn i poplotkować z przyjaciółkami. Spójrz na mnie! Czy wyglądam na dziewczynę, która zamierza zrobić coś głupiego? Kurczę, przecież jestem na liście prymusów!

Wbiegła na górę i trzasnęła drzwiami. Wbrew wewnętrznemu przekonaniu zamierzałam się poddać. Pomyślałam o sobie i dołączyłam do listy usprawiedliwień fakt, że towarzystwo trzech nastolatek nie odmłodzi mnie w oczach Wspaniałego Pana Doktora.

- Beth? - Milczenie. - Chcę z tobą porozmawiać.

Weszłam na piętro i otworzyłam drzwi jej pokoju. Nareszcie sprzątała - po całym tygodniu rzucania ciuchów na podłogę.

- Dobry pomysł - zauważyłam. - Dziewczyny nie powinny oglądać tego bałaganu, co?

- Ech, mamuśka, w moim wieku każdy jest flejtuchem.

- Racja. Słuchaj, przemyślałam sprawę. Pojadę do ciotki Maggie i wrócę wcześniej. Pamiętaj tylko, żeby pozamykać wszystkie drzwi na klucz. Będę w domu o dziewiątej, zgoda?

- Dzięki, mamo. Możesz mi ufać, przysięgam.

- Nie przysięgaj, lepiej pomóż mi znaleźć jakiś ciuch.

Zaczęłyśmy grzebać w moich szafach, szukając czegoś, w czym wyglądałabym na kobietę niezależną i wyniosłą, a zarazem budzącą pożądanie. Problem polegał na tym, że miałam tam być za niecałe trzy godziny i odsysanie tłuszczu nie wchodziło w rachubę. W końcu wybrałyśmy długą plisowaną spódnicę z ciemnoczerwonej gazy i czarną bluzę z trójkątnym dekoltem. Miałam wrażenie, że przywdziałam cygański strój, ale Beth zapewniła, że wyglądam „zajebiście na maksa”. To właśnie chciałam usłyszeć.

- No dobra, zmywaj się stąd. Idę wziąć prysznic. Dzięki.

Od wieków nie stroiłam się na randkę. Umyłam włosy i owinęłam się wielkim kąpielowym ręcznikiem. Spojrzałam w lustro. Szklą kontaktowe, pomyślałam, nie okulary. Wydobyłam próbny egzemplarz szkieł do dłuższego noszenia i założyłam je starannie, mrugając bez przerwy. Powoli

zaczęłam się malować, oglądając każdą część swojej twarzy z osobna. Wysuszyłam włosy, myśląc, że powinnam pójść do fryzjera. Spryskałam się perfumami Chanel 5. Ubrałam się i wsunęłam nogi w sandały. A potem odprawiłam poważny fryzjerski rytuał: okrągła szczotka, lakier z gorącą parą, przeczesanie włosów i druga porcja lakieru. Poprawiłam fryzurę palcami i raz jeszcze spryskałam lakierem.

Na dole przeszukałam lodówkę, żeby przywieźć Maggie jakąś przekąskę. Pamiętałam, że w którymś z plastikowych pojemników mam ser i zieloną paprykę. Wszyscy rodowici charlestończycy podają gościom zieloną paprykę na krakersach posmarowanych serem.

Weszłam do salonu, żeby wyłączyć telewizor, i dostrzegłam własne odbicie w wielkim pozłacanym lustrze. Obejrzałam się dobrze. Od roku nie nakładałam makijażu i trochę się martwiłam o swoją aparycję. Nie wyglądałam jak dziewczyna Bonda, ale też nie jak bibliotekarka. Nieźle jak na czterdziecę z hakiem, pomyślałam. Niewątpliwie własne ciało podobało mi się bardziej niż pół roku wcześniej.

Nagle zaniepokoiłam się, że zostawiam Beth samą, ale odepchnęłam te myśli od siebie. Może wróćę wcześniej, powiedziałam sobie w duchu i poczułam się lepiej.

- Beth! - zawołałam. - Chodź, daj mi buziaka! Muszę jechać!

Włożyłam ser, galaretkę i krakersy do plastikowej torebki i zaczęłam przy kuchennych drzwiach.

- Mamo! Wyglądasz absolutnie super!

- Dzięki, kochanie! Pamiętaj, żadnych numerów!

- Nie martw się! Baw się dobrze!

Zatrzasnęłam drzwi za sobą i podeszłam do auta. Przypomniało mi się, że kiedy dziecko mówi ci „nie martw się”, powinnaś zacząć się martwić. Martwiłam się przez całą drogę, najpierw o Beth i jej koleżanki, a potem o to, co ja, u diabła, wyprawiam, pędząc na spotkanie jakiegoś dupka, którego i tak znienawidzę od pierwszego wejrzenia.

- Przyjechałaś wcześniej? Świetnie! Pomożesz mi przyrządzić sałatkę!
- oznajmiła Maggie, całując mnie przelotnie w policzek, gdy weszłam przez kuchenne drzwi. - Moja słodka! Wyglądasz o dziesięć lat młodziej!

- Dzięki! Jestem ruiną człowieka. Dziwię się, że w ogóle przyjechałam. To czyste wariactwo. Z nerwów nawet nie pamiętam, jak tu dotarłam. Gdzie Grant?

- Bierze prysznic. Odręż się, kochanie, i pozwól Rogerowi mówić o sobie. Mężczyźni to uwielbiają. Spodoba ci się, przysięgam. Boki można przy nim zrywać. Rzuć okiem na stół i powiedz, co o tym sądzisz.

- Dobra. Przywiozłam galaretę na ostro. - Wręczyłam jej torbę. Trzęsły mi się ręce.

- Przyda ci się kieliszek wina - orzekła i naleła mi.

- Potęga przemysłu - zauważyłam i pomaszero wałam z kieliszkiem do jadalni.

Maggie przeszła samą siebie. Środek stołu zdobila kompozycja z polnych kwiatów i tillandsji, uzupełniona różowymi grejpfrutami i połówkami cytryn. Porcelana miała żółto-niebieski kolor i pasowała do serwetek z francuskiego płótna. Na spodeczkach stały proste świece różnej wysokości. Choć nie były jeszcze zapalone, domyślałam się, że pękate kieliszki załsnia uroczo w ich świetle. Miałam nadzieję, że ja również. Pociągnęłam trzy duże łyki i od razu poczułam się lepiej. Ech, co mi tam, pomyślałam i wyszłam na ganek popatrzeć na plażę.

Po chwili zjawił się Grant i nastawił muzykę. Rozległy się dźwięki niesamowitej muzyki Erika Satie'ego. Doskonała, pomyślałam; marzycielska, ale nie kliwa.

- Jak się miewa najwspanialsza szwagierka na świecie? - zagadnął.

- Świetnie, po prostu świetnie, zupełnie jak krowa prowadzona do rzeźni. - Uścisnęłam go mocno, a on odwzajemnił uścisk.

- Wyglądasz przepięknie! Jak to zrobiłaś?

- Umyłam włosy. Woda z odrobiną mydła potrafi dokonać zdumiewających rzeczy.

- Tak, czysta z ciebie dziewczyna. I ładnie pachniesz. Wybierasz się na łowy?

- Dokuczaj mi, ile chcesz, Grant. Jestem tak zdenerwowana, że mało mnie to obchodzi.

Wybuchnęła śmiechem i zaczął się ze mną droczyć.

- Och, co za dziewczyna! Naprawdę wiesz, jak oczarować faceta. Dolać ci jeszcze?

- O Boże, no pewnie. Dzięki. Albo nie, zaczekaj. Będę wracać samochodem i powinnam uważać.

- No cóż, zdecyduj się. - Boże, jaki on był z siebie zadowolony. Musiałam się odprężyć. Świetna okazja.

- Grant? - zawołała Maggie.

- Już pędzę, moja ukochana, moja gołąbeczko! Muszę lecieć. Wielka szefowa wzywa.

Kurczę, byli dzisiaj we wspaniałym nastroju. Grant fruwał po domu niczym dyrektor hotelu, a Maggie zastawiała pułapkę w stylu Marthy Stewart.

Jego samochód zajechał na zwirowany podjazd tuż pode mną. Niebieskie bmw. Ładne auto. Lepsze niż mustang Toma. Uch! Otwierające się drzwiczki schwytały mnie w pułapkę. Może i dobrze się stało. Dostrzegłam czubek jego głowy. Miał włosy. Kolejny dobry znak. Wysiadł z samochodu. Nieźle. Jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy z odrobiną siwizny, ładna marynarka. Dostrzegł mnie i uśmiechnął się szeroko.

- Cześć! - zawołał. - Ty pewnie jesteś Susan?

- Owszem, jestem Susan. - Wszedł po schodach z butelką wina w dłoni. Był bardzo przystojny.

- A ja jestem Roger Dodds.

Podaliśmy sobie ręce; poczułam, że moja jest lepka.

- Roger Dodds. Spotykałam się kiedyś z chłopakiem o imieniu Roger. A także z jednym, który nazywał się Dodds.

- Naprawdę? - Wciąż się uśmiechał. Miał ładne zęby. Uświadomiłam sobie, że moje słowa zabrzmiały nieprawdopodobnie głupio, jakbym miała tysiąc kochanków. A nie miałam, niestety. Ładnie pachniał.

- Źle się wyraziłam, chodziło mi o...

- Nie przejmuj się, zrozumiałem. Gdzie jest Grant i jej wysokość?

Jej wysokość?

Wkrótce potem zasiedliśmy przy stole, a wieczór mijał. Roger pochodził z Aiken w Karolinie Południowej; był onkologiem, specjalizującym się w nowotworach kobiecych. Poruszaliśmy swobodnie najrozmaitsze tematy, poczynawszy od opery, a skończywszy na polowaniu na kaczki. Roger miał szerokie zainteresowania. Lubił czytać, podróżować i gotować.

- Gotujesz? - spytałam.

- Uwielbiam gotować - odparł. - Czy to poprawia mój wizerunek?
 - Bardzo - zapewniłam. - A ja uwielbiam jeść... czy to poprawia mój?
- Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Susan jest w kuchni jak wicher - oznajmił z rozbawieniem Grant.
- O, czy ty też lubisz gotować? - zwrócił się do mnie Roger.
- Nie, zmiata wszystko, co znajdzie na swej drodze - wyjaśnił Grant, okazując nieco zbyt szampański humor. - Idę otworzyć następną butelkę wina. Czerwone, białe czy jedno i drugie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył do kuchni i wrócił z dwiema butelkami. Otworzył je i nalał każdemu po kieliszku. Byłam bardzo odprężona. Bardzo.

- No więc, Susan, opowiedz mi o Charlestonie. Twoja rodzina mieszka tu od dawna, nieprawdaż?

- Och, Roger, przecież pochodzisz z Aiken. Przy sprzyjającym wietrze mógłbyś spluć na Aiken z dachu tego domu! - zachichotałam, wyobrażając sobie, że jestem piekielnie dowcipna. - Pewnie wiesz o Charlestonie więcej niż ja!

Maggie posłała mi ostre spojrzenie. Faktycznie, uwaga, którą wygłosiłam, nie należała do najbardziej kobiecych.

- I pluć też potrafisz? - zauważył Roger. - Mój Boże, ta kobieta to prawdziwy człowiek renesansu!

Jeszcze jeden żartowniś, pomyślałam. Obydwaj z Grantem powinni się zgłosić do Comedy Channel.

- Roger - zaczęłam - jedynie charlestończykom przystoi znać prawdę o naszej wyuzdanej historii. Wolimy, aby obcy uważali nas za tajemniczych.

- Och, lepiej uważaj, Roger! Ulubionym zajęciem mojej siostry jest włóczenie się po starych plantacjach - wtrąciła Maggie.

- Ona myśli, że mam obsesję - uzupełniłam.

- A masz? To znaczy, obsesje bywają bardzo interesujące - powiedział Roger.

Co to właściwie miało oznaczać?

- Nie mam żadnych obsesji, dobrzy ludzie - oznajmiłam, próbując zmienić temat. - Maggie, kolacja była pyszna! - Moja siostra przygotowała

pikantną zupę z krewetek oraz moją ulubioną sałatkę z rukwi wodnej i małych pomarańczy, doprawioną olejem z orzechów włoskich. Bawiłam się wyśmienicie. I nie ja jedna. - Sama robiłaś te grzanki? To najlepsza sałatka, jaką w życiu jadłam.

- A ty jesteś najlepszą siostrą, jaką w życiu miałam - odparła. - Owszem, sama je robiłam.

- Masz rację co do mnie - zauważyłam. - Wiesz co, nie patrzyłam na zegarek, a muszę wcześniej wrócić do domu. O, nie! Już po dziewiątej!

- No to co? - rzucił Roger. - Noc jest jeszcze młoda.

- „Młoda” to pojęcie względne. Zostawiłam w mieście niepełnoletnią córkę z dwiema koleżankami. Jeden Bóg wie, co wymyśla.

- Znam to - powiedział Roger z miną wszechwiedzącego ojca.

- Beth jest grzeczną dziewczynką, Susan, i na pewno nie robi nic złego - wtrąciła Maggie. - Zjedzmy deser na ganku, dobrze? Zrobię kawy. Przepiękna noc.

- Zadzwoń do niej - podsunął Grant. - Sprawdź, co słychać w tle.

Podniósł się i wręczył mi słuchawkę telefonu. Wystukałam numer i wszyscy umilkli. Wysłuchałam sześciu długich sygnałów. W końcu ktoś odebrał.

- Halo? - To nie był głos Beth.

- Cześć, kto mówi? Lucy?

- Aha... tak, proszę pani.

- Mogę prosić Beth?

- Ehem... jest w łazience, pani Hayes. Chce pani, żebym ją zawołała?

- Nie, nie trzeba. Wszystko w porządku? - Po drugiej stronie panowała głucha cisza. Nie słyszałam muzyki. Nie słyszałam nawet telewizji.

- Tak, proszę pani. W porządku - zachichotała.

- No to, kochanie, przekaz Beth, że wrócę około jedenastej, dobrze?

- Tak jest, bez odbioru - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Bez odbioru?

- Świetnie! Zostajesz z nami! - oznajmił Roger. - Chodź, pomożemy Maggie sprzątnąć ze stołu.

- Nie, jadę tam. To dziecko było pijane! Jestem tego pewna!

- Pijane? Przesadzasz, Susan - zbyła mnie Maggie.
- Co mówiła? - spytał Grant.
- Powiedziała „bez odbioru” i odwiesiła słuchawkę, a Beth nie mogła podejść, bo była w łazience.

- Zbierz swoje rzeczy. Pojedziemy moim autem - oznajmił Roger. - Wychowywałem nastolatków i znam te sprawy. Maggie, Grant, dzięki za cudowną kolację. Wrócimy, jeśli damy radę. Jeśli nie, zadzwonimy.

Maggie została w kuchni z ciastem, niewątpliwie domowego wypieku.

Roger otworzył drzwiczki, wsiadłam i zanim się obejrzałam, przejechałiśmy przez Mount Pleasant i Cooper River Bridge. Dobrze, że zapięłam pas, bo ten facet jechał jak szalenięc.

- Gdyby policja mnie zatrzymała, powiem, że to nagły wypadek. Przestań się martwić! Roger Dodds czuwa!

- Jasne, oczywiście.

- No więc pracujesz w miejskiej bibliotece? Jesteś bibliotekarką? Wcale na to nie wyglądasz.

- Hej! To było czerwone światło!

- Różowe - odparł.

Może i był lekarzem, ale wydawało mu się, że pędzi po torze wyścigowym w Indianapolis.

- Proszę, nie zabij mnie. Może tobie nie zależy na życiu, ale mnie tak.

- Odpręż się.

Wziął zakręt w Queen Street na dwóch kołach, a ja omal nie zemdlałam ze strachu. Ludzie w średnim wieku często zachowują się agresywnie na drodze.

Ruszyłam chwiejnie podjazdem, a drzwi otworzył mi młody, mniej więcej szesnastoletni chłopak.

- Kim jesteś i gdzie się znajduje moja córka? - przemówiłam swoim słynnym matczynym tonem.

- Mam na imię Jonathan, pani Hayes, i zanim pani wejdzie, chciałbym powiedzieć, że to nie był mój pomysł. Nie przywozłem wódki.

- Idź do salonu i nie ruszaj się stamtąd - nakazałam, on zaś czmychnął jak mysz w najdalszy kąt. Na sofie siedziała Lucy z jakimś chłopcem. Nigdzie nie widziałam Beth. Roger został z delikwentami, a ja pobiegłam na górę i otworzyłam drzwi jej pokoju. Dwie sylwetki w łóżku entuzjastycznie

uprawiały seks. Zapaliłam światło i ujrzałam obcą dziewczynę, naga, jak ją Pan Bóg stworzył.

- Kim ty, u diabła, jesteś? - spytałam.
- Charlene. O Boże. Ale obciach.
- Ubierajcie się. Obydwoje! Gdzie jest Beth?

Nie czekając na odpowiedź, trzasnęłam drzwiami i poszłam do siebie. W łazience zastałam moją córkę, wymiotującą z głową zawieszoną nad sedesem.

- Tego się po tobie nie spodziewałam, Beth - oznajmiłam z cichą furią matki przełożonej. - Nie przypuszczam, aby Jonathan był pod wrażeniem.

- Och, mamuś! Tak mi przykro! Chyba umrę! - Szarpana płaczem i torsjami pochylili się znowu nad muszlą klozetową.

- Nie, Beth, nie umrzesz. Jutro będziesz żałowała, że żyjesz, ale nie umrzesz. Zaraz wrócę. Mam to i owo do załatwienia. - Założę, się, że Roger też jest pod nielichym wrażeniem, pomyślałam, schodząc po schodach.

- Odwiozę tych młodych ludzi do domu - powiedział Roger.

- Dziękuję ci. Matko Boska, co za noc!

- Co z twoją córką?

- Przeżyje - odparłam i obejrzałam się. Lolita zapinała bluzkę i z głośnym ciamkaniem żuła gumę. Posłała mi drwiący uśmiech i zauważyłam kawałek metalu w jej języku. - Co masz w ustach? - zapytałam. - Jakiś gwóźdź?

- Bo co? - rzuciła.

- To twój język - odrzekłam, czując do niej coraz silniejszą antypatię - ale coś takiego zapewne trochę utrudnia żucie gumy.

- Wcale nie - oświadczyła zaczepnie.

To było dla mnie nieprawdopodobne. Za moich czasów dziewczyna przyłapaną w łóżku z chłopakiem musiała natychmiast maszerować do ołtarza albo do klasztoru. Oczywiście po wysłuchaniu tego, co każdy żyjący członek rodziny miał do powiedzenia na temat drogi wiodącej prosto do piekła.

Rozejrzałam się po salonie. Na podłodze leżały pudełka po pizzy, stała miska z popcornem, resztki sosu salsa i butelki coli. Nic dziwnego, że Beth wymiotowała. Jonathan wpatrywał się w podłogę. Lucy i drugi chłopak, przypuszczalnie Sonny, patrzyli na siebie.

- Jedźcie do domu, dzieci. Wystarczy jak na jedną noc.
- Naprawdę mi przykro, pani Hayes - odezwał się Jonathan. - To nie powinno było się zdarzyć.
- Masz całkowitą rację, Jonathanie. Dobranoc. - Przynajmniej sprawiał wrażenie trzeźwego. Wyszli gęsiego; Roger zamykał pochód.
- Hej, dzięki za szampański wieczór! Musimy to wkrótce powtórzyć - zażartował. - Słuchaj, rozchmurz się. Czy ani razu się nie upiłaś jako nastolatka?
- Oczywiście, że tak! Ale miałam dość rozumu, żeby nie dać się przyłapać.
- Szkoda, że cię wtedy nie znałem - zauważył.
- Bardzo dobrze, że mnie nie znałeś - odparłam. - Wielkie dzięki, Roger. Mówię poważnie.
- Jasne. Zadzwoń do Granta, dobrze? Przekaż mu, że wypełniam misję. Zatelefonuję do ciebie w przyszłym tygodniu.

- Dobrze. Roger? - Odwrócił się i spojrzał na mnie. - Jedź ostrożnie.

Zamknęłam drzwi i popatrzyłam na mój salon. Ruina. Zerknęłam w górę schodów. Nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk. Prawdopodobnie zasnęła nieprzytomnym snem, pomyślałam.

Zaczęłam zbierać talerze i szklanki, i zobaczyłam swoje odbicie w dużym, sięgającym podłogi lustrze. Brwi miałam zmarszczone, a szczęki zaciśnięte w wyrazie frustracji. Dostrzegłam w swojej twarzy rysy ojca - i przez chwilę on tam był. Słyszałam w głowie jego szept. *Spraw jej lanie!* Nigdy, pomyślałam, wracaj do piekła, stary, gdzie jest twoje miejsce. W następnej chwili wyczułam obecność Livvie i wydało mi się, że ją widzę w zaparowanym szkle. *Ona potrzebuje matczynej miłości. To dobre dziecko.*

Posprzątałam wszystko, zadzwoniłam do Maggie z wyrazami ubolewania, włączyłam zmywarkę i poszłam na górę. Beth w ubraniu leżała na łóżku. Okryłam ją kołdrą i odgarnęłam jej włosy z buzi. Poruszyła się i spojrzała na mnie.

- Bardzo cię przepraszam, mamusi. - Zaczęła płakać.
- Nie płacz, skarbie. Czasami życie daje człowiekowi przykrą nauczkę. Kocham cię. Śpij. Porozmawiamy jutro.

Zwilżyłam ręczniczek do twarzy chłodną wodą, zwinęłam i położyłam jej na czole. Ja również czułam się jak wyżęta. Gasząc światła i ściągając

narzutę z łóżka, zastanawiałam się, jak straszny bój będę musiała stoczyć z rodzicami pozostałych dzieci. Zostawienie ich bez opieki było poważnym błędem. Tyle, jeśli chodzi o rodzicielstwo doskonałe.

Słońce nie świeciło, gdy obudziłam się w niedzielny ranek, ale wiedziałam, że jest późno. Na moje wyczcucie było około dziesiątej. Przewróciłam się w pościeli i zerknęłam na radio z zegarkiem. Dziewiąta czterdzieści pięć. Prawie zgadłam. Opłukałam twarz, związałam włosy w koński ogon, umyłam zęby i włożyłam szlafrok. Rozpaczliwie potrzebowałam kawy. Mijając pokój Beth, uświadomiłam sobie, że jej zapewne kawa też dobrze zrobi. Zajrzałam do córki. Odwróciła się, słysząc skrzypnięcie drzwi.

- Czuję się okropnie - jęknęła.

- I powinnaś - powiedziałam. - Wstawaj i chodź ze mną do kuchni. Opowiem ci, jak pewnego wieczoru ciotka Carol tak się urzęnęła, że omal nie zleciała z ganku.

- Ciocka Carol? Ta pedantka?

Beth lekko się zainteresowała. Jeśli nie zdołam jej uświadomić, jaką idiotkę zrobiła z siebie poprzedniego wieczoru, może przekona się o tym na przykładzie niemal legendarnego wybryku ciotki Carol.

- Aha. Nie ty jedna w tej rodzinie załałaś się w pestkę, wiesz. Przed tobą były całe legiony pijusów.

- Serdeczne dzięki. Wariaci i pijacy. Świetnie. Zaraz zejść.

- Usiadła powoli w skotłowanej pościeli i z powrotem opadła na poduszki. - Och, mamuś, głowa mi pęka!

Była wnuczką Marie Catherine (zwanej także Tallulah Bankhead) Hamilton.

- Mam coś w sam raz dla ciebie. Cheeseburgera z bekonem. Potrzebujesz trochę tłuszczu, dziewczyno. I węglowodanów. Zrobię kawę.

W zamęcie poprzedniego wieczoru zapomniałam obejrzeć wiadomości o jedenastej. Włączyłam ekspres, otuliłam się ciasniej szlafrokiem i poszłam po poranną gazetę. Frontowe drzwi wydały zgrzyt protestu, gdy odsuwałam wiekowe zasuwę. Niebo miało złowieszczą, ciemnoniebieską barwę. Czulałam w kościach nadchodzącą burzę. Zerknąwszy na pierwszą stronę gazety, zauważyłam krótki artykuł o tropikalnych zakłóceniach atmosferycznych na Bahamach. No cóż, był wrzesień.

Zamknęłam drzwi i w korytarzu spotkałam Beth.

- Mamuś, bardzo cię przepraszam za wczorajszą noc.

- Kochanie, każdy człowiek na świecie przynajmniej raz w życiu ubiega się o tytuł Durnia Roku. Cieszę się tylko, że byłaś w domu i że nie jechałaś samochodem. Wiesz, gdyby coś ci się stało, chyba nie potrafiłabym dalej żyć. - Myśl o telefonie ze szpitala w środku nocy sprawiła, że ścisnął mi się żołądek.

- Nigdy więcej, przysięgam. - Oparła się o moje ramię. - Jonathan pewnie myśli, że jestem totalną, całkowitą idiotką.

- Chodź, nalej ci filiżankę środka usmierzającego. I zapamiętaj sobie, że prawdziwe damy z Południa nie wymiotują na pierwszej randce. Upijanie się i rzyganie świadczy o złych manierach, a dobre maniery ułatwiają życie. - Objęłam ją i weszłyśmy do kuchni, przekraczając dwa progi za jednym zamachem. Kolejny rytuał i kolejny początek kolejnego dnia.

- Aha, dzięki za przypomnienie. Wołałabym colę, jeśli mamy. Strasznie mi się chce pić. I, mamó? - Popatrzyłam na nią. - Proszę, nie mów o tym tacie.

- Nie martw się. To zostanie między nami, mała. Tysiąc dzikich koni nie wydrze ze mnie tej tajemnicy.

Podaliśmy jej szklanek coli. Wypiła duszkiem i dołałam jej jeszcze trochę. Wyjęłam z zamrażalnika kawałek mięsa, a z lodówki ser i bekon. Po chwili hamburger i bekon skwierczały na osobnych patelniach. Beth podpierала czoło grzbietem dłoni.

- Aspirynę? - Położyłam przed nią dwie tabletki i postawiłam szklanek soku pomarańczowego. Beth była aż zielona na twarzy. - Pryszyć zapewne też by ci dobrze zrobił.

- Tak, tylko najpierw coś zjem. Boże, mamuś, w jedno nie mogę uwierzyć. W to, że nie jesteś na mnie wściekła.

- Jestem nadal trochę ogłuszona, co nie znaczy, że nie wścieknę się później, kiedy już sobie wszystko przemyślę. - Odwróciłam hamburgera i bekon, odwinęłam folię z żółtego sera i położyłam go na mięsie. - Wiesz, mogło być gorzej. A ich rodzice? Niewykluczone, że pozwą mnie do sądu.

- Zadzwoń do nich i sprawdź, co się dzieje.

- Dobry pomysł. - Włączyłam mały kuchenny telewizor. U dołu ekranu wyświetlano komunikat meteorologiczny. - Naciąga burza - powiedziałam.

- Prawdopodobnie nic strasznego, ale nigdy nie wiadomo.

Beth zniknęła w salonie z przenośną słuchawką. Wpatrywałam się w komunikat o pogodzie.

- ...zlokalizowano w odległości pięciuset mil od wybrzeża San Juan. Siła wiatru zbliżona do huraganu, siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Jeśli siła wzrośnie, tropikalny wiatr przejdzie do wieczora w huragan. Prosimy śledzić najnowsze prognozy na kanale WCIV...

Beth wróciła, obdarzyła mnie słabym uściskiem i poszła na górę. Zająłam się hamburgerem, skwierczącym na starej, poczerniałej, żeliwnej patelni, wspominając, ile razy trzymałam ją w ręku. Pochodziła z kuchni mojej matki i stanowiła część rodzinnej schedy. Usmażyły się na niej zapewne miliony jajek i pasków bekonu, kiełbasek, krewetek i ryb, a także kanapek z serem na gorąco.

Beth zeszła na dół uśmiechnięta.

- Nie ma sprawy - oznajmiła. - Rodzice Charlene spali, kiedy wróciła do domu, a Lucy poszła prosto do łóżka. Wygląda na to, że ten facet, z którym przyjechałaś, zabrał ich na kawę do Pancake House i wygłosił obszerny wykład na temat alkoholizmu. Wszyscy zdążyli wytrzeźwieć, zanim dotarli do domu.

Ogarnęło mnie rozdrażnienie, a ona to wyczuła. Wiedziała, że mi się naraziła - w inny sposób niż dotychczas. To był jej pierwszy poważny wybryk. Nie chciałam go wyolbrzymiać, bo wiedziałam, że jest jej przykro, i odnosiłam wrażenie, że sytuacja po prostu wymknęła się spod kontroli. Zanotowałam w pamięci, żeby zadzwonić do Rogera i podziękować.

- Nadciąga burza - powtórzyłam, kładąc cheeseburgera na talerzu i stawiając go przed nią razem z butelką ketchupu.

- Potężna?

- Chyba nie. Przynajmniej tak się na razie wydaje. Wiatr osiągnął zaledwie siedemdziesiąt pięć mil na godzinę, a to jeszcze nie huragan.

- Ciocia Sophie i ciocia Alison urodziły się w czasie huraganu, prawda? - zapytała Beth z pełnymi ustami.

- Owszem, huraganu Denise. Prędkość wiatru przekraczała sto mil na godzinę. Prognozy były bardzo złe. Wytrzymaj buzię, to ci o tym opowiem, choć na pewno już słyszałaś tę historię.

- Może, ale to nieważne - odparła.

Otarła usta. Obydwie byłyśmy zadowolone ze zmiany tematu. Nalałam sobie drugą filiżankę kawy i zapaliłam papierosa, uważając, żeby nie dmuchać w stronę Beth. Mogłam jej w każdej chwili opowiedzieć o pijaństwie ciotki Carol - lecz nie zamierzałam mówić o tym, co zaszło między ciotką Carol a Wielkim Hankiem. Nie, ode mnie na pewno się o tym nie dowie. Oparłam nogi o barowy stołek i zaczęłam opowiadać o znamienych narodzinach moich dwóch sióstr.

- Byłam wtedy mniej więcej w twoim wieku. Huragan Denise nadciągnął w czwartek, dwunastego września, i wtedy urodziły się bliźniaczki. Livvie pracowała u nas od... bo ja wiem, chyba sześciu tygodni.

- A twoja mama nie wiedziała, że będzie miała bliźnięta, tak?

- Skarbie, w tamtych czasach nic nie było wiadomo! Ale pamiętam, że miała olbrzymi brzuch.

- No właśnie. - Beth zachichotała. - A jak to wyglądało na plaży? Ja bym się śmiertelnie wystraszyła.

- Chyba byliśmy zbyt głupi, żeby się bać. Przed sztormem zawsze przepychaliśmy się na ganku, żeby obserwować ocean. Nie wyobrazasz sobie, jak zmieniał się cały świat, kiedy sztorm docierał do wybrzeża. Słyszałaś kiedyś tę starą piosenkę Billie Holiday o złym wietrze i jego fatalnej sile?

- Kto to jest Billie Holiday, na miłość boską?

- Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś przestała mi nieustannie przypominać o moim zaawansowanym wieku. - Uniosłam brwi. - No więc tak. Wszyscy przygotowywali się na nadejście wielkiego sztormu. W sklepach z artykułami gospodarczymi tłoczyli się mężczyźni kupujący dyktę, a w sklepach spożywczych kobiety stały w długich kolejkach, popychając wózki pełne butelkowanej wody, chleba, mleka i baterii do latarek. Starzy wypiarze, tacy jak my, wyrosli na opowieściach o sztormach. Sygnały ostrzegawcze mieliśmy we krwi i przekazywaliśmy je z pokolenia na pokolenie niczym rodzinne klejnoty. Zawsze robiliśmy zakupy na wypadek sztormu. Zabezpieczenie przed bitwą, rozumiesz?

7.

Huragan Denise

1963

Kiedy do Charlestonu dotarł huragan Denise, taty nie było w domu. Obie z mamą szykowałyśmy w kuchni śniadanie dla wszystkich. Na każdym palniku stał poczerńiały żeliwny rondel - w pierwszym smażył się bekon, w drugim kielbasa, w trzecim tłuszcz z bekonu, oczekujący wbicia czterech jaj, a w czwartym bulgotało masło, gotowe na przyjęcie naleśnikowego ciasta.

Widziałam, że mama jest w nie najlepszej formie, bo ciągle opierała się o kuchenną ladę. W swojej tępotcie nie domyślałam się, że odczuwa bóle porodowe, choć podobno niskie ciśnienie powoduje najrozmaitsze rzeczy. Ataki serca, samobójstwa, przedwczesne porody.

Livvie wbiegła kuchennymi drzwiami, spóźniona i cała w nerwach. Opowiadała o panu Samie, kierowcy autobusu, i o tym, jak autobus zepsuł się na grobli i musieli czekać pół godziny na jej siostrzeńca z liną holowniczą. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na mamę - i już wiedziała.

- Gdzie jest pan Hank? - krzyknęła. - Wielkie nieba, pani M.C.! Kiedy zaczęły się bóle? Gdzie pan Hank? - Ujęła mamę pod ramię i podtrzymała. - Gdzie?

- Pojechał. Do Louisa. Po jakieś narzędzia. Lepiej go wezwać - powiedziała mama.

- Dzwon po niego, dziecko! Teraz, zaraz!

Mama oddychała ciężko i zaczęłam się denerwować. Pobiegłam do telefonu, ale numer wujka Louisa był zajęty. Doszłam do wniosku, że to pewnie ciotka Carol plotkuje z którąś z przyjaciółek.

- Zajęte! - oznajmiłam. Serce biło mi szybko.

- Sprowadź siostrę! Szybko! - poleciła Livvie cichym, stanowczym głosem.

Pognałam na górę, aż się za mną zakurzyło, i zabębniłam w drzwi łazienki.

- Mama cię potrzebuje! Pospiesz się! Ona rodzi! - zawołałam.

Maggie wyskoczyła natychmiast i razem zbiegłyśmy na parter. Livvie tymczasem zgasiła palniki i posadziła mamę na krzesło, kładąc jej chłodny kompres na czoło.

- Wszystko dobrze, pani M.C.! Wszystko będzie dobrze. Polecę z panienką Susan i sprowadzimy pana Hanka raz dwa.

Mama kiwnęła głową i odetchnęła głęboko.

- Ruszamy - zwróciła się do mnie Livvie. - A ty, Maggie, próbuj się dodzwonić.

Wybiegłyśmy kuchennymi drzwiami, zmierzając w stronę domu wujka Louisa. Musiałyśmy przedstawiać niecodzienny widok. Ja nadal miałam na sobie piżamę, a fartuch Livvie trzepotał w powietrzu. Byłam boso, ale nie wydaje mi się, żeby podeszwy moich stóp coś poczuły. Właściwie nie pamiętam nawet samego biegu, wiem tylko, że ciotka Carol podlewała różę przed domem, kiedy nas zobaczyła. Upuściła wąż i pomknęła jak strzała, wołając głośno mojego tatę. Livvie krzyknęła za nią, oburzona, że ciotka wzywa tatę, a nie wujka: „A wołaj sobie, kogo chcesz! Tylko rusz ten swój kościsty zadek!”.

Tata z wujkiem Louisem i Livvie zdołali wreszcie mamę ubrać, spakować i wsadzić do samochodu. Ciotka Carol chciała jechać z nimi, ale wujek nalegał, żeby została z nami. Nikt nie zabrał walizki mamy. W końcu wujek Louis pospiesznie wrócił na ganek, złapał walizkę, zbiegł po schodkach i wrzucił ją do bagażnika. Babcia Sophie siedziała milcząca jak głaz w bujanym fotelu, kiedy mama prosiła ją, żeby pojechała z nią do szpitala. Przypuszczam, że mama się bała. Stałam obok niej.

- Proszę, mamusiu, mogłabyś ze mną pojechać?

Babcia Sophie patrzyła na mamę tak, jakby nie odróżniała jej od wiaderka zielonej farby. Stary dziadek Tipa odpowiedział w jej imieniu:

- Jedź z Bogiem, Marie Catherine, jedź z Bogiem.

Wreszcie nadeszła Livvie, wzięła mamę pod rękę, sprowadziła ze schodów i usadowiła na tylnym siedzeniu. Mama miała dziwny wyraz twarzy

i wiedziałam, iż to dlatego, że nigdy nie siedziała w samochodzie z osobą kolorową, ale Livvie załatwiła sprawę.

- Widzę pani minę, pani M.C., ale za pozwoleniem, Livvie coś pani powie. Ci tutaj mężczyźni nic nie wiedzą o dzieciach, za to ja odbiorę tego dzidziusia sama, jakbym musiała, więc niech się pani posunie!

I na tym stanęło. Pomknęli Atlantic Avenue, pędząc co koń wyskoczy do szpitala w Charlestonie. Odmówiłam modlitwę, żeby nie zabili się po drodze. Ciotka Carol weszła do domu. Zaczęło padać, więc ruszyłam za nią. Zrobiłam sobie kanapkę i patrzyłam, co się dzieje za oknem.

Potem, śmiertelnie znudzona, zwinęłam się w kłębek z dziennikiem w moim pokoju, zapisując różne przewidywania odnośnie do wagi i płci dziecka, i sporządzając listę imion. Dla chłopca podobało mi się Theodore Chalmers Moultrie, a dla dziewczynki Bettina Helena Rebecca. Gdy chodzi o chłopców, przepadałam za imionami historycznymi, a gdy o dziewczynki - melodyjnymi, i moja lista jeszcze się wydłużyła. Naturalnie dziecko musiało otrzymać podczas chrztu imię jakiegoś świętego. Uznałam, że ładnie brzmi Michael lub Bernadette. Pochłonięta nazywaniem nowego brata lub siostry, nie usłyszałam nawet, że dzwoni telefon. Rozbrzmiewające w całym domu okrzyki ciotki Carol wyrwały mnie ze stanu koncentracji. Zbiegłam na dół i zastałam ją na ganku.

- Bliźnięta! Wujek Louis dzwonił przed chwilą! Możesz w to uwierzyć? - Ciotka ścisnęła Maggie.

- Powiedziała ciocia: bliźnięta? O mój Boże! - jęknęłam ogłuszona. Bliźnięta? Jezu! Nic dziwnego, że była taka gruba!

- Tak! Chwała Bogu! Dwie dziewczynki! Urodziły się w niecałe dziesięć minut po przyjeździe do szpitala. Macie dwie, nie jedną, ale dwie nowe siostry!

Maggie miała okropną minę.

- Co mówił wujek Louis? - zapytałam.

- O, nieba! Zróbmy sobie dzbanek kawy! Albo nie, herbaty! Och, jestem taka wzburzona, że sama nie wiem, czego chcę! Może napiję się bo-urbona, żeby to uczcić! Tak, to jest to! A wy, dziewczęta, czego sobie życzycie?

- Innego życia - mruknęła Maggie, tak cicho, żebym tylko ja ją usłyszała.

Ciotka Carol opuściła ganek, a my ruszyliśmy za nią, dla czystej przyjemności trzaskając drzwiami. Poszliśmy korytarzem w stronę kuchni, rzędem, jak rodzina kaczek. Ciotka była tak podekscytowana, jakby sama urodziła dziecko. Ale ona nie zamierzała mieć dzieci. Opowiadała każdemu, kto się nawinął, że nie chce sobie psuć figury.

Poczęstowała się bourbonem taty, a my z Maggie nalałyśmy sobie coli. Ciotka Carol sporządziła listę osób, które należało zawiadomić. Maggie wyszła, a ja jeszcze zostałam, ponieważ miałam kilka pytań.

- Czy mama dobrze się czuje?

- Och, świetnie! Louis powiedział tylko, że omal nie zemdląca z zaskoczenia. I dodał, że twój ojciec paraduje wokół szpitala św. Franciszka dumny jak paw!

- No pewnie! Kiedy wracają na wyspę?

- Już zaraz! Wujek Louis i twój tata muszą tu szybko przywieźć Livvie. Nadciąga burza. Przecież nie mogą oczekiwać ode mnie, żebym tu spędziła całą noc! Muszę nakarmić psy i zabrać rzeczy z ganku. A twoja mama jest w bezpiecznym miejscu.

- To prawda. Co z Livvie? Mówiła coś?

- Owszem. Zdradzę ci pewien sekret. Otóż musiała ściągać twoją mamę z krawężnika, kiedy zajechali na miejsce. Twoja mama gotowa była urodzić te dzieci w rynsztoku! Słyszałaś kiedyś o czymś podobnym? Louis powiedział, że M.C. wysiadła z auta, osunęła się na krawężnik i zaczęła dyszeć jak pies. Słowo daję! Twoja mama przejawia czasami zupełny brak ambicji. Ale prawdopodobnie nie mogła nad tym zapanować. Zapytaj Livvie, kiedy wróci. Powinni tu być lada chwila.

- Wiesz, ciociu, wydaje mi się, że siadanie ma ulicy jest dla ciebie czymś niezrozumiałym, ponieważ nigdy nie byłaś w ciąży. Ja na jej miejscu z pewnością byłabym przerażona.

Była to najlepsza riposta, jaką na poczekaniu mogłam wymyślić. Nie brzmiała nieuprzejmie, ale skłoniła ciotkę do zastanowienia, czy przypadkiem nie zamierzałam być nieuprzejma. Wyszłam na zewnątrz, by poczuć deszcz, i pozwoliłam sobie na trzaśnięcie drzwiami. Ten dzień świetnie się nadawał do robienia hałasu. Nie mogłam dopuścić, aby ciotka Carol popsukała mi dobry humor. Bliźniaczki! Zrobiłam piruet w deszczu. Wielkie nieba!

Lada chwila ta rodzina zacznie pękać w szwach. Jak mamy się wszyscy zmieścić do jednego samochodu? Weszłam z powrotem do domu.

- Gdzie Maggie? - zapytałam ciotkę Carol.

- Cicho, słucham prognozy pogody. Nie zostawiaj mokrych śladów na podłodze.

- Przepraszam - mruknęłam, myśląc: „Wypchaj się”.

Garbiła się nad radiem, usiłując złapać stację, ale słyhać było tylko wizgi i szum.

- Gdzie są twoi bracia? - Spojrzała na mnie z wyrazem paniki na twarzy. - Zupełnie o nich zapomniałam!

- Nie mam pojęcia. To nie ja miałam się nimi opiekować, tylko ciocia - wyrwało mi się.

- Jak ty się do mnie odzywasz? To wstyd! Natychmiast ich poszukaj, Susan Hamilton, bo inaczej powiem o wszystkim twojemu ojcu!

- No i świetnie - rzuciłam, nie przejmując się pogrozkami. Tata i tak by mnie dzisiaj nie zbił. Był w dobrym humorze. Prześliznęłam się obok niej i wyszłam na ganek. Maggie wychylała się przez poręcz. - Gdzie chłopcy? - zapytałam, puszczając drzwi, które trzasnęły ogłuszająco.

- A kogo to obchodzi? - odparła.

- Słuchaj, nadciąga ta cholerna burza, a ich ciągle nie ma. Nie widziałam ich od rana, a ty? - Nawet na mnie nie spojrzała. - Maggie, sprawa wygląda tak, że jeśli coś im się stanie, tata nas zastrzeli. Lepiej ich poszukajmy. Ciotka Carol grozi, że wszystko powie tacie, a on lada moment wróci ze szpitala.

- Nienawidzę tej rodziny - oznajmiła. - Zaczekaj tu na mnie. Pójdę włożyć buty.

Ona również trzasnęła drzwiami. O rety, bez Livvie wracamy błyskawicznie do dawnych złych nawyków, pomyślałam. Maggie znowu trzasnęła drzwiami i ruszyłyśmy w drogę.

- Weźmy rowery, będzie szybciej - zaproponowałam. - Ja pojedę do Lockhartów, a ty sprawdzisz Brockingtonów, dobra?

Po bezskutecznych poszukiwaniach uznałyśmy, że musieli pójść do fortu.

- Do którego? - zawołałam, przekrzykując szum deszczu.

- Battery Thompson. Pospieszymy się!

Popedałowaliśmy pod wiatr w stronę fortu Battery Thompson, ulubionego miejsca zabaw dzieciaków z wyspy - wbrew zakazom policji i przewrażliwionych matek. Zbudowano go po wojnie hiszpańskiej w ramach systemu obrony wybrzeża i nazwano na cześć dzielnego żołnierza, który bronił zatoczki Breach Inlet przed Brytyjczykami w 1776 roku. (Wręcz ubóstwiam historię wyspy). Ilekroć zanosilo się na porządną burzę, wspinaliśmy się na obwałowania, żeby obserwować morze. Fort Battery Thompson najlepiej się do tego nadawał, ponieważ znajdował się na odludziu. Z kolei w forcie Moultrie przy Middle Street mógł cię łatwo wypatrzeć Gruby Albert, nasz miejscowy stróż prawa.

Wyspa Sullivana, nazwana tak na pamiątkę kapitana Florence'a O'Sullivan, służyła zawsze jako punkt obserwacyjny. W mrocznych latach siedemdziesiątych XVIII wieku powierzono kapitanowi zadanie wystrzelenia z działa, by ostrzec mieszkańców Charlestonu, że nieprzyjaciel zbliża się drogą wodną. Pierwsi osadnicy mieli dostatecznie dużo kłopotów z malarią, głodem i huraganami, żeby się jeszcze martwić niespodziewanymi atakami korsarzy. Wybrano zatem tego O'Sullivan na wartownika. Podobno był strasznie podłym, wrednym facetem i guzik go obchodziło, co ludzie o nim myślą. Czy to nie wyśmienite, że wyspa znalazła się na mapie dzięki warchołowi z naładowaną armatą? Byłam przekonana, że łączy go jakieś pokrewieństwo z Wielkim Hankiem, co by również wyjaśniało, dlaczego moi pomyleni bracia nie wracali do domu, choć zbliżał się huragan. Obydwie z Maggie dotarłyśmy do fortu przemoczone do nitki.

Usłyszałyśmy czyjeś głosy, a gdy zobaczyłyśmy jeszcze rowery spiętrzone w jednym miejscu na miękkim piasku, wiedziałyśmy, że chłopcy tu są. Zostawiając obok nasze własne rowery, zdałyśmy sobie sprawę, że w pokrzykiwaniach brzmi nuta lęku, a nie rozbawienia. Nie zatrzymując się nawet, żeby odetchnąć, dobiegłyśmy do najbliższej drabiny i zaczęłyśmy się wspinać. Battery Thompson, wycofany z użytku i opuszczony fort - jak wszystkie na wyspie - zbudowany był z lanego cementu, a lata oddziaływania słonej mgiełki wodnej oraz łuszcząca się farba nadały mu nieco upiorny wygląd. Doskonałe miejsce do zabawy lub zaszcucia się z podkradzionym komuś papierosem. Albo do wymyślania czegoś głupiego, co teraz właśnie miałyśmy odkryć.

- Pomóżcie! Wydostańcie mnie!
- Jezu! To Henry! Szybciej, Maggie! - Wyciągnęłam do niej rękę. Złapała ją i wydźwignęła się na podest.

- Gdzie oni są?

- Nie wiem! - Rozejrzałam się po forcie i dostrzegłam chłopców na samej górze. - Patrz! Tam!

Timmy zauważył nas i zaczął wołać, wymachując ramionami:

- Szybko! Potrzebujemy pomocy! Henry utknął! - Głos mu się załamywał.

Pięć sekund później, stanąwszy obok niego, zobaczyliśmy nogi naszego młodszego braciszka sterczące z kanału wentylacyjnego. Henry darł się ile sił w płucach.

- Wydostańcie mnie! Moja głowa! Moja głowa! Zróbcie coś!

- Henry! To ja, Susan. Maggie też tu jest. Nie bój się, zaraz cię wyciągniemy. Trzymaj się, kochany, wszystko będzie dobrze. - Odwróciłam się do pozostałych chłopców i wybuchnęłam: - Co tu się stało, do diabła? Co tu się stało?

- Powiedzieliśmy mu, że tam w środku jest skarb piratów i tylko ktoś naprawdę mały może się do niego dostać! - Wyjaśnienie to padło z ust chłopaka, którego zgodnie i z rozkoszą nienawidziliśmy. Stuart miał białą skórę upstrzoną tysiącami brązowych piegów. Był uczulony na wszystko, nałogowo dłuhał w nosie, kłamał i nieustannie sprawiał jakieś kłopoty. Na domiar złego czepiał się maluchów.

- Stuarcie Brockington, od samego patrzenia na twoją paskudną gębę chce mi się rzygać - oświadczyłam. - Kiedy wydostanę stąd mojego braciszka i zobaczę u niego choćby jedno zadrapanie, przetrę twoim nędznym tyłkiem wszystkie drogi na tej wyspie. Słyszysz mnie? A teraz rusz swój niewydarzony zadek, wsiadaj na ten głupi rower i sprowadź pomoc. No, już! Sprowadź jakąś pomoc!

Mój krzyk przestraszył Henry'ego, który zaczął popłakiwać. Stuart zeskoczył na dół i pobiegł po rower, a za nim dwaj inni chłopcy.

- Timmy! Jak mogłeś do tego dopuścić? Jeśli tata się dowie, to nas pozabija! - powiedziała Maggie, zdenerwowana sytuacją i rozmiarami nawalnicy. - Henry? To ja, Maggie - dodała, zwracając się do małego. - Pociągnę cię lekko za nogi, a ty sprawdź, czy dasz radę się podepchnąć, dobra?

- Nie mogę się ruszyć! Utknąłem! Nie mogę! - załkał Henry. - Pomóżcie! Wydostańcie mnie stąd!

- Skoczę po pana Struthersa - postanowiłam. - Ten głupek Stuart nie ma pojęcia, co trzeba zrobić.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Timmy. - Maggie, zostań z Henrym i spróbuj go uspokoić.

- Henry! - zawołałam. - Posłuchaj mnie! To się na pewno nie zdarzyło pierwszy raz. Trzymaj się, a ja wrócę za dziesięć minut z panem Strutherssem!

- Dobrze - chlipnął.

Wsiedliśmy na rowery i popędziliśmy do biura Marvina Struthersa przy ochotniczej straży pożarnej. Był burmistrzem, komendantem straży i trenerem Małej Ligi. Jego największe dziwactwo polegało na tym, że przez cały czas - z wyjątkiem wyjścia do kościoła - nosił sandały. Nasza mama zawsze powtarzała, że żadne przyzwoity mężczyzna nie chodzi w sandałach. Uważała je za nieskromne czy coś w tym guście. We mnie budziły po prostu obrzydzenie. Owłosione stopy. Ohyda.

Wiatr dął teraz mocniej i karłowate palmy gięły się wpool. Na szczęście wiało nam w plecy. Porzuciliśmy rowery przed ratuszem i pobiegliśmy po pana burmistrza i trenera Struthersa. Gdy otworzyliśmy drzwi, pani Smith - jego sekretarka od jakiegoś miliona lat, stara kobieta z dużą, paskudną brodawką na podbródku - właśnie wkładała płaszcz. Pachniała jak miętotówka.

- Dzieci, czego wy tu szukacie? Powinnyście siedzieć w domu, z rodzicami! Nadciąga burza!

- Tak, psze pani. Wiemy, ale zdarzyło się coś w rodzaju nagłego wypadku i potrzebny jest nam trener Struthers. Zastaliśmy go?

- A o co chodzi? Może ja potrafię pomóc.

Staralam się zachowywać uprzejmie, bo przecież była starszą osobą i w ogóle.

- No więc, psze pani - zaczęłam - mamy niewiele czasu. Nasz braciśzek utknął w kanale wentylacyjnym w Battery Thompson i nie możemy go wyciągnąć, a tata wygarbuje nam skórę, jeśli się dowie.

Popatrzyła na nas.

- Jesteście dziećmi Hanki Hamiltona?
- Tak, psze pani.
- Panie Marwinie! Szybko! Nagły wypadek!

Dobiegł nas szum wody spuszczonej w toalecie. W ułamku sekundy pan Marvin wybiegł z łazienki, zapinając po drodze spodnie. Był potężnym mężczyzną, wyższym niż tata i dwa razy silniejszym, gdy idzie o charakter.

- Co się dzieje, Lois? - Odwrócił się i zobaczył nas. - Aha, mali Hamiltonowie. Mogłem się domyślić.

Spojrzałam na niego zmrużonymi oczyma. Wcałe nie zachowywaliśmy się gorzej niż inne dzieci z wyspy, po prostu było nas dużo i stale dawaliśmy się przyłapać.

- Panie Marwinie - sapnęła pani Smith - oni mówią, że ich brat ugrzązł w kanale wentylacyjnym w forcie.

- Panie Marwinie, jak się nie pospieszymy, jutro Henry będzie leżał w trumnie u McAlistera. A my już więcej nie narobimy wam kłopotu, bo nas zatłuką na śmierć.

- Nikt nikogo nie zatłucze na tej wyspie, dopóki ja tu dzierzę ster. Ładujcie się do wozu, dzieciaki.

Podciągnął spodnie typowo męskim gestem i ruszył ku drzwiom. Pobiegliśmy za nim. Zerknęłam na jego stopy. Sandały! Nawet w takim deszczu!

Doszłam do wniosku, że jazda strażackim wozem z włączoną syreną i tak dalej to mimo wszystko frajda, nawet jeśli życie mojego najmłodszego brata wisi na włosku. Jezu, pomyślałam, pewnie do tego czasu stracił przytomność. Niestety, na miejscu okazało się, że nie ma tak dobrze. Wszyscy się wydzielali, a w dodatku do górnej części fortu dotarła jakimś sposobem ciotka Carol, której spódnice wiatr szarpał na wszystkie strony i podwiewał, nie pozwalając opaść. Wspinając się po drabinie, widzieliśmy bieliznę ciotki - i może tak mi się tylko wydawało, ale miałam wrażenie, że pan Struthers gapi się na jej tyłek.

- Witaj, Carol - odezwał się do niej.
- Och, Marvin, to ty! Tak się cieszę, że tu jesteś! - Kurczowo zacisnęła dłoń na piersiach i otarła oczy. - Proszę, wydostań to dziecko!
- Carol, wszystko będzie dobrze. Odsuńcie się, chłopcy. Henry?

- Aha? - Głos mojego brata brzmiał żałośnie.
- Nie denerwuj się. Mam tu olej silnikowy i poleję ci nim głowę, rozumiesz, synu?

Olej silnikowy? Tak czy owak, pan Marvin zaczął lać, a Henry znowu się rozwrzeszczał.

- Zatyka mi nos! Ratunku! Wlewa mi się do ust! Będę rzygał!

Istotnie, zaraz potem dobiegły nas odgłosy świadczące, że nasz braciszek puszcza pawia w głąb kanału wentylacyjnego. Pan Struthers pokręcił głową i mocno pociągnął ku sobie stopy Henry'ego. Henry wyskoczył ze swej pułapki niczym kromka chleba z tostera, po czym przez następne kilka minut szlochał i rzygał na przemian.

Wiedziałam jedno: nigdy nie będę miała dzieci. Za dużo z nimi kłopotu.

- Dobrze, że mama leży w szpitalu - oznajmiłam i wydało mi się to bardzo zabawne - bo kiedy się o tym dowie, gotowa dostać zawału.

- Posłuchaj, Susan, twoja mama nie musi o niczym wiedzieć. Słyszysz, dziewczyno? I tak ma już dość na głowie.

- Nic nie powiemy, ciociu, obiecuję - wtrąciła szybko Maggie.

Nawet ja zaczęłam się lekko trząść.

- Ode mnie nie usłyszysz nic a nic - obiecałam. - Wracajmy do domu. Podziękuj Bogu, że pada, Henry, bo niezbyt ładnie pachniesz. Nie martw się, tata nawet nie zauważy.

- Dziękuję, Marvinie - przemówiła chrapliwym głosem ciotka Carol.
- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłam pomóc. Jak się miewa Louis?
- Och, tak jak zawsze.
- Gdyby coś się zmieniło, daj mi znać. Może podrzucę cię do domu?
- Nie, dziękuję. Pójdę z dziećmi.

Puścił oko i pomógł jej zejść z drabiny. Rany boskie. Zerknęłam na Maggie, która nic nie zauważyła, a potem na Timmy'ego, który dał mi znać miną, że zauważył wszystko. Henry żegnał się z kolegami, a ja po prostu pragnęłam znaleźć się w domu.

Livvie powiedziała mi później, że Stuart Brockington uznał za swój obowiązek zatrzymać się przy naszym domu i zawiadomić o perypetiach

Henry'ego. Livvie zdejmowała właśnie hamak z ganku, gdy dostrzegła Stuarta z rowerem na podwórzu. Razem z ciotką Carol wysłuchały wieści, nie wierząc w ani jedno słowo. Wypełniwszy misję, Stuart uciekł na swoim rowerze. Po chwili rozległa się syrena strażacka. Wtedy zrozumiały, że Stuart mówił prawdę.

- Gdzie pan Hank? - zwróciła się Livvie do ciotki.
- Pod prysznicem.
- Aha. Czy mam tam iść i się tym wszystkim zająć?
- Nie. Sama pójdę. Marvin Struthers to mój stary znajomy. Namówię go, żeby nic nie mówił Hankowi.
- Dzięki Bogu. To dobrze, jeśli przyjaciel może się do czegoś przydać.
- Zaczekasz na mnie?
- Tak, psze pani, jeśli trzeba. Niech pani jedzie, a ja zawiadomię Harriet i wrócę z jej synem. Jakby pan Hank mnie pytał, to pani wyszła do sklepu po mleko i chleb.

Nasz dom, Island Gamble, sprawiał wrażenie gotowego na wszystko, co niebiosy uznają za stosowne zesłać. Zamknięte okiennice, pusty ganek, zgaszona światło. Weszliśmy kuchennymi schodami. Tata siedział w kuchni z Livvie i zjadał sałatkę ziemniaczaną. Livvie podbiegła do nas.

- Paniczku Henry, proszę ze mną! - Złapała go i pociągnęła w dół schodów. - Wprowadzę go do domu inną drogą.

Weszliśmy na paluszkach, wiedząc, że zbyt długo przebywaliśmy na zewnątrz - a przynajmniej tata mógłby dojść do takiego wniosku. Na szczęście zupełnie go to nie obchodziło.

- Poszukajcie sobie jakiegoś zajęcia, tylko cicho, dopóki burza nie minie. Hej, Carol, myślałem, że poszłaś do sklepu.
- O Boże, słusznie myślałeś! Ale chyba macie dość chleba i mleka, no nie? Nie chciało mi się stać w kolejce i wróciłam do domu.

O rany, ta to umiała kłamać.

Nieco później znaleźliśmy się na górze i zaczęliśmy grać w „Monopol” na podłodze. Ciotka Carol przyniosła nam kanapki z masłem orzechowym i galaretką, prażynki, karton mleka i papierowe kubki.

- Och, popatrzcie tylko! Jacy wy jesteście grzeczni!
- O kurczę, wielkie dzięki, ciociu - powiedziała Maggie, stawiając

tacę na podłodze. - Przy takiej burzy nie da się robić nic innego.

- Siedzicie tu sobie i trzymajcie się z dala od okien, dobra? W razie czego wołajcie. Będziemy z waszym tatą na ganku. Popatrzmy sobie na ocean.

- Dobra - odparliśmy chórem.

Zerknęłam na Henry'ego, który już nie pamiętał, że śmiertelnie nas przeraził. Wcinał kanapkę i zajadał ziemniaczane prażynki, zupełnie rozluźniony jak na kogoś, kto omal nie zginął dwie godziny wcześniej.

Livvie wróciła do siebie - na szczęście, gdyż służby leśne zaczęły jeździć po wyspie terenowymi autami na sygnale, zawiadamiając wszystkich o ewakuacji i schronie w Moultrie High School przy Mount Pleasant. Zawsze myślałam, że pójście do schronu to byłaby frajda. Podobno Czerwony Krzyż rozdaje wszystkim paczki za darmo. I spało się w klasach na podłodze. Ciekawe, jak to było w państwowych szkołach. Zbadajcie ławki protestantów i tak dalej. Graliśmy jeszcze przez chwilę, lecz zaraz zrobiło się ciemno i zagrzmiało. Lunęło jak z cebra, a wichura zawodziła opętańczo. W chwili gdy Timmy wylądował na liniach kolejowych - a należały do mnie - zgasło światło.

- Przynieś latarkę - poleciłam Henry'emu.

- Nie wiem, gdzie jest.

- W kuchni.

- Nie pójde - załkał nagle. - Tam jest ciemno.

- O, matko - zirytowałam się - ja pójde. Zaczekajcie na mnie, a ty, Maggie, nie pozwól im dotykać planszy.

- Pospiesz się! - rzuciła.

- Jee... ju! Przecież się śpieszę!

Zeszłam po schodach, obmacując ścianę, bo naprawdę było bardzo ciemno. W kuchni okazało się, że latarki nie ma pod zlewem, gdzie powinna być. Wiedziałam, że druga latarka znajduje się w szopie na zewnątrz, ale nie chciało mi się wychodzić na deszcz. A potem przypomniała mi się gra czekająca na górze i pomyślałam sobie: a co tam, kurczę, to tylko woda. Wymknęłam się tylnym wyjściem przez ganek i siatkowe drzwi. Wiatr zatrzęsął je za moimi plecami i uświadomiłam sobie, że jestem odcięta.

- Cholera jasna! - wrzasnęłam, zdając sobie sprawę, że i tak nikt mnie nie usłyszy. Co sił w nogach popędziłam do szopy. Duża latarka, rzecz jasna, była na miejscu i działała. Co za ulga! Postanowiłam obejść dom i dostać się do niego frontowymi drzwiami.

Pani Simpson stała na swoim ganku z rękoma na biodrach, wpatrzona w nasz dom, ale mnie nie zauważyła. Wiedziałam, że ojciec da mi do wiwatu za bieganie podczas burzy, więc podkrađłam się pod ganek. Wtem usłyszałam głosy ojca i ciotki.

- Och, Hank! Tak nie można!
- To ja miałem cię pierwszy, Carol, nie zapominaj o tym!
- Proszę cię, Hank, przestań!

Stałam jak wryta w ulewnym deszczu. Wiedziałam, że cokolwiek robią, nie powinnam tego oglądać. Ale musiałam to zobaczyć. Musiałam wiedzieć. Wspięłam się na cysternę olejową za rogiem i zajrzałam na ganek. Mój tata przyciskał ciotkę Carol do balustrady, napierając na nią biodrami. Jej spódnica zbiła się w fałdy wokół talii. Nagle uświadomiłam sobie, co widzę, i zapragnęłam uciec. Ich głosy nabrały mocy, gdy ciotka Carol krzyknęła: „O mój Boże! O Boże!”.

Nie wytrzymałam. Głosy rozbrzmiewały mi w głowie. Słyszałam śmiech z ganku pani Simpson. Zdawałam sobie sprawę, że wszystko widziała. Podbiegłam do kuchennych drzwi, wyszarpnęłam siatkę i otworzyłam zamek. Przystanąłam na chwilę, żeby ochłonać. Huczało mi w uszach. Na kołku wisiał stary plażowy ręcznik. Wytarłam się nim. Pierwszy raz w życiu zapragnęłam rzucić się na ziemię i wybuchnąć płaczem. Nie mogłam o tym powiedzieć nikomu, nawet Maggie. Od tej chwili znienawidziłam zarówno moją ciotkę, jak i mego ojca.

8.

Huragan Maybelline

1999

Władze zamknęły bibliotekę o trzeciej z powodu nadciągającej burzy, sklasyfikowanej urzędowo jako huragan i ochrzczonej imieniem Maybelline. Każdą wolną chwilę spędzałam teraz na przeglądaniu mikrofilmów z „Post & Courier”, zawierających artykuły w sprawie śledztwa na temat śmierci taty, poczynwszy od 1963 roku. Były tam zdjęcia szkoły projektowanej przez tatę oraz innych budynków, nad którymi pracował, takich jak szpitale i gmachy użyteczności publicznej. Fotografie z miejsca wypadku ukazywały ślady opon biegnące z mostu na mokradła. Nieustannie jednak powracałam spojrzeniem do zamazanego zdjęcia samochodu, który właśnie wyciągnięto z błota. Pan Struthers stał obok ciężarówki ratowniczej, a Gruby Albert przy drzwiczkach od strony kierowcy. Gruby Al ubrany był po cywilnemu i miał na nogach te same co zawsze, czarne, policyjne buty. Błyszczały nawet na tej starej fotografii. Postanowiłam ją skopiować i powiększyć do rozmiarów osiem na dziesięć cali. Potem dołączyłam ją do zbioru gromadzonego przez kilka miesięcy. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu, upewnić się, że z Beth wszystko w porządku i zabezpieczyć okna.

Mój szef, pełen- optymizmu-co-do-swych-szans Mitchell Freemont, zaproponował mi podwiezienie i wbrew własnemu przekonaniu przyjął tę propozycję. Jazda to jazda. Lało jak z cebra i gdybym wracała pieszo, chybabym się utopiła.

Patrzyłam przez okno biura na liście palm tańczące w podmuchach wiatru i zastanawiałam się, czy tupecik Mitchella utrzyma się na jego głowie, kiedy wyjdziemy na zewnątrz. Mitchell zajął do mnie i zasygnalizował, że pora się zbierać. Pozostała po nim smuga zapachu użytej przed chwilą wody kolońskiej Aqua Velva.

Pozbierałam swoje rzeczy, włożyłam gazety i kilka skoroszytów do płóciennej torby, wśliznęłam się w płaszcz przeciwdeszczowy niczym Houdini* i wyszłam z biura.

* Harry Houdini, 1874-1926, amerykański sztukmistrz i pisarz; zasłynął na całym świecie umiejętnością uwalniania się z najkunsztowniejszych więzów i zamknięć oraz jako demaskator oszukańczych mediów spirytystycznych (przyp. red.).

Opuszczaliśmy budynek ostatni. Zaczekałam w tylnym hallu, aż Mitchell włączy system alarmowy. Walcząc z żywiołem, dobrnęliśmy do auta; mój szef nerwowo pobrzękiwał grubym, ciężkim, godnym grubej ryby łańcuchem z kluczykami, a ja kulilałam się i owijałam ciasno płaszczem, żeby nie porwała mnie wichura. Nacisnął guzik zdalnego sterowania i blokady i drzwiczki w jego chevrolecie odskoczyły z pyknięciem, przywodząc na myśl miniaturowy statek kosmiczny.

- Wsiadaj! - ryknął.

- Wsiadam! - odpowiedziałam, myśląc, że ten facet niesłychanie mnie irytuje.

Cisnęłam swoje rzeczy na podłogę i zmagając się z wiatrem, zatrzasnęłam drzwiczki. Kiedy macałam dookoła siebie w poszukiwaniu pasa, Mitchell zapalił silnik, uruchomił wycieraczki i włączył reflektory.

- Dasz sobie radę w domu? To znaczy, może mógłbym w czymś pomóc?

- Nie trzeba, dziękuję. Dla członków naszej rodziny nie ma to jak mały huragan. Gdybym się wcześniej nad tym zastanowiła, pewnie poszłabym na plażę. Uwielbiam siedzieć na ganku i patrzeć, jak ocean szaleje. Wiesz, przyrzadzić trochę krewetek, napić się piwa...

- Jesteś niezwykłą kobietą, Susan, wiesz o tym?

- Daj sobie spokój.

Zerknęłam na jego profil. Przeróżający. Zero poczucia humoru. Na skrzyżowaniu King Street i George Street zobaczyłam, że jego tłusta spocona dłoń pełnie po tapicerce siedzenia jak tarantula w stronę mojego lewego kolana. Założyłam nogę na nogę.

- Mitchellu Freemont, jeśli mnie dotkniesz, wybiję ci zęby.

Ręka cofnęła się.

- Susan, chyba nie sądzisz... Szukałem portfela. Wydawało mi się, że został pod oparciem.

- Mitchell? Wyłóżmy karty na stół. Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Pracuję dla ciebie.

- Myślałem, że lubisz swoją pracę.

- Lubię. Nie w tym rzecz. Zawsze gapisz się na mnie podczas narad i chodzisz za mną po salach.

- Uważam, że jesteś interesująca. Czy to zbrodnia?

- Nie. Słuchaj, nie wątpię, że jesteś miłym człowiekiem. Ale nawet gdybyś był kawalerem i wyglądał jak Cary Grant, ja jeszcze nie jestem gotowa. Rozumiesz? Mam za dużo na głowie. Zostałam samotną matką, a mój były mąż próbuje mnie wpędzić w obłąd. Nie zniosę w swoim życiu jeszcze jednej osoby, która się mnie czepia.

- Nie czepiałem się ciebie, Susan.

- Racja, Mitchell.

Obserwowałam przesuwaną się po szybie wycieraczki i usiłowałam odzyskać spokój. Czy tylko wyobraziłam sobie jego rękę? Wiedziałam, że powinnam mu powiedzieć, by pocałował mnie w różowy tyłeczek, i złożyć wymówienie. Ale zdawałam sobie również sprawę, że decyzja, kiedy mam odejść z pracy, należy do mnie, a nie do niego.

- Masz rację, Mitchell. Posłuchaj, naprawdę jestem ci wdzięczna, że mnie podwiozłeś przy tej pogodzie.

- Nie ma sprawy. - Prychnął z oburzeniem.

Zasoby mojej cierpliwości były już na wyczerpaniu i moi liczni wierzyciele mieli szczęście, że szybko znaleźliśmy się przed domem. Gdybym musiała dłużej podróżować w towarzystwie tego obłudnego bufona, niewykluczone, że strzeliłabym go w szczękę. Po raz ostatni spróbowałam być miła.

- No dobra. Trzymaj się.

Nie odpowiedział; zwrócił tylko ku mnie to swoje oblicze, dziwnie przypominające jogurt truskawkowy. Nalane. Nalane i obwisłe, pozbawione bruzd, które by świadczyły o charakterze. Stoczyłam ciężką walkę wewnętrzną i pomachałam mu uprzejmie na pożegnanie, zaciskając zęby i dochodząc do wniosku, że nie ma sensu robić sobie z niego w tej chwili

wroga. Musiałam z czegoś zapłacić rachunki. Drzwiczki jego auta trzasnęły na wietrze, a ja ominęłam tylny zderzak i pobiegłam do domu. Potrzebowałam kieliszka wina i nowych perspektyw zawodowych. Otworzyłam frontowe drzwi, a potem, kapiąc wodą po całej podłodze, zamknęłam je i zaryglowałam przed Mitchellami Freemontami tego świata. Powitał mnie znajomy głos.

- Cześć!

Odwrociłam się i zobaczyłam Toma, który uśmiechał się szeroko. Za nim stała Beth.

- Co się dzieje? - spytałam i pocałowałam córkę w policzek.

- Nic. Tak tylko wpadłem, żeby sprawdzić, czy ci czegoś nie potrzeba. Mówią, że oko burzy przejdzie tędy około wpół do ósmej, więc pomyślałem, że wstąpię, no wiesz, przyniosę coś na kolację... Mam steki i butelkę przyzwoitego czerwonego wina... - Uśmiechnął się czarująco, mrużąc niebieskie oczy i demonstrując dołki w policzkach. Te dołki same w sobie były orężem - pomijając już jego idealnie białe zęby.

- Tak, wiem. - Podczas burzy każda przystań jest dobra, pomyślałam, nabierając tchu. - Beth? Może masz coś do roboty na gorze? Na przykład zadanie domowe?

- Nakryję do stołu.

Zniknęła w kuchni - dokładnie mówiąc, niemal przefrunęła przez hall. Nie wątpiłam, że jej głowę przepelniają marzenia o ponownym zejściu się mamy i taty. Świetnie, po prostu świetnie, pomyślałam. Nikt prócz mnie nie wiedział, że na biurku Michelle Stoney leży wstępna umowa o separacji i czeka, aż Tom ją przejrzy.

Popatrzyłam na niego. Jego twarz przybrała chłopcę, smutny wyraz, budzący skojarzenia z porzuconym szczeniakiem. Nie wyglądał tak paskudnie jak na obliczu Mitchella-Freemonta, niemniej doszłam do wniosku, że jedna smętna twarz dziennie w zupełności wystarczy.

- No więc, co się stało? - zapytałam. - Czy twoja przyjaciółeczka odleciała do Sedony, by medytować w polu wirowym?

- Boże, przepadam za twoimi uszczypliwościami, Susan. Prawdę mówiąc, nie widziałem się z nią od dwóch tygodni. Miałem trochę czasu, więc pomyślałem, że sprawdzę okna na drugim piętrze. Zawsze przeciekały. Okleiłem je dookoła taśmą ochronną.

- Taśmą? Cóż za ekonomiczny sposób. - Parsknęłam śmiechem. - Boże, to musi uroczo wyglądać! A zatem już z nią nie mieszkasz?

- Nie, w zeszłym miesiącu wynająłem domek przy Tradd Street. Właściwie dopiero co się wprowadziłem. Trzeba go było odmalować.

- I w trakcie tego malowania poprzytykałeś się z nią, a potem najszybciej jak się dało przyleciałeś tutaj?

- Mniej więcej. - Znowu uśmiech. Boże, był pięknym mężczyzną.

- Żeby okleić moje okna taśmą.

- No cóż, na pewno trzeba je uszczelnić, ale musi być sucho. Jeśli chcesz, mogę przyjść jeszcze raz i to załatwić.

- Tom, zostaw te okna. Przecież nigdy cię jakoś specjalnie nie obchodziły.

- Ty mnie obchodzisz, Susan.

- No tak. Co tu właściwie robisz? Co się naprawdę stało z panną Bliższe Spotkania?

Czułam niemal zapach własnej słabości. Ten człowiek połamał mi serce na drobne kawałki i przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu było dla mnie zgubne. To tylko chemia, powiedziałam sobie. Prosta kwestia feromonów.

- Rzuciła mnie - wyznał. - Pojechała w zeszłym miesiącu do Charlotte na zjazd miłośników New Age i poznała kogoś. Twierdzi, że odnalazła w nim duchowego partnera.

- O rety.

- Ma dwadzieścia jeden lat.

- Oj! - Mięśnie twarzy drgały mi konwulsyjnie i przygryzałam policzki, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Postanowiłam się poddać i okazać ostrożną życzliwość. - Napijesz się piwa?

- Chętnie. W każdym razie już od dawna wiedziałem, że to nie będzie trwało wiecznie. Karen i ja zbyt się od siebie różnimy. Dużo o tym rozmyślałem. Ona nie dorasta ci do pięt, Susan.

- Co się tu dzisiaj dzieje? Czy to wpływ niskiego ciśnienia? - Najpierw Mitchell, teraz Tom. Czyżbym nieoczekiwanie zmieniła się z odrzuconej, gniewnej kobiety z nadwagą w przedmiot pożądania? Chyba osiągnęłam szczyt swoich możliwości. Proszę bez majonezu, jestem na diecie, pomyślałam. Czułam zawrót głowy.

- O czym mówisz? - zapytał.
- Nieważne. Chodź, napijemy się czegoś.

Ruszyłam w stronę kuchni, a Tom za mną. Czułam na sobie jego spojrzenia, trafiające niczym pociski typu scud w tylną część mojego ciała, która niewątpliwie nabrała nowego kształtu. Niech mnie błaga na klęczkach, pomyślałam, a ja i tak odmówię.

- Wyglądasz niesamowicie, Susan. Ćwiczysz?

Poprawił się na barowym stołku, jakby to były lata siedemdziesiąte, a jego fallus przeżywał drugą młodość. Wyjęłam z lodówki dwie butelki bud light i zdjęłam kapsle.

- Owszem, dzięki twojej hojności wynajęłam prywatnego trenera. - Mogłam się trochę zabawić. Nie skrzyżowałam z nim szpady od kilku tygodni.

- Bardzo śmieszne. Słuchaj, ostatnio było mi dość trudno, ale wiesz przecież, że chcę się należycie zatroszczyć o ciebie i Beth.

Nalałam piwa i wręczyłam mu szklankę. Bardzo chętnie bym mu uwierzyła, pomyślałam. Naprawdę.

- Jakoś sobie radzimy - rzuciłam niedbale. Otworzyłam szufladę pod blatem i zaczęłam szukać precli.

Beth przepłynęła obok i wydobyła srebrne sztuce po mojej babci oraz noże do steków z kościanymi rączkami. Po miesiącach zaniedbania były aż niebieskie od śnieży. Spojrzała na mnie, nie łamiąc narzuconych sobie najwyraźniej ślubów milczenia.

- Pasta do czyszczenia jest pod zlewem - mruknęłam.

O dziwo, położyła srebra na ręczniku i zaczęła grzebać w szafce.

- Tom, może byśmy przeszli do salonu? Złapiemy wiadomości. Skoczę tylko na górę, żeby się przebrać.

- Jasne. Nie ma sprawy. Włączę pudło.

Poszłam do swojego pokoju i rozebrałam się do majtek i stanika. One także były przemoczone. Włożyłam stanik z granatowej koronki, który oszczędzałam na wypadek, gdybym musiała iść do szpitala albo gdyby samochód Harrisona Forda zepsuł się przed moim domem. Do tego doszły granatowe koronkowe majteczki. Potem wciągnęłam stare dzinsy - rozmiar dziesięć, proszę bardzo - i zmusiłam zamek błyskawiczny do posłuszeństwa.

Widząc fałdkę tłuszczu nad paskiem, postanowiłam włożyć luźną górę i ucieszyłam się, że poprzedniego dnia wyprasowałam ulubioną niebieską bluzkę. Rozpięłam ją na tyle, na ile pozwalała przyzwoitość, żywiąc nadzieję, że Tom będzie pluł sobie w brodę na ten widok.

- Musiałyby być piekielna burza, żebym pozwoliła mu się dotknąć - przemówiłam stanowczym tonem do lustra w łazience, podziwiając swoje smukłe, młodzieńcze odbicie. Sytuacja wyglądała klasycznie. Mąż czmycha z głupią gówniarą, gówniara rzuca go dla młodego ogiera, skruszony mąż wraca z podwiniętym ogonem do żony, ponieważ wszystkim mężczyznom się wydaje, że poślubili własne matki albo pragnęliby poślubić własne matki, bo matka zawsze kocha i wybacza.

Ale nie ta matka. O, nie. W moim domu nie ma obrotowych drzwi. Nie, szanowny panie.

Układałam plan perfidnej zemsty. Wyglądał mniej więcej tak: Niech się zaprawi winem i piwem. Niech mnie błaga, żebym się z nim przespała, co z pewnością uczyni, a ja wyrzucę go z domu w noc i szalejącą burzę. Nie mówcie mi, że zemsta należy do Pana Zastępów! Livvie Singleton powiedziałyby, że Pan jest nieco zajęty i jeśli Go wyrzucę, wszystko będzie w porządku. No cóż, może nie. Ale w każdym razie zamierzałam spróbować.

Kto wie, być może pozwolę mu spać na sofie, ale tylko jeśli burza będzie naprawdę potężna. Gdyby nie chciał iść ze mną do łóżka, nie zjawiłby się tutaj z polciem wołowiny. Znałam tego człowieka. Stek zawsze był dla nas „uwodzicielskim daniem”, a pewne rzeczy cholernie łatwo było przewidzieć.

Bez pośpiechu umyłam twarz i zrobiłam staranny, dyskretny makijaż. Odrobina różu - tylko tyle, by uwydatnić kości policzkowe. Odrobina tuszu do rzęs - tylko tyle, by podkreślić oczy, które teraz, gdy zeszczuplałam, dziwnym trafem nie wymagały już liftingu. Lekko skropiłam szyję i nadgarstki ulubionymi perfumami Toma i umalowałam usta. Cienki złoty łańcuszek dotykał moich obecnie lekko wystających obojczyków. Przy sprzyjającym oświetleniu mogłam uchodzić za kobietę trzydziestokilkuletnią. No dobra, przy bardzo skąpym oświetleniu. Dwukrotnie wyczyściłam zęby i cicho wypłukałam usta. Byłam gotowa stawić czoło nieprzyjacielowi.

Swobodnym krokiem zesłam po schodach. Z salonu dobiegały dźwięki włączonego telewizora.

- I co mówią? - zagadnęłam niedbałym tonem, stając przed dużym lustrem w złożonych ramach, które wisiało kiedyś w salonie mojej matki.

- Nadciąga burza. Wygląda na to, że dotrze na ląd w okolicach Pawley's Island.

- Myślisz, że to się sprawdzi? Do licha, ci ludzie bez przerwy się mylą.

- Tak, ale teraz mają ten dopplerowski radar i jeśli chodzi o oko burzy, potrafią ustalić nawet ulicę i podwórko.

- Wielki Brat. Niesamowite, no nie?

Założyłam ręce i stanęłam obok Toma przed starym ozdobnym kredensem, przerobionym tak, by pomieścić telewizor i wieżę stereo. Słuchaliśmy prognozy i obserwowaliśmy wskaźnik radaru, krążący wokół niebieskiej skłębionej masy, która była huraganem Maybelline.

Nagle dobiegł nas z zewnątrz donośny łoskot. Coś uderzało o ścianę domu. Podbiegliśmy do okna i w bladym świetle, poprzez strugi deszczu, dostrzeżliśmy obluzowaną okiennicę, którą szarpały poddmuchy wiatru.

- Pójdę ją naprawić - powiedział Tom. - Gdzie jest młotek?

- Tam, gdzie go położyłeś ostatnim razem.

Zabrzmiało to niemal brutalnie, ale samo mi się wyrwało. W owej chwili byłam nawet zadowolona z jego obecności. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym przy tej pogodzie wynieść drabinę na zewnątrz i zabrać się do przytwierdzania okiennicy. Popatrzył na mnie bez słowa.

- Przepraszam, Tom. To było niepotrzebne. Dziękuję ci, naprawdę. Zawołaj, gdybyś mnie potrzebował.

- Potrzebuję cię, Susan, ale nie do tego. Zaraz wracam.

W jego twarzy była szczerłość, jakiej dotychczas u tego człowieka nie widziałam. Wszystkie kąśliwe uwagi, które od kilku miesięcy ćwiczyłam przed lustrem, wywietrzały mi z głowy jak dym po otwarciu okna w podrzędnym nocnym lokalu.

Patrzyłam za nim, gdy wychodził z pokoju. Od tyłu też świetnie wyglądał. Tak, ręka sama się wyciągała, żeby go złapać za tę jędrną, zgrabną pupę. Wydawał się nieco szerszy w ramionach. Zapewne dlatego, że niewątpliwie zeszczuplał w pasie. Zastanawiałam się przez chwilę, czy w łóżku byłby taki sam jak kiedyś.

Włączyłam racjonalne myślenie. Może traktowałam go zbyt surowo. Może powinniśmy usiąść i spokojnie sobie wyjaśnić pewne sprawy, przyglądając się burzy. Może. Ale miałam wątpliwości.

Trzaśnięcie kuchennych drzwi poinformowało mnie, że wyszedł na zewnątrz w ten deszcz. Zobaczyłam toczące się po ulicy kubły na śmieci i zaniepokoiłam się, że jakiś latający obiekt uderzy Toma i pozbawi go przytomności. Wyciągnęłam z szafy kurtkę z kapturem i ruszyłam w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz, mamó? Robię sałatkę. Chyba nie zamierzasz teraz wychodzić? - Beth odwróciła się od lodówki, w której szukała torby z płukaną sałatką; innej ostatnio nie kupowałam.

- Zaraz wracam, chciałam tylko złapać nasze kubły na śmieci, zanim odfruną do Myrtle Beach.

Drzwi zamknęły się za mną, gdy stanęłam na ganku, obserwując pogodę. Lało tak, jakby nigdy nie miało przestać. Promienie zachodzącego słońca zniknęły pod ciemną maską Maybelline. Wycie wichru przywodziło na myśl dziką bestię.

- Buduj arkę - mruknęłam do siebie - i okaż skrucę, koniec jest bliski.

Od wiekowego dębu na krańcach naszej posesji odłamała się olbrzymia gałąź, która ominęła o włos moje stare auto i runęła prosto na maskę nowego mustanga, zakupionego przez Toma w ramach kryzysu wieku średniego. Legła tam niczym znak dany przez Boga, oczekując agenta ubezpieczeniowego. Stało się jasne, że Tom zostanie na noc.

Przypomniały mi się wszystkie legendarne huragany z czasów dzieciństwa oraz, jakżeby inaczej, prezentowana przez mojego ojca i ciotkę na frontowym ganku interpretacja „Deszczowej piosenki”. Natychmiast odepchnęłam od siebie to wspomnienie.

- Pospiesz się - rzuciłam głośno. - Nie czas teraz marudzić.

Trzasnąwszy siatkowymi drzwiami, pobiegłam w stronę szopy, pod którą stały kubły. Jedna z gumowych pokryw odfrunęła z wiatrem jak frisbee. Gałąź drzewa oliwnego moich najbliższych sąsiadów gruchnęła między rododendrony. Dobrze, że od lat ich nie przycinałam, bo wichura mogła cisnąć tą gałęzią jak oszczepem prosto w okno.

Otworzyłam drzwi szopy i zgarnęłam naręcze mocnych linek oraz pokrywę z innego kubła. Obwiązanie ich nie było łatwym zadaniem, ale w

końcu mi się udało i w pośpiechu zaczęłam toczyć wózek z kubłami w stronę domu. Borykając się z każdą dziurą w ziemi, dotarłam wreszcie do ganku i z wielkim trudem wtaszczyłam wózek po schodach. Beth przyszła mi z pomocą.

- Wracaj do domu, kochanie, przemokniesz do nitki!
- Mamo, tata zamyka okiennice! Widziałam przez okno w kuchni.

Może ja się tym zajmę, a ty idź mu pomóc.

- Okiennice? Teraz?
- Nie mnie pytaj! Wziął dużą drabinę!
- Na miłość boską! No dobra, pójdę mu pomóc. Wciągnij to do pralni.
- Dobrze!

Musiałśmy krzyczeć, choć stałyśmy blisko siebie. Okrążyłam dom i zobaczyłam Toma wspinającego się do okien na piętrze. Zamykanie okiennic w naszym starym domu nie wymagało wielkiego wysiłku. Należało to jednak zrobić kilka godzin wcześniej. Moja aluminiowa drabina nie była zbyt pewna, więc postanowiłam ją przytrzymać.

- Mocno wieje, dlatego pomyślałem, że pozamykam tę stronę domu.

Za dużo drzew rośnie u sąsiadów. Ale nie dosięgnę do drugiego piętra.

- Nie szkodzi. Okna są oklejone.
- Racja!

Śmiejąc się do siebie, zszedł z drabiny, żeby ją przestawić pod następne okno.

- Cała ociekasz wodą, Susan. Wracaj do środka, jeśli chcesz. To nie potrwa długo.

- Co? Mam cię zostawić, żebyś się zabił na moim podwórzu? Nie ma mowy, skarbie. Alimenty od ciebie są mi potrzebne i nie ruszę się stąd.

Z uśmiechem wbił końce drabiny w ziemię, żeby ją pewniej ustawić.

- Nieujarzmiona Susan Hamilton Hayes - powiedział.

Stał tak blisko, że czułam jego oddech. Umył zęby, zanim tu przyjechał. Umył zęby i kupił steki.

- Aha. Nieujarzmiona. To ja. Włóż na tę drabinę, zanim Beth zostanie sierotą.

Wspiął się z powrotem i odczepił haczyk okiennicy od ściany domu. Zszedł, przesunął drabinę, znowu się wspiął i odczepił drugi haczyk. Wstrzymałam oddech, gdy przechylając się w podmuchach wiatru, sięgnął do pierwszej okiennicy, przyciągnął ją i zaryglował obie połówki.

Kiedy wreszcie z tym skończyliśmy, byliśmy przemoknięci na wylot. Tom złożył drabinę i wsunął pod dom, co nie było łatwe, gdyż wszędzie stała woda. Czekałam na niego na ganku. Beth usłyszała nas i podeszła do drzwi, aby mi podać ręczniki.

- Wracaj do środka, kochanie. Zaczekam na twojego ojca.
- O mój Boże, co za straszna pogoda!
- Wracaj! - Drzwi trzasnęły. - I proszę, nie mów „o mój Boże” - powiedziałam do zamkniętych drzwi.

Zrzuciłam chlupoczące tenisówki, dałam Tomowi ręcznik i otarłam twarz.

- Dzięki, Tom. Oczywiście, jeśli potem wiatr zmieni kierunek, będziemy musieli zrobić to samo z drugiej strony.
- Wykluczone. Zresztą tamte drzewa u sąsiadów nie są takie niebezpieczne. Sprawdzałem.
- Widziałeś swój samochód?
- Taa, mam pecha.

Bluzka przylepiła mi się do skóry i w świetle lampy na ganku Tom widział przez mokry materiał kolor mojego stanika.

- Czarny?
- Granatowy. Chodźmy do domu, jest mi zimno.
- Granatowy?
- Właż do domu, stary koniu.

Moja kuchnia nagle ożyła. Uśmiechnięta Beth biegła tam i z powrotem, szykując kolację. Olbrzymia porcja sałatki czekała w ręcznie rzeźbionej, drewnianej misce, odziedziczonej po mojej matce. Ziemniaki piekły się w kuchence mikrofalowej, a piekarnik był nagrany. Przyprawione steki leżały w żaroodpornym naczyniu. Grubo pokrojony *filet mignon*. Tom naprawdę nie żartował. Stół nakryty był wszystkim, co miałam najlepszego. Nadzieje Beth działały mi na nerwy.

- Hm, trochę zmokłem - powiedział Tom. - Nie zostawiłem tu żadnego ubrania, prawda?
 - Ani szmatki. Chodź, dam ci szlafrok, a twoje rzeczy wrzucę do suszarki.
 - Świetnie. Dzięki.
- Rozwiązał buty i postawił je na pralce, na rozłożonej gazecie.

- Stół wygląda wspaniale, Beth - powiedziałam. - Bardzo ci dziękuję. Zaraz przyjdziemy.

- Och, nie musicie! Nie spieszcie się! - Znacząco poruszyła brwiami. Chrząknęłam.

- Zaraz przyjdziemy, Beth - powtórzyłam najsurowiej, jak umiałam.

Na górce poszedł za mną do drzwi sypialni i poczekał, aż wygrzebię z szafy dwa szlafroki, jeden aksamitny, drugi flanelowy w kratkę, z falbankami. Wybrał różowy aksamitny.

- Proszę. Idź do łazienki i podaj mi swoje rzeczy przez drzwi.

- Jak to? Po piętnastu latach małżeństwa nie możesz popatrzeć, jak się rozbieram? - Kpił ze mnie i wiedziałam o tym.

- Oszczędź mi bolesnego widoku swego przepysznego ciała, dobrze? Teraz należysz do siebie, nie do mnie, pamiętasz? - Otworzyłam drzwi łazienki, zapaliłam światło i odsunęłam się, żeby go przepuścić.

- Jak szanowna pani sobie życzy. To nie zajmie nawet minuty.

- Podaj mi tylko ubranie, dobra?

Po chwili zza drzwi wysunęło się gołe ramię z przewieszonymi mokrymi spodniami khaki, koszulą i skarpetkami. Żadnej bielizny? Wtem ukazała się dłoń, kołysząc w powietrzu pomarańczowymi slipkami od Calvina Kleina. Pomarańczowe? Kiedy tu mieszkał, nosił wyłącznie białe!

- Dzięki!

- Nie, to ja ci dziękuję! - odkrzyknął.

Zdjęłam z siebie wszystko - to tyle, jeśli chodzi o kusicielkę w granatowych koronkach - owinęłam się flanelowym szlafrokiem, pozbierałam mokre rzeczy i ruszyłam żwawo do pralni. Gdy przechodziłam przez kuchnię, Beth zerknęła na mnie z ożywieniem.

- W co się teraz ubierzesz? - zapytała, zupełnie jakby grała rolę w operze mydlanej. - Tusz ci się rozmazał.

- Świetnie. - Otarłam oczy i spojrzałam na czarne smugi na dłoniach. - Nie wiem. W coś suchego. Zaraz wracam.

Włączyłam suszarkę i pobiegłam z powrotem na górę, wycierając włosy ręcznikiem po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch godzin. Tom wciąż był w łazience i śpiewał „Stormy Weather” głosem, który mógłby zbudzić umarłego. Ręce mi drżały. Musiałam ochłonąć i poszukać zabawnych stron tej

całej sytuacji. Uświadomiłam sobie, że wszyscy wokół od miesiący nie wydawali się tacy szczęśliwi. Ze mną włącznie. O Panie, ratunku.

W co miałam się teraz ubrać? Przeglądając zawartość szafy stwierdziłam, że prawie wszystko jest o dwa numery za duże. Przypomniałam sobie o czarnej sukience z krótkimi rękawami, którą wypatrzyłam na wyprzedaży posezonowej u Loehmana w zeszłym miesiącu. Był to rozmiar średni, a ja jeszcze wtedy nosiłam duży, ale kupiłam sukienkę, zamierzając do niej schudnąć. Nie należała do tych obcisłych fatalasek, które sprawiają, że mężczyzna ślini się na twój widok, ale miała głęboki trójkątny dekolt, a Tom zwracał uwagę na piersi. Wydobyłam ją z worka, wciągnęłam przez głowę - no i bingo, pasowała na mnie! Spójrzmy prawdzie w oczy: z uwagi na deprecjację cielesnych aktywów musiałam się zadowolić tym, co miałam.

Weszłam do łazienki Beth; wołałam skorzystać z jej kosmetyków niż dzielić moją łazienkę z Tomem.

Tym razem postanowiłam zostawić włosy rozpuszczone, niech wyschną same. Nawijając je na palce, mimo woli zaczęłam się zastanawiać, co by na to wszystko powiedziała Livvie Singleton. Zapewne wysłuchałaby mojej opowieści, a potem przemówiła mi do rozumu. Niemal ją słyszałam: „Chłopy są jak stare kocury, co tylko patrzą, gdzie by tu zaznaczyć swój teren”. Widziałam, jak wystawia trzy palce i ciągnie: „Tylko trzy rzeczy im w głowie. Jedna to brzuch. Musi być pełny. Druga to wierci-ptak. Musi zawsze postawić na swoim. A trzecia to pieniądze. Nic ci nie dadzą, jak nie dostaną czegoś w zamian. Ot i wszystko, dziecinko. Nie spodziewaj się za wiele, to się i nie rozczarujesz”.

No i nie mogłam nie spodziewać się wiele tej nocy. Pragnęłam usłyszeć od Toma, że popełnił błąd.

- Schodzę na dół otworzyć wino! - zawołał z korytarza.
- Dobrze! Zaraz przyjdę!

Atmosfera podczas kolacji miała w sobie coś z teatru absurdu. Przede wszystkim Tom posilał się spowity w mój szlafrok z różowego aksamitu w kwiaty wyszyte kordonkiem. Kiedy już miałam go na celowniku, wszystko wokół przysięgło się, żeby odroczyć egzekucję.

Zasiedliśmy do stołu, który moja gorliwa córka ozdobiła tak, jakby oczekiwała wizyty papieża. Nawalnica wyla za oknami niczym rozpalony

cielesną żądzą King Kong, usiłując wyważyć frontowe drzwi. Po raz pierwszy od kilku miesięcy delektowałam się stekiem i popijałam go merlotem z pojemnego kielicha, podczas gdy przyczyna całego mojego cierpienia, upokorzenia i niepokoju siedziała naprzeciw mnie, wyglądając jak uciekinier z nocnego klubu dla transwestytów.

- No więc, Beth, jak tam w szkole? - zagadnął Tom.
- Pełny odjazd - odparła, podając mu miskę z sałatką.
- Przetłumacz.
- Same szóstki ze sprawdzianów - wyjaśniłam.
- Fantastycznie! Czyli, jak rozumiem, szkoła ci się podoba?
- O, tak, no bo wiesz, czuję się tam... bo ja wiem... jak człowiek. To

znaczy, w podstawówce wciskali kit, a w szkole średniej myśli się samodzielnie. Nawet mój wychowawca, pan Bond, mówi, że jestem niezwykle dojrzała jak na swój wiek.

- Dojrzała? - powtórzył, spoglądając na mnie i prawdopodobnie zastanawiając się, czy nie zacząć wykładu o antykoncepcji. - Bond?

- Och, tato, proszę cię! Dziewiąta klasa to nie przedszkole! I on nie dybie na moją cnotę, absolutnie. Chodzi mu o to, że jestem obowiązkowa, nie spóźniam się na lekcje i zawsze jestem przygotowana do sprawdzianów.

- Tak jak powinnaś - zauważył - i tak jak zawsze.
- Racja, tatku.
- W przeszłości i w przyszłości.

- Tak, tatusiu, chyba że zamiast studiować wsiąknę w Internet i skończę na zasiłku.

- Zuch z ciebie, Beth! Nikt z rodziny Hayesów nie korzystał z opieki społecznej. Postaraj się codziennie odrabiać lekcje.

Tom ukradkiem odetchnął z ulgą, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. To było pyszne. W ciągu minionego półrocza Beth przeobraziła się z dziewczynki w młodą kobietę - a jego to ominęło. Zemsta okazała się mniej słodka, niż przypuszczałam. Współczułam mu, że tyle stracił.

- I tak jest cały czas - wyrwało mi się.
- Niby jak, mamó? Co masz na myśli?

Oho, przez pomyłkę naciśnęłam niewłaściwy guzik. Zapomniałam, że nie powinnam mówić o niej w sposób wymagający zdolności jasnowidzenia.

- Beth, moje ty wcielenie doskonałości, codziennie odkrywam na nowo, jaka jesteś wspaniała. Ilekroć dochodzę do wniosku, że zawiodłam cię w jakiejś sprawie, ty mi przypominasz, że można na tobie polegać. Dla twojego taty to też jest niespodzianka. I tyle. Czasami myślimy o tobie jak o małej dziewczynce, choć jesteś już młodą kobietą.

Niezręczna chwila minęła.

- A przez to czujesz się stara i zgrzybiała, co nie? Czy ktoś chce śmietany? A może przynieść metamucil?

- Stara? Zgrzybiała? - Tom był przerażony.

- Może i zgrzybiała, ale i tak wyszoruję ci usta mydłem, moja panno! - oznajmiłam.

- Tak jak Livvie?

- Skarbie, po jej szorowaniu wszyscy puszczaliśmy bańki. Słowo daję, nigdy w życiu nie kupię mydła ivory. Do dziś czuję jego smak.

- Och, mamó, opowiedz!

- To było wtedy, kiedy nazwałam ciotkę Carol „suką”. Coś zrobiła, o rany, nawet nie pamiętam. Pewnie kazała mi usiąść prosto albo coś takiego. No cóż, razem z Livvie wieszałam pranie i wymówiłam szeptem brzydkie słowo. Livvie chwyciła mnie za rękę, wciągnęła po schodach i zanurzyła mi głowę w kuchennym zlewie. Odkręciła wodę, złapała mydło i dostałam rzetelną nauczki! Usłyszałam: „Żaden dzieciak, nieważne czyj, nie będzie używał takiego języka, dopokąd jestem w tym domu!”. O Boże, plulałam i płakałam, ale nigdy więcej nie wymówiłam przy niej słowa „suka”.

- I to samo spotykało wszystkich, prawda?

- Owszem. I wujek Henry, i wujek Timmy najedli się mydła. Kiedy Livvie nas przyszpiliła, mydliny płynęły gęsto!

Beth i Tom wybuchnęli śmiechem. Było nam tak dobrze, że przez chwilę pragnęłam, aby to się nigdy nie skończyło. Tom dołał mi wina teatralnym gestem zniewieściałego francuskiego kelnera. Uniosłam kieliszek i rozejrzałam się wokół stołu. Swego czasu byliśmy wspaniałą rodziną. Idealną rodziną. Czy jeden wybryk Toma mógł to wszystko zniszczyć?

Beth nalegała, że pozmywa naczynia. Nalala wody z płynem do zlewu, podczas gdy my z Tomem sprzątaaliśmy ze stołu.

- Ona jest naprawdę wspaniała, Susan. Dzięki tobie. Dałaś mi idealną córkę. Czym mógłbym ci się odwdziaczyć?

- Och, nie wiem, naprawdę. Może workiem banknotów. Podaj mi serwetki. Zaraz je namoczę. Poważnie mówiąc, zawsze popierałeś moje metody wychowawcze. Zasluga należy w części do ciebie.

Była to szczerza prawda. Zdmuchnęłam świece i kręte smużki dymu popłynęły przez mrok. Co dalej? Odniosłam do kuchni naręczne talerzy, sztucców i poplamionych serwetek.

- No i jak idzie? Iskrzy jeszcze między wami? - zapytała szeptem Beth poprzez szum lejącej się wody i łoskot burzy.

- Co iskrzy? Na razie posprzątamy, a jutro zobaczymy, co dalej.

Wstawiłam talerze do wody i odwróciłam się, żeby zanieść obrus i serwetki do pralni i sprawdzić, co z ubraniem Toma. Beth ruszyła za mną, sycząc jak wąż, który skusił Ewę.

- Mamo! Zawsze tak nieznośnie filozofujesz!

- Nieprawda. Jestem realistką.

- Nie! Jesteś ślepa! Nie widzisz, że trafiła ci się doskonała okazja, żeby usidlić tatę? Posłuchaj, jak skończymy z naczyniami, pójdę na górę. Cokolwiek by się działo, okay? I nie schodzę na dół, chyba że dach się zawali. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale pozwól, żebyśmy z twoim ojcem spróbowali ustalić pewne rzeczy. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, Beth. Nie wszystko jest takie proste, jak się wydaje.

- Znowu to samo. Spróbuj, mamuś. Zrób to dla mnie. Dla nas.

Przytuliła mnie i szybko zajęła się naczyniami. Czułam, że muszę porozmawiać z Maggie, i to zaraz. Pół butelki czerwonego wina mogło zakłócić moją równowagę i ocenę sytuacji. Chwyciłam słuchawkę bezprzewodowego telefonu, który wisiał w kuchni, i wybrałam numer. Następnie zaszyłam się w pralni, starannie zamknąwszy żaluzjowe drzwi.

- Maggie? - szepnęłam.

- Kto mówi?

- To ja, Susan.

- Co się stało? Dlaczego szepczesz? Czy wszystko u was w porządku?

- Tak. Nie. To znaczy tak, wszystko w porządku! Nie chcę, żeby mnie ktoś podsłuchał. Potrzebuję twojej rady. - Przypomniałam sobie, że dzwonię

w trakcie huraganu. - Nic wam się nie stało? Chodzi mi o burzę.

- Nie, nic. Przed chwilą przygasło światło, ale prąd nadal jest. Co u ciebie?

- Dobrze. Tom jest tutaj.

- Co? Jak dostał się do środka?

- Beth go wpuściła. Wracam do domu po kolejnym epizodzie z tym szubrawcem Mitchellem i kogo widzę? Jego, czekającego na mnie pod moim własnym dachem.

- Piłaś coś? Twój głos brzmi trochę niewyraźnie.

- Tak, o Boże. Wytrąbiłam flaszkę wina z tym facetem. Teraz posłuchaj. Zjawił się z torbą wypakowaną stekami od Harrisa Teetera i merlotem z 1982 roku.

- Nie mów! Tom? Tom Hayes? To skąpiradło? Zmyślasz.

- Przysięgam na aureolę świętego Piotra. Potem wszedł na drabinę w ulewnym deszczu i pozamykał wszystkie okiennice od południowej strony.

- Pomacaj mu czoło, czy nie ma gorączki.

- Idźże, wiem, że ma. Pali się teraz do twojej siostry! Aż buzuje! Trafił mi się dziś don Juan. Mów, co robić!

- Nie mam nic do gadania. Żeś jest dorosła. Ale na twoim miejscu tobym była cholernie ostrożna.

- Jak to ostrożna? Ubrał się w mój różowy szlafrok i łązi po domu dumny jak paw!

- Że co? Szlafrok? O nieba, moja siostra wzięła i straciła rozum! Ta jest, rozum całkiem ją opuścił.

Zaczęłam chichotać i nie mogłam przestać.

- Się mi zdaje, żeś sama gołnęła sobie łyżeczek rozweselacza, nie?

- A co innego człowiek może robić w czasie burzy? Jack Daniel* buja się na ganku z moim mężem i Maybelline, a ja tutaj bawię się z tobą w ciuciubabkę. Co chcesz zrobić? Oddać mu portki czy wciągnąć do łóżka?

* Gatunek whisky (przyp. red.).

- W tym sęk, że nie wiem.

- No to mnie nie pytaj - podsumowała i umilkła. Usłyszałam brzęk kostek lodu w jej szklance. - Gdyby to był mój chłop, to najpierw bym mu

złoiła tyłek. A potem, jakby naprawdę żałował, rozumiesz, tak z całego serca, to może bym mu dogodziła.

- Idźże, nie ma z ciebie żadnego pożytku. Muszę kończyć. Wszystko u was w porządku?

- Jasne. Zadzwonię jutro.

Siedziałam na podłodze. Rozłączyłam się i westchnęłam, czując zamęt w głowie. Nagle ręka Toma odsunęła drzwi. Przyłapał mnie. Gryzł dłoń, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Słyszał każde słowo.

- Czy moje spodnie już wyschły?

- Dać ci je teraz? - Skręcałam się z zażenowania.

- No, może nie teraz. Może nigdy. Polubiłem ten szlafrok. Nowy wizerunek i tak dalej. Jak tam Maggie?

- Świetnie. Wspaniale. Świetnie.

Podał mi rękę i pomógł wstać. Dotknęliśmy się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Był to przyjacielski gest i nie mogłam się bronić, gdy Tom przyciągnął mnie do siebie i pocałował. W trakcie tego zbliżenia usłyszeliśmy gromki łoskot, a potem zgasło światło.

- Co to było, do diaska? - wymamrotałam.

- A czy to ważne? Poczulaś, że dom się rusza?

- Nie jestem pewna. Lepiej sprawdźmy, co u Beth.

- Słusznie.

Wypuściliśmy się nawzajem z objęć i odetchnęliśmy głęboko. Wokół nas panowały nieprzeniknione ciemności.

- Latarka?

- Tu, w tej szufladzie.

- Spodnie?

- Chwileczkę. - Sięgnęłam do suszarki i wyjęłam wilgotne ubranie, które pospiesznie wciągnął na siebie. Podałam mu latarkę i wzięłam sobie drugą. Pomaszzerowaliśmy szybko przez ciemny hall w stronę schodów.

- Beth? - krzyknęłam.

- Co to było? - zawołała w odpowiedzi. - Słyszeliście?

- Nie wiem! Zostań, gdzie jesteś, przyniosę ci latarkę! - huknął Tom. - Nic ci się nie stało?

- Nic a nic!

Wziął ode mnie latarkę i zaniósł Beth.

- Zejdź na dół, kochanie. Sprawdzimy, co to było - powiedziałam.
- Zaczekajcie w salonie - polecił Tom - a ja się rozejrzę.
- Tom?
- Tak?

Dotknęłam jego ramienia.

- Bądź ostrożny.
- Nie martw się. Mam wrażenie, że szkoda już się stała.

Był to eufemizm wieczoru.

Upłynęło kilka minut. W tym czasie zdałam sobie sprawę, że coś uderzyło w dom i zaczęłam w myślach szacować rozmiary szkód, dziękując równocześnie Bogu, że nikomu z nas nic się nie stało. Beth siedziała tuż obok mnie na sofie. Za zamkniętymi okiennicami błyskawice rozświetlały niebo i z wszystkich stron dobiegały grzmoty. Wreszcie usłyszałyśmy kroki Toma na schodach.

- Mamy towarzystwo na drugim piętrze. Potrzebuję miotły, ścierek i paru dużych worków na śmieci.

- Co się stało?

- Gałąź przebiła okno w pokoju gościnnym. Na górze jest piekielny bałagan, ale nie da się wszystkiego posprzątać w tych ciemnościach. Pójdę po piłę i utnę konar, a okno po prostu zasłonię folią, żeby nie lało do środka. To nie tragedia.

- Miałaś rację, trzeba było pozamykać wszystkie okiennice.
- Kto mógł to przewidzieć? Zaraz wracam.

Weszłam z latarką na górę, a za mną Beth, dźwigając miotłę, ściereki i worki. Gdy otworzyłam drzwi, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Do naszego domu wtargnął prawie dwumetrowy, opleciony pnączami konar dębu. Zasłony wraz z zabkami i wyrwanym ze ściany karniszem zwisały z gałęzi. Okno i framuga były zniszczone. Musiałam poczekać do następnego dnia, żeby ogarnąć sytuację, ale czułam pod nogami kawałki kory, drobne gałązki i mokry dywan. Wiatr i deszcz nieustannie wdzierały się przez otwór w ścianie.

- Ale bałagan, co? - Tom stanął za mną.
- Nie miałam pojęcia, że jedna gałąź może narobić takiego zamieszania
- zauważyłam cicho.
- Na tym jeszcze nie koniec; reszta drzewa opiera się o dom. Letnie

deszcze prawdopodobnie podmyły korzenie. Powinnaś wezwać kogoś, żeby sprawdził fundamenty i belki nośne. Potrzyjmy latarkę, a ja potnę tę gałąź. Beth, spróbuj pozbierać, co się da. Wiem, że jest ciemno, ale postaraj się, dobrze?

- Tatusiu, to okropne! Mogliśmy zginąć, gdybyśmy tu siedzieli! - Rozplakała się, a ja otoczyłam ją ramieniem. Muszę przyznać, że sama byłam bliska płaczu.

- Beth, nie czas teraz na łzy. Weź się w garść, maleńka. Pomóżmy tacie, okay? Później możemy sobie razem popłakać.

Zapadła cisza i wiedzieliśmy, że zbliżyło się do nas oko burzy. Na chwilę przerwaliśmy pracę, by wyjść przed dom i zerknąć na Queen Street. Nasza trójka - Trzej Królowie, Święta Rodzina, trzech tenorów, świnki trzy - kiedy myślałam „nasza trójka”, czułam radosny zawrót głowy. A zatem nasza trójka stanęła w otwartych drzwiach i wstrzymała oddech. Całe frontowe podwórze pokrywały rozrzucone konary. Po lewej stronie dostrzegliśmy wierzchołek dębu, wyzierający zza rogu domu. Chmury sunące po niebie przesłaniały księżyc w nowiu, sprzyjający przyborowi wód. Tom i ja zeszliśmy na chodnik.

- Ty na razie zostań, Beth. Sprawdzimy, czy można bezpiecznie wyjść.

Kiwnęła głową i potarła ramiona, jakby jej było zimno. Przemknęło mi przez głowę, czy przypadkiem nie dramatyzuje, aby pokazać Tomowi, że jest jej potrzebny. Musiałam jednak przyznać, że i mnie przestraszyło powalone drzewo. Ujęłam Toma pod rękę i ruszyliśmy ostrożnie w drobnym deszczu na szybki rekonesans, żeby zdążyć przed nawrotem burzy.

Ulica zasłana była najrozmaitszymi przedmiotami, od kubłów na śmieci zaklinowanych w rozbitych szybach samochodów po fotel na biegunach, chybotający się na gałęzi drzewa. W poprzek zalanych dróg leżały karłowate palmy. Z każdego budynku zwisały zerwane druty. Wszędzie panowała niesamowita cisza.

Uważnie obezliśmy dom, żeby przyjrzeć się drzewu. Potężny, wyrwany z korzeniami dąb opierał się o ścianę. Mogłam się tylko domyślać, jakie będą koszty remontu.

- Dobrze, że pozamykałam te okiennice. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybym nic nie zrobił?

- Następnym razem użyj taśmy perforowanej. - Wisielczy humor.
- Bardzo śmieszne. Zresztą to bez różnicy. Chodź, skończymy z tym pokojem.

Tom upiłował wreszcie gałąź na tyle, że mogliśmy zabezpieczyć okno przed deszczem workami na śmieci. Zdjęłam narzuty z dwóch łóżek i wsadziłam razem z zasłonami do worka, aby rano zawieźć je do pralni chemicznej. Beth zniknęła na dole. Wyglądało na to, że nawałnica zaczyna się uspokajać.

- Muszę umyć ręce - oznajmił Tom. - Czy znalazłoby się dla mnie coś do włożenia prócz twojego szlafroka? Znowu przemokłem.

- Aha, ja też. Chyba mam jakiś stary dres, który będzie w sam raz. Przyniosę ci.

Obydwoje byliśmy dziwnie milczący. Tym razem, gdy się przebieraliśmy, w ogóle nie myślałam o tym, co na siebie wkładam. Zeszliśmy na dół - i zobaczyliśmy, że w salonie pali się dwadzieścia świec, powtykanych we wszystkie świeczniki, jakie miałam w domu. Na tacy stała butelka białego wina, dwa kieliszki i miska z solonymi orzeszkami.

- Idę do łóżka - zawiadomiła Beth, całując w policzek najpierw mnie, a potem Toma. - Zawołajcie mnie, gdyby dom się walił.

Bez słowa odprowadziliśmy ją wzrokiem, gdy wspinała się z latarką po schodach. Bardzo wyraźnie okazała, jak kocha nas oboje.

- I co teraz? - zagadnęłam.
- Masz ochotę na kieliszek wina?
- Jasne.

Nalał wina i podał mi kieliszek, wpatrując się w moją twarz. Jego oczy powiedziały mi wszystko, co chciałam wiedzieć, lecz mimo to potrzebowałam słów.

- Zdaje się, że nasza córka ma co do nas pewne plany - powiedział.
- Tak. Niewątpliwie ma.
- Denerwujesz się, prawda?
- Owszem.
- Jeżeli to ci poprawi samopoczucie, ja także.

Wciąż staliśmy, niepewni, co robić, gdzie usiąść, czy wdać się w długo odkładaną dyskusję, czy zostawić przeszłość w spokoju i po prostu zejść się na nowo.

- Tom, musimy porozmawiać - zaczęłam.
- Wiem. Jestem nic niewartym sukinsynem.

Byłam pokrzywdzoną stroną i nadal odczuwałam ból.

- Niezły wstęp, ale niekoniecznie to chciałam usłyszeć.
- Dużo o tym myślałam, Susan. Byłem idiotą, kompletnym idiotą, że cię zostawiłem. Zagalopowałem się z młodą kobietą i popełniłem największy błąd w życiu.
- Zdarza się.
- Podobno. Ale teraz widzę, jaki byłem głupi i błagam, wybacz mi i pozwól wrócić. Chcę wrócić do domu.
- O Boże - powiedziałam zdławionym głosem.

Odstawił swój kieliszek na stolik i zabrał mój. Potem ujął moje ręce i zarzucił sobie na szyję, a sam otoczył ramionami moją talię. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Łzy popłynęły mi po policzkach. Zaczął mnie całować, jego palce starły łzy i odgarnęły moje włosy. Potrzebowałam tych pocałunków. Zdałam sobie sprawę, ile kryje się we mnie pożądania i od jak dawna nikt nie trzymał mnie w objęciach. Oddawałam każdy pocałunek, gest i dotknięcie z zaskakującą, coraz silniejszą namiętnością. Zrobiło mi się gorąco i zaczęłam się lekko pocić. Pociągnął mnie w stronę sofy, a ja nie stawiałam oporu.

Kto to był? Nie był to Tom, jakiego pamiętałam, ten, który łapał mnie w ciemnościach i zanim zdążyłam przeliterować własne nazwisko, już mył się w łazience. Nie, ten mężczyzna, ten niespieszący się, czuły Casanova był kimś, kogo nie znałam.

Kochaliśmy się powoli, jakbyśmy tańczyli walca. Rozebrał mnie, patrzył przez długą chwilę i powiedział, że jestem piękna. On także był piękny, ale obcy. Oddychaliśmy w tym samym rytmie, poruszaliśmy się w tym samym rytmie, dając sobie nawzajem rozkosz jak kochankowie, którzy dopiero co się poznali. Gdy mnie przytulał, czułam przyspieszone bicie jego serca. Powtarzał, że mnie kocha - błagalnym szeptem, domagającym się wzajemności. Czułam to. Rozpalał mnie, jak nigdy w latach naszego małżeństwa. Niewątpliwie sporo się nauczył, kiedy go tu nie było, i choć przypominało mi to dobitnie o jego niewierności, pragnęłam go tak mocno, jak nigdy przedtem. W końcu nadeszła pora odpoczynku. Ze znużenia nie mogliśmy się poruszyć.

- Cholera! - powiedział. - Więc jednak naprawdę cię kocham, wiesz?
- O, czyżby istotnie? - spytałam nader uszczypliwym tonem.
- A tak, istotnie. I to bardzo. - Poczułam, że się uśmiecha, przytulając twarz do mojego ramienia.
- Ja też cię kocham - szepnęłam mu w kark i pocałowałam go delikatnie, z czułością, której - miałam nadzieję - nigdy nie zapomni.

9.

Następstwa

1963

Południowe Wybrzeże było spustoszone. Wiedziałam o tym, zanim jeszcze otworzyłam oczy. Dobiegające z podwórza krzyki ojca i sąsiadów przebijały się przez okna sypialni. „O mój Boże! Tylko popatrz!... Ma pan prąd? Światło zgasło około siódmej i rób, co chcesz! Nigdy w życiu... Skąd się wzięła ta łódź na moim podwórzu?... Nie mogę znaleźć psa!... Gdzie się podział mój ganek?”

Słuchałam, a poranne światło rozpraszało opary snu. Mocno zacisnęłam powieki. Miniona noc wydawała się przerażającym koszmarem. Nie wychodziłam z łóżka. Nigdy więcej nie chciałam oglądać mojego ojca i ciotki. Pomyślałam o matce leżącej na oddziale położniczym i zastanowiłam się, czy podejrzewa ojca o cokolwiek. Pękało mi serce. Za urodzenie bliźniaczek zasługiwała na wartość honorową, a tymczasem czekały ją tylko kłamstwa i oszustwo.

Mama miała przebywać w szpitalu przez tydzień i cieszyłam się z tego. Potrzebowała odpoczynku. W tym czasie moi bracia, Maggie i ja zorganizujemy się jakoś, żeby jej pomóc. Kiedy będziemy w szkole, bliźniaczkami zajmie się Livvie. Po powrocie zaopiekujemy się nimi na zmianę. Mama odpocznie, straci parę kilogramów, odzyska humor, wyładnieje i tata na nowo się w niej zakocha.

Przysunęłam się do nocnego stolika i sięgnęłam po zdjęcie rodziców, zrobione w dniu ich zaręczyn. Moja matka była w młodości piękną kobietą. Miała starannie ułożone, kasztanowate włosy i pełne usta, rozchylone w figlarnym uśmiechu, a jej bajeczne niebieskie oczy wypełniało radosne wyczekiwanie na to, co przyniesie życie. Drobnokoścista i wdzięczna,

przypominała porcelanową figurynkę, lecz przy tym poruszała się szybko i zwinnie jak leśny duszek.

Przesunęłam palcem po zdjęciu, wpatrując się w jej młodzieńczą twarz. Chciała pójść na studia, ale było to tuż po wielkim kryzysie i pieniędzy wystarczyło tylko na wykształcenie wujka Louisa. Moi dziadkowie zawsze uważali, że szkoda pieniędzy na kształcenie kobiet. Kobieta nie powinna studiować. Powinna złapać dobrego męża, urodzić gromadkę dzieci i siedzieć w domu. Jak to nakazał Bóg, mawiał dziadek Tipa, jakby powtarzał refren starej piosenki. Było dla mnie oczywiste, że zniechęcili mamę do nauki, żeby ich nie zostawiła, nie wyprowadziła się na przykład do Filadelfii i nie wyszła za męża za Jankesa. Opiekowała się nimi, a oni wcale nie byli jej za to wdzięczni. Wydawało im się, że te usługi są jej obowiązkiem.

Ze mną będzie inaczej. Jakoś dostanę się do college'u. Ale przedtem pomogę jej wrócić do życia.

Leżąc w łóżku, słyszałam, jak tata przesuwają deski. Nie miałam pojęcia, po co, ale nic mnie to nie obchodziło. Dobięły mnie odgłosy przeciąganego drewna i ojcowskie przekleństwa. Wreszcie przyjechał autobus Livvie. Na dźwięk jej głosu zerwałam się z łóżka, podbiegłam do okna i wyrzałam.

Deski leżały oparte na bryłach żużlu, tworząc mostek nad jeziorkiem, w które zamieniło się nasze podwórze. Tata w rybackich gumiakach brnął przez wodę, żeby pomóc Livvie. Zanosilo się na to, że będziemy mieli miliony żab. Normalnie pobiegłabym do pokoju Timmy'ego i Henry'ego, wyciągnęła ich z łóżek, a potem skoczyła prosto do wody. Tata niewątpliwie wpadłby w złość i nawrzeszczał na nas, żebyśmy przestali się wygłupiać, włożyli jakieś suche ubrania i mu pomogli. Ale dzisiaj wszystko, co kiedyś było normalne, umknęło przed wizją z poprzedniego wieczoru. Zastanawiałam się, czy tata wie, że ja wiem. Może dałoby się to wykorzystać przeciw niemu. Ale nie, aż tak odważna nie byłam. Nie mógł się niczego domyślić z wyrazu mojej twarzy. Czulałam się słabo, było mi niedobrze. Musiałam wziąć się w garść i zejść wreszcie na dół.

Ubrałam się i zesłam do kuchni. Livvie rozlewała do talerzy kaszkę na mleku. Ciotka Carol popijała sok. Zanocowała u nas, bo w obliczu szalejącej nawałnicy wujek Louis doszedł do wniosku, że tak będzie lepiej, skoro naszej mamy nie ma i w ogóle.

- No więc mówię Louisowi: „Louis, nie zapomnij nakarmić milusińskich - tak nazywam moje pieski - i wpuść je do siebie do łóżka, bo będą tęskniły za mamusią”. I czy wiesz, co on na to?

- Nie - odparła Livvie. Patrzyła na ciotkę tak dziwnie, że przez chwilę sądziłam, iż wie o wszystkim.

- Dzień dobry - odezwałam się.

- Dzień dobry, Susan. On na to: „Carol, kochanie, twoi milusińscy wytrzymają jedną noc bez ciebie, ale co ja mam zrobić?”. Typowy mężczyzna! Nie mogą bez nas żyć. Jak on mnie kocha! Cóż, chyba zakończę to posiedzenie i wrócę do mojego Louisa.

- Tak, tak będzie najlepiej. Wydaje mi się, że okropnie za panią tęskni.

Ciotka Carol wzięła torebkę, odwróciła się, żeby powiedzieć nam „do widzenia” - i zobaczyła, że Livvie pije colę z najlepszego kryształowego pucharka mamy. Nikomu nie wolno było używać jej kryształów, a już zwłaszcza kolorowej kobiecie. Trzymała je na wypadek, gdyby prezydent Kennedy postanowił wpaść do nas na kolację. Ciotka Carol spurpurowiała, nadeła się jak purchawka i wybiegła tylnymi drzwiami. Osłupiałam, ale nie odezwałam się ani słowem.

Poranne zebranie naszego klanu rozpoczęło się tuż po wyjściu ciotki. Pierwsza zjawiała się Maggie w szortach i koszulce, z włosami ściągniętymi w koński ogon. Wyglądała, jakby wybierała się na zabawę na plaży, a nie do sprzątania podwórza. Zawsze tak wyglądała. Bez zarzutu.

Kolejno włączali się do akcji, wykonując pomocnicze działania. Maggie wyspała sok w proszku do dzbana, a chłopcy rozstawili na stole papierowe talerze. Zachowywałam kamienną twarz, pod pozorem, że jestem jeszcze zaspana. O tej porze spodziewali się po mnie opryskliwości. Tymczasem byłam po prostu wstrząśnięta i wydawało mi się, że dobrze to ukrywam.

- Nie czas marnować wodę na mycie naczyń, słyszycie mnie? - Livvie wydawała polecenia i wręczała papierowe kubki. - Yemoja wylała na nas wczoraj całą wodę z nieba. - Yemoja, Obatała i Oja. Tak jest, a najgorzej było w Charlestonie. O mały włos, a byśmy się znaleźli w królestwie niebieskim.

Znowu mówiła o swoich afrykańskich bogach. Uznałam, że muszą mieć coś wspólnego z burzami. Wiedzieliśmy, iż po każdej potężnej burzy należy

odczekać parę dni, by woda powróciła i można było ją pić. Wcześniej napełnialiśmy zlew, umywalki i wanny, zmywaliśmy wszystkie naczynia i splukiwaliśmy toalety. Moi bracia i ojciec korzystali, rzecz jasna, z tej okazji, aby załatwiać się na podwórzu, podczas gdy my z Maggie wołałyśmy raczej wstrzymywać się do oporu. Wyspa Sullivana szczyciła się własnymi zasobami wodnymi - systemem studni głębinowych, z których wodę pompowały urządzenia elektryczne. Ale w związku z tym brak prądu oznaczał brak wody. Prawdę rzekłszy, woda załatwiała siarką, lecz świetnie się nadawała do rozrabiania mąki kukurydzianej. Tak czy owak, zazwyczaj odzyskiwaliśmy wodę i prąd po mniej więcej dobie. Tymczasem popijaliśmy płatki zbożowe sokiem pomarańczowym i śmialiśmy się z tego. Jeśli chodzi o następstwa, byliśmy zawodowcami. Przynajmniej nikt nie musiał toczyć batalii o kąpiel. Dopóki nie naprawiono linii elektrycznych, mieliśmy święto.

- Nie ma prądu. Sophie będzie wściekła, że nie może dostać jajka na grzance - zauważył dziadek Tipa, wchodząc do kuchni. - Nie umiecie powiedzieć „dzień dobry”, moje dzieci?

Dokładnie w tej chwili mieliśmy usta zapchane płatkami Frosted Flakes.

- Dzień dobry, dziadziu - przemówiłam. - Dobrze spałeś?

- Naturalnie. Odmówiłem różaniec. Dobry katolik zawsze to robi, kiedy szuka obrony. Pani Singleton, broniłem wczoraj mojej posiadłości w pocie czoła! Dziękuję za usunięcie sprzętów z ganku. Nie da się ukryć, że w tym domu jest mnóstwo wtyczek. Wyciągnąłem ich z kontaktu chyba ze sto.

- Myślisz, że wyspę uratowały jego zdrowaśki? - szepnęłam do Maggie.

- Nie, wtyczki - odszepnęła.

- No cóż, lepiej zajmę się Sophie - powiedział dziadek. - Aha, pani Singleton! Zapomniałem zapytać, jak pani i inni Afrykanie poradziliście sobie tej nocy?

- I ja, i „Afrykanie” poradziliśmy sobie bardzo dobrze, dziękuję panu. Bardzo dobrze - odparła Livvie, mrużąc oczy.

Widziałam, że nie jest zachwycona, postanowiła jednak przejść nad tym do porządku. Dziadek musiał dać jej do zrozumienia, że jej świat ma ciemną skórę i plemienny charakter. Naprawdę, był jak wrzód na tyłku. Zawsze czułam zażenowanie, kiedy mówił coś takiego.

Tipa wziął talerz z chlebem i miseczkę z płatkami śniadaniowymi i zaniosł je do pokoju Sophie. Kilka minut później usłyszeliśmy trzask rozbitanego talerza. Wszyscy zamarli, oczekując eksplozji wrzasków. Albo talerz upadł przypadkiem, albo stara Sophie cisnęła nim o ścianę. Nie miałam wątpliwości, że zdarzyło się to drugie, i ucieszyłam się, że tata jest ciągle na podwórzu. Nie tolerował fanaberii babci Sophie.

- Zwykle zjada na śniadanie jedną grzankę bez skórki, posmarowaną masłem, nie margaryną, oraz jajko w koszulce - wyjaśniłam, widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Livvie. - Codziennie to samo i wyłącznie Tipa ma się tym zajmować. Jeśli ja przyrządzę jej śniadanie, od razu się orientuje i nie pytaj mnie, w jaki sposób. Wpada wtedy w prawdziwą furję. Na lunch dostaje zupełną pomidorową z pływającą w niej grzanką, pokrojoną na dziewięć kawałeczków, i zwykłą herbatę. To dlatego, że jest geniuszem.

- Co za głupoty opowiadasz, dziewczyno? - spytała Livvie.

- Mama mówi, że babcia Sophie jest geniuszem, a geniusze mają różne dziwaczne nawyki. Babcia ma ich aż za dużo, jakby mnie kto pytał - oznajmiłam, myśląc, że skoro Livvie mogła pić z najlepszego kryształu mamy, żeby wkurzyć ciotkę Carol, ja mogę trochę obsmarować starą Sophie i Tipę.

- Geniuszem? Jak to geniuszem? - Livvie wycierała ręce w ścierkę do naczyń.

- Rozwiązuje zadania trygonometryczne przez sen - powiedziała Maggie.

- Doszły mnie takie słuchy, ale myślicie, że ona faktycznie rzuciła tym talerzem? - zapytała Livvie.

- Aha - odparł Timmy.

- Robi to bez przerwy - dorzucił Henry. - Gdybym ja zrobił coś takiego, na pewno bym dostał w skórę.

- No i tak tu wszystko wygląda, Livvie - podsumowała Maggie. - To takie krępujące, że nigdy nie zapraszam znajomych do domu. Przepraszam, pójdę doprowadzić ganek do porządku.

- Zaraz ci pomogę - obiecałam i odwróciłam się znowu do Livvie. - Tak, a na kolację jada wyłącznie kaszę na mleku. Z tej samej miski, tą samą łyżeczką i jeśli się je podmieni, ona to zauważy.

- Myślicie, że jest stuknięta? - spytał Timmy.
- No, nie wiem - odezwał się Henry. - Ja bym chętnie jadł co rano naleśniki, a co wieczór spaghetti.

- Jasne, pędraku, ja też, ale się nie awanturuję, kiedy ich nie dostaję! - oznajmił Timmy.

- Nie mów do mnie „pędraku”, bo ci przywalę - powiedział Henry.

Maggie podniosła się i wyszła z kuchni. Zamilkliśmy. Livvie stała i patrzyła na nas jak na uciekinierów z domu wariatów. Wreszcie mruknęła „Hmmm” i zaczęła szykować jedzenie. Wręczyła Timmy'emu banana i kromkę chleba z masłem, a Henry'emu colę wyjętą z ciemnej lodówki.

- Idźcie, zanieście to tacie. Zobaczcie, czy nie pomóc mu w sprzątanii podwórza - powiedziała. - Nie otwierajcie lodówki, a już zwłaszcza zamrażarki, dopóki nie wróci prąd!

- Dobra! Dobra! - zawołali i trzasnęli siatkowymi drzwiami tak mocno, że niemal spadły z zawiasów. Kilka sekund później usłyszaliśmy: „Przepraszam”, a potem głośny chichot i tupot nóg po schodach.

- Ech, te chłopaki - zauważyła Livvie.

Usiadła obok mnie przy stole. Nie zdarzało się, żeby murzyńska gospodyni siadała obok kogoś z rodziny, wyjąwszy niemowlęta. Nie miałam nic przeciw temu, lecz jednocześnie wołałam, by nikt nas nie przyłapał.

- Wszystko dobrze, Susan? - zagadnęła.

- Tak, w porządku.

- Hmm. Okropna z ciebie kłamczucha. Coś ci jest. Ale mniejsza o to. Jakbyś chciała pogadać z Livvie, będę tutaj. Mam tylko jedno pytanie i nie chodzi tu o twoją ciotkę.

- Jakie pytanie?

- Uważasz, że twoja babunia ma dobrze w głowie?

- Moim zdaniem ona myśli, że może robić, co jej się żywnie podoba. To znaczy, tata czasami podnosi raban z jej powodu, ale potem mama płacze, a Tipa się wścieka i mówi, że to nadal jego dom, że należy szanować starszych i tak dalej. Wtedy tata jedzie do wujka Louisa, wypijają skrzynkę piwa, tata wraca do domu i przez jakiś czas nic się nie dzieje.

- Hmmm - mruknęła. - Zły duch w nią wstąpił. Z tym też zrobię porządek. No dobrze, dość tego gadania. Muszę wyszorować podłogę u pani Asalit. Pogadam z nią, nie bój się.

Nie powiedziała jej, jak tata oszukuje mamę i że wujek Louis nigdy nie kiwnął palcem, by pomóc mamie opiekować się babcią. Patrzyłam, jak Livvie sięga po papierowe ręczniki, torbę na potłuczony talerz i solniczkę. Najprawdopodobniej wiedziała już o nas wszystko.

- Po co ci sól? - zapytałam.

- Hmm - odparła - jak dzieciak jest buckra, to nic nie wie. Chodź, Livvie ci pokaże.

Zaciekawiona, ruszyłam za nią. Pokój był pusty. Dziadek Tipa zabrał babcię na ganek, żeby się uspokoiła. Ich głosy dochodziły do nas przez otwarte oszklone drzwi. Tylko jedna strona łóżka była rozestłana. Tipa spał na narzucie, zapewne w ubraniu. Na podłodze pod drzwiami szafy leżały, oczywiście, odłamki potłuczonej porcelany. Livvie zaczęła je zbierać, a ja jej pomagałam.

- Uwważaj, dziecko. Może byś lepiej wzięła buty?

Nieoczekiwanie przyszło mi do głowy, że już od wieków nikogo nie obchodziło, czy się skaleczę czy nie. Łzy popłynęły mi po policzkach, a Livvie wyprostowała się i przyciągnęła mnie do siebie.

- No już, już. To nic, dziecinko, możesz się wyplakać - powiedziała miękko.

Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała, lecz zamiast szlochu wydobywały się z niej głębokie westchnienia.

- Wiem - zapewniła cicho.

- Skąd? - zapytałam.

- Dziecino droga, jak będziesz w moim wieku, zdziwi cię, ile się można dowiedzieć po prostu patrząc na kogoś, zwłaszcza gdy ten ktoś sobie tego nie życzy! Może byśmy się razem za nich pomodlili?

- Chyba żartujesz! Mogę się pomodlić, żeby oboje poszli prosto do piekła - odparłam.

- Susan, jeśli nie chcesz się modlić, to nie musisz, ale prędzej czy później i tak zwrócisz się do Pana. Jego rzeczą jest karać, nie naszą. Posłuchaj Livvie, dziecinko. Coś ci powiem. Nienawiść nie popłaca, bo jeśli ktoś na tym cierpi, to tylko ty. Ci, których nienawidzisz, albo o tym nie wiedzą,

albo ich to nic nie obchodzi. Więc ich nie nienawidź, tylko pomyśl sobie, że są głupi. Jak ktoś jest dorosły, to nie znaczy, że nie może być głupi.

- O, z całą pewnością.

- Ty do tego nic nie masz. Nie znaczy, że skoro oni są źli, ty też jesteś zła. Znaczy tylko, że są głupi. Wyczyniają wariactwa i myślą, że nikt ich nie przyłapie.

- Ale skąd wiesz?

- Dziecinko, wystarczyło, że spojrzałam na twoją ciotkę Carol, a zaczęła mleć językiem bez ustanku, patrząc wszędzie, tylko nie na mnie. A twój tata? Powinien kłać w żywy kamień. A on się uśmiecha i sprząta podwórze. Swoją drogą, jak się na nich natknęłaś?

- Poszłam do szopy po latarkę. Kuchenne drzwi się zatrzasnęły, więc chciałam wejść frontowymi. Najpierw ich usłyszałam. A potem zobaczyłam panią Simpson, która stała na swoim ganku, patrzyła na nich i śmiała się. Musiałam zerknąć. Żałuję, że to zrobiłam.

- Ano, domyślam się, ale to naturalne, że zerknęłaś. Nic w tym złego, normalna rzecz. Wielka szkoda, że ta kobieta ich widziała. Harriet powiada, że okropne z niej babsko.

- Fakt, a teraz rozpowie wszystkim naokoło i mama chyba umrze ze wstydu.

- Nie piśnie słówka żadnej żywej duszy. Już ja tego dopilnuję.

- Co zrobisz? Utniesz jej język?

Zachichotała. Kochałam ten dźwięk.

- Ano pewnie. Pójdę do niej z nożycami twojej mamy schowanymi w fartuchu i kiedy zacznie trajkotać, złapię ją za język i ciach!

- Byłoby wspaniale! Stałabyś się sławna! O rety, Livvie, kiedy z tobą rozmawiam, czuję się normalna.

- Bo jesteś normalna. Wszyscyście są normalni. Twoi bracia to po prostu chłopaki i tyle. A Maggie to młoda panna, która się stara dorosnąć i wyszlachetnieć. Chyba nie można mieć jej tego za złe. No a twoi dziadkowie, cukiereczku, są już starzy. Starzy ludzie mają swoje nawyki. Nie da się ich zmienić. Nie warto nawet próbować. Prawdę mówiąc, w ogóle nie warto próbować zmienić człowieka.

- Bo i tak nic z tego nie wyjdzie - powiedziałam.

Spojrzała na mnie, zebrała resztę skorup i wrzuciła do torby.

- U-hmm - zamruczała - nie, nie możemy ich zmienić, ale możemy poruszyć ducha. Tak jest, bez wątpienia tyle możemy zrobić!

O czym ona mówiła? W następnej chwili już zamiatała podłogę. Następnie otworzyła solniczkę, nabrała trochę soli na dłoń i zaczęła nucić: „Idź, powiedz to na Górze”. Rozsypała po odrobinie we wszystkich czterech kątach i odwróciła się do mnie.

- Co jest? - spytała.

- Nic - odparłam - zupełnie nic.

- Robię porządek z duchami w tym pokoju, ot co. Zobaczysz. Natnę jeszcze trochę korzeni, uszyję woreczek cunja i przypnę do materaca. Nie muszą o tym wiedzieć, prawda?

- Ode mnie się nie dowiedzą.

- To dobrze. Hmm. Cały galimatias w tym domu bierze się stąd. Zajmę się tym. Zobaczysz. Z lustrem też sobie poradzę. Wierzysz mi?

- Owszem, wierzę.

Naprawdę jej wierzyłam, choć nie wiedziałam, dlaczego. Może dlatego, że jej przybycie istotnie spowodowało pewne zmiany. W domu było o wiele czystiej, zawsze miałam świeżą bieliznę w szufladzie, Sophie przestała śmierdzieć, a tata od pewnego czasu nikogo nie sprął. Chodziło jednak o coś więcej niż to i pieczone kurczaki. Jej głębokie przekonanie o tym, co jest słuszne, a co nie, było silniejsze niż nasze szaleństwo.

Wróciłyśmy do kuchni uprzątać resztki przygotowanego naprędcę śniadania.

- Skąd czerpiesz tyle siły, Livvie?

- O co ci chodzi? Czyżeś nie słuchała, co mówię?

- Oczywiście, że słuchałam, ale...

- Nima żadnego ale. Wytrzymaj stół, a ja ci opowiem moją historię. Masz, bierz ścierkę i do roboty.

- Okay.

- Kiedy byłam mała, nic żeśmy nie mieli. Znaczą się, byliśmy tacy biedni, że moja mama wkładała mi tekturę do butów, jak się w nich zrobiły dziury. Miałam ino jedną parę i to był mój skarb. Utykała gazety w ścianach, jak było zimno, a potrafiło być niewąsko zimno. Ale żeśmy z moim bratem czuli w domu miłość, a to było najważniejsze. I zawsześmy mieli pod

dostatkiem jedzenia. Chleb kukurydziany, mleko, groch... zawsze coś stało na stole. Mój tata urodził się po nadejściu Jankeś, gdzieś tak w 1875 roku. O, jak on lubił opowiadać różne historie o Jankeś! Bał się niebieskich jak ognia, że przyjdą i nas zabiją albo porwą. Może chciał nas postraszyć, żebyśmy się nie oddalali od domu, co się nam często zdarzało. Jego mama i tata dalej mieszkali na plantacji, kiedy się urodził, choć już byli wolni. Jego tata był przedtem niewolnikiem, a jak pan Lincoln dał wszystkim wolność, to on powiada: gdzie ja mam iść? Więc zostali, uprawiali swój zagon i pracowali u pana Archibalda Barnes. Nasza rodzina mieszkała w chacie na plantacji, tam, gdzie się urodził mój tata. Przez całe życie tata był dzierżawcą u dzieci tego samego pana, do którego należał mój dziadek. Barnesowie mieli dużą plantację nad Wando River. Zwała się Dąbrowa. Mój brat Leroy i ja ześmy nie chodzili do szkoły, bo żadnej nie było w okolicy, więc kazali nam iść w pole i zbierać bawełnę. Byłam bystrą dziewczuszką i prawdę mówiąc, umiem trochę czytać i liczyć, ale cóż, musiałam iść w pole, kiedy miałam ledwie dziewięć lat. Szybko się wtedy dorasta. Dzięki ciężkiej pracy człowiek staje się silny. Co dnia ciężko pracuję; z tego czerpię siłę. I jeszcze z tego, że wiem, kim jestem. Wam się wydaje, że macie tak źle, a nie rozpoznalibyście zmartwienia, nawet gdyby podeszło i podało wam rękę!

Livvie westchnęła, czekając na mój komentarz.

- Wiem, że zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej - powiedziałam.
- No właśnie.
- Wiem o tym, zgoda, ale zrozumi, Livvie, czasami mam ochotę uciec od całego tego wariactwa. Jasne, że nigdy nie ucieknę, bo niby dokąd? Ale zaczynam mieć dość, wiesz?
- Ano wiem, dziecko, wiem lepiej, niż ci się zdaje. Tylko że tu jest twoje miejsce. Pochodzisz z Hamiltonów, którzy tu znaleźli swój dom. I wiem jeszcze coś, czegoś ty nie zdążyła się dowiedzieć.

- Pewnie nigdy nie będę wiedziała tyle co ty.

Parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

- M-hm, dziecko, moje stare oczy widziały niejedno, ale coś ci powiem. Kiedy ludzie wokół ciebie robią zwariowane rzeczy, to znaczy, że diabeł próbuje odwieść cię od celu.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Tak jest. Stary Belzebub we własnej osobie. Tak działa diabeł. To nie żaden gamoń z ogonem, ubrany na czerwono. Nie, on ma wpływ na twój umysł. Kiedy twoje myśli krążą wokół zmartwienia, nie potrafisz robić tego, co do ciebie należy. A wtedy on wygrywa, rozumiesz? Nie może wygrać, dopóki mu na to nie pozwolisz, bo sam nie ma żadnej mocy.

- Więc w gruncie rzeczy chodzi ci o to, że zamartwianie się tatą i ciotką Carol albo babcią Sophie odwraca moją uwagę od czegoś innego, lepszego?

- Właśnie! Zuch dziewczyna!

- No tak, Livvie, ale ja chyba nigdy nie zapomnę tego, co widziałam.

- Wiem, dziecko. Posłuchaj, jak tylko ten obraz pojawi się znowu w twojej głowie, poproś Pana, żeby pomógł go przepędzić. On pomoże.

- Livvie?

- Mhm?

- Twój dziadek był niewolnikiem?

- I owszem. Przywieźli go tu za młodu z Afryki i mało nie umarł po drodze. Starsi nie lubili rozmawiać o niewoli. To były straszne czasy.

- Musiały być okropne.

- I jeszcze się nie skończyły, Susan. Ciągłe mamy swoje kłopoty, ale ja stoję z boku i nie dam sobie mącić w głowie tą cczą gadaniną o integracji i takich tam rzeczach. Wcale nie chcę jadać w restauracji u Woolwortha w mieście. Wolę zjeść posiłek we własnym domu!

- No a mnie nie stać, żeby tam pójść. Zresztą to pewnie i tak nie nadzwyczajnego.

- Tak, ale ty możesz tam wejść. Ja nie. Możesz skorzystać z łazienki. Ja nie. To się nigdy nie zmieni, chyba że nastąpi jakiś cud. Zaczekaj, aż ci wszyscy białoskórzy zacofańcy powymierają i zobaczą niebo pełne kolorowych. To dopiero będzie heca!

- Nie wiem, Livvie, przecież jeszcze nie mam nawet skończonych czternastu lat. Nie znam się na tych sprawach.

Byłam zakłopotana. Wiedziałam, że ma rację, ale nic nie mogłam zrobić. Nagle bardzo się ucieszyłam, że tata zbudował nową łazienkę. Gdyby ktoś kazał Livvie skorzystać z wygodki, natychmiast by odeszła.

Maggie mówiła, że gdy kolorowi po śmierci idą do nieba, ich skóra staje się biała. Wierzyłam w to we wczesnym dzieciństwie, teraz jednak zrozumiałam, że wpierano mi kolejne kłamstwo, wymyślone przez białych.

Długo trwałam w przekonaniu, że życie na plantacji przesyccone było muzyką. Długie dni, ciężka praca - wszystko miało w mojej wyobraźni podkład muzyczny. Rozśpiewani niewolnicy, tańczące damy, ludzie jadący pięknymi powozami na wieczorne przyjęcia, podwórza rześcicie oświetlone latarniami i tak dalej. Jakaż ja byłam głupia i naiwna! To cierpienie zrodziło tę muzykę, cierpienie spowodowane przez moją rasę.

- No cóż, pójdę do Maggie i pomogę jej na ganku, dobrze?
- Chodź no tutaj na chwilę, Susan.

Odwrociłam się do niej.

- Posłuchaj Livvie. Mówię ci, co mi leży na sercu, ale nie po to, żeby ci było przykro. Chcę, żebyś zaczęła myśleć. Bóg wyznaczył ci cel, tak samo jak każdemu z nas. Dał ci głowę nie od parady. Kiedy dorośniesz, przyjdzie ci żyć w świecie, który sama stworzysz. Użyj głowy, żeby stał się lepszy.

- Tak zrobię, Livvie. Obiecuję.

W niedzielę rano już chyba cała wyspa wiedziała, że moja mama urodziła bliźnięta. Co godzina ktoś przychodził z prezentem dla moich małych siostrzyczek. Przeważnie ludzie przynosili dwie pary dziecięcych włóczkowych bucików - mieliśmy już piętnaście takich zestawów - i wszyscy jak jeden mąż wypytywali o imiona bliźniaczek. Nie miały jeszcze imion, lecz dla podtrzymania naszej reputacji bezczelnych łgarzy postanowiliśmy z Timmym nie wyjaśniać tego.

- Ja otworzę! - krzyknęłam, słysząc znowu pukanie.

Na progu stała pani Wilson, ruda nauczycielka ze szkoły podstawowej. Była rozwódką, ale ponieważ rozmowa z nią nie należała do grzechów głównych, nie miałam oporów.

- Dzień dobry! - powitałam ją.
- O! Susan, tak się cieszę, że zastałam was w domu! Obawiałam się, że możecie być w kościele.
- Nie, psze pani. Poszliśmy dzisiaj na ósmą rano. Timmy i Henry służyli do mszy, więc wybraliśmy się wszyscy razem.

- To miło, kochanie. Przyniosłam coś dla twoich siostrzyczek.
- Dziękuję. Buciki?
- Tak, zrobiłam je sama! Jak się miewa twoja mamusia?

Szesnaście par razy dwa, a rachunek wciąż otwarty. Pora była jeszcze wczesna.

- Dobrze. We wtorek wraca do domu. A dzisiaj się z nią zobaczymy.
- No to pozdrów ją serdecznie ode mnie. Czy już nadała dziewczynkom imiona?

- Tak, psze pani. Posie Sue i Rosie Sue. Mama lubi kwiaty, wie pani, a „Sue” dodała na moją cześć. Miło z jej strony, prawda?

Jej twarz zmierzchła.

- No cóż, zawsze powtarzam, że ludzie mają prawo nazywać swoje dzieci, jak im się podoba - powiedziała.

- Też tak uważam, psze pani.

Zanim wyruszyliśmy do Charlestonu, moje siostry zyskały najcudaczniejsze z możliwych imion. Itchy i Scratchy, powiedział Timmy pani Fisher, bo tata mówi, że mają bąble i wysypkę na całym ciele. Sneezy i Wheezy, powiedziała pani Mosner, bo bez przerwy cieknie im z nosków, ale proszę się nie martwić, nie wpisano tego do metryki, dodałam. Do naszych ulubionych należały imiona: Daphne i Delilah, Tara i Scarlett oraz Lucy i Ethel. W samochodzie tak się zaśmiewaliśmy, że tata zaczął na nas krzyczeć.

- Zamknijcie się wreszcie, do diabła! Usiłuję prowadzić!

Zapadła cisza i przez resztę drogi oglądaliśmy spustoszenia poczynione przez burzę. Wszędzie leżały powalone drzewa; drogi pokrywała warstwa piasku. Woda koło grobli wciąż była wysoka. Nie do wiary, ile szkód powstało w ciągu zaledwie kilku godzin. Niestety, w Mount Pleasant przywrócono już prąd, co oznaczało, że szkoła będzie otwarta w poniedziałek.

Na parkingu przed szpitalem tata wygłosił pogadankę na temat naszych manier. Daliśmy słowo, że nie będziemy wyć jak stado wilków. Nie rozmawiałam z nim i zastanawiałam się, jak mam unikać rozmów przez resztę życia.

Wjechaliśmy windą na oddział położniczy i zaczekaliśmy pod drzwiami separatki, dopóki tata nie pozwolił nam wejść.

- Mamo? - odezwałam się. - Hej! Jak się czujesz?

- Jestem trochę zmęczona, ale poza tym doskonale! - odparła. - Chodźcie tu, dajcie mamie buzi i poznajcie swoje najmłodsze siostry.

Zarzuciliśmy ją kartkami i laurkami, przepychając się, żeby zobaczyć bliźniaczki. Leżały z nią w łóżku i rozplakałam się na ich widok. Maggie też. Były takie śliczne. Wzruszona mama zaczęła płakać razem z nami. Tata chwycił pudełko chusteczek i wręczył nam po jednej. To nas rozśmieszyło. Potem natrząsał się z nas, udając, że płacze, ale robił to tak głośno, że przstraszył maleństwa, które rozkrzyczały się na całego. Od tego wrzasku coraz mocniej czerwieniały im buzie. Maggie wzięła na ręce blondyneczkę, a ja brunetkę. Nieprawdopodobne, ale się uspokoily.

- Wiecie, dziewczynki, będziecie musiały mi pomóc, kiedy wrócę do domu - powiedziała mama.

- O to się nie martw, mamusiu. Kocham dzieci - zapewniłam, myśląc o moim planie.

- Są podobne do Susan i do mnie - zauważyła Maggie.

- Aha, ta w ogóle nie ma brwi - wtrącił Henry.

- Urosną jej później, ptasi mózdzku - zgasiła go Maggie.

- Rety, ale ma chwyt! - powiedział Timmy. Niemowlę, które trzymałam, zacisnęło maleńką rączkę na jego palcu. - Zostanie zapaśniczką!

- Mam nadzieję, że nie! - zaprotestowała mama.

- No dobrze, dzieciaki, idźcie teraz do poczekalni, a ja zaraz przyjdę - polecił tata. Zachowywał się tak sympatycznie, iż na razie mu wybaczyłam i pomyślałam, że może sytuacja się poprawi. Stanęliśmy w szeregu jak karni mali żołnierze, pocałowaliśmy mamę w policzek, a każdą z bliźniaczek w główkę i wyszliśmy jedno za drugim. Ta chwila miała w sobie coś magicznego. Może bliźniaczki przyniosą nam szczęście. Może tata znowu pokocha mamę. Mama wyglądała całkiem nieźle, pomyślałam, zważywszy, co przeszła. Przypominając sobie imiona dzieci, zachichotałam cicho.

Wielką radość z narodzin moich sióstr i zamiary ogłoszenia nowiny po całej szkole odsunęła w cień straszna wiadomość, którą usłyszeliśmy w poniedziałek rano. Kiedy zjawiliśmy się w szkole, nauczycielki kazały

nam iść prosto do kaplicy na specjalną mszę. Dowiedzieliśmy się, że ktoś podłożył bombę w kościele w Birmingham, w Alabamie, zabijając cztery małe dziewczynki. Wiele osób zostało ciężko rannych. Był to murzyński kościół. Informacja kompletnie nas ogłuszyła. Zakonnice płakały, a nastrój rozpaczy unosił się nad ławkami jak trujący gaz z mrocznej otchłani. Przez tę wstrząsającą wieść coś się w nas nieodwracalnie zmieniło.

Do tego czasu nie miałam zielonego pojęcia, że Ruch Praw Człowieka wiąże się z takim niebezpieczeństwem. Zawsze wydawał się czymś bardzo odległym, jak Wietnam. I nie potrafiłam pojąć, jak można zabijać dzieci tylko dlatego, że są kolorowe. Jeżeli dorośli chcą z sobą walczyć, niech walczą, ale kim trzeba być, żeby podkładać bomby w kościele? Jakaż głęboka nienawiść musiała pchnąć człowieka do popełnienia tej niewybaczalnej zbrodni! Kto zabija ludzi podczas modlitwy? Mimo wysiłków nie mogłam skupić się na lekcjach. Wciąż miałam przed oczyma zrozpaczone twarze ze zdjęcia w gazecie, którą ktoś puścił w obieg. Obraz dzieci leżących w trumnach przesładował mnie przez cały dzień. Z niewyjaśnionych przyczyn nie chciałam spotkać się z Livvie po powrocie do domu. Wiedziałam, że będzie rozgniewana.

Pogrążyła się w takim smutku, jakby to były jej własne dzieci. Ocierała oczy wierzchem dłoni, nucąc jakąś kościelną pieśń. Gdy weszliśmy z Timmym i Henrym kuchennymi drzwiami, zastaliśmy ją przy prasowaniu.

Chłopcy porwali po ciastku z talerza, który postawiła dla nas na stole, i pobiegli na górę.

- Czekoladowe! Dzięki, Livvie! - zawołał Timmy.
- Moje ulubione! - pisnął Henry.

Położyłam książki na stole i sięgnęłam po szklanekę, by nalać sobie mleka.

- Napijesz się mleka? - spytałam.
- Nie, dziecko, dzisiaj nie chcę nic. Dzisiaj nic. - Obrzuciła mnie długim spojrzeniem i wróciła do prasowania. Nuciała pod nosem, lecz jej oczy były niewypowiedzianie smutne.
- Mieliśmy w szkole specjalną mszę za te dziewczynki z Alabamy - powiedziała cicho.

- W tym nie ma za grosz sensu - oznajmiła. - Żeby tak zabijać. Bomba

w domu Pana. Trzeba powstrzymać Lucyfera! Ktoś go musi powstrzymać.

- Masz rację - przytaknęłam. - Co możemy zrobić?

- Prosić Pana Boga o pomoc - odparła. - Trzeba całej potęgi Jego aniołów, żeby czemuś takiemu zaradzić. Lękam się, do czego to dojdzie. Nienawiść to straszna rzecz. Jak rak. Pożera cię od środka.

- Masz rację - powtórzyłam, czując po raz pierwszy w moim niemądrym życiu, że brak mi słów.

- Moja kuzynka Harriet przyszła rano z gazetą. Jakem zobaczyła twarze tych mam i tatusiów, co potracili dzieci, to mi się zebrało na płacz. I tyle.

- Mnie też.

Popatrzyła na mnie i dostrzegła, że ja także mam zaczerwienione oczy, ale nie do końca wierzyła w moją szczerość. Czy nie rozumiała, że przeraziło mnie to, co się stało w Alabamie? Przecież coś takiego mogło zdarzyć się i u nas, skoro tam się zdarzyło. Tutaj również jakieś dzieci mogły wylecieć w powietrze.

- To nasze zmartwienie, Susan, nie twoje. Staniemy do walki, bo po to człowiek ma grzbiet, żeby dźwigać brzemię. - Z trzaskiem postawiła żelazko na desce. - Dźwigamy brzemię, odkąd żeśmy tu przyjechali, zakuci w łańcuchy. Mało co się zmieniło.

Za nic nie mogłam pozwolić, żeby miała ostatnie słowo.

- Mylisz się, Livvie. Wiesz, zwykle nie spieram się z dorosłymi i nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę spierać się z tobą, i jest mi bardzo przykro, ale się mylisz.

- O, czyżby? Jedno jest pewne. Wzięli się do mordowania dzieci!

- Wiem, ale ja tego nie zrobiłam! Posłuchaj, Bóg stworzył nas wszystkich, prawda?

- Ano tak.

- A jedyna różnica między tobą a mną to kolor skóry, zgadza się?

- Ano, tak mi się zdaje.

- A dzieci to dzieci, zgadza się?

- Jak najbardziej. - Cierpliwie obserwowała moje zmagania i podawała mi linę, ilekroć zawisłam nad przepaścią.

- No więc, gdyby jakiś kolorowy wysadził w powietrze kościół białych

i zabił białe dzieci, to by jeszcze nie oznaczało, że wszyscy kolorowi są źli, prawda?

- Prawda.

- To by oznaczało, że znalazł się jeden sukinsyn albo kilku takich, ale nie że wszyscy kolorowi mają świra, prawda?

- Prawda, ale nie powtarzaj tego brzydkiego słowa. To nie uchodzi.

- No dobrze, więc w Alabamie jest grupa, może nawet spora grupa złych ludzi, którzy nie chcą integracji, ale nie wszyscy się z nimi zgadzają.

- Jużem ci mówiła, że mnie integracja nie obchodzi. Chcę tylko spokoju. Chcę żyć spokojnie i służyć Panu.

- Ja też, Livvie. Ale naprawdę, mnóstwo ludzi jest za integracją. To, co mówiła dzisiaj siostra Amelia, moja nauczycielka, miało dla mnie głęboki sens. Uważam, że kolorowe dzieci powinny mieć takie same szanse jak białe. To by było uczciwe. Rozumiesz, gdyby uczyły się z tych samych książek i zdawały te same egzaminy, mogłyby w przyszłości więcej osiągnąć. Nie mówię o tobie ani o sobie, bądź co bądź, wszystkie twoje dzieci poszły przecież na studia, zgadza się?

- I owszem. Nie było mi łatwo. Pucowałam klozety, żeby kupić podręczniki. Wyobraź to sobie.

- Tak, masz rację. Ale ja mówię o dzieciach, które pewnie się jeszcze nie urodziły. I o rodzinach, których nie obchodzi wykształcenie.

- Nawet gdyby jutro wpuścili kolorowe dzieci do białych szkół w całym Charlestonie, to nie ożywi tych czterech dziewczynek, Susan - powiedziała. - Cztery dziewczynki zginęły, bo biali zawsze będą nienawidzić czarnych. Tak już jest. Chcą nas przygnieść do ziemi.

- To prawda, te dziewczynki zginęły. Zawsze gdzieś się znajdują ciemiaki albo źli ludzie. Nic na to nie poradzimy. Ale możemy wpłynąć na system kształcenia, Livvie; to już postęp. Równość wykształcenia mogłaby być wielkim krokiem naprzód.

- Może, ale to żadna odpowiedź. - Livvie przytknęła palec do piersi. - Odpowiedź musi płynąć stąd. Z serca.

Łyknęłam mleka i pokiwałam głową. Miała rację, że to serce dyktuje rozwiązanie. Wiedziałam, że można przegłosować wszelkie możliwe ustawy, ale jeśli ktoś nie zechce ich przestrzegać, to nie będzie. Livvie odwróciła się od deski do prasowania, żeby odwiesić koszulę.

- Mama wraca jutro - powiedziałam.

To ją skłoniło do uśmiechu. Żadna z nas naprawdę nie chciała wszczynać kłótni.

- Wiem. Aż do południa szykowałam pokój. Już bym chciała przygarnąć te dzieciaczku Jakem powiedziała Harriet, że mam tu dwa nowe maluchy, to myślałam, że pęknie! O nieba! Szkoda, żeś jej nie widziała! Tak jest, myślałam, że pęknie.

Zaczęłyśmy rozmawiać o bliźniaczkach i o tym, jak mogłabym jej pomóc, a potem, zakończywszy chwilowo dyskusję o integracji, wybrałam się na rowerową wycieczkę z Timmym i Henrym.

Woda na podwórzu nieco opadła, a wyspa zaczynała nieco osychać po huraganie Denise. Objechaliśmy całą wyspę, oglądając zniszczenia. Wyglądało na to, że ucierpiały wszystkie domy, zwłaszcza te najbliżej morza. U nas spadło tylko kilka dachówek i żaluzji, a na podwórzu walały się gałęzie i nawiało warstwę piachu. Stary Island Gamble odfajkował kolejny kataklizm.

Wróciliśmy późnym popołudniem, żeby odrobić lekcje i zjeść kolację. Już na schodach poczułam woń zupy i słodkiego kukurydzianego chleba. Livvie wkładała płaszcz, spiesząc się na autobus o piątej. „Do zobaczenia rano!” - zawołała. Wychodziła wcześniej i miała przyjść rano. Zanim wyszła, uśmiechnęła się smutno i poklepała mnie po ramieniu. Coś się zmieniło. Pojawiła się cienka linia, kolorowa linia. Ścisnęło mi się serce.

10.

Pisanie

1999

Minął tydzień, odkąd huragan Maybelline spustoszył południowe wybrzeże. Szkody sięgały milionów dolarów i wszędzie słyszało się najrozmaitsze historie. Wyprawiłam się po farbę do pokoju gościnnego. Wiedziałam, że wszystko pokrywa polisa ubezpieczeniowa, ale pomyślałam sobie, że sama wycenienie szkody, zrobię to i owo, i zaoszczędzę parę groszy. Jak każdy.

Dołączyłam do tłumu nieprofesjonalnych dekoratorów wnętrz i ogrodów w Home Depot. Klienci uginali się pod ciężarem desek, żaluzji, dachówek i puszek farby. Stałam w najkrótszej kolejce - dwudziestoosobowej - i oglądałam za darmo spektakl komediowy.

- Na moim podwórku wylądował pies! Z plakietką z Pawley's Island! I nic mu się nie stało. Dacie wiarę?

- Wróciłam od teściowej, a tu moje zasłony wessało w okna! I wcale się nie podarły! Kto by pomyślał?

- Uchlałem się i położyłem jak zwykle do łóżka z moją starą. Nic się nie działo. Przespałem całą noc! A kiedy wstałem, okazało się, że zniknęło pół dachu!

Przez cały tydzień kontaktowałam się z agentami ubezpieczeniowymi, drwalami, cieślami, szklarzami, sprzedawcami wykładzin. Roger nie zadzwonił. Wstrząsające. Ale zapewne pojawi się prędzej czy później. Natomiast pan Tom nie odezwał się ani razu. To tyle, jeśli chodzi o jego namiętność i troskę. Ale nie czułam rozgoryczenia. Po spalonych randkach i nieudanych małżeństwach masz do wyboru alkoholizm albo filozofię. Nie zdziwił mnie nawet brak telefonu od Toma. Porzucenie kogoś jest stopniowym procesem, a nie decyzją podjętą pod wpływem impulsu. Czasami to

długo trwa. Odczułam nawet dziwną ulgę, że do mnie nie dzwoni. Gdy wreszcie dotarłam do domu, zatelefonowałam do Maggie.

- Hej! Wskoczysz ze mną na lunch? Od wieków nie jadłam smażonych krewetek, a mam ochotę na neurotyczne obżarstwo.

- Czemu nie? Tylko nie patrz na moje paznokcie. Sprzątanie po tej wiedźmie Maybelline zniszczyło mi manicure.

- Prawdziwa tragedia. Będę u ciebie za pół godziny. Chcesz pojechać do Żółtego Psa na Wyspie Palm?

- Już się szykuję.

Sunąc East Bay Street w stronę mostu na wschód od Cooper, poczułam, że moje serce nieco zwolniło. Jechałam w stronę plaży, leczącej wszelkie dolegliwości. Była to sobota, więc wpadłam w filozoficzny nastrój. Przedtem kłęłam jak pijany marynarz, przechodząc obok milczącego telefonu. I posyłałam samą siebie dziewięćdziesiąt razy do piekła i z powrotem za tę noc z Tomem.

Opuściłam wszystkie szyby w samochodzie. Powietrze pachniało cudownie. Był przepiękny wrześnieowy dzień, a ja jechałam na lunch z moją siostrą, najwspanialszym okazem wszech czasów. Prześliznęłam się przez Mount Pleasant (osławioną pułapkę na kierowców) niczym przemytniczka narkotyków z bagażnikiem pełnym kontrabandy, rozglądając się czujnie za policjantami, którzy kryją za billboardem огоłone głowy, bystre oczy i radar. To była moja gra. Nigdy nie dostałam mandatu za przekroczenie prędkości i nie zamierzałam go dostać. Szczerze mówiąc, pomyślałam, jedyna rzecz bez skazy w moim życiu to chyba przestrzeganie kodeksu drogowego.

Wyspa wydawała się doszczętnie zrujnowana, jak zwykle po burzy. Nowe domy za milion dolarów, z widokiem na morze, nieźle oberwały, ale stare chałupy trzymały się mocno. Nawet huśtawki z opon nie zaplątały się między gałęziami drzew. Musiałam przyznać, że Maybelline miała dobry gust. A co więcej, Island Gamble wywiesił zwycięską flagę po kolejnej próbie sił z Matką Naturą.

- Dom wygląda nieźle! - zawołałam do Maggie, która zeszła tylnymi schodami z torebką, gotowa do wyjścia. - Gdzie mój szwagier i siostrzeńcy?

- Wczesnym rankiem pojechali na ryby. - Wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i spojrzała na mnie z miną męczennicy. - Do licha,

mój dom powinien nieźle wyglądać! Omal nie przetrąciłam sobie grzbietu, sprząając w tym tygodniu podwórze, a potem umyliśmy wszystkie ściany.

- Dobra z ciebie kobieta, Maggie. Dobra kobieta. - Zaczęłam wycofywać auto z podwórza. - Mam już potąd Maybelline i bałaganu, jakiego narobiła. Żebyś zobaczyła moje drugie piętro!

- Sytuacja już opanowana?

- Tak, ale, o Boże, dopiero po osiemdziesięciu milionach telefonów i wiekach wyczekiwania, aż odezwie się jakaś ludzka istota. Zanim ktoś podniósł słuchawkę, zapomniałam, gdzie dzwonię! Nienawidzę automatycznych operatorów. - Ruszyłam w kierunku Wyspy Palm. - I nienawidzę fachowców. Możesz na nich czekać cały dzień, a oni i tak nie przyjdą.

- A co z Tomem? Jego też nienawidzisz?

- Nie, to zwyczajny dupek i nigdy się nie zmieni. Gdybym go pokazała w którymś dziennym talk-show i tysiąc rozżłoszczonych kobiet powiedziało mu w oczy, że jest kretynem, nie zrobiłoby to na nim żadnego wrażenia.

- Nie zadzwonił, prawda?

- Prawda. Nie zadzwonił. - Minęliśmy stację benzynową, restaurację i pub Dunleavy's. - Niech się wypcha. Mam go w nosie, a zresztą to i tak bez znaczenia. - Co za kłamczucha. - Kiedy już napcham się czymś smażonym - podjęłam - poproszę cię, żebyś razem ze mną przemyślała pewien pomysł, dobra?

- Będę rada z każdego pretekstu, żeby użyć głowy, a poza tym wiesz przecież, jak lubię ci mówić, co masz robić.

- No cóż, tym razem sama o to proszę. Nie miej nade mną litości.

Młoda kelnerka zaprowadziła nas do stolika w niszy z widokiem na ocean. Wśliznęliśmy się na obite skórą ławy naprzeciw siebie i, powodowane jakąś wspólną genetyczną skłonnością, starłyśmy okruszyny z laminowanego blatu.

Złożyłyśmy zamówienie, nie czekając na kartę, którą znałyśmy na pamięć. Kelnerka przyniosła nam napoje i rozsiadłyśmy się co najmniej na godzinę, spoglądając na plażę i zanurzając krakersy w majonezowym sosie z owoców morza, w usilnym poszukiwaniu kawałków kraba lub czegokolwiek, co przypomina owoc morza.

- Myślisz, że warto wchłaniać te kalorie? - spytała Maggie, gdy wsu-
nęłam do ust krakersa uginającego się pod ciężarem gramów tłuszczu i
popiłam go dietetyczną pepsi z cytryną.

- Nie, ale zmęczyła mnie już dieta i chcę uczcić dzisiejszy dzień.
- Tak? A dlaczego?
- Wiesz, na ile wyceniono szkody w moim domu?
- Boję się pytać.
- Na sześćdziesiąt tysięcy.

Maggie zagwizdała cicho. Zupełnie nie umiała gwizdać. - Towarzystwo
ubezpieczeniowe wypłaci tylko pięćdziesiąt. Ogród był uwzględniony w
polisie za pięćset dolarów.

- To banda złodziei wszyscy ci jankescy carpetbaggerzy*.

* Tak Południowcy po wojnie secesyjnej nazywali Jankesów, przybyłych na Południe w
celu łatwego wzbogacenia się (przyp. red.).

- Aha, jeszcze gorsi niż prawnicy. Ale mam pewien plan. - Opróżniłam
szklankę i skinęłam na drobną kelnerkę w dzinsach z uciętymi nogawkami,
podkoszulku i sandałach na koturnie. Podeszła rozkołysanym krokiem,
uśmiechnięta.

- Czym mogę suużyć? - Jej uśmiech był szeroki, nieobecny. Bierze
prozac, pomyślałam.

- Poproszę jeszcze jedną dietetyczną pepsi - powiedziałam.
- Już podajee!
- „Bez Bożej łaski taki los mię czeka” - szepnęłam do Maggie.
- Akurat, skarbie. Prędzej obie będziemy kopać rowy niż w ten sposób
zarabiać na życie. Poza tym nie leżą nam obcięte dzinsy i koturny.
- „Leżeć” to trafne słowo - zachichotałam.
- Dobra, dobra. Powiedz, jaki masz plan!
- Pamiętasz, jak w dzieciństwie pisałam pamiętniki? Znalazłam je w
kufrze na strychu, kiedy robotnicy oglądali belki nośne.

- Co to ma wspólnego z odszkodowaniem?
- Zaczekaj chwilę, wszystko ci wyjaśnię.

Kelnerka wróciła ze smażonymi krewetkami, ziemniakami, surówką w
plastikowej miseczce i *hushpuppies*.

- Podać coś jeszcze? Ketchup? Pepsi?
- Nie, dziękujemy.

Oddaliła się chwiejnie, a ja ugryzłam *hushpuppy*, parząc sobie podniebienie. Zgasilałam pożar łykiem napoju.

- Ostre, co?

- Owszem, ale jakie dobre! Więc słuchaj, sprawa wygląda tak. Obliczyłam, że jeśli sama położę tapety i odmaluję dom, zaoszczędzę dziesięć tysięcy z odszkodowania. Mój sąsiad w porywie skruchy zasadzi mi nowy żywopłot.

- Żartujesz! Szczęściara z ciebie. I co zrobisz z tą forszą? Wyjedziesz do Paryża i zostaniesz pisarką, jak to kiedyś zapowiadałaś?

- Nie, skądże. Niestety, nic aż tak egzotycznego. Kupię sobie własny komputer. Postanowiłam, i powiedz mi, co o tym sądzisz, spróbować zebrać kilka esejów z rysunkami.

- Co takiego? Dla kogo?

- Dla gazety. Rubryka matki samotnie wychowującej dziecko w latach dziewięćdziesiątych, dorastanie w latach sześćdziesiątych na Południowym Wybrzeżu, jak sobie poradzić z rozpornym problemem męża, no wiesz, napastowanie seksualne...

- Święta Mario, Matko Boża. Ty mówisz poważnie!

- A tak, jestem śmiertelnie poważna. Zrozum, Maggie, bez przerwy mam pustkę w kieszeni. Beth chciałaby coś sobie kupić, a ja zupełnie nie mam co na siebie włożyć, żeby oczarować płeć przeciwną. Ile mogę zarobić w charlestońskiej bibliotece? Mogę pisać w nocy; tak czy inaczej, zarobię parę groszy.

Maggie siedziała cicho, a ja czekałam, aż się odezwie. Wzięła smażoną krewetkę, polala sokiem z cytryny, umoczyła w pikantnym sosie i wsunęła do ust. Żując, wpatrywała się we mnie.

- No, powiedz coś - zachęciłam. - Boże Narodzenie coraz bliżej.

- Czy to ma być wymówka, żeby wkroczyć na stronę internetową i poznać jakiegoś ogiera? - Miała poważny wyraz twarzy.

- Co ty opowiadasz? Czaty zostawiam Beth. Dasz wiarę, że jak ją ostatnio przyłapałam, wmawiała jakiemuś facetowi, że ma dwadzieścia trzy lata, jest blondynką, instruktorką aerobiku z Malibu i przepada za meksykańską kuchnią?

- Wielkie nieba, Susan. Ale wiesz co, o tym też mogłabyś napisać!

- Więc sama rozumiesz!

- Susan? Podpiszesz się prawdziwym nazwiskiem?
- Nie wiem, chyba nie. Bo jeśli nikt nie będzie wiedział, kim jestem, to łatwiej mi przyjdzie mówić, co naprawdę myślę, nie uważasz?
- Nie wymieniałabym też żadnych nazwisk. Podadzą cię do sądu za oszczerstwo.
- Tak, wzięłam to pod uwagę, chyba żeby chodziło o polityka.
- Mogłabym ci przypomnieć mnóstwo historii z naszego dzieciństwa. - Pomyśl się jej spodobał. Czułam to.
- Mam ich cały kufer. Moje pamiętniki, pamiętasz?
- Racja. No cóż, kiedy zabraknie ci materiału, daj mi znać.
- Maggie, zanim zabraknie mi materiału, ludzie zaczną jeździć na wakacje na Księżyc.

Wybuchnęłyśmy niepohamowanym śmiechem. Łzy popłynęły nam po policzkach, gdy wspominałyśmy wariackie wyczyny z dawnych lat.

- Pamiętasz tego chłopaka, Stuarda?
- O Boże! Ale z niego był dziwoląg!

I tak się wszystko zaczęło. Przez następne dwa tygodnie pisałam jak szalona. Opisałam łowienie krabów, dołączając rysunek z dziećmi na plaży. Opisałam rywalizację między rodzeństwem, ilustrując to portretem dzieci duszących się nawzajem. Najbardziej podobał mi się kawałek dotyczący Livvie, z obrazkiem, na którym czarna kobieta trzyma na kolanach białą dziewczynkę. Miałam to i owo do powiedzenia o samotnym rodzicielstwie, całkiem sporo, szczerze mówiąc, w związku z czym klawiatura komputera Beth aż dymiała. Pisałam o rewolucji seksualnej i o tym, jak ominęła Charleston. Wszystkie teksty miały ironiczny wydźwięk, a część z nich była cholernie zabawna, choć może nie powinnam się chwalić. Rysunki zaś nadawały ton całości. Były przeurocze.

Beth myślała, że oszalałam. Pozwalała mi korzystać ze swojego komputera, ponieważ nie mogłam się zdecydować, jaki model sobie kupić, i zrezygnowała ze swej prywatności. Zaczęła się uczyć w jadalni, twierdząc, że moje wybuchy śmiechu, nie mówiąc już o paleniu i krążeniu po pokoju, nie pozwalają jej się skupić. Zrozumiała.

Zebrawszy dwadzieścia pięć szkiców, byłam już gotowa podjąć próbę ich sprzedaży. Najpierw jednak ktoś musiał je przeczytać. Wyłapać lapsusy,

dostroić język, ocenić rytm, wiarygodność i dowcip. Zadzwoiłam do Maggie.

- Co słyhać? - Zapaliłam papierosa. - Kochasz mnie?
- Oczywiście. A mam jakiś wybór? Gdzie ty się, u licha, podziewałaś?
- Na dziesięć dni wcieliłam się w Annę Quindlen. Starłam sobie palce do kości, przelewając myśli na papier. Na kciukach mam odciski od spacji. Potrzebna mi twoja pomoc.

- Co mam zrobić?
- Czy potrafiłabyś udawać, że mnie nie znasz, i przeczytać to, co napisałam, a potem powiedzieć mi prawdę? Potrzebuję redakcji i korekty.
- Chyba nie pytasz serio, czy lubię krytykować? Ładuj się do auta i przyjeżdżaj. Umierałam z ciekawości, co ty tam knujesz! Zrobię kolację.

Jak zwykle, moja siostra udzieliła mi pomocy. Znalazła mnóstwo błędów, których nie ujawniła funkcja sprawdzania pisowni w edytorze tekstów i zasugerowała kilka niezłych skrótów. Wyglądanie szkiców zajęło mi kolejny tydzień, a przez następne trzy dni zbierałam się na odwagę, żeby zadzwonić do gazety. Powtarzałam sobie, że jeśli nie zechcą drukować moich tekstów, spróbuję gdzie indziej. Nie ma sprawy. Szczerze mówiąc, spodziewałam się odmowy.

Wreszcie, w piątek, odszukałam numer i zadzwoniłam. Skomputeryzowany głos po drugiej stronie linii tak mnie speszył, że nie bardzo wiedziałam, z kim chcę rozmawiać, lecz po chwili usłyszałam ludzką istotę.

- Halo? Czy mogę w czymś pomóc? - Ów kobiecy głos brzmiał dojrzale i fachowo.

- Ehm, taką mam nadzieję. Nazywam się Susan Hayes i kieruję programem rozwoju czytelnictwa w bibliotece okręgowej.

- Rozumiem. Z kim mogłabym panią połączyć, pani Hayes?
- No cóż, nie jestem pewna. Napisałam kilka esejów o życiu w naszych trudnych, zagonionych czasach i chciałam porozmawiać na temat ewentualnej sprzedaży tych tekstów gazecie.

- Ach, więc jest pani również dziennikarką?
- No cóż, początkującą, to znaczy bardzo dużo piszę... Przerwała mi w pół zdania.
- Proszę je zostawić w redakcji w któryś dzień roboczy między dziewiątą a piątą, a my rzucimy na nie okiem. Niech pani nie zapomni dołączyć

do portfolio swojego CV i numeru telefonu. Zawiadomimy panią.

- W porządku, świetnie. Dziękuję.

Nie przywykłam do tego, aby mnie zbywano, i poczułam się okropnie. Uświadomiłam sobie jednak, że rozmawiałam z sekretarką, która odbiera zapewne tygodniowo pięćdziesiąt telefonów od osób przekonanych, że są następnym Dave'em Barrym albo Molly Ivens. Nie mogę jej mieć tego za złe, pomyślałam, i nagle dotarło do mnie: Portfolio? Nie posiadam takiego! CV? Nieaktualne od lat! Przez cały piątkowy wieczór układałam nowe CV, zwycięsko odpierając pokusę wplecenia paru dowcipów.

Może powinnam wysłać kopię Rogerowi Doddsowi, pomyślałam. On również nie zadzwonił. Dla niego równie dobrze mogłam zginąć podczas huraganu.

Nazajutrz rano kupiłam u Huguleya przy Wentworth Street czarną skórzaną teczkę, żeby włożyć do niej moje teksty. Żywiłam gorącą nadzieję, że to odpowiednia teczka i że nie wygląda pretensjonalnie. Postanowiłam ją nieco postarzyć, by dodać sobie doświadczenia i kilka razy cisnęłam nią o asfalt, a potem podeptałam. Następnie przetarłam ją wilgotną szmatką i wyczyściłam emulsją Pledge. Ostateczny rezultat wydał mi się dość przekonujący.

W poniedziałek, po drodze do pracy, zostawiłam cały ten kram w redakcji „Post & Courier”, wstrzymałam oddech i zaczęłam odmawiać nowennę do Matki Boskiej. „O najłaskawsza Dziewico Maryjo, nikt, kto uciekał się pod Twą obronę, błagał Cię o pomoc lub szukał Twego wstawiennictwa, nie doznał zawodu...”.

Miałam to we krwi. Czułam, że aż do śmierci pozostanę zaprzysięgłą, rybożerną, różańcową katoliczką, która pali świeczki, zdobi ołtarze, wdycha kadzidła, pada na kolana i wielbi świętych. Doszłam do wniosku, że z całego rzymskokatolickiego panteonu najlepiej zwrócić się do Matki Boskiej. Była w końcu kobietą. Może powinnam na wszelki wypadek zacząć codziennie uczęszczać na mszę? Może w niebie mój limit łask już się wyczerpał?

We wtorek i w środę nikt nie zadzwonił. Ani Roger, ani Tom, ani gazeta. Do środowego popołudnia snułam tysiące rozmaitych fantazji. Tłumy ludzi zaśmiewały się z moich żartów i z zapartym tchem nasłuchiwały, co powiem.

Przygotowywałam mielone kotlety na kolację i miałam ręce ubabrane mięsem i ketchupem, kiedy odezwał się telefon. Głośny dzwonek wyrwał mnie z głębokiego zamyślenia.

- Beth! Możesz odebrać? Jeśli to Oprah, powiedz jej, że nie żądam honorarium za występ, ale podróżuję tylko pierwszą klasą! - Bawiłam się wyśmienicie, wyobrażając sobie sławę, bogactwo i własny chłodny dystans do jednego i drugiego.

- To do ciebie, mamo! - krzyknęła z góry Beth. - Jakiś facet, pewnie chce ci coś sprzedać!

Wielkie nieba, pomyślałam, akurat wtedy, kiedy jestem upapraną po łokcie. Wytarłam ręce i podniosłam słuchawkę.

- Pani Hayes?

- Tak?

- Mówi Max Hall. Wydawca „Post & Courier”. - Zawiesił głos.

- Ach, tak! To miło, że pan dzwoni. - Moje serce zaczęło bić tak mocno, że niemal rozsadzało klatkę piersiową.

- Przeczytałam pani eseje. - Znowu umilkł i to na długą chwilę. Uznał, że są do niczego? Spodobały mu się? No, powiedz wreszcie i przestań mnie dręczyć.

- No i?

- Cóż, tak się składa, że odchodzi od nas pewien felietonista z czwartkowej rubryki i mógłbym wstawić w to miejsce niektóre z pani tekstów. Chciałbym to z panią omówić.

- Wspaniale! Kiedy?

- Czy odpowiada pani piątek, około czwartej?

Gdyby zechciał, przyjechałabym nawet o trzeciej rano.

Następnego popołudnia wmaszerowałam do Berlin's zblazowanym krokiem stałej klientki. Kupiłam czarne spodnie Calvina Kleina, żakiet i czarny jedwabny podkoszulek, płacąc pełną cenę detaliczną. Następnie, cała nabuzowana, udałam się do Bob Ellis Shoes i nabyłam czarne szpilki od Prady oraz podróbkę czarnej torebki Chanel. Dzięki ci, Jezu, i wszystkim dobrym ludziom z towarzystwa ubezpieczeniowego! W piątek odebrałam spodnie od krawcowej, która dokonała pewnych poprawek, i popędziłam do domu sprawdzić swój nowy wizerunek. Stałam przed lustrem na drzwiach mojego pokoju - i spodobałam się sobie. Byłam wysoka, szczupła, opanowana.

A nawet pełna godności. Weszłam do pokoju Beth, by zaliczyć końcowy sprawdzian.

- A gdybym spięła włosy z tyłu, to jak bym wyglądała? Jak pisarka czy jak włoska wdowa?

- Ekstra, kochanie. Odjazdowo!

- Dzięki, jeśli to komplement.

Zadręczałam się przez całą drogę do biura Maxa Halla. A jeśli mu się nie spodobam? To nie romans, to interes. A jeśli mnie wyśmieję i uzna za idiotkę? A jeśli kupi i wydrukuje moje teksty, a wszyscy się o tym dowiedzą i zaczną mnie wyśmiewać?

- Pani Hayes?

Otworzyły się drzwi i obok mnie przemknął jakiś pryszczaty młodzieniec bez marynarki. Niby młodzieniec, lecz mimo to sprawiał wrażenie dzienikarza. Czulałam się staro, ale twarz Maxa Halla okazała się znacznie starsza od mojej. Nabrałam tchu i skoczyłam na głęboką wodę.

- Cześć! - Uściśnęłam jego dłoń. Mocny uścisk. Dobra wróżba. - Pan Hall?

- Mów mi Max. - Zamknął drzwi. - Wszyscy tak do mnie mówią.

Jego biuro było dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam. Za antycznym, obitym skórą biurkiem migał monitor komputera, podając najnowsze informacje u dołu ekranu. Na olbrzymim blacie stały liczne pojemniki na ołówki, rozdzielające schludnie ułożone papiery. Rozsiadł się w skórzanym obrotowym krześle i wskazał mi miejsce po drugiej stronie biurka.

- W takim razie ja mam na imię Susan.

- Świetnie. Napijesz się kawy?

- Chętnie. Może być czarna.

Zamówił przez interkom dwie filiżanki kawy. Potem odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na mnie.

- A zatem chcesz pisać do „Post & Courier”, tak? Jakie masz doświadczenia zawodowe?

- Jack... - zaczęłam.

- Co proszę? Pracowałaś dla jakiegoś Jacka? Czy ja go znam?

Odchrząknęłam, a moja twarz oblała się rumieńcem. Powinnam była obejrzeć jakąś kasetę z nagraniem rozmów w sprawie pracy.

- Ehm, nie, Max, to znaczy, mam mnóstwo doświadczeń zawodowych,

lecz nie w sferze dziennikarskiej. Dużo piszę w pracy, w bibliotece okręgowej. Podania o stypendia, broszury, ulotki, takie rzeczy.

- Aha, rozumiem. - Pochylił się nad biurkiem, a gdy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, dodał szeptem: - Chcesz powiedzieć, że guzik wiesz o dziennikarstwie. Mam rację?

Sukinsyn nie miał za grosz poczucia humoru.

- No cóż, tak i nie. Ciągłe słyszę, że mam dziennikarskie pióro i zabawnie piszę. Nie jestem pewna, jak to naprawdę wygląda.

- Już ja to osądzę.

- O Jezu! - Obląłam się kawą.

- Nie denerwuj się. Proszę - podał mi paczkę chusteczek.

- Dziękuję. Max, czy mogę być z tobą szczerą?

- Ależ proszę bardzo. Czytanie w myślach wychodzi mi prawie tak dobrze jak tobie rozmowy w sprawie pracy. - Z uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła. Wyglądało to zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam.

- Posłuchaj. Jeśli spodobało ci się dwadzieścia pięć opowieści, które przedstawiłam, mogę ci dać więcej. Prowadzę pamiętnik od najwcześniejszego dzieciństwa. Chodzi o to, że potrzebuję tej pracy. Samotnie wychowuję córkę, mój były mąż ma węża w kieszeni, a ja muszę coś udowodnić.

- Teraz słucham z uwagą. Co takiego musisz udowodnić?

- Muszę udowodnić córce, że ludzki duch potrafi pokonać każdą przeszkodę. To są historie dla kobiet w moim wieku, matek wyżu demograficznego. Przypominają im, że dzisiaj wychowywanie dzieci to betka w porównaniu z czasami segregacji, Wietnamu i tego wszystkiego, co działo się trzydzieści lat wcześniej i zmieniło świat.

- Uważasz, że twoje pokolenie zmieniło świat?

- Ależ oczywiście. Ta planeta nigdy nie była równie bezpieczna jak dziś. Powietrze i woda są o wiele czystsze, a zagrożenie wojną nuklearną zmalało właściwie do zera. - No dalej, kochanie, pomyślałam. Zastanowiłam się, czy stary dziwak ma w szafie jakieś mydło.

- A zatem możemy uznać, że inaczej oceniasz różne sprawy?

- Chyba tak. - Dlaczego nie potrafiłam nad sobą zapanować? W ten sposób nie oczaruję nikogo, nawet ja to wiedziałam. - Chwilami coś mnie ponosi.

- Jak cię ponosi, to może być dobrze. Mam jeszcze dwóch kandydatów i dam ci znać do poniedziałku, dobrze?

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Czy to uczciwe?

- O tak, więcej niż uczciwe! Dziękuję, Max, to tylko szkice, wiesz, mogę je wygładzić...

- Prześń się usprawiedliwiać. O Boże, wszyscy pisarze są tacy sami. - Wstał od biurka i otworzył drzwi. Spotkanie dobiegło końca. Wydałam osiemset pięćdziesiąt dolarów na strój czarnej wdowy, żeby przeprowadzić w nim pięciominutową rozmowę.

- Max? - Uścisnęłam mu rękę. - Dziękuję. Naprawdę ci dziękuję.

- Nie ma za co, Susan Hayes, wszechstronnie rekomendowana! Skontaktuję się z tobą na początku tygodnia.

Zaledwie dojechałam do domu, zadzwoniłam do Maggie.

- Chodźmy się upić - zaproponowałam.

- Bardzo chętnie, ale muszę dzisiaj zawieźć chłopców na trening. Moja kolej. Jak ci poszło?

- Pożyczyłabyś mi trochę valium? - Oplatałam sznur telefoniczny wokół łokcia i dłoni.

- O Boże, mogłabyś sama się o nie postarać. Poproś lekarza. No, powiedz, jak poszło. Bardzo źle? - Dlaczego tak zrzędzi? Sama mam załatwić sobie valium?

- Nie, chyba nie, w każdym razie nie jestem pewna. To trwało tak krótko.

- Czy dostał twoje portfolio?

- Tak, już wszystko przeczytał. Chyba po prostu chciał mi się przyjrzeć. Zanim zadzwoni, zupełnie się rozleczę. Mogę przyjechać?

- Oczywiście.

Nie pamiętałam jazdy na wyspę, ale wyszłam z transu w kuchni u Maggie, gdy poczułam w dłoniach butelkę soku brzoskwiniowego.

- Brzoskwiniowa herbata? Jak możesz pić coś takiego?

- Jest lepsza niż te wszystkie azotany, które wchłaniasz.

- Zapewne. Maggie? Coś jest nie tak?

- Od dwóch dni nie widziałam mojego męża. - Oparła się o zlew z dziwnym wyrazem twarzy. - Susan, Grant ma romans - oznajmiła.

- Do licha, co ty opowiadasz?
- Grant mnie zdradza z jakąś pielęgniarką w szpitalu. - Zalała się łzami. Już w słuchawce jej głos brzmiał nienaturalnie. Nic dziwnego, że kazała mi kupić własne środki uspokajające.

Objęłam ją mocno.

- Uspokój się. Skąd wiesz, że to prawda? Jesteś pewna?
- Znalazłam w kieszeni jego marynarki zapalki z wypisanym numerem telefonu.

- Zadzwoiłaś?

- Tak. Odezwała się automatyczna sekretarka. „Sheili i Debbie nie ma teraz w domu”. Co byś pomyślała?

- To samo, co ty, ale wiesz co? Powinnaś go zapytać. Po prostu o to zapytać.

- Żyję sobie wspaniale, mam wysprzątny dom, a mój mąż posuwa jakieś panienki na boku, o czym nie mam zielonego pojęcia. Ostatnio prawie nie przychodzi do domu i nie wiem, czuję takie gniesienie w brzuchu, rozumiesz?

- Rozumiem, nie da się ukryć. Tylko nie potrafię uwierzyć, Maggie, że Grant mógłby coś takiego zrobić. Przecież jest diakonem, na miłość boską. Wcale się nie nabijam. Ludzie, którzy w niedzielę służą do mszy, nie miewają kochanek! Potrzebujesz faktów. Zapytaj go prosto z mostu: „Grant, czy masz romans?”. Najlepiej wtedy, gdy będzie się zabierał do kolacji. No wiesz, przyłapiesz go z opuszczoną gardą.

- Och, Susan, nie mam odwagi.

- Ależ masz. On powie: „Skądże znowu, kochanie, jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?”, a ty na to: „Bo znalazłam w twojej kieszeni zapalki z White Horse Saloon, a na nich był zapisany numer telefonu, więc zadzwoniłam i odebrała jakaś Debbie. Powiedziałam jej, że jestem twoją żoną, ty zaś zamierzasz zarazić wszystkie panienki lekkich obyczajów wirusem HIV”. Tak mu powiedz. A potem sprawdź, czy się dławi, czerwieni albo coś w tym guście.

Parsknęła śmiechem. Ja też. Humor nigdy nie zawodzi.

- Jesteś bezbłędna, Susan. Tak zrobię. - Obeszła kuchenny stół. - Jak myślisz? Powinnam umyć włosy?

- Zdecydowanie. Nie chcę wywierać nacisku, ale spróbuj udawać, że ktoś z „Town & Country” robi ci zdjęcie, rozumiesz? Poszczuj psa, a gdy złapie trop, łubudu!

- Łubudu, tak? Akurat w tej chwili chciałabym mu zrobić takie łubudu, żeby wylądował w zakładzie pogrzebowym McAlistera. Sukinsyn jeden.

- Maggie! Jak ty się wyrażasz! Najpierw ustalmy fakty, kochanie. Mam przecucie, że jest to jedno wielkie nieporozumienie. Za skarby świata nie wyobrażam sobie Granta romansującego z kimś na boku. Po pierwsze, on cię kocha, a po drugie, to nie ten typ.

- Livvie zwykła mawiać, że każdy chłop to ten typ.

- Ano tak, niech spoczywa w spokoju, ona też czasami się myliła.

Wracalam do miasta z ciężkim sercem. Grant miał pięćdziesiąt jeden lat. Idealny wiek na romans z pielęgniarką. Rzeczywiście, nie poświęcał rodzinie zbyt wiele czasu, najwyżej zabierał chłopców na ryby, a w niedzielę wszyscy jechali do kościoła i jeszcze gdzieś, na przykład do kina. Rozmyślając o tym, zaczęłam się zastanawiać, co Maggie robi, jeśli się okaże, że ma rację? Uznałam, że lepiej się przygotować do przyjścia jej z pomocą, tak jak ona pomogła mnie.

Tego wieczora w domu było cicho. Oglądałam telewizję, a Beth czytała w swoim pokoju. Postanowiłam odpocząć od pisania i nadrobić zaległości, jeśli chodzi o seriale oraz rachunki do zapłacenia. O jedenastej zgasiałam światło i poszłam na górę. U Beth jeszcze się świeciło.

- Dobranoc, kochanie! - Posłałam jej całusa od drzwi.

- Hej, mamuś! Chcesz zobaczyć coś skandalicznego?

- Czemu nie. To pasuje do dzisiejszego dnia.

- Spójrz na ten katalog! O, to włożę na siebie w noc poślubną.

Usiadłam obok niej na łóżku i pokazała mi w katalogu bielizny damskiej zdjęcie wychudzonej blondynki z olbrzymim biustem i o wydatnych, błyszczących wargach, ubranej w lichą imitację szlafroka z białego, przejrystego nylonu, obszytego piórami. Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Był to najgorszy strój, w jakim mogłam sobie wyobrazić moją córkę. Zatrącał o pornografię.

- Skąd masz ten katalog?

- Ekstra, no nie? Dostałam go od Jennifer.

- Kto to jest Jennifer?

- Chodzi ze mną na biologię.
- To wszystko wyjaśnia. Słuchaj, kochanie, wyrzuć to do kosza. Kiedy będziesz wychodziła za mąż, pojedziemy po zakupy do Atlanty.
- A nie zaczniesz się wykręcać?
- Matka nigdy się nie wykręca, Beth, dobrze o tym wiesz.

Gdy w poniedziałek po pracy weszłam do domu z torbami pełnymi zakupów, Beth jak zwykle wisiała na telefonie, wymachując opętańczo rękami. Kuchnia - również jak zwykle - przypominała pobojuwisko, ale byłam tak wytrącona z równowagi, że nawet nie zaczęłam się wydzierać.

- Tak, właśnie przyszła. - Beth podała mi słuchawkę. „To on!” - zasygnalizowała ruchem warg, wskazując telefon. „Facet z «Post & Courier»!”.

- Słucham?

- Susan? Tu Max Hall. Miłą masz córkę, bardzo miłą.

- Dzięki.

- No cóż, jeśli nadal chcesz dla nas pracować, posada czeka. Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale spotkałem się jeszcze z dwiema osobami i przysięgam na Boga, nie uwierzyłybyś, co niektórzy ludzie uważają za rozrywkę.

- Rozumiem. Nadal chcę dla was pracować. Bardzo!

- A zatem musimy uzgodnić kilka spraw. Po pierwsze, wykorzystamy większość tekstów, które mi zostawiłaś, ale nie wszystkie. Może byś wpadła do redakcji, to o tym pogadamy? Przygotowałem też dla ciebie listę ewentualnych tematów. Wiesz, edukacja, sztuka, sport, takie rzeczy.

- Jasne! Żaden problem.

- Jest jeszcze przykra kwestia pieniędzy.

- Właśnie, pieniędzy - powtórzyłam jak papuga.

- Obawiam się, że płacimy skromnie, dziesięć centów za słowo, ale zawsze to coś.

- Świetnie, zgadzam się! - Twarda negocjatorka, pomyślałam.

- Pierwszy felieton pójdzie w czwartek, w rubryce „Z życia wzięte”. Mam do ciebie pytanie.

- Słucham.
- Czy chcesz pisać pod własnym nazwiskiem, czy pod pseudonimem?
- Pod pseudonimem. Mam zbyt wielu żyjących krewnych.
- W porządku. Aha, jeszcze jedno...
- Tak?
- Przekaż Jackowi, że równy z niego gość!
- Jasne. - Cholera, ten potwór nigdy mi tego nie zapomni.
- Będziesz u mnie w biurze jutro o czwartej?
- Pewnie! Dziękuję ci, Max, naprawdę.
- Przestań mi dziękować, Susan, zasługujesz na tę szansę. Sporo przeżyłaś, a twoje opowieści wielu ludziom dadzą do myślenia.

Odwiesiwszy słuchawkę, oparłam się o ścianę. Beth złapała mnie za rękę i zaczęłyśmy podskakiwać, wydając dzikie pohukiwania i okrzyki.

- Moja mama! Słynna felietonistka!
- O Boże! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zadzwonił! Jest trochę sztywny, tak mi się wydaje, ale co z tego?

- No właśnie!

Beth wyjęła z lodówki puszkę coli, a ja nalałam sobie kieliszek chardonnay. Trąciłyśmy się - aluminium brzęknęło o szkło - i wzniosłam toast.

- Za przyszłość!
- Za przyszłość! - zawtórowała Beth i uściśnęła mnie. - Mamo, nie chcę zmieniać tematu, ale czy tata kontaktował się z tobą?

- Nie, a bo co?

- Tak się zastanawiałam. - Usiadła wyprostowana na barowym stołku.
- No dobra, czas na przykrą wiadomość. Widziałam go z tą kobietą.

- No i co z tego? Posłuchaj, Beth, jesteś już wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć pewne rzeczy. Ludzie powinni mieszkać, gdzie chcą, i robić, co chcą. Jeśli on zechce wrócić i potraktuje to poważnie, tobie pierwszej o tym powiem.

- Chyba tak. Miałam ci nie mówić, ale teraz, po tych dobrych wieściach, doszłam do wniosku, że mogę.

- Słusznie. Niech się sobą cieszą. Chodź! - Otworzyłam lodówkę. - Zrobimy spaghetti. Opowiedz, co dziś było w szkole.

- Jonathan wreszcie zaczął ze mną rozmawiać.

- Powiedz mu, żeby ci nie robił łaski. Nie mamy ostrej papryki?

- Mamy. W dolnej szufladzie. No więc, mamuś?

Uwielbiałam, kiedy mówiła do mnie „mamuś”.

- Trudno jest pisać?

- Nie. To tak jak z tańcem. Wczuwasz się w rytm i ruszasz pełną parą.

Wiesz, o co mi chodzi?

- Poniekąd. To znaczy, łatwo pisać o czymś miłym, ale co zrobisz, jeśli poproszą cię o opisanie czegoś przykrego?

- Miejmy nadzieję, że poproszą. Na przykład czego?

- Nie wiem. Śmierci, dajmy na to.

- To chyba najtrudniejsze pytanie, jakie dzisiaj usłyszałam, ale nawet w śmierci można znaleźć akcenty humorystyczne, zwłaszcza w stypach i pogrzebach. Chyba będę odradzała ludziom przynoszenie szynek na stypy. Mówiłam ci o tych stertach, które dostawaliśmy?

- Jesteś niesamowita, mamo.

11.

Tipa

1963

Był słoneczny październikowy ranek. Ostatni okrucz babiego lata przed miesiącami szarości. Czekaliśmy z Maggie, Timmym i Henrym na szkolny autobus. Bliźniaczki były już w domu mniej więcej od miesiąca. Mama nadała im imiona: Allison (na cześć aktorki June Allison) i Sophie (na cześć babci), i gdy zawieźliśmy je do kościoła Stella Maris, by zmyć z nich piętno szatana, zostały ochrzczone jako Allison Marie i Sophie Ann. Wydzierały się przez całą ceremonię, ale zaledwie wróciły do domu, Livvie zaprowadziła porządek. I powiedziała, że to dobre dzieci.

Mama już nie zrywała się z łóżka, żeby nam zrobić śniadanie. Jakoś dawaliśmy sobie radę sami. Tata wyjeżdżał do pracy wcześniej niż przedtem. Budowa okręgowego gimnazjum postępowała szybko, ale bez przerwy pojawiały się jakieś kłopoty. Zaledwie poprzedniego dnia ktoś powiesił na pobliskim drzewie kukłę przedstawiającą ojca. Słyszałam, jak tata mówił wujkowi Louisowi, że miała na szyi tabliczkę z napisem HANK HAMILTON KOCHA CZARNUCHÓW. Wieczorem zjawili się Gruby Albert z panem Struthersem, aby porozmawiać z tatą. Siedzieli na ganku i dyskutowali o groźbach i związanym z nimi niebezpieczeństwie. Myślałam, że tata się przestraszy. Ale nie, tym bardziej pragnął zrealizować swój plan. Sprawił jednak wrażenie zmartwionego i był w wyjątkowo paskudnym humorze. Nie muszę dodawać, że się bałam, co z tego wszystkiego wyniknie, ale wolałam nic na ten temat nie mówić.

Nazajutrz rano stałam na podjeździe, wypatrując autobusu. Było późno. Żadne z nas nie miało ochoty jechać do szkoły. Chłopcy wzbijali obłoki kurzu, który osiadał na naszych wypu-cowanych butach. Protestowałyśmy

placzkliwym tonem, a oni nas przedrzeźniali, co było niesłychanie denerwujące.

Wreszcie hałaśliwy żółty autobus zatrzymał się przy nas z piskiem opon i umięśnione ramię panny Fanny wystrzeliło ku nam, otwierając drzwi. Właścicielka sklepiku była zarazem naszym szanownym kierowcą. Powitała nas, przechylając głowę w bok.

- Dzień dobry! Wsiadajcie, szkoda czasu. Uspokójcie się, dzieciaki! Hej, Billy i Teddy! Jak się nie uspokoiacie, powiem ojcu O'Brienowi! - krzyczała na chłopców siedzących z tyłu, którzy tłukli się torebkami z drugim śniadaniem. - Bóg mi świadkiem! Co za chłopaki.

Wsiadłam ostatnia.

- Dzień dobry, panno Fanny, jak się pani miewa? - powiedziałam.

- Zaraz ci powiem, jak się miewam! Przez tych stukniętych małych Blanchardów przedwcześnie się zestarzeję!

- Niech się pani nimi nie przejmuję - rzuciłam. - To kretyni.

Jeden z chłopców wrzasnął. Panna Fanny spurpurowiała ze złości.

- Dość tego dobrego! Teddy, Billy! Chodźcie tu do przodu, ale już! - rozkazała. - Poprowadzicie różaniec, a jeśli któryś z was choćby kiwnie palcem, od razu pomaszerujecie do ojca O'Briena, gdy tylko dotrzemy do szkoły!

Jazda szkolnym autobusem przyczyniała się do skracania pobytu w czyścicu. Codziennie, ledwie mineliśmy Ben Sawyer Bridge, panna Fanny rozpoczynała dziesiątek różańca. Każdy odmówiony dziesiątek to o sto lat czyścica mniej. Jeżeli się odmówiło Tajemnice Bolesne z należytym zapalem, można było sobie oszczędzić tysiąca lat czyścica. A przynajmniej tak nam się wydawało.

- Uspokójcie się! Bądźcie cicho! - krzyczała panna Fanny.

Nie przestawaliśmy się zaśmiewać i zachowywać jak banda szaleńców, rozochoceni poranną dawką cukru w Alphabits i soku. Uważałam, że dość się modlimy w szkole. Ale panna Fanny była uparta i coraz bardziej rozłoszczona, i jak zwykle zaczęła nam wymyślać.

- Ej, wy, dzieciaki! Do jasnej cholery! Zamknijcie buzie, u diabła, bo wszystko powiem ojcu! Teddy! Billy! Siadajcie na miejscach... w imię Ojca i Syna, i...

Słyszając słowa modlitwy, wykrzyczane pełnym głosem, ucichliśmy natchnionych i zawtórowaliśmy pannie Fanny, podśmiewając się z gróźb i przekleństw, które padły na wstępie. Tego dnia odmawialiśmy Tajemnice Bolesne.

- Pomyślcie o naszym Panu i Jego Mamie u stóp Krzyża.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota Twojego Jezus.

Panna Fanny intonowała modlitwę, a bracia Blanchardowie stroili tak pobożne miny, że niemal widziało się otaczające ich aureole. Wiedzieliśmy, że próbują nas rozśmieszyć. Ale nie musieli. Wystarczyły słowa „owoc żywota”, żebyśmy wszyscy zanosili się tłumionym chichotem. W swej żarliwości panna Fanny nie zwracała na to uwagi.

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Odmówiliśmy pięćdziesiąt wymaganych Zdrowaś Maria, cztery Chwała Ojcu i właśnie katowaliśmy zbiorowo wyznanie wiary, gdy autobus wtoczył się na nieasfaltowany parking i stanął pod wielkim dębem, z którego osypywał się mech (i czerwone larwy). Rozbiegliśmy się do nauki i dalszych modłów.

Maggie była godną dziesiątkoklasistką z Bishop England High School, my zaś wciąż pozostawialiśmy trójką smarkaczy, chodzących do szkoły podstawowej Stella Maris w Mount Pleasant. Musiała jednak jeździć z uczniami podstawówki, a potem następny autobus zabierał ją do miasta. W domu była moją najlepszą przyjaciółką, lecz w autobusie siedziała jak najdalej od nas, z innymi uczniami szkoły średniej, i przez całą drogę wyglądała w milczeniu przez okno, przewracając oczami i robiąc poważną minę.

Był to mój ostatni rok w Stella Maris i nie mogłam się doczekać jego końca. Około dziesiątej, gdy właśnie zaczęłam rozwiązywać test z matematyki, do klasy wszedł cicho ojciec O'Brien i szepnął coś siostrze Marcie, naszej nauczycielce.

- Susan Hamilton?

- Tak, proszę siostry?

- Pójdiesz z ojcem O'Brienem. Zabierz swoje rzeczy.

Niezdarnie pozbierałam książki. Nie było nic gorszego niż wezwanie do ojca O'Briena. Wszystko traktował z najwyższą powagą i nigdy nie okazywał

dzieciom pobłażliwości. Dlaczego ktoś taki został dyrektorem szkoły podstawowej, stanowiło po prostu jeszcze jedną tajemnicę Kościoła katolickiego. Krążyły pogłoski, że swego czasu studiował u jezuitów. Już samo to wiele wyjaśniało.

- A mój test? - zapytałam.
- Napiszesz go później.
- Chodź ze mną - polecił ojciec O'Brien.
- Dziękuję siostrze - powiedziałam.

Cała klasa odprowadziła mnie spojrzeniem. Co ja takiego zrobiłam? A może to Henry? Albo Timmy? Czy autobus Maggie miał wypadek? Zamartwiałam się przez całą drogę do gabinetu ojca O'Briena, gdzie siedzieli już na ławce przed drzwiami Timmy i Henry, obaj przerażeni. Wstali i wszyscy weszliśmy do środka. Stanęliśmy przed biurkiem, a ojciec zasiadł w swoim fotelu.

- Dzieci, niestety, mam wam do przekazania bardzo smutną wiadomość. Wasz dziadek, pan Asalit, zgasł dzisiaj rano.
- Czy to znaczy, że nie żyje? - spytał Henry.
- Synu, nie żyje tylko jego ciało, dusza zaś jaśnieje pełną blasku chwałą zmartwychwstałego Chrystusa. Z pewnością nie zapomniałeś katechizmu.

Timmy i Henry wybuchnęli płaczem, a ja stałam w osłupieniu, gapiąc się na ojca O'Briena. Potem objęłam braci i sięgnęłam po chusteczki leżące na biurku.

- Nie czas teraz folgować łzom. Pomódlcie się, by jego dusza jak najprędzej znalazła się na łonie naszego Pana, i oszczędzajcie siły, abyście mogli wesprzeć waszą matkę i babkę. Pamiętajcie, że wasza mama straciła swego tatę, a babcia swego męża.

Ciche łzy popłynęły mi po policzkach. Nie wiedziałam, co robić, żadne z nas nie wiedziało. Czas jakby się zatrzymał, a my staliśmy, oczekując jakiejś pociechy. Roztrzęsieni, wystraszeni i zapłakani.

- Czy mogę zadzwonić do mamy? - zapytałam wreszcie.
- Niej lepiej jej nie niepokoić. Wasza ciocia Carol już jest w drodze, żeby was zabrać do domu. Najpierw pojedzie po Maggie. Możecie pójść do kaplicy i pomodlić się za duszę dziadka, a później, jeśli chcecie, zaczekajcie na ławce na zewnątrz.

- Na szkolnym podwórzu?
- Tak.

Zgoda na przebywanie bez nadzoru na szkolnym podwórzu stanowiła epokowe wydarzenie. Chwyciłam garść chusteczek i wyprowadziłam braciszków z gabinetu.

Najpierw zajrzeliśmy do kaplicy. Była pusta, tylko na ołtarzu paliło się światełko, sygnalizując obecność Eucharystii w tabernakulum. Przemknęliśmy truchcikiem na sam przód, pospiesznie przyklekliśmy przed ołtarzem i szybko podeszliśmy do figury Matki Boskiej. Jej puste gipsowe oczy wpatrywały się we mnie, a jej półuśmiech wydał mi się drwiący. Przeszył mnie dreszcz. Jako najstarsza, sięgnęłam pod tacę ze świeczkami po zapalki i zapaliłam trzy świece, po jednej na każde z nas. Przeżegnałam się i trąciłam Timmy'ego i Henry'ego w żebra, aby zrobili to samo.

- Drogi Boże - zaczęłam - proszę, zabierz dziadka Tipę prosto do nieba i nigdzie indziej. Był dobrym dziadkiem i porządnym człowiekiem. I miał mnóstwo powodów, żeby zrzędzić. Proszę też, pomóż babci Sophie i naszej mamie nie dostać od tego hysia. Amen.

- Amen - powtórzyli moi braciszku.

Wstaliśmy z klęcek i czym prędzej czmychnęliśmy z kaplicy. W pustych kościołach zawsze ciarki chodziły mi po plecach.

Jazda z ciotką Carol przypominała chaotyczny sen. Ciotka przez cały czas snuła nerwowy monolog, roztrząsając, w co się ubierzemy, kto przyjdzie i że musimy być cicho, kiedy dojedziemy do domu. Gdy mijaliśmy ludzi na ulicy, zaprzątniętych własnymi sprawami, zastanawiałam się, czy potrafią odgadnąć, że w nasze życie właśnie wkroczyła śmierć? Czy mogą to wyczytać z naszych twarzy? Henry wciąż płakał, a ciotka Carol powtarzała tylko: „No już, już”.

Kiedy dotarliśmy do Island Gamble, Livvie czekała na nas w blasku słońca na kuchennych schodach. Rzuciła nam jedno spojrzenie i rozpostarła ramiona.

- Chodźcie do Livvie. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Uściskaliśmy ją z całej siły. W jej mocnych ramionach od razu poczułam się lepiej. Gdy zobaczyła, że lęk znika z naszych twarzy, ustępując miejsca spokojowi, wypuściła nas z objęć.

- Idźcie, ucałujcie mamę i babcię, a potem wracajcie tu do mnie. Maggie, zajmij się bliźniaczkami, dobrze, dziecińko?

- Jasne - odparła Maggie.

Weszliśmy do domu, zostawiając Livvie z ciotką Carol na schodach. Ciotka nadal gadała, a Livvie kręciła głową.

Zastałam mamę w łóżku, a stara Sophie siedziała obok na krześle. Mama sprawiała wrażenie pijanej, ale w tym momencie stał się cud: babcia Sophie przemówiła.

- Lekarz dał jej zastrzyk na nerwy - powiedziała.

Pomimo zaistniałej sytuacji była w świetnej formie, lepszej niż kiedykolwiek za mojej pamięci.

- Idź po swoją ciotkę, dziecko, powiedz jej, że chcę z nią porozmawiać. Możesz to dla mnie zrobić?

Timmy pobiegł po ciotkę Carol, a my z Henrym ruszyliśmy za Sophie, która wolnym krokiem wróciła do swego pokoju i wdrapała się na łóżko.

- Wejdźcie! Wejdźcie! Przecież was nie ugryzę!

Podeszliśmy nieśmiało.

- Przykro mi, że straciłaś męża, babciu. - Henry nadal popłakiwał.

- Cóż, któreś z nas musiało odejść pierwsze. Chcesz chusteczkę? Weź sobie jedną i wydmuchaj nos. Jest mi tylko przykro, że nie byłam przy nim do końca, to wszystko.

- Jak to się stało, babciu? Czy mogę o to zapytać?

- Padł martwy na poczcie, biedaczysko. Dostał ataku serca i po prostu upadł. Poszedł po listy, jak co dzień! W jednej chwili żyjesz, a w następnej, puf! - gryziesz ziemię. Ktoś zdmuchnął jego świeczkę. Przypuszczam, że teraz wasz ojciec wypędzi mnie z domu, skoro zabrakło Tipy, który stawał w mojej obronie. Susan, zajrzyj do górnej szuflady i poszukaj jakiejś pary pończoch.

- Już się robi! - Otworzyłam szufladę, z której uleciała nikła woń starych perfum. - O rany, tata nigdy by tak nie postąpił! Nawet o tym nie myśl! - Znalazłam pończochy i podałam jej.

- Połóż je na łóżku i poszukaj mojej podomki. A twój ojciec jest do tego zdolny. To twardy człowiek. Jakże ja sobie poradzę bez Tipy? Wszystko przy mnie robił! Gdzie twoja ciotka? Muszę z nią porozmawiać o pogrzebie. Próbowałam rozmawiać z waszą mamą, ale ona leży w łóżku i zachowuje się tak, jakby tylko jej przypadło w udziale dźwigać krzyż. - Odchrząknęła donośnie i splunęła w chusteczkę. - Przynieś mi trochę wody - wychrypiała.

- Pójdę po ciocię Carol - zaproponowałam, pragnąc wreszcie stamtąd wyjść.

- Pospiesz się. Mamy mnóstwo roboty!
- Tak jest. - Zerknęłam na Henry'ego, który wzruszył ramionami, i umknęłam do kuchni. Zapowiadała się interesująca scena.

W kuchni Livvie rozmawiała z Timmym.

- Dzisiaj będziemy się uwijać jak te pszczoły - usłyszałam. - Susan! Chodź ze mną, powyjmujemy wasze ubrania, co je włożycie do domu pogrzebowego. Gdzie jest taśma samoprzylepna?

- Po co nam taśma samoprzylepna? - spytałam.

- Chyba se żarty stroisz z Livvie. Nie wiesz, że bez taśmy nima pogrzebu? Chodź, dziewczyno. Bierzmy się do roboty.

Poprosiłam Timmy'ego, żeby zaniósł Sophie szklankę wody, i ruszyłam za Livvie.

- Sophie mówi - poinformowałam ją.

- To przez ten wstrząs.

- Pewnie tak.

- Mam ci coś do powiedzenia.

Otworzyłam szafę chłopców i wyciągnęłam dwie koszule.

- Tak? A co? Czy te będą dobre?

- Coś żem widziała na własne oczy.

- Co takiego? Tu są dwa krawaty. Ten ma plamę.

- Siądź no tu na moment - poleciła, wskazując łóżko.

- O co ci chodzi?

Livvie miała bardzo dziwną minę.

- Dziś rano chciałam najsamopierw zamieść ganek. Pan Tipa poszedł na pocztę. No i zobaczyłam coś w salonie. To był mężczyzna.

- Kto?

- Tegom jeszcze nie wiedziała, ale powiem ci jedno: twoja ręka by przeszła przez niego na wylot!

- Co? Duch?

- Tak jest. Jeślim kiedy w życiu widziała zjawę, to to właśnie była zjawa.

- Idźże, Livvie, nabierasz mnie.

- Nie, szanowna pani! Jakem szła korytarzem, zobaczyłam jakąś chmurę w tym dużym lustrze. Chmura urosła i przybrała postać mężczyzny, który wyszedł z lustra i mi się uklonił.

- Mówisz poważnie?
- Najpoważniej w świecie.
- Powiedz mi dokładnie, co widziałaś - poprosiłam, nie wierząc w ani jedno słowo.

- Ten mężczyzna, co wyszedł z lustra, był w kapeluszu i garniturze. Kazałam mu wracać do piekła czy skądkolwiek przyszedł i nie nękać ani mnie, ani nikogo z tej rodziny. Mówię mu, że nie wydajemy tu żadnego przyjęcia i czego on w ogóle chce? A wtedy on pokazał mi zdjęcie twoich dziadków i juzem wiedziała, co knuje! Nie przyszedł na żadne przyjęcie, przyszedł wyssać oddech twojego dziadzia! Ot co! Musowo trzeba coś zrobić z tym lustrem. Nie przynosi nic dobrego. Zanim słońce zajdzie, rzucę trochę cunja na tę rzecz.

- Livvie? Wiem, że byś mi nie skłamała, ale ja nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

- Hmm. Jażem się swego czasu naoglądała rozmaitych dziwów. No, zabieraj sukienkę i chodźmy na dół.

Zanim minęła czwarta po południu, zgromadziliśmy w kuchni ponad pięćdziesiąt naczyń zawierających specjalności kulinarne wszystkich gospodyń domowych z wyspy. Livvie była w kuchni, a my z Maggie na przemian otwierałyśmy drzwi.

- O, pani Dufour! Szynka! Jak to miło z pani strony!
- Jak się czuje twoja mama, skarbie?
- Chyba dobrze, nie zaglądałam do niej od jakiegoś czasu.
- No cóż, nie trzeba jej niepokoić. Słuchaj, złotko, to mój najlepszy półmisek, więc proszę, powiedz mamie, że będzie mi potrzebny w przyszłym tygodniu.

- Oczywiście, pani Dufour. Przyklepię pod spodem kawałek taśmy z pani nazwiskiem.

- Grzeczna dziewczynka.

Niosąc korytarzem dziesięć funtów różowego mięsa, przystanąłam na przeciw dużego lustra w salonie i rzuciłam na nie okiem. Nic nie zobaczyłam. Nic a nic.

- Jeszcze jedna szynka - oznajmiłam, wchodząc do kuchni.
- Słodki Jezu! Więc mamy dziesięć szynek, dwadzieścia dwie miski sałatki ziemniaczanej, sześć form galaretki z karmelkami i pekanami, trzy

torty czekoladowe, siedem tortów kruchych, dziewięć salatek czerwonego ryżu, cztery salaterki kurczaka z ryżem i całą furę zapiekane. - Livvie pokręciła głową. - Oznacz ten półmisek i dopisz nazwisko do listy. Twoja mama musi podziękować tym wszystkim kobietom. Daj mi to, odkroję mięso od kości. Uff. Warto by sprawić tej rodzinie psa, ot co. Tyle kości.

Livvie zaczęła nucić kolejny hymn kościelny. Odsunęłam na bok kilka naczyń i postawiłam szynkę. Stół sprawiał wrażenie, jakby miał się zawalić pod ciężarem jedzenia. Za skarby świata nie potrafiłam sobie wyobrazić, kto to wszystko zje.

- Co to za pieśń, Livvie? - spytała Maggie.

- O, dziecko, to moja ulubiona. No, powiedzmy, jedna z moich ulubionych. Nazywa się „Niezgłębiona łaska”. Posłuchajcie tylko. - I zaczęła śpiewać swym dźwięcznym głosem.

*Choćbyśmy tam przez lat tysiące trwali,
Blask jasny słońca w krąg rozsiewali,
Tyle mieć dni będziemy, co u zarania
Dla chwały Bożej wyśpiewania.*

- Czyż nie ładne to słowa? - zagadnęła Livvie.

- Piękne - odparłam. Ten głos, który potrafił tak ostro na nas pokrzykiwać i tak łagodnie uspokajając, należał do najcudowniejszych, najbardziej przepojonych uczuciem głosów, jakie mogłam sobie wyobrazić. Kiedy śpiewała, cały świat zamierał w bezruchu.

- Przychodzi mi na myśl pan Tipa, jak teraz śpiewa z aniołami Bożymi - powiedziała. - Lubię tę pieśń, bo mi przypomina, że łaska Boża to zbawcza łaska. Spływa na każdego, wiecie, o co mi chodzi?

- Nie znam nikogo, kto by tak śpiewał jak ty! - zapewniła Maggie.

- O, dajże spokój, dziecko, nie opowiadaj mi głupot. Złotko, w moim kościele śpiewa tyle kobiet, że nawet ich nie zliczysz.

- Zaśpiewaj coś jeszcze - poprosiłam.

- Złotko, śpiewam przez cały dzień, kiedy wy jesteście w szkole - odrzekła. - Czas szybciej mija, no i pieśnią chwalebę Pana. Wcale nieźle, co? No, panienko Maggie, dość już paplania o mnie. Pokaż listę.

Maggie wręczyła jej blok, w którym notowała, kto co przyniósł, swoim kaligraficznym piśmem uczennicy szkoły katolickiej. Złościło mnie, że to

ona zawsze wszystko zapisuje, nawet punkty podczas gry w remika albo w kanastę.

- Gdzie chłopcy? - zapytałam.

- Posłałam Timmy'ego do Asalitów po dużą chłodziarkę, a panicz Henry poleciał do „Red & White” po lód i papierowe kubki. Goście będą przychodzić i dziś, i jutro, więc potrzeba nam naczyń jednorazowego użytku, chyba że chcecie zmywać szkło i talerze.

- Nie, jednorazowe to dobry pomysł - zgodziła się Maggie.

- Aha - przytaknęłam. - Czy mama dalej leży w łóżku?

- Doktor już był u niej i jeszcze przyjdzie - odparła Livvie.

Oznaczało to, że doktor dał mamie zastrzyk na uspokojenie. Mieliśmy na wyspie dwóch lekarzy. Jednym był doktor Whicket, który przeważnie dawał M.C, zwalające z nóg zastrzyki i doprowadzał ją do stanu śpiączki, a drugim doktor Duggan, który dawał jej pigułki i skutek był taki, że miała rozszerzone źrenice i popadała w trans. Nazywaliśmy ich Kłuj Whicket i Truj Duggan.

- To był Kłuj - zawyrokowała Maggie. - Jest nieprzytomna.

Bliźniaczki drzemały, a Smrodliwa Sophie najwyraźniej brała prawdziwy prysznic. Tata z wujkiem Louisem byli w Charlestonie i zapewne wybierali trumnę w zakładzie pogrzebowym. Livvie kroїła szynkę i zawijała w folię aluminiową, układając srebrzyste cegielki w lodówce. Mieliśmy cztery tuziny jaj na ostro. Dwa tuziny i tort bezowo-cytrynowy od Mary Burbage, żony naczelnika poczty, a resztę od jakiejś starowinki, która chodziła do tego samego kościoła co my.

Rzecz jasna, najbardziej w tym wszystkim interesowała mnie stypa, no i pogrzeb.

- Livvie? Byłaś kiedyś na stypie?

- O nieba! Nawet nie pamiętam, ile razy!

- Jak wygląda martwy człowiek? To znaczy, kiedy już leży w trumnie i w ogóle, można się go przestraszyć?

- Dla mnie wyglądają jak woskowe kukły. A jakbyś popatrzyła, to zobaczysz, że twój dziadzia wcale tam nima. Sama powłoka, nic więcej. Duch uleciał. Ale pamiętaj, że nie musisz patrzeć, jeśli nie chcesz. Moja kuzynka Harriet nigdy nie spojrzała na umrzyka, a pochowała rodziców i

jednego męża. - Przerwała, żeby mi zademonstrować, jak się unika kontaktu wzrokowego ze zwłokami. - Po prostu kiedy podchodzisz, żeby złożyć uszanowanie, zawieszasz oko nad trumną - wyjaśniła - i nie opuszczasz go.

Boże, kocham Livvie, prawdziwy z niej skarb, pomyślałam. Ktoś zastukał do kuchennych drzwi, więc wyjrzałam na zewnątrz. No i patrzcie państwo, stała tam Alice Simpson, trzymając ciasto biszkoptowe z galaretką i sześć butelek coca-coli.

- Jak się czuje wasza mama, kochanie?
- Dobrze, pani Simpson. Dziękuję za ciasto i colę. Miałaby pani ochotę na kawałek szynki?
- Nie, dziękuję. Kiedy stypa?
- Nie wiem. Tata z wujkiem Louisem pojechali do miasta, żeby wszystko zorganizować.
- No cóż, jak już będziesz coś wiedziała, daj mi znać.
- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję.

Patrzyłam za nią, gdy schodziła po stopniach i wkraczała między oleandry. Wydała mi się jakaś smutna. Może w ogóle nie miała rodziny? Gdyby jednak zjawiła się na pogrzebie, wszystkie języki poszłyby w ruch. Byłby to pretekst, żeby przyjść wcześniej i zostać do późna.

Nazajutrz rano Maggie przyrządziła biskwity z szynką, omlety z szynką i jaja na szynce. Wyglądało na to, że nieprędko uporamy się z tą górą mięsa. Zmieniłam bliźniaczkom pieluchy, dałam im butelki i przeniosłam do kojca. Wielka szkoda, że nie mają zębów, pomyślałam.

Tata, Timmy i Henry jedli i rozmawiali. Mama od poprzedniego dnia leżała w łóżku, a babcia Sophie jeszcze nie wyszła ze swojego pokoju. Może oczekiwała podania posiłku do łóżka, lecz nikt jej nie obsłużył. Pukanie do kuchennych drzwi obwieściło przybycie wujka Louisa.

- Hej, stary! Jesteś na nogach? - wykrzyknął zza siatki.
- Jestem. Wchodź, Louis, pomożesz nam to zjeść. Bóg mi świadkiem, to przypomina pradawny hawajski rytuał. Gdy jeden ze starszych umiera, zarzyna się w ofierze sto świń - powiedział tata. - Wstań, synu, ustąp wujkowi miejsca.

Timmy zerwał się z krzesła, wstawił swój talerz do zlewu i nalał wujkowi Louisowi filiżankę kawy.

- Ano tak, stary Tipa przeniósł się na tamten świat - zauważył wujek. - Poszedł do Bozi. W sumie to dziwne, wiesz? Jak się dziś miewa moja mama? Gdzie cukiernica?

- Tutaj. - Tata przesunął cukiernicę po stole. - Jest wstrząśnięta, oczywiście, ale wprost tryska energią. Wczoraj usta jej się nie zamykały.

Wszystko działo się w zwolnionym tempie, a prawdziwe znaczenie miało to, czego nie dopowiedziano. To, że poczucie humoru wujka Louisa było nie na miejscu, że tata porównywał śmierć Tipy do hawajskich rytuałów, że mama zaszyła się w swojej kryjówce - wzmagало napięcie nerwowe. Nasza czwórka zachowywała się jak Indianie w puszczy: stąpaliśmy cicho i ostrożnie, poruszając się w cieniu.

Przyjechała Livvie, Henry z Timmym gdzieś zniknęli, a tata z wujkiem Louistem rozmawiali dalej.

- Gdzie twoja mama? - zapytała szeptem Livvie, zawiązując fartuch.

- Nie wiem. Nie widziałam jej - odparłam.

- Hm. Masz tu. - Naląła kawy do filiżanki. - Zanieście jej to, dziewczynki. Ja zmyję naczynia i zaraz przyjdę. Trzeba ją ruszyć z tego łóżka. Tak nie powinno być. Już się dość nawylegiwała.

Nigdy przedtem korytarz nie wydawał mi się tak ciemny. Maggie szła przodem, a ja niosłam filiżankę na spodeczku, słysząc pobrzękiwanie kruchej porcelany. Ostrożnie uchyliłyśmy drzwi. Zasłony były zaciągnięte, dostrzegłyśmy na łóżku tylko niewyraźną sylwetkę, okrytą kołdrą. Miałam złe przeczucia, a twarz Maggie również nie promieniała nadzieją.

- Mamo? - rzuciłam. - Przyniosłam ci kawę. Cisza.

- Mamo? - odezwała się Maggie. - Pora wstawać. Postawiłam filiżankę przy jej łóżku i zaczęłam rozsuwać zasłony.

- O Boże! - rozległo się nagle. - Mój tatuś nie żyje! Nie zniosę tego!

Wystraszyła nas obie śmiertelnie. Na szczęście do pokoju weszła Livvie.

- Pani M.C.? No, już pora wstawać, mamy nowy dzień!

- Nie mogę! - dobiegł żaloszny okrzyk spod skotłowanej pościeli. - Dajcie mi spać!

Livvie rozsunęła zasłony do końca i potoki światła zalały pokój.

- Dlaczego musiał umrzeć mój tatuś, a nie ja? - płakała mama.

- Idźcie stąd, dziewczynki, ja zostanę z waszą mamą. Przynieś mi zmoczony ręcznik, Maggie. Pospiesz się.

Moje zdrętwiałe nogi nie chciały usłuchać polecenia Livvie. Nie mogłam uwierzyć, że mama pragnie śmierci. Owszem, wiedziałam, że życie daje jej w kość. Sześcioro dzieci, wredny mąż, szurnięta mama, zmarły tata i tylko jedna czarna kobieta jako podpora. Serce we mnie zamarło.

Wróciła Maggie. Podała Livvie mokry ręcznik i wyszła, nie zauważając mnie w kącie pokoju.

- Pani M.C., niech mnie pani dobrze posłucha. Nasz Pan nigdy nie zsyła klęsk, których byśmy nie zdołali udźwignąć. Miarkuje wiatr wedle wełny jagnięcia. Niechże się pani weźmie w garść! No już. - Otarła ręcznikiem twarz matki. - Już dobrze. Smutno pani, wiem. Wszystkim nam smutno. Brak nam będzie pana Tipy. To był porządny człowiek, ale Bóg go wezwał, a nie przystoi ludziom pytać Boga, dlaczego. Nie, pszepani, nie przystoi. Niechże pani wypije tę kawę, a ja znajdę dla pani sukienkę. Ludzie od wczoraj przynoszą jedzenie i musi pani wziąć się w garść. Aż się tu roi od sąsiadów z tortami i innymi takimi. A ile szynek przynieśli! Wielkie nieba! Moglibyśmy nakarmić batalion wojska.

- Ile szynek? - spytała matka.

- Ponad dwadzieścia!

Moja matka uniosła się do pozycji siedzącej i sięgnęła po kawę. Jak to określał tata, przypominała upiora z Domu Strachów.

- Kiedy zmarł tata Carol, dostali trzydzieści - powiedziała. - Ta kawa jest zimna.

- Dzień się jeszcze nie skończył - zauważyła Livvie. - Zaparzę świeżą.

- Susan! Nie zauważyłam cię! Chodź tu, daj mamie buziaka.

Odstawiła filiżankę na nocny stolik, rozpostarła ramiona i jednym westchnieniem wyssała z pokoju całe powietrze. Rozdygotana, pochyliłam się nad jej łóżkiem i pocałowałam ją w, policzek. Poczulałam zapach potu i perfum.

- Naprawdę żałujesz, mamó, że nie umarłaś?

Livvie znieruchomiała i pewnie rzuciła jedno ze swych słynnych spojrzeń, bo oczy mamy pomknęły w jej stronę.

- Nie, kochanie. To tylko nerwy - odparła.

Wychodząc, czułam każdą komórką swego trzynastoipółletniego ciała, że moja matka kłamie.

Kiedy na Wyspie Sullivana ktoś umierał, wszyscy sąsiedzi szli na stypę, żegnali zmarłego, wymieniali pocałunki z jego rodziną, czekali, aż honorowi strażnicy katolickiego Zakonu Kolumba wypełnią swój obowiązek, a w końcu odmawiali różaniec z miejscowym proboszczem.

Nigdy przedtem nie byłam na stypie, lecz od paru lat słuchałam rozmaitych opowieści. Wszyscy powtarzali, jak dobrze się spisał zakład pogrzebowy i że nieboszczyk wyglądał zupełnie jak żywy. Ich donośne okrzyki mogłyby obudzić umarłego. Bardzo śmieszne.

Okolo dziewiątej wszyscy dorośli zaczęli się domagać koktajli i wracali do domu zmarłego, gdzie uctowali do białego rana, jedząc, pijąc i opowiadając najrozmaitsze zabawne anegdoty o nieboszczyku.

O czwartej przed stypą Livvie zebrała nas w kuchni, skrytykowała nasz wygląd i uczesała na mokro czupryny Timmy'ego i Henry'ego. Wsunęła im koszule w spodnie, wcisnęła w dłonie różańce i wyprostowała krawaty. Następnie wygłosiła obszerny wykład o dobrych manierach.

- No dobra, posłuchajcie. Wolę, żeby nikt mi nie opowiadał, żeście się źle zachowali w zakładzie pogrzebowym, jasne? Macie postępować godnie i trzymać się prosto! Pamiętajcie, że tu chodzi o waszego dziadzia i wszyscy będą patrzeć, jak się zachowują jego wnuki. Gdyby się wam zachciało płakać, spróbujcie wytrzymać, dopóki nie znajdziecie się w domu. Wtedy możecie przyjść do mnie i popłaczemy sobie razem. A jak nie chcecie patrzeć, to nie patrzcie. Spozierajcie za trumnę, jak to wam Livvie pokazała. Gotowi?

Jeśli chodzi o chłopców, równie dobrze mogła przemawiać do sterty drewna, ponieważ w pięć minut po przyjeździe do zakładu pogrzebowego koszule wysunęły im się ze spodni, a twarze mieli spocone i zaczerwienione. Biegali po korytarzach z innymi chłopakami. Nieszczęsny pan Wilbur, który kierował tym zakładem, prosił ich, żeby się uspokoili i okazali szacunek

zmarłym, ale nie wiedział, z kim ma do czynienia. Chłopcy nawet nie weszli do sali, gdzie spoczywał dziadek. Panował tam lodowaty ziąb, zapewne po to, żeby dziadek się nie rozpuścił.

Stałyśmy z Maggie z tyłu, rozmawiając z panem Struthersem i połową mieszkańców wyspy. Rozprawiałam z zapałem o szkole i tym podobnych sprawach, napawając się podniosłą, acz makabryczną atmosferą śmierci - i nagle dostrzegłam w drzwiach Alice Simpson, wpisującą się do żałobnej księgi. W żakiecie i sukni wyglądała bardzo przyzwoicie, zupełnie inaczej niż dotychczas.

Kiedy weszła, wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, ona jednak, nie patrząc na nikogo, pomaszerowała prosto do mojej matki.

Słyszałam, jak stara gwardia wciąga powietrze w płuca. Czulałam, że jeśli ktoś zaraz nie wypuści oddechu, zwiędną wszystkie kwiaty w sali. Nie chciałam przeoczyć ani kawałka tego spektaklu, więc ruszyłam za panią Simpson.

Uklękła obok matki.

- M.C., twój tata był takim sympatycznym człowiekiem - powiedziała.
- Bardzo ci współczuję.

- Dziękuję, Alice. Dziękuję, że przysłaś.

- Mój tata zmarł, gdy miałam szesnaście lat. Popenił samobójstwo.

Mama milczała.

- Miałaś dużo szczęścia, że twój tata był z tobą tak długo - ciągnęła Alice. Jej twarz zadrgała lekko.

- Masz rację. O tak, masz rację.

- Moja mama opuściła mojego braciszka i mnie niespełna rok później i nigdy więcej jej nie widziałam. A w zeszłym roku mój brat zginął w Wietnamie.

Moja matka wreszcie spojrzała jej w oczy.

- Alice! Nic nie wiedziałam. Tak mi przykro.

Ku absolutnemu zdumieniu wszystkich obecnych moja mama i Alice padły sobie w ramiona i zanim ktokolwiek się obejrzał, mama zaprosiła ją na drinka. Rany Julek, pomyślałam, rany Julek. Kiedy ta wieść się rozniesie, przyjdą do nas całe tabuny ludzi. Biedna pani Simpson. Kto by pomyślał?

Alice wstała, uściśnęła dłoń mojej matki, osuszyła kąciki oczu chusteczką i wyszła.

Gwar w sali tak przybrał na sile, iż można było pomyśleć, że naprawdę obudzi Tipę. Wreszcie przybyła straż honorowa Zakonu Kolumba. Tłum rozstał się przed nią niczym Morze Czerwone. Sześciu mężczyzn w galowych czarnych smokingach, kapeluszach ozdobionych piórami (i przypominających mi nakrycie głowy Napoleona), pelerynach, rękawiczkach i z szablami zbliżyło się do trumny. Było tak cicho, że niemal słyszałam bicie własnego serca. Przepchnęłam się na koniec sali. Nie uśmiechała mi się myśl o utknięciu obok Tipy leżącego w trumnie i obok mojej matki, która zachowywała się jak aktorka grająca główną rolę w „Nocy żywych trupów”. Zdawała się pławić w fontannie łez, spazmów i żalu, siedząc na krześle odwróconym od trumny, gdyż uparcie odmawiała spoglądania na zwłoki swego ojca.

Wszyscy obecni przeżegnali się i zaczęli odmawiać różaniec, a ja poszłam za ich przykładem. Po mniej więcej dwóch tysiącach zdrowasiak ceremonia dobiegła końca. Straż honorowa opuściła salę, a ludzie podchodzili do mamy i babci Sophie, żeby powiedzieć dobranoc.

- M.C., kochanie, jeśli będziemy mogli w czymś pomóc, po prostu zadzwoń, dobrze?

- Pani Asalit, znałam Tipę całe życie. Będzie mi go brakowało. Taki wspaniały człowiek.

- Dziękuję. Dziękuję, żeście przyszli.

Tłum stopniał do dwudziestu czy trzydziestu uparciuchów, którzy niewątpliwie zamierzali towarzyszyć nam do domu. Miałam nadzieję, że znajdzie się wśród nich lekarz albo barman, bo mama potrzebowała dawki czegoś mocniejszego.

- Czas już iść, M.C. - odezwał się do niej mój ojciec. Jej twarz zdradzała kompletne oszołomienie. - Chcesz się pożegnać ze swoim tatą? Pomogę ci, chodź, będę przy tobie.

Był to ze strony ojca najprzyzwoitszy postępek, jaki miałam okazję zaobserwować. Wiedział, że mama nie może się pogodzić ze śmiercią Tipy, jeśli jednak stanie z nią oko w oko, to jej pomoże przeboleć stratę.

Podparł ją, gdy wstawiała, drżąc na całym ciele. Odwrócił się, a ja wstrzymałam oddech. Ukłękła na obitym białą skórą klęczniku, a tata stanął za nią. Zaczęła płakać i zawodzić tak, że nigdy czegoś podobnego nie słyszałam. Widziałam, że babcia Sophie jest wściekła. Mama nie przestawała

ani na chwilę, płakała jak małe dziecko. To było okropne i trwało bez końca. Wreszcie jej płacz przeszedł w urywane łkanie, a ja uświadomiłam sobie, że również płaczę. Rozejrzałam się za Maggie, Timmym i Henrym - wszyscy troje płakali. Goście ze współczuciem stali z boku. Babcia Sophie podniosła się z krzesła i podeszła do mamy.

- Czas już na nas, Marie Catherine - oznajmiła niezbyt ciepłym tonem.

Tata stanął obok mamy i razem z babcią pomogli jej dźwignąć się na nogi. Mama pochyliła się nad trumną i delikatnie pocałowała swego ojca w czoło.

- Żegnaj, tatusiu - powiedziała.

Tata otoczył ją ramieniem i wyprowadził, podawszy drugie ramię babci. Ona tego nigdy nie przeboleje, pomyślałam, nigdy. Byłam coraz bardziej wytrącona z równowagi.

- Uwierzyłybyś, że pani Simpson się zjawi? - spytała szeptem Maggie, gdy jechałyśmy do domu autem ciotki Carol i wujka Louisa. - Wszyscy powtarzali, że ma dużo tupetu, żeby tak wchodzić między porządnych ludzi.

- Zamknij się, Maggie - odparłam, dość głośno, by dorośli mnie usłyszeli. - Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Nikt już nie powiedział ani słowa. Przejechaliśmy przez most w milczeniu.

Wraz ze światłem poranka nadpłynął głos Livvie, śpiewającej jeszcze jedną pieśń, której nigdy nie słyszałam. Z podwórza dobiegły głębokie, aksamitne dźwięki, gdy zbliżała się do domu.

*Wreszcie wolny! Wreszcie wolny!
Dzięki Bogu, żem wreszcie wolny!
Tam, na cmentarzu, pośród grobów
Jezus spotyka swoje dzieci.
Uklękę na światłości progu,
Dusza uniesie się i wzleci.*

Pospiesznie wyskoczyłam z łóżka, chwyciłam szlafrok i zerknęłam na budzik. Siódma trzydzieści. Przyszła bardzo wcześnie. Zastałam ją w kuchni,

wystrojoną w najlepszą - jak przypuszczałam - odświętną sukienkę i filcowy kapelusz z piórkiem z boku.

- Dzień dobry, Susan. Wszyscy jeszcze śpią?

- Aha, tak mi się wydaje. Rety, Livvie, jak ty ładnie wyglądasz! I jak wcześniej przysłaś!

- Ano owszem. Myślisz, dziecinko, że nie mam ładnych ubrań? Hmm.

- Nie, wcale tak nie myślałam.

- Dobrze, że wczoraj skroilałam całą tę szynkę - powiedziała. - Wszystko będzie gotowe, jak wrócimy z cmentarza. Bratanek mnie dzisiaj podwiózł. Tak se myślę, że tej rodzinie przyda się dziś każda para rąk.

- Tak - przyznałam, sięgając do szafki po płatki kukurydziane. Wsy-pałam trochę do miski i dalej słuchałam Livvie.

- Tak, z Bożą pomocą pan Tipa uleciał do nieba. Wiesz, coś mi się zdaje, że śmierć wcale nie jest taka zła. Odejdę do mojego Nelsona i do Jezusa, mojego króla. Hm, któregoś dnia starą kobietę wynagrodzą za te wszystkie garnki, co je myła u białych. Uff, tyle garnków!

Łyżka za łyżką pochłaniałam płatki z bananami. Jeden Bóg wiedział, co ten dzień mógł przynieść. Był to pierwszy pogrzeb w moim życiu.

- No i tak zem pomyślała, że ubiorę najlepszą niedzielną sukienkę i przyjdę pomóc - ciągnęła Livvie. - Ta rodzina ma dziś dość na głowie. Może i wszyscy w tym domu zbzikowali, ale tak czy owak kocham te dzieciaki.

- Ja też cię kocham, Livvie. Gdyby nie ty, szlag by trafił całą naszą rodzinę.

- Nie przeczę. Wczoraj, jakeście byli w domu pogrzebowym, myślę tak: Livvie, to nie z dziećmi coś tu nie gra, tylko z dorosłymi. Samaś widziała swoją babcie, wystroiła się i rozmawiała jakby nigdy nic. No więc powiem ci jedno, nic jej nie brakuje. Nie możemy jej ciągle obsługiwać, jak ma wrócić do normalnego życia. Tak samo twojej mamy. Uff! Nie, moi państwo, koniec z obsługiwaniem.

- Masz rację - przyznałam.

- Ano, z Bożą pomocą stary pan Tipa uleciał do nieba!

W ciągu następnych kilku minut cały dom ożył i wszyscy zaczęli schodzić na dół. Livvie smażyła jajecznicę z tuzina jaj na szynce i cebuli. Na

sukienkę narzuciła fartuch i nadal miała na głowie kapelusz. Kawa się parzyła, szczękały naczynia - zaczął się nowy dzień.

Tata, Timmy i Henry odebrali od Livvie talerze i poszli jeść na ganek. Stoły w kuchni i jadalni wciąż były zastawione ciastami i półmiskami. Zjawili się wujek Louis z ciotką Carol, zupełnie jakby zarezerwowali sobie dwa miejsca. Livvie odwróciła się do nich.

- Dzień dobry - powiedziała. - Chcecie państwo kawy?

Ciotka obrzuciła taksującym spojrzeniem suknię i kapelusz Livvie, po czym spytała:

- No no, Livvie, wybierasz się dokądś?

- Ano chyba. Tak mi się widzi, że pani M.C, przyda się w kościele pomoc przy bliźniaczkach, więc żem ubrała najlepszą sukienkę na cześć pana Tipy. Wczoraj zostałam w domu z małymi, ale dziś pójdę złożyć uszanowanie.

- Doprawdy? - ciotka Carol wymówiła każdą sylabę z osobna.

- Moja siostra z pewnością to doceni - wtrącił wujek Louis i spróbował zmienić temat. - Gdzie mój szwagier?

- Je z chłopcami na ganku. Zjecie państwo jajka?

- Nie, dziękujemy. Chodź, Carol - wujek skierował się ku drzwiom, a za nim ciotka.

- Pójdę się ubrać - oświadczyła Maggie.

Cisza.

- Ciotka Carol wypycha sobie stanik - poinformowałam Livvie.

Znowu cisza.

- Naprawdę. I powinnaś zobaczyć, jak się zachowuje przy panu Struthersie. Rozmawia z nim tak, jakby oboje byli gołi. - Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Dostrzegłam, że ramiona Livvie dygoczą i pomyślałam, że płacze. Odwróciła się, a ja z bezbrzeżnym zdumieniem zobaczyłam, że się śmieje i klepie dłońmi po udach. Śmiech zmienił tę majestatyczną kobietę w rozbawioną wiejską dziewczynę.

- Dziecko kochane, jak się nosi kolorową skórę tyle lat co ja, to można przywyknąć do wszelakich głupot. Wiem, że nie powinnam rozpuszczać przy tobie języka, ale myślisz, że co? Że ona spróbuje narobić ambarasu w kościele? Dalibóg, dziecko, ta kobieta należy do zwykłej białej hołoty i nie

zamiaruję się nią przejmować! Pójdę nakarmić i ubrać maleństwa. Musimy się dziś uwijać.

- Pomogę ci. - Wyjęłam z lodówki dwie butelki. - Podgrzeję je i zaraz przyjdę.

- Dziękuję, Susan.

Czekając, aż odżywka dla moich siostrzyczek podgrzeje się w garnku napełnionym wodą, myślałam o ciotce Carol. Cóż to była za nędzna namiastka kobiety. Patrząc na jej ruchy, od razu się domyśliłam, że wypycha sobie stanik. Kapnęłam parę kropel mleka na rękę, uznałam, że jest wystarczająco ciepłe i ruszyłam na poszukiwanie Livvie. Kierując się dźwiękiem jej głosu, dotarłam do pokoju mamy i wpadłam w sam środek sprzeczki.

- Ależ Livvie! Przecież ty... ty nie jesteś katoliczką! Chcesz pójść do mojego kościoła?

- Chodzi pani o to, że jestem kolorowa.

- No... tak. To znaczy, nie chcę, żebyś się czuła skrępowana - odparła mama.

- Chodzi o to, żeby pani nie czuła się skrępowana. Martwi się pani, co ludzie powiedzą, czy tak?

- Livvie! - zawołała mama.

- No więc mogą powiedzieć, że to Pan Bóg dał mi taką skórę, a On już wie, co robi, ot co! Odchodzę, pani M.C. Dziś jeszcze zostanę, ale na tym koniec. Żal mi pani, ale nie mogę pracować u kogoś, kto nie chce mnie wpuścić do domu Bożego. Jezus umarł za wszystkich, nie tylko za panią.

Przemaszerowała z impetem obok mnie i niemal pobiegła do pokoju bliźniaczek. Goniąc ją, minęłam tatę, który stał przy drzwiach.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Livvie wymówiła - szepnęłam.

- O, nie! - wybuchnęła i po raz drugi w ciągu dwóch minut osoba dorosła omal mnie nie przewróciła. Kiedy dotarłam do pokoju bliźniaczek, tata zatrzaskał mi drzwi przed nosem. Słyszałam gniewne szlochanie Livvie i miałam chęć zamordować moją matkę za to, że doprowadziła ją do takiego płaczu. Zupełnie jakby pękało jej serce. Przycisnęłam ucho do drzwi i wychwyciłam prawie każde słowo.

- Tak jest - usłyszałam.
- Proszę, nie... - powiedział tata.
- Tylko jeśli... - zaczęła Livvie.
- Ile?
- Właśnie - odparła.

Cisza.

Drzwi się otworzyły.

- Kobiety! - parsknął tata, kręcąc głową i nie zauważając mnie po drodze.

Weszłam do pokoju. Sukieneczki moich sióstr stały pionowo na łóżku. Livvie musiała przez wiele godzin krochmalić i prasować każdą falbankę.

- Czy nie słodkie? - zagadnęła Livvie, uśmiechając się do mnie.
- Aha. Co się stało? - spytałam.
- Pogawędziłam se od serca z twoim tatą, ot i wszystko. Nic się nie stało. Pójdę z wami do kościoła, a potem urządzimy przyjęcie jak się patrzy na pamiątkę pana Tipy!
- Ale przecież powiedziałeś, że odchodzisz.
- Posłuchaj no, dziecinko, twoja mama i ciotka mogą sobie być ograniczonymi białymi bigotkami, ale za to ja jestem najbogatszą gospożą i niańką na tej wyspie!
- Znowu dostałaś podwyżkę?
- Tak jest! Dziesięć dolarów tygodniowo. Muszą zapłacić za swoje grzechy!

12.

Hank

1963

Była to niedziela, wolny dzień Livvie, dwa tygodnie przed Świętem Dziękczynienia. W sali klubowej Organizacji Młodzieży Katolickiej miała się odbyć zabawa taneczna i wszyscy chcieliśmy iść - to znaczy Maggie, Timmy i ja. Henry był jeszcze za mały. Poprosiliśmy mamę o pozwolenie i odpowiedziała nam przez mgłę środków uspokajających, że chyba możemy pójść. Prawie cały czas spędzała w łóżku, przyjmując częste wizyty Kłuja i Truja.

Maggie umyła włosy, a ja zasmarowałam wypryski odrobiną pudru w kremie, którego nie było mi wolno używać. Moja siostra umówiła się na tańce z Luciussem Pettigrew, swoją nową sympatią z Charlestonu, i nie posiadała się z podniecenia. Ja miałam tylko nadzieję, że ktoś na mnie spojrzy. A może poprosi do tańca? Uwielbiałam tańczyć i zatańczyłabym prawie z każdym, wyjąwszy moich braci, rzecz jasna.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrazasz? - rozległ się grzmiący, rozwścieczony głos.

Tata był przez cały dzień w fatalnym humorze, gderał i narzekał na wszystko. Płonął żądzą wywołania awantury. Spojrzałyśmy z Maggie po sobie i zastygłyśmy w milczeniu. Wtedy z łazienki na końcu korytarza dobiegły nas pełne panicznego strachu wrzaski Timmy'ego.

- Proszę, tatusiu! Nie bij mnie! Proszę, tatusiu!

Zrobiło mi się niedobrze. Słyszałam płacz Timmy'ego i uderzenia pasa. Tata zdzielił go pięć razy z całej siły i zbiegł na dół. Ruszyłam natychmiast do łazienki, a za mną Maggie. Mijając szczyt schodów, zobaczyłam matkę, która siedziała na dolnym stopniu i pochlipywała. Nie zamierzała nic przedsięwziąć. Popatrzyłam na nią, a ona odwróciła wzrok. Tata ją przerażał, kiedy tak się zachowywał. Ja zaś byłam zbyt wściekła, żeby odczuwać lęk.

Timmy kulił się na sedesie, płacząc, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ciekło mu z nosa, a policzki płonęły czerwienią. Ja też się rozplakałam, zasłaniając usta. Maggie tkwiła nieruchomo w drzwiach.

- Timmy, proszę cię, nie płacz - przemówiłam. - Proszę, nie płacz. Pomogę ci.

- On mnie naprawdę skrzywdził, Susan. Naprawdę mnie boli.

Podciągnęłam jego koszulę i zobaczyłam na plecach szerokie pręgi z nabrzmiewającymi pęcherzami.

- Maggie, przynieś lód - poleciłam.

Maggie bez słowa zeszła do kuchni. Wzięłam ręcznik do rąk i zmoczyłam w zimnej wodzie.

- Zdejmij koszulę - zwróciłam się do Timmy'ego. - Nie jest aż tak źle. Jak przyłożymy trochę lodu, od razu poczujesz się lepiej.

- Nienawidzę tego śmierdzenia.

Wyjęłam ręcznik i rozpostarłam go na chudych plecach Timmy'ego, który pochylił się nad umywalką.

- Ja też go nienawidzę - powiedziałam.

- Chciałbym go zabić.

- Ja też. Timmy, przysięgam na Boga, że kiedyś mu odplącimy. I wyniesiemy się stąd. - Zmoczyłam i wycisnęłam drugi ręcznik. - Wiem, że tak będzie. Musimy po prostu trzymać się razem i uważać, żeby tata nie przyłapał nas na niczym, o co mógłby się wściec. - Ta odpowiedź nie wydawała mi się jednak uczciwa.

Maggie wróciła z miską lodu i lnianą ściereczką.

- Chodź, Timmy, połóżysz się na moim łóżku, a my ci zrobimy okład - zarządziłam.

Poszliśmy do mojego pokoju i Timmy położył się na brzuchu. Owinęłam kostki lodu ręcznikiem, a potem doszłam do wniosku, że dobrze będzie namoczyć oba ręczniki w wodzie z lodem. Maggie przyniosła w szklance wodę z łazienki. Timmy znowu zaczął płakać, tym razem cicho, rozpaczliwie.

- Kocham cię, Timmy - odezwała się Maggie.

- Ja też cię kocham - zawtórowałam. - To nic, Timmy, zaopiekujemy się tobą. - Ponownie wyjęłyśmy ręczniki i położyłyśmy mu na plecach.

- Dlaczego mama go nie powstrzyma? - szepnęła.

- Nie wiem - odparłam. - Może myśli, że jeśli się wtrąci, będzie jeszcze gorzej.

- Schodźcie tu zaraz, wszyscy! - wrzasnął tata z dołu.

Timmy zerwał się i otarł oczy. Spojrzałyśmy z Maggie po sobie, wiedziałyśmy jednak, że jeśli się nie pospieszymy, wpadniemy w jeszcze gorsze tarapaty. Tata czekał na nas na ganku z trzema pustymi papierowymi torbami po zakupach.

- Wasza matka powiada, że pozwoliła wam wyjść dziś wieczorem. Czy to prawda?

- Tak jest - odpowiedzieliśmy chórem.

- Przepraszam bardzo! Myślałem, że to ja jestem głową tego domu!

Milczeliśmy. Rozsądnie wbiłam wzrok w podłogę. Timmy odchrząknął.

- Czy panicz Timmy chciał coś powiedzieć? Ma ochotę jeszcze dostać pasem?

- Nie, tatusiu, nie. Tylko chrząknąłem. Daję słowo. To tatuś jest głową domu. Wszyscy o tym wiemy.

Przytłaczająca cisza - jak spadek ciśnienia przed burzą.

- Cóż, skoro to zostało chwilowo rozstrzygnięte, chciałbym, abyście mi udowodnili, że o tym nie zapomnicie.

- Pewnie - powiedziałam.

- Żaden problem - dodała Maggie.

- Ja nie zapomnę, tatusiu - powiedział Timmy.

Tata spojrzał na niego i przez chwilę wydawało mi się, że go uderzy. Pohamował się jednak, choć jego głos brzmiał zjadliwie i gniewnie.

- Na podwórzu jest pełno turzycy. Wiecie, co to jest turzyca?

- Nie - odparłam.

- Nie wydaje mi się - zawtórowała Maggie.

- Tak, chyba wiem.

- O! Albert Einstein! Więc może wyjaśnisz siostrom, co to jest?

Timmy zaczął się jąkać. Nie zdarzyło mu się to od bardzo wczesnego dzieciństwa.

- To taka cienka zielona t-t-t-trawa, której k-k-korzenie mają końce p-p-podobne do o-o-orzeszków.

- Z-z-z-zgadzam się, s-s-s-synu - padła odpowiedź. - Oto torba dla ciebie, dla ciebie i dla ciebie. Kiedy je napełnicie turzycą razem z k-k-k-korzeniami,

zgłoście się do mnie, a ja zadecyduję, kto dzisiaj wyjdzie. Nie wasza matka! Czy to jasne?

Kiwnęliśmy głowami.

- Nie słyszę was! - Przyłożył stuloną dłoń do ucha.
- Tak jest! - odparliśmy chórem.
- No to do roboty, raz dwa!

Słyszą cię aż w Goose Creek, pomyślałam. Boże, ależ on potrafił się wydzierać. Zeszliśmy na podwórze, podejmując niewykonalne zadanie napełnienia toreb turzycą. Była piąta po południu i robiło się chłodno. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że zanim napełnimy torby, będzie już zupełnie ciemno. Timmy znowu zaczął płakać. Po nim rozplakała się Maggie. Jej nadzieje na spotkanie z Luciuśsem zostały przekreślone. We mnie natomiast wzbierała wściekłość.

- Podły sukinsyn - odezwałam się do Timmy'ego.
- Bez kitu - przytaknął.
- To nie w porządku - powiedziała Maggie.
- Najogłędniej mówiąc - zauważyłam. - Któregoś dnia dostanie za swoje i im prędzej, tym lepiej.
- Czemu nie dzisiaj? - rzucił Timmy. - Może by go tak dopaść i zdrowo mu wpięprzyć? Niech się przekona, jak to jest.

- Aha, pewnie! Tata waży ze dwieście funtów. Oderwałby ci ramię i zatłukł nim na śmierć - odparowałam.

- Nawet nie mówcie takich rzeczy. Przerazacie mnie - poprosiła Maggie.

- Mam już dość - oświadczył Timmy - i chciałbym go zabić. Pójdę do więzienia na dwadzieścia lat, ale jest mi wszystko jedno. Bo wiecie co? Jeśli go nie zabiję, on mnie zabije pierwszy!

To niewykluczone, pomyślałam. Tata wydawał się zdolny do wszystkiego.

Umilkliśmy, słysząc trzaśnięcie siatkowych drzwi. Pan Postrach zszedł po schodkach z budweiserem w rękę i szyderczym uśmiechem na ustach. Naciskał boki puszek, która wydawała pykający dźwięk. Zajrzał do torby Maggie, a potem do mojej.

- Dobra robota, Maggie, tatuś jest z ciebie dumny. Mam nadzieję, że nie zniszczysz sobie manicure.

W milczeniu powstrzymała napływające jej do oczu łzy gniewu.

- O, Susan! Co my tu mamy? Pół torby! Może kiedy dorośniesz, znajdziesz zajęcie jako sezonowa siła robocza przy zbieraniu pomidorów? Wykazujesz wrodzony talent.

To, co mówił, nie miało znaczenia. Był obcym, oszustem. W szpitalu popełniono straszną omyłkę. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wszyscy po urodzeniu zamieniliśmy się miejscami z dziećmi szatana.

- A jak idzie z wrywaniem chwastów mojemu delikatnemu chłopsiowi? - spytał tata tonem już nie sarkastycznym, ale wręcz jadowym.

Żołądek mi się przewrócił, a na bladej, znękaney twarzy Timmy'ego pojawił się wojowniczy wyraz. Z zaciśniętymi pięściami mój brat rzucił się na tatę. Tata upuścił piwo i zatoczył się w tył. Odzyskawszy równowagę, zwrócił się w stronę Timmy'ego.

- No chodź, ty wypierdku! Jeśli myślisz, że dasz radę swojemu staremu, chodź tu i spróbuj. I tak zachowujesz się jak panienka.

- Jesteś parszywym draniem, wiesz o tym? Nie masz prawa ani powodu tak do mnie mówić.

Timmy wdał się w walkę na śmierć i życie. Nie mógł się równać z tatą. Tata powalił go na ziemię i jednym zamaszystym ruchem siadł mu na brzuchu, przyciskając ramiona.

- Nie! - krzyknęłam. - Nie!

Tata mocno uderzył Timmy'ego w twarz, z jednej i z drugiej strony. Głowa Timmy'ego podskakiwała jak u szmacianej kukielki. Uwolnił jedną rękę spod nóg taty i zadał mu pięścią słaby cios w brzuch. Maggie, wrzeszcząc wniebogłosy, usiłowała odciągnąć tatę. Odwrócił się i zbił ją z nóg. Upadła na ziemię z głuchym odgłosem.

Nie mogłam czekać ani chwili dłużej. Nie mogłam dopuścić, żeby zabił mojego brata. To musiało się skończyć. Dostrzegłam nadłamany konar, zwisający z drzewa. Nie wiem, skąd zaczerpnęłam tyle siły, ale wyszarpnęłam go z gęstwiny pnączy, zamachnęłam się i zdzieliłam tatę, ale zdrowo. Krew trysnęła z rany, która pojawiła się z boku jego głowy. Osunął się na ziemię i po prostu legł nieruchomo. Jak martwy. Poczułam na rozgorączkowanych policzkach chłodny powiew. Słyszałam własny oddech i przyspieszone bicie serca. Upuściłam gałąź.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam. Spojrzałam na Maggie, a potem na Timmy'ego. Przeraziliśmy się wszyscy troje, że tata nie żyje - albo, co gorsza, żyje.

- O mój Boże! - krzyknęła Maggie.
- Bądź cicho i skup się! Czy on oddycha? - zapytałam.

Timmy miał rozciętą wargę, a jego koszula była poplamiona krwią. Przetoczył się po trawie i pochylił nad tatą.

- Żyje.
- Co my teraz zrobimy? - spytała Maggie.
- Lepiej zaraz się stąd wynośmy - zasugerowałam.
- Dokąd? - chciał wiedzieć Timmy.
- Chodźmy do cioci Carol - zaproponowała Maggie. - Jeśli powiemy jej i wujkowi Louisowi, może nas z tego wyciągną.
- Ja tam za nic nie pójdę! - oznajmiłam.
- Dlaczego?
- Bo nie! Dlatego.
- Więc dokąd, panno Geniuszko? Wiesz, co tata z tobą zrobi, kiedy oprzytomnieje?

Maggie była śmiertelnie przerażona. Ja także. Miała rację. To zdarzenie wykraczało poza granice rozsądku. Jeśli nie uzyskamy pomocy, to tak, jakbyśmy już nie żyli. W każdym razie wpakowaliśmy się w nieliche tarapaty.

- Marvin Struthers. Idę do pana Struthersa. On nam pomoże.
- Nie pomoże! Uważa, że jesteśmy nieznośni! - sprzeciwił się Timmy.
- Jest burmistrzem i trzeba wreszcie skończyć z tym cholernym draństwem!

Nie wiem, skąd mi się wzięły te słowa, ale były zgodne z prawdą. Zostawiliśmy ojca leżącego na ziemi i wystartowaliśmy biegiem do domu Struthersów.

Kiedy pani Struthers zobaczyła nas w drzwiach, omal nie zemdląła. Pan Struthers zawiadomił policję, żeby zajrzeli do taty i odwieźli go na pogotowie, jeśli będzie trzeba. Wydało mi się dziwne, że kazał policjantowi nie niepokoić naszej mamy, tylko po prostu zabrać Hankę spod domu. Posadził nas, dając każdemu po coca-coli. Pomógł Timmy'emu się oczyścić i przyłożył

łód do jego spuchniętych policzków i oka. Zupełnie jak dziadek wysłuchał opowieści o tym, co nas doprowadziło do wystąpienia przeciw własnemu ojcu.

- Nie mogłem już tego znieść, proszę pana - powiedział Timmy.

- Rozumiem, synu. Ale chyba wszyscy wiecie, że dziecko nigdy nie powinno podnosić ręki na rodziców, prawda?

- Tak, wiem o tym, ale pan nie zdaje sobie sprawy, jak to wygląda. Zwłaszcza gdy chodzi o mnie.

- On nie kłamie, proszę pana - wtrąciłam. - Niech pan spojrzy na jego plecy.

Timmy wstał i uniósł tył koszuli. Pręgi były teraz ciemnoczerwone i pan Struthers gwizdnał cicho.

- Dlaczego ci to zrobił, Timmy?

- Przecierałem buty jedną z jego wkładek odwaniających - odpowiedział Timmy. - Wybieraliśmy się na tańce w parafii, a moje buty były zakurzone. Wiem, że nie powinienem był tego robić.

- I to wszystko?

- Tak, proszę pana.

- Byłam tam i Susan też. On mówi prawdę - odezwała się Maggie. - Z Timmym to zawsze tak wygląda, a nasza sytuacja jest niewiele lepsza.

Pan Struthers uniósł brwi i westchnął. Uznałam wypuszczenie takiej ilości powietrza za przejaw współczucia i zrozumienia.

- Jeśli wrócimy do domu i on tam będzie, przerobi nas na przecier pomidorowy! - Powiedziałam to najdobitniej jak potrafiłam, aby mu uświadomić, w jakich opałach się znaleźliśmy.

- Czy wasza mama wie, że tu jesteście?

- Nie, proszę pana. Przylecieliśmy tutaj, jak tylko sprawdziliśmy, że tata żyje - odparł Timmy.

- Mama i tak leży w łóżku. Cały czas śpi - dodałam.

- A to dlaczego? - zdziwił się pan Struthers.

- Chyba jest zmęczona czy coś - wyjaśniłam.

Nie miałam zamiaru obwieszczać całemu światu, że nasi rodzice są stuknięci. Prócz tego nie chciałam robić mamie wstydu.

- No cóż, odwożę was do domu. Zostanę i pogadam z waszym tatą. Nie martwcie się, nikt was już więcej nie skrzywdzi, albo nie jestem burmistrzem tej wyspy. Chodźmy.

Nie ruszyliśmy się z miejsca.

- Co jest? - zapytał.

Zgodne milczenie.

- Mówię wam, że wszystko będzie w porządku. Zaufajcie mi, dobrze? Znałem waszego tatę, jeszcze zanim się urodziliście. Znam go od lat! Jak mu powiem, żeby was nie tykał, to mnie usłucha! Zrozumiano?

Kiwnęliśmy głowami.

- No to ruszajmy. Robi się późno i wasza mama gotowa się pochorować ze zmartwienia.

Spojrzałam na Maggie i przewróciłam oczyma. Przynajmniej raz odpowiedziała mi tym samym.

Pan Struthers wszedł pierwszy na nasze kuchenne schody. Może tata się go bał - w końcu pan Struthers był najpotężniejszym mężczyzną na wyspie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam ulgę.

- Powiedzcie mamie, że tu jestem.

Maggie poszła zawiadomić mamę. Timmy opadł na krzesło przy kuchennym stole, a ja otworzyłam lodówkę. Wewnętrzny impuls skłonił mnie do pozostania z Timmym i panem Struthersem. Obowiązek nakazywał ich nakarmić.

- Proszę pana, czy napije się pan piwa albo herbaty? Timmy? Może zjecie kanapki?

- Chętnie. Cokolwiek tam masz, Susan. Dzięki.

Pan Struthers usiadł przy stole. Rozwagał niespokojnie, co powie naszej mamie, a przede wszystkim tacie po jego powrocie z pogotowia. Cała ta sytuacja musiała go przerastać. Mnie z pewnością przerastała. Moje wnętrze zamieniły się w galaretę. Zastanawiałam się, czy zostanę aresztowana za próbę zabójstwa albo czynne znieważenie. Właściwie nie było żadnej różnicy, ponieważ nic już nie mogłam na to poradzić. Co się stało, to się nie odstanie. Pozbawiłam własnego ojca przytomności, uderzając go gałęzią. Jezu Chryste. Nadal nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam. Być może moje życie dobiegło końca, pomyślałam, może dobiegło końca i wyląduję w jakimś okropnym zakładzie poprawczym, a po osiągnięciu pełnoletności - w więzieniu stanowym. Przynajmniej Timmy będzie ze mną... ale zapewne na oddziale dla chłopców. Nawet nie będę mogła się z nim zobaczyć.

Wyjęłam gotowaną szynkę, kruchą sałatę, pomidora i majonez i zaczęłam przyrządzać kanapki. To zajęcie powstrzymywało natłok myśli, a przy tym mogłam dowieść panu Struthersowi, że nie trzeba mnie tak od razu wsadzać do więzienia.

Timmy wpatrywał się w cukiernicę stojącą pośrodku stołu. Trzęsła mu się głowa.

Położyłam na stole dwa talerze i przygotowałam świeży okład z lodu na oko Timmy'ego. Mój umysł nie miotał się w panice; obmyślał następne posunięcie, próbując odgadnąć rozwiązanie całej tej gry. Maggie wróciła z mamą. Mama zerknęła na Timmy'ego, zakwiliła i odruchowo załapała się łzami.

- Co się stało? O mój Boże, co ci się stało, Timmy? Powiedz mi!

Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy. Uchylił się, gdy sięgnęła po okład z lodem. Odstąpiła o krok, nieco urażona, i uświadomiła sobie, że w jej kuchni siedzi burmistrz i je kanapkę z szynką, popijając herbatą. Zamglone oczy mamy nabrały wyrazu.

- Marvin! Co tu się dzieje? - spytała.

W ciągu następnych kilku minut uzyskała szczegółową odpowiedź. Twierdziła, że nic a nic nie słyszała. Nie miała pojęcia, że tata bije Timmy'ego. O niczym nie wiedziała. Nie słyszała, że kazał nam wyjść na podwórze. Nie słyszała krzyków taty, Timmy'ego, Maggie i moich. Oświadczyła, że to wyjątkowa sytuacja. Nie zauważyła wozu policyjnego, który zabrał tatę. Nie miała pojęcia, że tata znalazł się w izbie przyjęć na pogotowiu.

Mama sprawiała wrażenie zdumionej i zszokowanej. W pierwszej chwili wydało mi się, że okłamuje pana Struthersa. Uświadomiłam sobie jednak, że prawda o jej mężu była zbyt straszna, by dopuścić ją do świadomości. Jeśli nikomu nic nie mówiła i nie wtrącała się w poczynania naszego ojca, zapewne nie miały one miejsca. Obecność pana Struthersa zadawała kłam jej snom. Bo pan Struthers znał prawdę.

Tymczasem pan Struthers starał się przekazać jej delikatnie, że zajmowanie się jednocześnie dziećmi i matką przekracza zapewne jej wytrzymałość, lecz tak czy owak jest za nas odpowiedzialna. Mimo iż tak delikatna i wytworna dama nie może udźwignąć tego ciężkiego brzemienia.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć, Marvin?

- To, że Hank nie może tak postępować z dziećmi. Źle robi, w oczach prawa popełnia przestępstwo.

- Przestępstwo?

- Owszem, M.C. Znęca się nad dziećmi. To wbrew prawu.

Wyjęła z szuflady paczkę papierosów. Nigdy nie widziałam, żeby moja matka paliła.

- Co mam zrobić, Marvin? Powiedz mi!

- Po to tu jestem, M.C. Znam cię całe życie. Wiem, co potrafisz znieść, a czego nie. Porozmawiam z nim.

Wdychała dym salema 100 i wydychała skłębione obłoczki. Wiatrak pod sufitem wciągał je i rozpraszał w nicość. Musiała wybrać, czy stanąć po stronie taty, czy po naszej. Stosując typową dla siebie metodę uników, w ogóle nie dokonała wyboru.

Kazała Timmy'emu się położyć. Posłała Maggie do ciotki Carol po Henry'ego i bliźniaczki, którzy spędzili tam cały dzień, bawiąc się ze sforą psów. Mnie zignorowała, zapewne wściekła, że miałam czelność bronić jej dziecka przed jej mężem. A może była zadowolona. Trudno powiedzieć.

Nalałam jej herbaty i ponownie napełniłam szklankę pana Struthersa. Poprosił o gazetę i zaczął czytać, mama zaś wierciła się przez chwilę i w końcu oznajmiła, że pójdzie na górę przebrać się w sukienkę albo coś w tym rodzaju. Uświadomiła sobie wreszcie, że normalni ludzie nie chodzą w szlafrokach o siódmej wieczorem.

Niebawem wróciła Maggie z bliźniaczkami i Henrym, który natychmiast pobiegł do swojego pokoju. Maggie podgrzała dwie butelki dla Sophie i Allie, po czym oznajmiła, że położy dzieci do łóżka i sama też pójdzie spać. Kręciłam się z boku, dopóki nie usłyszałam kroków taty na kuchennych schodach. Czym prędzej schowałam się w szafie w korytarzu.

Trudno było cokolwiek usłyszeć zza osłony płaszczy, która tłumiała ich głosy, ale zdołałam zrozumieć, że pan Struthers uzyskał dla nas trochę czasu. Wyjaśnił tacie i mamie, na czym polega różnica między zwykłą dyscypliną a znęcaniem się nad dziećmi. Ilekroć tata podnosił głos, pragnąc wyrazić sprzeciw, pan Struthers pytał go z całym spokojem, czy chce skończyć tę dyskusję w sądzie. Ilekroć mama próbowała bronić taty, zapewne w obawie o własne bezpieczeństwo, Marvin przypominał jej, na czym polega zaniedbanie. Byłam za młoda, by zrozumieć w pełni znaczenie jego wypowiedzi,

lecz wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, że przez pewien czas możemy czuć się nieco bezpieczniej. Najbardziej przerażało mnie to, że muszę szukać obrony przed własnymi rodzicami. Odczuwałam z tego powodu głęboki wstyd. Gdy zapadła cisza, musiałam usnąć w ciepłej szafie. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób znalazłam się tamtej nocy w łóżku - dopóki nie naknęłam się w pościeli na wsuwkę do włosów mojej babci. Daj jej Boże zdrowie, pomyślałam, ale jak ta biedna starowinka, sama skóra i kości, wtaszczyła mnie po schodach i skąd wiedziała, gdzie jestem?

W poniedziałek po szkole pierwsza przybiegłam do domu i opowiedziałam Livvie, co tata zrobił Timmy'emu i co my zrobiliśmy tacie, że założono mi na głowie dwadzieścia siedem szwów. Nigdy nie widziałam Livvie tak rozgniewanej. Zaczęła prasować zawzięcie, z całej siły przyciskając materiał żelazkiem i sznurując usta w wąską, twardą kreskę.

- Gniewasz się na mnie, Livvie?
- Ani trochę. Sprowadź no mi tu Timmy'ego - poleciła.

Coś w jej tonie kazało mi zostawić książki na stole i pobiec po brata. Przyprowadziłam go, a Livvie odstawiała żelazko na płytkę i wstała z taboretu. Najpierw przyjrzała się podbiteму oku i posiniaczonej twarzy Timmy'ego.

- Podciągnij koszulę, chłopcze - rozkazała, a on natychmiast usłuchał. Odwrócił się, ukazując pręgi.

- To niegodne. Mój dziadek umarł ze śladami razów na plecach. Tak nie powinno być.

Widok grzbietu Timmy'ego obudził w niej głębokie emocje. Jej oddech stał się urywany, nozdrza miała rozszerzone. Głośno wypuściła powietrze i delikatnym ruchem dotknęła pleców mojego brata. Przesunęła dłonią po czerwonych śladach, oceniając ich długość i szerokość. Timmy ani drgnął. Dłoń Livvie musnęła jego oko i szczękę.

- Jeszcze cię boli, synku? - zagadnęła go.
- Już nie. Już jest w porządku, Livvie.
- Nie, o nie. To wcale nie jest w porządku.

Dotknięcie jej pięknych, smukłych palców usunęło ból. Uleczyła Timmy'ego, przejmując jego rany. W głębi serca wypowiedziała wojnę mojemu ojcu.

Bardzo poważnie traktowała kwestię naszej ochrony. „Dzieci są darem Bożym, co do tego nie ma żadnej wątpliwości” - powtarzała bez przerwy. Nie mieliśmy pewności, ale wydawało mi się, że zrobi wszystko, by obronić nas przed tatą. Tak się jednak paradoksalnie złożyło, że po kilku dniach to tata potrzebował ochrony.

Przewodniczący okręgowej komisji edukacji ostro go skarcił. Słyszałam, jak Wielki Hank mówił mamie, że kazano mu ograniczyć nakłady na szkolną kafenię i ogrzewanie budynku, a prócz tego boisko do koszykówki i biblioteka są tylko stratą sił i pieniędzy.

Tata był zgorszony. Bardzo się szczycił swoją pracą. Odnosił się do nas paskudnie, owszem, ale wierzył w wykształcenie i równe szanse dla wszystkich. Czy to, że żadna czarna szkoła w całym stanie nie miała dostępu do takich możliwości, oznaczało, iż nigdy nie powinna ich mieć? Tata uznał, że być może należy wreszcie podnieść standard przybytków użyteczności publicznej. I najwyraźniej usłyszał, że powinien pilnować własnego nosa i robić to, co mu każą. Ale nie należało mówić czegoś takiego Hankowi Hamiltonowi. O, nie.

Wraz z robotnikami kontynuował budowę, nie zmieniając planów ani o włos. Choć miałam wszelkie powody, by nim pogardzać, musiałam przyznać, że odważnie broni swych przekonań. Szkoda, że nas tak nie bronił.

Kiedy przyjechał do pracy w poniedziałek rano, zobaczył spalone krzyże i roztrzaskane maszyny. Był to znak rozpoznawczy Klanu i najgorsza z dotychczasowych szkód. Mimo to pracował dalej. We wtorek omal nie zjechał z drogi w bagno, wracając późno z pracy. Wracał coraz później, ale nas to nie obchodziło. Kiedy go nie było, dom wydawał się niemal normalny. Nawet wybryki Sophie i mamy dawały się znieść.

Bez lęku i z mocnym postanowieniem wrócił do pracy. Dwa dni później, w środku nocy, ktoś zaczął strzelać w nasze okna od strony morza. Dzięki Bogu, wszyscy spaliliśmy, bo inaczej z pewnością połałaby się krew. Naza jutrz rano tata usiłował nas pocieszyć, mówiąc, że gdyby napastnicy rzeczywiście chcieli kogoś zabić, strzelaliby w porze kolacji. Raczej nie uspokoiło to mamy, która zgodnie ze zwyczajem udała się do łóżka, pozostawiając nam opiekę nad Sophie i bliźniaczkami, a Livvie - przygotowanie kolacji na Święto Dziękczynienia.

Tamtego piątkowego poranka prezydent Kennedy zginął w zamachu w Teksasie. Ojciec O'Brien wywołał z lekcji siostrę Angelę, nauczycielkę historii. Wróciła z płaczem.

- Ktoś zastrzelił prezydenta - powiedziała.

Woźny włączył telewizor i obejrzelśmy wiadomości razem z szósto- i siódmoklasistami. Potem przez szkolne głośniki polecono nam spakować podręczniki i zeszyty i przyjść do kaplicy. Gdy wszyscy uczniowie przybyli na miejsce, ojciec O'Brien odprawił specjalne nabożeństwo w intencji zamordowanego prezydenta i jego rodziny, a także całego grzesznego świata. Lekcje zostały odwołane. Wsadzono nas do autobusów i odwieziono do domów.

Nie rozmawialiśmy po drodze; tym razem wszyscy solennie odmawiali różaniec razem z panną Fanny. Nikt się nie śmiał, nie droczył ani nie wygłupiał. Byliśmy dziećmi, które przestały wierzyć w niechybny tryumf dobra nad złem. Czasami zło zwyciężało.

Kiedy wróciliśmy, Livvie krzątała się w kuchni. Miała zaczerwienione oczy i łatwo było się domyślić, że ona również płakała. Mama i babcia Sophie leżały w łózkach, pogrążone w żalu. To był straszny dzień. Ożywienie budziły w nas tylko gazety i wieczorne wiadomości, kiedy usiłowaliśmy zrozumieć, dlaczego ktoś zapragnął śmierci naszego prezydenta. Doszliśmy do wniosku, że to robota komunistów.

Tego samego wieczoru podsłuchałam dyskusję taty i wujka Louisa na temat klęski w Zatoce Świń i napięć w stosunkach amerykańsko-radzieckich. Siedzieli w kuchni, kiedy zjawił się stróż prawa i porządku na wyspie. Na nasze podwórze zajechał wóz Grubego Alberta. Kręciłam się w pobliżu, wycierając szafki i żywiąc nadzieję, że dowiem się, po co przyjechał. Ale nie miałam szczęścia.

- Susan, idź do mamy i zapytaj, czy czegoś nie potrzebuje - polecił tata.

- Tak jest - odparłam.

Zaczekałam, aż wóz patrolowy Grubego Alberta odjedzie w siną dal, po czym wróciłam do kuchni, żeby zaparzyć herbatę dla mamy. Tata z wujkiem umilkli na mój widok.

- Mama prosi o gorącą herbatę. Zaraz sobie pójdę.

Popatrzyli na siebie, a potem na mnie.

- Mamy kłopoty? - spytałam.
- Nie, Albert chciał mnie tylko przestrzec w związku z moim projektem budowlanym. Obawia się, że mogą wyniknąć dodatkowe problemy przez ten zamach na prezydenta - odparł tata. - Przyjechał tu z czystej przyjacielskiej życzliwości.

Wiedziałam, że tata kłamie, choć nie miałam pojęcia dlaczego.

W przeddzień Święta Dziękczynienia wyszliśmy wcześniej ze szkoły. Za namową Livvie postanowiłyśmy z Maggie pooglądać wystawy sklepów przy King Street w Charlestonie. Powiedziała nam, że musimy się trochę rozerwać. Chętnie wyrwałyśmy się na chwilę do „klubu rach-ciach-ciach”, rozwijającego działalność przed wyszukany świąteczny posiłkiem.

Od incydentu z Timmym i śmierci prezydenta Livvie przeważnie milczała. Zupełnie jakby wołała, żeby ją zostawiono w spokoju i pozwolono zrobić, co ma do zrobienia. Bardzo rzadko odzywała się do taty i obrzucała go paskudnym spojrzeniem, ilekroć ją mijał.

Tak czy owak, obydwie z Maggie oczekiwałyśmy z utęsknieniem wolnego dnia. Podjechałam autobusem z Mount Pleasant i spotkałam się z moją siostrą w mieście. Nie zadano nam z okazji święta żadnych lekcji do odrobienia, w związku z czym mogłyśmy odbyć miły spacer bez obciążania się podręcznikami. Przeszłyśmy obok wszystkich wystaw przy King Street, wyobrażając sobie, że stać nas na kupienie najrozmaitszych rzeczy, które się nam spodobały. To była wielka frajda. Maggie miała wrodzone, niesamowite wyczucie stylu. Zaczęła dobierać mi ubrania i po kilkunastu wskazanych przez nią sukienkach zrozumiałam, jakie stroje pasują do mojej patykowatej figury.

- Podkreśl swoje atuty - powiedziała. - Widzisz ten niebieski sweter? Ma taki sam kolor jak twoje oczy.

- Racja. Boże, gdybyśmy tylko miały trochę pieniędzy, żeby coś kupić w tym sklepie.

- Aha. Rozejrzę się za dodatkową opieką nad dziećmi. Ty też powinnaś. Uzbierałam w podręcznej apteczce pięćdziesiąt siedem dolarów.

- O rety! To kupa forsy! Zabawmy się! - Byłam poruszona.

- Nie o to mi chodziło. Zamierzam zaoszczędzić stówę, a potem wydać połowę.

- Zawsze jesteś tak cholernie praktyczna, Maggie.

- Susan, proszę cię, tylko bez takich wyrażań.

- Mniejsza o moje wyrażenia. Masz rację! Powinnam zająć się opieką nad dziećmi. Jestem już na to dość dorosła.

- Posłuchaj starszej siostry, moja słodka. Skoro okazałaś się wystarczająco dorosła, aby ogłuszyć naszego tatę, to z pewnością kilka bachorów nie sprawi ci trudności.

Wybuchnęłyśmy śmiechem. Ten śmiech przyniósł nam ogromną ulgę. Pierwsze chichoty brzmiały niepewnie, lecz wkrótce zgrałyśmy głosy.

- Hej, masz ochotę na lody w waflu?

Dysponowałyśmy kilkoma dolarami w gotówce, postanowiłyśmy więc pójść do Woolwortha i urządzić sobie skromną ucztę. Tuż za wielkimi szklanymi drzwiami piętrzyły się setki pudełek Whitman's Samplers. Stałyśmy jak wryte.

- Co o tym myślisz? - spytałam. - Może kupimy sobie taką bombonierkę i same ją zjemy?

- Susan Hamilton, przecież byśmy się porzygały. Ejże, wiesz co?

- Co?

- Kupmy taką bombonierkę dla Livvie z okazji Święta Dziękczynienia.

- Rany! Ale się ucieszy! Może to doda jej otuchy. Ile kosztują?

Spojrzałyśmy na metki z cenami. Duża bombonierka kosztowała siedem dolarów, a mała trzy. Obliczyłyśmy, że możemy kupić dużą, jeśli zrezygnujemy z lodów i przejazdu autobusem. Musiałybyśmy przejść się do biura taty przy Broad Street i poprosić o podwiezienie. Niewątpliwie bardzo by go rozgniewał nasz widok, uznałyśmy jednak, że warto zaryzykować, zważywszy, ile Livvie dla nas zrobiła.

- To był świetny pomysł - odezwałam się do Maggie, gdy wychodziłyśmy ze sklepu.

- Dzięki - odparła. - Zapewniam cię, że to wyrwie Livvie z ponurego nastroju. Bo co by było, gdyby naprawdę miała nas dość i odeszła? Co by się wtedy z nami stało?

- Nawet o tym nie myśl.

Ruszyliśmy ulicą, mijając sklepiki z antykami, kino Riviera i zabite deskami puste budynki. Na rogu King i Broad Street skręciłyśmy w lewo.

- Wiesz - odezwała się Maggie - od czasu tej kłótni prawie się do nas nie odzywa. A my też się do niego nie odezwaliśmy. Tak jakby go w ogóle nie było. Więc co mamy teraz zrobić? Nie zostało nam nawet na autobus!

- Nie martw się. Możemy złapać okazję.
- Pewnego dnia zginiesz marnie.
- Możemy zadzwonić po ciotkę Carol. Odbierze nas.
- Nie jestem pewna.

Otworzyliśmy drzwi biura taty i zaczęłyśmy wchodzić po schodach, jak najciszej, nasłuchując jego głosu. Sekretarki nie było przy biurku. Drzwi biura były zamknięte. Maggie zapukała. Rozległo się szuranie, a potem głos taty: „Nic nie zamawiałem!”.

- Tato? To my. Maggie i ja! - zawołałam.
- Rany boskie święte! Czego wy znowu chcecie?
- Żeby ktoś nas podwiózł do domu.

Bardzo nas zdziwiło, że nie otworzył od razu. Chyba wiedziałyśmy, mimo wszystko, że siedzi tam i migdali się ze swoją sekretarką, Cheryl Stikes. Nie miałyśmy jednak odwagi przekręcić gałki u drzwi. I tak spotkało nas ostatnio dość kłopotów. Czekaliśmy zatem, słysząc szepty i szelesty. Brzmiało to tak, jakby się ubierali - stukot obcasów, świst zapinanego zamka. Przyłapałyśmy ojca na gorącym uczynku. W końcu podszedł do drzwi.

Przypuszczałyśmy, że nas zatłucze, kiedy otworzy drzwi. Ale zachował się zadziwiająco sympatycznie.

- No dobrze, o co chodzi? - rzucił tylko.

Spojrzał na nas z niewinnym wyrazem twarzy. Cheryl stała za nim, przeczesując palcami swoje paskudne, zmierzwiłone włosy.

- Musimy wracać do domu - powiedziałam. - Kiedy ojciec wybiera się z powrotem?

- Dzisiaj pracuję do późna. Muszę pojechać na wieś, zabezpieczyć sprzęt. Skończę o ósmej, może nawet o dziewiątej. Nie mogę was zabrać, to teraz niebezpieczne.

- Świetnie. No to co mamy zrobić? - spytała Maggie.
- Tatusiu, czy pożyczysz nam pieniędzy na autobus? - zagadnęłam

najsłodszy tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

- Oczywiście. - Otworzył portfel i wręczył każdej z nas po dziesięć dolarów.

- Myślisz, że będziemy trzymały buzie na kłódkę, tak? - Nie mogłam się powstrzymać, słowa wyfrunęły mi z ust niczym samolot wzlatający z pasa startowego. Dziesięć dolarów to była kupa forsy.

- Susan! Cicho bądź! - rozkazała Maggie.

- Wiem, że moje córki są wystarczająco dojrzałe, by zrozumieć, że o pewnych sprawach nie należy mówić.

Wzięłam te dziesięć dolarów, wetknęłam je do kieszeni i obrzuciłam tatę najbardziej wrogim spojrzeniem, do jakiego byłam zdolna.

- Hej, Cheryl! - zawołałam.

Spojrzała na mnie znad biurka taty, gdzie przerzucała papiery. Jej sztucznie niewinny uśmiech doprowadzał mnie do mdłości.

- Usiądź na tym i zawiruj! - Pokazałam jej palec, odwróciłam się na pięcie i umknęłam po schodach na ulicę. Tuż za sobą usłyszałam kroki Maggie i śmiech taty, gromki śmiech, bez najmniejszej nuty wstydu.

- Boże Wszchemogący, Susan! - westchnęła Maggie. - Straciłaś rozum?

- A co go to obchodzi? Przecież się śmieje jak idiota!

- No tak, ale jest stuknięty i w każdej chwili może zwrócić się przeciw nam.

- Z nami już skończył - oznajmiłam zgodnie z prawdą.

Autobus odjechał w słońce. Nadchodziła zima, prawdziwa zima Południowego Wybrzeża. Wsiadłyśmy do autobusu i przez całą drogę, ponad półtorej godziny, prawie nie odzywałyśmy się do siebie.

Pomimo wprowadzenia nowej ustawy siedziałyśmy z Maggie na przodzie rozklekotanego, powolnego autobusu, a wszyscy kolorowi usadowili się z tyłu. Wprawiało mnie to w zakłopotanie. Spośród tych ludzi wywodziła się kobieta, która roztoczyła nad nami opiekę. Miałam ochotę oznajmić im, że pudło czekoladek, które wieziemy, jest dla Livvie. Zamiast tego jednak wpatrywałam się w okno i rozmyślałam, jak bardzo nienawidzę własnego ojca. Przysięgam sobie, że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to za kogoś zupełnie innego niż on.

Wreszcie autobus przystanął na naszym rogu. Na podjeździe stał samochód doktora Duggana. Ruszyliśmy w stronę domu.

- Auto Truja - zauważyła Maggie.
- Aha. Wstrząsające.
- Może tata tak naprawdę nic nie zrobił - oznajmiła nieoczekiwanie.
- Maggie, wiesz, że cię kocham, prawda? - zapytałam, czując się jak staruszka.

- Ależ oczywiście.
- Założę się, że na świecie jest mnóstwo pokręconych rodziców.
- Zapewne, ale to mi nie poprawia samopoczucia.

Objęłam ją. Było tak zimno, że para szła z ust.

- Na pewno nie - przyznałam - ale pomyśl o jasnych stronach życia. Za trzy lata znajdziesz się w college'u, a za cztery ja też się stąd wyniosę. Musimy opracować plan ucieczki i upewnić się, że nic nam nie zagraża. Co do mnie, zamierzam studiować do upadłego i przeskoczyć ostatni rok. Wtedy zamieszkamy razem w tym samym pokoju i przez cały czas będziesz mogła mnie pouczać.

Dostrzegłam jej uśmiech w bladym świetle zmierzchu.

- Wejźmy do środka. Jest zimno.
- Masz rację.

Przez kuchenne okno wydobywało się złociste światło. Weszliśmy na schody, związane wspólną tajemnicą. Nie zamierzałyśmy pisnąć ani słowa o tym, co się stało w biurze taty. Nasze twarze również nic nie zdradzą. Nie było powodu, by psuć innym święto i dawać Livvie kolejny pretekst, by poczuła jeszcze silniejszą niechęć do Wielkiego Hanka. Otworzyliśmy zatem drzwi i stanęłyśmy z nią twarzą w twarz. Henry i Timmy siedzieli przy stole i wpatrywali się w cukiernicę. Zjeżyły mi się włosy na karku.

- Co się stało? - zapytałam.

- Wejźcie no tu. - Livvie zamknęła za nami drzwi. - Chodzi o waszą babcię. Nie dalej jak dziesięć minut temu miała wylew czy coś takiego. Timmy znalazł ją na podłodze, kiedy poszedł jej zanieść kolację, a pani M.C. zadzwoniła po doktora. Są tam teraz. Wasz wujek już tu jedzie.

- O Boże. Czy ktoś zawiadomił tatę? - spytała Maggie.

- Dzwoniliśmy. Nie ma go.
- Pewnie pojechał na budowę - zauważyłam.

Trzasnęły drzwiczki samochodu i usłyszeliśmy szybkie kroki wujka Louisa na kuchennych schodach.

- Gdzie jest matka? - wydyszał.
- W swoim pokoju - odparła cicho Livvie.

Nagle uświadomiłam sobie, że Sophie może umrzeć. Do licha, przecież dopiero co pochowaliśmy Tipę! Nie byłam pewna, na czym właściwie polega wylew, wiedziałam jednak, że może zabić człowieka albo, co gorsza, pozostawić go przy życiu, lecz w fatalnym stanie.

- Możemy tam wejść? - zapytałam, choć tak naprawdę nie chciałam niczego oglądać.

- Lepiej na razie zostańcie tu ze mną. Umyjcie ręce i pomóżcie mi posiekać selery do nadzienia na jutro. Cokolwiek się zdarzy, jeść trzeba. Nie sądzę, żeby dziś odeszła. Nie mam takiego poczucia.

- Dostałaś jakąś wiadomość od faceta z lustra? - zagadnęłam niedballym tonem. Zapowiadało się nam niezłe święto.

- Nie, ale muszę sprawdzić. Może ma dla pani Asalit bilet na pociąg do wiekuiestej chwały, choć mi się tak nie wydaje. Nie na dzisiaj, w każdym razie.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy, Livvie? - spytał Timmy.
- Czuję to w kościach, synku.

Z korytarza dobiegł nas głos doktora, wzywającego przez telefon karetkę. Wymknęłam się z kuchni i stanęłam obok niego. Zwrócił na mnie uwagę dopiero po odłożeniu słuchawki.

- O co chodzi, dziecko?

- Mam na imię Susan, panie doktorze. Pamięta mnie pan? Jak się czuje nasza babcia?

- To poważna sprawa, Susan. Pani Sophie jest nieprzytomna. Dałem twojej mamie coś na uspokojenie i zabieram twoją babcie do Świętego Franciszka. Po tej nocy będziemy wiedzieć znacznie więcej.

- Niech to licho. Jutro jest Dzień Dziękczynienia. Ona nie może teraz umrzeć!

Bałam się, że śmierć zabierze Sophie tak jak przedtem Tipę. Po jego pogrzebie babcia wróciła do poprzedniego stanu. Przestała mówić. Nie myła

się, jeśli nie zmusiła jej do tego Livvie. Rzadko opuszczała pokój. Mimo to była moją babką i cała ta sytuacja mnie zaskoczyła. No i przecież Sophie pomogła mi wrócić do pokoju tamtej strasznej nocy.

- Karetka przyjechała szybko. Maggie na górze karmiła bliźniaczki butelką, a Timmy i Henry przebierali się w pidżamy. Ja tkwiłam w kuchni, szykując kanapki na kolację. Kiedy weszli sanitariusze, przerwałam smarowanie szynki majonezem i poszłam zobaczyć, co się dzieje.

Zajrzałam do pokoju babci. Kładli ją właśnie na nosze. Zapięli potężne pasy na jej drobnym ciele i przykryli ją białym kocem. Wydawała się taka maleńka. Przyszło mi do głowy, że może zmarznąć i podbiegłam do szafy, żeby wyjąć jej szlafrok i pantofle. Wręczyłam je wujkowi Louisowi.

- Będą jej potrzebne - powiedziałam.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Susan - odparł. - Powiedz matce, że później do niej zadzwonię. Obydwoje z ciocią Carol zostaniemy na noc w szpitalu. Kiedy twój tata wróci do domu, poproś go, żeby się z nami skontaktował.

- Dobrze.

Zeszłam za nimi po schodach. Wokół gęstniała straszna mgła. Karetka zaparkowana przed domem robiła okropne wrażenie. Jak coś z koszmarnego snu. Przez kilka minut stałam na ganku, wsłuchując się w wycie syreny, które stopniowo cichło w oddali. Oparłam się o poręcz i zaczęłam nasłuchiwać odgłosów oceanu. Na ganku pani Simpson zgasło światło. Prawdopodobnie wszystko widziała.

Za moimi plecami trzasnęły siatkowe drzwi i bez oglądania się wiedziałam, że to Livvie wyszła sprawdzić, czy nic mi nie jest. Poczułam jej dłoń na ramieniu.

- Będzie dobrze, dziecinko, wszystko będzie dobrze.

- Tak, wiem.

- Chodź do domu, dzisiaj na tym ganku można się nabawić zapalenia płuc.

- Livvie, myślisz, że ona wyzdrowieje?

- Nie znamy Bożych zamysłów, dziecko, no i sama wiesz, że od śmierci pana Tipy z twoją babcią było kiepsko. Może przyszedł na nią czas, ale jeden Pan Bóg to wie.

- Livvie, kupiliśmy z Maggie coś dla ciebie na Święto Dziękczynienia.

- O czym ty mówisz?
- No, kupiłyśmy ci duże pudło czekoladek. Mam nadzieję, że to cię trochę rozweseli. Ostatnio byłaś, bo ja wiem, jakaś inna.
- Och, dziecko. - Westchnęła głęboko. - Chyba dźwigałam ciężar świata. Nie turbuj się. Z Livvie wszystko w porządku i z tobą też, nie?
- Możemy rozpakować to pudełko i rzucić na nie okiem. Oczywiście jeśli masz ochotę.
- Zrobmy to. Trzeba sobie trochę osłodzić życie. - Uśmiechnęła się do mnie i zamknęła drzwi.

Weszłyśmy do salonu, żeby zgasić światło i Livvie obrzuciła lustro ciężkim spojrzeniem. Pomyślałam, że nie może się oprzeć pokusie zajrzenia w przyszłość. Wiedziałam, że gdybym potrafiła coś zobaczyć w tym cholernym lustrze, spoglądałabym w nie bez przerwy. Livvie przetarła oczy i popatrzyła ponownie.

- Nie może być - odezwała się.
- Co? Co tam widzisz? Powiedz mi!

Nie zwracając na mnie uwagi, podeszła do okrągłego mahoniowego stołu, na którym stały dziesiątki starych rodzinnych fotografii. Wzięła do ręki zdjęcie mamy ojca, która zmarła przed moim urodzeniem. Potem podniosła fotografię ślubną babci Sophie i dziadka Tipy.

Zacisnęła usta i odstawiła zdjęcie, ścierając fartuchem ślady swych palców ze srebrnej ramki. Zaczęła śpiewać.

- Livvie, przemów do mnie! - Byłam wystraszona.
- Dziecko, posłuchaj tych słów - powiedziała i zaśpiewała:

*Znużona myślę czasem, że
Daremną moja praca,
Ale Duch Świąty potem
Znów duszę mą wzbogaca.*

- Co to ma oznaczać?
- To, że kiedy zgryzota puka do drzwi, myśli zwracają się ku Panu, ot co.
- Mówisz, że czeka nas zgryzota?
- Susan, mówię, że nie bez powodu Bóg postawił mnie w tym domu. Jeśli zgryzota zapuka do drzwi, będę z wami i pomogę. Słyszysz mnie?

- To wszystko? Nic mi więcej nie powiesz?
- To wszystko. No a teraz skończmy robić nadzienie do indyka i zjedzmy sobie po czekoladce.
- Dobry pomysł. - Nadal byłam podejrzliwa. - O rety, zrobiło się późno! Będziesz dziś u nas nocowała?
- Nie planowałam tego, ale po tym, co się stało z panią Asalit i w ogóle, może będzie lepiej, jak zostanę.
- Aha, tak będzie najlepiej.

Siekałyśmy w milczeniu, podjadając migdały i czekoladowe karmelki, a Livvie od czasu do czasu nuciła jakąś pieśń. Rzepa, ziemniaki, cebula, seler, marchew, pietruszka. Kapuściane liście moczyły się w słonej wodzie z octem, która miała je zmiękczyć. Kości od szynki, wyjęte z zamrażarki, miały dodać smaku jarzynom.

Gdy Maggie zeszła na dół, ozdobiłyśmy jadalniany stół liśćmi i wyjęłyśmy najlepszy obrus mamy. Śnieżnobiałe adamaszek przykrył stół jak należy. Wyglądało to pięknie. Na środku postawiłyśmy owoce i orzechy w babcinej misie z waterfordzkiego szkła. Obłożyłyśmy ją kolcowojem i uznaliśmy nasze dzieło za wspaniałe.

Livvie położyła bliźniaczki do łóżka. Mama już spała. Telefon milczał. Tata jeszcze nie wrócił do domu. Wujek Louis nie zadzwonił.

- Pół do dwunastej! Lepiej już się kładźcie spać, dziewczynki - powiedziała Livvie. - Ja się prześpię na leżance w pokoju bliźniaczek.
- Gdzie jest tata?
- Dziecko, nie trap się tym teraz. Jutro będzie mnóstwo czasu, żeby się dowiedzieć. Idźcie do łóżka. Bardzo wam dziękuję za tę śliczną bombonierkę. To wiele dla mnie znaczy.
- A ty, Livvie, wiele znaczysz dla nas - powiedziałam.
- To prawda - dorzuciła cicho Maggie. - Bardzo wiele.

Ze świadomością, że Livvie znajduje się dwa pokoje dalej, zapadłam w kamienny sen.

13.

Odzyskiwanie kontroli

1999

Uważałam, że bardzo dobrze sobie radzę ze swoim nowym życiem. Ochrzaniałam tych, którzy się o to prosili (głównie Beth), i całowałam tych, którzy na to zasługiwali (również Beth). Nie było mi łatwo, ale stawiałam krok za krokiem i - jak mawiała Livvie - dziękowałam Bogu za daną mi szansę.

Tom w dalszym ciągu zwlekał z przekazaniem informacji koniecznych do sfinalizowania umowy rozwodowej. W ubiegłym tygodniu odesłał Beth do domu z kopertą zawierającą tysiąc dolarów w gotówce. Wiedziałam, że skłoniło go do tego nieczyste sumienie - poczucie winy z powodu tamtej nocy, kiedy szalała burza, i z powodu rozczarowania Beth. Wiedziałam również, że wielu klientów płaci mu gotówką, a on nie zgłasza tego jako dochodu. Potrzebowałam tego tysiąca, a jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że szybko się rozejdzie. Wetknęłam banknoty do starych tenisówek i usiłowałam nie czuć się jak ulicznica.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Tom tak się ociąga ze sfinalizowaniem naszej sprawy rozwodowej. Zdumiewało mnie to, zwłaszcza że Karen, nimfетка New Age, znowu z nim zamieszkała, a przynajmniej Beth widywała ją za każdym razem, gdy spędzała weekend u ojca. Zadzwoiłam do Michelle Stoney z prośbą, żeby popędziła mu kota.

Kiedy go zapytała, dlaczego nie przekazał jej wszystkich potrzebnych dokumentów podatkowych, odpowiedział: „Muszę zadzwonić do księgowości”.

- To są kpiny - uznałam. - Co on sobie wyobraża? Że mam w salonie automat do produkcji pieniędzy? To wszystko już za długo się ciągnie.

- Wiem. Daj mi dwadzieścia cztery godziny. Postraszę go komornikiem. To mu zapali ogień pod tyłkiem. Niezbyt dobrze wygląda dla palestry, kiedy pozywa się prawnika za uchylanie się od świadczeń finansowych. Jutro do ciebie zadzwonię.

Ta rozmowa uświadomiła mi, że nawet Michelle Stoney, wielka feministka, potrzebuje subtelnej zachęty do działania. Musiałam sama zadbać o swoje interesy.

Miałam jeszcze inne punkty na liście. Czekala mnie przyjemność zwrócenia uwagi Karen, kociakowi o niewyparzonej buzi. Powiedziała Beth, że życie seksualne jej i Toma jest tak bajeczne, iż właściwie mogłaby wcale nie wychodzić z łóżka! Zostawiłam jej wiadomość na sekretarce.

- Cześć, Tygrysyco - zaczęłam - tu mówi Susan Hayes. Zechciej łaskawie ograniczyć rewelacje dotyczące pożycia z moim mężem do rozmów z osobami dorosłymi. Pod żadnym pozorem nie próbuj wzbogacać wiedzy mojej córki na temat rozkoszy związku pozamałżeńskiego. Moja córka jest niepełnoletnia i nie powinna wysłuchiwać uwag o tym, co podnieca jej ojca i jego konkubinę. Szczegółowe opisy twoich budzących abominację wygibasów żadnej z nas nie interesują. Jeżeli moja wiadomość nie brzmi wystarczająco jasno, możesz do mnie zadzwonić. Jeżeli natomiast kwestia ta nadal będzie wypływać, skontaktuje się z tobą moja prawniczka. Słowa „konkubina” i „abominacja” znajdziesz w słowniku, o ile takowy posiadasz, w co poważnie wątpię.

Skoro już wygłaszałam tę reprimendę, nie mogłam sobie odmówić za trutej strzały na koniec.

Trudno mi było również nie zwracać uwagi na Mitchella Freemonta, najbardziej denerwującego osobnika w całej galaktyce. Przypominał mi wańkę-wstańkę. Mój brat Timmy miał taką lalkę, kiedy był mały. Gdy się ją uderzyło w czerwony nos, kładła się, a potem znowu prostowała, zachęcając do następnego ciosu. Ilekroć przyłapywałam Mitchella w biurze na obmacywaniu mnie oczyma, posyłałam mu śmiercionośne spojrzenie Wojowniczej Księżniczki, on zaś przewracał się i prostował jak wańka-wstańka. Było to nawet w pewnym sensie komiczne.

Jeśli chodzi o wydarzenia pozytywne, w czwartek - zgodnie z zapowiedzią Maxa Halla - ukazał się mój pierwszy felieton. Zatytułowaliśmy go „Wspomnienia dziewczyny z Wyspy”, co wydawało się niezłym posunięciem.

Uznałam, że felieton i rysunki wyglądają dobrze, ale poprawiono tekst bez mojej wiedzy. Zdenerwowało mnie to, bo chętnie sama wprowadziłabym zmiany, lecz nie takie, jakie wprowadzono za mnie. Tak czy owak, zarobiłam około stu dolarów i to mnie cieszyło. Stopy Beth ciągle rosły, a ja ciągle chudłam. Dziennikarstwo było nowym terytorium, na którym postawiłam pierwszy krok.

Okazało się, dzięki Bogu, że Maggie nie miała racji co do Granta. Istotnie miał te zapalki, ale powiedział, że zabrał je z pokoju chłopców, martwiąc się, iż palą papierosy. Bucky, syn Maggie i Granta, przyznał się, że to jego zapalki i że, owszem, palił papierosy - i owszem, został uziemiony w domu na dwa tygodnie. Bardzo mi ulżyło. Jeden rozwód w rodzinie wystarczy, dziękuję uprzejmie.

Maggie zadzwoniła, żeby pogratulować mi felietonu, i właśnie omawialiśmy kwestię zaufania do mężczyzn, kiedy rozległ się sygnał z drugiej linii. Przeprosiłam Maggie, myśląc, że sygnalizowanie kolejnego telefonu to diabelski wynalazek. Powinnam skasować tę usługę i założyć dla Beth osobną linię, gdy tylko będzie mnie na to stać. Dzwonił Roger Dodds.

- Cześć, pamiętasz mnie? - spytał.

- Roger Dodds? Roger Dodds? Nie jest pan czasem lekarzem czy kimś takim?

- Ach, brutalna pani Hayes. Owszem, jestem cudzoziemskim lekarzem z Aiken, który dokonał nalotu na nocny klub i jaskinię bezeczeństwa twojej córki trzy tygodnie temu.

- Och, przypominam sobie! Jak się miewasz?

- Dobrze, dziękuję. Ehm, przepraszam, że nie zatelefonowałem wcześniej. Po tej burzy musiałem pojechać na kilka dni do Aiken, żeby pomóc wujostwu. To starsi ludzie, a ich dom został kompletnie zniszczony.

- To straszne. Na pewno nie trafiłeś na tor wyścigowy w Indianapolis?
- Nie ziewnęłam w słuchawkę, ale też nie kupiłam jego historyjki.

- Bardzo zabawne. Nie, zrezygnowałem już z wyścigów samochodowych. W każdym razie wujek Richard ma osiemdziesiąt dwa lata, a ciocia Frieda też przekroczyła osiemdziesiątkę. Wiesz, jak to bywa ze starymi ludźmi, są przestraszeni i zagubieni - powiedział.

- No cóż, ja mam dwadzieścia siedem lat, a też bywam przestraszona i zagubiona - zażartowałam, dochodząc do wniosku, że być może nie wciska

mi totalnego kitu. - Mógłbyś chwilę poczekać? Mam na linii Maggie. Powiem jej, że oddzwonię.

Wcisnęłam kilka guzików i w końcu wróciłam do Rogera.

- Tak czy owak, chciałbym się z tobą jeszcze spotkać - oznajmił. - Co porabiasz w ten weekend?

- Jak zwykle, zajmuję się domem. Nic szczególnego.

- Poszłabyś na kolację?

- Jasne, bardzo chętnie. Kiedy?

- Może w tę sobotę?

- Świetnie. O której?

- O ósmej, nie, o wpół do ósmej. Przyjadę po ciebie.

- Może tym razem ja usiądę za kierownicą?

- Kobiety! Dlaczego wy się wiecznie czymś martwicie?

- Kwestia przetrwania. Hej, mam pomysł! Każę Beth przyrządzić koktajle.

- Cóż to była dla ciebie za noc! Czy wszystko dobrze się skończyło?

- Pomijając fakt, że zdemolowali mi dom, a moja córka zszargała sobie reputację u całego grona uczniowskiego, sprawy ułożyły się jak najlepiej.

- Te dzieciaki!

- No. Do zobaczenia w sobotę. I, Roger?

- Tak?

- Nie mogę się doczekać spotkania. Trochę się rozerwiemy.

Od razu zadzwoniłam do Maggie.

- Zgadnij, kto to był - powiedziałam. - Roger Dodds. Umówiłam się z nim na sobotę.

- Żartujesz! To wspaniale!

- Tak, chyba coś wreszcie drgnęło w moim życiu.

- Słuchaj, Susan, jeśli on będzie chciał iść z tobą do łóżka, zrób to - oznajmiła nagle Maggie.

- Co? Czyś ty oszalała? Ledwo go znam! - Czasami Maggie zdradzała objawy lekkiego bzika. Poważnie.

- Nie, posłuchaj, czytałam w jednym artykule, że pierwszy kontakt seksualny po rozpadzie małżeństwa jest najbardziej stresujący. Im prędzej będziesz to miała za sobą, tym lepiej.

- Chyba nigdy nie słyszałam od ciebie czegoś równie szalonego.

- To prawda! Wiesz, gdybym rozwiodła się z Grantem, byłoby mi bardzo trudno nawet rozebrać się przy kimś innym, a co dopiero wejść do łóżka!

- Po pierwsze, od wieków nie stosuję żadnego środka antykoncepcyjnego. Po drugie... och, zlituj się, Maggie! Nie wyobrażam sobie tego.

- Zastanów się. On może ci pomóc w okresie przejściowym. Ale masz rację, musisz pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu przed chorobą. Kto wie, gdzie on się włóczył?

- Jezu - jęknęłam - dzięki za troskę.

Miałam dwa dni na przygotowanie się do drugiej randki. Postanowiłyśmy z Beth zafundować sobie nowe fryzury i manicure. Pojechałyśmy do Citadel Mall, gdzie znalazłyśmy nowo otwarty salon fryzjerski. Za biurkiem siedziała drobna, młodzianka, śliczna blondynka o asymetrycznie przyciętych włosach, o twarzy bez jednego piegu czy zmarszczki i z wypielęgnowanymi paznokciami. Na widok jej makijażu i kolczyka w brwi poczułam się tak, jakbym miała co najmniej tysiąc lat. No świetnie.

- Czym mogę służyć? - zapytała. Jej głos brzmiał miło i fachowo.

- Chciałabym zamówić strzyżenie i manicure dla córki i kompleksową usługę dla siebie - odparłam.

- Kiedy życzy sobie pani przyjść?

- Możemy zrobić zakupy i wrócić, gdy ktoś będzie wolny.

Zaczęła sprawdzać terminarz, ja natomiast pomyślałam z niepokojem, że po tej wyprawie w świat urody będę miała taką samą fryzurę jak ona.

- Ehem - chrząknęłam - czy macie wśród personelu kogoś, kto strzyże osoby w podeszłym wieku?

Miała przynajmniej dość inteligencji, by zachichotać.

- Tak, szanowna pani. Kima. To właściciel. Przyjechał z Nowego Jorku i jest bardzo dobry. Pobiera nieco wyższą opłatę niż inni styliści, ale myślę, że będzie pani zadowolona.

Uwielbiałam po prostu, kiedy ktoś mówił do mnie „szanowna pani”. Przypominało mi to, że powinnam jeść dużo błonnika.

- Potrzebujemy tego, prawda? - zwróciłam się do Beth.

- Och, mam, koniecznie!

- Dobrze, proszę nas zapisać.

- Manicure i pedicure dla pani?

- Tak, proszę.
 - Wosk?
 - A co woskujecie? - zaciekałam się.
 - Nogi, brwi, okolice bikini, właściwie wszystko, na czym rosną włosy.
- Zachichotała ponownie.

Czy ja też byłam kiedyś taka niemądra? Pewnie tak.

- Niech będzie i wosk. Czemu nie?

Zgodziłyśmy się wrócić za godzinę.

Weszłyśmy do Dillarda rozejrzeć się za kosmetykami. Wędrowałam między ladami, aż wreszcie jakaś osoba mniej więcej w moim wieku przy stoisku firmy Chanel spytała, czy może mi w czymś pomóc. Do czarnego żakietu miała przypiętą plakietkę z imieniem EVA.

- Tak - odparłam. - Szukam szminki, która odmieni moje życie. - Nie do końca był to żart.

- Mam coś w sam raz - zapewniła. - Proszę usiąść.

Wspięłam się na chromowany barowy stółek, a ona przyjrzała się mojej twarzy i gołym rękóm.

- Złotko, masz suchą cerę. Znajdziesz dla mnie dziesięć minut?
- Jasne. Tak, wiem, moja skóra jest wrażliwa.
- Zamierzam podarować ci nową twarz. Zgadzasz się?

Eva porównała kilka odcieni podkładu z moją cerą i wypróbowała jeden na moim podbródku.

- Ten będzie dobry - oceniła. - Wygładzający. Przesiadujesz dużo na słońcu?

- Już nie, ale dorastałam nad morzem. Należę do pokolenia nadużywającego oliwki i jodyny.

- Ja również. - Odsunęła się i popatrzyła na moją twarz. - Tak, ten jest dla ciebie idealny.

Umilkłam i spojrzałam w lustro. Wszystkie drobne zmarszczki wokół ust gdzieś zniknęły. Kurze łapki wokół oczu były o wiele mniej widoczne. To zakrawało na cud!

- Nosisz szkła kontaktowe? - spytała.
- Przytaknęłam. Nosiłam je cały czas.
- Dobrze, będę uważać - powiedziała. - Patrz teraz w dół.

Nadeszła Beth i na mój widok otworzyła usta.

- Jeju, mammo! Ale z ciebie laska!
- Masz ładną mamę - zauważyła Eva. - Teraz zastanówmy się, co ci będzie potrzebne.

Przyjrzałam się swojemu odbiciu. Z całym tym makijażem nadawałam się w sam raz na paradę karnawałową w Nowym Orleanie, ale gdybym go trochę stonowała, nie byłby taki zły.

- Proszę, złotko, wszystko ci zapisałam, żebyś nie zapomniała, co do czego służy. Naprawdę świetnie wyglądasz - zapewniła Eva, biorąc moją kartę kredytową. Wydobyła spod lady naręczce próbek i włożyła mi do torby.
- Dałam ci też próbki perfum.

- Dziękuję, Evo - powiedziałam. - Bardzo ci dziękuję za pomoc.

Ruszyliśmy pospiesznie do salonu fryzjerskiego, jako że zbliżała się umówiona pora. Przebrałam się w specjalne okrycie, po czym zaprowadzono mnie na woskowanie.

Kiedy wyszłam - już bez owłosienia - dwadzieścia minut później, Beth siedziała z głową owiniętą ręcznikiem, czytając jakieś czasopismo. Musiałam być blada jak płótno, bo natychmiast wstała, ujęła mnie pod łokieć i podprowadziła do krzesła.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Podać ci szklankę wody?
- Nie, wszystko w porządku. Jestem tylko nieco obolała.
- To boli? Aż trudno uwierzyć, mammo. To znaczy, słyszałam, że podobno trochę szczypie, ale, o rany, wyglądasz naprawdę okropnie.
- No bo wyobraź sobie. Najpierw rozprowadzają ci ciepły wosk w pachwinach, przykrywają bawełnianą szmatką, a potem zdierają to jednym ruchem, wrywając z korzeniami całe pasmo włosów łonowych. O mało nie zemdlałam.

- Wolę sobie tego nie wyobrażać - wzdrygnęła się Beth.
- Z nogami nie było tak źle, brwi prawie nie poczułam, ale przy tych pachwinach czekało mnie prawdziwie mistyczne doznanie. Ujrzałam Jezusa, Elvisa i Jimmy'ego Hoffe.

- Rany, co my, kobiety, musimy znosić - westchnęła.

Serdecznie mnie rozbawiło to jej zaliczenie siebie do grona kobiet. Jak ona szybko dorastała!

- Spotkamy się później - rzuciłam i poszłam robić pedicure.

Dziewczyna, która mi go robiła, była niebiańską istotą i gdy masowała mi

stopy, odprężyłam się do tego stopnia, że zapomniałam o przygodzie z woskiem. Kiedy skończyła, pokuśtykałam w stronę krzesel, myśląc, że moje paznokcie u nóg wyglądają zupełnie jak dziesięć poziomek.

Po chwili zbliżył się do mnie bardzo przystojny mężczyzna.

- Witam! Pani Hayes? Jestem Kim.

Wstałam, uściśnęłam jego dłoń i ruszyłam za nim. Miał około pięćdziesięciu lat, krótko ścięte szpakowate włosy i brylantowy kolczyk w kształcie śrubki. Ubrany był w czarny kaszmirowy golf z rękawami podciągniętymi powyżej łokci i w czarne wełniane spodnie z idealnym kantem. To był facet z klasą. Wytworny, prawdę mówiąc. Usiadłam i popatrzyłam na jego odbicie w lustrze.

- Świetny pasek - powiedziałam. - Gdzie pan go kupił?

- Dziękuję. U Bergdorfa w Nowym Jorku. To Kieselstein.

- Aha, więc nic dziwnego - odparłam, udając, że wiem, kto to taki Kieselstein. Ozdobna srebrna sprzączka miała kształt psiego łba.

- A zatem, czego dziś oczekujemy? - zapytał.

Spojrzałam mu w oczy i z najpoważniejszym wyrazem twarzy, na jaki mogłam się zdobyć, oznajmiłam:

- Jestem realistką i nie spodziewam się cudów. Jeśli upodobni mnie pan do Catherine Deneuve, to mi wystarczy.

- Kiedy z panią skończę - odparł - Catherine Deneuve będzie mogła się schować w mysiej dziurze! - Przesypał między palcami moje gęste włosy i okrążył krzesło, pocierając podbródek. - Stonowany blask - mruknął.

- Cóż, w tym wieku wszystkie wolimy stonowany blask - zauważyłam.

- Nie, nie, nie! Pani żartuje! Chodziło mi o to, że pani włosy potrzebują lekkiego rozświetlenia. Trzeba uwydatnić oprawę pani twarzy. To bardzo delikatny proces i zajmuje trochę czasu, ale daje w rezultacie łagodny połysk, który ożywi pani twarz.

- O.

- Oprócz tego podetniemy włosy o jakieś sześć, siedem centymetrów, wycieniamy, żeby w pełni wykorzystać ich bajeczną obfitość, i wymodelujemy okrągłą szczotką. Będą lśniły jak wypolerowana skóra!

Zasepiłam się nieco. Ile to całe przeobrażenie mogło kosztować? Dostrzegł wyraz niepokoju na mojej twarzy.

- Proszę się niczym nie przejmować - powiedział. - Fran umyje pani głowę.

Nie przejmować się? W porządku, nie będę się przejmować. Wysłę rachunek Tomowi. Fran tak wspaniale masowała mi skórę głowy, że omal nie usnęłam. Zapomniałam już, jakie to przyjemne uczucie. Kilka minut później wróciłam na fotel, a Kim zaczął mi rozczesywać włosy.

- Mieszka pani w Charlestonie? - zagadnął. Rozdzielił włosy długim końcem grzebienia i podpiął do góry.

- Tak, od wieków.

- Mężatka? Proszę trochę pochylić głowę, dobrze?

- Dobrze. Właśnie jestem w trakcie rozwodu.

- Ja niedawno się tu sprowadziłem - powiedział.

Co najmniej dziewięć centymetrów włosów, ściętych u nasady szyi, spadło na podłogę.

- Skąd pan przyjechał? - spytałam.

- Z Nowego Jorku. Prowadziłem salon Sassoon'a i w końcu udało mi się uskładać dość pieniędzy, żeby otworzyć własny. Mój przyjaciel jest architektem i zawsze snuł szalone marzenia o własnej plantacji. Znaleźliśmy przepyszną plantację przy autostradzie numer 17, prawie pod Walterboro, i natychmiast skorzystaliśmy z okazji! Oczywiście, trzeba tam wszystko zrobić, ale Jeremy, to znaczy mój przyjaciel, jest bardzo zdolny. Zanim się obejrzymy, zjawia się u nas reporterzy z „Architectural Digest” z aparatami!

- Rety, to brzmi wspaniale!

- Bo jest wspaniale, a raczej będzie. Więc mieszka pani w mieście?

- Owszem, w starym wiktoriańskim domu przy Queen Street.

- Bardzo mądrze. To z pewnością ułatwia życie.

- Tak, nie muszę jeździć do pracy samochodem. Ale wychowałam się nad samym morzem. Moja siostra nadal mieszka w tym domu.

- O? Czym się zajmuje? Pani Hayes, proszę trzymać głowę prosto.

- Przepraszam. Maggie zajmuje się tym, czym w opinii ogółu powinna się zajmować żona chirurga. Prowadzi dom, przewodniczy Klubowi Ogrodniczemu, udziela się, gdzie tylko może. Organizuje imprezy towarzyskie dla żon wykładowców w Akademii Medycznej. Prócz tego ma dwóch nastoletnich synów, przy których jest trochę roboty.

- Nie wątpię. Aha, to mi się podoba. Kiedy ostatnio była pani u fryzjera?

- Za prezydentury Nixona.

- Ależ pani lubi żartować.

Popatrzył na mnie z uśmiechem. Miał idealne zęby i dołeczki w policzkach. Urocze.

- Pani Hayes?

- Proszę mi mówić Susan.

- A więc, Susan, chciałbym ci złożyć propozycję.

- Cudownie! - odparłam.

- Nie, nie - odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. Przyjaznym gestem położył mi dłonie na ramionach i przemówił do mojego odbicia. - Oto moja propozycja: ostrzygę i ufarbuję ci włosy na koszt firmy. Jeśli będziesz zadowolona, chcę, żebyś przysłała do mnie swoją siostrę, a ja obsłużę ją i wszystkie małżonki lekarzy z Akademii Medycznej z dwudziestopięcioprocentową zniżką. Oferta jest ważna do Bożego Narodzenia. Co ty na to?

- Sądzę, że czeka cię mnóstwo pracy.

- Ale wiesz co? To jest o wiele tańsze niż reklama. Dam ci zapas wizytówek, dobrze?

- Umowa stoi.

Byłam podekscytowana. Maggie, podobnie zresztą jak wszystkie znane mi kobiety, nie potrafiła przepuścić takiej okazji. Nadeszła Beth ze świeżą fryzurą, najładniejszą, jaką widziałam, puszystą i lśniącą.

- Mamo! Moje włosy wyglądają super! Jak ci się podobają?

- Bardzo mi się podobają, ale wybór seledynowego lakieru do paznokci przekracza moje granice pojmowania. Przywitaj się z Kimem.

- Cześć - rzuciła. - Mamo, zrobię rundkę po centrum i wrócę za godzinę, zgoda?

- Pewnie, baw się dobrze.

- Rundkę po centrum? - powtórzył Kim, odprowadzając ją wzrokiem.

- Mnie nie pytaj.

Przez następne dwie godziny okręcał mnie w kółko i pracował nad moją głową: spłukał włosy płukanką, nałożył odżywkę, nadał połysk, tu i ówdzie jeszcze przyciął - i w końcu zaczął suszyć. Jednocześnie trzymałam dłonie na poduszczykach na kolanach, a dziewczyna siedząca na niskim stołeczku robiła mi manicure. Czułam się jak królowa baśniowej krainy.

Wreszcie obrócił mnie twarzą do lustra i z trudem poznałam samą siebie.

- Wielkie nieba!

- Podobasz się sobie? - spytał Kim i wybuchnął śmiechem. - Powiniennem był sfotografować cię „przed”, nie uważasz?

- Niesamowite - stwierdziłam. - Wiesz, nie jestem zarozumiała, ale chyba nigdy w życiu nie wyglądałam tak dobrze! Jak mam ci dziękować?

- Powiedz swojej siostrze i znajomym. Nie zapomnij o naszej umowie.

Stał obok i uśmiechał się do mnie. Pragnęłam zostać jego dozgonną przyjaciółką.

- Cóż, przypuszczam, że istnieje poważna różnica między fachową obsługą a przycinaniem sobie splotów nożyczkami do papieru, no nie? Kim?

- Tak?

- Nie opuszczaj mnie.

Nie pozwolił mi również zapłacić za Beth, lecz dałam suty napiwek dziewczynie, która myła mi głowę, i manicurzystce. Byłam wniebowzięta.

Wychodząc, natknęłam się na Beth z torbą ze sklepu muzycznego Record World.

- Ejże! Czy my się znamy?

- Bardzo śmieszne.

- Poważnie, mam, ten cudak spisał się na medal. Jesteś jak nowa! Można by ci dać trzydzieści parę lat!

- Dzięki. - Aż się zarumieniłam, słysząc ten komplement, co nie zdarzyło mi się od bardzo dawna.

- Kupiłam kilka nowych krążków - poinformowała mnie. - Chcesz zobaczyć?

- Jasne. Chodź, napijemy się cappuccino.

Niewielkim nakładem sił przeobraziłam się w radosne czupiradło. Wystarczyło głodzić się przez pół roku i niechący wycyganąć darmową metamorfozę. Nieźle mi to wyszło. Boże, to wszystko było takie powierzchowne!

Nadszedł sobotni wieczór i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego jestem tak zdenerwowana. Wybierałam się na kolację z mężczyzną, dlatego. Zważywszy moje kontakty z mężczyznami, powinnam była dostać wysypki. Maggie mogła mieć rację, może on chciał mnie uwieść, a ja wcale nie byłam na to gotowa.

Beth u siebie pakowała marynarski worek, ponieważ miała prznocować u Toma. Obawiałam się, że wypaple Tomowi lub Karen o mojej randce. Nie żeby ich to obchodziło, ale za kilka dni mieliśmy wreszcie, po całym tym zawracaniu głowy, podpisać papiery rozwodowe. Po drodze do pokoju Beth zasunęłam zamek sukienki.

- Cześć, mała!
- Cześć, mamó! Świetnie wyglądasz!

Sprawiła wrażenie kogoś, kto pogodził się ze stanem faktycznym. Ja miałam randkę, jej ojciec miał przyjaciółkę, normalna sprawa.

- Dziękuję, skarbie. Słuchaj, zrobisz coś dla mnie?
- No pewnie.
- Gdyby twój tata albo Karen wspomnieli o moim życiu towarzyskim, powiedz im, że nie prowadzę takowego, dobrze?
- Żaden problem. Nic im do tego, prawda?
- Prawda. I proszę, nie mów też o moim felietonie w gazecie.
- Jasne. Po co? - Wciągnęła na siebie dzinsy z dziurami na kolanach i spłowiła bluzę od dresu.
- Zamierzasz wybrać się w tym stroju na kolację z tatą?
- Idziemy tylko do Pizza Hut.
- No dobrze. W sumie nic wielkiego by się nie stało, gdyby się dowiedział, ale już niedługo mamy podpisać papiery i nie chciałabym, aby pomyślał, że nie musi nam pomagać finansowo. Rozumiesz?
- Tak jakby. Mógłby na przykład pomyśleć, że ten doktor się wprowadzi i będzie płacił nasze rachunki. I że zgarniesz grubą kasę za tę dodatkową pracę. Chyba jestem genialna albo co? - Zapięła worek i posłała mi krzywy, wszystkowiedzący uśmiech.
- Mój skarbie, dziecko kochane, jesteś wschodzącą gwiazdą nauki. Tylko trzymaj fason.
- Oj, mamó, przecież jestem nastolatką. Trzymanie fasonu to moja specjalność.

Odezwwał się dzwonek u drzwi.

- Ja otworzę - powiedziała. - To pewnie tata i jeśli zobaczy, jak wyglądasz, nabierze podejrzeń.

- Dziękuję, skarbie. Do zobaczenia jutro wieczorem. - Pocałowałam ją w głowę. Zatrzymała się i odwróciła do mnie.

- Postaraj się wrócić do domu o przyzwoitej porze, mamuś. Chcesz, żebym zadzwoniła? No wiesz, tak kontrolnie? Mogłabyś wykorzystać to jako wymówkę, gdybyś chciała się go pozbyć.

- Świetny pomysł, ale myślę, że dam sobie radę. Leć już, tata czeka.

- Kocham cię!

Trzasnęły frontowe drzwi i już jej nie było. Takie słowa nie mają ceny, pomyślałam. Zeszłam do salonu włączyć jakąś muzykę. Dostrzegłam w przelocie własne odbicie w wielkim lustrze matki i przez ułamek sekundy nie byłam pewna, czy to ja. Przystanęłam i obejrzałam się dokładnie. Całkiem nieźle. Miałam na sobie ciemnobrązową, krótką sukienkę bez rękawów, do której dobrałam żakiet. Moje ramiona nie były zwiotczałe. Włosy, połyskujące kasztanowym odcieniem, wyglądały naprawdę dobrze, a twarz wydawała się mniej napięta. Nowy makijaż spełnił swoje zadanie. Sprawiałałam wrażenie kobiety, która zamierza wyjść na miasto i się zabawić. Zupełnie nie przypominałam tej, która kilka miesięcy temu siedziała na podłodze i płakała.

Puściłam stary, ulubiony kompakt „Clifford Brown with Strings” i odprężyłam się, gdy ciepłe tony wypełniły pokój. Nalałam sobie kieliszek wina ze schłodzonej butelki stojącej na stoliku i zapaliłam kilka świec na obramowaniu kominka. Były to sandałowe świece zapachowe, moje najulubieńsze. Dostałam całe ich pudełko od Maggie na urodziny. Stare domy, takie jak mój, czasami zalatywały stęchlizną, lecz zniknęła, gdy woń drzewa sandałowego wypełniła pokoje.

Miałam nadzieję, że Rogerowi będzie smakował ser brie zapiekany we francuskim cieście z dżemem brzoskwinowym. Wycięłam ten przepis z gazety i udało mi się nie spalić ciasta na węgiel. Może Roger zauważy u mnie jakieś gospodarskie talenty. Przynajmniej dom wyglądał czysto. Spędziłyśmy z Beth ponad pół dnia na sprzątaniu i polerowaniu. Dobra z niej dziewczyna, pomyślałam. Dzwonek do drzwi obwieścił początek mojej randki.

- Cześć! Wejdz - powiedziałam.
- Cześć. Na Boga, co zrobiłaś z włosami? Proszę, to dla ciebie. Wyglądasz wspaniale!

- Dziękuję, ty też prezentujesz się całkiem nieźle. - Przeczesałam dłoń włosy z boku. - Trochę je podcięłam i tyle. Ach jej, jakie ładne! Uwielbiam frezje!

Weszliśmy do salonu i wstawiłam frezje do wazonu z kwiatami, stojącego na podłużnym stoliku obok sofy. Nalałam Rogerowi wina. Trącił mój kieliszek swoim i pociągnął spory łyk.

- Niezwykłe lustro - zauważył.
- To mało powiedziane.
- Więc powiedz mi więcej. - Przesunął dłonią wzdłuż szerokiej złotej ramy. - Wygląda na stare. Obiekt historyczny?

- Cóż, może trudno to sobie teraz wyobrazić, ale dawno, dawno temu, przed wojną z Jankesami, na Wyspie Sullivana znajdowały się hotele wypoczynkowe. Ludzie uciekali tam w lecie przed upałem. To lustro wisiało za barem w hotelu Planters do roku 1830. Później, w roku 1850, znalazło się w Moultrie House. Był to również hotel, który słynął z letnich zabaw tanecznych. Zbudowano go niedaleko mojego rodzinnego domu, nad samą zatoką. Miał nawet salę balową! Poczęstujesz się?

Położyłam kawałek ciepłego brie na krakersie i podsunęłam Rogerowi.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Dziękuję.
- Trudno uwierzyć, prawda? Można sobie wyobrazić, ile bourbona i whisky nalano przed tym lustrem. Ilu mężczyzn podkręcało przed nim węża, ile pań poprawiało kapelusze. O Boże, kocham historię. W każdym razie dostało się jakimś sposobem w ręce mojego dziadka i przez lata wisiało w naszym domu na wyspie.

- Wspaniała opowieść.
- Czarni z Południowego Wybrzeża mają taki przesąd, że lustro zatrzymuje duszę. Podobnie ze zdjęciami: cząstka twego ducha zostaje uwięziona w klatce filmu.
- Czasami ludzie wierzą w nieprawdopodobne rzeczy.
- Kto wie? Może mają rację. Nie przeczę, że to stare lustro niejedną raz napędziło mi stracha.

- I co się w końcu stało z Moultrie House? Dolać ci wina?

- Nie, dziękuję. Jeszcze mam. No i wyobraź sobie, na początku wojny

pojawił się jankeski żołnierz, który strzelił do tego hotelu z armaty. Prze-
rażeńi goście czmychnęli tłumnie z płonącymi gatkami. A kiedy spytano
tego Jankesa, dlaczego strzelał do budynku o charakterze cywilnym, czy
wiesz, co odpowiedział?

- Mogę tylko zgadywać.
- No więc?
- Ponieważ za ostatnim pobytem dostał marny pokój?
- O Boże, ale ty jesteś domyślny! Wiesz o tym?
- Chodźmy na kolację - powiedział. - Gdzieś to już czytałem.
- Ty łajdaku! Nie powiedziałeś mi, że znasz tę historię!
- Pani, nie jestem łajdakiem ani hultajem. Ponadto, mówiąc stylem
prawdziwego dżentelmena z Południa, pozostawiłem swe bmw w garażu,
aby móc przespacerować się bulwarem z twą przenauroczą osobą.

Roześmiałam się.

- Nie jestem pewna, czy istnieje słowo „przenauroczą”.
- Licencja poetycka. Idziemy?

Przeszliśmy się do niewielkiej restauracji w rejonie starego miasta, przy
zaułku, o którego istnieniu nawet nie miałam pojęcia. Zamówiliśmy prze-
pięknę steki, grube i słabo wysmażone, z pysznym musztardowym sosem, a
do nich wielką butlę wina cabernet sauvignon z Napa Valley. Zjedliśmy
wspólnie sałatkę cesarską, odkrywając przy tym, że obydwójce nie przepa-
damy za anchois, lubimy natomiast czosnek i grzanki. Potem zjedliśmy jakiś
wymyślny płonący deser o nazwie „wiśnie jubileuszowe”.

Po kolacji szliśmy tuż obok siebie i pod markizą Dock Street Theater
usłyszałam, że jestem piękna. Odniosłam wrażenie, że Roger mówi szczerze.
Zapewne pod wpływem wina albo latarni ulicznych. Wszystko jedno. Miło
było usłyszeć coś takiego.

- Dziękuję ci za wspaiałą kolację, Roger.
- Nie ma za co. Chciałem coś dla ciebie przyrządzić, ale może odło-
żymy to na inną okazję. Miałem dzisiaj tyle na głowie, że nie zdążyłem
wybrać żadnego przepisu.
- Mnie to się też często zdarza - zapewniłam.
- No cóż, przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wstąpić do mnie na
kawę albo kieliszek koniaku.
- Chętnie. Bardzo jestem ciekawa, jak mieszkasz.

Minęliśmy stary cmentarz i spomiędzy grobowców dobiegły nas głosy nastolatków. Siedzieli zapewne w otwartym mauzoleum, pijąc piwo i wymyślając różne wygłupy. Wszystko razem wydało mi się strasznie romantyczne. Roger wziął mnie za rękę i opowiedział o Aiken, a także o tym, jak ożenił się z dziewczyną, którą poznał na studiach medycznych.

- Studiowała medycynę?

- O, nie, nie. Była siostrą mojego kolegi. Stara bostońska rodzina, niezmiernie przywiązana do konwenansów. Ta dziewczyna była dla mnie jak święty Graal. Zawsze pragnąłem tego, co nieosiągalne.

- Znam to uczucie.

- No cóż, zaszła w ciążę, pobraliśmy się, a potem wszystko zaczęło się sypać. Jej rodzice mnie nie znosili. Pochodziłem z Południa i nawet gdy urodził się nam drugi syn, po niemal dwudziestu latach małżeństwa, pozostałem nieodpowiednim zięciem.

- Boże, to okropne. Ludzie są tacy ograniczeni.

- No cóż, minęło już tyle lat... Zrobiłem, co mogłem, dla Adelle, to znaczy mojej byłej żony. Niczego jej nie brakowało, jak mi się wydaje. W każdym razie mam dwóch wspaniałych synów, a ona wyszła za mąż za jakiegoś bostońskiego bramina i w zimie mieszka w Bostonie, a w lecie na południu Francji, tak jak chciała. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, czyż nie tak?

- Pewnie tak - odparłam.

- Jesteśmy na miejscu. Wejdz, zaparzę kawę. Mam nową maszynkę do espresso.

- Oho, trafiłam na króla gadżetów!

- Tak, to ja!

Czyżby różowa sztukateria? Jego dom stał tuż przy ulicy. Weszliśmy na długi, wąski ganek. Za drzwiami znajdował się oświetlony, zamknięty ogródek z fontanną pośrodku. Na ganku były bujane fotele i chybotka, najbardziej tradycyjna zabawka na Południowym Wybrzeżu. Chybotki można napotkać w całym Charlestonie - jest to długa deska, przytwierdzona kołkami do dwóch biegunów, która kołysze się na boki. Natychmiast na niej usiadłam, podskakując.

- W dzieciństwie huśtałam się na czymś takim godzinami - powiedziałam.

- Miałaś chybotkę? - Gmerał w pęk kluczy.

- Nie, ale była w jednym domu na wyspie i zakradałam się tam na ganek, żeby się pobawić.

- Nie wątpię, że było z ciebie niezłe ziółko - zauważył.

- Ależ, panie! Katolickie damy z Południa może piją ziółka, lecz nimi nie są.

- Rozumiem - uśmiechnął się do mnie. Miał naprawdę uroczy uśmiech. W końcu znalazł klucz i otworzył boczne drzwi. Zapiszczał system alarmowy. Cztery jednostajne bipnięcia, a tuż po nich piąte wyłączyły alarm i weszliśmy do środka. Byłam zaskoczona widokiem wnętrza. Salon wyglądał jak ze zdjęcia w piśmie „Southern Living”. Chyba spodziewałam się kawalerskiego mieszkania, jakiejś zbieraniny mebli.

- O Boże, Roger, jak tu pięknie!

- Dziękuję. Przez jakiś czas spotykałem się z dekoratorką wnętrz. Nie do wiary, ile potrafiła wydać na same tkaniny. Ale niebrzydko wyszło, co?

- Aha.

- Rozgość się, a ja nastawię maszynkę do kawy.

- Dobrze.

Obeszłam pokój. Od gzymsu pod sufitem do poziomej listwy w połowie ściany pokrywała wyściółka z czerwonego jedwabiu, haftowanego w złote trzmiele. Boazeria poniżej listwy była z wiśniowego drewna i wyglądała na dwustuletnią. Na podłodze leżał perski dywan w granatowe, czerwone i kremowe zawijasy i ptaki. Jedna sofa obita była materiałem w czerwone i złote paski, a druga miękkim ciemnoszarym aksamitem. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające okręty, z początku XX wieku albo starsze. Nad kominkiem zauważyłam dziewiętnastowieczny portret mężczyzny.

Roger wrócił, gdy wpatrywałam się w obraz. Mężczyzna z portretu miał bardzo smutne oczy i przepiękną twarz. Patrzył na mnie tymi brązowymi oczyma, a jego usta były pełne i nadąsane.

- Mój pradziadek - wyjaśnił Roger - namalowany pod koniec życia przez Johna Singera Sargenta. Dobre płótno, prawda?

- Piękne.

Podał mi małą filiżankę i wskazał sofę. Usiadłam i skosztowałam espresso, wdychając mocny aromat.

- Wiem, że się niepokoisz, czy będziesz mogła zasnąć po kawie, ale nie martw się. Mam coś, co ci w tym pomoże.

- O?

Pochylił się i otworzył pudełko stojące na stoliku. Była to stara, drewniana, inkrustowana jademitem puszka na herbatę. Wypełniały ją zielonkawobrazowe suszone listki jakiegoś zieleńca, przypominające marihuanę. Roger wyjął z drugiego pudełka paczuszkę bibulek i zaczął zwijać skręta.

- Chyba żartujesz. - Nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

- Tylko mi nie mów, że nigdy w życiu nie byłaś na haju.

- No owszem, zdarzyło mi się, ale ostatnio w czasach Woodstock.

- Przepraszam cię, ale w czasach Woodstock mogłaś mieć najwyżej piętnaście lat.

- Siedemnaście. Należałam do sympatyków ruchu.

- Cóż, będzie ci miło się przekonać, że jakość narkotyków znacznie się poprawiła. - Zapalił skręta i zaciągnął się głęboko.

- Bardzo się cieszę. Słuchaj, Roger, nie chciałabym wyjść na świętoszkę, ale już od dawna nie tykam tego cholerstwa.

Wybuchnął śmiechem i podał mi papierosa. Zawahałam się, a potem w napadzie dzikiej desperacji wzięłam skromnego macha i oddałam skręta Rogerowi.

- Siwy dym - skomentowałam.

- A jakże! - Śmiejąc się i kaszląc, ponownie podsunął mi papierosa.

Właściwie powinnam było powiedzieć: „Jejku, to jest super, ale muszę już iść”. Z niewiadomych przyczyn te słowa zamarły mi na ustach. Chyba byłam trochę zmęczona własnym poprawnym zachowaniem w każdej sytuacji i pomyślałam sobie: a co w końcu, do diabła, przecież ten facet jest odpowiedzialnym lekarzem. Co mi się mogło stać? Nabuzuję się trochę, co będzie prawdopodobnie bardzo przyjemne, a potem pojedę do domu i usnę jak dziecko. Pewnie. Zaciągnęłam się drugi raz i nagle poczułam, że opuszczam własne ciało.

- Hej! - przemówiłam. - Co się dzieje?

- Spokojnie! To mocna rzecz, prosto z Kolumbii. Odpręż się. Wszystko w porządku.

Byłam jak porażona. Obserwowałam go, gdy wstawał i włączał muzykę. Widziałam każdy jego ruch jakby w stroboskopowym świetle. Szast, prast, szast, prast. To było niesamowite. Nie przypominałam sobie, żeby w latach

siedemdziesiątych trawa tak na mnie działała. To był jakiś nowy gatunek trawy. Trawy? Czy ktoś powiedział: trawy? A jakiej? Zielonej? Żółtej? Kwitnącej? Zaczęłam chichotać. O mój Boże! Fruwałam. Muzyka, którą puścił Roger, dudniła basowymi tonami i kojarzyła mi się z seksem. Roger podszedł do sofy i wyciągnął rękę.

- Chcesz zobaczyć resztę domu?

- Jasne - usłyszałam i uświadomiłam sobie, że to mój własny głos.

Jagnię na rzeź, jagnię na rzeź. O, nie. Panuję nad sytuacją, zapewniłam się w duchu. Poprowadził mnie przez szereg pokoi. Jadalnię, kuchnię, gabinet i hall. Weszliśmy po schodach na piętro.

- Ładnie! - wydobyłam z siebie z niemałym wysiłkiem. - A może byśmy tak usiedli na ganku i trochę się pohuścili?

Wybuchnął śmiechem.

- Trochę się pohuścili! - Nie przestając się śmiać, zachęcił mnie: - Chodź dalej!

Minęliśmy zatem dwie sypialnie, gabinet i dwie łazienki, a następnie weszliśmy na drugie piętro, gdzie obejrzałam kolejne dwie sypialnie oraz cedrową szafę i olbrzymią łazienkę. W jednej z sypialni zauważyłam sprzęt do ćwiczeń.

- Bardzo poręczne - stwierdziłam, wchodząc na chodzik i zaczynając forsowną rozgrzewkę.

- Zejdź stamtąd, bo coś sobie zrobisz!

Ściągnął mnie ze sprzętu i wziął w ramiona. Sekundę później jego usta przywarły do moich. Myślałam, że zmiażdży mi wargi. To było przedziwne uczucie: naćpana, pozwalałam się całować komuś, kogo prawie nie znałam.

- Roger? Co się dzieje?

- Chodź - powiedział i wziął, mnie za rękę.

Zaprowadził mnie do sypialni. Nadeszła chwila przepowiedziana przez Maggie. Zdumiało mnie, że to mogło stać się tak szybko, nawet bez rozmowy, i nie nastawiłam się duchowo na coś podobnego. Gdy weszliśmy do pokoju, przyjrzałam się dokładnie jego łóżku. Wyglądało dość niewinnie, całe obłożone poduszkami. Miało wyściełany zagłówek i było nakryte aksamitną wzorzystą narzutą w brunatno-rdzawym odcieniu. Wyglądało na bardzo wygodne i poczułam nagle przemożną senność.

Tymczasem Roger podszedł do szafy i wydobył zapakowane pudełko. Prezent! Czyżby dla mnie? Byłam taka zmęczona, że pragnęłam tylko przespać się godzinkę, a wtedy wszystko byłoby w porządku. Wirowało mi w głowie, a głos Rogera docierał jakby z zaświatów.

- Gdy tylko to zobaczyłem, pomyślałem o tobie - powiedział. - Otwórz.

Zdarłam papier, spod którego wyłoniło się pudełko z „Victoria's Secret”. Oho, pomyślałam, cóż to może być? Odwinęłam bibułkę i wyjęłam koronkowy gorset w kolorze kości słoniowej, pończochy i figi na sznureczkach. Usiłowałam stłumić chichot, lecz omal się przy tym nie udusiłam. Roger doszedł do wniosku, że mam tremę.

- Włóżysz to dla mnie? - zapytał.

- No jasne! A co, myślisz, że jestem zakonnica?

Cholera jasna, on mówił poważnie. Co teraz? Jeśli chce mnie w tym zobaczyć, nie ma sprawy, pomyślałam. Maggie miała rację. Pierwszy raz będzie najgorszy. Gdyby wszystko nie wydawało mi się takie zabawne, chyba załamałabym się psychicznie. Roger parsknął śmiechem, a ja mu zawtórowałam.

W łazience zapaliłam światło i przyjrzałam się swej twarzy w lustrze. Pod wpływem trawki miałam zaczerwienione oczy. Nie mogłam oderwać wzroku od własnego odbicia.

- Dobrze się czujesz, Susan?

- Tak! Już wychodzę.

Ze śmiałością płynącą z otchłani wirującego umysłu rozebrałam się i zarzuciłam stanik na drążek przy prysznicu. Miałam pewien kłopot z zapięciami gorsetu i wreszcie włożyłam go tyłem do przodu, a potem obróciłam. To mnie zmusiło do gimnastycznych ćwiczeń. Znowu zaczęłam chichotać. Mój Boże, pomyślałam, kiedy ostatnio tak się śmiałam? To świetnie, że tak się rozkleiłam. Świetnie, laleczko! Pokazałaś majtusie! Parsknęłam śmiechem i uprzytomniłam sobie, że powinnam wziąć się w garść, jeśli mam spełnić marzenia tego facia. Facia? Od dwudziestu lat nie używałam tego słowa. No dobrze, trzydziestu.

Wciągnęłam pończochy i musiałam podjąć decyzję, czy wparadować do sypialni w butach czy bez. Uznałam, że jednak włożę buty, bo wówczas będę sprawiała wrażenie wyższej i szczuplejszej. Przeczesałam się jego szczotką

do włosów i wzięłam do ust odrobinę pasty do zębów.

Nagle opuściła mnie odwaga i usiadłam na pokrywie muszli klozetowej. Dlaczego to robiłam? A gdyby ten facet poprosił, żebym wbiegła nago do salonu, to co? Zgodziłabym się? Nie, powiedziałam sobie, to zupełnie inna sprawa. Roger wszystko przemyślał i pragnął tego tak mocno, że musiał zwrócić się do mnie.

Dostrzegłam jego szlafrok wiszący na drzwiach i włożyłam go. Był z czarnego jedwabiu. Zerknięcie w lustro powiedziało mi, że moja twarz zastygła w grymasie niepokoju. Nadal kręciło mi się trochę w głowie i nie pamiętałam, czy siedzę w tej łazience od godziny, czy od dziesięciu minut. Roger ponownie zapukał do drzwi.

- Nie martw się, Susan, nie rzucę się na ciebie! - zawołał.
- Już wychodzę!
- Chcę cię tylko zobaczyć.
- Wiem - odpowiedziałam drżącym głosem sześciolatniej dziewczynki.

- Nigdy czegoś takiego nie robiłaś, prawda?
- Prawda.
- W porządku. Rozumiem. Chcesz, żebym tam do ciebie wszedł?

Otuliłam się ciasniej jego szlafrokiem.

- Dobrze, wejdz. To znaczy, jeśli masz ochotę.

Otworzył drzwi i stanął w progu - uroczy, troskliwy i łagodny. Wyciągnął do mnie rękę.

- Chodź. Nie ugryzę cię... chyba że sobie tego zażyczysz.

Ujęłam jego dłoń, choć ostatnie słowa nieco mnie zmroziły. Weszliśmy do jego sypialni i stanęliśmy przed rozsuwanymi, lustrzanymi drzwiami szafy. Roger ulokował się za mną i otoczył ramionami moją talię. Powoli rozwiązał pasek szlafroka. Pasek opadł luźno z dwóch stron. Roger odgarnął moje włosy i pocałował mnie w kark. Poczułam gorący oddech. Prawą ręką rozgarnął poły szlafroka i zsunął go z moich ramion. Szlafrok opadł na podłogę. Nie mogłam zdobyć się na to, by popatrzeć w lustro. Z zażenowania oblałam się rumieńcem.

- Jesteś wspaniała - powiedział.

Wziął mnie za rękę i podprowadził do łóżka.

- Chcę cię tylko całować - szepnął.

Nie uwierzyłam mu ani na chwilę, ale pogodziłam się z faktem, że skoro ten pociąg już ruszył, bardzo trudno będzie go zatrzymać. Roger najpierw zdjął krawat. Potem rozpiął koszulę, wyciągnął ją ze spodni i rzucił na krzesło. Zsunął narzutę z łóżka, a ja przysiadłam na brzegu, podczas gdy on pieczołowicie składał spodnie, które następnie umieścił na tym samym krześle. Mimo iż skupiłam się na wciąganiu brzucha, nie mogłam nie zauważyć obcisłych białych slipów, które w pełni zaspokoiliły moją bezwstydną ciekawość.

- Przesuń się - rzucił.

Jak grzeczna dziewczynka, spełniłam polecenie. Ale zaczęłam mieć zdrożne myśli. Nie mogłam zaprzeczyć, że cała ta przebieżka wpłynęła na mnie podniecająco. Pragnęłam się z nim całować i rajcowała mnie sama myśl o seksie. Roger dotknął mnie ustami i jego pocałunki były teraz zupełnie inne niż te na górze - zdradzały raczej kogoś, kto oszczędza energię. Byłabym kłamczucha twierdząc, że nie sprawiły mi przyjemności. Jego usta przesuwały się po mojej szyi i mostku, nie dotykając piersi. Odczułam lekki zawód, ale to Roger panował nad sytuacją, a ja pragnęłam się przekonać, jak długo te pocałunki potrwają. Podciągnęłam się w górę, na poduszki, gdy wargi Rogera wędrowały wzdłuż moich nóg. Przerzucał się z jednej nogi na drugą, od czasu do czasu skubiąc lekko zębami wewnętrzną stronę ud. Zaczęłam głęboko oddychać, poddając się fali pożądania. Ku swemu zaskoczeniu, popadłam w lubieżny nastrój.

Roger odpiął mi pończochy i zaczął je bardzo powoli zsuwać. Teraz to już była udręka. Czulałam, że jeśli ten facet zaraz na mnie nie wlezie, zacznę krzyczeć. Zdjął mi buty i rzucił za siebie przez ramię. A potem ukląkł przy łóżku, całując i liżąc moje stopy. Dzięki Bogu, zrobiłam pedicure, pomyślałam. Dobiegł mnie cichy jęk. Nareszcie! pomyślałam sobie. Nareszcie!

- Roger? Wróć tutaj - powiedziałam.

Zaczął ssać palce moich stóp, niebywale łaskotliwe miejsce. Jedna z jego rąk gdzieś zniknęła, jęknął głośniejsze i przyssał się mocno do drugiego palca mojej stopy.

- Roger?

- Nie teraz. - Jęczał jeszcze przez chwilę, po czym ucichł, oparł głowę

o łóżko i wypuścił moją prawą stopę. Po chwili obrzucił mnie przedziwnym, bojaźliwym spojrzeniem i wyznał: - Byłaś bajeczna!

- Naprawdę?

- Owszem. Przenocujesz u mnie czy odwieźć cię do domu?

Zatkało mnie. Więc to wszystko? Zamiast mocnych wrażeń w pościeli mycie stóp? Nagle poczułam, że już nie jestem naćpana.

- O rany, jak późno się zrobiło! Może po prostu zadzwonię po taksówkę.

- Nic nie rób. Zaraz wracam - zapowiedział i zniknął w łazience.

Szum płynącej wody stworzył tło muzyczne dla jednej z najdziwniejszych chwil, jakie przeżyłam w dorosłym życiu. Po krótkim namyśle doliczyłam również dzieciństwo. Leżałam w łóżku mężczyzny spotkanego drugi raz w życiu, mając na sobie gorset i figi na sznureczkach. Po kolacji, winie i sztachnięciu się odrobiną marihuany moje pożądanie zwiędło niczym dojrzale winogrono, którego nikt nie zerwał. Co za marnotrawstwo.

Roger wyszedł z łazienki, owinięty ręcznikiem. Podniósł swój szlafrok z podłogi, założył go i oznajmił radosnym tonem:

- Należę koniaku. Spotkamy się na dole.

Szykowałam się już do spania. Skoro wykorzystałam moje stopy, nie byłam mu do niczego potrzebna. Nieoczekiwanie wydało mi się to zabawne.

Wyłaząc z łóżka, zastanawiałam się, co na to powie Maggie. O tak, Maggie, Roger to wspaniały facet, bez dwóch zdań. Niezwykle słowny! Powiedział, że chce mnie tylko całować. Nie wyjawiał, niestety, że chce sobie użyć, ssąc moje stopy, ale przecież nie można wymagać od mężczyzny, żeby ci mówił wszystko, no nie?

To było zbyt smakowite na telefon. Musiałam wybrać się na wyspę i opowiedzieć o tym Maggie w cztery oczy, żeby zobaczyć jej minę. Przypuszczałam, że moja siostra wyskoczy ze swojej konserwatywnej, prostodusznej, oznaczonej monogramem, społecznikowskiej skóry. Tak, sprawozdanie z tej randki mogło wyrzucić mocne wrażenie.

Wprosiłam się do Maggie na drugie śniadanie, obiecując, że przywiozę świeże precle. Wciągnęłam stare spodnie khaki, wsunęłam bose stopy w adidasy i włożyłam poplamioną farbą bluzę od dresu z jakimś feministycznym

hasłem. Pojechałam na wyspę najszybciej jak mogłam. Gdy wjeżdżałam na podwórze, Grant właśnie wyjeżdżał z chłopcami i łódką.

- Hej, wy! Jedźcie na ryby?
- Hej, ty! Jak tam Roger? - zawołał Grant.
- No cóż, Roger to bardzo interesujący facet - odparłam. - Chcesz

precla?

- Widzisz? Wiedziałem, że ci się spodoba. Masz razowe?
- Oczywiście. Moi mali siostrzeńcy też dostaną po jednym.

Chłopcy jęknęli, a ja się uśmiechnęłam. Byli bardzo wysocy - dzieciństwo mieli już dawno za sobą.

- Dzięki. Do zobaczenia - pożegnał mnie Grant.

Gdyby znał prawdę o swoim kumplu Rogerze, padłby trupem na miejscu. Weszłam do domu i nalałam sobie filiżankę kawy. Położyłam dwa precle na talerzyku, wyjęłam z szuflady nóż, a z lodówki kremowy serek. Zaniiosłam wszystko na ganek, gdzie Maggie czytała niedzielną gazetę. Ranek był piękny, świeciło słońce. Pogoda dopisała.

- Hej, siostrzo! - odezwała się. - Jesteś głodna?
- Świeże precle! Pewnie, daj mi jednego. Świetnie wyglądasz! Mówię o twojej fryzurze, nie o stroju. Co zrobiłaś?

- Spędziłam dwie godziny z czarnoksiężnikiem. Chciałby cię poznać. - Maggie miała na sobie golf i nowy jaskrawozielony kostium, którego cena dwukrotnie przekraczała moją miesięczną ratę za dom. Przekroiłam precla i posmarowałam go cienko niskotłuszczowym serkiem. - Masz tupet, żeby krytykować moje ciuchy. Przejrzyj się w lustrze, maleńka. Halloween już minął.

Pochyliła się, wzięła precla i cmoknęła mnie w policzek.

- Pocałuj mnie gdzieś, dziecinko, ale najpierw chcę się spotkać z twoim czarodziejem! Dopiero co kupiłam ten kostium. Dziki, co? Pokaż się z tyłu. Kapitalna fryzura!

Potrząsnęłam tylko głową i opowiedziałam Maggie o Evie ze stoiska Chanel z jej zapasem próbek, no i o Kimie. Tak jak przypuszczałam, możliwość uzyskania zniżki bardzo podekscytowała moją siostrę.

- A teraz opowiedz mi wszystko o Rogerze - zażądała. - Jak poszła randka? Zrobiłaś to, co wiesz?

- Siedzisz wygodnie? Masz w domu jakiś lek na obniżenie ciśnienia?

Opowiedziałam jej całą historię, przytaczając każdy zapamiętany szczegół. Zaśmiewaliśmy się przy tym do łez.

- Przyznaj się, że zmyślasz! - powtarzała.
- Nic a nic, złotko! To święta prawda! - oznajmiłam co najmniej dziesięć razy.

- Na miłość boską!

- Mówię ci, Maggie, nie nadaję się dla takich samotnych facetów. Jestem zbyt prostolinijna i za stara, żeby się zmienić.

- Cieszę się, że jesteś prostolinijna. Lubię cię właśnie taką.

- Dzięki. Aha, mówiłam ci, że Tom i Karen znowu są razem?

- Chrzanić ich.

- Też tak myślę. Nie mogę ciągle śledzić jego życia uczuciowego i szczerze mówiąc, mam je w nosie. W tym tygodniu podpisuję papiery.

- Najwyższy czas - zauważyła.

- Tak, Tom zgodził się wreszcie na sumę, której zażądałam. O dziwo, po całych tygodniach zwlekania ni stąd, ni zowąd zadzwonił do Michelle z informacją, że da mi tyle, ile chcę.

- Co go naszło? To zupełnie do niego niepodobne.

- Nie mam pojęcia. Może odczuwa milenijne lęki.

- À propos, jak spędzimy sylwestra? - spytała.

- Nie wiem. Rozmawiałaś z bliźniaczkami i chłopcami?

- Nie, ale przyszło mi do głowy, żeby ich wszystkich zaprosić na Boże Narodzenie i niech zostaną do Nowego Roku, jeśli zechcą. Rozumiesz, rok dwutysięczny to ważna data. Pomyślałam, że to by było coś wyjątkowego, gdybyśmy powitali go razem. Mogłabym nawet wynająć drugi dom, co ty na to?

- Uważam, że to wspaniały pomysł. Jak wyspa zamierza świętować?

- Nie wiem, ale pewnie będą fajerwerki i tak dalej. Może specjalne nabożeństwo w Stella Maris, nie sądzisz?

- Owszem. Boże, rok dwutysięczny. Niesamowite, co? Aż trudno uwierzyć, że nadchodzi.

- Aha - odparła. - Łap jakąś kurtkę, posiedzimy sobie na plaży.

Narzuciłam na siebie sztormiak któregoś z chłopców i wyszliśmy. Zrzuciwszy buty, przemierzaliśmy podwórze i wspięliśmy się na wał chroniący wydmy. Po drugiej stronie usiadliśmy na najniższym stopniu i

jednocześnie zagrzebałyśmy stopy w białym piasku, żeby nie zmarzły. Piasek był chłodny, lecz przy tym kojący. To chowanie stóp należało do błahych - a może nie aż tak błahych - wspólnych tradycji. Pomimo wszelkich różnic byłyśmy rodzonymi siostrami i łączyły nas drobne nawyki oraz pewne szczególne słowa. A co ważniejsze, wychodziłyśmy sobie naprzeciw, odnajdując nowe podobieństwa i budując wzajemną zażyłość.

- Susan? Muszę ci coś wyznać - odezwała się Maggie. - Naprawdę myślałam, że Grant ma romans. Dziękuję Bogu, że się myliłam. Tak się ucieszyłam, że to były zapalki Bucky'ego. Nawet nie miałam ochoty go ukarać.

- Nie dziwię ci się - zauważyłam. - Ja bym go ucałowała.

- Właśnie. Ale wiem, że Grant może mnie zdradzić, rozumiesz? W tym szpitalu aż się roi od pięknych młodych pielęgniarek i innych takich, co to rano muskają się przez dwie godziny, zanim przyjdą do pracy. Mają w życiu jeden cel: złapać lekarza, wszystko jedno, żonatego czy nie. Kiedy Grant wychodzi, ja snuję się w koszuli nocnej i wyglądam jak ofiara katastrofy kolejowej, a gdy wraca późnym wieczorem, widzi zmęczone stare babsko.

- Za surowo się oceniasz. Poza tym mówiłam ci, że Grant nie szuka przygód. On by tego nie zrobił, Maggie.

- Pamiętasz, co mówiła Livvie? „Uwierz im, a cię porzucą!”. Zawsze to powtarzała.

- No cóż, nie zaszkodzi mieć oczy otwarte, ale głęboko wątpię, czy w ogóle jest się czym przejmować. Choroba Toma nie należy do zaraźliwych.

- Nie byłabym taka pewna. Grant mógł znaleźć inne zapalki w pokoju Bucky'ego i po prostu skłamać.

- Jezu, Maggie. Co to ma być, „Perry Mason”? Naprawdę sądzisz, że Grant byłby zdolny do takiej przebiegłości?

- Nigdy nie wiadomo - odparła.

Trwał odpływ. Jeszcze jeden piękny dzień w Karolinie Południowej. Rozległy błękit nieba budził zdumienie. Plaża była pusta, jeśli nie liczyć spacerującej pary w oddali. Rzucali patyk psu, który biegał w kółko i najwyraźniej bawił się wyśmienicie. Jakie inne miejsce na świecie miało w sobie tyle piękna i pogody?

Plaża zawsze coś mi dawała, coś pokrewnego e-mailowi z kosmosu. Na Wyspie Sullivana potrafiłam rozmawiać z Bogiem.

- Robi się chłodno, prawda? - rzuciłam.
- Idzie zima - odpowiedziała po chwili Maggie, omiótłszy najpierw spojrzeniem całą plażę.
- W nocy temperatura spadnie poniżej piętnastu stopni. Warto włączyć piec.
- Ano tak. Słuchaj, pamiętasz, jak przyłapałyśmy tatę na migdaleniu się z sekretarką?

Nie to akurat wspomnienie wysuwało się u mnie na pierwszy plan, ale zważywszy podejrzenia co do Granta, nie zdziwiłam się, że moja siostra je wyciągnęła.

- Jak mogłabym zapomnieć?
- Myślisz, że mama o tym wiedziała?
- Owszem. Dowiedziałam się od Livvie.
- A nam nie pisnęła ani słowa. Niesamowicie.
- Usiłowała zachować godność w strefie działań wojennych. Wiesz, teraz, w średnim wieku, zaczynam pojmować w związku z M.C, pewne sprawy, których wcześniej nie rozumiałam.
- Na przykład?

Nabrałam w dłoń piasku i pozwoliłam białym drobinom przesypać się między palcami. Na horyzoncie wypatrzyłam grupę łodzi, które wyruszyły na połów krewetek. Przez chwilę zastanawiałam się, za jaką nitkę pociągnąć, by odsłonić historię matki.

- Na przykład, w ogóle nie była przygotowana do takiego życia. Spotykały ją same niepowodzenia. Naprawdę nie wiem, czy potrafiłabym znieść tyle, co ona. Pewnie bym uciekła, gdzie oczy poniosą.
- Chyba nie mówisz poważnie.
- Najzupełniej poważnie. Pomyśl tylko, Maggie, jakie ona miała życie. Sześcioro dzieci. Już samo to wystarczy, żeby mieć ochotę zamarynować sobie wątrobę. I jeszcze przekonanie, że za stosowanie antykoncepcji pójdziesz do piekła na całą wieczność, wyobrażasz sobie? A na dodatek musiała się użerać ze swoimi rodzicami i naszym tatą. Nie wiem, jak ona sobie z tym radziła, jak się z tym godziła. Ja bym nie umiała.
- Ja także. Ale ona należała do innej epoki, innego pokolenia.
- Poczucie winy, skarbie - wyjaśniłam. - Odwieczne katolickie poczucie winy. Jej rodzice wywijali nim jak kijem i podsuwali marchewkę.

I wiesz, co jeszcze? Zaraz usłyszysz coś zadziwiającego.

- W porządku, jestem gotowa.

- Mimo iż Livvie pomogła nam przetrwać cały ten oblęd, popełniłam najgłupszy z możliwych grzechów. - Ze śmiertelną powagą wstałam i zrobiłam kilka kroków. - Chodź, przejdźmy się kawałek. - Odwróciłam się do niej i podwinęłam nogawki powyżej kolan. Chciałam jej powiedzieć rzeczy, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Ruszyliśmy brzegiem morza, zanurzając bosc stopy w lodowatych falach; był w końcu początek listopada. - Maggie, gardziłam tatą. - Mój głos brzmiał nisko i stanowczo.

- Miałaś powody.

- Ciągłe mnie pytasz, dlaczego drażę sprawę jego śmierci. Otóż uważam, że został zamordowany. - Niemal przekrzyczałam szum oceanu. Przy sprzyjającym wietrze usłyszałaby mnie połowa wyspy. - Od lat próbowałam uwierzyć w tę historię z atakiem serca, ale coś mi mówi, że to nieprawda.

- Susan, było śledztwo i sekcja. Śledztwo nic nie wykazało, a podczas sekcji stwierdzono atak serca.

- Tata nie umarł na serce. Jestem tego pewna! Może dostał ataku, gdy jeździł z drogi, ale po prostu wiem, że nie zginął w wypadku. A nasz wcześniejszy zatarg bynajmniej nie poprawił sytuacji.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jaki zatarg?

- Jak to, jaki? Kiedy go uderzyłam gałęzią!

- Nie wiem, o czym mówisz. Kogo uderzyłaś?

- Tatę! Dlaczego tego nie pamiętasz?

- Nie wiem.

U Maggie wystąpiła klasyczna pourazowa blokada psychiczna. Wiatr przybierał na sile, podrywając tumany drobnego piachu, który kłuł nas w nogi i twarze. Miałam jej więcej do powiedzenia o śmierci taty, lecz chwilowo bardziej mnie absorbował jej związek z Grantem.

- Nie rób tego, co ja, Maggie. Przez tatę dorastałam ze stężalym sercem i wyszłam za mąż za kogoś, kto postąpił ze mną identycznie jak tata z mamą.

- Nic w tym dziwnego - skomentowała.

- Posłuchaj, bardzo źle myślałaś o Grancie, że być może, ale tylko być może, zdradza cię z inną kobietą. Miałam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć, prawie rok. Bo kiedy wykryłam zdradę Toma, co zrobiłam?

- Wykopałaś go z domu.
- Niezupełnie. Sam odszedł. Ale dałam upust wściekłości, której istnienia nawet u siebie nie podejrzewałam. Prawdę mówiąc, zrobiłam to, czego zawsze oczekiwałam od mamy. Jak ci się podoba ta introspekcja? Próbowалам się odegrać za mamę! A ty co zrobiłaś, jeśli chodzi o Granta?
- Właściwie zignorowałałam sprawę.
- Czyli postąpiłaś dokładnie tak samo jak mama.
- Może, ale skoro już rozmawiamy tak szczerze, spójrzmy w oczy faktom. Jesteś przeciwniczką mężczyzn i już jako dziewczyna ostrzyłaś sobie na nich zęby.
- Myśl, co chcesz, ale to nieprawda. Byłam nieprzygotowana do instytucji małżeństwa, bałam się mężczyzn i mówiąc otwarcie, moja droga, ty również. Odbiegamy trochę od tematu.
- Więc w czym tkwi sedno?
- W tym, że widząc, jak tata traktuje mamę, przestałam wierzyć, że ktokolwiek mnie pokocha. Po prostu. A kiedy Tom mnie zdradził, co zresztą od początku przewidywałam, ponieważ utrwaliło mi się w głowie, że tak właśnie mężczyźni postępują, mój gniew okazał się silniejszy niż rozczarowanie.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Że nigdy nie kochałaś Toma? Kochałaś go, sama o tym wiesz.
- Nie mówię, że nie wydawało mi się, iż kocham Toma. Mówię, że nie wiedziałam, czym tak naprawdę jest miłość! Skąd miałam wiedzieć? Tata był brutalnym, niewiernym sukinsynem i sadystą z piekła rodem. Czy mogliśmy przy nim dowiedzieć się czegoś o zdrowych związkach uczuciowych?
- Racja.
- Ostatnią kroplą było to, że nie tęskniłam za Tomem, kiedy odszedł. Bardzo mnie gnębiło, czemu za nim nie tęsknię. I wreszcie zrozumiałam! Jak mogłam tęsknić, skoro nie czułam miłości? Skoro nigdy w pełni nie zainwestowałam swoich uczuć? Pewnie, że moja duma została unicestwiona - ciągnęłam. - Ale urażona duma to nie to samo co złamane serce. Wściekam się na niego, kiedy zwozi mnie i Beth w sprawie pieniędzy czy odwiedzin. Lecz wściekłość to zupełnie co innego niż pragnienie pojednania. Tom był

jedynie czymś w rodzaju psychologicznego płótna, na którym nieustannie odmalowywałam swoje relacje z tatą.

- Chwileczkę, teraz uprawiasz psychoanalizę bez dyplomu.

- Nie rozumiesz? - nalegałam. - Jeżeli nie zainwestujesz serca w małżeństwo, niewiele stracisz w razie jego nieuchronnego końca! To tak, jak brodzenie w wodzie zamiast pływania!

- Chcesz powiedzieć, że zawsze wiedziałas, że twoje małżeństwo z Tomem się rozpadnie?

- Nie. Chcę powiedzieć, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jaka przez całe życie byłam głupia.

- Mam ochotę na kieliszek wina. Jest weekend. Na swoje usprawiedliwienie mogę dodać, że to wszystko brzmi przygnębiająco i nie pojmuję, w jaki sposób miałyby mi pomóc rozeznaczyć się co do Granta. - Otuliła się kurtką i zasunęła zamek.

- Zaczekaj chwilę z tym winem. I tak zaraz muszę jechać. Zastanów się nad jedną sprawą. Beth to my w latach młodości. Bardzo się staram, żeby utrzymywała stały kontakt z Tomem. Wiesz dlaczego? Bo gorąco pragnę, by miała ojca. Jasne, że daleko Tomowi do królewicza z bajki, ale i tak jest o niebo lepszy od naszego taty. Dziewczęta potrzebują ojców, których mogą kochać, bo inaczej piekielnie trudno im pokochać własnych mężów. A tymczasem co ze mną? Czy kiedykolwiek jeszcze pozwolę sobie kogoś naprawdę pokochać? Zakładałam w tym wypadku, że nie jestem zbyt wiekowa, by zainteresować kogoś mieszczącego się w granicach normy. Powiedzmy, że to możliwe. Co wtedy? Czy nie byłby to najlepszy hołd dla mamy, gdybym kierowała się w życiu nie tylko umysłem, ale i sercem? Czy to w jakiś sposób nie zrekompensowałoby jej cierpienie?

- Nie wiem. Nie wydaje ci się, że kochała Stanleya?

- W żadnym wypadku. Wyszła za niego z wyrachowania. Kropka. Stanley był drugim mężem naszej matki.

- No cóż, pewnie tak. Sądzisz, że nie kocham Granta? O to ci chodzi?

- Ależ skąd. Chodzi mi o to, że obydwie powinnyśmy dobrze się sobie przyjrzeć. Jeśli zależy ci na małżeństwie z Grantem, musisz go naprawdę pokochać. Porozmawiaj z nim! Gdybym kochała Toma całym sercem, poniosłabym klęskę w sposób uczciwy, jeśli to miało się skończyć klęską.

- Zaczynasz żałować? O rety, Susan!
- Skądże znowu. Ale przez ostatnie dwadzieścia lat wiele się nauczyłam od tego faceta. Maggie, jeśli nie potrafisz kogoś naprawdę pokochać, żyjesz na pół gwizdka. Ten, kto mało inwestuje, niewiele traci. To nieuczciwa metoda zwalczania lęku.

- Jakiego lęku?
- Że ktoś cię skrzywdzi.
- Myślisz, że jest już za późno dla Granta i dla mnie?
- Dla mnie i dla Granta.

Jej uśmiech rozgrzał mnie od środka. Nareszcie zrozumiała, o co mi chodzi.

- Wracajmy do domu, Susan. Zimno mi.
- Maggie? Proszę cię o jedno: nie oszukuj się. Tak jak ja oszukiwałam siebie i Toma.

Wróciłyśmy plażą i ponownie przemierzyłyśmy podwórze Island Gamble. Czasami trzeba zdać się na los szczęścia, żeby wygrać. Dom, wyspa - to one uczyły nas wszystkiego, co warto wiedzieć o życiu.

Oczyrna duszy, uruchomiwszy wyobraźnię zgodnie ze wskazówkami Livvie, zobaczyłam M.C, wstającą z bujanego fotela na ganku i witającą uśmiechem dzieci, które bezpiecznie wróciły znad morza. Wyczuwałam jej ulgę. Ona naprawdę nas kochała. Choć życie wycisnęło jej serce jak gąbkę, mama naprawdę kochała nas wszystkich.

Maggie wyciągnęła rękę i do reszty zburzyła mi fryzurę, którą wcześniej i tak potargał wiatr.

- Musowo pracuje ci tam w środku niezgorsza fabryczka, co nie, dziecinko?
- Phi, nic tam nie ma, nic a nic oprócz kłębowiska robali. - Objęłam ją za szyję.

To niesprawiedliwe, że troska pochłania człowieka niczym górskie osuwisko, a zrozumienie przypomina krople wody, kapiące z niedokręconego kurka.

Maggie przystanęła i podniosła kawałek drewna. Przyjrzała mu się uważnie, obracając w dłoniach.

- Nadałby się na próg - stwierdziła.
- Co? - Chyba jej się marzył recykling całego świata. - Hej, Maggie?

- Słucham? Nie sądzisz, że byłby ładny, gdybym go oczyściła i polakierowała? Spójrz tylko, jaki ma kształt!

- Niebrzydki. Posłuchaj, znalazłam coś przedziwnego na mikrofilmie z archiwum.

- Co takiego?

- Zdjęcie z 1963 roku, na którym Gruby Albert oblewa wodą z węża grupę czarnych kobiet i dzieci. To była niewielka demonstracja w obronie praw obywatelskich w Conway. Jeźdźcy Wolności. Zdjęcie pochodziło ze stanowej gazety.

- Co Gruby Albert robił na demonstracji w Conway? To chyba ze sto mil od nas.

- No właśnie. I przecież to on prowadził śledztwo w sprawie śmierci taty, prawda?

- Chyba tak. Nie pamiętam.

- Wszystkie ślady można znaleźć w bibliotece. Wiem o tym. To jest na którymś mikrofilmie. Muszę szukać dalej.

- Dostaniesz rozstroju nerwowego. Po co to robisz?

- Dla własnego spokoju. Chciałabym się przekonać, że to nie mój cios przyprowadził tatę o atak serca. Chciałabym wiedzieć, co się naprawdę stało i mam nową teorię na temat Grubego Alberta.

Przystanąła i spojrzała na mnie z niezmiernie poważnym wyrazem twarzy.

- Susan - zaczęła - bardzo mi przykro, że się tak dręczysz, ale wiesz co? Niewykluczone, że na coś trafiłaś. W tamtych czasach mężczyznom zdarzało się postępować obrzydliwie.

- Otóż to. Proszę cię, wyteż pamięć. Czy nie przypominasz sobie czegoś jeszcze w związku z Grubym Albertem?

Głęboko wciągnęła powietrze i popatrzyła w bok. Weszłam za nią na ganek. Umieściła kawałek drewna na słońcu, żeby wysechł. Strząsnęłyśmy piasek ze stóp i włożyłyśmy buty.

- Coś sobie przypominam - powiedziała. - Gruby Albert zjawił się u nas z jakimś ostrzeżeniem, prawda?

- O Boże, tak! Kiedy to było? Pamiętam, że przyjechał, ale kiedy? Muszę zapytać któregoś z naszych braci.

- Szkoda pieniędzy na telefon. Zaczynam sobie wszystko przypominać. Pamiętasz, jak wszedł tylnymi drzwiami i wyrzucił nas z kuchni, żeby dorośli mogli swobodnie rozmawiać? Chodziło o nową szkołę. Pamiętasz? Kiedy tata miał te różne kłopoty?

- Zaczekaj! Masz rację! Boże, zawsze dostawałam dreszczy na widok Grubego Alberta.

- No cóż, to niczego nie dowodzi, ale wyraźnie pamiętam, co się działo tydzień przed śmiercią taty. Ktoś strzelał w okna i panowało ogólne napięcie. Wujek Louis przez cały czas kręcił się w pobliżu. Przypominasz sobie?

- Pewnie strzelał sam Gruby Albert.

- Niewykluczone.

- Muszę to przemyśleć. Mam zamęt w głowie. Pamiętam tylko, że czułam się winna.

- Posłuchaj mojej rady i daj sobie spokój.

- Niewątpliwie masz rację, ale ja muszę poznać prawdę.

- Cóż, nadchodzą święta. Powinnaś się trochę zabawić i zapomnieć na chwilę o tym wszystkim. Ejże! Mam pomysł! - wykrzyknęła nagle Maggie.

- Błagam cię, tylko nie następna randka w ciemno!

- Ależ skąd. Zaprośmy Simona na Święto Dziękczynienia.

- Simona? Mojego Simona?

- Owszem. Twojego Simona. Ciekawe, czy nadal jeździ sportowym wozem? - Spojrzała mi w oczy. Jej spojrzenie wyrażało podwójne wyzwanie. - Z Atlanty można tu dojechać w pięć godzin, nawet mniej, jeśli się postarać. Simon bez problemu da sobie radę. Mógłby w razie czego zabrać się z Henrym.

- Rozumiem - odparłam po chwili. - Myślałam o Simonie, ale po prostu nie byłam gotowa, wiesz? I trudno mi znieść Święto Dziękczynienia. Co roku przeżywam to, co się stało z tatą.

14.

Święto Dziękczynienia 1963

Głośne trzaśnięcie drzwiczek samochodu wyrwało mnie z uśpienia i usiłowałam je zignorować. Nie otwierałam oczu, zawieszona w mglistej przestrzeni między jawą a snem. Co mi się śniło? Czy to, że Timmy, Maggie, Henry i ja tańczyliśmy w kółko? Owszem. Czy to była jakaś uroczystość? Livvie żwawo wykopywała dół na podwórzu. Co chciała zasadzić? Trawę pampasową, już kwitnącą. Z olbrzymimi pióropuszcami. Obejrzała się na nas. A myśmy wzięli po jednym źdźble i przemaszerowali przez Wyspę Sullivaną. I nagle wizja zniknęła.

Za oknem ptaki buszowały wśród gałęzi, wyspiewując, pogwizdując i zgarniając dziobami śniadanie w postaci drobnych jagód i chrząszczy. Ależ hałasują, pomyślałam, otulając się kołdrą. Było mi zimno. Igły dnia przeszły moje powieki. Obudziłam się i przypomniałam sobie, że to Święto Dziękczynienia. Uznałam, że lepiej będzie wstać.

Stuk! Puk! Stuk! Puk! Stuk! Ktoś pięciokrotnie zabębnił w kuchenne drzwi, na co źle dopasowana, krzywa futryna zareagowała głośnym jękiem.

Co się dzieje? Tuż pod oknem dostrzegłam auto tego samego koloru i marki, jakie miał pan Struthers. Podwórze zasnuwała gęsta poranna mgła. To nie zapowiada nic dobrego, pomyślałam. Która godzina? Chwiejnym krokiem dotarłam do pokoju Maggie i zaczęłam nią potrząsać.

- Maggie! Wstawaj! Przyjechał pan Struthers!
- Co?
- Pan Struthers!
- Która godzina?
- Wczesna!

- Idź po tatę! Albo po Livvie!
- Ty idź po Livvie! Ja otworzę.

Boso i w pidżamie zbiegłam na dół i podeszłam do drzwi. Mleczna zasłona mgły spowijała dom pani Simpson, lecz za siatką dostrzegłam nieogoloną twarz pana Struthersa. Wydał mi się bardzo postarzały; w jego ciemnych włosach połyskiwały pasma siwizny. Na nogach miał sandały, choć był to już listopad.

- Dzień dobry, Susan. - Jego głos brzmiał posepnie. - Nie śpicie już? M.C, wstała?

- Nie, proszę pana - odparłam. - Proszę wejść. Wszystkiego najlepszego w Dniu Dziękczynienia!

Składając życzenia, pragnęłam go podnieść na duchu. Zerknęłam na zegar. Piąta czterdzieści pięć. Usłyszałam za sobą kroki Maggie i Livvie. Potem zapadła cisza. Wszystkie wpatrywałyśmy się w pana Struthersa. Miał nam do przekazania jakąś straszną wiadomość. Wiedziałam o tym, podobnie jak Livvie wiedziała z góry o różnych rzeczach.

- Ach, tak. O Boże, to Dziękczynienie - mruknął. - Lepiej weźcie i obudźcie mamę. Zawiadomiłem już waszego wujka Louisa. Zaraz tu przyjedzie. Zróbmy kawy. Zapowiada się męczący dzień.

- Co się stało? - zapytałam, czując lekkie mdłości. Pan Struthers nawet nie wspomniał o tacie. Kazał obudzić mamę.

- No już, idź po mamę - ponaglił, unikając odpowiedzi na moje pytanie.

- Ja po nią pójde - odezwała się Livvie. - Maggie, złotko, nastaw wodę na kawę.

Pan Struthers wydał mi się obrzydliwy. Coś ścisnęło mnie w gardle. Mama ciągle powtarzała, jaki to on jest przystojny, ale miałam wrażenie, że jego jedyne zajęcie polega na przekazywaniu złych wieści i zmaganiu się z różnymi kłopotami, co w pełni odzwierciedlał wyraz jego twarzy. Stanowisko burmistrza miało swoje ujemne strony.

- Może powinnam obudzić Timmy'ego i Henry'ego? - spytałam. Z pewnością chodziło o tatę. Nie wrócił na noc do domu. Już wiedziałam, że tata nie żyje.

- Nie ma potrzeby. Niech sobie jeszcze pośpią. - Pan Struthers uśmiechnął się do mnie.

Wróciła Livvie i wyjęła z lodówki sok pomarańczowy. Zanim się obejrzałam, w drzwiach stanęli ciotka Carol z wujkiem Louistem. Nie odezwali się do Maggie ani do Livvie, ani do mnie, co było dziwne. Zwykle wujek Louis mówił nam przynajmniej „dzień dobry”. Ciężkie oddechy dorosłych zdradzały niepokój, który udzielił się również nam. Wymieniłyśmy z Maggie wymowne spojrzenia, takie same, jak w dniu śmierci Tipy.

Zaczęłam wyjmować filiżanki z szafki. Znalazłam dzbanuszek i nalałam do niego mleka. Maggie otworzyła plastikowy worek z chlebem i zajęła się przyrządzaniem tostów.

- Czy M.C, już wstała? - spytał wujek Louis.

- Zaraz zejdzie - odparł pan Struthers.

Mama pojawiła się w progu, rozczochrane widmo w aksamitnym szlafroku, zapinanym z przodu na suwak. Zerknąwszy na twarz pana Struthersa, zaczęła krzyczeć.

- Nie! - Oparła się o framugę drzwi, a wujek Louis podtrzymał ją i posadził na krześle. - O Boże! Proszę, nie!

- Zadzwońię po lekarza - powiedziała ciotka Carol i zniknęła.

Livvie stanęła między Maggie a mną i otoczyła nas ramionami. Wszystkie odwróciłyśmy się w stronę stołu. Pan Struthers usiadł obok mamy i wziął ją za rękę.

- M.C, to najtrudniejsza rzecz, z jaką miałem w życiu do czynienia. Wysłuchaj mnie, proszę. Zdarzył się straszny wypadek. Bardzo mi przykro. Hank nie żyje. Musiał stracić panowanie nad kierownicą przy ostatnim prześle i zjechał na mokradła. Być może dostał ataku serca albo to wina mgły. Albo zawiodły hamulce. Nie wiemy. Najprawdopodobniej wdrożymy śledztwo, które wykaże, co się stało. Postaram się zająć większością spraw w twoim imieniu. Na razie jednak musisz poczynić niezbędne kroki. Sekcja zostanie przeprowadzona jeszcze dzisiaj, najwcześniej, jak to możliwe. Zadzwońię później do koronera, choć jestem niemal pewien, że do jutra przekażą jego ciało. Tak mi przykro, M.C, chyba o tym wiesz.

- O mój Boże - wymamrotała mama. Z płaczem złożyła głowę na stole.

- Nie potrafię tego znieść. Nie potrafię.

Wujek Louis zaczął szlochać, a ciotka Carol otoczyła go ramionami. On naprawdę kochał naszego tatę. Nawet Livvie się rozpląkała, wołając: „Ach,

Boże”, i szukając po kieszeniach chusteczek. Maggie pochyliła się nad swoim tostem i bezskutecznie usiłowała posmarować go masłem, a łyżki kapwały jej na chleb. Objęłam ją. Nie mogłam tego pojąć. Taka tragedia nie mieściła mi się w głowie.

Tata nie żyje, pomyślałam i zrobiło mi się słabo. Przynajmniej Timmy nie będzie więcej dostawał lania. Ale biedny Henry pewnie się załamie. Henry był ulubieńcem taty. No cóż, mimo wszystko potrafił być dla kogoś miły.

Wujek Louis wydmuchał nos, usiadł obok mamy i pogładził ją po plecach.

- Nie bój się, M.C., Carol i ja będziemy przez cały czas przy tobie. O Boże, tak mi przykro. Był dla mnie jak brat. - Wzruszenie znowu odebrało mu głos, ale odchrząknął i wziął się w garść. - Posłuchaj, zorientujemy się, jak wyglądają sprawy finansowe i w ogóle, więc tym się nie martw. Pojadę zaraz do miasta, sprawdzę, co z mamą, i wstąpię do McAlistera, żeby połatwiać różne sprawy. Zgoda?

Mama pokiwała głową i rzuciła mu się w ramiona. Wujek zaczął płakać, a ona zawodziła bez przerwy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - Przysięgam ci, M.C., że wszystko będzie dobrze. I z tobą, i z dziećmi. Proszę. Opanujmy się. Musimy. - Rozejrzał się po kuchni. - Czy ktoś dzwonił do parafii? Trzeba zawiadomić ojca O'Briena.

- Nie, przyjechałem tu prosto z posterunku policji - wyjaśnił pan Struthers. - Pomoc drogowa wyciągnęła wóz z błota i odstawiła na posterunek przy Cooper River Bridge.

Odpowiedź pana Struthersa miała niewiele wspólnego z pytaniem, a ja chyba nie pragnęłam poznać wszystkich szczegółów.

- Ja zadzwonię - odezwała się ciotka Carol i wyszła, ocierając oczy.

Livvie objęła mnie i przytuliła. Wszyscy prócz mnie płakali. Czulałam dławienie w gardle, lecz najsilniejszy był gniew i lęk.

- I co teraz? - spytałam. - Powiedz, co teraz z nami będzie?

Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że nawet Livvie, mimo całej swej mądrości, nie potrafi na to odpowiedzieć. Śmierć taty oznaczała dla nas natchmiastowy i bolesny upadek. Mama, nie pracowała, nie miała nawet prawa jazdy. Livvie przycisnęła mnie do siebie tak mocno, jakby nigdy nie zamierzała wypuścić mnie z objąć.

Mogłam jedynie wydać kilka głębokich westchnień.

Zostaniemy biednymi, pozbawionymi ojca sierotami. Mama załamie się do reszty. Obie z Maggie zajmujemy się wychowywaniem bliźniaczek. Livvie odejdzie, bo nie będzie nas na nią stać. Nie mogłam sobie wyobrazić gorszego scenariusza. Wyrwałam się i pobiegłam do swojego pokoju.

Rzuciłam się na łóżko, rozważając możliwość ucieczki z domu, ale - niestety - nie miałam dokąd uciec. W końcu wybuchnęłam płaczem. Łzy parzyły mi policzki. Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi.

- Susan, proszę cię. - Maggie szlochała. - Proszę, odezwij się do mnie.

Plakałam dalej, lecz po długiej chwili odwróciłam się do niej.

- Po co my właściwie żyjemy, Maggie? - zapytałam. - Jeśli mi to wyjaśnisz, oddam ci wszystko.

- Nie wiem i nie wiem także, dlaczego tata nie żyje. Nic nie wiem. To wszystko jest straszne, Susan. Proszę, nie odpędzaj mnie. Mam tylko ciebie!

- Nieprawda - w drzwiach stała Livvie z dwiema filiżankami kawy. Policzki miała suche, a na suknię narzuciła fartuch. - Czy wam się to podoba czy nie, zostałam się wam jeszcze ja. Amen.

Podawała nam filiżanki. Maggie wypila łyk. Wzięłam filiżankę, choć nie miałam ochoty na kawę.

- Dziękuję ci, Livvie, ale ja tego nie piję. - Powąchałam kawę i odstawiłam na stolik przy łóżku.

- Dorosły napój, co?

- Aha. Ma gorzki smak.

- Życie też ma gorzki smak. Wypij. Trzeba dorosnąć. Musicie się opiekować swoimi braćmi i siostrzyczkami. Zaraz się tu zbiegnie całe stado ludzi. Dobrze, że posprzątałam przed świętem. Przynajmniej o to nie musimy się martwić. Wypij, Susan, i wysłuchajcie mnie obie. Stała się okropna rzecz, ale to nie znaczy, że macie tylko narzekać na niesprawiedliwość losu. Kto jak kto, ale ja rozumiem, co to niesprawiedliwość. Hmm. Dobra wiadomość to nie jest, z całą pewnością, ale Pan Bóg ma swoje plany.

- Dajże spokój, Livvie. Gdzie był Pan Bóg, kiedy tata omal nie zatłukł Timmy'ego na śmierć?

- Susan! - zawołała Maggie, wstrząśnięta.

Nie posiadałam się ze złości.

- Panienko Susan, proszę przy mnie nie okazywać braku poszanowania Panu Bogu! - oznajmiła Livvie. - Nie masz do tego prawa! Nie wiem, dlaczego takie rzeczy się dzieją! Dzieją się i już! Może Pan Bóg uznał, że tej rodzinie będzie lepiej bez pana Hanka? Co wy na to? Może miał dla niego w niebie pilną robotę? A może był potrzebny diabłom, żeby naostrzyć widły? Nie wiem. Ale ty masz być kobietą, a nie rozpaskudzonym, złośliwym bachorem! Tak jak po śmierci waszego dziadka, przyjdą tu ludzie i przyniosą ciasto, szynkę i tak dalej. Nie możemy się obijać. - Popatrzyła na nas i dodała łagodniejszym tonem: - Umyjcie buzie i ogarnijcie się trochę! Ten dzień dopiero się zaczął!

Ubrałam się, nie zdając sobie sprawy z wykonywanych czynności, i zeszałam na dół, aby rozeznac się w sytuacji. Timmy i Henry wstali około siódmej. Zastali w kuchni całą rodzinę oprócz wujka Louisa, który pojechał do miasta. Mama siedziała przy stole ze spuszczoną głową.

- Mamo? - odezwał się Timmy.

Uniosła ku niemu pełną smutku twarz.

- Mamo! Co się stało? - spytał Henry i obaj wybuchnęli płaczem.

- Siadajcie, chłopcy - poleciała ciotka Carol. - Wasza mama chce wam coś powiedzieć.

- Chodzi o tatę - zaczęła mama. - Wasz tata odszedł. - Zaparło jej dech i rozplakała się. Wolała ponownie oprzeć głowę o stół niż wstać i przytulić swoich synów.

- Dokąd odszedł? - spytał Henry.

- Zginął - odparła mama z wysiłkiem. - W wypadku samochodowym.

- Naprawdę? - upewnił się Timmy.

- Tata nie żyje? - wykrzyknął Henry. - To znaczy, że już go nie zobaczę?

- Chodź no, synu - wtrąciła Livvie - wyjdźmy sobie na ganek, tylko my dwoje.

Ryki Henry'ego było słychać aż w Charlestonie, co do tego nie miałam wątpliwości. Bam! Bam! Bam!

- Kopie w ściany - oznajmił pan Struthers w przestrzeń. - Zobaczę, czy w czymś nie pomóc Livvie.

Mgła tłumiła krzyki Henry'ego, rozpraszała je i zmieniała. Może to krzyczało jakieś zwierzę.

Timmy doznał ulgi. Henry i mama czuli się tak, jakby ich obrabowano. Cała odpowiedzialność miała spocząć na Maggie i na mnie. Mój gniew zapłonął płomieniem.

Zadzwoił telefon w korytarzu. Odebrała Maggie. Wujek Louis chciał rozmawiać z ciotką Carol. Ciotka westchnęła i wyszeptała: „O nie!”. Nagle zrozumiałam, że babcia Sophie również nie żyje.

Trzasnęły drzwi i uświadomiłam sobie, że ciotka wyszła na ganek po Livvie i pana Struthersa. Nie zamierzała rozmawiać z moją matką w cztery oczy. Podnosiła spódnicę, zadzierała nosa przed Livvie, ale nie miała odwagi stanąć przed moją matką.

Timmy, który dotychczas się nie odzywał, szepnął do mnie: „Babcia Sophie?”.

Przytaknęłam, a on pokręcił głową. Trąciłam Maggie łokciem.

- Babcia Sophie wykorkowała - szepnęłam.

Zadygotała, zasłoniła usta dłonią i pobiegła do łazienki.

Popatrzyliśmy z Timmym po sobie. Zorientowałam się, że przez cały ten poranek mama nawet nie próbowała nikogo pocieszyć.

- Mamo? - odezwałam się. - Czy wiesz, że Maggie rzyga w łazience? - Brak odpowiedzi. - Timmy, chodźmy po bliźniaczki. Ktoś musi się o nie zatroszczyć.

Wyjrzałam przez okno, słysząc trzaśnięcie drzwiczek. Doktor Kluj wchodził na górę. Mama popatrzyła na mnie, stawiając między nami mur goryczy. Wyszłam z Timmym, nie zwracając na nią uwagi.

- Co za dzień, no nie? - zagadnął Timmy.

- Owszem. Dobrze się czujesz? Cholera, nie mogę uwierzyć, że tata nie żyje.

- Żartujesz? Pierwszy raz odetchnąłem z ulgą! Mam nadzieję, że ten sukinsyn smaży się w piekle z pogrzebaczem w tyłku.

- Timmy! Żeby tylko ktoś tego nie usłyszał!

- Nie cieszysz się, że go nie ma?

- Może, w pewnym sensie - odparłam. - Ale jeśli dostał ataku serca, poczuję się winna.

- Dlaczego? Co ci się wydaje?

- Nie wiem i na razie nie chcę wiedzieć.

W hallu minęliśmy pana Struthersa i Livvie. Pociągnęłam ją za poję swetra.

- Babcia Sophie? - spytałam.
- Tak, Susan, bardzo mi przykro - odparła, przytulając mnie.
- Wiedziałam.
- Chodź no tu, Timmy.

Wyciągnęła rękę, on jednak wzruszył ramionami, odtrącając jej gest.

- Wszystko w porządku, Livvie, naprawdę. Sprawdzimy, jak tam bliźniaczki.

Timmy pomknął na górę, a ja na chwilę zostałam z Livvie i gdy znowu usłyszałam krzyk mamy, wiedziałam, że pan Struthers przekazał wiadomość. Livvie pobiegła do kuchni. Zawołałam Henry'ego przez siatkowe drzwi.

- Tu jesteśmy! - odrzyknęła ciotka Carol.

- Henry? Dobrze się czujesz? - zapytałam, ignorując ciotkę i puszczając drzwi. Henry leżał w hamaku ze skrzyżowanymi ramionami i podciągniętymi kolanami. Ciotka Carol stała obok, przyciskając chusteczkę do ust i wolno kołysząc hamak lewą ręką. Miała na sobie spodnie khaki i wsuniętą w nie wykrochmaloną niebieską bluzkę. Jej pasek i buty były starannie dobrane, a włosy spryskane lakierem. Ja narzuciłam na siebie byle co, a wszyscy inni chodzili jeszcze w piżamach. Zastanawiałam się, jak długo kazała wujkowi Louisowi czekać, aż się wysztafiruje.

Słońce już weszło i przebijało się przez mgłę na wschodnim krańcu wyspy. Przynajmniej dzień będzie pogodny.

- Henry, odpowiedz mi. Nic ci nie jest?

- Chyba nie - odparł.

- To najgorszy dzień w naszym życiu, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Kocham cię, Henry. Wiesz o tym, prawda?

- Chyba tak.

- Okay, chcesz pomóc Timmy'emu i mnie? Dzisiaj wszyscy musimy wziąć się do roboty.

- W czym mam wam pomóc? - Pod jego żalonym spojrzeniem ściśnęło mi się gardło.

- Jest milion rzeczy do zrobienia. Chodź. - Wyciągnęłam rękę, chwycił ją i wstał z hamaka. Uściśnęłam go i podbiegł do drzwi. - Timmy jest na górze! - zawołałam.

Trzasnęły drzwi. Pomyślałam, że dzisiaj trzaskamy nimi bez przerwy, a Livvie w ogóle nie zwraca nam uwagi.

- Dobra z ciebie siostra, Susan - odezwała się ciotka Carol.
- Staram się.

Stałam oparta o poręcz, pragnąc powiedzieć ciotce, co o niej myślę i co widziałam, skłąc ją na czym świat stoi. Z wysiłkiem trzymałam język za zębami. Potrzebowaliśmy wujka Louisa i nie chciałam nas wpędzać w jeszcze większe kłopoty.

- To takie nieprawdopodobne, takie okropne - powiedziała. - Jak Bóg mógł zabrać waszą babcię i tatę jednego dnia? Nie potrafię tego zrozumieć.
- Ja także. Mama jest kompletnie załamana.
- Ja też bym była.
- Teraz chyba wszyscy musimy poszukać jakiejś pracy.
- Nie martw się, wujek Louis już coś wymyśli. Jesteś jeszcze małą dziewczynką, Susan. Nie powinnaś się zamartwiać takimi sprawami. Pomogę twojej mamie.
- Przyjechał doktor Whicket, żeby dać jej zastrzyk. Lada chwila mamuśka padnie.

Ciotka popatrzyła na mnie dziwnie. To, co powiedziałam, zabrzmiało w jej uszach zuchwale. Natomiast jej słowa trąciły dla mnie czystą fantazją. Nic już nie mówiąc, zostawiła mnie na ganku samą. Mogłam pomyśleć.

Nie martwić się, ciociu? Ból, który czuję w środku, dałby się porównać z cierpieniem każdego dorosłego. Jak mam sobie z tym poradzić? Czy to moja wina? - zastanawiałam się. Czy babcia Sophie dostała wylewu przeze mnie, bo zaniósła mnie do łóżka? Czy nasza utarczka spowodowała u taty atak serca? Czy mama obudzi się pewnego dnia i zacznie nas obwiniać? Jeśli tata naprawdę miał atak serca, czy to myśmy się do niego przyczynili? Czy może Klan? Czy to był wypadek? Czy zjawi się tu policja i będzie zadawać pytania?

Zastanawiałam się też, co sobie myśli pan Struthers. Może uważał, że to Timmy, Maggie i ja jesteśmy winni śmierci taty. Jeśli zamierzał posłać nas wszystkich do więzienia, wkrótce się o tym dowiemy. Ale doszłam do wniosku, że trudno będzie nam cokolwiek udowodnić.

Chodząc tam i z powrotem po ganku, układałam plan działania. Nakłonię

Timmy'ego, żeby osłonił brata przed koszmarem pogrzebu. Timmy mi pomoże. Śmierć taty i babci Sophie nie nastąpiła z winy Henry'ego. Ale mogła na niego fatalnie wpłynąć, pomyślałam, mógł zacząć się moczyć w nocy albo co. Bliźniaczki nawet nie zauważą zmiany, lecz Henry mógł przeżywać katusze do końca życia.

Timmy po pewnym czasie poczuje się winny, że ucieszył się ze śmierci taty. Poproszę Maggie, żeby miała na niego oko. Ja sama nie byłam zadowolona z tego, co się stało, ale na myśl, że tata już nie wróci, odczuwałam pewną ulgę. Kiedy go ostatni raz widziałam, posuwał własną sekretarkę. No i przynajmniej skończy się bicie.

Z babcią Sophie sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Wielka szkoda, że wyciągnęła nogi, pomyślałam, ale niech to diabli, ona tak naprawdę wcale nie żyła. Siedziała w pokoju, rozsiewała smród, zmuszała nas, żebyśmy jej usługiwali, codziennie jadła to samo i milczała.

Postanowiłam poszukać Maggie. Może przy niej poczuje się lepiej. Timmy szedł właśnie do kuchni, żeby podgrzać butelki dla małej Sophie i Allie.

- Myślałem, że mi pomożesz! - powiedział.
- Przepraszam. Zaraz przyjdę, obiecuję. Zajrzę tylko do Maggie.
- Dobra.
- Wracam za minutę! - zawołałam, wbiegając po schodach.

Bliźniaczki płakały, a Henry gruchał do nich głosem taty-gołębia. Niech się nimi zajmie przez chwilę, pomyślałam, to mu nie zaszkodzi. Otworzyłam drzwi do pokoju Maggie i wsunęłam głowę. Maggie leżała na boku, z kolanami podciągniętymi pod brzuch.

- Hej, nic ci nie jest?
- Nie, po prostu co dwie sekundy robi mi się niedobrze.
- Jesteś chora?
- Chyba nie. To z nerwów. Wejdz, Susan. Porozmawiaj ze mną.
- Obiecałam Timmy'emu, że mu pomogę przy bliźniaczkach. Musimy je nakarmić, rozumiesz. Potrzebujesz czegoś?
- Owszem, nowej tożsamości.
- Nie ty jedna. Wróć, jak je nakarmimy.

W pokoju bliźniaczek Timmy usiadł z Allie w bujanym fotelu. Wzięłam butelkę, przycupnęłam z Sophie na tapczanie, sprawdziłam temperaturę

mleka i wetknęłam małej smoczek do buzi. Złapała go i zaczęła ssać jak szalona, popatrując na mnie z wdzięcznością. Co ona sobie myślała? Że zagłodzimy ją na śmierć?

Spojrzałam na Henry'ego, który stał za Timmym, robiąc miny do Allie i dźgając ją palcem w brzusek. Allie zachichotała i wypluła smoczek. Uśmiechnęłam się i odprężyłam nieco. Wszystko będzie dobrze, pomyślałam, damy sobie radę.

Zerknęłam w dół na Sophie; pijąc, przymknęła oczy i jej rzęsy muskały policzki. Moje małe siostrzyczki były śliczne. Gdybym spędzała więcej czasu z nimi zamiast usiłować zrozumieć dorosłych, lepiej bym na tym wyszła.

- Ej, Henry! - rzuciłam.
- Co?
- Chcesz nakarmić Sophie?
- Jasne! - Wskoczył na tapczan i wyciągnął ręce. Ostrożnie umieściłam małą na jego kolanach.
- Uważaj na jej główkę. I nie upuść jej. Dziecko to nie piłka, nie odbije się od podłogi.
- Wiem, wiem. O rany! - Henry przewrócił oczyma, a ja uśmiechnęłam się do niego.
- A jak tam Maggie? - spytał Timmy.
- Pojechała do rygi, ale chyba przeżyje.
- Dzięki Bogu i za to - powiedział.
- Tak, w tym domu nigdy nic nie wiadomo - podsumowałam, ześlizgując się z tapczanu. - Zajrzę do niej jeszcze raz. A ty bądź ostrożny! - wycelowałam palec w Henry'ego.
- Rozkaz, mamusiu! - odparł kpiąco.
- Nie martw się, będę go bacznie obserwował - uspokoił mnie Timmy.
- Zaraz wracam.

Szłam do pokoju Maggie nieco podniesiona na duchu. My, dzieci, żyliśmy we własnym, niemal samowystarczalnym kręgu. Kochaliśmy się nawzajem i każde z nas mogło liczyć na tę miłość. No i mieliśmy jeszcze Livvie.

Ponownie przypomniało mi się, że czeka nas pogrzeb. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak to będzie - mieć przed oczyma trumny ojca i babki. Coś z Maggie wymyślimy, żeby przez to przebrnąć. Otworzyłam drzwi jej

sypialni. Była pusta. Zobaczyłam zamknięte drzwi łazienki. Przyłożyłam do nich ucho. Dobiegł mnie stłumiony kaszel i odgłosy torsji. Sama omal nie dostałam mdłości. Biedna Maggie. Wreszcie usłyszałam szum wody płynącej do umywalki.

- Hej! Pomóc ci?

- Nie, nie trzeba.

Mimo to weszłam do łazienki i zmoczyłam czysty ręczniczek w zimnej wodzie.

- Umyj zęby i idź do łóżka. Połóż to na czole - poleciłam.

- Boże, czuję się okropnie. Dzięki. - Wzięła kompres i drżącymi rękami wycisnęła pastę na szczoteczkę.

- To widać. Może złapałaś grypę albo co? Masz szkliste oczy.

- Nie. Po prostu żołądek mi się przewraca.

- No cóż, po dzisiejszym dniu każdy miałby prawo się pochorować.

- Chyba tak. - Zaczęła myć zęby, a ja czekałam, siedząc na brzegu wanny.

- Ciekawe, jak tam mama - rzuciłam.

- Niedawno byłam na dole. Dasz wiarę, że śpi w łóżku Sophie?

- Nawet mi nie mów! Żartujesz!

- Skąd. A ciotka Carol jest w kuchni z Livvie. Chyba zostaną z wujkiem na kolacji.

- Ależ się nam szykuje parszywe Świąto Dziękczynienia - skonstato-
wałam.

Postukała szczoteczką o brzeg umywalki i wstawiła w uchwyt. Spojrzała w lustro, odgarniając włosy i zachwiała się na nogach.

- Nie da się ukryć. Ja też wyglądam parszywie. Jestem po prostu zielona!

- Lepiej wracaj do łóżka. Przypuszczam, że stypa odbędzie się jutro albo pojutrze. Musisz wydobrzeć.

- Wolałabym zostać w domu, jeśli nie masz nic przeciw temu. - Powlekła się do pokoju i padła na łóżko. Przykryłam ją i położyłam jej kompres na czole.

- O, nie. Masz pójść, choćby trzeba ci było zawiesić wiadro na szyi. Nie ma mowy, żebym przebrnęła przez to bez ciebie.

- Przejdzie mi, nie martw się. Na pewno poczuję się lepiej.

- Spróbuj się zdrzemnąć, a ja pójde przewinąć bliźniaczki. Później pomogę Livvie. Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Zamknęłam drzwi i wróciłam do pokoju bliźniaczek.

Henry trzymał Sophie na jednym ramieniu, unosząc dłoń, żeby klepnąć ją w plecy. Timmy trzymał Allie w identycznej pozycji.

- Raz, dwa, trzy! - Plask!

- Burp! - Obu niemowlakom odbiło się głośno niczym drwalom.

- Hej! Organizujemy zawody w bekaniu! Posłuchaj! - powiedział Timmy. - No, dawaj, Sophie. Nie krępuj się!

Odgłos, jaki wydała Sophie, bardziej pasował do marynarza niż do trzymiesięcznego niemowlęcia. Wszyscy troje wybuchnęliśmy gromkim, długim śmiechem. Dobrze było się śmiać.

- Daj mi dziecko, Henry!

Wciąż się śmiejąc, podał mi Sophie, a ja położyłam ją na stole do przewijania.

- Ach, Susan! Ona jest nie do pobicia! - oznajmił.

- Szkoda, że nie słyszałaś Allie. „Burp!” - zabulgotał Timmy, naśladowując małą.

Ponownie parsknęliśmy śmiechem.

- Oho, ma mokro. I zrobiła jeszcze coś, wiecie co. Fuj! Ale śmierdzi! Połóż ją do łóżeczka. Chodź, Henry, obejrzymy paradę.

- Kupa! - zapiszczał Henry. - Walnęła kupę!

- Wielkie dzięki! - prychnęłam.

- Kupa! Cały pokój śmierdzi kupą! Wkrótce cały dom będzie śmierdział kupą! Ty też będziesz śmierdziała kupą!

- Henry Hamiltonie! Zamknij buzię! Pan Struthers gotów cię usłyszeć!

- A kto go teraz uciszy? - Timmy mrugnął do mnie.

O mój Boże. Tygrysy zerwały się z uwięzi. Musiałam jak najszybciej porozmawiać o chłopcach z Livvie, inaczej zaczną hasać jak dzikusy i wpakują się w tarapaty. A potem pomyślałam: no to co? Niech hałasują.

15.

Święto Dziękczynienia 1999

Zostawiłyśmy Simonowi wiadomość na automatycznej sekretarce. Jego głos podziałał na mnie elektryzująco. Brzmiał tak samo jak niegdyś, łagodnie, z nutą rozbawienia. Miałam nadzieję, że Simon oddzwoni. Podałyśmy numer Maggie i mój.

W poniedziałek zatelefonowała Michelle Stoney. Dokumenty nareszcie były gotowe. Po południu pojechałam do jej biura. Gdy podpisywałam papiery, trzęsły mi się ręce.

- Michelle, nie wiem, jak ci dziękować za to, co zrobiłaś dla Beth i dla mnie.

Coś ścisnęło mnie za gardło i Michelle podała mi chusteczkę.

- Wiem, że to trudne - powiedziała.

- Tak, ale słuszne. Takie mam uczucie.

- W przyszłym tygodniu złożę papiery w sądzie i jeśli wszystko pójdzie gładko, a powinno, sprawa zakończy się jeszcze w tym roku.

Odłożyłam pióro i wydmuchałam nos. Pogadałyśmy chwilę, uścisnęłyśmy sobie ręce i pożegnałyśmy się.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, Susan. Mówię serio.

- Dziękuję ci. Zadzwonię.

Pojechałam do domu, a potem wybrałam się na długi spacer wokół muru zaporowego nad zatoką. Fale rozbryzgiwały się o brzeg falochronu. Przez głowę przelatywały mi sceny ze wszystkich lat spędzonych z Tomem, niczym domowa taśma wideo. Jak bardzo zmieniło się moje życie! Ale to było w porządku. Czułam się dobrze. Miałam szansę przebudować własną przyszłość i tym razem nie oszczędzać serca.

Zaledwie atrament na naszych dokumentach zdążył wyschnąć, zadzwonił Tom. Chyba obydwójce czuliśmy się trochę nieswojo z powodu oficjalnego zakończenia naszego związku. Rozmawiałam z nim po raz pierwszy od dnia huraganu. Już nie byłam na niego zła. Prawdę mówiąc, gdy zgodził się na moje warunki, poczułam dla niego wdzięczność. Moje serce mu wybaczyło.

Jego głos brzmiał jakoś dziwnie, a kiedy spytałam, co się stało, odparł:

- Nic. Zastanawiałem się tylko, co porabiasz w święto.

Wyglądało na to, że Dziecię Natury - jego bogini miłości - znowu go opuściło. Tym razem panienka wybrała się do Nepalu, by odnaleźć swoje ja i poszukać kryształów w Himalajach. Tom wiedział, że rozbawi mnie to do łez, i doszłam do wniosku, że celowo chciał mnie rozśmieszyć. Udało mu się.

- Przestań - wykrztusiłam - bo zaraz pękne! Ta dziewczyna rzuca cię tak często, że już tracę rachubę.

- Jak to lubiałaś mówić, potrzebuję drzwi obrotowych - zauważył. - No więc, co ze świętem?

Poinformowałam go, że szykuję obiad dla Maggie i jej bandy.

- Ustaliliśmy, że Dziękczynienie urządzimy u mnie, a Boże Narodzenie u niej. Będziemy tylko my, choć dobiegły mnie jakieś słuchy, że Henry z rodziną chcą przyjechać z Atlanty. Nie wiem.

- Kurczę, zapowiada się sympatycznie - stwierdził. - Planujecie coś specjalnego?

- To co zwykle, stołowe szaleństwa: indyk, szynka i mnóstwo naszego ulubionego purée. Boże, można by pomyśleć, że nie potrafimy gryźć i stąd te wszystkie papki.

- To brzmi wspaniale. - Po dłuższej chwili milczenia dodał: - A ja chyba pójde do restauracji Morrisona i przysiędę się do Klubu Samotnych Serc.

- No dobrze, ty zakało rodziny. Przyłączysz się do nas?

- Już myślałem, że mnie nie zaprosisz!

Zapytał, czy coś przywieźć, a ja odpowiedziałam:

- Owszem, przywieź tyle wina, żeby można było zwodować „Królową Livvie”.

Nadszedł Dzień Dziękczynienia, a Simon nie zadzwonił. Doszłam do wniosku, że na pewno wyjechał z miasta. Roger przysłał mi kwiaty. Rozważałam wyrzucenie ich do śmieci, ale w końcu postawiłam je na stoliku w

salonie. Były po prostu bajeczne, zbyt piękne, by miały się zmarnować. Ilekroć na nie spojrzałam, mrowiły mnie stopy.

Tom wjechał na podjazd w chwili, gdy Maggie z Grantem i chłopcami stanęli w drzwiach. Po mniej więcej dwudziestu sekundach, zgarbawszy piwo, colę i chipsy, męska część towarzystwa oglądała już mecz footballowy i wydawała typowe dla macho odgłosy. Żeńskiej części towarzystwa wystarczyły dwie sekundy, by cmoknąć z dezaprobatą i zawiązać fartuchy.

Beth, Maggie i ja zaczęłyśmy w kuchni znęcać się nad indykiem i szukać miejsca na naczynia z jarzynami.

- To święto zawsze przypomina mi Livvie - powiedziała Maggie. - Bardzo mi jej brak.

- Ano, co prawda, to prawda! - przyznałam. - Boże w niebiesiech! Kazała nam siekać jarzyny, pamiętasz? Od tego siekania małośmy nie padły!

- Zupełnie jakbym ją słyszała - oceniła Maggie.

Beth zachichotała.

- Wiesz, co roku na jej cześć przyrządzam rzepę i jarmuż. Pamiętasz, jak nas musztrowała, że źle obrywamy jarmuż? „Musicie powyrywać wszystkie żyłki i dolać trochę octu do garnka, bo inaczej będzie śmierdziało w całym domu!”. Boże, czy ona nie była wspaniała?

- Bezkonkurencyjna - odparła Maggie. - Do końca próbowała nauczyć cię gotować.

- Biedaczka. Byłam do niczego - przyznałam.

- Czuję się wyrolowana, że nie miałam okazji jej poznać - wtrąciła Beth.

- No tak, ale masz swoją mamę, a to coś bardzo zbliżonego - pocieszyła ją Maggie.

Wszystko znalazło się wreszcie w garnku i w piekarniku, a Beth bardzo chciała pójść do koleżanki z sąsiedniej ulicy.

- Proszę cię, mamó, wróć na trzecią! Przysięgam!

- Nie musisz przysięgać. Włóż sweter, jest chłodno. Obiad będzie o czwartej.

Cmoknęłam ją w policzek i wybiegła kuchennymi drzwiami. Obie z Maggie odprowadziłyśmy ją spojrzeniami do rogu domu.

- Wygląda tak dorośle - westchnęła Maggie. - Gdzie się podziały te wszystkie lata?

- Ostatnio chyba coraz częściej zadajemy to pytanie. - Wrzuciłam noże i deski do krojenia do zlewu, odkręciłam kurek, nalałam płynu do naczyń i zabrałam się do szorowania.

- Nie da się ukryć. Gdzie masz masło? Roztopię jeszcze trochę, żeby polać ptaka.

- Na drugiej półce, w pojemniku na ser.

Znalazła masło, wrzuciła kilka odkrojonych kostek do miski i przykryła przezroczystą folią. Usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek kuchenki mikrofalowej, a potem popiskiwanie systemu programującego i pomyślałam: oto znowu my, teraz już starsze. Znieruchomiałam, pogrążona w zadumie.

- Co się dzieje z Tomem? - spytała Maggie. - Wydaje się jakiś przygaszony.

- Och, Maggie, kto to wie? Może znowu myśli o powrocie po kolejnym zerwaniu z panną Kamasutrą.

- No więc?

- Dajże spokój. Mam nadzieję, że w lecie będziemy już po rozwodzie. Michelle powiedziała mi w zeszłym tygodniu, że wyznaczono termin rozprawy. Nie mogłabym dłużej z nim żyć, wiesz? Nic między nami nie iskrzy!

- Prrr. Cóż, jeśli wszystko wygasło, połóż na tym krzyżyk.

- W tej chwili jesteśmy właściwie jak starzy towarzysze broni czy coś w tym rodzaju.

- Tak byłoby najlepiej, jeśli tylko wytrzymasz - uznała Maggie. - No wiesz, ze względu na Beth.

- Zdecydowanie.

- Powiedział ci, dlaczego on i ta jak-jej-tam zerwali z sobą?

- Zwiąła dokądś i na pewno jeszcze dziś poznam szczegóły. Święta wprawiają Toma w sentymentalny nastrój.

- Tak jak większość ludzi.

- Nawiasem mówiąc, muszę ci powiedzieć, że pisanie felietonów to najmądrzejsza rzecz, jaką mi kiedykolwiek doradziłaś, moja znamienita siostrze.

- No więc zdradź mi, jakie to genialne bezeceństwo mam tym razem na sumieniu?

- Cóż, po prostu wykonałam wszystkie twoje polecenia i naprawdę bardziej się sobie podobam, wiesz?
- Starsza siostra jest jak Pan Bóg. Wie wszystko i zawsze ma rację. Co z twoją rubryką?
- Chciałam to ogłosić przy obiedzie, ale co tam. Zgadnij, co się stało?
- Mówże wreszcie!
- „Atlanta Journal” chce ją przedrukować!
- Ha! Nie wytrzymam! Zarobimy coś na tym?
- Owszem! I jeszcze „Miami Herald”!
- O mój Boże, Susan, to cudowne! Mówiłam, że jesteś nadzwyczajna! Uczcijmy to!

Otworzyła lodówkę i wyciągnęła butelkę białego wina. Było w końcu święto. Trączyłyśmy się kieliszkami i uściskały.

- Wiesz, nie jestem jedyną dyplomowaną terapeutką w rodzinie - powiedziała. - Teraz posłuchaj o Grancie i o mnie.
- Mów, złotko. Daj masło, posmaruję indyka.
- Uważaj na palce. - Podała mi gorące naczynie. - No więc po tym przemówieniu, które wygłosiłaś wtedy na plaży...
- Jakim znowu przemówieniu? Cholera, to parzy!
- Dobrym przemówieniu, nie denerwuj się. Wróciłam do domu i zastanawiałam się przez kilka dni, a potem postanowiłam zrobić coś, czego jeszcze nie próbowałam z żadnym mężczyzną.
- Possać mu stopy?
- Jezu! Zaraz zacznę kląć! - wykrzyknęła Maggie. - Nie! Odbyc z nim szczerą rozmowę. Zadzwoiłam do szpitala i mówię: „Grant? Jest kilka spraw, o których powinniśmy pogadać, żebyśmy oboje wiedzieli, na czym stoimy. O której wracasz?”.
- Boże! Zdenerwował się?
- Chyba nie miał czasu. Wyjęłam butelkę dobrego wina, zrobiłam spaghetti i sałatkę z domowymi grzankami, upiekłam kruche ciasto z truskawkami i wysłałam chłopców na noc do kolegów. Poszłam do fryzjera, wydałam trzysta dolarów na kosmetyki Chanel i kupiłam naręczce kwiatów, bardzo seksowną bieliznę i taśmę z nastrojową muzyką w Victoria's Secret. Uperfumowałam siebie i sypialnię, zmieniłam pościel. Potem nakryłam do

stołu, używając najlepszych rzeczy i zapaliłam wszystkie świece, jakie miałam w domu. Kiedy Grant przekroczył próg, myślałam, że będę musiała podać mu tlen! Szkoda, że nie widziałas jego miny!

- O mój Boże. Mów powoli. Chcę wszystko zapamiętać. Może mi się kiedyś przydać.

- Tylko o tym nie pisz, dobrze?

- Maggie, za nic bym tego nie zrobiła. Przysięgam! Kontynuuj.

- No więc Grant spytał: „O co tu chodzi?”. Ja na to: „Słuchaj, Grant, napij się i siadaj. Musimy porozmawiać”. On: „O czym?”. Pociągnęłam solidny łyk wina i poszłam na całość! Zaczęłam: „Grant, przez długi czas myślałam, że mnie zdradzasz, i nawet wydawało mi się, że mam dowód. Popadłam w taką paranoję, że już nie mogłam tego znieść. Sądzę, że to w dużej mierze moja wina. Gdybyśmy się nawzajem trochę lepiej rozumieli, byłibyśmy o wiele szczęśliwsi. A jak ty uważasz?”.

- Dobrze. Mów dalej!

- Cóż, w pierwszej chwili zaczął się wykręcać: „Ależ skarbie, moim zdaniem jesteśmy idealną parą!”, ale ja nie ustępowałam. Powiedziałam: „Posłuchaj mnie, Grant. Zachowujemy się jak dwa chomiki na swoich kołowrotkach. Jedno biega i drugie biega. Ja grzęznę na zebraniach komitetów i odwożę ludzi do domów, a ty spędzasz w pracy dziewięć dziesiątych czasu. Jak możemy być idealną parą, jeśli prawie się nie widzimy? Pewnie, jesteśmy dla siebie mili i na pozór robimy wszystko, co należy, ale są rzeczy, o których nigdy nawet nie rozmawialiśmy. Musisz mieć jakieś sekrety, którymi chętnie byś się z kimś podzielił. Marzenia? Bo ja mam”.

- I co powiedział?

- Najpierw tylko słuchał. Opowiedziałam mu o różnych sprawach, o których nigdy przedtem nie mówiłam. O tym, jak dawno temu Lucius zламаł mi serce, o tacie, jak nas bez przerwy terroryzował. Grant nic o tym nie wiedział. Weź pod uwagę, że znał tylko Stanleya.

- Prawda, masz rację. Daj Boże wieczne odpoczywanie tej zacnej duszy.

- Amen. W każdym razie powiedziałam Grantowi, że nie kochałam go tak, jak powinnam, i właściwie on także nie kochał mnie tak, jak powinien, ale to zapewne dlatego, że nie znaleźliśmy nawzajem swoich prawdziwych

potrzeb. Nie poznałaś bliżej jego rodziców. Byli surowymi baptystami. Kiedy Grant przeszedł na katolicyzm, omal nie umarli i potem nigdy nie uważali nas za prawdziwą rodzinę. To go bolało, a ja bałam się mu powiedzieć, że wcale nie musi się nawracać! Myślałam, że jeśli nie będziemy razem chodzić do kościoła, nigdy naprawdę nie staniemy się rodziną. Co za głupota! O Boże, Susan, gadaliśmy przez całą noc! O wszystkim, co chowaliśmy w sobie latami.

- I co jeszcze? Pamiętasz, studiowałam wtedy w college'u. A po powrocie poznałam Toma i było po sprawie. Mieszkałaś w Savannah i spodziewałaś się dziecka.

- No właśnie. Moje małżeństwo znajdowało się na etapie ustalania parametrów, a ja nie miałam pojęcia, na czym to polega. Przez te wszystkie lata Grant nie poznał moich tajemnic. Bardzo się wstydziłam naszego ubóstwa. W porównaniu z jego rodziną byliśmy tacy prymitywni. Śmieszne, co?

- Nie bardzo. To samo było z matką Luciusa, pamiętasz? Chciała go ożenić z jakimś niewinnym dziewczętkiem z Charlestonu, a nie z katoliczką z Wyspy Sullivana. Przypominasz sobie?

- O Boże, masz rację! Tak było! No i kto wrócił tu z radością, kiedy Grant ostatecznie wybrał miejsce pracy? Ja! Ależ to życie jest zabawne!

- Niewątpliwie. Nie wyrwiesz z nas Południowego Wybrzeża.

- To prawda. W każdym razie długo zaśmiewaliśmy się z Grantem z naszej głupoty i przysiągł mi, że zdrada nigdy mu nie przyszła do głowy. Myślał, że jego wnętrze zupełnie mnie nie obchodzi. Powiedziałaś mu, że naprawdę pragnę dać mu miłość i uzyskać wzajemność.

- Więc wszystko się dobrze skończyło? Dolać ci wina? - Nalałam sobie drugi kieliszek.

- Nie, dziękuję, zaczekam do obiadu. Owszem, skończyło się dobrze. Ja go naprawdę kocham, Susan. Kocham całą naszą rodzinę i nie chcę jej niczego odbierać. Po prostu musiałam mu kiedyś o wszystkim opowiedzieć. Sama mi mówiłaś, że może się nie udać, ale człowiek przynajmniej uczciwie próbował.

- Kurczę, Maggie, to wspaniałe. Jestem z ciebie bardzo dumna. Jeśli się jeszcze kiedyś zakocham, też będę szczerą.

Objęła mnie i uściśniła mocno. Trzaśnięcie frontowych drzwi oznajmiło powrót Beth. Wybiła trzecia i nadszedł czas, by wyjąć z piekarnika ptaszka,

a na jego miejsce wstawić zapiekanki. Pokręciłyśmy się trochę po kuchni i wreszcie nadeszła pora obiadu.

- No cóż, dajmy jeść Pielgrzymom, zanim nadejdą mrozy - powiedziałam.

- Pójdę zadzwonić - poinformowała Maggie i wyszła.

- Pomóc ci? - Beth pocałowała mnie w policzek.

- Wszystko mam wyliczone, moja panno. Umyj ręce.

Jedzenia wystarczyłoby dla batalionu głodnych żołnierzy, co okazało się w sam raz, zważywszy wilczy apetyt obecnych mężczyzn. Od tygodnia obydwie z Maggie przygotowywałyśmy rozmaite dania i wypieki. Na widok tych wszystkich garnków i misek byłam niemal zażenowana. Dzięki Bogu, niczego nie przypaliłam.

Zapaliłam świece na stole w jadalni i pomyślałam, że wyglądają pięknie. Do starych misek nałożyłam marynowane warzywa, krem z karczochów, musztardę i majonez. Maggie przywiozła słomiany róg obfitości z kwiatami i pokrojonymi warzywami. Nakryłyśmy stół na siedem osób i postanowiłam posadzić Toma i Granta po dwóch przeciwnych stronach. To mogło być nasze ostatnie święto z Tomem i poczułam się wielkoduszna.

- No dobrze, teraz wszyscy usiądźmy i uczcijmy modlitwą ostatnie Dziękczynienie tysiąclecia - oznajmiłam.

- Fajnie to wygląda, ciociu - wtrącił Bucky.

- Dziękuję ci, kochanie. Tom, może byś usiadł tutaj? Odmówisz modlitwę?

Otoczyliśmy stół, pochylając głowy.

- Pobłogosław nas, o Panie - zaczął Tom - i te dary, które otrzymaliśmy dzięki Twojej szczodroblewości. Dzięki Chrystusowi, Panu naszemu.

- Amen - odparliśmy chórem.

- O Panie - ciągnął Tom drżącym głosem - pobłogosław i ochroń moją rodzinę, zwłaszcza moją córkę i jej matkę, a także wszystkich zebranych. Ześlij nam wszystkim pokój. Amen.

- Amen - odpowiedzieliśmy ponownie.

Tom miał oczy pełne łez. Trzymałam się dzielnie, lecz z ulgą powitałam świąteczną paplaninę. Zaczęłam nalewać zupę z wazy do talerzy.

- Podaj biskwity, Grant - poprosiła Maggie. - Susan, ta zupa pachnie niebiańsko!

- Bo jest niebiańska. Sama się do tego przyczyniłaś.

- Nie nalewaj mi zbyt dużo, Susan, chciałbym jeszcze skosztować indyka - powiedział Tom.

- Dziękuję ci za modlitwę.

- Chciałem się pomodlić.

- Wiem - odparłam.

Posiłek rozpoczął się od specjalności Południowego Wybrzeża, czyli gulaszu z ostryg, który podawaliśmy w Święto Dziękczynienia, odkąd pamiętałam. Dania nie pomieściły się w kuchni. Indyk z nadzieniem, podroby, gotowana szynka, jarmuż, rzepa, buraki, sos pomarańczowy, groszek i cebula, pudding kukurydziany, zapiekanka z fasoli, słodkie kartofle, świeża sałata, domowe biskwity, placki z pekanów, dyni i jabłek z rodzynkami oraz ciasto cytrynowe. Po godzinie byliśmy już najedzeni po uszy.

Dzięki Bogu, nikt nie wspomniał o śmierci taty i babci Sophie. Przez lata zaćwiczyliśmy tego konia na śmierć. Jedliśmy, śmiało się i opowiadaliśmy dzikie historie o połowach i sportowych osiągnięciach.

- Może zjemy deser nieco później - zaproponowałam.

- Już mnie bolą szczęki - poskarżył się Grant.

- Chodźmy na chwilę do salonu - zaproponowała Maggie. - Beth, kochanie, nastaw ekspres, dobrze?

- Jasne - odparła Beth.

Gdzieś przeczytałam, że indyk ma właściwości usypiające. Była to zapewne prawda. Chłopcy Maggie razem z Beth pozmywali naczynia, kiedy przysnęłam na sofie w salonie. Z oddali słyszałam głos Granta, a także Toma i Maggie, omawiających trzeci mecz futbolowy w telewizji. Cieszyłam się, że wszyscy są u mnie w domu. U mnie, choć cząstka Toma miała tu pozostać na zawsze.

Wreszcie ktoś wyłączył telewizor i przykrył mnie kocem. Usłyszałam pożegnalne słowa i całusy Beth i uznałam z ulgą, że rodzina mojej siostry w pełni rozumie mój stan. Po chwili wyczułam, że Tom jest nadal w domu. Wiedziałam, że ma w tym jakiś cel. Zmusiłam się do wstania i, oczywiście, zastałam go w kuchni na rozmowie z Beth.

- Obiad był świetny, mamo.

- Dzięki, mała. Obmyję twarz i zaraz wracam.
- Tak, Susan, obiad był naprawdę pyszny.
- Dziękuję. Trzymaj się mnie, a zafunduję ci kanapkę.

Uśmiechną się do mnie i wreszcie zostaliśmy przyjaciółmi.

Na gorze pragnęłam tylko przykryć się i zamknąć oczy. Poklepałam wałek na łóżku, mówiąc: „Zaraz wracam”. Umyłam zęby i nałożyłam świeżą warstwę pudru i szminki. Mycie zębów zawsze mnie rozbudzało.

Tom czekał na mnie w salonie.

- Beth chciała iść z koleżankami do kina - powiedział. - Pozwoliłem jej.

- W porządku - zapewniłam go. - Napijesz się kawy? Bo ja muszę się rozbudzić.

- A masz szkocką?
- Mam. Nalej sobie.

Poszedł za mną do kuchni, wrzucił do szklanki lód i nalał alkoholu na trzy palce. Nietypowo, jak na siebie. Zamieszałam kawę z mlekiem i czekałam.

- Susan, chciałbym z tobą porozmawiać - odezwał się nagle. - Przejdziemy do salonu?

- Oczywiście - odparłam.

Usiedliśmy na sofie i Tom pociągnął olbrzymi łyk ze swojej szklanki.

- Susan, chyba w końcu muszę ci wyznać prawdę.

- Ależ proszę.

- Tak naprawdę Karen i ja nie zerwaliśmy z sobą - powiedział.

- Tydzień temu mówiłeś, że zerwaliście.

- Owszem, ale to nie jest cała prawda. Po prostu rozstaliśmy się na pewien czas.

- Nie musisz mi o tym mówić, jeśli nie chcesz. W sumie nic mi do tego.

- Zmieniłem testament - oznajmił.

- O?

- Tak. Mój majątek wynosi blisko dwa miliony dolarów i uczyniłem Beth jedyną spadkobierczynią. Dopóki nie ukończy trzydziestu lat, pieniędzmi będzie zarządzał fundusz powierniczy z tobą jako opiekunką.

- Skąd, na miłość boską, wzięłeś dwa miliony dolarów?

- Rodzice zostawili mi cały pakiet mocnych akcji, o którym nigdy ci nie mówiłem.

Święci pańscy, pomyślałam, kolejny drobny sekret w naszym małżeństwie.

- Więc dlaczego teraz mi o tym mówisz? - spytałam.

- Mam raka prostaty.

- Tom! O mój Boże! Och, Tom, tak mi przykro! - Objęłam go, a on zaczął płakać. Ja również. Nie mogłam się powstrzymać. - Opowiedz mi o wszystkim.

- Dlatego pozwoliłem Beth wyjść. Nikt nie wie prócz Karen, a komuś musiałem powiedzieć...

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Mniej więcej miesiąc temu. Tak się martwię, że nie wiem, jak mam o tym mówić.

- To zrozumiałe. Posłuchaj, kochanie, wszystko będzie dobrze. Rak prostaty występuje dość często i da się go zoperować. Znajdziemy ci najlepszego chirurga i wrócisz do zdrowia!

- Nie idę na operację - powiedział.

- Dlaczego? Czy już za późno? O Boże!

- Nie, nie. To początkowe stadium. Po prostu... no wiesz, jeżeli poddam się operacji, istnieje poważne ryzyko, że już nie będę mógł uprawiać seksu.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Tom, pojawiła się ta nowa pigułka.

- Wiem, ale lekarze uważają, że przy moim rodzaju nowotworu to nie zadziała.

- Powtórz, co mówiłeś. Bo chyba źle cię usłyszałam.

- To dlatego Karen mnie zostawiła. Chciałem poddać się operacji, ale ona powiedziała, że jeśli potem nie będę mógł współżyć, to między nami wszystko skończone. Seks to dla niej bardzo ważna sprawa, Susan, a ona jest taka młoda. Nie mogę wymagać, żeby z niego zrezygnowała na następne pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat.

- Cofnijmy się trochę. Przede wszystkim ta rozmowa wydaje mi się co najmniej dziwna. Na litość boską, tu chodzi o ciebie, o twoje zdrowie i życie. Masz córkę, Tom. Czy dla tej samolubnej kurewki chcesz się wyrzec widoku ślubu Beth, trzymania na rękach jej dzieci, wszystkiego, co życie może ci jeszcze przynieść? Straciłeś rozum?

- Wiedziałem, że tak na to spojrzysz.
- Co to ma znaczyć? A niby jak miałabym na to patrzeć?
- Słuchaj, Susan, to są sprawy, których nie potrafisz zrozumieć. Jesteś kobietą.
- Racja. Jestem kobietą, a nie rozpaskudzonym bachorem, takim jak Ka...
- Pozwól mi skończyć, dobrze?
- Przepraszam. Mów dalej.
- Nawet gdybym zerwał z Karen, komu jest potrzebny facet, któremu nie staję?
- Ależ ty jesteś głupi. A komu są potrzebne kobiety po mastektomii? Albo po histerektomii? Prawdziwym mężczyznom, tyle ci powiem.
- No tak, pewnie masz rację, ale nie potrafię sobie tego wyobrazić... że już nigdy nie będę się kochał z kobietą.
- Nie rób mi wykładów na temat negatywnego wpływu abstynencji seksualnej. Mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie i wiesz co? Zawsze znajdowałam mnóstwo innych zajęć, które dawały mi sporo satysfakcji. A skoro już jesteśmy wobec siebie tak brutalnie szczerzy, oprócz penetracji istnieje cała gama innych sposobów okazywania miłości. Są książki na ten temat. Dużo książek.
- No więc co mam zrobić?
- Żartujesz? Poddać się operacji, to chyba oczywiste. Czekaj, teraz są chyba jakieś protezy, pompki czy coś w tym rodzaju. No i ulepszą tę pi-gułkę!
- Nie myślałem o tym. Jeszcze nie. Dostałem wyniki i pojechałem do domu.
- Kto cię leczy?
- Jakiś facet polecony przez Granta. Chyba nazywa się Youngworth.
- Czy Grant wie?
- Nie, przecież ci mówiłem. Tylko ty i Karen.
- No cóż, Tom, nie zamierzam uciekać przed tobą w Himalaje.
- To dobrze. Dzięki, Susan.
- Owszem, złamałeś mi serce i wyplakałam morze łez, ale nie będę stała z boku i patrzyła, jak szafujesz własnym życiem.
- Po prostu nie wiem, co dalej robić.

Zwiesił głowę i nerwowo splótł ręce. Było mi go bardzo żal. Jego życie uciekało, a on nawet nie był pewien, czy warto je ratować. Kiedy na mnie spojrzał, miał łzy w oczach. Oddychał urywanie i wyczułam, że znowu jest bliski płaczu. W następnej chwili już płakał.

- Susan, powiedz mi jedno. Czy czujesz jeszcze coś do mnie i pozwolisz mi wrócić do domu? Zaopiekujesz się mną? Zrobisz to? - Łzy spływały mu po policzkach.

- Posłuchaj, Tom. Częstka mojego serca będzie cię kochała aż po grób, ale nawet gdybyś nie miał żadnych problemów zdrowotnych, nie chciałabym żyć z tobą jak żona z mężem. Jesteś jednak ojcem mojego jedynego dziecka i nie opuszczę cię w potrzebie. Pomogę ci wyszukać najlepszych lekarzy i dopilnuję, żebyś miał najlepszą opiekę. Tyle ci mogę obiecać.

- Nie wiem, co robić. Nie chcę zostać z tym wszystkim sam.
- Nie zostaniesz.
- Muszę się zastanowić. Wrócę teraz do siebie.

Wstałam i uściśnęłam go mocno.

- Zadzwoń jutro, dobrze? - poprosiłam.
- Zadzwonię.

Drzwi zamknęły się za nim. Widziałam przez okno, jak mija furtkę i podchodzi do auta. Kiedyś to była nasza furtka. Z przygarbionych pleców Toma, z jego kroków i postawy wiał przejmujący smutek. Tak wiele się zmieniło. Kolejne Dziękczynienie i kolejna katastrofa. Moja głowa pulsowała, a serce biło w przyspieszonym rytmie. Nie chciałam, żeby Tom umarł. Sama myśl o tym była dla mnie przerażająca.

16.

Bożonarodzeniowe jasełka ..

1999

W środę po południu, pierwszego grudnia, czekałam na telefon od Toma, który miał w tym dniu wizytę u onkologa. Nie powiedzieliśmy jeszcze Beth o nowotworze, ale Tom zasięgnął rady Granta, więc obydwój z Maggie wiedzieli.

Szukałyśmy z Beth na ciemnym strychu ozdób choinkowych. Przed zapadnięciem się między krokwie chroniła nas pojedyncza goła żarówka, zapalana przez pociągnięcie sznurka. Był to nasz ulubiony rytuał, odprawiany co roku w radosnym oczekiwaniu narodzin. Narodzin małego Jezusa, oczywiście, ale także odejścia starego roku i narodzin nowego. A mijający rok był niezwykły. Beth stała się młodą kobietą, moje życie uległo całkowitej zmianie. No i nadchodziło nowe tysiąclecie, co oznaczało, że świat nie będzie już taki sam jak przedtem.

Ozdoby w pudełkach stanowiły kronikę naszego życia. Niektóre, w kształcie gwiazdek, misiów i kul, zrobiłam sama tuż po ślubie z Tomem i naszyłam na nich cekiny. Razem z Beth upiekłyśmy dziesiątki ciastek na choinkę i pomalowałyśmy je szelakiem. A każdy papierowy łańcuch wykonany przez Beth spoczywał w którymś z pudeł, starannie owinięty w bibułkę.

Znosząc pudła do salonu, bez przerwy myślałam o Tomie. Dotychczas każde Boże Narodzenie spędzaliśmy razem, a teraz już nie mieszkał z nami i przygnębiała mnie świadomość, że jest chory.

Postanowiłam przesunąć kanapę i ustawić choinkę pod oknem. Udało mi się przemieścić jeden koniec o jakieś pięć stóp, gdy weszła Beth z kolejnym narzędziem ozdób.

- Chcesz mi pomóc? - spytałam.

Położyła trzy pudełka na krzesła i nagrodziła mnie oklaskami, zanim podeszła.

- Bardzo śmieszne, mądralo - mruknęłam. - Przepchnijmy to pod ścianę, a krzesła pod lustro.

- Dobra. Mamuś? Czy w tym roku też będzie sztuczne drzewko?

- Owszem, a czemu nie? Nie traci igieł i wygląda zupełnie jak prawdziwe.

- Chciałabym choć raz w życiu poczuć zapach prawdziwej choinki - westchnęła.

- Wiesz co? Masz rację. Zafundujmy sobie prawdziwą choinkę! Taką dużą!

- A jeśli uschnie przed Bożym Narodzeniem?

- Nie uschnie, bo będziesz ją podlewać.

- No to świetnie. Co mnie podkusiło, żeby tyle gadać?

- Chodź. Włóż kurtkę.

W jedną noc przed sklepami wyrosły iglaste zagajniki. Za Ashley River skręciłam na zachód, budząc zdziwienie Beth.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Do Krogera.

- Co? Przecież nigdy tam nie kupujemy!

- Ponieważ sklep nie leży po drodze, ale zauważ, drogie dziecko, że na witrynę pada cień. Tam trzymają drzewka. A to oznacza, że nie smażą się przez cały dzień na słońcu i może kupimy jakieś, które będzie się trzymało nawet miesiąc.

- O Boże, mamo, ty to chyba jesteś genialna. Myślisz o wszystkim.

- Nie mów...

- Racja. Przepraszam.

- Dziękuję.

Na wszystkich latarniach ulicznych zawieszono migotliwe wieńce. Czerwone wstążki powiewały w podmuchach chłodnego wiatru. Miasto przywdziało odświętną szatę, a mnie ogarnęło bożonarodzeniowe podniecenie. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że Tom przeżyje i wyzdrowieje. Mimo to się martwiłam, tak na wszelki wypadek. Rodzinna katolicka tradycja zakładała, że ten, kto jest zanadto pewien swego zdrowia, naraża się na jakąś przerażającą chorobę. Dlatego cząstka mnie odmawiała w duchu

nowennę do wszystkich świętych, by wstawili się do Pana Boga za Tomem, reszta zaś z dziecięcą radością oczekiwała świąt. I teraz zamierzałam trwonić pieniądze na żywą choinkę, choć sztuczna wyglądała doskonale. To wskazywało, że stałam się trochę lekkomyślna.

- Jestem naprawdę podekscytowana tym Bożym Narodzeniem - zwróciłam się do Beth. - A ty?

- Ja też. No bo wiesz, aż trudno uwierzyć, że wszyscy przyjadą. Ale będzie ubaw!

- Tak, wujek Henry i wujek Timmy z rodzinami wybierają się na wyspę. Czekają nas gigantyczne zakupy. Cała banda zostanie aż do Nowego Roku. Co za impreza! Czego sobie życzysz w tym roku na Gwiazdkę?

- Och, na początek może być świąteczny kosz z całą zawartością. A ty?

- Sama nie wiem. Zastanówmy się. Jaguar, niekończąca się orgia zakupów i lifting twarzy. Jak to brzmi?

- Mamo, nie potrzebujesz liftingu. Masz przepiękną twarz.

- Ach, moja kochana, widzę w twojej przyszłości jakiś pełny kosz!

- Mamo, a co sądzisz o przełomie tysiącleci? Myślisz, że nastąpi koniec świata? W szkole dużo się o tym mówi.

- Beth, każdy dzień jest dla kogoś końcem świata. To grzech wierzyć w przesady. Myślę jednak, że ten sylwester okaże się najbardziej szalonym w naszym życiu i o ile mi wiadomo, żaden koniec nie nastąpi.

- Może. Zobaczymy.

Zajechałyśmy na parking i wysiadłyśmy z auta. U Krogera były setki drzewek do wyboru. Przed sklepem pomagał klientom nastoletni chłopak w swetrze naciągniętym na fartuch. Zanosił się na to, że szukając idealnej choinki, wystawimy jego cierpliwość na poważną próbę. Mimo trądziku był pełen wdzięku, wysoki i szczupły. Bezwstydnie flirtował z Beth.

- Do jakiej szkoły chodzisz? - zagadnął, uśmiechając się jak kot z Cheshire.

- Do Bishop England - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Jesteś cheerleaderką?

- Owszem, traktuję to jako gimnastykę. Wiesz, jaka jest większość cheerleaderek. - Przewróciła oczami, a on wybuchnął śmiechem.

- Tak, mają pusto w głowach. Co do mnie, gram w futbol.
- To fajnie - rzuciła obojętnie Beth, gasząc jego entuzjazm. - I w tenisa.
- Tak? - To ją zainteresowało. - Gdzie?
- W Porter Gaud.
- Znasz Jonathana Ashtona?
- Aha, złoilem mu tyłek z milion razy. To półgłówek.
- Racja - zgodziła się. - Chodziłam z nim.

W sensie formalnym było to kłamstwo, ale nic nie powiedziałam. W milczeniu oglądałam jodły.

- Jestem Chris Stapleton - przedstawił się i uścisnął rękę Beth.

Uprzejmy chłopak, pomyślałam i odsunęłam jedno drzewko od ściany.

- Beth Hayes - odparła.
- Przepraszam, czy byłbyś tak dobry przytrzymać tę choinkę? - zapytałam.

- Ależ oczywiście. - Przeciął nylonowy sznurek i stuknął pniem o chodnik, aby wyprostować gałęzie. - Proszę bardzo. Ho, ho. Piękny okaz.

Miał słuszość. Obeszłam drzewko, Beth ruszyła za mną, a on nie spuszczał z niej oczu. Byłam świadkiem narodzin nowego młodzieńczego uczucia. Patrzyłam na to z przyjemnością. Znowu przypomniał mi się Simon. W ogóle nie zadzwonił. Może po prostu nie był zainteresowany.

- Jak ci się wydaje, Beth? - zagadnęłam. - Czy to jest drzewko twoich marzeń?

- Tak, zdecydowanie - odparła, a ja wiedziałam, że jest jej absolutnie wszystko jedno.

- Musimy wykuć dziurę w suficie, żeby ustawić to maleństwo, ale cóż, nie będzie to pierwsza dziura w naszym domu.

- Mamo! - Odwróciła się do chłopaka (najwyraźniej rujnowałam jej życie) i oznajmiła: - Nie mamy w domu żadnych dziur.

- Okay, synu, bierzemy je - zdecydowałam.

- Świetnie. Proszę pójść z metką do sklepu, a ja zwiążę drzewko. Gdzie jest pani samochód?

- Weź kluczyki, Beth. Ona ci pokaże.

Wykazując przytomność umysłu, zostawiłam moją córkę na chwilę, żeby mieli okazję wymienić się numerami telefonu czy czymkolwiek tam młodzież

się teraz wymienia. Adresami e-mailowymi? Numerami pagerów? A może telefonów komórkowych? Wszystko jedno. Ostatnimi czasy zdecydowanie złagodniał mi charakter.

Po powrocie do domu razem wciągnęliśmy choinkę na ganek, chwiejąc się i potykając pod jej ciężarem.

- Zachciało jej się żywego drzewka - mruknęłam.
- Och, nie zrzędź, mammo.
- Sześćdziesiąt dolarów. - Brakowało mi tchu i gotówki.
- Co? Sześć dych za głupią choinkę?
- Ostrożnie! Uważaj na schodach!
- Z drugiej strony - zauważyła - nie znam innej rodziny, u której ze sztucznej choinki oblatują igły.
- Dobrze, dobrze. Idź po wiadro i nalej wody.

Zostawiłyśmy drzewko na noc na ganku, żeby wchłonęło solidną porcję wilgoci. Ubieranie choinki było rodzinną tradycją i zawsze robiłyśmy to razem. W ciągu jednego roku wszystkie nasze tradycje odeszły w przeszłość - stały się wspomnieniami. Teraz obydwie z Beth miałyśmy się zmierzyć z tym, co przyniósł los, i spędzić te święta bez Toma. Pomyślałam z żalem, że będzie mi go brakowało. To on co roku rozplątywał lampki choinkowe, zaklinając się za każdym razem, że przy zdejmowaniu zwinie je porządnie. To on rozmieszczał je pod naszym czujnym okiem, a gdy wieszaliśmy ozdoby, przynosił nam gorące kakao. Dawał nam wskazówki: „Zbyt wiele dużych bombek na czubku” albo „Za dużo po lewej stronie”. Odpowiadaliśmy ze śmiechem, żeby odniósł puste pudełka i pozwolił kobietom pracować w spokoju. Ale on nie ruszał się z miejsca. Cieszył się Bożym Narodzeniem jak dziecko.

Przeważnie zamawialiśmy chińskie dania albo pizzę i puszczałyśmy stare nagrania Perry'ego Como, podśpiewując do wtóru. Zawsze słuchaliśmy albumu Chipmunk Christmas i tańczyliśmy jak szaleni przy melodiach sprzed lat. A na koniec wieszaliśmy jemiolę i obydwójce z Tomem całowaliśmy Beth. „Kocham Gwiazdkę - mówiła, gdy otulaliśmy ją kołdrą - i was też kocham”. Był to dla naszej rodziny najmiłszy wieczór w całym roku. Nie samo Boże Narodzenie, lecz zapowiedź tego, co świąteczny dzień wyzwoli w każdym z nas. W tym roku będzie inaczej, pomyślałam, zastanawiając się,

jak teraz rozumieć powiedzenie „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Nieobecność Toma musiała być bolesna.

W piątek po pracy odszukałam w szopie stojak pod choinkę i jakoś zdołałyśmy z Beth wspólnymi siłami ustawić drzewko. Wyglądało wspaniale i pachniało niebiańsko. Kupiłam wieniec i girlandę, a Beth obiecała przywiązać wstążkę.

- Wiesz, mamó, dałam Chrisowi mój numer telefonu. Myślisz, że zadzwoni?

- Na pewno.

- Naprawdę?

- Ależ tak. Idę o zakład.

- Umrę, jeśli nie zadzwoni.

- Nie umrzesz. Podaj mi sznurek, dobrze? Muszę to zabezpieczyć. Pamiętasz, jak pewnego roku...

- Nie przywiązaliśmy choinki i runęła w środku nocy?

- Otóż to. Trzymaj prosto.

Wbiłam dwa cienkie gwoździe w narożniki okien i przywiązałam do nich sznurki. Potem wypelzłam zza drzewka i przyjrzałam mu się.

- Centrum Rockefellera - oeniłam. - Jest doskonałe.

- Naprawdę piękne - zawtórowała Beth.

Zadzwonił telefon i moja córka omal nie wyskoczyła ze skóry. W następnej sekundzie już rzucała do słuchawki wyćwiczone i chrapliwe „Halo?”. Marilyn Monroe jak żywa. Ludzie, którzy nie wychowują nastolatki, nawet nie potrafią sobie tego wyobrazić.

- Cześć, tato! Co słychać? - Pauza. - Jasne, już ją daję.

Wręczyła mi słuchawkę, a ja wstrzymałam oddech, mając nadzieję, że nie usłyszę złej wiadomości. - Tom?

- Cześć! Wszystko w porządku. Właśnie wyszedłem od doktora Youngwortha. Powiedział, że wyniki analiz wskazują na prosty przypadek w początkowym stadium. I że zabieg nie powinien być szczególnie skomplikowany. No więc tak brzmi dobra wiadomość.

- Bardzo dobra wiadomość - skorygowałam.

- Bardzo dobra. Termin operacji wyznaczono na przyszły poniedziałek. Możesz przyjechać?

- Oczywiście. Hej, czy nie pomógłbyś dziś wieczorem dwóm damom w potrzebie?

Zjawił się w salonie przed upływem pięciu minut.

- Ustawiaś je złą stroną naprzód - zauważył, całując Beth i jednocześnie przypatrując się drzewku. - Nie mogę uwierzyć, że kupiłaś prawdziwą choinkę.

- Mamy rok cudów - powiedziałam.

- Obyś miała rację.

Cisza. Beth obrzuciła nas podejrzliwym spojrzeniem.

- Co jest grane? - spytała.

- Kto się napije gorącego kakao? - rzucił Tom.

- Tata chce z tobą porozmawiać, Beth - wyjaśniłam. - Chodźcie, przyrządzimy to kakao razem.

- Zaczekaj - poprosiła. - Powiedzcie mi teraz.

Tom położył dłonie na jej ramionach i spojrzał prosto w oczy.

- Sprawa jest taka - zaczął. - Wykryto u mnie raka prostaty we wczesnym stadium. Dowiedziałem się o tym niedawno. Czeka mnie operacja, ale wszystko będzie dobrze.

Twarz Beth skurczyła się z niepokoju, a jej pełne łez oczy wpatrywały się z napięciem w ojca.

- Nic nie ukrywasz?

- Nic a nic - odparł.

Opowiedział jej o planowanym zabiegu: że szanse jego powodzenia są jak dziewięć do jednego. Zniosła to bardzo dzielnie i przyrzekła, że będzie się modlić.

- No to napijmy się gorącej czekolady - zaproponowałam.

Propozycja została przyjęta.

O wpół do dwunastej choinka była ubrana, a my śnialiśmy się ze zmęczenia. Usiedliśmy w salonie przy trzech lampkach, słuchając „White Christmas”. Wykradliśmy jedną noc naszej przeszłości. Nikt nie powiedział nikomu przykrego słowa. Bardzo mnie zdenerwowała wiadomość, że operacja Toma odbędzie się za kilka dni, ale po informacji, jakiej udzielił Beth, nie poruszaliśmy już tego tematu. Zawarliśmy milczącą umowę, że podczas ubierania choinki odsuwamy od siebie wszelkie napięcia. Prawdopodobnie obie z Beth powierzyłyśmy zdrowie Toma komuś godniejszemu.

Gdy Tom wyszedł, pogasiłam światła i odprawiliśmy rytuał „zamykamy nasz teatrzyk”, poszłam na górę. Na moim łóżku siedziała Beth.

- Mogę dzisiaj z tobą spać?
- Oczywiście, skarbie. Tylko nie zrób kłębowiska z pościeli. Wpełzłam pod kołdrę obok niej i zgasiłam światło.
- Mamuś?
- Mhm?
- Kiedy się modlisz, to do Matki Boskiej czy do Boga?
- Zabawne, że o to pytasz. Właśnie wzywałam ich kolejno na specjalne posiedzenie.
- Co takiego?
- Kochanie, modłę się do Boga, do Maryi, do mojej biednej zmarłej mamy, do Livvie... do wszystkiego, co ma uszy.
- Livvie cię tego nauczyła?
- Tak. Poproś Boga, żeby chronił tatę. Bóg w pierwszej kolejności wysłuchuje modlitw dzieci.
- Tak ci się zdaje?
- Jestem tego pewna. - Objęłam ją. - Zdrzemnijmy się trochę, malutka.

W niedzielę wieczorem Beth poszła do kina ze swoim nowym chłopakiem, Chrisem. Zadzwoił po południu i powiedziałam: „No dobrze, idź, ale wróć o wpół do dziesiątej”. Jak można się było spodziewać, wpłynęła do domu na różowym obłoku dziesięć po dziesiątej. Była tak uszczęśliwiona, że nie miałam serca jej besztać. Ograniczyłam się do demonstracyjnego wskazania zegarka.

- Totalnie się zakochałam - oznajmiła i na skrzydłach uczucia popłynęła w górę schodów. - Muszę zadzwonić do Lucy. I mamo, wiesz co?
- Co?
- On uwielbia taniec! Potrafi niesamowicie podskakiwać. Pokazywał mi na parkingu.
- Nareszcie trafił ci się ideał - zauważyłam.

W poniedziałek zjawiłyśmy się z Beth w Roper Hospital tuż przed szóstą rano.

- Ale tacie nic się nie stanie, prawda, mamuś?
 - Nie martw się, malutka, wszystko będzie dobrze.
- Sine o poranku niebo i kłęby wilgotnego powietrza znad zatoki przejęły

mnie dreszczem. Poszliśmy z Beth prosto do sali Toma, żeby wiedział, że jesteśmy. Przeraził nas jego widok w szpitalnej koszuli z kroplówką w ramieniu. W sali świeciła się tylko lampka nad łóżkiem. W jej świetle Tom wydawał się drobny, bezbronny. Gdy położyłam mu rękę na ramieniu, uświadomiłam sobie, że dygoczę. Uniósł powieki, choć był na wpół uśpiony.

- Cześć - szepnął. - Cieszę się, że was widzę.

Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło.

- Nie martw się, zaczekamy na ciebie - powiedziałam.

- Cześć, tato - odezwała się Beth. Ujęła jego rękę, ścisnęła lekko, pochylała się i pocałowała go w policzek. - Kocham cię.

- Godzinę temu dali mi jakąś pigułkę. Jestem zupełnie oglupiały - wyznał Tom.

- To po to, żebyś nie usiadł na stole operacyjnym, wyliczając lekarzom ich obowiązki zawodowe - wyjaśniłam.

- Mądrała - prychnął.

- Słuchaj, nie masz się czym przejmować. Tutaj traktują prawników ze zdwojoną ostrożnością.

Mój dowcip nikogo nie rozśmieszył. Tomowi trzeba było coś wyciąć. Musiało upłynąć kilka godzin, zanim poznamy wynik operacji. Tom przyśnął, trzymając mnie za rękę.

Po chwili do sali weszli dwaj sanitariusze, a za nimi pielęgniarka i lekarz.

- Dzień dobry, pani Hayes - powitała mnie pielęgniarka. - Pora się obudzić na kilka minut.

Zmierzyła Tomowi temperaturę i ciśnienie, zapisując wyniki na karcie.

- Dzień dobry - odezwał się lekarz. - Nazywam się David Youngworth.

Podaliśmy sobie ręce i uśmiechnęłam się do niego.

- Susan Hayes. A to nasza córka, Beth.

- Ach, właśnie. Beth. - Uścisnął jej dłoń i ponownie zwrócił się do mnie. - No dobrze, pani Hayes, jest pani gotowa?

Jednym zręcznym ruchem sanitariusze przenieśli Toma na wózek i przytrzymali drzwi.

- Gdzie to się odbędzie? - spytałam.

- Na drugim piętrze, sala operacyjna E. Jest tam poczekalnia. Zabieg nie powinien trwać dłużej niż dwie godziny. Zawiadomię panią, jeśli pani sobie życzy - odparł lekarz.

- Tak, dziękuję - kiwnęłam głową i podeszłam na chwilę do Toma, zanim go wywieziono.

Minęły dwie niekończące się godziny i nikt do nas nie podszedł. Beth oglądała „Today” w telewizji. Snułam się między gazetą, telewizorem a stolikiem z kolorowymi czasopismami. Wypiłyśmy kawę, a potem colę - prawdziwą, z cukrem, i tak dalej. Ponownie zerknęłam na zegarek. Za dziesięć dziewiąta.

- Lada chwila powinni nas zawiadomić - powiedziałam.

- Tak, o Boże, ależ oni się guzdrzą!

Nie upominałam jej; nawet na nią nie spjrzałam. Ludzie wchodzili i wychodzili. Modliłam się gorączkowo. Drogi Boże, proszę, zaopiekuj się Tomem. Stoi tu jego jedyne dziecko, pełne niepokoju. Tak jak i ja. Ona potrzebuje swojego taty, Panie Boże, niech on wyzdrowieje.

Wtem przypomniałam sobie, że nie zawiadomiłam szkoły o przyczynie nieobecności Beth. Podniosłam torebkę z podłogi i znalazłam drobne, ale z automatu obok poczekalni ktoś telefonował.

- Zaraz wrócę - uspokoiłam Beth. - Muszę zadzwonić do szkoły. Zaczekaj tu na lekarza.

- Dobrze.

Następny automat również był zajęty, a jeszcze następny zepsuty. Zasięgnęłam informacji w pokoju pielęgniarek, które skierowały mnie do drugiego skrzydła. Zanim się dodzwoniłam i wróciłam, doktor Youngworth już rozmawiał z Beth. Kiwała głową i nagle mnie zauważyła.

- Idzie mama - powiedziała.

- Z Tomem wszystko w porządku - zwrócił się do mnie Youngworth. - Jestem przekonany, że usunęliśmy wszystko, ale zaniepokoiły mnie węzły chłonne. Dlatego zabieg nieco się przedłużył. Pobrałem wycinki do analizy i gdy tylko patolog przekaże mi wyniki, będę wiedział, czy potrzebne są naświetlania. Nie wykluczam, że nowotwór był nieco bardziej zaawansowany, niż początkowo sądziliśmy, ale nie przypuszczam, by zagrażał życiu. Obawiałem się o węzły chłonne, lecz dopóki nie zajrzemy do środka, nic właściwie nie wiadomo.

- Ale z Tomem wszystko dobrze? - spytałam.

- O, świetnie zniósł zabieg. Teraz leży na oddziale pooperacyjnym.

Wróci do swojej sali około południa, jak tylko się obudzi, a jego ciśnienie się ustabilizuje. Przez większą część dnia będzie spał.

- Dziękuję panu, doktorze.

- Nie ma za co - odrzekł. - Powinien stąd wyjść za kilka dni. Jutro możemy porozmawiać o dalszym przebiegu leczenia.

Popatrzyłam za nim, gdy odchodził, i przytuliłam Beth. Cokolwiek by nam mówił, i tak stałybyśmy jak dwa manekiny, dziękując mu i rejestrując w myślach jego słowa, by je odtworzyć później. W rzeczywistości to, co powiedział, sprowadzało się do informacji, że podejrzewa, iż nowotwór Toma to poważniejsza sprawa, niż wcześniej sądził.

Wróciłyśmy na parę godzin do domu, zjadłyśmy lunch i znowu pojechałyśmy do szpitala. Na palcach weszłyśmy do separátky Toma, który wciąż spał kamiennym snem. Skręciłam żaluzje, by wpadało jak najmniej światła, i usiadłam na krześle w kącie.

- Skoczę kupić mu jakieś kwiaty - szepnęła Beth.

- Kup mi snickersa i torebkę chipsów - odszepnęłam.

- Wstydz się! Nie ma mowy! - Uśmiechnęła się i wyszła.

Od rozmowy z lekarzem do naszego powrotu do szpitala miałam czas wziąć się w garść. Nie wyobrażałam sobie, że tak po prostu odwiozę go do jego mieszkania i zostawię samego, bez kogoś, kto by mu przyrządzał posiłki i pomagał się wykapać. Tę sytuację należało rozwiązać krok po kroku. Tom był człowiekiem dumnym - a nawet próżnym. Za nic nie chciałby być ciężarem dla mnie ani dla kogokolwiek innego, chyba żeby znalazł się u progu śmierci.

Nie spiesz się, powiedziałam sobie, działaj powoli i ostrożnie. Najpierw musimy postawić go na nogi, a potem się zobaczy.

Dochodziła szósta po południu, gdy Tom wreszcie uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Z trudem rozkleił zaschnięte usta, odwodniony po narkozie. Nalałam wody do kubka, włożyłam rurkę i podsunęłam Tomowi.

- Hej, jak się czujesz? - szepnęłam.

Pociągnął łyk i otworzył oczy. Kiedy się uniósł, żeby wziąć kubek, skrzywił się z bólu i opadł na poduszki.

- Spokojnie - powiedziałam - pij pomału. Pomogę ci usiąść. - Naciśnęłam guziki przy łóżku, podnosząc wezglowie, i poprawiłam poduszki.

- Gdzie Beth? - zapytał.
- Na korytarzu, pewnie rozmawia przez telefon. Ma nowego chłopaka.
Chris Jakiśtam.

- Zabiję hultaja - oznajmił.
- Nie musisz. Prędkiej wykończy go trądzik. Chcesz zażyć środek przeciwbólowy? Popatrz, naciskasz tutaj i dostajesz pigułkę.

- Czuję się nieźle, tylko jestem śpiący. Jak długo tu siedzisz? Co powiedział lekarz?

- Powiedział, że wyzdrowiejesz. Że możesz potrzebować dodatkowej kuracji, ale zabieg się udał. Zobaczysz się z nim jutro rano.

Nie mówiłam całej prawdy, bo nie miałam odwagi poinformować człowieka, który właśnie przeszedł poważną operację, że nie zyskał stuprocentowej gwarancji.

- Dzięki Bogu. Dziękuję ci, Susan. Za to, że tu jesteś i w ogóle. Naprawdę. - Skrzywił się ponownie.

- Ejże, a od czego są byłe żony? A teraz naszpikuję cię prochami, żebyś odpoczął. - Wcisnęłam guzik, poklepałam Toma po ramieniu i wyszłam. Automatyczne drzwi zamknęły się za mną z cichym sykiem.

Na drugi dzień po zabiegu Tom już chodził. Na trzeci zwolniono go ze szpitala. Postanowiłyśmy z Beth zabrać go do naszego domu. Gdy tylko poczuje się lepiej, podkreśliłam, przeniesie się do swojego mieszkania.

Obawiałam się, że wrócę do dawnego życia i zniknie wszystko, co dotychczas udało mi się zbudować. Chciałam, żeby Tom miał opiekę, ale nie zamierzałam dać się wykorzystać. O nie, nikt mnie więcej nie wykorzysta, jeśli zdołam temu zapobiec. Ponadto pobyt Toma u nas wiązał się z pewnymi komplikacjami natury prawnej. Reguły przeprowadzania rozwodu w Karolinie Południowej wymagały, abyśmy przed orzeczeniem rozwodu przez rok mieszkali osobno. Gdyby Michelle Stoney dowiedziała się, że Tom przebywa pod moim dachem, musiałaby wycofać dokumenty, żeby nie popełnić oszustwa. Nie zamierzałam jej informować i nie przypuszczałam, by jakikolwiek sędzia wstrzymał orzeczenie z tego powodu. Odmówiłam w tej intencji kolejną nowennę.

Wypożyczyłam szpitalne łóżko i usunęłam stół z jadalni. Tom mógł tam spać. Zalecono mu unikanie schodów przez pewien czas. Doprowadzenie go

do samochodu sprawiło nam nieco kłopotu, ale Grant przybył z pomocą.

- No chodź, stary, oprzyj się o mnie - zachęcił.
- Czuję się jak niedołączona babcia - jęknął Tom.
- Bo nią jesteś - odpalił Grant. - Połóż się na tylnym siedzeniu.
- Dobra myśl - uznał Tom.
- Odprowadzę wózek - zaoferowała się Beth.
- Dobra, dzięki. Wygodnie ci, Tom? - spytałam.
- Tak, jedźmy już. - odparł.

Grant zamknął tylne drzwiczki i przytrzymał przednie, żeby Beth mogła wsiąść. Wsunął głowę do auta i odezwał się do mnie:

- Pojadę za wami, ale muszę wrócić na obchód.
- Nie ma sprawy, Grant. Dzięki.

Gdy dotarliśmy do domu, Grant odjechał, a ja przyrządziłam Tomowi lunch. Usiadł na kuchennym taborecie i zjadł kanapkę z kurczakiem, sałatą i pomidorami, garść chipsów oraz dwa marynowane ogórki i popił to colą. Ten człowiek nie był umierający; był po prostu głodny.

- Kurczę, ale się cieszę, że się stamtąd wyrwałem - powiedział.

Przez następne dwa dni snuliśmy świąteczne plany i żyliśmy po swojemu, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Tom zadziwiająco szybko przychodził do zdrowia. Wracałam z biblioteki, robiłam kolację i zabierałam się do kolejnego artykułu. Tom i Beth zmywali naczynia, a ja uciekałam na górę. Potem Tom oglądał telewizję w salonie, Beth uczyła się w moim pokoju, a ja pisałam i zaśmiewałam się w jej pokoju. Tom czuł się coraz lepiej, Beth była szczęśliwa, a ja cieszyłam się, że mogę coś dla niego zrobić. Jego choroba nauczyła nas współczucia.

Pod koniec tygodnia wrócił do swojego mieszkania. Obydwoje zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, jakie stwarzał jego pobyt w moim domu i naprawdę był już najwyższy czas, żeby Tom się wyprowadził. Poruszał się już normalnie i zdradzał pewne rozdrażnienie. Beth dąsała się trochę, kiedy odjeżdżał, ale rozumiała sytuację.

Wiedziałam, że w następny poniedziałek Tom umówił się na wizytę u doktora Youngwortha, który miał do tego czasu otrzymać wyniki analiz. Oczekiwałam szybkich wieści. Odprężyliśmy się nieco, dochodząc do

wniosku, że naprawdę zła wiadomość dotarłaby do nas od razu. Przykre wieści biegną chyżo i tak dalej.

W poniedziałek wieczorem Tom zadzwonił do drzwi.

- Cześć! - powitałam go. - Jak leci? Napijesz się piwa? - Z wyrazu jego twarzy odczytałam natychmiast, że coś jest nie tak.

- Cześć - odparł i cmoknął mnie w policzek. - Gdzie Beth?

- Zwołam ją.

Beth zbiegła po schodach i przytuliła się do niego. W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego Tom przyjechał, zamiast zadzwonić. Przypominał mi Marviną Struthersa. Zanim jeszcze nam powiedział, co miał do powiedzenia, poczułam się tak, jakbym wpadała w głąb ciemnego tunelu.

- Co się stało? - zapytała Beth.

- Może byśmy usiedli - zaproponował Tom.

Beth przysiadła obok mnie na kanapie. Tom stanął przed nami.

- Beth, Susan, bardzo mi trudno znaleźć właściwe słowa, więc powiem to prosto z mostu. Wygląda na to, że jestem poważnie chory. Nowotwór rozszerzył się na węzły chłonne i dał przerzuty.

- Jakie? - spytałam.

- Tato! Co ty mówisz?

- Kochanie, być może pozostało mi niewiele czasu.

Beth zerwała się z sofy i mocno objęła ojca. Krzyczała:

- Nie! Nie! Nie! Powiedz mi, że to nieprawda, tatusiu! Powiedz, że to nieprawda!

- Chciałbym, żeby to nie była prawda, Beth, uwierz mi. - Głos Toma drżał; pękało mu serce.

- Nie mogę cię stracić! Potrzebuję cię, tato! Potrzebuję cię!

Tom objął szlochającą Beth, a ja podeszłam i otoczyłam obydwójce ramiarami. Łzy potoczyły się nam po policzkach, gdy obydwójce całowaliśmy Beth. Aż się trzęsła od płaczu. W końcu osunęła się na podłogę. Tom ukląkł obok niej i przemówił szeptem:

- Proszę cię, maleńka, wstań. Bądź dzielna, zrób to dla taty. Nie załamuj się, jesteś mi potrzebna. Proszę, Beth. Potrzebuję cię, kochanie.

Gdy powiedział, że jej potrzebuje, spojrzała na niego.

- Och, tatusiu, proszę cię, nie umieraj - wyszlochała, obejmując go mocno w pasie.

- Skarbie, nie chcę umierać, dobrze o tym wiesz.

- Musi być jakiś sposób - odezwałam się. - Nic nie wymyślili?

- Jakąś radykalną kurację, ostre naświetlania i chemoterapię, eksperymentalne leki, które wypróbowano z powodzeniem na myszach - odparł. - Możecie być pewne, że zastosuję wszystko, co da się zastosować.

- O mój Boże - westchnęłam. - Wstań, Beth, proszę cię, skarbie. Musimy być dzielne ze względu na tatę. Tom - zwróciłam się do niego - wiesz, że ci pomożemy. Zrobimy, co w naszej mocy.

- Wiem, Susan. Dzięki Bogu, że jesteś - odpowiedział. - Beth, spróbujmy wziąć się w garść, dobra?

Podnieśliśmy Beth i położyliśmy ją do łóżka. Płakała bez przerwy przez trzy godziny. A ja razem z nią. Tom przysiadł obok i rozmasował jej kark. W końcu ucichła. Upewniwszy się, że zasnęła, weszliśmy do salonu.

- Tom, cholernie mi przykro. Tak mi przykro - zaczęłam i uświadomiłam sobie, że znowu płaczę.

Objął mnie i mocno uściśnął.

- Dlaczego ma ci być przykro, Susan? To nie twoja wina. Nikt tu nie zawinił. Słuchaj, nie pomogłabyś mi zaplanować reszty życia? Może wyjechałibyśmy gdzieś we troje? W jakieś miejsce, o którym zawsze marzyłaś?

- No tak, Tom, ale gdyby ci się pogorszyło? Jak miałabym się tobą zaopiekować? Jak długo...

- ...to potrwa? No cóż, jeśli ten konował się nie myli, około trzydziestu lat... przy odrobinie szczęścia. A przy odrobinie pecha, około pół roku. Mam dość czasu, by uporządkować swoje sprawy, co dziwnym zbiegiem okoliczności już zacząłem robić.

- Pół roku albo wieczność - mruknęłam i umilkłam na chwilę. Pół roku to niewiele. Czego bym sobie zażyczyła, gdybym wiedziała, że mojemu ojcu zostało pół roku życia? - Poświęć ten czas Beth, jeśli możesz. Cokolwiek się stanie, ona potrzebuje dobrych wspomnień. Rozumiesz?

- Masz rację. No cóż, nie jestem tak do końca przegrany. Miałem dość rozumu, żeby ożenić się z tobą i spółdzić Beth.

- Ona jest bezspornie miłością mojego życia, Tom. Dziękuję ci za nią.
- Jest również moja. Proszę bardzo, nie popadajmy w przesadny sentymentalizm. Czuję się świetnie, jeśli pominąć lekkie mdłości od czasu do czasu.

- Będę się za ciebie modliła, Tom - powiedziałam.
- Dziękuję. Chyba będę potrzebował wszelkich możliwych modlitw.
- Ty też się módl, dobrze?
- Żartujesz? Rozchmurz się, przecież jeszcze żyję.

Objął mnie, a ja oparłam głowę o jego ramię. Gładził mnie po włosach, jakbym była jego drugą córką. Kiedy wreszcie odjechał, spoglądałam za jego samochodem i nasłuchiwałam, dopóki silnik nie ucichł w oddali.

Beth naprawdę była dziełem jego życia. Nie wiedziała, co ją czeka, ale ja wiedziałam. Żał pogłębiała jeszcze śmierć mojego ojca.

Poszłam spać o północy. Przykryłam się do ramion. Wszędzie panowała cisza. Wtem usłyszałam kroki Beth, która weszła ostrożnie do mojego pokoju.

- Nie śpisz?
- Nie, włącz.

Wdrapała się na moje łóżko. W domu było chłodno; piec wyłączył się o dziesiątej.

- Myślisz, że tata wyzdrowieje?

Poklepałam ją po nodze.

- Tak mi się wydaje.
- Mogę dzisiaj z tobą spać?
- Jasne, skarbie. Zgaś światło i zamknij oczy.

W ciemności nasłuchiwałam jej oddechu. Skuliła się, leżąc na boku plecami do mnie, i usnęła niemal natychmiast.

17.

Boże Narodzenie 1963

Drzwi pokoju mamy otworzyły się bezszelestnie i stanęła w nich Livvie z wyrazem najwyższej powagi na twarzy. Oczekiwaliśmy w napięciu, co powie. Nic nie powiedziała. Minęła mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. Potem musnęła ręką Maggie i chłopców. Przyjechała do nas przed godziną i przez cały czas siedziała u mamy. Było to nazajutrz po śmierci ojca. Myśleliśmy, że Livvie odejdzie.

- Muszę zamieść te schody - powiedziała, a my odetchnęliśmy z ulgą.

Krążyliśmy wokół kuchennego stołu z taśmą samoprzylepną, poruszając się jak w transie, jakbyśmy sami byli martwi. Sąsiedzi wręczali nam szynki, wielkie półmiski sałatki ziemniaczanej i solidne torty. Szynki upieczono zgodnie z rodzinnymi przepisami, sałatki przyrządzono według ściśle strzeżonych reguł, każde jajko do ciasta wbito własnoręcznie. Ale nam wszystkim ścisnęły się gardła. Pomimo wszechogarniającej życzliwości jakoś nie mieliśmy apetytu.

Nasi sąsiedzi i znajomi czuli się niezręcznie i nieswojo, pragnąc jak najszybciej wypełnić swój obowiązek. Mówili, że są oszołomieni, że spotkamy się na stypie, że bardzo im przykro i gdyby mogli w czymś pomóc... ale w czym ktokolwiek mógł pomóc?

Czuwanie pobilo wszelkie rekordy zakładu pogrzebowego McAlistera. To przede wszystkim zapamiętałam. W moich wspomnieniach z pogrzebu i stypy pojawiły się spore luki, z czego zapewne powinnam się cieszyć. Mimo to zachowałam w pamięci skrawki wydarzeń.

Kwiatów była chyba z tona. Znienawidziłam na zawsze mieczyki i goździki. Mieczyki nigdy nie rozkwitały jak należy. Kiedy środkowe kwiaty

wyglądały ładnie, góra nie była jeszcze rozwinięta. A gdy góra kwitła, środek już przekwitał. No i goździki. Boże, nie cierpiałam goździków. Wiedziałałam, że w kwiaciarniach często się ich używa, bo długo się trzymają, ale przesłodzona woń tych kwiatów doprowadzała mnie do mdłości.

Pamiętam widok taty w trumnie w domu pogrzebowym - to było okropne. Wydawał się odległy, jakby na końcu mglistego tunelu. Skórę miał szarą. Może podeszłam do trumny, a może nie.

W dniu mszy żałobnej kościół Stella Maris wypełnił się ludźmi. No i dzwony. Pan Struthers rozkołysał je powoli. Na ich dźwięk dobiegający z wieży rozszczękały się wszystkie psy w tej części wyspy. Dostałam gęsiej skórki. Zaczęła do mnie docierać rzeczywistość. Nadchodziła chwila ostatecznego pożegnania. Oni już od nas odeszli.

Staliśmy rzędem przed kościołem, gdy z dwóch karawanów wyniesiono trumny. Kolana ugięły się pode mną i nie mogłam przełknąć śliny. Miałyśmy z Maggie iść za mamą, a za nami Timmy i Henry. Ciotka Carol nas ustawiła i poinstruowała, co robić. Ona i Livvie z bliźniaczkami zamykały pochód.

Patrzyliśmy na trumny wysuwające się z samochodów niczym jakiś ładunek. Bez życia. Nieruchome. Tylko ciężar naszych zmarłych i ich skrzyń. Tam w środku nie da się oddychać, pomyślałam ironicznie. Henry musiał usłyszeć moją myśl, bo zaczął szlochać. Timmy, dotychczas opanowany, również się rozplakał. Objęłam Henry'ego i pogłaskałam po głowie, próbując go pocieszyć. Maggie przytuliła Timmy'ego; widziałam jego drgające plecy. Mama odwróciła się i serce jej podskoczyło na nasz widok, bo wreszcie zdała sobie sprawę z siły łączących nas uczuć. Nie umiejąc stawić nam czoła na żadnej realnej płaszczyźnie, uniosła czarną woalkę i otworzyła torebkę.

- No już, przestańcie - odezwała się, poklepując nas lekko po plecach i wręczając chusteczki - wasza babcia i wasz tata nie życzyliby sobie tego. Spróbujmy przybrać dzielną postawę i pokazać wszystkim, jacy jesteśmy silni.

- W tej skrzyni leży mój tatuś, mamó! - wybuchnął Henry, wciąż płacząc w moich objęciach.

- Posłuchaj mnie, Henry - zaczęłam, nie wiedząc, co dalej powiem. - To nie jest konkurs dzielności! Tata poszedł do nieba. Tu leży tylko jego

ciało. To dla nas straszny dzień. Po prostu trzymaj się mnie! A jeśli chce ci się płakać, to płacz.

Jego wielkie niebieskie oczy odnalazły moje i chyba poczuł, że coś mu ofiarowałam, bo odetchnął głęboko kilka razy, przywarł do mnie, a potem się odsunął. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę jego furii, gdy rzucił mamie w twarz: „W tej skrzyni leży mój tatuś, mamol!”. Nigdy nie zapomnę tych słów. I jego dziecięcych brwi, ściągniętych w grymasie strapienia i smutku. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, co z nami będzie. Musieliśmy po prostu trzymać się razem, zacisnąć powieki i czekać, aż to wszystko się skończy.

Msza również zatarła się w mojej pamięci. Przypominałam sobie tylko okropne, cklive pieśni naszego chóru. Jeszcze po wyjściu z kościoła, idąc z konduktem na cmentarz, słyszałam żalobną muzykę.

Kiedy wróciliśmy do domu, poczułam przemożne zmęczenie. Jeszcze nigdy nie byłam taka zmęczona. Chciałam tylko spać. Dom roił się od ludzi, lecz jakoś udało mi się wymknąć do mojego pokoju. Zamknęłam drzwi, zrzuciłam z nóg lakierki i położyłam się w ubraniu na łóżku, naciągając na siebie kołdrę. Powinnam była opisać pogrzeb w pamiętniku, powinnam była zajrzeć do bliźniaczek. Powinnam była robić różne rzeczy oprócz tej jednej, ale zapadając się w materac, miałam wrażenie, że zamieniam się w kamień. Firanki w uchylonym oknie falowały niczym zjawy w podmuchach wilgotnego powietrza.

Pochowałam dzisiaj ojca i babkę, pomyślałam. Powinnam czuć się znacznie gorzej. W tym cały problem - nie czułam właściwie nic oprócz zmęczenia.

Niewątpliwie usnęłam, ponieważ gdy otworzyłam oczy, było już ciemno. Obmyłam twarz, spryskując oczy i policzki zimną wodą, a potem zesłam do kuchni. Wujek Louis, ciotka Carol, mama i Maggie siedzieli przy stole i rozmawiali. Wyjrzałam przez okno nad zlewem. Na podwórzu stał tylko samochód wujka.

- Tak tu sobie rozmawiamy, Susan - odezwała się ciotka. - Może usiądziesz z nami? Nie jesteś głodna, kochanie?

- Nie, dziękuję, nie mam dzisiaj apetytu.

Jej troskliwość nieco mnie zdziwiła. Spojrzałam na mamę. Miała mocno podpuchnięte oczy, ale tym razem nie oburzałam się na nią. Na jej miejscu

zapewne wyrywałabym sobie włosy z głowy. Postarzelismy się wszyscy z dnia na dzień, pomyślałam. Wczoraj nienawidziłam matki za to, że o nas nie dba, a dzisiaj jej współczułam. Nalałam sobie coli i usiadłam.

- Właśnie omawiałem z waszą mamą kilka rozwiązań, Susan - powiedział wujek Louis. - Bo wiesz, kochanie, w domu muszą nastąpić pewne zmiany.

- Tatusz nie ubezpieczył się na życie, Susan - wyjaśniła mama.

- Co to oznacza?

- Najkrócej mówiąc, jesteśmy zrujnowani - oznajmiła Maggie. - Nie mamy ani centa.

- Żartujecie, prawda? - Rozejrzałam się po twarzach mojej rodziny. Jeeezu, kiedy skończą się te kłopoty?

- No, Maggie, nie strasz siostry - upomniał ją wujek. - Wszyscy dosyć przeżyliśmy jak na jeden dzień. Kochanie - zwrócił się do mnie - prawda wygląda tak. Zostały wam tylko pieniądze na rachunku oszczędnościowym i koncie bieżącym waszego taty. Nie jest tego dużo. Wasza matka może poszukać pracy. Ale na pewno nie zarobi wiele, ponieważ nie chodziła do college'u. A poza tym, kto by się zajmował bliźniaczkami i Henrym? W grę wchodzi jeszcze koszt dojazdów, nowych ubrań i tak dalej, więc z ekonomicznego punktu widzenia to nie ma sensu. Dlatego musiałyby to być rodzaj pracy, którą można wykonywać w domu. Mam na przykład znajomego, który ciągle szuka księgowej.

- Louisie, nie mam zielonego pojęcia o księgowości! - przeraziła się mama.

- Do jasnej cholery, M.C., jeśli nie to, to coś innego! Po prostu będziesz musiała znaleźć jakiś sposób, żeby zarobić trochę pieniędzy. Przykro mi, że mówię ci o tym tak brutalnie, ale taka jest prawda!

Po raz pierwszy i jedyny usłyszałam z ust wujka Louisa przekleństwo, ale od razu mu wybaczyłam, bo sama klęłam bez przerwy. Wujek zachowywał przeważnie dobry nastrój i pogodę ducha, lecz ta sytuacja każdemu popsulały humor.

- Zajmiemy się tym, Louisie - powiedziała mama.

- Czym? Myślisz, że jestem w stanie zaopiekować się wami wszystkimi?

- Pójdę się położyć - oznajmiła mama cichym głosem. - Muszę trochę odpocząć.

Powoli dźwignęła się z krzesła i obrzuciła wujka i ciotkę ciężkim spojrzeniem. Była wściekła. Rozumiałam ją. Gdyby nasza mama nie poświęciła się opiece nad rodzicami wujka Louisa, mogłaby skończyć studia i jej obecne położenie nie byłoby tak beznadziejne.

Wujek nie patrzył jej w oczy. Westchnął tylko, spuścił głowę i potarł dłońmi uszy i kark. Doszedł zapewne do wniosku, iż to nie jego wina, że mama urodziła się dziewczyną.

Kiedy wyszła z kuchni, ciotka Carol wstała z uśmiechem i zbadła zawartość pojemnika z ciastem, unosząc pokrywę i węsząc.

- Mmm! Niemiecki tort czekoladowy! Mój ulubiony! Czy ktoś zje razem ze mną kawałek?

Zanim minął tydzień, wujek Louis obmyślił już plan mający na celu ratowanie życia małym Hamiltonom - czyli nam - i jego siostrze. Wujek był bardzo przydatnym człowiekiem. Kiedy zatykał się zlew, tata zawsze wzywał wujka Louisa, który zjawiał się po pięciu minutach w kuchennych drzwiach i rozpoczynał wykład na temat wątpliwej wartości męzczyzny nieumiejącego przetkać zlewu. Potem w całym domu rozbrzmiewał głos mojego ojca, nazywającego wujka starym przemądrzalcem, któremu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozумы. Kwadrans później wszelkie urazy szły w niepamięć, a tata z wujkiem pili piwo na ganku, śmiejąc się i wygłupiając.

Raz nasza pralka zbzikowała z powodu przeciążenia i zaczęła tańczyć po kuchennej podłodze. Tata musiał zadzwonić po wujka, żeby mu pomógł przesunąć ją na miejsce. Obydwaj zaśmiewali się z tego do rozpuku. No i właściwie to wujek zbudował nową łazienkę dla Livvie. Jeśli trzeba było czymś pokierować, wzywało się tatę. Jeśli trzeba było coś naprawić albo zbudować, wzywało się wujka Louisa.

Wujek stanął w drzwiach, gdy Maggie, Timmy i ja pomagaliśmy Livvie pozmywać po kolacji. Mama siedziała przy stole i wzdychała. Poinformował moją matkę, że skoro jest zbyt leniwa, żeby ruszyć swój tłusty zadek i iść do pracy, on zamierza przerobić dwa piętra domu na pokoje do wynajęcia. Twarz mamy poczerwieniała jak burak.

- Dom nie ma obciążonej hipoteki - mówił, cokolwiek to miało znaczyć - więc czynsz za wynajem pokryje koszty wyżywienia dzieci i utrzymania domu.

Postanowił zacząć od dobudowania dwóch pokoi i małej łazienki na tyłach domu. Chłopcy spaliby w jednym pokoju, a Maggie i ja w drugim. Bliźniaczki przeniosłyby się do dawnej sypialni Sophie i Tipy, a mama mogła zostać u siebie. Powiedział, że już rozmawiał z Marvinem Strutherssem, który zgodził się przydzielić nasz dom do innej strefy, co umożliwi zainstalowanie czterech liczników elektrycznych, aby nasi lokatorzy sami płacili za prąd. Dodał, że mama będzie musiała doliczyć do czynszu koszt zużycia wody.

- Nie mogę teraz o tym myśleć - ucieła wreszcie mama. - Zamierzam ruszyć swój tłusty zadek i pójść do łóżka. Muszę odpocząć.

Wujek Louis z irytacją wypuścił powietrze.

- Mogę wujkowi pomóc - zaofiarował się Timmy.

- Dobrze, synu, przyda mi się twoja pomoc.

- Jasne! Wszyscy pomożemy! - dołączyła się Maggie.

- Ja tam nie pierę więcej ubrań i nie czyszczę więcej łazienek! I tyle! - oznajmiła Livvie. - Pewnie i tak stracę tę robotę, mam rację, panie Louisie?

Ta przerażająca ewentualność zawisła na chwilę w powietrzu, aż zaparło mi dech ze strachu.

- Nie musisz, Livvie. Nie przejmuj się tym - powiedziałam szybko. - Ja to będę robić.

Wujek popatrzył na nas.

- Nie wiem, jakim cudem moja siostra was wszystkich urodziła. Prawdziwa z niej szczęściara i nawet o tym nie wie. - Podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. - Susan, nie będziesz nic nikomu prała, chyba że własnej rodzinie. Musisz się uczyć. A ty, Maggie, nie zaprzataj sobie głowy pomaganiem mi przy budowie. To męska robota. Lepiej pomóż mamie, siostrze i Livvie zaopiekować się maluchami. Livvie, ty też się nie martw. Teraz ja będę ci płacił pensję, zgoda? Ta rodzina potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek!

Sobota zaczęła się od stukania młotków i zgrzytu pił mechanicznych - wujek Louis zabrał się do dzieła i postanowił nas zmobilizować. Wspięłam się aż pod kopułę, żeby obserwować rozwój sytuacji. Pięciu ludzi, znajomych ojca z firmy budowlanej, pojawiło się nie wiadomo skąd, żeby pomagać. Wujek ścisnął każdemu dłoń i klepał po plecach. Przyjechał pan Struthers, przywożąc skrzynkę z narzędziami. Młotki waliły tak głośno, że

miałam ochotę krzyknąć. Wtem nadjechała rozklekotana furgonetka z dwoma czarnymi mężczyznami i zapanowała cisza.

- Znaliście Hanka? - zawołał do nich wujek.

- Zналиśmy, a jakże. Chciał pomóc naszym dzieciom, żeby miały nową szkołę. Panna Harriet mi powiedziała, co tu się szykuje. Takem se pomyślał, że skoro on budował dla nas, my pobudujemy dla niego.

O kurde, pomyślałam, no to cześć. Gazety rozpisywały się o problemach rasowych, a mieszkańcy wyspy niespecjalnie rwali się do pracy ramię w ramię z kolorowymi.

- W porządku - powiedział wujek - dziękuję wam. Dołączcie do nas. Jestem Louis.

- Tak, panie Louisie. Niech mi pan mówi Sam. To mój przyjaciel Albert.

Uścisnęli sobie dłonie. Wszyscy pozostali też podali im ręce, a ja omal nie wyleciałam z mojej kryjówki. Może w Alabamie wybuchały zamieszki, ale na Wyspie Sullivana było inaczej. I przypuszczałam, że przyczynił się do tego mój tata.

Maggie znalazła dorywczą pracę przy King Street w Charlestonie, Henry zaczął roznosić gazety, a Timmy miał na rękach odciski od młotka. Ja wzięłam na siebie opiekę nad dziećmi, najpierw zajmując się moimi siostrzyczkami, a potem świadcząc usługi innym rodzinom z wyspy. W ciągu tygodnia wujek Louis i jego pomocnicy postawili szkielet dobudówki. Stuk! Stuk! Stuk! Ani się człowiek obejrzał, a już miała dach pasujący do reszty domu. Stuk! Stuk! Stuk! Zamontowano instalację i wymurowano ściany.

Zanim minął dziewiętnasty grudnia, Island Gamble powiększył się po raz kolejny. Dom nabrał baśniowego wyglądu i przypominał jeden z tych wielorękich posągów wschodnich bóstw. Dwie nowe sypialnie nie były wykończone, a tym bardziej urządzone, ale zdaniem wujka Louisa z powodzeniem można było w nich spać. A łazienka? No cóż, instalacja wodociągowa działała, lecz nie bardzo dało się to porównać z apartamentem dla nowożeńców w Waldorf-Astorii, czymkolwiek, u diabła, było owo miejsce, do którego zawsze nas odsyłano, kiedy narzekaliśmy na warunki, w których żyjemy.

Harriet, kuzynka Livvie, spędziła z nami całą niedzielę, pomagając w przenosinach z dawnych pokoi na górze do dobudówki na tyłach domu. Obydwie biegały tam i z powrotem po schodach, w chustkach na głowach, śmiejąc się do siebie, jakby nas w ogóle nie było. Ale Livvie zawsze się tak zachowywała przy Harriet.

Dobrze, że komuś ta nasza przeprowadzka na zaplecze wydała się zabawna. Dla mnie to było jak podróż trzecią klasą w jedną stronę na Syberię. Pożegnałam się z prywatnością i odosobnieniem. Maggie również nie skakała z radości, ale narzekanie nie miałooby sensu. Wyszłybyśmy na nieznośne, rozpieszczone egoistki. Musiałybyśmy wysłuchiwać niekończących się peror o tym, że o wiele gorzej jest dzieciom w Indiach, bo żyją na ulicy. Wiedziałyśmy obie, że ta sytuacja w niczym nie przypomina naszych fantazji o dzieleniu pokoju w college'u. Było raczej tak, jakby nas zamknięto we wspólnej celi. Zmień pieluchy. Ogrzej butelki. Pohuśtaj dzieci. Dajcie mi spokój. Czulałam się jak juczny muł, który będzie dźwigał swoje brzemię po kres życia. Skończyłam dopiero czternaście lat, moje urodziny przeszły prawie niezauważone i kogo ja właściwie obchodziłam? Szczęście? To tylko filmowa mrzonka. Musieliśmy przygotować pokoje do wynajęcia.

Ciotka Carol z wujkiem Louistem przyjechali po południu, przywoząc całą przyczepę starych mebli: łóżek, komódek, stolików i krzeseł. Te niepotrzebne graty miały zapełnić pokoje na górze, a my z Maggie miałyśmy je odmalować. Porozkładałyśmy gazety na podłodze w pokoju chłopców, który - co wskazuje, że świat należy do mężczyzn - był największy. Wybrałyśmy do pomalowania łóżko, które prawie pasowało do jednej z komódek i jednego ze stolików. Wujek przyklęknął na jedno kolano i zaczął otwierać puszki z białą farbą, podważając scyzorykiem wieczka i kładąc je ostrożnie na gazetach.

- Teraz uważajcie, dziewczęta - powiedział. - To jest farba podkładowa. Zaczyna się od nałożenia cienkiej warstwy. Kiedy wyschnie, ale tak naprawdę wyschnie, możecie kłaść lakier. Jeśli kapnie na podłogę, natychmiast ją zmyjcie. Nie połykajcie jej, nie rozpryskujcie i nie zatrzyjcie sobie oczu. Słyszycie?

- Tak jest - odparłam i zsalutowałam. Wyglądał zupełnie jak sierżant Bilko z „The Phil Silvers Show”. - On nas uważa za kompletne kretyнки - szepnęłam do Maggie, gdy wyszedł.

- Ćśśś! Do roboty. On ma teraz sporo na głowie.
 - Racja. - Wzięłam pędzel, zanurzyłam w puszcze i przejechałam po blacie stołu. - Gdzie mama? Myślisz, że ciągle jest wkurzona na wujka Louisa?
 - Nie wiem. Kogo to obchodzi?
 - Cóż, gdyby mój brat wtargnął do mojego domu i zaczął walić młotkiem - powiedziałam - nawet zakładając, że to dobry pomysł, kopnęłabym go w tyłek tak, że by wylądował w Kalamazoo.
 - Tak, gadaj zdrowa, pleciugo. Wujek ma rację! Ona nic nie potrafi. Przynajmniej się uczyć coś robić.
 - To prawda. Ale mogłaby nam trochę pomóc, wiesz.
 - Pewnie.
 - Zaraz! Kto cię odwiózł do domu wczoraj wieczorem? Widziałam, jak wysiadasz z samochodu kawałek dalej.
 - Przysięgasz, że nikomu nie powiesz? - W oczach Maggie pojawił się wyraz mętnego roztkliwienia.
 - Przysięgam na krzyż! Na rany Chrystusa! Na łzy Najświętszej Panny! Na...
 - Dobra, wystarczy! - przerwała Maggie. Zniżyła głos tak, że ledwo ją słyszałam. - Lucius. Lucius Pettigrew odwiózł mnie do domu.
 - O kurczę blade! A czy... no wiesz, umawiacie się?
- Lucius Pettigrew był najprzystojniejszym chłopakiem w drugiej klasie Bishop England. Nawet ja wiedziałam, kto to taki. Dziewczyny mówiły na niego „Lüksusowy Lucius”. Pochodził ze starej elitarnej rodziny i cieszył się opinią superpodrywacza.
- W pewnym sensie. To znaczy, on ma samochód i przyjeżdża po mnie do pracy. Co najwyżej wstępowałiśmy po drodze do Piggy Park na kanapkę z pieczenią.
 - Jak to: co najwyżej? Czy ty coś ukrywasz?
 - Susan! Na miłość boską! Co ty sobie wyobrażasz? Że siedzę w aucie gdzieś za rogiem i pozwalam się obmacywać? - Uśmiechała się od ucha do ucha, nie przejawiając żadnych oznak zakłopotania czy wstydu. Rozpustny wpływ pani Simpson szerzył się niczym wirus. A może zawiniły geny, choć jedyna dziwka w naszej rodzinie weszła do niej przez małżeństwo.

- A pozwalasz? - Byłam zciekawiona. Oczywiście nie ze względu na siebie, tylko tak w ogóle.

- No... czasami się zdarza. I co ty na to?

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Jak to jest? - spytałam. - Namawia cię, żebyście poszli na całość?

- Susan! Skąd ci się biorą takie wulgarne myśli? Nie! To znaczy, o Boże, on mi mówi różne rzeczy i czasami się całujemy albo przytulamy. Pójść na całość? Jesteś stuknięta, wiesz o tym?

- Całujecie się z językiem?

- Może. Na Boga, Susan, dlaczego mnie tak wypytujesz? To są moje prywatne sprawy.

- No bo gdybym była na twoim miejscu i miała takiego chłopaka, to przynajmniej chciałabym sprawdzić, jak to wygląda.

- Jak co wygląda?

- No wiesz, jego wiesz-co... Bo kto jak kto, ale on ma pewnie naj...

- Jesteś obrzydliwą świntucha! To chyba ostatnia rzecz na świecie, jaką bym chciała oglądać! Dobry Boże!

- No jasne. Na twoim miejscu też bym tak mówiła. Ha!

- Cóż, nie musisz się tym aż tak przejmować. Wyglądasz tak niechlujnie, że nikt się z tobą nie umówi!

- A ty co? Wychudzona, skóra i kości, aż się w głowie nie mieści, że on ma ochotę cię pocałować! Niech no tylko jego rodzinka się dowie! Ale się wściekną!

- Zamknij się, Susan. Zamknij buzię.

Umilkłam. Bez słowa zabrałyśmy się do malowania. Odkąd Maggie znalazła pracę w mieście, coś się między nami zmieniło. Ciągle chodziła wymalowana i wyskubywała sobie brwi. Co rano myła głowę. Nawet zęby czyściła z tysiąc razy dziennie.

Wujek Louis ustawił na końcu naszego podjazdu tablicę z ogłoszeniem o pokojach do wynajęcia i tego samego dnia przyczepił światełka wokół naszych kuchennych drzwi. Nie wiem, jak sobie radziliśmy bez samoczynnego urządzenia do wbijania haków. U nas podtrzymywały one zasłony, lampy, druty, wszystko. Nie zapominajmy przy tym o czarnej taśmie izolacyjnej! To, czego nie dało się zahaczyć, można było przykleić. Gdy jednak wujek Louis wbił w ziemię słup z ogłoszeniem, poczułam się dziwnie. Może spotka

nas coś niezwykłego? POKOJE DO WYNAJĘCIA! NA DZIEŃ, NA TYDZIEŃ, NA MIESIĄC! PYTAJCIE W DOMU. TELEFON 744 - 0812.

Może jakaś gwiazda filmowa albo ktoś sławny wynajmie u nas pokój i nas odkryje? Kto wie? Stanęliśmy z Maggie przed tablicą, odczytując ją raz po raz.

- Mam nadzieję, że Lucius tego nie zobaczy - odezwała się Maggie.
- Dlaczego?
- Bo zrobi mu się nas żal i pomyśli, że jesteście biedni.
- Przecież jesteście biedni.
- Nieprawda. Mamy z czego żyć, a ja pracuję.

- Racja. - Pracujesz i żyjesz marzeniami, pomyślałam. Ja mam pod opieką czwórkę dzieci, łańcuch na szyi i nadzieję, że wprowadzi się do nas jakaś gwiazda filmowa. - Cóż, mogło być gorzej.

W sobotę, dwudziestego grudnia, ktoś zapukał do kuchennych drzwi. Siedzieliśmy przy kolacji, wszyscy oprócz Maggie, która zapewne utknęła na jakiejś bocznej drodze w samochodzie Luciusa.

- Ja otworzę! - zawołał Timmy. Zeskoczył z krzesła i podbiegł do drzwi.
- Cześć! - usłyszałam. - Proszę wejść.
- Dziękuję - odparł męski głos.

Mama wstała od stołu, hałaśliwie odsuwając krzesło. Livvie odwróciła się od kuchenki, Henry sięgnął po chleb, a Timmy dla czystej rozrywki zamarkował cios karate.

- Cześć! Zobaczyłem ogłoszenie i chciałem zapytać, czy został jeszcze jakiś pokój do wynajęcia.

Uśmiechnął się, pokazując mnóstwo dołeczków. Głębokich. Miał piwne oczy ze złotymi plamkami. Piękne oczy, czarne rzęsy. Jego nos był dość duży, a usta nieco za szerokie. Wzbudził we mnie niepokój, sama nie wiem dlaczego. Po prostu wypełnił sobą całą kuchnię. Był bystry, dowcipny, no... po prostu super.

- Ależ oczywiście! Mamy wolne pokoje! - wykrzyknęła mama. - Jak się nazywasz, synu?

- O, przepraszam! Jestem Simon Rifkin. Nie chciałem przeszkadzać w kolacji, po prostu przejeżdżałem tędy i zobaczyłem ogłoszenie...

- Och, nie ma o czym mówić! Właśnie kończyliśmy. Zjesz trochę zupy? Livvie ugotowała wspaniałą zupę z okry. Na kościach od szynki. Pycha! Nazywam się Marie Catherine Hamilton, a to są moje dzieci, no, w każdym razie część z nich!

- Bardzo mi miło, pani Hamilton.

Uścisnął jej rękę i pomachał do nas. Miał na sobie granatowy sztormiak z małym żółtym aligatorem po lewej stronie, białą koszulę i spodnie khaki. Mama gadała dalej, a ja tkwiłam w miejscu jak poleć słoniny. Założę się, że jest już dorosły, pomyślałam.

- Może bym ci pokazała pokój, a ty opowiesz mi o sobie. Mój brat Louis mówi, że powinnam dowiedzieć się jak najwięcej o kimś, kto chciałby zamieszkać w moim domu. W końcu kobieta musi mieć się na baczności, nie uważasz?

- Tak, proszę pani.

Pochwycił moje spojrzenie i mrugnął do mnie. Tym przyjaznym mrugnięciem dał do zrozumienia, że bez problemu zniesie gadaninę mamy. Czułam pieczenie w okolicach karku. Nie był taki znowu wysoki. Pewnie nie więcej niż metr osiemdziesiąt. Dlaczego zaczęłam się pocić? I dlaczego miałam na sobie tę wstrętną starą bluzę od dresu? Livvie popatrzyła na mnie i uniosła brwi.

- O co chodzi? - rzuciłam.

- Nic, nic, dziecinko. Dojedz kukurydzę. Henry? Chcesz jeszcze trochę?

- No pewnie!

Wiedziała. Zawsze wiedziała. Henry podsunął jej miskę, a ja wyłowiłam ziarno kukurydzy. Simon Rifkin. Co to za nazwisko? Kim właściwie był ten gość?

Kilka minut później mama wprowadziła Simona do kuchni, jakby był domowym psem czy czymś takim.

- Może jednak zjesz z nami talerz zupy, Simonie? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Muszę wracać do miasta.

- No dobrze, to zjesz następnym razem. A zatem jesteśmy umówieni.

Wprowadzasz się w poniedziałek?

- Tak, proszę pani. Miło mi było państwa poznać. Do zobaczenia!

Drzwi trzasnęły, Livvie drgnęła, a ja rzuciłam się do okna, żeby na niego popatrzeć. Przyjechał niedużym, ciemnozielonym, sportowym kabrioletem. Bomba. Podeszedł do auta, zapinając kurtkę, otworzył drzwiczki i obejrzał się na dom. Dostrzegł mnie, gapiącą się na niego przez okno. Pomachał mi, a ja odmachałam, czując, jak gorący rumieniec oblewa mi twarz.

- Muszę zadzwonić do Louisa - powiedziała mama. - Sto dolarów

miesięcznie! Wspaniale!

Zmywając naczynia po kolacji, usłyszeliśmy wszystko, czego mama się dowiedziała na jego temat.

- Skąd on jest? - spytała Livvie.

- Z Michigan! Wyobrażacie sobie? Tak daleko od domu, biedny chłopak. Studiuje w Akademii Medycznej. Będzie lekarzem! Jego ojciec też jest lekarzem, rozwodnikiem i... zgadnijcie, co jeszcze. - Zniżyła głos do szeptu. - Jest Żydem!

- Wielkie rzeczy - rzuciłam.

- Żebyś wiedziała, panno Mądralińska. Wasz wujek nie był tym zachwycony, ponieważ, no wiecie, Żydzi są trochę dziwni.

Przewróciłam oczyma.

- Mamo, Jezus był Żydem - przypomniałam,

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz! Żydzi zabili naszego Pana i dlatego Louis ma pewne wątpliwości.

- Mamo, Jezusa zabili Rzymianie - powiedziałam. - Przynajmniej tak jest napisane w Biblii, jeśli w dzisiejszych czasach można wierzyć w to, co się czyta.

- No cóż, mniejsza o to. Po prostu nie chcę, żebyście go wypytywali o religię albo o rozwód jego taty. To by było nieuprzejme i nie powinniśmy wtykać nosa w cudze sprawy, prawda?

I dalej gadała jak nakręcona. Zjawia się najprzystojniejszy facet, jakiego w życiu widziałam, a moja mama koniecznie musi wypowiedzieć swoje zdanie na temat jego religii! Może się bała, że przestaniemy chodzić do kościoła. A może chciała go nawrócić, żeby w niebie zasiąść obok Matki Boskiej. Podobno za każdego grzesznika, który pod twoim wpływem zmył z siebie grzechy pogaństwa wodą z katolickiej chrzcielnicy, masz zagwarantowane miejsce prawie na samym łonie Matki Boskiej, kiedy - i jeśli - dostaniesz się do nieba.

- Powiedziałam mu, że modliłam się co wieczór do świętego Józefa - ciągnęła mama - który, nawiasem mówiąc, jest patronem rodzin, aby zesłał nam miłego lokatora. Powiedziałam tak, żeby wiedział, że jesteśmy katolikami. W każdym razie poczciwy święty Józef wysłuchał prośby! Muszę pamiętać, żeby mu jutro zapalić świeczkę. Można na nim polegać! Och, to

wspaniała nowina! I wiecie, co jeszcze? - Z kieszeni bluzki wyciągnęła czek na sto dolarów. - Kaucja! Louis nic nie mówił o braniu kaucji! Sama na to wpadłam! Ha! Mamy sto dolarów ekstra i możemy sobie urządzić święta. Jak myślicie? Kupimy indyka?

Od lat nie widziałam mamy tak ożywionej. Była naprawdę szczęśliwa i to się udzielało.

- Żadnej szynki? - upewniłam się.
- Ja chcę udko! Czy on gra w piłkę? - zapytał Timmy.
- Nie wiem! Musisz go zapytać - odparła.
- A czy łowi ryby? - zawtórował Henry.
- Tego też nie wiem! Dowiemy się.
- Chcicie usłyszeć, co ja myślę? - odezwała się Livvie.
- Co? - spytała mama.
- Myślę, że Pan Bóg zesłał tego chłopca, żebyście się oderwali od waszych zmartwień. On potrzebuje rodziny, a wy czegoś, co was sprowadzi na powrót do świata żywych! Właśnie tego było wam trzeba. Tak jest! Z nieba wam spadł ten chłopak, to pewne!

W niedzielę po mszy ciotka Carol z wujkiem Louistem zabrali Maggie i mnie do Mount Pleasant, żeby kupić choinkę. Dzień był zimny jak na Karolinę Południową, lecz to dodatkowo podsycало przedświąteczne emocje.

Moje emocje płynęły z innego źródła. Jeszcze tylko dzień i Simon Rifkin będzie spał pod naszym dachem. Miałam zaledwie jeden dzień, żeby przemienić się w dziewczynę i - niestety - jedyną osobą, która mogła mi w tym pomóc, była Maggie.

Ściągałyśmy choinki z podpórek, oglądając je i wymieniając uwagi na temat ich rozmaitych wad i zalet.

- Łysieje z przodu - oceniła Maggie.
- I ma krzywy czubek - uzupełniłam. - Słuchaj, Maggie, jak myślisz, czy powinnam ściąć włosy?
- Mam całą rękę w żywicy. Ohyda. - Wyciągnęła kolejne drzewko. - Tak, powinnas je ściąć. Twoje włosy przypominają szczurze gniazdo. Zawsze ci powtarzałam, że jeśli nie potrafisz zadbać o długie włosy, powinnas je skrócić. A ty zawsze czeszysz się w koński ogon.

- Racja, ciągle to powtarzasz. Ale teraz przyszło mi do głowy, że obetnę włosy. Może w bombkę?

- I co jeszcze? Wetkniesz sobie z przodu aksamitną kokardkę? Daj że spokoj.

- Nie, nie zamierzam wtykać sobie z przodu aksamitnej kokardki. Myślę tylko, że przydałaby mi się nowa fryzura.

Maggie spojrzała na mnie, mrużąc oczy. Pierwszy raz w życiu napomknęłam, że chcę poprawić swój wygląd. W tym momencie Maggie stała się szalonym doktorem Frankensteinem, a ja obiektem jej eksperymentu.

- Odrobina fluidu też ci nie zaszkodzi - stwierdziła. - Wygładzi ci pory. Będiesz zupełnie inaczej wyglądała.

- Może, ale nie potrafię tego użyć.

- Pomogę ci w domu. Mam pełno próbek w szufladzie. Bierzmy to drzewko i spływajmy. Umieram z zimna. Jest chyba najwyżej pięć stopni!

- Zgoda. Wiesz co, Maggie?

- Co?

- Cieszę się z Bożego Narodzenia, mimo że jesteśmy zrujnowani.

- Ja też. I co z tego?

Objęła mnie i uściśnięła, a ja podziękowałam Bogu, że wróciła do mnie dawna Maggie.

Usiadłam na kuchennym stołku przed lustrem w łazience, wpatrując się we własną twarz. Maggie przyszygła mi włosy do ramion nożyczkami, których używałyśmy do cięcia papieru.

Gdy w końcu przestała szarpać i mierzyć moje włosy, wtarła w nie mnóstwo żelu i nawinęła na puszkę po soku pomarańczowym, omal nie przebijając mi głowy wsuwkami.

- Au, Maggie, puść! To boli!

- Duma nie zna bólu!

- Co to znaczy, do cholery?

- Babcia Sophie tak mówiła, kiedy płakałam, wyskubując tobie brwi.

- O, czyżby?

Zaczynałam grymasić i wiercić się niespokojnie. Maggie, nawinąwszy moje włosy na wałki własnego pomysłu, przykleiła mi loki do czoła, zamierzając je przyszyć.

- Nie ruszaj się, bo będziesz wyglądała jak krowa! Próżność ma swoją cenę. Jeśli chcesz być piękna, nie narzekaj.

- A te puszkki na pewno są czyste? Nie chcę mieć robali we włosach.

- Wiesz co, Susan? Stąpasz po kruchym lodzie. Robię to, co robię, z altruistycznych pobudek, ponieważ chcę ci pomóc, a ty, najprościej rzecz ujmując, jesteś jak wrzód na tyłku.

- Przepraszam.

Wydobyła z szafy suszarkę i nałożyła mi na głowę obszerny kaptur, ściągając sznurki. Moja głowa urosła do rozmiarów piłki do koszykówki.

- Czterdzieści pięć minut! Wyschniesz za czterdzieści pięć minut!

Wystawiłam uszy spod kaptura.

- Nie jestem głucha! Masz pęsetkę?

- Czy mam pęsetkę? Oczywiście! - Pokręciła głową, wyprowadzona z równowagi zachowaniem swej gapiowatej siostry-niedojdę i zaczęła grzebać w kosmetyczce. - Masz. Użyj też tego. Podczesz brwi do góry i wyrwij te, które rosną poniżej linii.

Zerkając w lusterko, spełniłam polecenie. Bolało jak wszyscy diabli.

- Jezu, Maggie! To jest straszne! Krwawię!

- Oddaj mi to! Kto ci kazał wrywać pięćdziesiąt włosków za jednym zamachem? Nie bój się, nie umrzesz.

Końcowy rezultat okazał się zdumiewający. Przypominałam dawną siebie właściwie tylko rozmiarami. Zostały zresztą skorygowane z pomocą elastycznego cuda. Maggie pokazała mi kolejne narzędzie tortur: stanik Maidenform.

- Włóż go - powiedziała.

- Wolałabym zjeść tłuczone szkło - odparłam. Biustonosz? Nie ma mowy.

- Włóż go - powtórzyła. - W przyszłym tygodniu kupię ci inny.

Zmieniła się przede wszystkim moja głowa - wewnątrz i na zewnątrz. Moje włosy lśniły i falowały przy każdym poruszeniu. Dzięki puszkom po soku pomarańczowym nie poskręcały się w drobne loczki. Puder w kremie, który Maggie ostatecznie uznała za odpowiedni dla mojej cery, zakrył piegi i wygładził mi twarz. Odrobina tuszu do rzęs, kropla wody toaletowej

„Youth Dew” Estée Lauder - i poczułam, że jestem urzekająca. Że wyglądam na rówieśnicę Maggie. Zmusiła mnie, żebym jej wyznała, dlaczego to robię, i była przekonana, że Simon od razu się we mnie zakocha.

- On jest całkiem dorosłym facetem - powiedziałam.
- I co z tego? - rzuciła. - Wyglądasz naprawdę pięknie.

Tak czy owak, uwierzyłam w swoją przemianę i byłam gotowa na powitanie Simona. A przynajmniej z naciskiem to sobie powtarzałam.

Nikt specjalnie nie komentował mojego nowego wyglądu. Livvie tylko się uśmiechnęła i kiwnęła głową, mama powiedziała: „O, ścięłaś włosy”, a Henry nic by nie zauważył, nawet gdyby jego życie od tego zależało. Timmy jednak wytrzeszczył oczy, kiedy weszłam z pudełkiem ozdób, wyjętym z szafy w korytarzu.

- A co to ma znaczyć? - zapytał.
- Co co ma znaczyć? - odpaliłam, skręcając się z zakłopotania.
- No bo wyglądasz, wiesz, jakoś dorośle. Dziwnie.
- Wielkie dzięki, Timmy.
- Nie, no, wyglądasz ładnie, tylko inaczej.

Miałam ochotę go trzepnąć.

Dzień mijał powoli. Bing Crosby zawodził rzewnie. Mama drzemała. Livvie piekła rumowe babeczki i babkę piaskową dla nas. Ubieraliśmy choinkę, wspominając przy odwijaniu ozdób tatę, Tipę i babcię Sophie. Nieszczęścia chodzą trójkami, powtarzaliśmy sobie, więc mamy to już za sobą.

Od Bożego Narodzenia dzieliło nas parę dni, od przybycia Simona parę godzin i uszy aż mi wibrowały od nasłuchiwania, czy jego samochód nie wjeżdża na podwórze. Oddałabym wszystko za przejażdżkę tym autem, ale przyrzekłam Maggie, że zachowam zimną krew. Wreszcie dobiegł mnie warkot motoru, który ucichł za naszym domem. Maggie spojrzała na mnie.

- Przyjechał - szepnęłam.
- Aha - odszepnęła mi - przyjechał. Co teraz?
- Nie wiem! Czy powinnam wyjść i zaproponować mu pomoc przy wnoszeniu bagażu?
- Ani się waż! Gotów pomyśleć, że z ciebie jakaś chłopczyca!
- Racja. Głupi pomysł. Zostanę tutaj i zapytam go, czy pomoże nam ubrać choinkę!

- Odbiło ci? Przecież on jest Żydem! Żydzi nie ubierają choinek!
- Racja! Zostanę tu i nic nie będę robić!
- Właśnie! Weź się w garść! Zachowaj spokój i odpręż się!
- Racja.
- O czym wy tak szepczecie? - spytał Timmy.
- O niczym - odparłyśmy chórem.

Simon Rifkin, dźwigający naręczę ubrań na wieszakach, wsunął głowę do salonu.

- Cześć! O rety, co za wspaniała choinka!

Timmy natychmiast wyciągnął do niego rękę.

- Hej! Witamy w Island Gamble! Jestem Timmy, pamiętasz? To moja siostra Maggie, a tamten bałaganiarz to Henry. Pewnie nie poznajesz Susan. To, co ma na głowie, zrobiła sobie dopiero wczoraj, ale owszem, to ona.

- Cześć, Susan! Świetna fryzura!
- Dziękuję - bąknęłam.

Odwrócił się do Maggie i głośno wciągnął powietrze. Wiedziała. Jedno spojrzenie na jej blond doskonałość i chłopak przepadł.

- Jestem Margaret Hamilton, najstarsza - powiedziała chłodno i wyciągnęła ku niemu dłoń takim gestem, jakby to była rzadka orchidea.

Rodzinne brzydkie kaczątko zaczęło serio rozważać podwójne morderstwo. Nie było żadnej nadziei.

To miały być pierwsze święta bez taty, Sophie i Tipy. Czuliśmy się bez nich bardzo dziwnie, niemal tak dziwnie jak wtedy, gdy byli z nami. Cisza dzwoniła w uszach. Woń rzeńskiego powietrza sprawiała nam przykrość. Spokój wydawał się bolesny. Tak bardzo się staraliśmy zapanować nad atakami płaczu, poczuciem pustki i winy, że już niemal przywykliśmy do myśli, iż wszyscy troje przenieśli się do wieczności. Podczas przygotowań do wieczery wigilijnej i pasterki bez przerwy coś nam o nich przypominało. Ale nikt się nie odezwał. Ani słowem.

Dla mamy najgorsze były chwile, gdy musiała uprzątnąć ich szafy i gdy przychodziły rachunki do zapłacenia. Coraz częściej, zanim się do czegoś zabrała, nalewała sobie czegoś do dużej, ciemnoczerwonej, staromodnej szklanki i łykała tabletkę.

Ja natomiast uczyłam się pilniej niż kiedykolwiek, żeby o tym nie myśleć.

Nakryłyśmy z Maggie do stołu przed wigilijną wieczerzą, złożoną ze smażonej ryby i *hushpuppies*. Czerwone świece w wypolerowanych mosiężnych lichtarzach nadały mu odświętny wygląd. Na podwórzu ścięłyśmy kilka gałązek ognika szkarłatnego z czerwonymi jagodami i strząsnąwszy z nich żuki, położyłyśmy na stole obok lichtarzy. W domu ładnie pachniało. W ubiegłym tygodniu dostałyśmy od wujka Louisa puszkę wosku Johnsona i wywoskowałyśmy wszystko, co przypominało drewno.

Prezenty, które sobie nawzajem kupiliśmy, były skromne, ale nikomu specjalnie nie zależało na prezentach.

Mieliśmy kłopot, co kupić Livvie, i długo się o to spieraliśmy, decydując się w końcu na rozpinany sweter. Ja chciałam biały, żeby do wszystkiego pasował, lecz Maggie uznała, że będzie się brudził. Po dłuższej debacie kupiłyśmy czerwony, wiedząc, że jej się spodoba kolor tak żywy jak jej charakter.

Bliźniaczki zostały wyszorowane i wystrojone w czerwone aksamitne sukieneczki, które zawdzięczałyśmy otwartemu rachunkowi ciotki Carol w domu towarowym Condon. Timmy i Henry mieli włosy przylizane wodą, a na sobie nowe sportowe płaszcze, spodnie khaki i trzewiki, zakupione dzięki otwartemu rachunkowi wujka Louisa w sklepie Maxa z konfekcją męską. My z Maggie byłyśmy ubrane w nowe pastelowe sukienki bez rękawów z naszymi inicjałami wyszytymi na piersi. Na krzesła w korytarzu czekały dobrane do nich, rozpinane sweterki. Były to prezenty od ciotki Carol i wujka Louisa. Mama miała na sobie zwykłą czarną sukienkę, ponieważ odmówiła wybrania się po zakupy z ciotką Carol.

W każdym razie byliśmy przygotowani do świąt.

Mieliśmy właśnie zasiąść do wigilijnego posiłku, gdy na dół zszedł Simon. Mama, jak zwykle w jego obecności, natychmiast zaprezentowała swą nową osobowość - ujmującej, wylewnej gospodyni. Potrząsnęła włosami, przesunęła językiem po wargach i podbiegła do drzwi. Szybko wciągnęłam brzuch. Simon właściwie na wszystkich tak działał.

- Simonie - odezwała się mama - właśnie siadamy do stołu! Smażona ryba i *hushpuppies* z kukurydzą i sałatką! Zjesz z nami?

- A więc to te zapachy czułem aż na górze! Pachnie wspaniale, ale nie chciałbym się narzucać.

- Synu, nie mógłbyś się narzucać, nawet gdybyś chciał. Siadaj z nami!

Zapięły mnie policzki i ruszyłam w stronę szafki, by wyjąć dodatkowe sztućce, podczas gdy Simon witał się ze wszystkimi.

- Hej, Susan! Wesołych Świąt!

- Dziękuję, nawzajem - odparłam odruchowo. - O Jezu! To znaczy, o Boże, Simon, przepraszam cię.

- Za co?

- No wiesz, za te życzenia i Jezu, to znaczy... och, nieważne.

Uśmiechnął się do mnie kpiąco, a w jego piwnych oczach zamigotały iskierki. Nie cierpiałam kpiących uśmiechów. Boże, jak on przyjemnie pachniał. Jeden z jego przednich zębów był trochę krzywy i przyłapałam się na tym, że rozmyślam, jak blisko znalazłyby się jego usta, gdybyśmy tańczyli.

- Susan, Susan, Susan. Nie bierz tak sobie wszystkiego do serca.

- Nie biorę, naprawdę, ja tylko...

- Czasami prędzej mówisz, niż myślisz?

- Nie! To znaczy, wypsnęło mi się i tyle.

- Rety, ty to musisz mieć temperament, nie ma co. Zawsze jesteś taka wrażliwa?

- Nie jestem wrażliwa! Boże! Ci mężczyźni! Zawsze jesteś taki irytujący?

- Irytujący? Co za słowo. Ile ty masz lat?

- Jeśli cię to interesuje, w jesieni skończę piętnaście.

- Bystra z ciebie dziewczyna, jak na czternastolatkę. Ktoś już ci to mówił?

- Odwal się, doktorku!

Zwiczrzył mi włosy. Walnęłam go pięścią w ramię. Pracowicie udał, że go boli, chwiejąc się na nogach i krzywiąc twarz. Byłam zakochana. A co gorsza, on o tym wiedział.

Po kolacji Simon pojechał do miasta spotkać się ze znajomymi. Gdy jego samochód zniknął z podjazdu, odzyskałam przytomność umysłu. Stałyśmy z Livvie przy zlewie, zmywając naczynia.

- Wzięło cię fest, co nie, dziecinko?

- Co?

- Miłosny bakcył, ot co. Ale od tego się nie umiera.

Jęknęłam. Jak to się stało, że ja, dotychczas całkowicie uodporniona na chłopaków, znalazłam się nagle w tak drażliwej sytuacji? I skąd Livvie wiedziała - jak zawsze - co się ze mną dzieje? Przynajmniej Timmy i Henry zdawali się niczego nie zauważać. Na razie.

- Co mam robić, Livvie?

- Zapamiętaj to uczucie na całe życie, dziewczyno, bo ono ma w sobie najprawdziwsze czary. Nie do kupienia, nie do sfalszowania. Jak tej iskry nima, no to nima! Och, dziecinko, miałam tyle lat co ty, jakem poznała mojego Nelsona. - Przerwała wycieranie zlewu, jej twarz złagodniała, oczy wpatrzyły się w przestrzeń. Pokręciła głową i westchnęła. - O, jakież to było słodkie. Byłam wysoka i chuda, ruszałam się jak żrebak. Poszłam wtedy z mamą na zebranie do kościoła. Nie wiem, gdzie był tata, pamiętam tylko, że poszłam z mamą. Wiał wietrzyk, wszędzie pachniało kapryfolium i sosną. Już na kościelnym dziedzińcu słychać było muzykę. Pamiętam, że aż przebieierałam nogami z podniecenia, bo miałam na sobie pończochy; zdaje się, że pierwszy raz w życiu! Tak czy siak, jakżeśmy weszły do środka, mama zobaczyła jakieś znajome i chciała się z nimi przywitać. No a ja patrzę na drugą stronę sali i co widzę? Nelsona! Jaki on był przystojny! W końcu ktoś mnie z nim zapoznał, nie pamiętam kto. Okazało się, że przyjechał w odwiedziny do jakichś krewnych i mieszka w Charlotte, w Karolinie Północnej. Myślę sobie: nie ma mowy, żeby taki miastowy chłopak zwrócił na mnie uwagę. Jakżeśmy zaczęli tańczyć, zrobiło mi się gorąco! Nigdy czegoś takiego nie czuła, przedtem ani potem! Tak, przed miłością się nie ukryjesz, co to, to nie! Dopadnie cię prędzej czy później. Ha! Był dziesięć lat starszy ode mnie.

- Żartujesz.

- Panienko Susan, posłuchaj no starej Livvie. Nic się nie martw, na wszystko przyjdzie czas. Jak będziesz chciała, to go dostaniesz. Bo wiesz, złotko? To kobieta wybiera mężczyznę. Nie na odwrót. Pamiętaj o tym! Jeszcze nie czas.

- Jeszcze nie? A skąd mam wiedzieć, kiedy ten czas nadejdzie?

- Będziesz wiedzieć, tyle ci powiem. Teraz idź, przyszykuj się do kościoła i proś o pomoc Jezusa!

Wybraliśmy się do kościoła Stella Maris na najważniejsze świąteczne nabożeństwo dla wszystkich katolickich rodzin z wyspy. Był to niedaleki spacer, zaledwie pięć przecznic i miło się szło z mamą pchającą podwójny wózek. Wszyscy czworo kroczyliśmy za nią, a nad nami świeciły gwiazdy. Miliony roziskrzonych gwiazd! Na wyspie prawie nie było latarni i spowiadała nas aksamitna noc. Taka droga do kościoła w Wigilię Bożego Narodzenia mogła każdego nauczyć pokory. Było na tyle chłodno, że para szła z ust, ale nie aż tak, żeby włożyć płaszcze. Gdyby się poważnie oziębiło, pojechalibyśmy z wujkiem Louisem.

Przechadzka sprawiała mi przyjemność, mimo iż z naszych szeregów ubyłoby trzy osoby. Rozgwieżdżone niebo pomagało mi uwierzyć, że patrzą stamtąd na nas, modlą się za nas, wstawiają się za nami u Boga. Taką żywiłam nadzieję. Wolałam nie wyobrażać sobie taty w czyścicu albo w piekle.

Minęliśmy Fort Moultrie; tuż za nim, po drugiej stronie ulicy, stał kościół. Zawsze wydawał mi się doskonały - stare stiuki, cegła, biały tynk, który pociemniał z latami. Szczyt zdobiła kopuła oświetlona na niebiesko. Stella Maris, gwiazda morza.

Wujek Louis z ciotką Carol zajęli nam miejsca. Mama zostawiła wózek przy wejściu i na palcach ruszyliśmy nawą. Uklękliśmy, przeżegnaliśmy się, złożyliśmy szeptem świąteczne życzenia i wreszcie usadowiliśmy się w twardej ławce. Było dopiero wpół do jedenastej; wszyscy przyszli wcześniej, żeby posłuchać chóru, ale my, dzieciaki, wynaleźliśmy sobie mnóstwo rozrywek. Chichraliśmy się z tych, którzy chrapali, bezgłośnie przedrzeźnialiśmy śpiewaczki i ze śmiechem trącaliśmy się łokciami. Rok wcześniej rozpętałoby się piekło, gdyby tata nas przyłapał na takich świętokradczych wybrykach, teraz jednak wszyscy nam współczuli. Z „nieokrzeseanej dzieciarni Hamiltonów” staliśmy się „biednymi małymi Hamiltonami”. Timmy i Henry doszli do wniosku, że każdy wyskok ujdzie im na sucho. I mieli rację. W kołodzie „O Holy Night” solistka tak zafałszowała przy słowie „miłosierny”, że omal nie popękały witraże. Pokładaliśmy się ze śmiechu; nawet mama i wujek Louis zaczęli w końcu chichotać. Ubawiliśmy się za wszystkie czasy.

Po mszy stanęliśmy przed kościołem, drżąc z zimna, podczas gdy mama owijała Sophie i Allie kocykiem. Ludzie całowali nas w policzki i składali

życzenia. Pożegnawszy się z wujkiem Louistem i ciotką Carol, ruszyliśmy w drogę powrotną do Island Gamble.

Livvie czekała na ganku, w obramowaniu mrugających światełek. Wujek miał odwiedzić ją do domu. Było mi niezmiernie przykro, że odjeżdża, zwłaszcza w taką noc, ale wiedziałam, że chce być ze swoją rodziną. Wtem przypomniało mi się, że nie wręczyliśmy jej prezentu.

- Wesołych Świąt! - zawołała, gdy przemierzaliśmy podwórze.

- I tobie życzymy wesołych Świąt! - zaśpiewaliśmy chórem. - Wesołych Świąt, Livvie!

Wujek Louis zajechał na podwórze, by odwiedzić ją do domu.

- Zaczekaj chwilę, Livvie! Mam coś dla ciebie! - wykrzyknęłam.

Pobiegłam do domu i zabrałam spod choinki paczuszkę dla Livvie. Wybiegając, zauważyłam, że kuchnia aż lśni. Zerknęłam na zegar nad lodówką. Pierwsza w nocy. Nadeszło Boże Narodzenie.

- Wesołych Świąt, Livvie. To jest ode mnie i od Maggie, Timmy'ego i Henry'ego.

- Dziękuję! Też mam coś dla was, ale dostaniecie to dopiero jutro, a teraz idźcie spać! Jest już późno! Wesołych Świąt!

- I nawzajem! - odparliśmy chórem.

Odprowadziliśmy ją spojrzzeniami, gdy zajmowała tylne siedzenie auta wujka Louisa. Może wujek nie życzył sobie, żeby usiadła obok niego. Czy o to chodziło? Pomyślałam, że jutro o to zapytam. Rano zapytam mamę.

Usłyszałam dzwonek roweru i klakson samochodu. Obróciłam się i zerknęłam na budzik. Wpół do ósmej. Dzwonek i klakson nie milkły. Przykryłam głowę poduszką.

Potem uklękłam i wyjrzałam przez okno. Na podwórzu Timmy z Henrym jeździli w piżamach na nowych rowerach, kreśląc w porannej mgle koła i ósemki. Ciotka Carol i wujek Louis stali obok, objęci i najwyraźniej bardzo z siebie zadowoleni. Zafundowali chłopcom Boże Narodzenie - i właściwie nam także.

- Popatrz na nich! - mruknęłam.

- Świetnie się bawią - odparła Maggie, która też się obudziła.

- Uwielbiam Gwiazdkę, a ty? To znaczy, chyba o to chodzi w całym naszym życiu, no nie?

- Chyba tak.

Hałasy trwały, a po chwili dom napełnił się zapachem kawy i smażonego bekonu. Wujostwo wyszli, odgrażając się, że wrócą około południa.

Mama stała przy kuchence, mieszając w wielkiej misce ciasto na naleśniki.

- Otwórzmy prezenty - zaproponowałam. - Całe to żarcie możemy opchnąć później!

- Dobry pomysł! - ucieszyła się mama. - Zawołaj chłopców!

Tak też uczyniłam. Dla każdego coś się znalazło. Dostałam od Maggie zwariowane, puchate pantofle domowe w purpurowym kolorze, Maggie dostała od Henry'ego szkarłatny mundur z klapami, nabyty w sklepie wojskowym, Timmy podarował Henry'emu stertę komiksów, a ja, rzecz jasna, otrzymałam od Timmy'ego żółwia o imieniu Rufus. Mama wygrzebała skądś pieniądze, żeby nam kupić nowe swetry - bawełniane pulowery w kolorze żółtozielonym. Dla mnie najgorszym. No cóż, liczy się przede wszystkim pamięć. Wsunęłam stopy w pantofle i ucałowałam Maggie.

- Są przepiękne! - oznajmiłam. - Pójdę w nich do kościoła.
- Nie ma mowy! - wykrzyknęła mama, udając zgorzelenie.

Maggie włożyła mundur na nocną koszulę i rozpięła guziki z tyłu. Henry dostał ataku śmiechu.

- Pójdę w tym na następną szkolną zabawę - oznajmiła.
- Aresztuj cię za obrazę moralności – zaprotestowała mama.
- Dostaniesz zaa-palenia pęcherza! - zapisał Timmy.
- Cicho bądź! - upomniała go Maggie.
- Hej! A pończochy?

Rozpętała się zawzięta walka. Nie miało to znaczenia, ponieważ nasze pończochy zawierały to samo: czekoladę Hersheya, gumę do żucia Juicy Fruit, lizaki Sugar Daddy i garść cukrowych kulek. Na dnie spoczywał dwudziestodolarowy banknot. Dla mnie była to fortuna. Wszyscy po kolei uściskaliśmy mamę i podziękowaliśmy jej.

- Rany! Skąd wytrzasnęłaś tyle forsy, mammo? - spytał Timmy.
- Jestem bogaty! - obwieścił Henry.

- Dzięki, mamó - powiedziałyśmy razem, Maggie i ja.

Uświadomiłam sobie, że nie widziała naszego prezentu, i wyciągnęłam spod choinki wielkie pudło, opakowane w papier w zielone i czerwone paski. Mama otworzyła paczkę i odwinęła z bibułki szlafrok. Był z bladoniebieskiego, pikowanego poliestru i zapinał się z przodu na suwak. Stała przed wielkim lustrem i przymierzyła szlafrok do figury, uśmiechając się do swego odbicia. Odwróciła się tanecznym ruchem, oczekując komplementów.

- Jest śliczny - powiedziała - naprawdę śliczny. - Stłumiła emocje, podobnie jak my.

- No to usmażmy naleśniki! - zaproponowała Maggie.

- Ja pomogę! - zgłosił się Timmy.

- Nigdy nie miałam tak pięknego szlafroka - oświadczyła mama. - I nie mówię tego tylko tak sobie. Bardzo wam dziękuję.

Doświadczenie podszeptęło mi, że mama znowu zsuwa się po równi pochyłej, co zwiastowało kłopoty. Dobrze, że wujostwo zapowiedzieli się na obiad. Może przemówią jej do rozsądku. Nie żeby mnie nie obchodziły jej uczucia; po prostu chciałam, żeby Boże Narodzenie upłynęło bez łez.

Po śniadaniu indyk wylądował w piekarniku, a telewizja nadawała stary film z Perrym Como i Bingiem Crosby. Mama zatrzasnęła drzwiczki piekarnika i poszła do siebie. Daliśmy sobie radę sami. We dwie z Maggie nakryliśmy do stołu.

- To jest coś w rodzaju *déjà vu*, nie sądzisz?

- Aha - odparła. - Przyda mi się, kiedy zostanę panią Pettigrew.

- No właśnie. Pani Pettigrew. Racja.

- On chce się żenić zaraz po dyplomie.

- To znaczy, że chce jak najszybciej pójść na całość - mruknęłam.

- Co mówisz?

- Nic - odparłam.

Do pokoju wpadli nasi bracia, ratując mnie przed gniewem Maggie. Jeśli miała ochotę zająć w ciąży z Luciuśsem Pettigrew, zszargać sobie reputację i zmarnować życie, to jej sprawa. Naprawdę!

- Przejadę się nowym rowerem - oznajmił Timmy.

- Ja też! - zawtórował Henry.

- Ale wracajcie szybko, dobra? Obiad będzie o wpół do trzeciej! - zawołałam.

- Tak, tak! - odkrzyknął Timmy i trzasnął siatkowymi drzwiami.

- Tak, tak! - powtórzył Henry i również trzasnął drzwiami.

Dźwigając stos talerzy, odprowadziłam spojrzeniem chłopców, dosiadających swoich rowerów. Na ulicy Timmy puścił kierownicę i pojechał bez trzymania.

Ciotka Carol z wujkiem Louisem zjawili się o wpół do drugiej-

- Gdzie wasza mama? - spytał wujek.

- Drzemie - odparła Maggie.

- Czy ona bez przerwy leży w łóżku?

- Nie - skłamałam - tylko próbuje się zdrzemnąć, kiedy bliźniaczki śpią. Czeka ją wyczerpujący dzień.

- No cóż, Carol, idź do niej i powiedz, że jesteśmy.

Nie zamierzałam dolewać oliwy do ognia. Wujek zaczął się czepiać mamy po śmierci taty. A ja miałam już serdecznie dość wszelkich kłótni.

- Napije się wujek kawy?

Zachowywałam się tak uprzejmie, że nawet Maggie spojrzała na mnie z ukosa. Ale co w końcu, do diabła, pomyślałam sobie. Trochę grzeczności nie zaszkodzi.

- Chętnie, skarbie, dziękuję.

Świąteczny obiad, który zjedliśmy o czwartej, okazał się naprawdę wyśmienity. Napchałam się po uszy i okropnie zachciało mi się spać, zwłaszcza gdy skubnęłam skorupkę placka z dyni. Uwielbiam kruche ciasto. Postanowiłam położyć się na chwilę. Ale wtedy właśnie zobaczyłam auto bratanka Livvie, wjeżdżające na nasze podwórze. Livvie wysiadła i zdjęła z tylnego siedzenia duże tekturowe pudło. Wysłałam jej na spotkanie.

- Mam dla was coś, czego tej rodzinie potrzeba! - zawołała.

- Co? - krzyknęłam.

- Chodź no tu i zobacz, dziecinko, sama zobacz!

Postawiła pudło na ziemi. Znad krawędzi wynurzył się różowy nosek. Należał do tłustego szczeniaka z czerwoną kokardą na szyi! Byłam już w pełni obudzona.

- Ma na imię Hultaj! I będzie waszym towarzyszem!

- Och, Livvie! Jaki słodki! Och, dzięki! Timmy! Harry! Maggie! Chodźcie tu! - wykrzykiwałam.

Natychmiast zbiegli po schodach i pochylili się nad pudłem. Psiak był przemiły - mieszaniec collie, owczarka alzackiego i kundla. Pozwoliliśmy Henry'emu go wyjąć. Szczeniak zaczął hasać po całym podwórzu, skacząc i fikając koziołki. Bawiliśmy się z nim i zaśmiewaliśmy tak, że omal nas nie zemdlilo. Ciotka Carol, mama i wujek Louis przyglądali się nam ze schodów. Mama i ciotka trzymały na biodrze po jednej bliźniaczce. Livvie stała obok.

- No i co, pani M.C., nie takie złe te święta?
- Owszem, Livvie. Mimo wszystko wcale nie takie złe.

18.

Simon

1999

W piątek wpadł Tom, żeby zabrać Beth na przedświąteczne zakupy i obiad. Był blady, ale w znakomitym humorze.

- Cześć - powitałam go, otwierając drzwi. - Jak się czujesz?
- Nieźle jak na faceta przechodzącego chemoterapię - odparł.
- Ohyda, co?

- Aha - przytaknął - wypadają mi włosy, ale mogło być gorzej. Dzisiaj dzwonił Youngworth. Przyjęto mnie do grupy eksperymentalnej. Akademia Medyczna testuje nowy lek, po którym guzy podobno zanikają.

- To naprawdę wspaniale, Tom - powiedziałam, czując dreszcz nadziei. - Zawołam Beth.

Poszłam na górę po Beth i sweter, myśląc, że potrzebujemy gwiazdkowego cudu. Proszę cię, Boże, tylko jeden drobny cud. To ja, Boże, Susan Hamilton Hayes. Nie proszę chyba o wiele. No tak, pewnie.

Zawiadomiłam Beth, że Tom na nią czeka, przekopałam szuflady komody i narzuciłam na ramiona rozpinany sweter.

Na dole zastałam ich oboje przy lekturze „Post & Courier”. Beth pokazywała Tomowi moją rubrykę.

- Wiedziałem! - oznajmił. - Jak to wczoraj zobaczyłem, powiedziałem sobie: bardzo się zdziwię, jeśli to nie Susan. - Uśmiechnął się do mnie. - Potrafisz być zabawna, wiesz?

- Dziękuję - odparłam.

- „... w moim wieku, gdyby jakiś facet molestował mnie seksualnie, posłałabym mu kwiaty” - przeczytał. - Susan, zdajesz sobie sprawę, że wszystkie feministyczne grupy w Ameryce zapewne palą w tej chwili egzemplarze „Post & Courier”?

- Przeczytaj resztę, panie mecenasie - zachęciłam go - a potem możesz udzielać mi rad.

- Dobra, dobra - mruknął i zaczął czytać dalej. - Aha, już rozumiem. To niepożądane umizgi stają się molestowaniem, tak?

Skloniłam się lekko.

- Dziękuję ci bardzo - powiedziałam.

- Powinnaś była zostać prawniczką, Susan - zauważył. - W sądach przydałoby się trochę więcej humoru.

- Racja. Widzisz? Nawet molestowanie seksualne można obrócić w żart. Wszystko zależy od punktu widzenia.

- Co cię do tego skłoniło? - zapytał.

- Twoja córka i jej mania zakupów - odparłam, a Beth jęknęła.

- Susan, wszystko będzie dobrze - zapewnił. - Daj mamie całusa, Beth. Odwiozę ją przed dziewiątą.

- W porządku - kiwnęłam głową.

To był niesamowity rok, pomyślałam sobie. Ale, wyjąwszy nowotwór Toma, nie narzekałam na rozwój sytuacji. Jego głupawa panienska, Karen, wciąż pętała się na horyzoncie. Widywał się z nią mimo tych wszystkich numerów, które mu wycięła. Miałam wrażenie, że ich związek opiera się teraz w większym stopniu na poczuciu winy niż miłości - ona czuła się winna, że skłoniła Toma do odłożenia operacji, on zaś przypominał jej, że to przez nią pogorszył się stan jego zdrowia.

Po raz pierwszy od początku całej tej historii z Tomem czułam, że jest tak, jak powinno być. Doszłam do wniosku, że lepiej nam się układa, kiedy mieszkamy osobno. Michelle Stoney słusznie mi doradziła, żeby nie wycofywała pozwu rozwodowego. To zapewniało stałe, niezbędne świadczenia finansowe. Chwilowo jednak najważniejsze było zdrowie Toma i tylko na tym się koncentrowaliśmy. Gdyby leczenie nie odniosło skutku, zostałabym wdową.

Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami. Staraliśmy się zachować pogodę ducha i nie rozmyślać zbyt często o chorobie Toma. Maggie wciąż planowała rodzinne święta, a my z Beth niecierpliwie oczekiwaliśmy spotkania z nimi wszystkimi, a zwłaszcza sylwestra. Nadejścia nowego tysiąclecia. Był to czas głębokiego namysłu i poważnych postanowień. A także pora wydawania przyjęć.

Następnego tygodnia podrzuciłam do redakcji „Post & Courier” kolejną porcję felietonów. I wpadłam na Maxa Halla.

- Ach! Pani Hayes!

- Susan, jeśli łaska.

- No tak, Susan! Myślałem o tobie. Cieszę się, że cię złapałem. Planujemy z żonką małe świąteczne przyjęcie. Julia ogromnie by chciała cię poznać i nieustannie mnie męczy, żebym cię zaprosił do nas na ten piątek. Wyślę zaproszenie pocztą. Mam nadzieję, że przyjdiesz.

- Świąteczne przyjęcie! Wspaniały pomysł - powiedziałam. - Wiesz co, Max, przyda mi się trochę rozrywki. Przekaż Julii, że mój kalendarz imprez jest żenująco pusty i bardzo chętnie przyjdę.

- Świetnie. Jeśli chcesz, możesz kogoś przyprowadzić. Ej, wiesz co? Przyjdź z Jackiem!

- Bardzo śmieszne - mruknęłam. Nie mógłby wreszcie zapomnieć o tej jednej bzdurnej uwadze?

Zaledwie wróciłam do domu i zdążyłam powiesić kurtkę, zadzwonił telefon. Beth wyleciała z ganku jak wystrzelona z katapulty i złapała słuchawkę niemal w powietrzu. Przyszło mi do głowy, że naprawdę powinnam ją namówić na trenowanie lekkoatletyki i zanotowałam w pamięci, by po świętach poruszyć ten temat.

Przypuszczałam, że telefon jest do niej, ponieważ do mnie mało kto dzwonił. Byłam w błędzie.

- Do ciebie, mamó! - zawołała Beth.

- Kto to?

- Nie wiem, jakiś pan - odparła. Podeszłam do kuchennego telefonu.

- Suz? To ty?

- O Boże, już wiem, kto mówi - westchnęłam. To był Simon Rifkin.

- Tak, to ja. Co u ciebie słychać? - zapytał.

- Co u mnie słychać? No cóż, zastanówmy się, właściwie wszystko dobrze. Tak, wszystko świetnie. Jak tam twoje połamane palce?

- Co?

- Doszłam do wniosku, że musiałeś sobie połamać palce, bo inaczej wystukałbyś mój numer wcześniej.

- Nie krępuj się, zmyj mi głowę. Ale pamiętaj, że jestem już staruszkim. Starsi zasługują na odrobinę szacunku.

- Racja. No więc, co u ciebie, waśniaku? Podobno mieszkasz w Atlancie i prowadzisz wojnę biologiczną.

- A tak, to właśnie ja, doktor Bakcyl. Kocham tych małych drani. Uwielbiam patrzeć, jak się skręcają.

- Zawsze lubiłeś patrzeć, jak ktoś się skręca.

- Owszem, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nawiasem mówiąc, przykro mi, że nie odebrałem twojego telefonu przed Dniem Dziękczynienia. Byłem wtedy na Hawajach, a potem poleciałem do Zurychu z wykładem. Wróciłem dopiero wczoraj wieczorem. Przysięgam Bogu, że nie wiem nawet, jaki dzisiaj dzień ani jaka to strefa czasowa. Bardzo chętnie spędziłbym z wami święto, ale mnie nie było.

- Niezła wymówka. Dobra, wybaczam ci. Boże, jak to dobrze znowu usłyszeć twój głos, staruszku.

- I wzajemnie. No więc, co u ciebie? Wciąż jesteś żoną tego dupka, za którego wyszłaś?

- Wyobraź sobie, że nie. A ty? Wciąż jesteś mężem tej laleczki, którą zamówiłeś w firmie wysyłkowej?

- Nie. To rozdzierająca historia. Prawdę mówiąc, mała wiedźma wzięła i zdradziła mnie, kiedy zaczęła ćwiczyć na siłowni.

- I co, zabiłeś sukinsyna?

- Sukę. Jej osobista trenerka to kobieta - wyjaśnił. - Helga, wredna Szwedka potężnej postury.

Wybuchnęłam śmiechem i zdałam sobie sprawę, że Beth wpatruje się we mnie, jakby mi wyrosły trzy głowy.

- Och, Simon, to okropne - wykrztusiłam. - Naprawdę, mówię poważnie. Naprawdę.

- Naprawdę, naprawdę. No cóż, mam nadzieję, że są razem szczęśliwe.

- Nie mów. Niech zgadnę - wtrąciłam. - Powiedziała, że za dużo pracujesz, czuła się samotna i to było silniejsze od niej.

- Dokładnie tak. Grzechy ojca, te rzeczy. A więc masz córkę, co?

- Owszem. Beth. Jest wspaniała. Fantastyczna. Taka, jaka ja nigdy nie byłam. - Wyszłam ze słuchawką do pralni i zamknęłam drzwi.

- Dobry Boże, musi być brzydka i głupia.

- Nie, głąbie, jest piękna i mądra!
- Ty też taka byłaś, Susan. Jezu, twój głos brzmi tak samo jak dawniej. Wciąż jesteś taka sama?
- Nie, jestem starym babsztylem. Ważę trzysta funtów, wypadły mi zęby i włosy, chodzę wyłącznie w szlafroku i degustuję ciastka dla Nabisco. Może byś przyjechał i sam sprawdził? Maggie na pewno znajdzie dla ciebie kawałek podłogi albo jakiś hamak. Albo deskę nabijaną gwoździami. - Od dwudziestu lat nie bawiłam się tak dobrze.
- Świetny pomysł. Zadzwońię do niej.
- Boże, nie mogę ci darować, że przez tyle lat się nie odzywałeś. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi ciebie brakowało.
- Pewnie - odparł - pocałuj mnie gdzieś. Ty też mogłaś się do mnie odezwać, wiesz?
- Masz rację. Świnia ze mnie. Słuchaj, daj mi znać, kiedy przyjedziesz, żebym zdążyła wyszorować sztuczną szczękę.
- Dobrze. Niewątpliwie muszę porządnie wypocząć przed tym, co mnie czeka.
- Z pewnością.
- Och, twój ton brzmi tak dorośle, że to aż nie do wiary. Co zamierzasz zrobić, Susan, kiedy się pojawię?
- Zamierzam potraktować cię tak, jak powinnam była dwadzieścia lat temu, ot co.
- Trzydzieści - poprawił.
- Wszystko jedno. Mówię poważnie.
- Jezu, lepiej zacznę brać witaminy.
- I jedz ostrygi.
- O Boże, przyjeżdżam dzisiaj.
- No pewnie. Możesz się przebrać za Świętego Mikołaja i dostarczyć mi emocji.
- Mój Bóg wybacza ci tę niekończącą się lawinę antysemickich uwag.
- Mój Pan Zastępów wybacza ci, że Go nie uznajesz.
- Królowa ripost. Wyjdź za mnie.
- Wyjść za ciebie? Wypchaj się, bałwanie. Dzwon do mnie częściej niż raz na dwadzieścia lat, a może się zastanowię. - Żadne z nas nie mogło powstrzymać się od śmiechu. Obydwoje dosłownie ryczeliśmy w słuchawki.

Ten paskudny typ nadal mnie pociągał. Boże, kochałam go. Zawsze go kochałam i zawsze będę kochać.

- Świetnie, pyskata babo - powiedział. - Zadzwoń w przyszłym tygodniu, kiedy już odeśpię różnicę czasów.

- Dobra. Czekam z zapartym tchem.

Rozłączyliśmy się. Serce tańczyło mi w piersi. Beth otworzyła żaluzjowe drzwi i zobaczyła mnie siedzącą po turecku na palce i tulącą do siebie słuchawkę.

- Och, Boże, to najzabawniejszy człowiek pod słońcem - oznajmiłam.

- No cóż, domyślałam się, mam. Boże! Czy to ktoś, kogo kochasz, czy ktoś, kogo nienawidzisz? Kim, u licha, jest Simon?

Nadszedł czas, by opowiedzieć jej wreszcie o Simonie.

- Takim jednym facetem - odparłam, myśląc, że to dobre na początek. - Zaparzysz herbatę czy ja mam to zrobić?

- Ty jesteś zbyt rozdygotana. Ja się tym zajmę.

Nalała wody do czajnika i postawiła na kuchence. Zeszłam w końcu z pralki i odwiesiłam słuchawkę na miejsce. Usiadłam na barowym stołku i patrzyłam, jak moja córka się krząta. Była już pora, żeby odwrócić role.

- Może wyjmiesz ser i krakersy? - zaproponowałam.

- Nakarmię cię, jeśli powiesz mi prawdę - oświadczyła.

- Simon był swego czasu bezsprzeczną miłością mojego życia - zaczęłam. - Był również synem mojego ojczyma.

- Dobra, mów po kolei. Przede wszystkim wiedziałam, że dziadek Stanley miał syna Simona, ale o czymś takim nie miałam pojęcia! Czy to przypadkiem nie kazirodztwo?

- Do diabła, skądże.

- Rety, mam, ciągle przeklinasz! Słyszałam, jak mówiłaś do telefonu bardzo brzydkie słowa - droczyła się ze mną.

- No cóż, nie znasz Simona. Potrafiłby skłonić zakonnicę, żeby zańczyła limbo na kościelnej majówce.

- Więc mnie oświeć! Nie daj się prosić!

- Dobrze. To było tak: Simon wynajmował u nas pokój po śmierci taty. Wystarczyło mi raz na niego spojrzeć, żeby odkryć, że jestem kobietą. Najpierw mocno się zadurzyłam, a potem naprawdę się w nim zakochałam. Po uszy. Przepadłam. Pożeglowałam na oślep łodzią bez steru.

- Aż tak?
- Owszem.
- Ile miałaś lat?
- Czternaście. Prawie piętnaście.
- Czternaście! O nieba! A on?
- Dwadzieścia jeden.
- Nie! Żartujesz!
- Nie żartuję. - Przyglądałam się, jak nalewa wodę do imbryka z torebkami herbaty Constant Comment, kroi cytrynę i wrzuca plasterki do dwóch filiżanek, podczas gdy herbata naciąga. - Wymykaliśmy się na plażę i chodziliśmy na długie spacer. To było absolutnie romantyczne.
 - Zdarzyło ci się go pocałować?
 - Co za pytanie! Aż mu usta pierzchły od moich pocałunków. Umiał się całować jak nikt na świecie. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało, ale co ja wiedziałam? Niewiele, zapewniam cię!
 - Rany Julek, to nie do wiary, że moja matka spacerowała po plaży z jakimś facetem i całowała się z nim w wieku czternastu lat! On był starszym!
 - Mówię o tym, aby ci uświadomić, że wiem, jak to bywa w twoim wieku. Ale, Beth, prawdopodobnie postępowałam nierozważnie. Usiłuję cię przekonać, że rozważa jest lepsza. Poza tym za moich czasów nie było AIDS, opryszczki i tym podobnych rzeczy. I musisz pamiętać, że nikt nas nie pilnował. Zupełnie nikt. Mama była otumaniona, tata nie żył, a Livvie miała pełne ręce roboty.
 - Odkroiłam kawałek sera cheddar i zjadłam z krakersem Ritza.
 - Zrobiłaś to z nim?
 - O mój Boże! Nie mogę uwierzyć, że zadajesz mi takie pytania! Oczywiście, że nie! Skarbie, byłam przekonana, że seks skazuje człowieka na wieczne potępienie! W dodatku mogłam zajść w ciążę! Nigdy nawet nie spróbowałyśmy niczego podobnego. Nie, głównie trzymaliśmy się za ręce, wymienialiśmy niewinne pocałunki... no dobrze, nie takie niewinne... ale nic tak poważnego między nami nie zaszło!
 - I co się stało? To znaczy, dlaczego za niego nie wyszłaś?
 - No cóż, przede wszystkim jego ojciec ożenił się z moją matką i to skomplikowało sytuację. Ja wyjechałam do szkoły, on opuścił kraj, żeby

zrobić specjalizację gdzieś w Azji, i więcej go nie zobaczyłam. Poznałam twojego ojca, zakochałam się w nim, a Simon ożenił się z jakąś Azjatką. Poza tym naprawdę był dla mnie za stary.

- Bez dwóch zdań! Gdybym tak zjawiła się w domu z dwudziesto-jednoletnim facetem, zamknęłabyś mnie na klucz!

- Pewnie tak, ale wtedy było inaczej. Ludzie przeważnie powstrzymywali się w ostatniej chwili i brali zimny prysznic albo wskakiwali do oceanu czy coś w tym guście.

- Więc jak będzie, spotkasz się z nim?

- Mam nadzieję, że tak, choć nie wiem, czy moje nerwy to wytrzymają. Jestem już trochę za stara na takie ekscesy.

- Wiesz co, mamu? Wcale nie jesteś stara i powinnaś sobie znaleźć chłopaka. Zaraz, a co się właściwie stało z tym Rogerem?

- Ach, z nim? Kręci się w pobliżu, ale to nie jest facet dla mnie. Nie pasujemy do siebie.

- Aha. No cóż, kto wie, czy znowu nie zejdziecie się z Simonem? - Zadzwoił telefon i Beth podskoczyła. - To może być Chris!

Gdy nadszedł piątek siedemnastego grudnia, szykowałam się już nie do jednego, lecz do trzech przyjęć. Pod choinką piętrzyła się sterta zapakowanych prezentów, a w mojej szafie wisiały dwa nowe wspaniałe stroje, nabyte za radą Kima Cudotwórcy. Zajrzałyśmy z Beth do jego salonu i gdy napomknęłam, że wybieram się po zakupy, wziął mnie za rękę i oznajmił: „Beze mnie nigdzie nie pójdziesz”. Nikt nie miał zaufania do mojego gustu.

Kim uznał, że lepiej wyglądam w brązach niż w czerni. Zmusił mnie do kupienia brązowego kaszmirowego swetra i krótkiej spódnicy z brązowego aksamitu. Miał rację. W brązach wyglądałam lepiej. Następnie namówił mnie na czerwoną sukienkę z kreponu i klipsy z fałszywymi brylantami. Czułam się głupio z gołymi ramionami i imitacją brylantów w uszach, ale Kim i Beth orzekli, że wyglądam świetnie.

Poprosiłam Kima, żeby poszedł ze mną na przyjęcie „Post & Courier”, wyjaśniając, że to właściwie spotkanie służbowe. Wyraził zgodę.

- Wielkie nieba, Susan - powiedział - z największą chęcią wyrwę się z tej plantacji, zwłaszcza jeśli włożysz tę czerwoną sukienkę. Wszystkie dziewczyny zapragną wydrapać ci oczy! Jasne, że pójde, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?
- Najpierw cię uczeszę. Coś ty zrobiła z moją fryzurą?

Maggie i Grant zaprosili mnie na sobotę na wielki spęd towarzyski Akademii Medycznej.

- Może poznasz jakiegoś lekarza - powiedziała Maggie.
- A może spotkam Rogera? - rzuciłam.
- Och, nie przejmuj się nim, tam będą tłumy ludzi.
- Czemu miałabym się przejmować? To on jest zboczeńcem, nie ja.

A w niedzielę biblioteka urządzała cocktail party dla pracowników i ich rodzin. Oznaczało to, że będę miała okazję zanurzyć głowę Mitchella Freemonta w wazie z ponczem. O tak, ostatni świąteczny sezon mijającego tysiąclecia rozkręcił się na dobre, a ja byłam gotowa.

W piątek wieczorem przemieniłam się w ozdobę sali balowej. Gdy Kim zadzwonił do drzwi, zastał mnie w czerwonej sukience i z głową owiniętą ręcznikiem.

- Co za rozkoszna laleczka! - powitał mnie.
- Ty też wyglądasz zabójczo - odparłam.

Ucałowaliśmy z namaszczeniem powietrze koło naszych policzków.

- Bajeczna choinka! - zauważył. - W przyszłym roku mógłby się tym zająć mój Jeremy. On po prostu uwielbia stare domy i świąteczne dekoracje! Boże, przecież ty go jeszcze nie poznałaś! Musimy cię wyciągnąć na plantację!

- Będę zachwycona - zapewniłam. - Napijesz się wina?
- Nie, dziękuję, kochanie. Powinienem dbać o linię.

Stanął przed wielkim lustrem i zaczął się przeglądać. Czarny smoking od Armaniego, który miał na sobie, leżał na nim jak ulał. Ten człowiek chwilami bawił mnie do łez. Przejmował się swoim wyglądem bardziej niż jakakolwiek znana mi kobieta.

- Świetne lustro - oznajmił.

- Dziwne lustro - sprostowałam. - Chodź, przystojniaku, wysusz mi włosy, bo się spóźnimy.

Kazał mi zmienić czarne rajstopy na cieliste.

- Tak jest o wiele seksowniej - orzekł.
- Czuję się, jakbym była naga - wyznałam.

- Jesteś urzekająca - zapewnił i zaczesał mi włosy do tyłu, a potem lekko zakręcił końce ku policzkom. Przypięłam klipsy, które zamigotały spod włosów.

- Cholera - powiedziałam - wyglądam nieźle.

- Prawie tak dobrze jak ja! Ha! Jedźmy!

Podjechaliśmy moim autem pod historyczny dom Maxa i Julii Hallów przy końcu King Street. Uprzejmy starszy pan w białej marynarce otworzył nam drzwi i wziął mój płaszcz. Wszędzie wisiały świąteczne dekoracje. W salonie zespół kameralny grał Vivaldiego. Setka ludzi w odświętnych strojach snuła się tu i tam, rozmawiając, uśmiechając się do siebie i biorąc zakąski, roznoszone na srebrnych tacach przez kelnerów w smokingach. Rozejrzałam się za Maxem i dostrzegłam go po drugiej stronie jadalni, pogrążonego w rozmowie z jakimś mężczyzną.

- No i co o tym myślisz? - zwróciłam się do Kima.

- Jeżeli ten kawior jest z bielugi, zostaję do rana. A jeżeli serwują parówki w cieście, wychodzimy przed dziewiątą.

- Ręczę, że to bieluga - zapewniłam.

- Więc powinnaś dostać podwyżkę.

- Masz rację!

Podeszliśmy do baru i Kim wziął dla nas po kieliszku szampana.

- Dom Perignon - zauważył. - Wcale nieźle.

Trąciliśmy się kieliszkami i ruszyliśmy przez tłum w stronę jadalni. Nie rozpoznałam nikogo z gazety, ale nic w tym dziwnego - zaglądałam do redakcji rzadko i tylko po to, żeby odwieźć teksty. Wszyscy się uśmiechali, a kilku starszych panów obrzuciło mnie powłóczystymi spojrzeniami. Odwzajemniłam uśmiechy. Czułam się po prostu świetnie.

- Widziałem tego starucha! - oznajmił Kim. - Łypał na ciebie lubieżnie! Czy mam go poprosić na zewnątrz i wyzwać na pojedynek?

- Najpierw coś zjedzmy. Umieram z głodu - uśmiechnęłam się do niego.

- Rozsądna z ciebie dziewczyna - ocenił.

Wszystko wyglądało tak pięknie, że nie wiedziałam, co najpierw oglądać. Na kręconych schodach, wznoszących się z głównego wejścia Julia Hall ustawiła białe poinsecje spowite w złotą folię. Środek stołu w jadalni zdobił

bukiet złożony z białych francuskich tulipanów, białych róż o długich łodygach i pozłacanych gałązek wierzby. Kwiaty stały w niebiesko-białym kubelku do chłodzenia wina, z chińskiej porcelany, który zapewne kosztował majątek.

Przy jednym krańcu stołu kucharz kroił *filet mignon*. Inny kucharz po drugiej stronie kroił łososia na zimno. Między nimi wznosiła się piramida parujących kotlecików jagnięcych, obok stał sos miętowy, a dalej maleńkie kanapki z pastrami na żytnim chlebie oraz zwiniętymi plasterkami indyka.

- Spróbuj kotlecików - zachęciłam Kima. - Są pyszne.

Zaczynałam czuć się jak intruz, ponieważ nikt się z nami nie przywitał. Wtem Max uniósł głowę i zauważył mnie.

- Susan! Witaj! Więc jednak przyszłaś! - zawołał, podchodząc do mnie.

- Max, chcę ci kogoś przedstawić - powiedziałam i odwróciłam się w stronę Kima, który miał właśnie pełne usta. - To jest Jack.

Kim zmrużył oczy, żując pośpiesznie i wycierając dłonie w serwetkę.

- Jack, co? Mnóstwo o tobie słyszałem! - Max zaśmiał się tubalnie i zaczął potrząsać ręką Kima tak, iż miałam wrażenie, że wyrwie mu ramię ze stawu. - Pójdę poszukać Julii! Bardzo chętnie was pozna! Chyba jest w kuchni i kłóci się z szefem obsługi. Jakiś głupi kelner był nieuprzejmy dla gościa czy coś takiego. Zaraz wracam!

- Bardzo mi miło - rzucił Kim w stronę pleców Maxa, a potem obrócił się do mnie. - Mogę zapytać, kto to jest Jack?

- Nieważne. Za pierwszym razem nie było tak zabawnie. Spróbuj pastrami.

Podeszliśmy do owoców morza. Na pokruszonym lodzie leżały otwarte ostrygi, a obok nich szczypce homarów i kaskada krewetek. Całość uzupełniały stojące po obu stronach srebrne, podgrzewane naczynia z gorącym sosem krabowym i małżami na ostro.

- Boże - mruknął Kim - to prawie jak bankiet przy Park Avenue!

- O czym ty mówisz? Kiedy dorastałam, bez przerwy urządzaliśmy takie przyjęcia. Tak się to robi w Świętym Mieście, dziecino droga.

- Okropna z ciebie kłamczucha - orzekł - i nie spodziewaj się czegoś takiego, kiedy zawitasz do Tary. Frykasy muszą poczekać, dopóki nie wymienimy dachu. A właściwie dlaczego nazywają Charleston Świętym Miastem?

- No cóż, wieki temu, kiedy Charleston był jeszcze w powijakach, nazwano go Świętym Miastem, ponieważ pierwsi osadnicy wyznawali wiele różnych religii. Uciekli z Europy przed prześladowaniami religijnymi.

- Ach, a ja zawsze myślałam, że przed głodem ziemniaczanym.

- To było później - wyjaśniłam, dochodząc do wniosku, że Kim jest uroczy, lecz daleko mu do Einsteina. - Idzie Max.

- Mamy was nareszcie! Susan, to jest Julia - oznajmił Max, przepychając się do nas.

Uścisnęłam jej dłoń, myśląc: a więc to jest pani Maxowa Hall! Dobrze byłoby tak wyglądać w jej wieku. Włosy miała upięte w kok, a wokół pereł w jej kolczykach migotały brylanty. Prawdziwe.

- Witaj, Susan! Ogromnie mi się podobają twoje felietony!

- Dziękuję - odparłam. - Macie przepiękny dom, a przyjęcie jest cudowne. - Ile banałów można zmieścić w jednym zdaniu? - Zechciej poznać mojego przyjaciela. Kima.

- Dobry wieczór - powiedziała - czy spotkaliśmy się wcześniej?

- Spotykamy się teraz, pani Hall - odparł Kim, ujmując oburącz jej dłoń. - Co pani miała na myśli? Jakie felietony?

- Kim, mój drogi, nie wiesz, z kim przyszedłeś? - spytała Julia.

- Wydawało mi się, że wiem.

- Ona jest „Dziewczyną z Wyspy”, synu - poinformował go Max. - Tak, od dziesięciu lat żadna rubryka nie wywołała takiej lawiny listów. Zainteresowały się nią inne gazety. Susan nie ci nie mówiła?

- „Wspomnienia dziewczyny z Wyspy”? - upewnił się Kim. - Ty to piszesz?

- Przyznaję się - odrzekłam.

- O mój Boże! Niech tylko Jeremy się dowie! W czwartki przy śniadaniu odczytuje mi je co do słowa! Cappuccino, płatki zbożowe i dziewczyna z Wyspy! W każdy czwartek!

Julia okazała się bardzo miła, a jej znajome zasypały mnie komplementami. Kim zrobił furorę; zanim wieczór dobiegł końca, serca i fryzury wszystkich pań należały do niego. Co istotniejsze, Max dowiedział się, że nie jestem na utrzymaniu mojego towarzysza i nadal potrzebuję pracy. Razem wzięwszy, impreza była udana.

Gdy wróciliśmy, Kim odprowadził mnie pod drzwi.

- No cóż, Susan, dzięki za cudowny wieczór - powiedział. - Wspaniały dom, wspaniałe przyjęcie.

- Niezły z ciebie oryginał, wiesz o tym?

- Od wieków tak dobrze się nie bawiłem - orzekł. - Starsze panie przepadają za mną. Nie mogę się odczekać, żeby wycesać im lakier z włosów.

Miałam zamiar go zaprosić, ale doszłam do wniosku, że wystarczy mi wrażeń jak na jeden wieczór.

- Do widzenia, cukiereczku, dziękuję ci za towarzystwo - pożegnałam go.

Obserwowałam przez okno jego pełne gracji ruchy, gdy otwierał drzwiczki swojego jaguara i wślizgiwał się za kierownicę. Dzięki niemu czułam się kimś olśniewającym.

Gdy zjawiłam się w hotelu Sheraton na przyjęciu, na które zaprosili mnie Maggie i Grant, zaczęłam się rozglądać za Rogerem Doddsem. Dostrzegłam go przy barze po drugiej stronie sali. Miałam ochotę nabroić.

- Roger, Roger, Roger! Jak się miewasz? - zawołałam.

Wyglądałam bardzo elegancko w brązowym kaszmirowym swetrze z dekoltem i krótkiej spódnicy. Na nogach miałam, jakżeby inaczej, cieliste pończochy i czółenka na wysokich obcasach. Roger prezentował się oszukańczo konserwatywnie w ciemnym garniturze i białej koszuli, z czerwoną muszką pod szyją.

- Susan! Co za miła niespodzianka!

Pocałował mnie lekko w policzek i zmierzył spojrzeniem od stóp do głów. Bogu dzięki, że moje buty mają zakryte czubki, pomyślałam.

- Przyszedłeś z kimś? - zapytałam.

- Nie, jestem sam. Boże, masz świetne nogi.

- Owszem, dziękuję. - The Rivas grali „Double Shot of My Baby's Love”.

- Napijesz się czegoś? - zagadnął.

- Chętnie. Najlepszy byłby „śrubokręt” - odparłam.

- Jesteśmy we frywolnym nastroju, co? Może być białe wino?

- Dzięki. - Wzięłam kieliszek.
- Boże, już zaczynasz doprowadzać mnie do szaleństwa - powiedział.
- O, widzę Maggie i Granta! Muszę iść, Roger. Przepraszam. Na razie!
- Co takiego, opuszczasz mnie? Dlaczego?
- Mam randkę - zełgałam - i muszę wracać do domu. Prawdę mówiąc, po południu zrobiono mi pedicure. No i trochę przesadzili z pumeksem, a potem wmasowali mi w stopy jakiś olejek o kokosowo-owocowym zapachu i teraz odrobinę mnie pieką w tych czółenkach. Są bardzo wrażliwe, Roger. Różowe, delikatne i wrażliwe.
- Przestań, Susan, nie mów tak do mnie - rzucił.
- Przyszłam tu z takim jednym pedicurzystą. Uważa, że moim stopom potrzeba odpoczynku.
- Wygląda na to, że chce cię zaciągnąć do łóżka i zerznąć.
- O kurczę! Tak sądzisz? Rany, byłoby fajnie. No to wesółych Świąt, Roger.

Uśmiechnęłam się do niego i ruszyłam w stronę Maggie i Granta.

- Misja wypełniona - szepnęłam siostrze do ucha. - Wspaniale przyjęcie, Grant, dzięki za zaproszenie.
- Już wychodzisz? - zdziwił się Grant.
- Tak, umówiłam się na ostrą randkę.

W domu czekała na mnie Beth. Usiadłyśmy z podwiniętymi nogami na kanapie, jak dwie stare przyjaciółki, i po raz nie wiadomo który obejrzałyśmy razem „To cudowne życie”, zgodnie sięgając po popcorn, colę i chusteczki i wypowiadając kwestie dialogowe równocześnie z aktorami. Było nam bardzo dobrze.

Na przyjęciu dla pracowników biblioteki Mitchell Freemont zawiadomił mnie z wielkim smutkiem, że obejmuje posesję w Spartanburgu.

- Kiedy? - spytałam.
- Za dwa tygodnie - odparł. - A więc między nami chyba wszystko skończone.
- Na to wygląda, Mitchell.

Jego buta nie znała granic. Gdy się oddalił, uświadomiłam sobie, że mogę się ubiegać o jego stanowisko, które - gdybym je otrzymała - oznaczałoby

konkretną podwyżkę pensji. Wiedziałam, że zgłoszą się również inni kandydaci, ale natychmiast dałam wyraz swemu zainteresowaniu tym stanowiskiem. Przyjęcie zionęło nudą, lecz wykorzystałam je do forsowania swojej kandydatury.

Nazajutrz zadzwoniłam z tą wiadomością do Maggie.

- O Boże, mam nadzieję, że zajmiesz jego miejsce - westchnęła.
- Ja też.
- Nawiasem mówiąc, coś ty właściwie powiedziała Rogerowi Doddsowi?
- Nic takiego. Czemu pytasz?
- Bo podszedł do Granta całkiem zamroczony i oświadczył, że doprowadziłaś go do szału.
- Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.
- A Grant powiedział... nie, chyba nie uwierzysz.
- Co?
- Powiedział mu: „Wiesz, Roger, moja szwagierka potrafi każdemu nadepnąć na odcisk”. Myślałam, że się uduszę ze śmiechu.
- Wielkie nieba!

W poniedziałek obudziłam się wcześniej niż zwykle. Nie mogłam spać. W końcu o szóstej włożyłam szlafrok i zeszłam na dół zaparzyć kawę. Przyśnił mi się bardzo dziwny sen. Byłyśmy we dwie z Livvie na podwórzu Island Gamble. Wieszaliśmy pranie na sznurku. Obok nas stały kosze pełne białych prześcieradeł. Livvie powtarzała: „Spójrz tylko, panienko Susan! Tyle prześcieradeł, a wszystkie białe!”. Wieszaliśmy je i wieszaliśmy bez końca. Ciągnęły się przez całe podwórze i wiedziałam, że zanim z nimi skończymy, obwiesimy całą wyspę. W miarę wieszania zdawało się ich przybywać. Przypinałyśmy je staroświeckimi drewnianymi klamerkami. „Wieszaj!” - wołała do mnie Livvie. Byłam bardzo zmęczona, chciałam przystanąć i trochę odpocząć. Ale determinacja Livvie zmusiła mnie do działania.

Popijając z kubka gorącą kawę, zastanawiałam się nad tym snem. Co oznaczał? Czy chodziło o pracę? Moja praca niewątpliwie zdawała się nie

mieć końca. Wiedziałam, że sny mają symboliczne znaczenie, ale nie znałam się na tym. Co symbolizowała cała ta biel? Pokój? Czystość? Kto mógł potrzebować aż tylu prześcieradeł? Szpital? I wtedy mnie oświeciło. Ku-Klux-Klan. Bingo.

Zostawiłam kubek na blacie i popędziłam na górę. Beth jeszcze spała - zaczęły się ferie świąteczne. Zajrzałam do jej pokoju.

- Beth? Wychodzę do biura, w razie czego zadzwoń, dobrze?
- Dobrze, mamuś. Która godzina?
- Wczesna. Śpij sobie dalej.

Zanim się umyłam, ubrałam i dotarłam do biblioteki, była prawie za kwadrans ósma. Mitchell zjawiał się zazwyczaj o ósmej. Zapaliłam papierosa i zaczęłam spacerować tam i z powrotem, wypatrując jego samochodu. Wreszcie się pojawił.

- Dzień dobry, Susan - powitał mnie - czemu tak wcześnie?
- Chcę coś sprawdzić.

Przekręcił klucz w zamku i pomachał do mnie brelokiem.

- Słyszałam, że jesteś zainteresowana moim stanowiskiem.
- Nie tylko ja - odparłam.
- No to powodzenia - rzucił. - Dam ci rekomendację.

- Dziękuję - odparłam, zastanawiając się, czego za to zażąda, a potem wyrzucając sobie cynizm i podejrzliwość.

Poszedł do swojego biura, ja zaś udałam się prosto do działu mikrofilmów. Sprawdziłam hasło „Ku-Klux-Klan” i znalazłam sporo odsyłaczy. Przejrzałam wszystkie wycinki gazetowe z roku 1963, lecz nie znalazłam tego, czego szukałam, i właśnie miałam dać sobie spokój, gdy dokonałam odkrycia. W gazecie wychodzącej w Columbii zamieszczono relację ze zjazdu członków Klanu w pewnym pobliskim miasteczku. Była tam fotografia grupy mężczyzn w bieli - niezwykła fotografia, gdyż większość takich spotkań odbywała się w tajemnicy. Ale oto miałam ją przed sobą, czarno na białym. Zastanawiałam się, czy fotograf został napadnięty przez ich bojówkarzy. Głowy członków Klanu widocznych na zdjęciu były osłonięte

kapturami. Zrobiłam kopię, a potem powiększenie na skanerze, patrząc z zapartym tchem. Przywódca miał na nogach sandały, a facet stojący obok - wypucowane policyjne buty. Ich tożsamość zdradzały również piwne brzuszyska. Marvin Struthers i Gruby Albert. To oni załatwili mojego tatę. Wiedziałam, że nareszcie odkryłam prawdę.

Przygryzłam pięść i łzy popłynęły mi po policzkach. Mroczne myśli, które zawsze kłębiły mi się w głowie, gdy chodziło o moje uczucia wobec taty, zaczęły po latach gromadzić się na nowo. Krajało mi się serce; przepełniał mnie żal, że nie potrafię pojąć, jak to możliwe, iż człowiek postępujący tak podle z osobami, które go najbardziej kochały i potrzebowały, oddał życie za prawa człowieka. Traktował nas obrzydliwie, lecz odznaczał się siłą charakteru, której nigdy nie brałam pod uwagę. Miał naturę wojownika. Tak jak ja. Byłam do niego podobna. Nigdy nie przyznał, że tak jest. Ja również.

Przez całe lata powtarzałam w gniewie, że cieszę się z jego śmierci. Teraz zatęskniłam za nim po raz pierwszy w życiu. Nigdy nie przypuszczałam, że przygniecie mnie tak wielkie brzemie smutku. Miałam ochotę płakać jak skrzywdzone dziecko. Pragnęłam, by ktoś mnie zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Nikogo takiego nie było. Chciałam zwinąć się w kłębek na podłodze i usnąć. Ale po prostu stałam, usiłując jakoś pozbierać bolesne, rozpaczliwe myśli.

Gdyby żył, może byłby z nas dumny. Może by zobaczył, jak stoję się kobietą, matką, a potem samotną matką. Zobaczyłby, jak dobrze radzimy sobie wszyscy w życiu. Jacy jesteśmy przebojowi i silni. Może byśmy się z nim pojednali.

W głębi serca nie mogłam go już obwiniać. Żałowałam, że nie poznałam go bliżej. Żałowałam też, że on mnie bliżej nie poznał. Być może w jakiś sposób odczuwał to teraz, gdy odkryłam jego bohaterstwo. Modliłam się, by jego dusza - gdziekolwiek przebywała - wyczuła, że mu przebaczyłam. Że za nim zatęskniłam. I że w końcu odkryłam, iż jestem z niego dumna.

19.

Szkoła

1963

W domu żyłam w krainie pieluch. Widziałam siebie wychowującą siostry, a potem opiekującą się mamą, tak jak ona opiekowała się swoją. Tak było na Południu. Tego oczekiwano od dziewcząt. Wszyscy chyba myśleli, że Maggie może korzystnie wyjść za mąż, a ja, przy moim braku urody, nie złapię nikogo.

Moją jedyną nadzieją było dostanie się do college'u, co wydawało się coraz mniej prawdopodobne. Przypuszczałam, że skończę zapewne jako nauczycielka w państwowej szkole średniej, korzystając z drugiej możliwości, jaką miały nieładne dziewczyny. Zacznę upinać włosy w wielki kok, do którego powtykam ołówki, a dzieciaki będą przypinać kartki z napisem KOPNIJ MNIE do mojej nadgryzionej przez mole wełnianej kamizelki. Sama myśl o tym była przygnębiająca. Nie, musiałam znaleźć inny sposób, żeby uciec z tego więzienia.

Z wielką radością wróciłam po feriach do szkoły. Z wszystkich codziennych zajęć tylko lekcje miały dla mnie sens i mogłam wtedy wyrwać się z domu. Większość ludzi uwielbiała lato, ale dla mnie ulubioną porą roku była zima. Letnicy znikali na kilka miesięcy. Podczas cichych spacerów brzegiem morza, ze słoną mgiełką we włosach i na twarzy, pozwalałam myślom dryfować. Wyobrażałam sobie, że jestem Katarzyną szukającą Heathcliffa na wrzosowisku albo, co lepsze, że znajduję się sam na sam z Simonem. Pragnęłam, by nasze rozmowy nie składały się wyłącznie z niemądrych przekomarzań i docinków. Wiele czasu spędziłam na rozmyślaniach o jego ustach. Reszta tych snów na jawie polegała na dopracowywaniu rozmaitych planów ucieczki. W pewnej chwili rozważałam możliwość dotarcia autobusem do Atlanty, symulowania amnezji i zdania się na łaskę największego katolickiego kościoła, na jaki natrafię. Wiedziałam jednak, że

zdradzi mnie akcent. Jeden telefon do biskupa Charlestonu i odstawiono by mnie ciupasem do domu. Byłam za młoda, żeby się zaciągnąć do wojska i zbyt mało pobożna, by wstąpić do klasztoru - co zakładał mój najbardziej desperacki plan. Dlatego wypełniałam dni nauką.

Pewnego styczniowego ranka podczas lekcji znowu zjawił się ojciec O'Brien. Zerwaliśmy się z ławek, mówiąc chórem: „Dzień dobry, ojcze”, jak przystało na dobrze wychowaną młodzież. Wezwał mnie do swojego gabinetu. Mam nadzieję, że nikt nie umarł, pomyślałam w pierwszym odruchu, a potem uświadomiłam sobie, że w mojej rodzinie nie pozostało zbyt wiele osób, które mogłyby umrzeć, więc powód musiał być inny. Natychmiast wyszłam z lekcji, ścigana spojrzeciami całej klasy.

- Jak się miewa twoja mama? - zagadnął ojciec O'Brien, zamykając drzwi i wskazując mi solidne dębowe krzesło naprzeciw biurka.

- Świetnie - odparłam - wszyscy są zdrowi.

- To dobrze. Widzę, że zakończono śledztwo w sprawie wypadku twojego taty. Z pewnością wam ulżyło, że macie to już za sobą.

- O tak, proszę ojca.

Prawdę mówiąc, mieliśmy już powyżej uszu wzmianek w gazetach i wypytywania nas o okoliczności śmierci taty. Gruby Albert i wydział policji z Charlestonu stwierdzili, że tata nie zginął w wyniku zмовy. Uznali ostatecznie, iż dostał ataku serca i zjechał z drogi. Ponieważ budowa szkoły dla czarnych przysporzyła mu wielu kłopotów, myśleli zapewne, że Klan mógł w tym maczać palce. Dlatego trochę węszyli, powtarzając wciąż te same głupie pytania. Na przykład, czy miał jakichś wrogów? Przepraszam bardzo, ale mój tata budował sporną szkołę dla kolorowych dzieciaków w momencie, gdy Ruch Praw Człowieka nabierał rozmachu. Miał więcej wrogów niż Japończycy po ataku na Pearl Harbor, począwszy od jego własnej rodziny oraz bigotów wszelkiej maści, którzy cokolwiek o nim usłyszeli.

Choć to nie mogło przywrócić tacie życia, często myślałam, że nie wysilają się zanadto z tym śledztwem. Miałam wrażenie, iż prasa zadaje inteligentniejsze pytania niż policja. Dla gazet była to najgorętsza historia od czasu epidemii polio. Cieszyłam się tylko, że Marvin Struthers nie oskarżył nas o doprowadzenie taty do ataku serca.

- No cóż, ale nie dlatego cię wezwałem - podjął ojciec O'Brien. - Chciałem z tobą pomówić o twoich postępkach w nauce.

- Co zrobiłam? Ach, chodzi o książki z biblioteki? Wiem, że nie oddałam ich w terminie! Będę miała kłopoty?

- Wielkie nieba, skądże, dziecko. Chodzi mi o to, że uczysz się bardzo dobrze, zadziwiająco dobrze. Zwróć książki jak najszybciej. - Odchrząknął, wydając przy tym typowe dla dorosłych „ehem”. - Susan, co roku archidiecezja charlestońska przyznaje jednej uczennicy stypendium w Akademii Świętej Anny w Columbii. Czy wiedziałaś o tym?

- Nie, proszę ojca.

- A czy słyszałaś o Świętej Annie?

- Myślałam, że to dom dla samotnych matek.

- Nie, moja droga, myślisz o Domu Florence Crittenton. To zupełnie co innego. Święta Anna jest prywatną szkołą z internatem dla katolickich dziewcząt. Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent absolwentek kończy potem college i podejmuje pracę w szkolnictwie, służbie medycznej lub innej stosownej dla pań dziedzinie.

- O!

- W czym problem?

- Nie chcę być nauczycielką ani pielęgniarką.

- No a wiesz, co chciałabyś w życiu robić?

- Aha, to znaczy tak. - Zaczęłam się wiercić. - Chcę zostać pisarką i zamieszkać w Paryżu.

- Rozumiem. No cóż, zawsze powtarzam, że każdemu wolno pomarzyć.

- Właśnie. Wystarczy spojrzeć na siostry Bronte i George Sand.

Odchrząknął donośnie.

- W każdym razie co roku wyłaniamy w konkursie jedną stypendystkę i chciałbym zgłosić twoją kandydaturę. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad wyjazdem do szkoły?

- Nie, proszę ojca. To znaczy tak, ale myślałam raczej o college'u, nie o szkole średniej.

- Oczywiście, i bardzo słusznie, że o tym myślałaś. Właściwie moje pytanie brzmi: czy jesteś zainteresowana? Jeśli tak, mógłbym porozmawiać na ten temat z twoją matką.

- Yyy... proszę ojca, jakie mam szanse?

- No, nie wiem, wydaje mi się, że dość duże.

- Więc jeśli to ojcu nie robi różnicy, przekonajmy się najpierw, czy

uzyskam to stypendium, a potem powiemy mamie. No bo wie ojciec, lepiej nie dokładać jej trosk. Gdybym przegrała, byłoby jej przykro.

- A i tak już wiele wycierpiała.

- Właśnie. Poza tym chciałabym się trochę zastanowić. Co będzie z bliźniaczkami, kiedy wyjadę? Czy mama da sobie radę beze mnie? Naprawdę nie wiem.

- Rozumiem. - Wydobył z teczki broszurę i wręczył mi ją. - Rzuć na to okiem. Dowiesz się wszystkiego o szkole. Obowiązują mundurki, ale są wliczone w stypendium, podobnie jak podręczniki. Stypendystka otrzymuje również kieszonkowe w wysokości pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Opieka medyczna jest opłacona na wypadek, gdybyś zachorowała, potrzebowała okularów czy czegoś w tym rodzaju. Musisz tylko utrzymywać średnią B z plusem, a będziesz mogła się uczyć przez cztery lata. To doskonała propozycja, Susan. Sądzę, że powinnaś się nad nią poważnie zastanowić.

- Ależ oczywiście, zastanowię się!

- A gdybyś zatęskniła za domem, zawsze możesz przyjechać na weekend, no i, naturalnie, na święta.

- Racja. To znaczy, dziękuję, że ojciec o mnie pomyślał i w ogóle. Naprawdę jestem ojcu wdzięczna. Przepraszam, ale po prostu nigdy o czymś takim nie myślałam i nie wiem, jak to będzie z mamą i wszystkim. Ojciec mnie rozumie?

- Oczywiście. Ale moim zdaniem należy spróbować, a jeśli wygrasz, ja załatwię sprawę z twoją mamą, dobrze?

- Dobrze.

- No to świetnie.

- Dziękuję ojcu. Naprawdę bardzo dziękuję.

- Ależ proszę.

To mogłoby odmienić moje życie, pomyślałam. Mogłabym się stąd wyrwać.

Po południu przysiadłam na kuchennych schodkach, rzucając patyk Hultajowi. Kiedy mi go przynosił, drapałam psiaka za uszami. Byłoby mi go brak, gdybym wyjechała, pomyślałam. Lgnął do wszystkich i był wdzięczny za każdą chwilę uwagi. Białe mewy śmigły wokół, pokrzykując do siebie.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było opuścić wyspę i zamieszkać w internacie z grupą dziewcząt. A gdyby okazały się wredne? Albo bogate i zarozumiałe? Gdyby mi tam było bardzo źle, zawsze mogłabym wrócić do domu. A co, jeśli ta szkoła jest naprawdę ciężka? Jeśli nie poradzę sobie z nauką? Mimo wszystko szkoła w Columbii to nie to samo, co szkoła w Mount Pleasant. Columbia jest przecież stolicą stanu.

Za moimi plecami stuknęły drzwi.

- Co tu robisz, dziecinko? Bawisz się z Hultajem?

Odwrociłam głowę od popołudniowego słońca i spojrzałam na Livvie.

- Och, po prostu sobie rozmyślałam.

- Aha. Zdawało mi się, że jakieś drewno się pali.

- Tak jest, to ja. Siedzę tu i palę drewno całymi stertami.

- Co ci chodzi po głowie, hę? Powiedz Livvie.

- Och, Livvie, sama nie wiem. Życie jest takie pogmatwane.

- Święta prawda!

Podgarnęła sukienkę i usiadła koło mnie. Hultaj wskoczył jej na kolana i zaczął ją lizać po twarzy.

- Złaż stamtąd! - rozkazałam.

- Nie, nic nie szkodzi. On mi zupełnie nie wadzi. Jakby gryzł, to co innego.

- Tak, z pewnością. - Wpatrzyłam się w przestrzeń, a jej spojrzenie podążyło za moim.

- No więc powiesz mi, co się dzieje, czy mam tu siedzieć, aż cała kolacja spali się na węgiel?

- Livvie, gdybyś miała okazję zrobić coś naprawdę wielkiego, zrobiłabyś to?

- Dziecinko, ja robię coś naprawdę wielkiego. Codziennie wysławiam Pana Boga! Cóż większego mogłabym zrobić?

- Nie o to mi chodzi.

- No to mów wreszcie, dziecinko.

- Więc ojciec O'Brien chce zgłosić moją kandydaturę do stypendium w szkole z internatem dla dziewcząt w Columbii.

- Wielkie nieba! Twoja mama gotowa dostać ataku nerwowego, co?

- Właśnie.

Zastanawiała się przez chwilę.

- To pewnie dobra szkoła, prawda?
- Tak, sama popatrz.

Wyciągnęłam broszurę z kieszeni, otworzyłam i pokazałam Livvie. Były tam zdjęcia uśmiechniętych zakonnic i poważnych uczennic, pochylonych nad mikroskopami w laboratorium biologicznym; a także fotografie internatu, klas i kompleksu szkolnego. Livvie gwizdnęła cicho.

- Hm. W porządku. A co ci podpowiada serce?
- Bardzo bym chciała pójść do takiej szkoły. Kto by nie chciał? Ale trochę się boję.

- Czego się boisz?
- Wyjazdu.
- Nie pozwolą ci przyjeżdżać do domu?
- Pozwolą, nawet co tydzień, gdybym zechciała. Ale jeśli nie będę się nadawać?

- Wysoko mierzysz, co?
- Ano tak. To może być moja jedyna szansa, żeby się stąd wyrwać.
- Więc sprawa przesądzona. Nie masz wyboru.
- A co z mamą i bliźniaczkami? Co z Timmy i Henrym?
- Złotko, nic się nie turbuj waszą mamą. Da sobie radę. Timmy i Henry pójdą do college'u, wasz wujek już o to zadba. A bliźniaczkami ja się zajmę. O nie się nie martw.

- Jutro muszę coś odpowiedzieć ojcu O'Brienowi.
- Złotko, Pan Bóg ma swój plan co do ciebie i nie widzi mi się, żebyś miała chować dzieci swojej mamy. Trzeba ci wyjechać w świat i może On chce ci w tym pomóc. Jeśli taka będzie Jego wola, to wyjedziesz. Jeśli nie, to i tak nic nie poradzisz.

- No, zobaczymy. Wiesz, mogę nie zdobyć tego stypendium. Więc na razie nic nie mów, dobrze?

- Dziecinko, będę milczeć jak głaz.

Było piękne popołudnie, słońce chyliło się już ku zachodowi. Do licha, pomyślałam, rano jeszcze nie miałam pojęcia o istnieniu szkoły Świętej Anny, a teraz czułam, że chyba umrę, jeśli nie zdobędę stypendium. Kompletnie pomieszenie z popłataniem.

- Popatrz na niebo - powiedziała Livvie.
- Aha - mruknęłam.

- Czy to nie cudowne?
- Tak, cudowne.
- Nie, dziecino moja, nie rozumiesz, co ci chcę powiedzieć.

Jej głos brzmiał tak miękko i czule, że nie mogłam się dłużej martwić.

- Co masz na myśli?

- Widzisz te mrugające gwiazdki? To są brylanty Pana Boga. Słuchasz mnie? A to niebo, co się robi ciemnoniebieskie, to są jego szafiry. Widzisz tę czerwoną smugę nad horyzontem? To rozsypane rubiny. Ilekroć gnębią cię troski i podupadasz na duchu, idź popatrzeć na zachód słońca, a znajdziesz bogactwa dane nam przez Boga.

- No tak, Livvie, jasne - odparłam.
- Ja ci nie kłamię, dziecko. To szczerza prawda.

Spojrzałam w niebo i zobaczyłam wszelkie bogactwa, o jakich można marzyć. Livvie otoczyła mnie ramieniem i uściśniła. A potem ujęła moją rękę i położyła ją sobie na podołku. Moje drobne białe palce odcinały się od jej ciemnej skóry; wewnątrz dłoni miała różowe, paznokcie grube, o barwie kości słoniowej. Zręczne dłonie, stwardniałe po latach ciężkiej pracy - czułe, ciepłe i kojące. Przemawiała do mnie głębokim tonem, tak by jej słowa dotarły do mojej tępej głowy.

- Będzie dobrze, Susan. Wszystko będzie dobrze. Z czasem się przekonacie. Ty dorastasz, Maggie dorasta, wszyscy niedługo dorośniecie. Frasunek temu nie przeszkodzi, o nie. Pan Bóg dopomoże. Zawsze dopomaga.

Zbliżała się Wielkanoc; powściągałam język - w okresie Wielkiego Postu wystrzegałam się przekleństw - a Timmy i Henry starali zachowywać się przyzwoicie. Livvie z mamą wzięły się do wiosennych porządków. Nie wiadomo, co mamę naszło, ale bardzo zeszczupłała, a czerwona szklanka gdzieś zniknęła. Mama wyglądała naprawdę nieźle jak na swój wiek, czyli - jak mogłam w przybliżeniu określić - czterdzieści parę lat. Nigdy nie chciała zdradzić swego wieku. Mówiła, że damy tego nie robią. No ale jeśli się mieszkało w miejscowości, w której się przyszło na świat, to chyba wszyscy i tak wiedzieli, nieprawdaż?

Pewnego dnia do Simona przyszedł list. Czekał na niego na stoliku przy schodach. Powąchałam kopertę, żeby sprawdzić, czy list nie jest od dziewczyny, ale był zaadresowany męskim charakterem pisma i domyśliłam się,

że napisał go ojciec Simona. I rzeczywiście.

Pan Rifkin wybierał się z wizytą do Charlestonu. Simon zapytał mamę, czy ojciec mógłby się zatrzymać u nas na piętrze. Mama odparła: „Pewnie, czemu nie?”. Pokazał jej fotografię - chyba po to, by udowodnić, że jego ojciec jest normalnym człowiekiem czy coś w tym guście. W każdym razie był rozwiedziony, co, zdaniem Simona, wyszło wszystkim na dobre.

I wtedy zaczęła się prawdziwa heca. W moją mamę wstąpiły nowe siły żywotne. Robiła sobie manicure i wkładała pas elastyczny, choć już nie musiała go nosić. Wyciągnęła starą maszynę do szycia Singera i pozwężała swoje sukienki, a potem - ku naszemu zaskoczeniu - skróciła je do kolan. Bez przerwy przeglądała się w wielkim starym lustrze. Nigdy przedtem się tak nie zachowywała i to mnie niepokoiło.

Zatelefonowała do ciotki Carol i zaprosiła ją i wujka Louisa na świąteczny obiad. Potem zaprosiła Struthersów oraz całą grupę osób, które nas karmiły po naszej bolesnej stracie. Oczywiście zaprosiła również Simona z ojcem.

Ojciec Simona był ordynatorem oddziału chirurgii największego szpitala w Detroit. Nadziany facet. Forsy jak lodu, złotko. Zdawałam sobie sprawę, że mama nie chce do końca życia wynajmować pokoi.

Wreszcie nadszedł Wielki Piątek. Wybieraliśmy się na Drogę Krzyżową, która miała trwać od dwunastej do trzeciej po południu. Później Simon miał przywieźć ojca nad morze.

Mama dyrgowała wszystkim z przerażającą energią. Dom lśnił czystością jak nigdy przedtem. Specjalnie włożyła chabrową płócienną sukienkę i zakiet, które podkreślały kolor jej oczu. Włosy miała zaczesane do góry i pachniała perfumami. Wyglądała naprawdę ładnie.

Miałam tylko nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, bo gdyby coś było nie tak, chyba zapadłaby się pod ziemię ze wstydu - że próbuje usidlić faceta, którego w życiu nie widziała na oczy. Nie wydawało mi się, by jego wyznanie i stan cywilny miały dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Jakoś nie zwracała na to uwagi.

No cóż, ojciec Simona wrócił do swojego Michigan dopiero we wtorek - nie w pierwszy, lecz w drugi wtorek po Wielkanocy.

Obiecał naszej M.C., że codziennie będzie do niej pisał. Wyglądało na to, że pan doktor uległ magnoliowemu oczarowaniu. Widziałam nawet, jak się całowali na ganku.

Wkrótce potem wróciła codzienna nuda. Simon bez przerwy się uczył, Maggie bez przerwy pracowała, a wszyscy pozostali - oprócz mnie - wrócili do normalnych zajęć. Przez tydzień leczyłam chore gardło i nie chodziłam do szkoły.

Nie ulegało wątpliwości, że doktor Całusek zauroczył mamę. Chodziła po domu, nucąc jakieś melodie, i tylko czekała, żeby Timmy albo Henry przynieśli pocztę. Ilekroć przyszedł miłosny list od Stana, zamykała się z nim w swoim pokoju. Nie miałam jej tego za złe, po prostu wydawała mi się nieco zdesperowana. Zgoda, to nie brzmi zbyt uprzejmie, ale tak właśnie było.

Kiedy wreszcie poczułam się lepiej, postanowiłam nadrobić opuszczone lekcje. Po tak długiej nieobecności w szkole zaczęłam się poważnie martwić, czy dam sobie radę ze wszystkimi zaległościami. Gdy chciałam napisać wypracowanie, okazało się, że wszystkie pióra w domu albo ciekną, albo nie piszą w ogóle. Przypomniałam sobie, że jakieś pióro leży u mamy w pudełku z papeterią i doszłam do wniosku, że na pewno by mi je pożyczyła, pod warunkiem, że później odłożę je na miejsce.

Bliźniaczki spały, Livvie prasowała, a chłopcy gdzieś się wypuścili. Mamy nie było w domu. Weszłam do jej pokoju i otworzyłam szafę. Zaczęłam grzebać na półce tuż nad sukienkami, gdzie trzymała przybory do pisania - i nagle wszystko zważyło mi się na głowę.

Zbierając z podłogi listy od Stanleya i innych wielkanocnych gości, zauważyłam nietypową podłużną kopertę. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest to list ze szkoły Świętej Anny. Był zaadresowany do mamy. Wiem, że nie powinnam była go czytać, ale w końcu mój los spoczywał w moich własnych rękach! „Szanowna Pani, mamy przyjemność Panią zawiadomić, że Pani córka, Susan Asalit Hamilton, została przyjęta do naszej szkoły z pełnym stypendium, obejmującym semestr zimowy”.

- O mój Boże! - wyrwało mi się. - Zdobyłam stypendium! Kto by pomyślał?

Oblała mnie fala gorąca i zerknęłam na datę nadania listu. Był sprzed tygodnia. Dlaczego mama nic mi nie powiedziała? Dlaczego ojciec O'Brien do mnie nie zadzwonił? Ogarnęło mnie przygnębienie. Mama nie życzyła sobie mojego wyjazdu. Wiedziałam. I co teraz? Musiałam stawić jej czoło. Nie mogłam wyjechać bez jej pozwolenia.

Zastanawiałam się przez chwilę, usiłując w miarę spokojnie przemyśleć sprawę, podczas gdy mój mózg wirował z nieopisaną szybkością. Przede wszystkim, czy naprawdę chciałam o to walczyć? Tak. Musiałam wyjechać. Gdybym tu została, nigdy nie poszłabym na studia. Jedyna droga do Paryża prowadziła przez Columbię. Już wcześniej doszłam do wniosku, że gdyby nawet do tej szkoły chodziły same snobki, wszystko mi jedno. Nie będę na nie zwracała uwagi, uzyskam dyplom i wyjadę w siną dal. Cóż to są cztery lata? Po tym, co musiałam znosić przez czternaście lat, banda złośliwych koleżanek ze szkoły wydawała się czymś zupełnie nieszkodliwym.

No dobra, powiedziałam sobie, po prostu ją zapytaj, kiedy wróci do domu. Zachowaj spokój i po prostu ją zapytaj.

Nakrywałyśmy z Livvie w kuchni do kolacji, gdy usłyszałam głos ciotki Carol, żegnającej mamę, a potem kroki mamy na kuchennych schodach.

- Boże, jaka jestem zmęczona! Muszę się na chwilę położyć! - Pocałowała mnie w czubek głowy. - Jak się czujesz, skarbie? Ciągłe boli cię gardło?

- Nie, nie boli. Przez cały dzień płukałam je ciepłą wodą z solą. - Byłam wściekła, a ona nawet tego nie zauważyła.

- Grzeczna dziewczynka. Hej, Livvie! Co jest na kolację? Czy ktoś dzwonił? Przyszła poczta?

- Mielone kotlety z ziemniakami. Listy leżą na stoliku w hallu. Telefonów nie było.

- Nikt nie dzwonił, mamo.

- W takim razie obudźcie mnie za pół godziny, dobrze? Chciałabym się chwilkę zdrzemnąć.

- Jasne - odparłam.

Livvie wróciła do roboty, wiedząc doskonale, że coś mnie gryzie. Czełała, aż sama jej powiem. Ciach, ciach, ciach. Cebula i papryka zaskwierczały na tłuszczu.

- Dobrze je najpierw trochę podsmażyć - powiedziała.

- Będziesz potrzebowała słonych sucharków?

- A tak, rozkrusz mi z piętnaście, dobrze?

- Dobrze.

Odłożyła nóż na blat i popatrzyła na mnie.

- No, powiedzże wreszcie, co ci znowu chodzi po głowie. Powiesz

sama, czy mam to z ciebie wyciągać?

- Livvie, nie uwierzysz, co się stało. - I opowiedziałam jej o wszystkim.

- Posłuchaj no, Susan - zaczęła - nie podnoś rabanu, że ci tego nie pokazała. Bądź miła. Przecie wiesz, że się trapi, co będzie, jak wyjedziesz. Zanieś jej na razie herbatę i ciastko, a potem jej powiesz i zobaczymy, co dalej.

- Boże, Livvie, jaka ty jesteś rozsądna! Masz rację.

Wzięłam od niej szklankę herbaty i dwa okrągłe ciastka w papierowej serwetce. Upłynęło zaledwie kilka minut, więc mama chyba jeszcze nie spała. Zapukałam do drzwi.

- Proszę - odpowiedziała. Nie leżała w łóżku; szukała czegoś w szafie.

- To ja, mamó, przyniosłam ci herbatę i coś słodkiego.

- Susan, grzebałaś w mojej szafie?

- Tak, potrzebowałam pióra, żeby napisać wypracowanie...

Przeraził mnie wyraz jej twarzy. Nigdy nie widziałam jej tak rozwścieczonej. Bywała zdenerwowana, zapłakana, przygnębiona, pijana, ale nigdy wściekła. Stała obok szafy, a ja wrosłam w podłogę przy łóżku.

- Ile razy mam wam wszystkim powtarzać, żebyście nie ruszali moich rzeczy?

- Przepraszam, mamó, nie chciałam być wścibska, szukałam tylko pióra...

- Domyślam się, że znalazłaś list ze szkoły Świętej Anny?

- Tak.

- I zapewne myślisz, że ot tak, po prostu, spakujesz się i mnie zostawisz?

- Nie wiem, mamó, ale...

- Ale co? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że nie mogę się bez ciebie obejść?

- To nie mój problem - szepnęłam.

- Co powiedziałaś?

W tym momencie straciłam panowanie nad sobą. Wiedziałam, że tak będzie, po prostu wiedziałam. Wszyscy wokół mogli mówić, że mnie poprą albo że matka na pewno nie stanie mi na przeszkodzie, lecz prawda wyglądała inaczej. Byłam zdana na siebie i nawet jeśli miałam ponieść porażkę,

pewne rzeczy należało postawić jasno.

- Powiedziałam, że to nie mój problem!
- Jak śmiesz!
- Bo taka jest prawda. Powinnaś być ze mnie dumna i cieszyć się razem ze mną, a ty to ukryłaś! Jak mogłaś zrobić coś takiego?
- Chciałam się nad tym zastanowić!
- Posłuchaj, mam, nie mam obowiązku wychowywania twoich dzieci! To nie moja wina, że jest nas cała cholerna czereda! Zamierzam na jesieni wyjechać do szkoły i nie możesz mnie powstrzymać!

Była tak wściekła i przerażona, że doskoczyła do mnie, zanim się obejrzałam, i z całej siły uderzyła mnie w twarz. Stałam jak wryta, nie mówiąc już ani słowa.

Wybiegłam z jej pokoju, a potem z domu, trzaskając frontowymi drzwiami tak, że omal nie wypadły z zawiasów. Poszłam przez wydmy prosto na brzeg morza. Musiałam się przespacerować, uspokoić i przemyśleć całą sprawę.

Trwał odpływ i przede mną rozpościerały się rozległe połacie pustej plaży. Było na tyle ciepło, że mogłam zrzucić buty i iść skrajem fal. Małe muszki pękały pod moimi stopami, krusząc się na miliony kawałków. Miażdżyłam je z przyjemnością.

Na białym piasku tuż poniżej wydmy leżał pień karłowatej palmy. Usiadłam na nim i przeczesałam palcami włosy. Piasek był drobny jak w klepsydze. Zanurzyłam w nim dłonie i przesyłam go przez palce. Ziarnka piasku, godziny życia, niewykorzystane szanse, stracone okazje, żywoty, które dobiegły końca, niespełnione marzenia. Czy mama kiedyś się opamięta? Czy uważa mnie za swoją własność?

Twąż piekła mnie od uderzenia. Wpadłam w taką wściekłość, że było mi wszystko jedno, czy jeszcze kiedyś zobaczę moją matkę. Bolała mnie głowa i gardło. Powinnam była wziąć ciepłą bluzę albo kurtkę, ale w pośpiechu nie pomyślałam o tym.

Pelikany i mewy krążyły wokół, pikując, a niektóre lażyły tuż nad wodą. Na mokradłach wodniki zagłębiały ostre dzioby w miękkim błocie. Morze było roztańczone i pełne życia, drobne fale wzbierały i układały się jak schody, podpływając ku mnie cał po cał. Wiał zimny wschodni wiatr.

Zamyślona, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie usłyszałam go ani nie zauważyłam jego nadejścia; dopiero gdy uniosłam głowę, zobaczyłam przed sobą Simona.

- Hej, Suz, co się dzieje?
- Nie mów do mnie Suz.
- Dobra, co tu robisz?
- Rozmyślałam o życiu.
- Tak? I co wymyśliłaś?
- Że jest do kitu.
- Owszem. Momentami.

Wiatr rozwiewał mu włosy. W jego dogadywaniu czaił się cień humoru, ale twarz miał poważną. I był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam. Zorientowałam się, że nie zawędrował tu przypadkiem. Usiadł obok mnie.

- A więc wiesz? - rzuciłam.
- Tak, Livvie mi powiedziała. Domyśliłem się, że znajdę cię na plaży.
- Jakim sposobem?
- Dziewczyny z Południowego Wybrzeża zawsze idą nad morze, kiedy chcą się nad czymś zastanowić. Żeglarze wsiadają na łódź, alpiniści wspinają się po górach, sportowcy rzucają piłką, a dziewczyny z Wybrzeża muszą pójść nad morze i zagrzebać stopy w piasku.

- Skąd nabrałeś takiej mądrości?
- Z jankeskich szkół i obserwowania tego, co się wokół mnie dzieje.

Myślałem, że jesteś chora.

- Już mi przeszło. Prawie.
- To dobrze. Opowiem ci coś, chcesz?
- Jasne.
- Kiedy miałem jakoś tak... no, nie wiem, z piętnaście lat, wróciłem pewnego razu do domu i zobaczyłem, że jakiś obcy facet zabawia się na całego z moją matką.

- Co?

- Tak, a ona kazała mi przysiąc, że nic nie powiem tacie. Znienawidziłem ją za to, ale wiedziałem, że rodzina by się rozleciała, gdyby ojciec się dowiedział. Na następne urodziny kupiła mi samochód. Niedługo potem

znowu po powrocie do domu zastałem ją w łóżku z kimś innym. Przepraszała mnie i w ogóle, i próbowała się tłumaczyć, że tata po prostu nudzi ją do łez. Nie wiedziałem, że nuda usprawiedliwia pieprzenie się z innymi facetami.

- I co zrobiłeś?
- Powiedziałem tacie.
- Dlaczego mi o tym opowiadasz?
- Zaczekaj, pozwól mi skończyć. Matka nazwała mnie zdrajcą, spakowała się i odeszła.

- O Boże, Simon, przecież to nie ty zdradziłeś, tylko ona!

- No właśnie. - Pwne oczy Simona spojrzały prosto w moje, niebieskie. Jego twarz znalazła się tak blisko mojej, że mało brakowało, a bym zemdląła. Rozumiałam, o czym mówi. Nie byłam jedyną osobą na świecie, zawiedzioną przez własnych rodziców.

- O Boże, i twoja matka zrobiła coś takiego? Jak mogła?
- Dorośli nie zawsze mają rację.
- Co prawda, to prawda.
- Owszem. - Jego oddech ładnie pachniał. Obejrzałam sobie jego usta.

Górna warga tworzyła niemal linię prostą, lecz dolna była pełniejsza i nawet jaśniejsza od górnej. A może to tylko cień tak padał?

- O czym myślisz? - zapytał.

Myślałam o dotknięciu jego ust opuszkami palców, lecz raczej zjadłabym tłuczone szkło, niż się do tego przyznała. Więc skłamałam.

- O twoim tacie. Czy naprawdę uważasz, że jest nudny?
- Pewnie tak. Jest świetnym chirurgiem, ale zawsze wydawał mi się trochę sztywny.

- Mnie też. Ale moja mama za nim szaleje.

- On również ma bzika na jej punkcie.

- Moja mama jest w sumie całkiem niezła. Gdybym wyjechała, faktycznie byłoby jej ciężko. Trzasnęła mnie w twarz. Czy Livvie wspomniała ci o tym?

- Pewnie tego żałuje.
- Ja na pewno tak. Boli mnie jak wszyscy diabli. - Głos mi się załamał i zaczęłam kaszleć.
- Chyba przyjdzie do siebie. Włóżysz mój sweter? Robi się chłodno.
- Jasne, dzięki.

Ściągnął swój granatowy sweter przez głowę i podał mi wywrócony na lewą stronę. Pod spodem miał jasnoniebieską koszulkę. Wstałam, by wciągnąć sweter. Usiłowałam to zrobić z wdziękiem, co kosztowało mnie wiele wysiłku. Rękawy były za długie, a kołnierz niszczył mi fryzurę. Odwróciłam się twarzą do wiatru, zgarniając włosy, a Simon patrzył na mnie.

- Na co się, do cholery, tak gapisz? - burknęłam.
- Na ciebie, czarownico. Naprawdę masz tylko czternaście lat?
- Nic na to nie poradzę. A ty czemu jesteś taki cholernie stary?
- Nie jestem aż taki znowu stary. I nie jestem twoim bratem. Jeszcze

nie.

Zaczęłam się denerwować. Czyżby żywił wobec mnie jakieś zamiary? Rany boskie!

- Co to znaczy: jeszcze nie?

- Nie znasz Stanleya. Gdy tylko ujrzał twoją mamę, zagiął na nią parol. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, są stworzeni dla siebie. Ojciec chce być komuś potrzebny po tym, co przeszedł z moją matką, a ona to dopiero ma potrzeby! Rozumiesz, on po prostu tęskni za życiem rodzinnym. Może rzeczywiście spędzał zbyt wiele czasu w szpitalu, ale poświęcił się całkowicie ratowaniu ludzi. Niesamowite, co?

- No cóż, moja mama od początku poświęciła się zwiększaniu przyrostu naturalnego. Mężczyzna w domu mógłby mieć dobry wpływ na Timmy'ego i Henry'ego. Przy odrobinie szczęścia we wrześnieju już mnie tu nie będzie.

- Naprawdę chcesz wyjechać do Columbii?

- Tak.

- Poproszę Stanleya, żeby zadzwonił do twojej mamy. Nie martw się. Poproszę go, żeby zadzwonił jeszcze dzisiaj.

- Dzięki, Simon. Świetny z ciebie facet, wiesz o tym?

- Dziękuję, Suz.

- Błagam, nie mów tak do mnie! - zakwiliłam.

Uśmiechnął się i znowu poczułam to dziwne ściskanie w dołku. Wiedziałam, że Simon chce mnie pocałować i pragnęłam, by to wreszcie zrobił, bo wtedy nie musiałabym już się tym denerwować.

- Simon?

- Tak? - rzucił. - Masz piękne włosy, wiesz o tym?
- Włosy? Zaraz, chciałam cię o coś zapytać...

Simon wstał.

- Mój sweter pozwiłał ci się na plecach. Mogę go poprawić?
- Zapomniałam, co chciałam powiedzieć...
- Nieważne. - Otoczył mnie ramieniem, żeby poprawić sweter, i jego dłoń spoczęła na moich plecach, tuż powyżej talii.

Spojrzał mi w oczy, domyślając się zapewne po wyrazie czystej zgrozy na mojej twarzy, że nikt mnie jeszcze nigdy nie pocałował. Popatrzyłam na niego, nie bardzo wiedząc, co robić, i czując się dość głupio z rękoma zwi-sającymi bezwładnie po bokach.

Ostatecznie postanowił zostać wielkim zdobywcą moich dziewiczych ust. Jego dłoń musnęła mój policzek i ucho, a potem wsunęła się we włosy i przyciągnęła mnie do niego, unosząc lekko moją głowę. Pomyślałam: O Boże, to jest to! Gdy jego usta dotknęły moich, nie miałam pojęcia, co z sobą zrobić. Według kinowych standardów był to lekki, niewinny pocałunek, zupełnie bezgrzeszny, jeśli pominąć fakt, że Simon był innego wyznania i znacznie starszy ode mnie. Czułam się cudownie.

Objął mnie i przytulił - i staliśmy tak razem na pustej plaży, wdychając podmuchy wiatru i patrząc na ciemniejące niebo. Fale przyływu niemal obmywały nam stopy. Był już czas wracać do domu. Ale ja nie chciałam wracać. Chciałam zostać tu z nim na zawsze.

- Simon?
- Hmm?
- Nie masz dziewczyny?
- Zerwała ze mną. Wczoraj dostałem list.
- Jeju, to okropne. Jak ci się wydaje, możemy to zrobić jeszcze raz?
- Tak. Więcej niż raz.

Następny pocałunek był mniej niewinny. Simon wydawał się nieco bardziej podniecony, a we mnie podniecenie wyraźnie narastało. Mając wybór między całowaniem się na pustej plaży z mężczyzną moich marzeń a powrotem do domu, gdzie czekało mnie zmienianie pieluch i użeranie się ze stukniętą matką, nie miałam się nad czym zastanawiać. Zamierzałam pozostać dokładnie tam, gdzie byłam, i całować się z tym mężczyzną do upadłego. Było mi tak dobrze, że to po prostu nie mieściło się w głowie.

- Boże, Simon - szepnęłam, czując, że moja cnota jest narażona na szwank.
- Mógłbym się tobą upić - mruknął, wtulając twarz w moją szyję.

Mężczyźni, w przeciwieństwie do dziewcząt, mieli władzę. Mogłam wykopać dół, wskoczyć doń i pogrzebać się żywcem, a i tak nie osiągnęłabym tego, co zdziałali Stanley i Simon dzięki dwóm rozmowom telefonicznym. Mama zgłupiała na tle Stanleya Rifkina do tego stopnia, że skończyłaby z Cooper River Bridge, gdyby ją o to poprosił. Pozwoliła mi wyjechać do Świętej Anny i nawet zaczęła się z tego cieszyć.

Zanim nadszedł maj, przechwalała się już na wszystkie strony moim stypendium, zupełnie jakby to był jej pomysł. Jakby to ona dostała stypendium. Było mi wszystko jedno. Ludzie już tacy są.

Miałam ważniejsze sprawy na głowie. Simona. Spotykaliśmy się nad morzem, przynosząc piwo i chipsy, i pieściliśmy się jak szaleni. Doszliśmy do tego, że kładliśmy się razem na piasku, a ja niemal odchodziłam od zmysłów.

Pewnego dnia umówiliśmy się na krańcu wyspy, dokąd nikt nigdy nie zaglądał. Dotarłam tam plażą, a Simon przyjechał autem. Wydawało nam się, że jesteśmy niezwykle sprytni. Zaczekałam na niego.

- Cześć! - zawołałam.
- Cześć! - odkrzyknął.

Może nie byliśmy najpoetyczniejszą parą zakochanych na świecie, ale niedostatki romantyczności nadrabialiśmy entuzjazmem. Pomogłam mu rozpakować bagażnik. Przywiózł sześciopak budweisera i chipsy Frito. Wyjął z bagażnika koc. Przemierzyliśmy wydmy, trzymając się za ręce, i rozłożyliśmy koc w miejscu, z którego najlepiej było widać zatokę. Nadciągał przypływ.

- Chcesz piwa? - Podał mi otwartą puszkę, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Jak zwykle, wypiliśmy połowę, siedząc na kocu, a potem Simon odwrócił się w moją stronę.

Po chwili już się całowaliśmy. Doszliśmy do etapu, na którym zaczął mi wsuwać dłoń pod bluzkę. Zastanawiałam się, czy właśnie dzisiaj dotknie

moich piersi. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy mu na to pozwolić, bo to przecież był grzech, a przynajmniej tak mi się wydawało. Im goręcej się całowaliśmy, tym trudniej przychodziło mi pamiętać, co się zalicza do aktów nieczystych, a co nie.

Całowaliśmy się teraz namiętnie. Simon leżał na mnie, napierając rytmicznie na moje biodra. Wyraźnie czułam, że sprawia mu to przyjemność. A dopóki było mu przyjemnie, nie przestawał mnie całować, więc pozwalałam mu robić, co chciał. Wsunął mi rękę pod bluzkę i pogładził mnie po plecach. Zanim się zorientowałam, rozpiął mi stanik i jego dłonie zaczęły wędrować po moim ciele. Powinnam była go powstrzymać i omówić zaistniałą sytuację, lecz nie zrobiłam tego. Było mi cudownie i doprawdy nie widziałam powodu, żeby przerywać.

- Susan - wymruczał aksamitnym głosem.
- Co? - spytałam.
- Kocham cię, Susan, wiesz o tym.
- Ja też cię kocham, Simon.

Dostrzegłam, że ma półprzymknięte oczy. Przebywał w innym świecie, a ja pragnęłam mu towarzyszyć. Rozpiął mi bluzkę i zaczął całować piersi. Przeszył mnie tak mocny dreszcz, że dech mi zaparło. Simon wsunął się na mnie i poczułam, że pragnę jakiegoś spełnienia. Dyszałam jak biegaczka na mecie.

Plask! Plask! Plask!

- No już, dość tego dobrego! Wstawaj, synu. Daj dziewczynie odechnąć.

Mój wzrok padł prosto na wyglansowane policyjne buty. Gruby Albert, miejscowy stróż prawa, uderzał pałką o dłoń. Pospiesznie doprowadziliśmy się do porządku, zdając sobie sprawę, że wpadliśmy w poważne tarapaty.

- Panno Susan, ile panna ma lat? - spytał Gruby Albert.
- Szesnaście - skłamałam w żywe oczy.
- Aha - mruknął, poprawiając pas na brzuchu. - A ty, synu? Masz jakiś dowód tożsamości?
- Tak, w skrytce w samochodzie - odparł Simon.

Ruszyli razem przez wydmy. Wydawało mi się, że minęła godzina, zanim Simon wrócił.

- No i co?

- Usłyszałem długą listę naszych wykroczeń. Picie alkoholu w miejscu publicznym, poniżej dozwolonej granicy wieku, deprawowanie nieletniej... wszystko, cokolwiek wymienisz.

- I?

Simon złożył koc. Pozbierałam puszkę piwa i włożyłam z powrotem do torby.

- I powiedział, że jeśli nas jeszcze raz przyłapie na swojej plaży, to nas aresztuje.

- To wszystko?

- Tak. Jako parę głuptasów puścił nas wolno.

- Cóż, jest jeszcze Wyspa Palm - zauważyłam.

- To właśnie w tobie kocham. Jesteś szalona!

Obydwoje byliśmy parą szalonych głuptasów. Simon nie mógł nawet zabrać mnie do kina. Byłam za młoda, żeby się umawiać na randki! No, może nie za młoda, ale nie robiła tego żadna dziewczyna z mojej klasy, a w naszej rodzinie należało się najpierw upewnić, że nie jesteś materiałem na zakonnice.

Simon był moją pierwszą i jedyną miłością. Przyznawałam jednak w duchu, że Gruby Albert zjawiał się w samą porę. Teraz rozumiałam, dlaczego Maggie tak latała za Luciušem. Pieszczoty były cudowną, lecz niebezpieczną zabawą. Już widziałam, jak obie zachodzimy w ciążę. Dobry Boże.

Nadszedł maj i doktor Wyślij Ją Do Szkoły wybierał się do nas na weekend. Oboje z moją mamą albo do siebie pisali, albo dzwonili. Mama może i była stuknięta, ale wydawała się inna niż dawniej, silniejsza. Nagle zaczęła mieć własne zdanie i wypowiadała je jak osoba szczęśliwa, a nie jak ktoś, kto lada chwila oczekuje katastrofy. Tak działa miłość, pomyślałam. Mama z ciotką Carol siedziały w kuchni, rozmawiając o nim. Livvie i ja łuskałyśmy na kuchennych schodach pięć funtów fasoli. Zapewne o nas zapomniały, jak zwykle.

- O co ci chodzi, Carol? - zapytała mama.

- O nic. Po prostu od Wielkanocy nie da się z tobą porozmawiać na żaden temat z wyjątkiem Stana. To już się robi trochę nudne, M.C. Przykro mi, że ci to mówię, ale taka jest prawda.

Popatrzyłyśmy z Livvie po sobie, wyczuwając kłopoty.

- Jest zazdrosna - szepnęłam.

- Hm - mruknęła Livvie.

- No cóż, nikt ci nie każe przebywać w moim towarzystwie, Carol Asalit.

- Co? A to dopiero! Bardzo dobrze. Świetnie! Wracam do domu, do męża, który potrafi mnie docenić.

- Mój mąż podobno też potrafił cię docenić.

- No nie! - Ciotkę zatchnęło i na chwilę zapadła cisza. - Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać fałszywych oskarżeń!

- Jeśli nie będziesz się zachowywać przyzwoicie, jeśli zachce ci się choćby zerknąć na Stana, powiem o wszystkim mojemu bratu!

- Ty! Wydaje ci się, że jesteś taka święta!

- Ha! A tobie się wydaje, że jesteś jedyną kobietą na świecie! Starzejesz się, Carol! Twoje zylaki są coraz bardziej widoczne, a kiedy się złościsz, wokół ust robią ci się zmarszczki.

- Nigdy więcej nie przekroczę progu tego domu!

- Świetnie! - odparła moja matka. - Nie będę musiała się martwić przy kolacji, gdzie trzymasz stopy!

Rany Julek, pomyślałam, skąd mama o tym wiedziała? Co istotniejsze, czy to naprawdę moja mama tak się wyrażała? Spojrzałam na Livvie. Miała nieco zakłopotaną minę.

- Powiedziałaś jej o tych stopach, dopiero jak się okazało, że pani Simpson jej wygadała, co było w czasie burzy!

Alice Simpson puściła farbę i zdradziła „burzową tajemnicę” ciotki i taty. A Livvie dołożyła swoje. I bardzo dobrze!

Ciotka Carol trzasnęła drzwiami i zbiegła po schodach do auta, czerwona jak burak. Nasz pies pomknął za nią, szczekając. Uniosła nogę, żeby go kopnąć, ale odskoczył, a potem dał susa w jej stronę. Wyjechała tyłem z podwórza, wzbijając tumany pyłu. Hultaj popędził za samochodem, jazgocząc wniebogłose, aż wreszcie jego szczekanie ucichło w oddali. Kuchenne drzwi znowu się otworzyły i mama stanęła na najwyższym stopniu. Uśmiechnęła się do nas.

- Wielkie nieba, pani M.C., co panią ugryzło? - Livvie śmiała się od ucha do ucha. Ja również.

- Nic mnie nie ugryzło, Livvie, po prostu już się jej nie boję. Szczerze mówiąc, nigdy nie czułam się tak dobrze. Boże! Co za piękne popołudnie!

- Jeśli ktoś tu chce usłyszeć moje zdanie - odezwałam się - to nigdy

za nią nie przepadałam i wcale nie będzie mi jej brakowało!

Mama popatrzyła na mnie tak, jakby ją zaskoczyło, że jestem już prawie dorosła. Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Widziałyście, jak jej tyłek sfruwał ze schodów? - zapytałam Livvie i mamę.

- Szkoda, żeście nie mogły zobaczyć jej twarzy, kiedy powiedziałam, że wiem o wszystkim - oznajmiła mama. - Ta kobieta doprowadza mnie do szału! Mam nadzieję, że naprawdę powtórzy wszystko Louisowi, a wtedy ja też mu powiem, co wiem!

- Pewnie, mamó! Byłaś świetna!

- Mówię wam, już od dwudziestu lat miałam ochotę dać nauczkę tej takiej-owakiej!

- Dobrze się spisałaś, mamó - powiedziałam. - Chodź, weźmiemy bliźniaczki na spacer.

Co też uczyniłyśmy.

Zamiatałyśmy z Livvie ganek. Wkrótce, w ostatni weekend maja, miał przyjechać Rozwiedziony i Bogaty Żydowski Doktor, i mama chciała, żeby wszystko było jak należy. Bliźniaczki siedziały w kojcu, gaworząc po dziecinnemu. Potrafiły się bardzo ładnie bawić i kaprysiły tylko wtedy, gdy były zmęczone albo głodne/Oczywiście, wszyscy się nimi zajmowaliśmy i otaczaliśmy je troską. Wkrótce miały obchodzić pierwsze urodziny.

Doktor Stanley Rifkin przyjechał wynajętym czerwonym autem ze składanym dachem i zaparkował przed domem. Usłyszałam na schodach kroki Simona. Stanley wysiadł i pomachał nam na powitanie.

- Dzień dobry! - zawołałam. - Jak się panu leciało?

- Doskonale, Susan, dziękuję! Jesteś bardzo miłą dziewczynką!

- Raaany - mruknęłam pod nosem, a Livvie zachichotała. Wiedziała, że ten człowiek mnie irytuje. Nie przypominał Simona, który podobnie jak ja miał na wszystko gotową odpowiedź. Nie, pan Rifkin był spokojny i powściągliwy, miał maniery jakby nie z tej epoki. Wszystko w jego zachowaniu świadczyło o inteligencji. Wręcz nie mogłam uwierzyć, że taki wpływowy, wykształcony człowiek pragnie się związać ze zwariowaną wdową, matką sześciorga dzieci.

Livvie przytrzymała drzwi, żeby łatwiej było wnieść bagaż. Walizkę zdobiły litery L i V*. Czy nie było go stać na własne inicjały, skoro podobno miał tyle pieniędzy?

* Louis Vuitton - znany kreator mody (przyp. red.).

- Cieszę się, że was widzę - powiedział. - O, Simon, witam cię, chłopcze. Chodźcie tu bliżej. Chcę wam coś pokazać.

- Cześć, tato! - Simon pocałował ojca w policzek.

Stanley był wyraźnie zdenerwowany i podniecony. Zaczął grzebać po kieszeniach i wreszcie wyciągnął aksamitne pudełeczko. Otworzył je, żebyśmy zobaczyli, co jest w środku. Był to piękny, wielki niemal jak kołatka pierścionek z okrągłym, jasnym brylantem. Mógłby w nocy oświetlać boisko sportowe. Po dwóch stronach brylantu tkwiły nieco mniejsze rubiny. Opadła mi szczęka, Simonowi również, a Livvie wybuchnęła śmiechem.

- O Boże w niebiesiech! Boże w niebiesiech! - Tańczyła w kółko, klepiąc się po udach.

- Będzie dobry? - zapytał z szerokim uśmiechem Stanley. Wskazał na Livvie. - Czy to ma oznaczać aprobatę?

- Panie doktorze, nie musi pan mnie pytać o zdanie, ale jedno panu powiem: ta rodzina potrzebuje właśnie kogoś takiego jak pan! Tak jest! Właśnie kogoś takiego! Bóg mi świadkiem! To największy brylant, jaki zem w życiu widziała! Niech no tylko Harriet się dowie!

- Bracie! - powiedziałam i uściskałam Simona.

- Siostro! - zaśmiał się i odwzajemnił uścisk.

- No cóż, posłuchaj, Susan - zaczął Stanley. - Najpierw pojedę do Louisa i poproszę go o rękę twojej matki. Za jego przyzwoleniem, i oczywiście za zgodą M.C., chciałbym poślubić waszą mamę tej jesieni. Wiem, że nie mogę wam zastąpić ojca, jesteście już na to za duzi. Ale pragnę zostać waszym przyjacielem. W razie potrzeby od razu przychodź do mnie, dobrze? I mów mi Stan. Zawsze chciałem mieć córkę, a teraz mogę ich mieć aż cztery! Jeśli Marie Catherine powie „tak”, słowo daję, będę najszcześliwszym człowiekiem na świecie!

- Och, Stan! - zawołałam, ściskając mocno staruszka. - Naprawdę bardzo się cieszę ze względu na was oboje. Proszę cię tylko, postaraj się,

żeby ciotka Carol dobrze sobie obejrzała pierścionek.

- Doskonale rozumiem - odparł i mrugnął do mnie.

Wyczuwałam bliźniaczki i wszystkich w domu dwa albo nawet trzy razy. Mimo iż mama się zaręczyła i było ich stać na zatrudnienie Livvie, nadal bardzo się denerwowałam wyjazdem do szkoły. Ślub mamy ze Stanleyem Rifkinem zwiastował wielkie zmiany w życiu mojego rodzeństwa. Ale przynajmniej mieli siebie nawzajem. Ja musiałam radzić sobie sama.

Przez całe lato prowadziłyśmy z Maggie długie nocne rozmowy. Czułam, że będę za nią bardzo tęskniła. Rozważała zerwanie z Luciušem z tych samych przyczyn, jakie wpłynęły na ochłodzenie moich kontaktów z Simonem. Choć starsza ode mnie, dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę, że Lucius nigdy się z nią nie ożeni. Jego matka i jej wirginijscy krewni za nic nie zaakceptowałyby dziewczyny z Wyspy Sullivana, mimo że nasi przodkowie walczyli we wszystkich wojnach, jakie toczono w Ameryce w ciągu ostatnich dwustu lat.

Byliśmy teraz z Simonem tylko przyjaciółmi. Po zaręczynach mamy i Stanleya nasza miłość zaczęła się nam wydawać czymś nie na miejscu. W każdym razie Simon obiecał, że będzie do mnie pisał i że odwiezie mnie do Świętej Anny. Podarowałam mu swoje zdjęcie, zrobione w Furchgott's Studio w Charlestonie. Wyglądałam nieźle w białych bawełnianych koronkach. Przed oprawieniem zdjęcia w ramki napisałam na odwrocie: *Mojej jedynej prawdziwej miłości. Susan*. Miałam nadzieję, że nigdy nie wyjmie fotografii z ramki i nie zobaczy tej dedykacji.

Timmy rozplakał się na widok moich spakowanych walizek. Henry też uderzył w płacz. Uciszyłam obu celnym kopnięciem w goleń.

- Pamiętajcie, że tak bywa w życiu - powiedziałam - i piszcie do mnie co tydzień, dobra? Opiekujcie się Maggie i bliźniaczkami, a w razie jakichś kłopotów zadzwońcie do mnie. Obiecujecie?

Wymieniliśmy przyrzeczenia i uściski. Nic im się nie mogło stać, a ja miałam przyjechać za trzy tygodnie na wesele. Jeszcze nie pozbyli się mnie tak do końca. Podrapałam Hultaja za uszami.

Najtrudniej było pożegnać się z Livvie. Czekała na mnie w kuchni.

- No i co? - zagadnęłam. - Gdyby nie ty, prędzej bym trafiła do więzienia niż do szkoły z internatem.
- Co prawda, to prawda - odparła.
- Nie potrafię się z tobą pożegnać, Livvie.
- Nie musisz tego robić, Susan.
- Co masz na myśli?
- Lustro. Nawet jak już odejdę do wieczności i mojego Nelsona, wrócę do ciebie.
- Tak, Livvie, ale ja naprawdę nic nie widzę w tym lustrze.
- Przyjdzie dzień, że zobaczysz. I nie zapominaj, że pewna kolorowa staruszka bardzo kocha pewną dziewczynę z wyspy.
- O Boże, Livvie, ja też cię bardzo kocham. Zawsze będę cię kochała.

20.

Magia Południowego Wybrzeża

1999

- Maggie? - powiedziałam do słuchawki. - Zgadnij, co odkryłam.

Opowiedziałam mojej siostrze o fotografii ze zjazdu Klanu, na której rozpoznałam buty Grubego Alberta i sandały Marvinina Struthersa. Maggie osłupiała.

- A niech mnie licho. Nie wystarczyło staremu Marvinowi, że jest burmistrzem? Musiał jeszcze zostać Wielkim Smokiem?

- Wiem. To znaczy, wszystko się zgadza, Maggie. Albert prawdopodobnie potrafił tatę na szosie, a potem obaj z Marvinem Struthersem zepchnęli jego auto na mokradła. Muszę to wszystko przemyśleć. Jestem pewna, że gdybym dobrze poszukała, znalazłabym dowody, ale to dla mnie i tak wielka ulga wiedzieć, co się stało. Nic dziwnego, że Marvin powierzył prowadzenie śledztwa Albertowi! Nic dziwnego, że nikomu nie postawiono zarzutów! Szkoda tylko, że stary Marvin z Albertem od lat gryzą ziemię.

- Racja. To znaczy, co byś zrobiła z dowodami winy? Nieboszczyka nie da się wsadzić do więzienia.

- Właśnie. I nie warto robić wstydu ich rodzinom.

- Tak, ale przede wszystkim dobrze, że wreszcie odzyskasz spokój ducha.

- Owszem. Maggie, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się myśleć o tacie jako o bohaterze?

Umilkłyśmy na chwilę, ogłuszone tą myślą.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Aż do teraz.

- Boże wszechmogący. Życie jest naprawdę dziwne.

Nadeszła środa przed Bożym Narodzeniem. Codziennie pracowałam do późna w bibliotece, a jednocześnie starałam się przygotować do świąt. Przez

cały tydzień panowała niemal wiosenna pogoda, dzięki czemu zrywanie gałązek do dekoracji stało się bardzo przyjemnym zajęciem. Ubrałam wreszcie choinkę do końca i rozmieściłam światełka wokół domu. Pośrodku stołu w jadalni ustawiłam szklany wazon z gałązkami magnolii, między którymi poutykałam czerwone szklane kulki na patykach. Do wyczyszczenia liści magnolii użyłam wesson oil - tej sztuczki nauczyła mnie Maggie - tak że można się było w nich przejrzeć i zrobić sobie przedziałek. A skoro już mowa o włosach, pamiętałam o wysłaniu kartki do Kima. Zaczynałam go uważać za przyjaciela i cieszyłam się, że wkroczył w moje życie. Potrzebowałam kogoś jeszcze oprócz Maggie i Beth.

Od czasu operacji i pobytu w moim domu Tom kontaktował się ze mną rzadko i tylko po to, żeby omówić kwestie finansowe i odwiedziny, co kazało mi przypuszczać, że Karen uplasowała się na dobre w jego życiu. Niekiedy rozmawialiśmy o kuracji, którą w dalszym ciągu przechodził. Ulżyło mi, że nie mam go przez cały czas na karku. Co do pieniędzy, to zarządzeniem boskim mianowano mnie tymczasowym dyrektorem biblioteki. Zarząd miał w planach rozpisanie konkursu, ale prezes i członkowie komisji zapewnili mnie nieoficjalnie, że wolą, abym to ja zajęła miejsce Mitchella Freemonta. Przytoczyli stare porzekadło, że z dwojga złego lepsze to, co się już zna. Nie taki komplement pragnęłam usłyszeć, ale podwyżka pensji wynagrodziła mi osobiste afronty.

Gdy wróciłam do domu, Beth w kuchni pakowała prezenty, bawiąc się pysznie przy ozdabianiu paczuszek, które wyglądały tak ładnie, że żal byłoby je otwierać. Owinęła je w brązowy papier, przewiązała sznurkiem i namalowała złote gwiazdki. Dzięki Bogu, ma to po Maggie, pomyślałam.

- Boże, skarbie, nie będzie ci przykro się z nimi rozstać? - zagadnęłam.
- To opakowanie samo w sobie jest prezentem!
- Aha, w pewnym sensie. Wiesz, mam takie jakieś doobre przeczucie w związku z tymi świętami, ciekawe, dlaczego. Może dlatego, że przepadam za moimi ciociami i wujkami i kiedy przyjadą, pogadam sobie wreszcie z kuzynkami mniej więcej w moim wieku. Bucky i Mickey doprowadzają mnie do szału.

- Zbyttnia zażyłość rodzi wzgardę.
- Wszystko jedno. Co kupiłaś tacie na Gwiazdkę?

- Proszę?
- Nie zamierzacie już sobie dawać prezentów, czy jak?
- Ehm, nie sądzę. - Otworzyłam dietetyczną pepsi i pociągnęłam solidny łyk.
- Och, a mnie się wydaje, że on ma coś dla ciebie.
- Ciekawe co? Darmowe skierowanie do dentysty na leczenie kanałowe? Chcesz pepsi?

- Nie, dziękuję. Sama zobaczysz. Wpadnie tu za parę minut.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz? Wyglądam potwornie!

Pobiegłam na górę, uczesałam się, zmieniłam bluzkę i spryskałam się perfumami. Myjąc zęby, usłyszałam pukanie do drzwi.

- Wesołych Świąt, tatusiu!

- Wesołych Świąt, księżniczko! Gdzie twoja mama?

- Zaraz schodzę! - zawołałam i pomyślałam: no to pięknie, a jeśli on chce jechać z nami w Wigilię do Maggie?

Ale zaraz po przywitaniu wygłosił oświadczenie:

- Zajrzałem tylko na chwilę. Jedziemy z Karen do Myrtle Beach spędzić święta u jej rodziców.

Dostrzegłam wyraz zawodu na twarzy Beth, co skłoniło mnie do zjadliwej uwagi.

- No cóż, jestem pewna, że dojdiesz z nimi do porozumienia. Bądź co bądź są to ludzie w twoim wieku i...

- Nie musisz tego mówić, Susan, rozumiem, do czego zmierzasz - przerwał. - Posłuchaj, nie przyjechałem tu, żeby dyskutować o wieku Karen. Przywiozłem ci prezent gwiazdkowy. Wiem, że uważasz mnie za durnia i myślisz, że nic mnie nie obchodzi. Chcę cię przekonać, że mnie obchodzi i że jestem z ciebie dumny.

Wskazał dwa pudła, jedno ogromne, drugie mniejsze.

- O rety, dziękuję. Czy to sprzęt gospodarstwa domowego? Nie daje się wyczcak w prezencie, Tom.

Zawsze żartowaliśmy z naszych znajomych, którzy na Gwiazdkę i przy innych ważnych okazjach dawali sobie w prezencie kosiarki do trawy, miksery i tostery. Pewien żalosny typ zamontował na czterdzieste urodziny swojej żony łańcuchowe ogrodzenie wokół wybiegu dla jego własnych myśliwskich psów.

Tak czy owak, była to pora obdarowywania, a ja zostałam przyłapana z pustymi rękami. Powinnam była coś Tomowi kupić, zwłaszcza że przeżywał ciężkie chwile, walcząc z chorobą.

- Uwierz mi, że pomimo wtyczki jest to prezent. A nawet coś więcej. Kupione z myślą o twojej karierze czy jakkolwiek to nazywasz. Chciałem ci dodać otuchy. Wiesz, żebyś zrozumiała, że naprawdę jestem po twojej stronie.

- Matko jedyna, Tom. To znaczy, dzięki. Bardzo ci dziękuję. O rety.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Usiadłam na sofie i otworzyłam najpierw mniejsze pudełko. Znalazłam w nim notebook. Omal nie zemdlałam z wrażenia.

- Tom! To jest fantastyczne! Dziękuję, kochanie! Mój Boże! Beth, popatrz!

- Tatusiu, to niesamowite! Mamo, czy ja też będę mogła go używać?

- Proszę bardzo - odparł Tom. - W drugim pudle jest kolorowa drukarka razem ze wszystkimi kablami, gadżetami do ładowania baterii i całym technicznym oprzyrządowaniem, które przyprawia mnie o ból głowy. Ale ty na pewno dasz sobie z tym radę!

Zignorowałam pytanie Beth, uświadamiając sobie, że Tom wykonał pożegnalny gest. Nie musiałam się dłużej zastanawiać, czy zechce wrócić. Już nie chciał, ale pragnął pozostać ze mną w przyjaźni, co - zważywszy nasze dotychczasowe przejścia - zakrawało na cud. Nie zamierzałam go odrzucać.

- Tatusiu, mam coś dla ciebie. Sama zrobiłam.

- Ach, księżniczko, byłbym zapomniał. To dla ciebie. Karta Visa, żebyś mogła sobie kupować stroje i co tam chcesz. Możesz wydać do trzystu dolarów miesięcznie, a ja będę pokrywał rachunki. Co ty na to?

Beth z piskiem i okrzykami rzuciła mu się na szyję - i nie miałam jej tego za złe. Powinnam zrobić to samo, pomyślałam. Obydwa podarunki były nadzwyczajne - jeden ułatwiał mi życie, a drugi pozwalał zachować płynność finansową. Gdy Beth zaczęła szukać pod choinką prezentu dla Toma, poklepałam kanapę obok siebie.

- Chodź tu, usiądź przy mnie.

Usłuchał, wyraźnie z siebie zadowolony, zresztą nie bez powodu.

- Dziękuję ci, Tom. To bardzo miło z twojej strony. Teraz będzie nam o wiele łatwiej, wiesz o tym. Naprawdę jestem ci wdzięczna.

- Susan, dużo razem przeżyliśmy. Chciałbym spróbować wynagrodzić ci niektóre moje idiotyczne posunięcia.

Wzięłam go za rękę i coś ścisnęło mnie w gardle, gdy zobaczyłam prezent Beth. Wręczyła mu duży, płaski pakunek, bardziej ozdobny i pozłacany niż pozostałe. Bądź co bądź, przygotowała go dla swego taty.

- Proszę, tatusiu, to dla ciebie. Wesołych Świąt - powiedziała cicho.

Tom powoli odwinął papier, podziwiając artystyczne walory opakowania. Rozśmieszył Beth pytaniem, czy w środku jest sportowy samochód, czy wieża stereo. Okazało się, że to album. Na karcie tytułowej Beth napisała: DAWNE DOBRE CZASY. Na każdej stronie były zdjęcia tworzące kronikę naszego życia - wszystkie pokazywały nas szczęśliwych i uśmiechniętych. Do każdego Beth dołączyła podpis na skrawku papieru, by przypomnieć ojcu, jakie to wydarzenie zostało uwiecznione. Zauważyłam fotografię z jej pierwszych urodzin: uśmiechnięta, trzymam na rękach Beth, której buzia i sukienka są całe umazane kremem z tortu. Pod spodem znalazło się zdanie: „Ani Ty, ani mama nie gniewaliście się na mnie, że narobiłam takiego bałaganu”.

Czytając te słowa, poczułam się nieswojo. Przyszło mi do głowy, że może Beth obwinia siebie o nasz rozwód, tak jak ja obwiniałam się o śmierć taty. Ale to przecież my dwoje narobiliśmy bałaganu, nie ona. Teraz staraliśmy się to naprawić ze względu na nią i po trosze ze względu na samych siebie.

Tom wskazał jedno ze zdjęć.

- Pamiętasz, jak się bałaś Wielkiego Ptaka? - zapytał Beth.

- Pamiętam, że nosiłeś mnie na barana - odparła.

- Czy przynieść komuś coś do picia? - Nie usłyszałam odpowiedzi. - Zaraz wracam - rzuciłam.

W kuchni nalałam sobie szklankę wody. Weź się w garść, Susan, nakażalam sobie, zbliża się Boże Narodzenie. W święta ludzie zawsze bardziej się wzruszają. To był dla ciebie trudny rok. Wiele się zmieniło, także na lepsze.

Byłam gotowa walczyć o tę więź. O tę przyjaźń. O wzajemną bliskość Beth i Toma. Uświadomiłam sobie, że w ostatnich miesiącach jednym z

najboleśniejszych problemów były pieniądze. Teraz, gdy moje zarobki mogły wystarczyć na utrzymanie, a Tom zadeklarował pomoc, nie musieliśmy już się o to wyklócać.

Może to dziwne, ale pomimo toczącej się sprawy rozwodowej nadal byliśmy rodziną. Zawsze nią będziemy. Zbyt wiele nas w przeszłości łączyło, byśmy mieli się definitywnie rozstać. Musiałam to jakoś wytłumaczyć Beth. Gdybyśmy się z Tomem nie kłócili, nie miałyby się o co obwiniać.

Stałam oparta o zlew, obejmując się ramionami i zaciskając zęby, jak zwykle w chwilach głębokiego zamyślenia, gdy w drzwiach pojawił się Tom.

- Na mnie już czas, Susan. Wesołych Świąt. Pozdrów ode mnie Maggie, Granta i chłopców, dobrze?

- Oczywiście. Słuchaj, jeszcze raz dziękuję. Z całego serca. Czuję, że wszystko idzie ku lepszemu. A ty?

- Tak, wystarczy tylko chcieć.

- Najważniejsza jest Beth. Ona nas bardzo kocha.

- Wszyscy się bardzo kochamy, Susan.

- Jak się czujesz? - spytałam.

- Nieźle. Wyjęli mi cewnik i zobaczę, co będzie dalej. Zadzwoń do ciebie po świętach i pogadamy.

- O czym? Coś jest nie w porządku?

- Nie, wszystko w porządku, przysięgam. Jestem tylko trochę zmęczony i bez przerwy mnie mdli. No nic, życzę wam obu najwspanialszych Świąt. Złóż ode mnie życzenia Maggie, Grantowi i chłopcom.

- No dobrze, mój śliczny, twoja małolata pewnie już się o ciebie niepokoi. Pozdrów ją ode mnie i jedź ostrożnie, dobrze? Pamiętaj, że masz jeszcze nas. A teraz znikaj, zanim zacznę egzekwować prawa małżeńskie.

- O Boże, Susan, jesteś wspaniała.

- Zgadzam się - przytaknęłam, otwierając drzwi. - Ty też. Dzięki, Tom. Za wszystko.

- Proszę bardzo. Wiesz, mogłabyś mi podarować jakąś wodę po goleniu.

- O Boże, przepraszam cię za to. Tamtego dnia naprawdę nie pano wałam nad sobą.

- To był ciężki dzień. - Uśmiechnął się do mnie i przez długą chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem cmoknął mnie w policzek i ruszył ku drzwiom.

- Wesołych Świąt, Susan Hayes - rzucił przez ramię.

- Wzajemnie, Tomie Hayes.

Stojąc w progu, patrzyłam, jak odjeżdża w gęstniejącym zmierzchu. Poczułam sosnowy zapach wieńca wiszącego na drzwiach, a na czubkach naszych strzyżonych krzewów zapaliły się białe światełka. Zastanawiałam się, czy z Tomem naprawdę wszystko w porządku i co takiego chciał mi powiedzieć po świętach. Postanowiłam tego dłużej nie roztrząsać, dochodząc do wniosku, że gdyby coś było nie tak, nie wróciłby do Karen. Ale mimo wszystko nie wyglądał dobrze.

Boże Narodzenie było tuż tuż i nie mogłam się doczekać wyjazdu do Island Gamble, domu Maggie nad brzegiem morza, naszego wspólnego domu.

Rano posprzątałam kuchnię, słuchając wiadomości i notując w myślach, co musimy zmieścić w samochodzie. Timmy i Henry z rodzinami mieli przyjechać w pierwszy dzień świąt i zostać na cały tydzień. Bliźniaczki wymówiły się pod jakimś pożałowania godnym pretekstem. Beth wyskoczyła po wiórki kokosowe, karmelki, wiśnie i dwie puszki koktajlu owocowego. Przyrządzała ambrosję dla swoich młodszych kuzynek. Przypuszczałam, że będą zachwycone.

Jako wybitna felietonistka, dodatkowo opływająca w gotówkę z racji awansu, postanowiłam odwiedzić Berlin's i sprawdzić, co jest najmodniejsze w tym sezonie. Piękna i elegancka Nancee Rubin spojrzała na mnie tylko raz i zapytała: „Chce pani obejrzeć zupełnie wyjątkowy i niezwykle sweter?”. Kto mógłby odpowiedzieć przecząco na takie pytanie? Miała rację. Rdzawy kaszmir o potrójnym splocie, głęboki trójkątny dekolt, długie, luźne rękawy i rozcięcia z boków. Do tego wyjęła aksamitne spodnie podobnej barwy, o wąskich nogawkach i gładkim przodzie, zapinane z boku. Gdy przyłożyła do siebie obie te części garderoby, od razu wiedziałam, że zostały stworzone dla mnie.

- Może pani dokupić u Boba Ellisa zamszowe mokasyny Gucciego w tym samym kolorze - zaśmiała się, wiedząc, że poproszę o „dopasowanie”.

Zajęli się podszywaniem spodni, gdy kupowałam buty. Gucci? Chyba oszalałam! Wystarczyły dwa ciuchy, żebym poczuła się jak nowo narodzona.

Czy to nie absurd? Wesołych Świąt, powiedziałam sobie sześćset dolarów później.

Wreszcie wypełniłyśmy samochód po wręby prezentami i naszymi świątecznymi kreacjami. Beth wyniosła ostatnie naręcze pakunków przeznaczonych dla moich bratanic i siostrzeńców, a ja gasiłam światła. W ciepłym blasku mrugających choinkowych lampek przyjrzałam się swemu odbiciu w wielkim lustrze mamy. Dobrze mi w tym kolorze, pomyślałam. Owszem, postarzałam się, ale wyglądam na odprężoną, wypoczętą i szczęśliwą. Bo tak w istocie było; miałam wszystko poustawiane w głowie.

Nie przejmowałam się specjalnie tym, że Tom wrócił do Karen. Nie obchodziło mnie, z kim się związał - pragnęłam przede wszystkim, żeby żył. Tak, byłam w świetnej formie, zastanawiałam się tylko, jak moi bracia skomentują fakt, że pomagałam Tomowi po operacji. No cóż, pomyślałam, dam sobie z nimi radę. Z lustra patrzyła na mnie mądrzejsza, zadowolona z siebie kobieta.

Zanim dotarliśmy do domu Maggie, zatonełam we wspomnieniach do tego stopnia, że zaczęłam się rozglądać za Hultajem, czy nie wyskoczy nam na powitanie, szczerkając i merdając ogonem. Tymczasem ujrzałam na podwórzu rząd samochodów. Tablice z Karoliny Północnej. To Timmy! Tablice z Georgii. To Henry! We wszystkich oknach paliły się światła. Moi bracia już przyjechali i święta zapowiadały się cudownie. Czulałam to.

Podniosłyśmy z Beth tylną klapę i wyładowałyśmy rzeczy z auta. Beth ruszyła przodem. Ja, jak zwykle, wzięłam za dużo naraz, potknęłam się i rozsypałam paczki po całym podwórzu. Dobięły mnie gromkie śmiechy i okrzyki, gdy Beth weszła do kuchni. Trzasnęły siatkowe drzwi.

- Czy to moja siostra? Nie wierzę własnym oczom! Wyglądasz bombowo! Na medal! - Henry, rodzinny potentat, wyszedł mi na powitanie.

- Owszem, to ja, Bogaty Braciszku! Dawaj buzi! Jeszcze cię nie przyłapali na sprzedawaniu tajemnic firmy?

- Idźże! Jestem czysty jak świeżo spadły śnieg i cholernie się cieszę, że w moim biurze nie ma podsłuchu! - Podniósł mnie i okręcił w powietrzu.

- Puszczaj! - wrzasnęłam. - Ratunku!

Drzwi znowu się otworzyły. Tym razem na schody wyszedł Timmy, rodzinny psycholog (jakże wszystkim potrzebny).

- Zostaw ją, brutalu! - zakrzyknął.

W końcu Henry postawił mnie na ziemi. Świat wirował.

- Masz świra! O, moja głowa!

Obydwaj zaczęli zbierać rozsypane paczki. Henry z całą ich stertą ruszył po schodach, śmiejąc się do siebie.

- On jest stuknięty - powiedziałam.

- Nadal stuknięty, ściśle rzecz biorąc. Miło z twojej strony, że bierzesz pod uwagę jego trudne dzieciństwo - oznajmił Timmy tonem psychoanalityka.

- Wszystko jedno! Co u ciebie? Boże, jak się cieszę, że cię widzę, Timmy. - Pocałowałam go w policzek. - Jak tam moja bratowa, bratanice i bratankowie?

- Ich stan jest zadowalający - odparł z kamienną twarzą.

- Bardzo śmieszne. Chodźmy, trzeba wypić te koktajle.

- Racja. Pomyśl tylko o tych wszystkich nieszczęsnych, trzeźwych Chińczykach!

Zatrzasnęłam drzwiczki samochodu i z dwiema walizkami wdrapałam się po kuchennych schodach.

W kuchni moja rodzina jadła, piła i przekrzykiwała się wzajemnie. Z jadalni dobiegł głos Maggie, wołającej do Granta:

- Puść wreszcie tę płytę Shannona Gibbonsa! Na miłość boską, jeśli jeszcze raz usłyszysz Kenny'ego Rogersa, to nie wiem, co zrobię!

Ogarnął mnie radosny nastrój. Cieszyłam się, że jesteśmy razem - moi bracia, siostra i cały nasz przychówek. Weszłam do salonu i na widok choinki stanęłam jak wryta. Maggie znowu to zrobiła. Drzewko było przystrojone lakierowanymi muszlami z plaży, łańcuchami z prażonej kukurydzy i żurawiny, atlasowymi kokardkami w czerwonej kratkę i białymi lampkami. Przez chwilę, sama w pokoju, rozmyślałam o tym, że czegokolwiek Maggie dotknęła, stawało się piękne i wzniosłe. Gdy się odwróciłam, stała obok mnie. Poczulałam nagle wzruszenie.

- Przepiękna choinka - powiedziałam.

Maggie objęła mnie i uścisnęła.

- Jednorazowego użytku. Tylko trzeba zdjąć lampki, o ile, rzecz jasna, w Nowy Rok będą jeszcze świeciły.

- Jakim cudem ty jesteś taka bystra, a ja nie?

- Ależ jesteś. To był ciężki rok, Susan, lecz już dobiega końca. Wiesz, że otaczają cię kochający ludzie. Zawsze powinnaś przebywać wśród ludzi, którzy cię kochają. Życie jest zbyt trudne, by walczyć samotnie. - Wręczyła mi chusteczkę wyjętą z kieszeni.

- Poddaję się - mruknęłam, ocierając oczy. - Od dzisiaj nie będę już z nikim walczyć.

- Chodź, urządzimy sobie wyspiarskie święto i do diabła z resztą świata.

Tak też się stało. Pochłonęliśmy tradycyjne owoce morza z hałaśliwym entuzjazmem, tak rozgłośnym, że niemal widziałam nieżyjącego od dwudziestu lat Alberta, jak staje w progu i aresztuje nas wszystkich za zakłócanie porządku. Wypiliśmy sześć butelek szlachetnego sauvignon blanc, które przywiózł Henry, i bawiliśmy się pysznie. Opowiadaliśmy sobie historie o Alice Simpson, o Stanleyu Rifkinie, o Livvie. Docinaliśmy sobie do upadłego.

Poszliśmy razem na pasterkę do Stella Maris. Noc była rześka i pogodna. Trwał odpływ i szum morza przypominał łagodną muzykę, pobrzmiwającą w tle.

Po mszy napiliśmy się bezkofeinowej irlandzkiej kawy, wychyliliśmy jeszcze po kieliszku, a dzieci dostały gorącej czekolady z bitą śmietaną. Wstawiliśmy filizanki i szklanki do zmywarki i pogasiliśmy światła. Wyszłam przed dom, żeby popatrzeć na ocean. Stałam sobie i rozmyślałam, jaka ze mnie szczęściara, że mam taką wspaniałą rodzinę, jak bardzo się od siebie różnimy i jak się kochamy pomimo - a także z powodu - tych różnic. W końcu weszłam do środka i zamknęłam frontowe drzwi na klucz. Grant i Maggie dawno już poszli spać, podobnie jak chłopcy i ich rodziny. W Island Gamble zapanowała cisza, a ja położyłam się obok Beth w starym podwójnym łóżu, wyposażonym w kołdrę i dwa koce.

- Hej, Beth! Śpisz?

- Bo co?

- Czy Chris dzwonił do ciebie przed świętami?

- To półgłówek - mruknęła i zachrapała cicho. Jej zimne stopy dotknęły moich stóp i ułożyłyśmy się jak dwie łyżeczki. Matka i córka. Modliłam się w myślach za nas, za całą rodzinę, za Livvie i jej Nelsona, za mamę i tatę, za Toma i każdego, kto przyszedł mi do głowy. Modliłam się,

żeby Beth nauczyła się postępować z mężczyznami, lecz nie za wcześnie. Po raz pierwszy od lat spędzałam wigilijną noc w Island Gamble. Zdumiewał mnie spokój tego domu. Maggie, Grant i ich dzieci tchnęli w naszą starą siedzibę nowe, szczęśliwe życie. Zapomniała o przeszłości i gotowa była powitać nas w swoich progach.

Boże Narodzenie nadeszło i minęło. Od rana smażyliśmy góry naleśników i parzyliśmy sagany kawy, rozpakowywaliśmy prezenty i uprzętailiśmy papier i bibułkę. Przez kilka następnych dni po prostu cieszyliśmy się sobą, chodząc na długie spacery brzegiem morza, oszukując przy kartach i wyolbrzymiając historie rodzinne.

Wreszcie zaświtał nam trzydziesty pierwszy grudnia. Szykowałyśmy z Maggie w kuchni produkty do zabrania na piknik, który zamierzałyśmy urządzić w przeddzień nowego tysiąclecia. Nawet moi bracia-macho i ich leniwe małżonki pomagali zapakować jedzenie do przenośnych chłodziarek. W jednej znalazły się krewetki, kraby, sałatka z indyka i kanapki z sałatką z szynki, a w drugiej wino, piwo i napoje gazowane dla dzieci. W torbach mieliśmy chipsy i sos salsa, ser i krakersy, winogrona i jabłka, a także tradycyjną czekoladę, karmelki i żytne krakersy.

Impreza zapowiadała się widowiskowo. Wydawano specjalne zezwolenia na rozpalanie ognisk co kilkadziesiąt metrów na każdej plaży okręgu Charleston. O dziesiątej miał się zacząć odpływ, a pogoda była idealna.

Na środku zatoki zakotwiczone dwie potężne barki, na których organizowano wielki pokaz fajerwerków. Kolejne dwie znalazły się na rzece Ashley po drugiej stronie półwyspu.

W kościele Stella Maris miała się odbyć specjalna msza o wpół do jedenastej, co pozwalało nam wziąć udział w nabożeństwie, nie przegapiając fajerwerków. Później, podobnie jak we wszystkich chrześcijańskich kościołach na świecie, dzwony miały bić przez trzy godziny. Wzięłam prysznic, włożyłam moje rdzawe spodnie i sweter i spryskałam się obficie należąca do Maggie perfumami Allure. Maggie weszła do pokoju, odświętnie wystrojona w czarne aksamitne spodnie i czerwony sweter, z wyszytymi na nim sztucznymi ogniami, szklankami martini i butelkami szampana.

- Hej, jesteś gotowa? Grant rozpałił ognisko na plaży i chciałby się przebrać, więc prosi, żebyśmy chwilę popilnowały - zawiadomiła mnie. - Świetnie wyglądasz!

- Dzięki! Jasne, zaraz przyjdę. Ehm, Maggie, jedno pytanie.
- Słucham?
- Skąd, na miłość boską, wytrzasnęłaś ten sweter?
- Z katalogu. Podoba ci się?

Potrząsnęłam głową.

- Ogromnie.

Pomaszerowaliśmy do kościoła tak jak kiedyś w dzieciństwie - pochód Hamiltonów, wyspiarzy-weteranów, mijający ciemne zarysy fortów w drodze do naszego pięknego Stella Maris. Nawet moi pogańscy bracia zdecydowali się pójść.

- Kto odprawia nabożeństwo? - zapytał Henry.
- Nie uwierzysz - odparła Maggie. - Pamiętasz Bena Michaela?
- Tego, który czwartego lipca zjadł trzydzieści hot dogów? Zaklinacza piłeczek? Skaczącego króla Wyspy Palm?
- Aha, tego samego. Wstąpił na Uniwersytet Katolicki, został księdzem, spędził dziesięć lat w Amazonii jako misjonarz, a potem biskup skierował go do naszej parafii - wyjaśniła Maggie.
- Pańskie jaja - powiedział Henry.
- W ten sposób twój wujek wyobraża sobie modlitwę - zwrócił się Timmy do Beth.
- Nie ma się z czego natrzasać - wtrąciłam. - On jest znakomitym księdzem Stella Maris obejmuje ponad siedemset rodzin.
- Zaraz, zaraz, Susan - odezwał się Henry - ty ciągle chodzisz do kościoła?
- Owszem, a tobie, gdy przestąpisz jego próg, piorun podsmaży durnowaty biały zadek - oznajmiłam.

O wpół do jedenastej wkroczyliśmy gęsiego do kościoła Stella Maris i zajęliśmy trzy ławki. Ponad setka ludzi nie zmieściła się w środku i oglądali nabożeństwo na ekranie w sali budynku parafialnego. Dostrzegłam osoby, których nawet nie podejrzewałam o jakiegokolwiek związek z religią.

Henry i Timmy zapewne nie byli w kościele od dnia chrztu ich dzieci. Myśl o dobrowolnym udziale w nabożeństwie w ogóle nie przychodziła im do głowy. Henry był zbyt „światowy”, a Timmy zbyt „pozaświatowy” w

swym dążeniu do oczyszczenia ludzkiej psychiki. Gdy jednak zebraliśmy się w gronie rodzinnym, poszliśmy do kościoła wszyscy razem.

Ojciec Michaels przyjrzał się nam i przewrócił oczyma, zauważywszy liczebność naszej grupy. Każde z nas powitał mocnym uściskiem dłoni. Był wysokim mężczyzną tuż po pięćdziesiątce. Miał piękne szpakowate włosy, a jego wydatny brzuch wskazywał, że wdowy z Wyspy Sullivana z całą pewnością nie pozwalają mu głodować. Wszyscy parafianie wiedzieli, że lubi dobrze zjeść. Była to ziemska słabostka człowieka, który dbał o życie duchowe tak licznej rzeszy.

Śpiewaliśmy razem z chórem, oczywiście fałszując. Wydawane przez nas dźwięki wywoływały fale chichotów wśród dzieci. Tu i ówdzie dało się słyszeć pochrapywanie mężczyzn, którzy spożyli zbyt obfitą kolację. Od czasu do czasu zapłakało jakieś dziecko.

Kazanie ojca Michaelsa było na szczęście krótkie. Słyszał z trzyminutowych homilii, zwięzłych, prowokujących i wnikliwych. Tym razem skupił się na prawdziwym znaczeniu chrześcijaństwa. Że opiera się ono przede wszystkim na miłości. Miłości do Boga, do samego siebie, do rodziny, do społeczności. Miłość jest darem. Przez minutę mówił o współczuciu i o tym, czym jest dar w ogóle, a później wrócił do tematu miłości. Na koniec życzył nam przyszłości wypełnionej miłością i nadzieją. Ze ściśniętym sercem pomyślałam o Tomie i zaczęłam się modlić o jego zdrowie goręcej niż kiedykolwiek.

Potem ojciec Michaels odwrócił się do ołtarza, by rozpocząć drugą część nabożeństwa.

- Patrzcie! - wykrzyknął nagle jakiś staruszek. - Matka Boska się uśmiecha!

- Pssst! - zawtórowała mu starsza kobieta. - Uśmiecha się do nas!

Popatrzyłam na malowaną, gipsową figurę Maryi nad ołtarzem. Próbo-
wałam właśnie zawrzeć ze Stwórcą umowę dotyczącą Toma. Nie dostrze-
głam w figurze niczego niezwykłego.

Grupka poruszonych staruszek ruszyła główną nawą. Unosili ręce i łzy spływały im po policzkach. Wyglądali, jakby byli w transie. Ojciec Michaels, oszołomiony tą sceną, zatrzymał ich tuż przed ołtarzem. W kościele panowała tak głęboka cisza, że szept księdza słychać było nawet na chórze.

- Powiedzcie mi, co widzicie - zwrócił się do grupy.
- Jest piękna - padła odpowiedź. - Uśmiecha się do mnie, do nas wszystkich.

Ojciec Michaels odwrócił się w stronę posągu. Ministranci również spojrzeli, wzruszając ramionami. Nadal niczego szczególnego nie widziałam. Popatrzyłam na Beth, Maggie, Henry'ego, Timmy'ego i Granta. Pokręcili głowami. Ale czy mogliśmy oczekiwać, że Matka Boska uśmiechnie się do nas? Do niepoprawnego klanu Hamiltonów? Wykluczone.

- Matko Boża, módl się za nami!

Ojciec Michaels ukląkł i zaczął odmawiać antyfonę. Rozległy się szmery i szelesty - kobiety szukały różańców w torebkach, mężczyźni w kieszeniach. Wszyscy wierni - łącznie z nieposiadającym różańców, lekko wstawionym i grzesznym klanem Hamiltonów - podjęli modlitwę. Za przewodem ojca Michaelsa rozpoczęliśmy odmawianie Tajemnic Radosnych.

- Zastanówcie się w skupieniu nad Zwiastowaniem - powiedział - i rozważcie, z jaką pokorą Maryja przyjęła posłannictwo Archanioła Gabriela i rolę Matki Boga, jaką Jej wyznaczono.

Pokora, pomyślałam. Nie znajdę jej w sobie zbyt wiele. O Panie, zaczęłam się modlić, proszę, naucz mnie pokory. Ujęłam dłoń Beth i modliłyśmy się razem ze wszystkimi.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

Odmówiliśmy dziesięć Zdrowaś Mario, jedno Ojcze Nasz i jedno Chwała Ojcu. Ojciec Michaels dodał do tego kolejną modlitwę.

- O mój Jezu, wybacz nam nasze grzechy, ocal nas przed ogniem piekielnym, zabierz nasze dusze do nieba i pomóż, zwłaszcza tym, którzy najbardziej potrzebują Twego miłosierdzia.

- Pomódlmy się za tatę, Beth - szepnęłam. - On teraz najbardziej potrzebuje miłosierdzia.

Zacisnęłam mocno powieki, lecz i tak wymknęły się spod nich łzy. Objęłam ją, tłumiąc szloch. Proszę, Boże, proszę Cię, niech Tom wyzdrowieje. Nie chcę, żeby moja córka straciła ojca tak jak ja. To było takie bolesne nie mieć taty. I w dodatku nie zdążyliśmy się pogodzić.

Ojciec Michaels przeszedł do drugiej Tajemnicy.

- Pomyślcie o Nawiedzeniu i o miłości bliźniego. Matka Boża

odwiedziła swoją kuzynkę Elżbietę, zanim narodził się Jezus. Zastanówcie się, czy okazujecie miłość swoim bliźnim.

Zaczęliśmy odmawiać następane Zdrowaś Mario. Modliliśmy się tak żarliwie, że można było wyczuć rosnące napięcie. I wtedy, nieoczekiwanie, kościół wypełniło jaskrawe białe światło, a potem wyraźny zapach róż. Nawet ja nie mogłam zaprzeczyć, że tak się faktycznie stało. Był to cud, dowód na istnienie Boga, przynajmniej dla mnie. Modliłyśmy się obydwie, trzymając się za ręce. Po odmówieniu różańca ojciec Michaels zaczął udzielać komunii. Wszyscy wierni ustawili się w kolejce. A potem msza dobiegła końca.

- Idźcie w pokój, ofiara spełniona - powiedział ojciec Michaels.
- Bogu niech będą dzięki - odparli gromko wierni.

Białe światło przygasało, a zapach róż zagłuszyła piżmowa woń kadzidła. Przed kościołem ludzie płakali z radości, deklarując odnowę wiary. Nasza rodzina zbiła się w gromadę - zaintrygowaną, otrzeźwioną i nieco zbitą z tropu. Odezwały się kościelne dzwony.

Ruszyliśmy do domu, by obejrzeć fajerwerki, wciąż oszołomieni tym, co się stało.

- Nie wiem, może to zbiorowa halucynacja - zaczął Timmy - ale nie mogę zaprzeczyć, że zauważyłem zmianę w oświeceniu.

- Ja też - powiedział Henry. - Cholera, chyba pójdę do spowiedzi.

- Mam ochotę na drinka - wyznał Grant. - W życiu nie widziałem czegoś tak dziwnego.

- A czegoście się spodziewali? - zapytałam. - Przecież to Południowe Wybrzeże.

- Przywiozłem butelkę wspaniałego corton charlemagne - poinformował Henry.

- Słuchaj, Henry - odparł Grant - bez obrazy, chłopie, ale wydaje mi się, że twoje frymuśne wino nie załatwi sprawy. Mam ochotę na mocnego, solidnego drinka.

- Ja też - przyznał Henry. - Wino może zaczekać.

- Zgadza się - powiedział Timmy.

Zbliżała się północ. Postanowiliśmy wrócić do domu brzegiem morza. Na niebie lśniły tysiące gwiazd, a księżyc niemal wisił nam na ramionach. Mijaliśmy ogniska, składając wszystkim życzenia. Plażę wypełniał tłum i

muzyka z przenośnych magnetofonów. Trzymałam Beth za rękę, odnotowując w myślach, że jest już taka sama jak moja. A przecież pamiętałam, jaka kiedyś była maleńka. Jak ta dziewczyna wyrosła. Zalała mnie fala wspomnień.

- Jestem już prawie dorosła, mamuś - odezwała się Beth, zupełnie jakby odgadła moje myśli.

- Zawsze będziesz moją małą córeczką - powiedziałam.

- Nawet gdy się obie zestarzejemy?

- No pewnie. Mam nadzieję, że do końca życia przynajmniej raz dziennie będziesz mi siadała na kolanach.

- Mamuś, a co z nami będzie, jeśli tacie się nie uda? - spytała.

Popatrzyłam na ocean. Wyczuwałam jej lęk. Wiedziałam, co ją gnębi: jeśli straci jedno z rodziców, równie dobrze może stracić drugie. Nie była „prawie dorosła”; co to właściwie znaczyło: być dorosłą?

Miałam jej to i owo do powiedzenia, więc dlaczego nie teraz? Poprowadziłam ją w stronę jednej z wydmy i razem wdrapałyśmy się na piaszczysty pagórek. Podmuch zimnej grudniowej bryzy nadszedł nie wiadomo skąd, rozwiewając nam włosy. Spojrzałyśmy na siebie w zapadającym zmierzchu. Położyłam dłonie na jej ramionach i uściśniłam mocno.

- Posłuchaj, Beth. Zapamiętaj ten wieczór. To punkt zwrotny dla ciebie i dla wszystkich. Będziesz pamiętała, co robiliśmy, kto przyjechał i co się wydarzyło, tak jakby to było wczoraj. Zapamiętasz to na całe życie.

- O czym mówisz?

- Powiem ci coś o twoim tacie. Przede wszystkim wydaje mi się, że wyzdrowieje. Ale gdyby nawet mu się nie udało, i tak nigdy cię nie opuści, Beth. Ci, których kochasz, zostają z tobą, i dopóki go kochasz, będzie żył. Zaręczam ci, że to prawda.

- No tak, wiem, ale właściwie go tu nie będzie. Odejdzie. Tak jak odszedł twój tata, Livvie, twoja mama. Zrozum, mamuś, gdy ktoś umiera, to opuszcza cię na zawsze.

- Niekoniecznie. To nie takie proste, Beth. Jeśli za nimi tęsknisz, wracają. Daję słowo.

Milczała, przyglądając mi się badawczo. Dostrzegła mój uśmiech i znowu byłam pewna, że czyta mi w myślach.

- Lustro, tak? - spytała wreszcie.

- Skąd wiesz?
- Mamuś, rozmawiam z nim od niepamiętnych czasów!

Wybuchnęliśmy śmiechem, przybijając piątkę, a potem wczepiliśmy się w siebie jak dwie ośmiornice. I nie przestawałyśmy się śmiać. Śmiechem miłości, śmiechem nadziei.

- Beth, to niesamowite stare lustro jest tylko jednym z wielu sposobów - powiedziałam. - Myślę, że tak samo działa modlitwa czy medytacja. Do diabła, skarbie, za pięćdziesiąt lat wynajdą specjalny telefon czy coś w tym stylu. - Przytuliłam ją z całej siły. - Kochasz tatę, więc nigdy cię nie opuści. Oczywiście, wielu rzeczy będziesz musiała się dowiedzieć sama. Tylko nie zaczynaj zbyt późno. Życie jest cenne. Szkoda je marnować.

- To prawda. - W jej głosie nie było ani śladu lekceważenia. - Będziesz ze mnie dumna, mamó. Tata też.

- Już jestem z ciebie dumna, skarbie. I bardzo cię kocham.

Od strony morza zbliżali się ku nam Maggie z Henrym.

W niebo wystrzeliła z hukiem pierwsza fontanna fajerwerków. Nadeszła północ i początek nowego tysiąclecia.

- Już idziemy! - Złapałam Beth i razem zbiegłyśmy z wydmy. - Ejże! Kto pilnuje naszego ogniska?

- Ach, pewien stary znajomy - odparł Henry.

W odległości kilkudziesięciu metrów od domu dostrzegłam sylwetkę mężczyzny, który dorzucał dREW do ognia. Przystanął i odwrócił się w naszą stronę.

- Hej, Suz!

Rozpoznałabym ten głos zawsze i wszędzie.

- Simon? - spytałam Maggie, która z uśmiechem pokiwała głową. - Simon!

- Susan! - zawołał w odpowiedzi.

Pobiegłam do niego. Wyciągnął ramiona i uściśnął mnie tak mocno, że omal nie złamał mi kręgosłupa. Jego bujna czupryna była krótko przycięta i przyprószone siwizną. Zakręciło mi się w głowie.

- Gdzie się podziewałeś? - burknęłam.

- Byłem zajęty. Podobno szukasz przyjaciela? - Naśmiewał się ze mnie.

- Nie da się ukryć! Niezle wyglądasz jak na tę swoją osiemdziesiątkę - mruknięłam.

- Daleko mi do osiemdziesiątki.

Udałam, że chcę mu się wyrwać, choć uśmiechałam się przy tym od ucha do ucha. Znowu wybuchnął śmiechem, a ja mu zawtórowałam. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi go brakowało. Spojrzał na mnie i jeszcze zanim mnie pocałował, wiedziałam, że to robi.

- Przy tobie czuję się jak wątłe kurczątko, chłopcze.
- A ja przy tobie czuję się nabuzowany, dziewczyno.
- Ależ z ciebie niepoprawny romantyk. Masz jeszcze swoje własne włosy? Niech sprawdzę! Może to tupecik?

Dał mi klapsa i odskoczyłam w bok. Podniosłam głowę i zobaczyłam Maggie, Granta, Beth i całą resztę.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - zawołaliśmy chórem, wymieniając uściski i całusy.
- Pan musi być tym jedynym na świecie Simonem - powiedziała Beth.
- Mój Boże, toż to skończona piękność! - zauważył, podbijając w jednej chwili serce Beth.
- Tak jak moja mama - dodała.
- Owszem, zupełnie jak twoja mama.

Skoro tak twierdzili, nie miałam nic przeciw temu.

Fajerwerki strzelały przez ponad godzinę, a kościelne dzwony nie przestawały bić. Niebo rozkwitało bielą, czerwienią i zielenią - wszelkimi możliwymi barwami. Nie potrafiłam oderwać oczu od Simona. Trzymał mnie za rękę i co chwila zerkał w moją stronę. Dostałam gęsiej skórki.

- Chodźmy na spacer - zaproponował wreszcie.
- Hej! Zaczekajcie na mnie! - zawołała Beth.

Wyciągnęliśmy do niej ręce i wszyscy troje ruszyliśmy w stronę morza. Zakochałam się na nowo bez najmniejszego wysiłku. Nasze chóralne okrzyki wtórowały wybuchom fajerwerków. Gdy pokaz dobiegł końca, dołączyliśmy do reszty rodziny, zgasiłszy ognisko i każdy wziął coś, co należało zabrać do domu.

- Muszę pójść do samochodu po walizkę - powiedział Simon.
- Pomogę ci.
- A tak na marginesie, jak było w kościele?
- Nie żałujemy, że poszliśmy - odparłam, myśląc, że gdybym mu powiedziała, co się wydarzyło, uznałby nas za bandę pomyleńców.

Beth ruszyła przodem ze swoimi kuzynami, lecz przedtem obejrzała się przez ramię i mrugnęła do mnie.

- Wspaniała dziewczyna - powiedział.
- Owszem, dzięki. - Odetchnęłam głęboko i u boku Simona obeszałam dom. Jego samochód - nowy biały lexus - miał tablice rejestracyjne z Georgii.

- Fajny wóz - zauważyłam.
- Ma rozkładane siedzenia - poinformował Simon.
- Panie, jest pan rozwiązłym łobuzem - oznajmiłam.
- Jestem. Chodź tu do mnie.
- Co?

Pocałował mnie i zupełnie jak za dawnych lat poczułam ściskanie w dołku. Livvie zawsze mawiała, że gdy spotkam mężczyznę moich marzeń, od razu będę wiedziała. To było trochę tak, jakby ktoś zdzielił mnie pałką w głowę. Oparłam się o samochód, a Simon pochylił się nade mną. Po trzecim pocałunku nie miałam wątpliwości, że żywi poważne zamiary.

- Wciąż jeszcze mnie pragniesz, co? - spytałam ze śmiechem.
- Tak, i tym razem będę cię miał.
- Nie uważasz, że najpierw powinienes przynajmniej posłać dziewczynie kwiaty, Panie Ważny Doktorze od Chorób Zakaźnych?
- Racja. To było niedelikatne z mojej strony. Muszę ci kupić brylant większy niż ten, który Stanley podarował twojej mamie - powiedział. - Tak czy inaczej, Susan, bez względu na Toma, jesteś moja. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- W takim razie, skoro to ustaliliśmy, napijmy się piwa - zakończył.

Epilog

Rok 2000

Zdejmowałam bożonarodzeniowe ozdoby, starając się doprowadzić dom z powrotem do normalnego stanu. Choinka nieźle się trzymała, lecz przy jej rozbieraniu posypał się deszcz igieł. Wielkie lustro w złożonych ramach odbijało moje ruchy. Zastanawiałam się, czy ktoś mnie obserwuje. Miałam wrażenie, że tak.

W święta zawsze zalewała mnie fala wspomnień o Livvie. Myślałam o Dniu Dziękczynienia, w którym zmarł tata, i o tym, jak nam przywiozła kundla, którego wszyscy pokochaliśmy. Myślałam o tym, jak nas rozpieszczała - za czym od początku tęskniliśmy - i jak dodała mi odwagi, żebym wyjechała do szkoły. Zastanawiałam się, czy nas widzi, Beth i mnie, i czy jest z nas dumna.

Myślałam o Livvie tak intensywnie i tak mocno pragnęłam, by mnie zobaczyła, że ogarnęło mnie wzruszenie i łzy napłynęły mi do oczu. Pożałowałam, że nie mogę dostać pięciu centów za każdą łzę wylaną w minionym roku.

Lustro pokryło się mgiełką. Przetarłam oczy i spojrzałam jeszcze raz. Była tam. Wyraźnie zobaczyłam Livvie i jakiegoś mężczyznę. Z podniecenia zaczęłam dygotać na całym ciele. Livvie stała nieruchomo, ściskając mocno ramię mężczyzny, który musiał być jej mężem. To naprawdę była Livvie i uradowałam się z całego serca. Szepnęłam do nich:

- O mój Boże! Szczęśliwego Nowego Roku, Livvie! A to z pewnością Nelson!

Skinął głową, pochylił się i pocałował Livvie w policzek. Jej uśmiech promieniał szczęściem.

- Czy to sen?
- *Nie, dziecinko, śniły ci się prześcieradła, a to jest naprawdę!*
- To byłaś ty! To rzeczywiście byłaś ty! Próbowałaś mi powiedzieć o panu Struthersie i Grubym Albercie! Skąd wiedziałaś?
- *Dziecko, jestem w miejscu, gdzie się wie. Tu nima łgarstwa.*
- Widziałaś któregoś z nich?
- *Widzieć nie widziałam, ale słyszała, że pan Marvin przyjdzie tu niebawem. Już odbył pokutę.*
- A Gruby Albert?
- *Zdaje mi się, że zawędrował gdzieś na dół, gdzie się obraca różny. Chyba go tu nie zobaczymy. Nie, nima tu miejsca dla bidnego starego Alberta.*
- Piekło? Poszedł do piekła?
- *Nigdyżem nie widziała piekła, ale jak się nie jest tu, to się jest tam!*
- A więc dostałaś się do raju i odnalazłaś Nelsona? Tak się cieszę! - Nie wiedziałam, co powiedzieć, i w końcu spytałam: - Widziałaś moją mamę? - Nie potrafiłam powstrzymać łez, które popłynęły mi po policzkach.
- Livvie z uśmiechem pokręciła głową.
- *Nie frasuj się o mamę. Z nią wszystko dobrze.*
- No cóż, gdybyś ją zobaczyła, powiedz, że o nią pytałam. I że teraz już rozumiem. Boże, tęsknię za tobą, Livvie. Kocham cię, wiesz?
- Uśmiechnęła się i skinęła głową. Usłyszałam w myślach jej głos:
- *Ja też tęsknię, dziecinko! Ale mam mojego Nelsona. A ty? Oddasz w końcu serce Simonowi?*
- Livvie, Tom zachorował na raka. Simon na razie wrócił do Atlanty. Sprawy się trochę pokomplikowały. Gdybyś tu była ze mną, byłoby mi o wiele łatwiej! Powiedziałaśbyś mi, co mam robić.
- *A nie jestem tu teraz, dziecinko? Nie jestem? Myślałaś, że cię opuszczę? Naprawdę nie wiesz, co masz robić?*
- Wiem. Powierzyć swe troski Bogu, tak?
- *No właśnie. I użyć tego swojego rozumu!*
- Co będzie z Tomem, Livvie? Co mogę zrobić?
- *Módl się, dziewczyno. Modlitwa czyni cuda; jeszcze się o tym nie przekonała?*
- Wiesz, Livvie, wydaje mi się, że byłam najmądrzejsza, kiedy miałam

trzyznaście lat. Chyba niewiele się od tego czasu nauczyłam.

- *A czemuś była wtedy taka mądra? Bo sytuacja kazała ci szukać wyjścia. Czy i teraz tak nie jest?*

- Chcesz powiedzieć, że czas znaleźć wyjście?

- *Czas znaleźć wyjście i wznieść się nad kłopoty. Kocham cię, dziecko. Nie bój się kochać. Jeśli kochasz Simona, nie bój się i nie martw o Toma.*

- Głowa do góry, tak? I do przodu?

Przytaknęła. Śmiałam się przez łzy - łzy radości, łzy ulgi. Wyczułam, że Livvie zbiera się do odejścia i skupiłam się z całych sił, żeby ją jeszcze choć na chwilę zatrzymać.

- Kocham cię, Livvie. Zawsze.

Szeptalam do niej. Miłość. W tajemniczy sposób górowała nad śmiercią. Uzdrawiała serca. Odmieniała myśli. A gdy wychodziłaś jej naprzeciw, dawała ci odwagę. Przyłożyłam dłoń do lustra, a Livvie wyciągnęła swoją. Lustro było ciepłe. Oddałabym wszystko, by potrzymać ją za rękę, lecz czułam przynajmniej ciepło. Postać Livvie zaczęła blednąć i po chwili obydwójce z Nelsonem zniknęli. W końcu widziałam już tylko własne odbicie.

Być może zapach róż, jasne światło i rzekoma wizja uśmiechniętej Matki Boskiej w kościele Stella Maris były jakąś zbiorową halucynacją. Nie wiadomo. Może to, że teraz zobaczyłam Livvie, stanowiło akt desperacji ze strony podświadomości. Nie potrafiłam ocenić. Bez wątpienia Livvie odwiedziła mnie we śnie. Jeżeli mogła przyjść do mnie we śnie, czemu nie miałyby mi się objawić w lustrze?

Nagle zapragnęłam rozejrzeć się wokół siebie - wchłonąć ten widok. Osypujące się drzewko, fotografie na stoliku, stary kredens, który ocaliliśmy razem z Tomem. Ocalenie. To było moje zadanie - doniosłe polecenie, jakie otrzymałam.

Opadłam na kanapę i zapaliłam marlboro light. Zaciągnęłam się tylko raz i zgasiłam papierosa, uświadamiając sobie, że nie jest mi już potrzebny. No dobrze, kupię w drogerii specjalny plaster antynikotynowy na wypadek słabości. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu na myśl o skutkach odwiedzin Livvie. Będę się modliła za Toma jak szalona i zmuszę całą rodzinę do tego samego. Nawet więcej - nakłonię do modlitwy wszystkich

wiernych ze Stella Maris. A co z Simonem? Znałam już odpowiedź. Czulałam w sobie energię, która dodawała mi skrzydeł i budziła nadzieję. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Tak, nawet ja - cyniczna Susan Hamilton Hayes - musiałam przyznać, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wreszcie, po długim, długim czasie mogłam zaznać upragnionego spokoju.

Słowo od autorki

Mogłabym bez końca snuć opowieści z życia mojej rodziny oraz wszystkich dobrych ludzi z Wyspy Sullivana i z Charlestonu. Mogłabym wam opowiedzieć, jak to na wyspie przez całe wakacje, od ostatniego do pierwszego dnia szkoły, nie znalazłoby się ani jednego dzieciaka, który by nosił buty - wszyscy biegaliśmy boso albo w klapkach kupowanych u Berta czy panny Buddy za dwadzieścia dziewięć centów. I że każdy, kto miał trampki, zwłaszcza czyste, zostawał natychmiast napiętnowany jako intruz z zewnątrz.

Mogłabym się rozwodzić nad letnimi dniami, podczas których biegałam samopas z moimi kuzynami - napełniając puszki po kawie jeżynami, zdziczałymi śliwkami i dzikimi szparagami i wspinając się na wieże ciśnień - a każdy, kto miał własny rower, obowiązany był wozić tych, którzy rowerów nie posiadali. Zaglądaliśmy przez okna domków letniskowych, w zimie chowaliśmy się pod nimi, paląc wykradzione papierosy, a naszą specjalnością stało się wykopywanie tuneli do Chin.

Pewnego razu wykopaliśmy dół przed domem wujka Teddy'ego i ktoś - chyba jeden z kuzynów Blanchardów - miał genialny pomysł, by nalać tam wody i zrobić basen. Wąż ogrodowy wleciał do dziury, więc - przekonani, że wujek Teddy powie o wszystkim naszemu ojcu - przykryliśmy cały bałagan deskami. Wujek nabrał podejrzeń na widok węża ciągnącego się przez całe podwórze aż pod dom. Po kolacji poszedł sprawdzić, co się dzieje. Było już ciemno; potracił deski, wpadł do dołu i cały się ubłocił. Potem złożył nam tyłki skórzanym kapciem, napominając, żebyśmy nic nie mówili tacie. Jego wersja lania przypominała trzepanie poduszek w wykonaniu Elli Wright,

znanej również jako panna Fuzz, która była moją Livvie. Wydzieraliśmy się wniebogłosy, by dać mu do zrozumienia, że to wystarczająca kara, a potem latami zaśmiewaliśmy się z tego.

Gdybyście poznali mojego kuzyna Michaela McInerny, opowiedziałby wam, jak to razem z kolegami - mieli wówczas około dziewięciu, dziesięciu lat - złowił największe kraby na Wyspie Sullivana, a następnie sprzedał je wszystkim matkom w okolicy. Dopiero po latach odkrył, dlaczego kraby były takie olbrzymie - łowił je w pobliżu rur kanalizacyjnych! Rodzinie nie pozostało nic innego, jak tylko wyrazić uznanie dla jego pionierskiej działalności w zakresie przetwarzania surowców wtórnych.

A opowieści o duchach? Ludzie powtarzali je sobie wieczorami na gankach, strasząc się nawzajem prawie na śmierć. Słuchałam ich i chichotałam, myśląc, że każdy powinien mieć lustro podobne do naszego. Wszyscy do końca życia spaliby przy zapalonym świetle! Tak, ta historia z lustrem jest akurat prawdziwa.

W dawnych czasach były budki z lemoniadą, które można napotkać jeszcze dzisiaj, a poza tym grało się w „gumkę”, czyli w południową wersję stickballa przy użyciu kijów od mioteł oraz - jak łatwo się domyślić - przepołowionych gumowych piłek. Na pomoście Folly Pier, zanim zapadł się w głąb oceanu, urządzano zabawy taneczne, a my zakradaliśmy się do Wielkiego Johna i Klubu Marynarki Handlowej z lipnymi dowodami tożsamości, by podczas upałów wypić slinga albo piwo.

Niektórzy z przyjaciół pojechali do Wietnamu, inni uciekli do Kanady. Broniąc praw kobiet, paliliśmy staniki w tym samym ogniu, który zmieniał w popiół karty mobilizacyjne naszych braci. Gardłowałyśmy do wyczerpania za prawami człowieka, aby nazajutrz zacząć od nowa. Buntowaliśmy się przeciw wszystkiemu, co wydawało nam się złe. Dobrzy chłopcy z sąsiedztwa zapuścili długie włosy, przerzucili się z piwa na marihuanę i zaczęli nosić ciężkie buciorzy zamiast sandałów. A później pochowaliśmy rodziców i zastąpiliśmy ich, nawracając się na obyczaje Południowego Wybrzeża jak na Ewangelię i czerpiąc z tego satysfakcję.

Tyle historii, zbyt wiele, by je tu zmieścić. Nie mieszkamy tam obecnie, ale może to się kiedyś zmienić. Pewnego dnia urządzę rodzinny dom na Wyspie.

Następnym razem, gdy się spotkamy, nauczę was wierszyka zaczerpniętego z tradycji gullah i podyskutujemy, jak zużytkować całą szynkę. Wybierzemy się na przechadzkę o świcie, wiodąc rozmowy o huraganach, przyływach, odpływach i zamkach z piasku. Rozprostujecie ramiona w podmuchach wschodniego wiatru i we wszystkich kościach poczujecie wschód słońca. Wytrząsając z butów piasek z Wyspy Sullivana, zapragniecie tam powrócić. I powrócicie. Dołączycie do nas. Nie zaszkodzi wam szczypta wyspiarskiej mentalności.

A gdy dzień nabierze rumieńców i blasku, dostaniecie na śniadanie łyk ciepłego, słonego powietrza, później zaś opowiecie o wszystkim waszym przyjaciołom, jakby te historie stanowiły część waszego życia. Już zawsze będzie wam towarzyszyła ta czarodziejska melodia. Czyż mogłoby być inaczej?

Spis treści

Podziękowania	7
Prolog	11
1. Ganek	21
2. Wygódka	41
3. Prawniczka	59
4. Beth	77
5. Livvie	92
6. Pierwsze randki	113
7. Huragan Denise	136
8. Huragan Maybelline	149
9. Następstwa	172
10. Pisanie	190
11. Tipa	207
12. Hank	228
13. Odzyskiwanie kontroli	250
14. Święto Dziękczynienia 1963	283
15. Święto Dziękczynienia 1999	296
16. Bożonarodzeniowe jasełka	309
17. Boże Narodzenie 1963	325
18. Simon	352
19. Szkoła	369
20. Magia Południowego Wybrzeża	393
Epilog	412
Słowo od autorki	417